

HENNING

MANSELL

biała
lwica



Ali-Baba

MRO CZNA SERIA



HENNING MANKELL

BIAŁA LWICA

DEN VITA LEJONINNAN

PRZEŁOŻYŁA HALINA THYLWE

w
ydawnic
a
two
b

Moim przyjaciołom w Mozambiku.

*Dopóki różnie będziemy oceniać ludzi w naszym kraju,
zależnie od koloru ich skóry, nie opuści nas przypadłość,
którą Sokrates nazywa kłamstwem duszy.*

*Jan Hofmeyr,
premier Afryki Południowej, 1946*

*Angurumapo simba, mcheza nani?
(Kto się odważy bawić, kiedy ryczy lew?)
przysłowie afrykańskie*

Afryka Południowa 1918

Prolog

Późnym popołudniem 21 kwietnia 1918 roku w niczym się niewyróżniającej kawiarni w dzielnicy Kensington w Johannesburgu spotkało się trzech młodych mężczyzn. Najmłodszy, Werner van der Merwe, dopiero co skończył dziewiętnaście lat, najstarszy, Henning Klopper, liczył dwadzieścia dwa lata, a Hans du Pleiss miał za kilka tygodni obchodzić dwudzieste pierwsze urodziny. Właśnie tego popołudnia postanowili omówić szczegóły przyjęcia urodzinowego. Żaden z nich nie przypuszczał, ba, nie miał najbledszego pojęcia, że ich spotkanie w kawiarni na Kensingtonie będzie miało historyczne znaczenie. Temat przyjęcia w ogóle nie został poruszony. Nawet Henning Klopper, który przedstawił propozycję mającą w przyszłości odmienić całe południowoafrykańskie społeczeństwo, nie zdawał sobie sprawy z siły oddziaływania ani z konsekwencji swoich nie do końca przetrawionych myśli. Tych trzech młodych mężczyzn, mimo odmiennych temperamentów i charakterów, łączyło coś absolutnie rozstrzygającego. Byli Burami. Wszyscy pochodzili z szacownych rodów, które przybyły do Afryki Południowej w latach osiemdziesiątych XVII wieku wraz z jedną z pierwszych dużych fal emigrantów, bezdomnych holenderskich hugenotów. Kiedy nasilające się wpływy angielskie przybrały formę jawnego ucisku, Burowie udali się w długą podróż zaprzężonymi w woły wozami w głąb kraju, na bezkresne równiny Transwalu i Oranii. Dla tych trzech młodych mężczyzn, tak jak dla wszystkich Burów, wolność i niezależność stanowiły warunek podstawowy zachowania ich języka i kultury. Wolność dawała gwarancję, że nie dojdzie do niechcianego stopienia się ze zniechęconą ludnością pochodzenia angielskiego, nie

wspominając o obcowaniu z czarnymi mieszkańcami kraju i mniejszością hinduską, która utrzymywała się głównie z handlu w przybrzeżnych miastach, takich jak Durban, Port Elizabeth i Kapsztad.

Henning Klopper, Werner van der Merwe i Hans du Pleiss byli Burami. Nie mogli tego wyrzucić z pamięci. Ba, szczycili się tym. Z najwcześniejszego dzieciństwa wynieśli wiedzę, że są narodem wybranym. Było to coś tak oczywistego, że rzadko o tym mówili podczas codziennych spotkań w tej małej kawiarence. Stanowiło istotę ich przyjaźni i wzajemnego zaufania, ich myśli i odczuć.

Byli zatrudnieni w biurze Południowoafrykańskiej Spółki Kolejowej i po pracy chodzili do kawiarni. Przeważnie rozprawiali o dziewczętach, o wielkiej wojnie w Europie, która osiągnęła punkt kulminacyjny, i oddawali się marzeniom o przyszłości. Ale tego dnia Henning Klopper siedział zatopiony w myślach. Koledzy patrzyli na niego zdziwieni, przywykli do tego, że jest najbardziej rozmowny w ich gronie.

- Źle się czujesz? - spytał Hans du Pleiss. - Masz malarię? Henning Klopper przecząco pokręcił głową.

Hans du Pleiss wzruszył ramionami i spojrział na Wenera van der Merwe.

- Henning myśli - powiedział Werner. - Zastanawia się, jak jeszcze w tym roku mógłby podnieść swoją pensję z czterech do sześciu funtów miesięcznie.

Ciągle wracali do tego tematu: jak nakłonić opornych szefów do podwyższenia ich skromnych poborów. Nie wątpili, że w przyszłości obejmą wysokie stanowiska w Południowo-afrykańskiej Spółce Kolejowej. Wszyscy trzej wierzyli w swoje możliwości, byli inteligentni i energiczni. Problem polegał na tym, że w ich mniemaniu trwało to nieznośnie długo.

Henning Klopper sięgnął po filiżankę i wypił łyk kawy.

Opuszkami palców sprawdził, czy biały kołnierzyk jest na właściwym miejscu, po czym niespiesznie przesunął dłoń po włosach, które czesał z przedziałkiem pośrodku.

- Opowiem wam o czymś, co się wydarzyło czterdzieści lat temu - powiedział powoli.

Werner van der Merwe, mrużąc oczy, spojrział na niego zza okularów.

- Jesteś za młody, Henning. Tak odległe wspomnienia będziesz miał za dwadzieścia parę lat. Nie wcześniej.

Henning Klopper pokręcił głową.

- Nie chodzi o moje wspomnienia. Nie chodzi ani o mnie, ani o moją rodzinę, tylko o angielskiego sierżanta, George'a Strattona.

Hans du Pleiss zaniechał prób zapalenia cygaretki.

- Od kiedy zacząłeś się interesować Anglikami? - spytał. - Dobry Anglik to martwy Anglik, bez względu na to, czy jest sierżantem, politykiem czy sztygarem.

- On jest martwy - odparł Henning Klopper. - Sierżant Stratton jest martwy. Możesz być całkowicie spokojny. Chcę opowiedzieć o jego śmierci. Zmarł czterdzieści lat temu.

Hans du Pleiss otworzył usta, żeby zgłosić kolejną uwagę, ale Werner van der Merwe szybko położył mu dłoń na ramieniu.

- Poczekaj. Daj Henningowi dojść do słowa.

Henning Klopper wypił łyk kawy, po czym starannie osuszył serwetką wargi i cienkie jasne wąsy.

- Było to w kwietniu tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego roku - zaczął. - Podczas brytyjskiej wojny przeciwko zbuntowanym afrykańskim plemionom.

- Przegranej wojny - wtrącił Hans du Pleiss. - Tylko Anglicy są w stanie przegrać z dzikusami. Pod Isandłwaną i Rorke's Drift armia angielska udowodniła, do czego się nadaje. Dzikusy rozniosły ją w pył.

- Pozwól mu kontynuować - zirytował się Werner van der

Merwe. - Nie przerywaj.

- To, o czym chcę opowiedzieć, wydarzyło się w okolicach Buffalo River - podjął Henning Klopper - rzeki, którą tubylcy nazywają Gongqo. Oddział Mounted Rifles podległy Strattonowi rozbił tam obóz i zajął pozycje na otwartym polu. Przed nimi było wzgórze - nazwy nie pamiętam - za którym czekała źle uzbrojona grupa wojowników z plemienia Khosa. Żołnierze Strattona nie mieli powodów do niepokoju. Zwiadowcy stwierdzili, że tamci są niezorganizowani i prawdopodobnie szykują się do odwrotu. Poza tym Stratton i jego podkomendni spodziewali się tego dnia posiłków w postaci co najmniej jednego batalionu. Nagle znany z opanowania sierżant Stratton zaczął się żegnać z żołnierzami. Ci, którzy to widzieli, mówili, że sprawiał takie wrażenie, jakby miał atak wysokiej gorączki. Potem wyciągnął pistolet i na oczach całego oddziału strzelił sobie w głowę. Miał dwadzieścia sześć lat. Był cztery lata starszy ode mnie.

Henning Klopper raptownie umilkł, jakby go zaskoczył koniec tej opowieści. Hans du Pleiss puścił kółko dymu z cygaretki i czekał na dalszy ciąg. Werner van der Merwe pstryknął palcami na czarnego kelnera, który wycierał stół w innej części lokalu.

- To wszystko? - zdziwił się Hans du Pleiss.

- Tak - odparł Henning Klopper. - A co, to mało?

- Chyba przydałoby się nam więcej kawy - zauważył Werner van der Merwe.

Utykający na jedną nogę czarny kelner z ukłonem przyjął zamówienie i zniknął za wahadłowymi drzwiami prowadzącymi do kuchni.

- Angielski sierżant dostaje udaru słonecznego i strzela sobie w głowę - powiedział Hans du Pleiss. - Dlaczego nam o tym mówisz?

Henning Klopper ze zdumieniem patrzył na przyjaciół.

- Nie rozumiecie? Naprawdę nie rozumiecie?

Jego zdumienie było szczere, niczego nie udawał. Kiedy w domu rodzinnym przez przypadek przeczytał w jakimś piśmie o śmierci sierżanta Strattona, natychmiast przyszło mu do głowy, że go to dotyczy. W losie sierżanta Strattona dostrzegł swój własny los. Speszył się, ponieważ ta myśl wydawała się nieprawdopodobna. Cóż mógł mieć wspólnego z sierżantem służącym w angielskiej armii, który najwyraźniej wpadł w obłęd, wycelował lufę pistoletu w skroń i wystrzelił?

Jego uwagę przykuł nie tyle los Strattona, ile sens ostatnich linijek artykułu. Pewien szeregowiec, świadek zdarzenia, dużo później wyjawiał, że sierżant Stratton w ostatnim dniu życia bez przerwy mrucał pod nosem jedno i to samo zdanie, raz po raz, jakby wypowiadał zaklęcie. „Prędzej popełnię samobójstwo niż dam się wziąć żywcem wojownikom z plemienia Khosa”.

Właśnie tak Henning Klopper postrzegał swoją sytuację Bura w zdominowanej przez Anglików Afryce Południowej. Nagle zdał sobie sprawę, że stoi przed takim samym wyborem jak sierżant Stratton.

Uległość. Nie ma nic gorszego niż życie w warunkach, na które nie ma się żadnego wpływu. Wszyscy moi krewni, myślał, mój naród, muszą się podporządkować angielskiemu prawu, angielskiej tyranii, angielskiej pogardzie. Naszej kulturze zagraża zmasowany atak i degradacja. Anglicy nie spoczną, póki nas nie złamią. Największe niebezpieczeństwo uległości to przyzwyczajenie, rezygnacja obezwładniająca jak trucizna, której działania być może nie zauważamy. Stajemy się niewolnikami, ginie ostatnia ostoja, mętnieje świadomość.

Nigdy dotąd nie dzielił się z Hansem du Pleissem i Wernerem van der Merwe swoimi myślami. Zwrócił uwagę, że w ich rozmowach o krzywdach wyrządzonych przez

Anglików coraz częściej pojawiają się gorzkie i ironiczne komentarze. Nie było w nich tej wściekłości, która zmusiła jego ojca do wojny przeciwko Anglikom.

To go wprawilo w popłoch. Kto, jeśli nie ludzie z jego pokolenia, stawia Anglikom opór? Kto będzie bronił praw Burów, jeśli on, Hans du Pleiss albo Werner van der Merwe tego nie zrobią?

Opowieść o sierzancie Strattonie utwierdziła go w tym przeświadczeniu. „Prędzej popełnię samobójstwo niż się poddam. A ponieważ chcę żyć, trzeba wyeliminować przyczyny zniewolenia”. Prosta, trudna i jednoznaczna alternatywa.

Nie wiedział, dlaczego wybrał właśnie ten dzień, żeby opowiedzieć przyjaciółom o sierzancie Strattonie. Po prostu owładnęło nim uczucie, że dłużej nie może czekać. Czas nagli. Nie mogą godzinami przesiadywać w kawiarni, oddając się marzeniom i planując urodzinowe imprezy. Są sprawy o wiele ważniejsze, związane z ich i nie tylko ich przyszłością. Anglicy, którzy źle się czują w Afryce Południowej, mogą wrócić do ojczyzny albo załatwić sobie placówkę gdzie indziej w tym pozornie bezkresnym brytyjskim imperium. Ale Henning Klopper, tak jak inni Burowie, był skazany wyłącznie na Afrykę Południową. Blisko dwieście pięćdziesiąt lat temu spalili za sobą wszystkie mosty, uciekli przed prześladowaniami religijnymi i uznali Afrykę Południową za raj. Ich wyrzeczenia sprawiły, że poczuli się narodem wybranym. Przyszłość odnaleźli właśnie tu, na południowym skrawku afrykańskiego kontynentu. Albo przyszłość, albo podległość równoznaczną z powolną, acz nieuchronną zagładą.

Stary kelner przykuśtykał z kawą. Niezdarnie wymienił brudne porcelanowe filiżanki na czyste i postawił dzbanek na stole.

Henning Klopper zapalił papierosa i popatrzył na przyjaciół.

- Nie rozumiecie? - powtórzył. - Nie rozumiecie, że stoimy przed takim samym wyborem jak sierżant Stratton?

Werner van der Merwe zdjął okulary i przetarł je chusteczką.

- Chcę cię wyraźnie widzieć, Henning. Chcę się upewnić, że to rzeczywiście ty siedzisz naprzeciwko mnie.

Henning Klopper wpadł w złość. Dlaczego nie chcą go zrozumieć? Czy to możliwe, żeby tylko on o tym myślał?

- Nie widzicie, co się dookoła dzieje? - spytał. - Kto ma bronić naszych praw, jeśli nie my? Czy mamy czekać, aż nas osłabiają, wdepczą w ziemię i pozostanie nam tylko zrobić to, co George Stratton?

Werner van der Merwe wolno pokręcił głową.

- Przegraliśmy wojnę - odparł. - Jest nas mało, zgodziliśmy się na obecność zbyt wielu Anglików w kraju, który kiedyś należał do nas. Musimy z nimi jakoś koegzystować. Nic innego nie wchodzi w grę. Jest nas za mało. I będziemy w mniejszości, nawet gdyby nasze kobiety zajmowały się wyłącznie rodzeniem dzieci.

- Nie chodzi o liczebność - oburzył się Henning Klopper. - Chodzi o wiarę. O odpowiedzialność.

- Nie tylko - zauważył Werner van der Merwe. - Już rozumiem, co chciałeś nam powiedzieć. Masz rację. Nie musisz mi przypominać, kim jestem. Ale to mrzonki. Rzeczywistość jest inna i twoi sierżanci jej nie zmieniają.

Hans du Pleiss słuchał z uwagą. Położył cygaretkę na popielniczce i spojrzął na Henninga Kloppera.

- Coś ci chodzi po głowie - powiedział. - Co, twoim zdaniem, mamy zrobić? Naśladować rosyjskich komunistów? Uzbroidź się i zaciągnąć do partyzantki? Nie zapominaj, że nie tylko Anglików jest za dużo. Ogromne zagrożenie dla naszego sposobu życia stanowią tubylcy, czarni.

- Oni nigdy nie odegrają żadnej roli - odparł Henning Klopper. - Są od nas tak zależni, że zawsze będą robić, co im

każemy, i myśleć tak, jak nam się spodoba. Przyszłość to walka z wpływami Anglików.

Hans du Pleiss dopił kawę i zawołał na kelnera, który bez ruchu czekał przy drzwiach do kuchni. Nie licząc kilku starszych mężczyzn pochłoniętych partią szachów, byli w kawiarni sami.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - stwierdził Hans du Pleiss. - O czym myślisz?

- Henning Klopper zawsze ma dobre pomysły - wtrącił Werner van der Merwe. - Czy to dotyczy sprawniejszego planowania stacji rządowych Południowoafrykańskiej Spółki Kolejowej, czy adorowania pięknych kobiet.

- Możliwe - odrzekł z uśmiechem Henning Klopper.

Nareszcie miał wrażenie, że przyjaciele zaczęli go słuchać. Choć nie przemyślał wszystkiego do końca, postanowił im powiedzieć, nad czym od dawna się zastanawiał.

Stary kelner podszedł do ich stolika.

- Trzy kieliszki porto - zamówił Hans du Pleiss. - Picie ulubionego wina Anglików napawa mnie wstrętem. Na szczęście produkuje się je w Portugalii.

- Anglicy są właścicielami wielu największych portugalskich destylarni porto - zauważył Werner van der Merwe.

- Przekłete Angole są wszędzie. Wszędzie.

Kelner zaczął zbierać filiżanki po kawie. Kiedy Werner van der Merwe wspomniał o Anglikach, niechcący potrącił stolik. Przewrócił się dzbanuszek i śmietanka obryzgała Wernerowi koszulę.

Przy stoliku zaległa cisza. Werner van der Merwe spojrzął na kelnera, po czym szybko wstał, chwycił go za ucho i brutalnie wytargał.

- Pochlapałeś mi koszulę! - wrzasnął i wymierzył kelnerowi policzek.

Starszy mężczyzna aż się cofnął od silnego ciosu i pospiesznie ruszył do kuchni po porto.

Werner van der Merwe usiadł i osuszył koszulę chusteczką.

- Gdyby nie Anglicy - mruknął - Afryka byłaby rajem. A tubylców mielibyśmy tylu, ilu byśmy potrzebowali.
- Zrobimy z Afryki raj - powiedział Henning Klopper.
- Zostaniemy najważniejszymi ludźmi w kolejnictwie. Będziemy też najważniejszymi Burami. Przypomnimy wszystkim naszym rówieśnikom, czego się od nas oczekuje. Musi my przywrócić naszą dumę. Anglicy muszą zrozumieć, że nigdy się nie poddamy. Nie jesteśmy tacy jak George Stratton, nie będziemy uciekać.

Przerwał, kiedy kelner stawiał na stoliku trzy kieliszki i pół butelki porto.

- Nie prosileś o wybaczenie, *kaffir* - zauważył Werner van der Merwe.
- Przepraszam za swoją niezdarność - odrzekł kelner po angielsku.
- W przyszłości nauczysz się afrikaans - kontynuował Werner van der Merwe. - Każdy *kaffir* mówiący po angielsku stanie przed sądem polowym i będzie rozstrzelany jak pies. Idź już. Wynocha!
- Niech nam zafunduje to porto - zaproponował Hans du Pleiss. - Poplamiał ci koszulę. Gwoli sprawiedliwości powinien zapłacić za wino z własnej kieszeni.

Werner van der Merwe pokiwał głową.

- Zrozumiałeś, *kaffir*?
- Naturalnie zapłacę za wino - powiedział kelner.
- Z radością - dodał Werner van der Merwe.
- Z radością zapłacę za wino - powtórzył kelner. Kiedy zostali sami, Henning Klopper podjął wątek. Zajście z kelnerem poszło w niepamięć.
- Pomyślałem o założeniu związku. Albo klubu. Oczywiście tylko dla Burów. Moglibyśmy dyskutować, lepiej poznać naszą historię. Mówilibyśmy wyłącznie w naszym języku, śpiewalibyśmy nasze piosenki, czytalibyśmy naszych auto

rów, jedli nasze potrawy. Jeśli zaczniemy tutaj, na Kensingtonie w Johannesburgu, może z czasem zarazimy inne miasta, Pretorię, Bloemfontein, King William's Town, Pietermaritzburg, Kapsztad. Cały kraj. Potrzebny jest ruch narodowego przebudzenia. Przypomnienie ludziom, że Burowie nigdy się nie poddadzą, że nikt nie złamie naszego ducha nawet po naszej śmierci. Wydaje mi się, że wiele osób na to czeka.

Wzniesli kieliszki.

- Znakomity pomysł - przyznał Hans du Pleiss. - Mam nadzieję, że znajdziemy trochę czasu na kontakty z pięknymi kobietami.

- Naturalnie - powiedział Henning Klopper. - Wszystko zostanie tak jak dawniej. Dodamy tylko coś, co wyparliśmy. Coś, co nada naszemu życiu całkiem nową treść.

Henning Klopper zauważył, że używa wzniosłych, nieco patetycznych słów. Ale w tej sytuacji było to uzasadnione. Za słowami kryły się wielkie idee, rozstrzygające o przyszłości wszystkich Burów. Dlaczego więc nie miały sobie pozwolić na wzniosłość?

- Czy kobiety też będą w tym związku? - zapytał nie śmiało Werner van der Merwe.

Henning Klopper pokręcił głową.

- To męska sprawa. Nasze kobiety nie będą biegały na spotkania. Nie leży to w naszej tradycji.

Tręcili się kieliszkami. Henning Klopper nagle sobie uświadomił, że przyjaciele zachowują się tak, jakby to oni wpadli na pomysł przywrócenia czegoś, co zostało zaprzepaszczone po przegranej szesnastu lat temu wojnie. Ale się nie zirytował. Przeciwnie, ulżyło mu. To znaczy, że myślał dobrze.

- Nazwa - powiedział Hans du Pleiss - statut, zasady naboru, forma spotkań. Na pewno wszystko zapiąłeś na ostatni guzik.

- Jeszcze na to za wcześnie - odparł Henning Klopper. - Musimy się poważnie zastanowić. Teraz, kiedy czym prędzej trzeba przywrócić Burom wiarę w siebie, powinniśmy zachować cierpliwość. Jeśli zaczniemy działać zbyt szybko, ryzykujemy niepowodzenie. Nie możemy sobie na to pozwolić. Związek młodych Burów rozsierdzi Anglików. Zrobią wszystko, żeby nas powstrzymać, będą nam przeszkadzać i grozić. Musimy się dobrze przygotować. Powiedzmy, że w ciągu trzech miesięcy podejmiemy decyzję. Przez ten czas będziemy o tym rozmawiać. Przecież spotykamy się tutaj codziennie. Możemy zapraszać przyjaciół i posłuchać ich opinii. Ale przede wszystkim musimy sprawdzić samych siebie.

- Czy jesteśmy na to gotowi? Czy jesteśmy gotowi coś poświęcić dla naszego narodu? - Umilkł i wędrował spojrzeniem po twarzach przyjaciół. - Robi się późno. Jestem głodny, chcę pójść do domu i zjeść obiad. Jutro będziemy kontynuować rozmowę.

Hans du Pleiss rozlał resztkę wina do trzech kieliszków i wstał.

- Wypijmy za sierżanta Strattona. Okażmy niezłomność Burów, wznosząc toast na cześć martwego Anglika.

Henning Klopper i Werner van der Merwe wstali z kieliszkami w dłoniach.

W mroku przy kuchennych drzwiach stary Afrykanin obserwował trzech młodych mężczyzn. Miał poczucie krzywdy. Wiedział, że przeminie ono lub utonie w niepamięci, która uśmierza ból. Następnego dnia znowu poda im kawę.

5 czerwca 1918 roku Henning Klopper założył z Hansem du Pleissem, Wernerem van der Merwe i kilkoma innymi przyjaciółmi związek Młoda Afryka Południowa.

Parę lat później, kiedy liczba członków znacznie wzrosła, Henning Klopper zaproponował zmianę nazwy na

Broederbond, czyli Bractwo*[* Afrykanerski Związek Braci (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki)]. Teraz mogli do niego należeć nie tylko mężczyźni poniżej dwudziestego piątego roku życia. Natomiast kobietom nigdy nie zezwolono na członkostwo.

Najważniejsza zmiana dokonała się w sali konferencyjnej hotelu Carlton w Johannesburgu późnym wieczorem 26 sierpnia 1921 roku. Zdecydowano przekształcić Bractwo w związek tajny, wprowadzić ceremonię inicjacyjną i wymagać od członków bezwzględnej lojalności wobec jego najważniejszego celu: obrony Burów, praw narodu wybranego w Afryce Południowej, ich ojczyźnie, w której pewnego dnia będą niepodzielnie panować. Bractwo miało działać w ukryciu.

Trzydzieści lat później wpływy Bractwa objęły niemal całkowicie najważniejsze sfery życia południowoafrykańskiego społeczeństwa. Nikt nie mógł zostać prezydentem, nie będąc jego członkiem lub nie otrzymując jego błogosławieństwa. Bractwo stało za każdą nominacją lub awansem na najwyższe stanowiska w państwie. Księża, sędziowie, profesorzy, właściciele czasopism, biznesmeni - wszyscy mający wpływy i władzę - byli członkami Bractwa, wszyscy ślubowali mu wierność i składali przysięgę milczenia, zobowiązując się do obrony narodu wybranego.

Bez tego związku nigdy nie weszłaby w życie doktryna apartheidu, ogłoszona w roku 1948. Premier Jan Smuts i jego United Party*[* Przymuszczałnie chodzi o Zjednoczoną Południowoafrykańską Partię Narodową.] nie mieli zahamowań. Dzięki wsparciu Bractwa ujęli różnice między tak zwanymi rasami niższymi i białym narodem panów w represyjny system regulacji prawnych i rozporządzeń, które oddawały los Afryki Południowej w ręce Burów. Mógł istnieć tylko jeden naród wybrany. To przesądzało o

wszystkim innym.

W 1968 roku Bractwo obchodziło w największej tajemnicy jubileusz pięćdziesięciolecia działalności. Henning Klopper, jedyny żyjący współzałożyciel związku, wygłosił przemówienie, które zakończył słowami: „Czy naprawdę rozumiemy, czy w pełni sobie uświadamiamy ogrom sił zgromadzonych dzisiaj wieczora w tych czterech ścianach? Pokażcie mi bardziej wpływową organizację od naszej?!”

Pod koniec lat siedemdziesiątych wpływy Bractwa na politykę południowoafrykańską drastycznie się skurczyły. Apartheid, oparty na systematycznym ucisku czarnych i kolorowych, zaczął się kruszyć wskutek własnych niedorzecznych założeń. Biali liberałowie nie chcieli albo nie mogli się już dłużej biernie przyglądać nadciągającej katastrofie.

Ale przede wszystkim mieli tego dosyć czarni i kolorowa większość. Miarka się przebrała. Opór narastał, konfrontacja wydawała się nieunikniona.

W tym czasie inne ugrupowania Burów zaczęły myśleć o przyszłości. Naród wybrany nigdy się nie podda. Prędzej umrą, niż usiądą przy jednym stole z Afrykaninem albo kolorowym. Taki był ich punkt wyjścia. Mimo malejącego znaczenia Bractwa to fanatyczne przesłanie nigdy nie odeszło w niebyt.

W 1990 roku Nelson Mandela opuścił Robben Island, gdzie przesiedział blisko trzydzieści lat jako więzień polityczny. Kiedy świat wiwatował, wielu Burów uznało jego uwolnienie za wypowiedzenie wojny. Prezydent de Klerk stał się zniechęconym zdrajcą.

W najgłębszej tajemnicy zebrała się wówczas grupa mężczyzn, gotowych wziąć na siebie odpowiedzialność za przyszłość Burów. Byli bezwzględni. I przeświadczeni, że to Bóg powierzył im to zadanie. Nigdy się nie poddadzą. Ani

nie pójdą w ślady sierżanta George'a Strattona. Zamierzali bronić swoich świętych praw na wszelkie możliwe sposoby. Na tajnym spotkaniu podjęli decyzję. Wywołają wojnę domową, która skończy się rzezią.

W tym samym roku, w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat, zmarł Henning Klopper. Na kilka lat przed śmiercią często mu się śniło, że jest sierżantem George'em Strattonem.

I za każdym razem, kiedy przykładął lufę pistoletu do skroni, budził się zlany potem. Choć był stary i nie bardzo się przejmował tym, co się dookoła dzieje, zdawał sobie sprawę, że w Afryce Południowej nastały nowe czasy. Zupełnie mu obce. Leżąc w ciemnościach, próbował sobie wyobrazić przyszłość. Ale ciemności były nieprzeniknione. Niekiedy przejmował go niepokój. Jak przez mgłę widział siebie, Hansa du Pleissa i Wenera van der Merwe w małej kawiarni na Kensingtonie i słyszał własne słowa o odpowiedzialności za przyszłość Burów.

Dzisiaj, myślał, też siedzą gdzieś przy stoliku młodzi mężczyźni, młodzi Burowie, i rozmawiają o tym, jak wywalczyć przyszłość dla siebie i jak jej bronić. Naród wybrany nigdy się nie podporządkuje, nigdy się nie podda. Mimo niepokoju, który go czasami opadał nocami w mrocznej sypialni, Henning Klopper zmarł przekonany, że następne pokolenia nie zachowają się tak jak sierżant George Stratton nad Gongqo w kwietniu 1878 roku.

Kobieta z Ystadu

Pośredniczka w handlu nieruchomościami Louise Akerblom wyszła ze Sparbanken*[* Bank Oszczędnościowy.] w Skurupie tuż po trzeciej po południu w piątek 24 kwietnia. Na moment przystanąła na chodniku i głęboko wciągając w płuca świeże powietrze, zastanawiała się, co powinna zrobić. Najchętniej już teraz skończyłaby pracę i wróciła do Ystadu. Rano zadzwoniła do niej pewna wdowa, która chciała wystawić dom na sprzedaż. Louise obiecała, że go dzisiaj obejrzy. Ile czasu jej to zajmie? Około godziny. Nie dłużej. No i musi kupić chleb. Zwykle mąż, Robert, piekł chleb na ich potrzeby, ale akurat w tym tygodniu nie zdążył. Przecięła plac i skręciła w lewo, do piekarni. Kiedy otworzyła drzwi, zabrzmiał staroświecki dzwonek. Była jedyną klientką i kobieta stojąca za ladą, Elsa Person, zapamięta, że Louise Akerblom miała dobry humor i cieszyła się z nadejścia wiosny.

Postanowiła zrobić rodzinie miłą niespodziankę i prócz żytniego chleba kupiła napoleonki, które zjedzą na deser po kolacji. Wróciła pod bank, gdzie na zapleczu zaparkowała samochód. Po drodze spotkała młode małżeństwo z Malmö, któremu właśnie sprzedała dom. Wpłacili pieniądze należne byłemu właścicielowi, podpisali umowę kupna i zaciągnęli pożyczkę. Podzielała ich radość z posiadania własnego domu. Ale jednocześnie się niepokoiła. Czy poradzą sobie ze spłatą rat i odsetek? Czasy były ciężkie, mało kto czuł się bezpiecznie na swojej posadzie. Co się stanie, jeśli on straci pracę? Bardzo dokładnie zapoznała się z ich sytuacją finansową. W odróżnieniu od wielu innych młodych ludzi nie robili bezmyślnych debetów na kontach. Poza tym świeżo upieczona małżonka sprawiała wrażenie osoby oszczędnej. Powinni udźwignąć kupno domu. Choć kto wie, czy za jakiś czas nie okaże się, że znów jest na sprzedaż. Może ona albo Robert się tym zajmie? W ciągu kilku lat

sprzedawała te same domy dwa i trzy razy. Nie było w tym nic niezwykłego.

Wsiadła do samochodu i zadzwoniła z radiotelefonu do biura w Ystadzie. Ale Robert już poszedł do domu. Słuchała jego głosu na automatycznej sekretarce. Informował, że Biuro Pośrednictwa w Obrocie Nieruchomościami Akerblomów w sobotę i w niedzielę jest nieczynne i zaprasza od poniedziałku od ósmej rano.

W pierwszej chwili zdziwiła się, że wyszedł tak wcześnie, po czym sobie przypomniała, że tego popołudnia miał się spotkać z rewidentem. Powiedziała: „No to cześć, rzucę tylko okiem na dom pod Krageholmem i wracam do Ystadu. Jest kwadrans po trzeciej, będę koło piątej” - i odłożyła słuchawkę. Robert mógł jeszcze wpaść do biura po rozmowie z rewidentem.

Wzięła z sąsiedniego fotela plastikową koszulkę i wyjęła mapę, którą sporządziła na podstawie opisu wdowy. Dom stał przy bocznej drodze między Krageholmem i Vollsjö. Dojazd, oględziny i powrót zajmą jej co najmniej godzinę.

Zacząła się wahać. To może poczekać, pomyślała. Pojadę nadbrzeżem do Ystadu, na chwilę się zatrzymam i popatrzę na morze. Dzisiaj już sprzedałam jeden dom. I wystarczy.

Nucąc psalm, uruchomiła silnik i wyjechała ze Skurupu. Kiedy miała skręcać na Trelleborg, zmieniła zdanie. Nie zdąży obejrzeć tego domu ani w poniedziałek, ani we wtorek. Może wdowa się zniechęci i powierzy sprzedaż komu innemu? Nie mogą sobie na to pozwolić. Nie wiodło im się najlepiej. Konkurencja coraz bardziej dawała się we znaki. Nikogo nie było stać na odmowę, chyba że szukanie chętnych na jakiś obiekt miało się z celem.

Westchnęła i skręciła w przeciwną stronę. Nadbrzeżna droga i morze poczekają. Od czasu do czasu zerknęła na mapę. W przyszłym tygodniu kupi uchwyt, żeby nie wykręcać głowy, sprawdzając, czy nie błądzi. Dom wdowy

powinna znaleźć bez trudu, mimo że nigdy obok niego nie przejeżdżała. Za rok ich firmie stuknie dziesięć lat.

Ojej, pomyślała, czas mija tak szybko, za szybko. Zdążyła urodzić dwoje dzieci i ciężko się napracować. Kiedy zaczynali, była dobra koniunktura. Dzisiaj nie mieliby szans zaistnieć na rynku. Powinna odczuwać pewną satysfakcję. Bóg okazał łaskę jej rodzinie. Jeszcze raz porozmawia z Robertem o większych darowiznach na rzecz organizacji charytatywnej Ratujcie Dzieci. Na pewno będzie się wahał, zawsze skrupulatniej niż ona liczył pieniądze, ale w końcu go przekona. Zwykle jej się to udawało.

Zatopiona w myślach o rodzinie i minionych dziesięciu latach przegapiła boczną drogę, gdzie powinna była skręcić, i wcisnęła pedał hamulca. Roześmiała się, pokręciła głową, rozejrzała na wszystkie strony i zawróciła.

Skania jest piękna, pomyślała. Piękna, przestronna i pełna niespodzianek. Równina nagle mogła się zmienić w głęboką nieckę, a leżące tam domostwa w malutkie wysepki. Zawsze się zdumiewała, ilekroć dokonywała oględzin okolicznych posesji lub pokazywała je potencjalnym nabywcom.

Zatrzymała się na poboczu tuż za Erikslundem i spojrzała na mapę. Wszystko w porządku. Skręciła w lewo, na Krageholm. Ucieszyła się, że pomknie tą pofałdowaną i krętą drogą przez las i zobaczy połyskujące w oddali jezioro. Była tutaj nieraz i nigdy nie miała dosyć.

Po siedmiu kilometrach zaczęła się rozglądać za kolejną krzyżówką. Wedle wskazówek wdowy miała tu gdzieś być bita, całkowicie przejezdna gruntowa droga. Zobaczyła ją, przyhamowała i skręciła w prawo. Mniej więcej kilometr dalej, po lewej, powinien być ten dom.

Kiedy przejechała trzy kilometry i droga nagle się skończyła, zrozumiała, że zabłądziła.

Naszła ją pokusa, żeby dać sobie z tym spokój i natychmiast wracać do Ystadu. Odrzuciła jednak tę myśl, dotarła do

główniej drogi i po pięciuset metrach znów skręciła w prawo. Ale i tutaj nie było domu, który odpowiadałby opisowi. Westchnęła, zawróciła i postanowiła kogoś spytać. Za kępą drzew zauważyła jakiś budynek. Zatrzymała się, wyłączyła silnik i wysiadła z samochodu. Owionęło ją świeże powietrze. Ruszyła ku typowej w Skanii, pobielonej wapnem, starej zagrodzie. Z czterech zabudowań zostały dwa. Pośrodku podwórza była studnia z czarną pompą.

Przystanęła z wahaniem. Domostwo sprawiało wrażenie opuszczonego. Może jednak powinna wrócić do Ystadu? Może wdowa nie będzie zła?

Zapukam, pomyślała. Nic mnie to nie kosztuje.

Idąc ku domowi, minęła duży czerwony budynek gospodarczy. Nie mogła się oprzeć, żeby tam nie zajrzeć przez na wpół otwarte drzwi. Zdziwiła się. W środku stały dwa samochody. Choć nie znała się na samochodach, nie miała wątpliwości, że widzi najdroższy model mercedesa i równie cenne bmw.

A więc ktoś jest w domu, pomyślała. Ktoś, kto ma dużo pieniędzy.

Zapukała. Cisza. Zapukała jeszcze raz, mocniej, i znowu nic. Próbowwała coś zobaczyć przez okno, ale bez skutku, bo zasłonki były zaciągnięte. Zapukała po raz trzeci i poszła sprawdzić, czy po drugiej stronie nie ma przypadkiem tylnych drzwi.

Za domem był zapuszczony sad. Jabłoni nikt nie przycinał co najmniej od dwudziestu, trzydziestu lat. Pod gruszą stały na wpół zbutwiałe meble ogrodowe. Sroka zatrzepotała skrzydłami i odfrunęła.

Nie zauważyła żadnych drzwi i wróciła na podwórze. Zapukam jeszcze raz, pomyślała. Jeśli nikt nie otworzy, wracam do Ystadu. Zdążę się jeszcze na chwilę zatrzymać nad morzem.

Załomotała do drzwi.

Nadal żadnej reakcji.

Raczej przeczuła, niż usłyszała, że ktoś pojawił się za jej plecami. Szybko się odwróciła.

Na podwórzu, pięć metrów od niej, stał jakiś mężczyzna i patrzył na nią. Zauważyła szramę na jego czole.

Nagle zrobiło jej się nieswojo. Skąd on się tu wziął? Dlaczego go nie usłyszała? Podwórze było wysypane żwirem. Podkrał się do niej?

Zrobiła kilka kroków w jego stronę.

- Przepraszam za najście - powiedziała, siląc się na spokojny ton. - Jestem pośredniczką w handlu nieruchomościami. Zabłądziłam. Chciałam spytać o drogę.

Mężczyzna milczał.

Może nie jest Szwedem, może jej nie zrozumiał? W jego wyglądzie było coś obcego, co nasunęło jej myśl, że być może to cudzoziemiec.

Musi stąd jak najszybciej odejść. Nieruchomy mężczyzna o zimnych oczach napawał ją strachem.

- Nie będę dłużej przeszkadzać - powiedziała. - Jeszcze raz przepraszam za najście.

Ruszyła i natychmiast zatrzymała się w pół kroku. Mężczyzna nagle się ożywił. Wyjął coś z kieszeni. Nie zauważyła co. Dopiero po chwili zorientowała się, że to pistolet.

Powoli podniósł broń i wycelował w jej głowę.

Dobry Boże, pomyślała.

Dobry Boże, pomóż mi. On chce mnie zabić.

Dobry Boże, pomóż.

Była za kwadrans czwarta 24 kwietnia 1992 roku.

W poniedziałek rano 27 kwietnia komisarz Kurt Wallander przyszedł do komendy wściekły. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był w równie podłym humorze. Złość znalazła nawet wyraz na jego twarzy w postaci plastra na policzku skaleczonym przy goleniu.

Pomrukiem odpowiadał na „dzień dobry” kolegów. Wszedł do swojego pokoju, z hukiem zamknął drzwi, zdjął słuchawkę z widełek i tępo wpatrywał się w okno.

Wallander miał czterdzieści cztery lata. Uchodził za zdolnego policjanta, upartego i niekiedy wielce przenikliwego.

Tego ranka rozsadzała go wściekłość i czuł narastające zniechęcenie. Najchętniej wykreśliłby z pamięci wczorajszy dzień. Przede wszystkim z powodu ojca, który mieszkał samotnie tuż za Lóderupem. Jego stosunek do ojca zawsze był skomplikowany. W miarę upływu lat Wallander z niekłamana przykrością musiał przyznać, że coraz bardziej się do niego upodabnia. Sama myśl, że na starość miałby być taki jak on, przyprawiała go o mdłości. Czy będzie równie opryskliwy i nieobliczalny? Czy ni stąd, ni zowąd będzie miał napady szaleństwa?

W niedzielę po południu jak zwykle złożył mu wizytę. Grali w karty, a potem pili kawę na werandzie. Nagle ojciec go poinformował, że zamierza się ożenić. W pierwszej chwili Wallander pomyślał, że się przesłyszał.

- Nie - odparł. - Nie zamierzam się żenić.

- Nie mówię o tobie - stwierdził ojciec. - Mówię o sobie.

Wallander spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Niedługo skończysz osiemdziesiąt lat. Nie ożenisz się.

- Jeszcze nie umarłem - przerwał mu ojciec. - Zrobię, co zechcę. Zapytaj z kim.

- Z kim?

- Sam powinieneś się tego domyślić. Wydawało mi się, że

policjantom płacą za wyciąganie wniosków.

- Nie znasz żadnych rówieśnic. Z nikim się nie spotykasz.

- Jedną znam. A kto powiedział, że trzeba się żenić z rówieśnicami?

Wallander od razu się zorientował, że istnieje tylko jedna odpowiedź. Pięćdziesięcioletnia Gertruda Andersson, która przychodziła do ojca trzy razy w tygodniu, żeby posprzątać i zrobić pranie.

- Chcesz się ożenić z Gertrudą? - zdziwił się. - Czy ty w ogóle spytałeś ją o zdanie? Między wami jest trzydzieści lat różnicy. Jak zniesiesz obecność drugiej osoby? Nigdy ci się to nie udawało. Nawet z mamą.

- Na stare lata złagodniałem - ciepło zauważył ojciec.

Wallander nie mógł w to uwierzyć. Ojciec się żeni? Złagodniał na stare lata? Akurat! Był bardziej nieznośny niż kiedykolwiek.

Potem się pokłócili. W końcu ojciec cisnął filiżankę w rabatkę tulipanów i zamknął się w atelier, gdzie zwykle malował ten sam powtarzający się motyw: jesienny pejzaż o zachodzie słońca, z głuszcem na pierwszym planie albo bez głuszca, zależnie od gustu zamawiającego.

Wallander pojechał do domu. Prowadził zdecydowanie za szybko. Nie dopuści do tego szalonego przedsięwzięcia. Jak to możliwe, żeby Gertruda Andersson, która od roku pracowała u ojca, nie zdawała sobie sprawy, że życie z kimś takim jest nie do wytrzymania?

Zaparkował na Mariagatan, w śródmieściu Ystadu, i postanowił natychmiast zadzwonić do siostry Kristiny do Sztokholmu. Poprosi ją, żeby przyjechała. Nikt nie miał wpływu na ojca, ale może Gertrudzie Andersson uda się przemówić mu do rozsądku.

Nie zadzwonił do siostry. Ktoś włamał się do jego mieszkania. Po paru minutach stwierdził, że złodzieje zabrali nową wieżę, odtwarzacz płyt kompaktowych,

wszystkie płyty, telewizor, magnetowid, zegarki i aparat fotograficzny. Przez dłuższą chwilę siedział na krześle jak sparaliżowany i zastanawiał się, co robić. W końcu wybrał numer do komendy i poprosił o połączenie z inspektorem Martinssonem. Wiedział, że jest na służbie.

Długo czekał, aż Martinsson się odezwie. Pewnie popijał kawę z policjantami, którzy mieli przerwę w szeroko zakrojonej podczas weekendów kontroli drogowej.

- Tu Martinsson. O co chodzi?

- To ja. Byłoby dobrze, gdybyś tu przyszedł.

- Gdzie? Do twojego pokoju? Myślałem, że masz dzisiaj wolne.

- Jestem w domu.

Martinsson najwyraźniej uznał, że to ważne. Nie zadał żadnych dodatkowych pytań.

- Dobrze. Już jadę.

Reszta niedzieli minęła na technicznych oględzinach mieszkania i sporządzeniu raportu. Martinsson, młodszy współpracownik Wallandera, bywał niechlujny i impulsywny. Ale Wallander cenił kolegę za niezwykłą przenikliwość, którą czasami przejawiał. Po wyjściu Martinssona i technika policyjnego Wallander prowizorycznie naprawił drzwi.

Większą część nocy przeleżał, nie śpiąc, i myślał, że jeśli tylko dorwie tych złodziei, zetrze ich na miazgę. Kiedy nie miał już siły dłużej się zadreć za utratą płyt, zastanawiał się z coraz większą rezygnacją, co począć z ojcem.

O świcie wstał, zaparzył kawę i odszukał umowę ubezpieczenia mieszkania. Zirytował go niezrozumiały język, odłożył polisę i zaczął się golić. Kiedy się zaciął, pomyślał, czyby nie pójść na chorobowe i nie przeleżeć w łóżku z koldrą na głowie. Ale pobyt w domu, w którym nie mógł nastawić żadnej płyty, wydawał się nie do zniesienia.

Teraz było wpół do ósmej. Siedział w swoim pokoju za

zamkniętymi drzwiami. Pojękując, zmusił się do pracy i położył słuchawkę na widelki. Natychmiast rozbrzmiał dzwonek telefonu.

- Przykro mi z powodu włamania - powiedziała Ebba z recepcji. - Czy naprawdę zabrali ci wszystkie płyty?

- Zostawili kilka na siedemdziesiąt osiem obrotów. Posłucham ich dzisiaj wieczorem, jeśli zdobędę patefon.

- To okropne.

- Jest, jak jest. Z czym dzwonisz?

- Ktoś chce z tobą koniecznie porozmawiać.

- O czym?

- O czymś zaginięciu.

Wallander spojrział na stertę papierów piętrzących się na biurku.

- A Svedberg nie może się tym zająć?

- Svedberg poluje.

- Na co?

- Nie wiem, jak to nazwać. Szuka młodego byczka, który uciekł z zagrody pod Marsvinsholmem. Biega po E14.

- A od czego są policjanci z drogówki? Co to za podział obowiązków?!

- Bjórk go wysłał.

- O Jezu!

- To co, mogę wpuścić do ciebie tego człowieka, który chce zgłosić zaginięcie?

Wallander skinął głową do słuchawki.

- Wpuść.

Pukanie, które rozległo się kilka minut później, było tak dyskretne, że Wallander miał wątpliwości, czy się nie przesłyszał. Ale ledwie zawołał „proszę!”, drzwi natychmiast się otworzyły.

Wallander zawsze uważał, że najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Mężczyzna, który wszedł do jego pokoju, niczym się nie wyróżniał. Wallander dawał mu trzydzieści pięć lat.

Był w granatowym garniturze, miał jasne krótkie włosy i nosił okulary.

Od razu dostrzegł coś jeszcze. Mężczyzna był wyraźnie niespokojny. Zdaje się, że nie tylko on miał za sobą nieprzespaną noc.

Wstał i wyciągnął rękę.

- Inspektor Kurt Wallander.

- Robert Akerblom - przedstawił się mężczyzna. - Zaginęła moja żona.

Wallandera zaskoczyła taka rzeczowość.

- Zaczniemy od początku - powiedział. - Proszę siadać. Krzesło jest, niestety, popsute. Czasami odpada lewa poręcz. Nie ma się czym przejmować.

Mężczyzna usiadł i nagle się rozplakał. Przejmująco, rozpaczliwie.

Wallander zastygł w bezruchu. Postanowił poczekać.

Po kilku minutach mężczyzna się uspokoił, otarł łzy i wysiąkał nos.

- Przepraszam. Louise coś się musiało stać. Nigdy by dobrowolnie nie zniknęła.

- Napije się pan kawy? - spytał Wallander. - Może uda się zorganizować jakieś ciastka.

- Nie, dziękuję.

Wallander skinął głową i wyjął z szuflady notes. Używał zwykłych kołnotatników, które kupował w księgarni za własne pieniądze. Nie nauczył się korzystać z całej masy formularzy rozsyłanych po kraju przez Główny Zarząd Policji. Kiedyś zamierzał skrobnąć kilka słów do „Szwedzkiej Policji” i zaproponować autorom formularzy, żeby od razu wpisywali odpowiedzi.

- Na początek poproszę o pana dane personalne - powiedział.

- Nazywam się Robert Akerblom - powtórzył mężczyzna. - Wspólnie z żoną Louise prowadzę Biuro Pośrednictwa w

Obrocie Nieruchomościami.

Wallander notował, kiwając głową. Biuro mieściło się tuż obok kina Saga.

- Mamy dwie córki - kontynuował Robert Akerblom - cztero-
- i siedmioletnią. Mieszkamy w bliźniaku na Akarvagen
dziewiętnaście. Ja jestem stąd, żona pochodzi z Ronneby.

Przerwał, z wewnętrznej kieszonki marynarki wyjął zdjęcie i
położył na biurku. Przedstawiało kobietę o dość pospolitym
wyglądzie. Uśmiechała się do fotografa. Wallander
zorientował się, że zostało zrobione w atelier. Patrząc na jej
twarz, pomyślał, że Louise i Robert pasowali do siebie.

- To zdjęcie sprzed trzech miesięcy - wyjaśnił Robert
Akerblom. - Dokładnie tak wygląda.

- I zaginęła?

- Tak. W piątek była w Sparbanken w Skurupie, finalizowała
transakcję, a potem miała obejrzeć nieruchomość
wystawioną na sprzedaż. Ja spędziłem popołudnie z naszym
rewidentem w jego biurze. Zanim pojechałem do domu,
wróciłem do firmy. Na automatycznej sekretarce żona
zostawiła wiadomość, że będzie około piątej. Powiedziała, że
dzwoni kwadrans po trzeciej. Od tamtej pory nie dała znaku
życia.

Wallander zmarszczył czoło. Jest poniedziałek. Nie
pokazała się od trzech dni. Trzy dni bez kontaktu z dwójką
małych dzieci.

Instynkt mu podpowiadał, że to nie jest zwykłe zaginięcie.
Wiedział, że większość zaginionych prędzej czy później
wraca i że wszystko z czasem zyskuje naturalne
wy tłumaczenie. Nierzadko po prostu zapominali
poinformować bliskich, że wyjeżdżają na kilka dni albo
tydzień. Wiedział również, że stosunkowo niewiele kobiet
zostawia swoje dzieci. I to go zaniepokoiło.

Poczytał zapiski w kołonoratniku.

- Czy zachował pan wiadomość na automatycznej

sekretarce?

- Tak - odparł Robert Akerblom. - Ale nie pomyślałem o tym, żeby wziąć taśmę.

- Później się tym zajmiemy. Czy wiadomo, skąd dzwoniła?

- Z radiotelefonu.

Wallander odłożył długopis i przyglądał się mężczyźnie.

Jego niepokój wydawał się całkowicie szczery.

- Nie potrafi pan wyjaśnić nieobecności żony?

- Nie.

- Czy nie mogła wybrać się w odwiedzin do przyjaciół?

- Nie.

- Do krewnych?

- Nie.

- Nie widzi pan jakiejś innej możliwości?

- Nie.

- Mam nadzieję, że się pan nie obrazi, jeśli zadam osobiste pytanie.

- Nigdy się nie kłóciliśmy. O to panu chodziło? Wallander pokiwał głową.

- Tak. Mówi pan, że nie ma żony od piątku po południu. Ale czekał pan ze zgłoszeniem zaginięcia trzy dni.

- Nie miałem odwagi - przyznał Robert Akerblom. Wallander popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Pójście na policję znaczyłoby tyle, co pogodzenie się z tym, że stało się coś strasznego - wyjaśnił Robert Akerblom. - Dlatego nie miałem odwagi.

Wallander wolno skinął głową. Świetnie go rozumiał.

- Zakładam, że pan jej szukał. Robert Akerblom przytaknął.

- Co jeszcze pan zrobił? - spytał Wallander, notując.

- Modliłem się do Boga - całkiem zwyczajnie odparł Robert Akerblom.

Wallander przerwał pisanie.

- Modlił się pan do Boga?

- Jesteśmy metodystami. Wczoraj modliliśmy się razem z

pastorem Turesonem, żeby Louise nie spotkało nic złego. Wallander poczuł kamień w żołądku. Próbował ukryć niepokój.

Matka dwójki dzieci, która należy do Kościoła niezależnego, nie znika ot tak, pomyślał. Chyba że doznała nagłego zamroczenia umysłu. Albo pogrążyła się w religijnej kontemplacji. Matka dwójki dzieci nie idzie do lasu, żeby się powiesić. Owszem, to się zdarza, ale bardzo rzadko.

Wallander wiedział, co to znaczy. Louise Akerblom uległa nieszczęśliwemu wypadkowi lub padła ofiarą przestępstwa.

- Naturalnie brał pan pod uwagę nieszczęśliwy wypadek?

%>

- Obdzwoniłem wszystkie szpitale w Skanii - odpowiedział Robert Akerblom. - Nigdzie jej nie ma. Poza tym powinni dać znać, gdyby coś się stało. Louise zawsze nosi przy sobie dowód osobisty.

- Czym jeździ?

- Granatową toyotą corollą, rocznik dziewięćdziesiąty. Numer rejestracyjny MHL449.

Wallander zapisał, po czym szczegółowo wypytał Roberta Akerbloma o zajęcia żony w piątek 24 kwietnia. Przystudiowali mapy.

Miał coraz gorsze przeczucia. Na Boga, pomyślał, oby to nie było zabójstwo. Wszystko, tylko nie to.

Za kwadrans jedenasta Wallander odłożył długopis.

- Nie ma powodu nie wierzyć, że Louise się odnajdzie - powiedział z nadzieją, że w jego głosie nie słychać wahania.

- Ale, naturalnie, potraktujemy pana zgłoszenie z całką włą powagą.

Robert Akerblom zgarbił się. Wallander obawiał się, że znowu zacznie płakać. Nagle zrobiło mu się go ogromnie żal. Chciał go pocieszyć, ale jak mógłby to zrobić, nie ujawniając jednocześnie swoich obaw.

Wstał.

- Odsłucham wiadomość na automatycznej sekretarce, a potem pojedę do banku w Skurupie. Czy ma pan kogoś do pomocy przy dziewczynkach?

- Nie potrzebuję pomocy - odparł Robert Akerblom.

- Sam sobie poradzę. Jak pan myśli, co się stało Louise?

- Na razie myślę tylko tyle, że niedługo będzie w domu. Kłamię. Wcale tak nie myślę. Mam taką nadzieję. Wallander pojechał za Robertem Akerblomem. Jak tylko odsłucha wiadomość i przejrzy biurko Louise, wróci do komendy i porozmawia z Bjórkiem. Mimo że obowiązywały ich określone procedury poszukiwania osób zaginionych, chcieliby mieć natychmiast do dyspozycji wszelkie możliwe środki. Za zniknięciem Louise Akerblom mogła kryć się zbrodnia.

Biuro Pośrednictwa w Obrocie Nieruchomościami Akerblomów mieściło się w lokalu dawnego sklepu spożywczego. Wallander pamiętał ten sklep z pierwszych lat swojej bytności w Ystadzie, dokąd jako młody policjant przeniósł się z Malmö. Teraz były tutaj dwa biurka, gabloty ze zdjęciami nieruchomości, stół i krzesła. Na stole leżały teczki ze szczegółowymi informacjami, które mogli zgłębiać zainteresowani kupnem. Na ścianie wisały dwie mapy sztabowe, upstrzone różnokolorowymi szpilkami. Na zapleczu znajdowało się małe pomieszczenie kuchenne.

Weszli od podwórza. Wallander zdołał dostrzec na drzwiach od ulicy przyklejoną skoczem kartkę: „Dzisiaj biuro nieczynne”.

- Które biurko jest pańskie? - zapytał.

Robert Akerblom wskazał je ręką. Wallander usiadł przy drugim. Na blacie był kalendarz, zdjęcia córek, kilka teczek i stojak na długopisy. Miał wrażenie, że ktoś niedawno robił porządki.

- Kto tu sprząta?

- Trzy razy w tygodniu przychodzi sprzątaczką - odparł

Robert Akerblom. - Ale codziennie sami odkurzamy i opróżniamy kosze na śmieci.

Wallander pokiwał głową i zaczął się rozglądać po lokalu. Wyróżniał go tylko niewielki krucyfiks na ścianie przy drzwiach do kuchni.

Wskazał na automatyczną sekretarkę.

- Od razu będzie ta wiadomość - powiedział Robert Akerblom. - W piątek po trzeciej nikt więcej się nie nagrał.

Pierwsze wrażenie, pomyślał Wallander. Słuchaj uważnie.

„No to cześć, rzucę tylko okiem na dom pod Krageholmem i wracam do Ystadu. Jest kwadrans po trzeciej, będę koło piątej”.

Zadowolona. Ożywiona i zadowolona. W jej głosie nie ma poczucia zagrożenia ani lęku.

- Jeszcze raz - poprosił. - Ale przedtem chciałbym posłuchać zapowiedzi.

Robert Akerblom cofnął taśmę.

„Witamy w Biurze Pośrednictwa w Obrocie Nieruchomościami Akerblomów. Chwilowo jesteśmy nieobecni z powodów służbowych. Zapraszamy jak zwykle w poniedziałek od godziny ósmej rano. Po sygnale można nagrać wiadomość lub wysłać faks. Dziękujemy za telefon i polecamy się łaskawej pamięci”.

Wallander słyszał w głosie Roberta Akerbloma pewien wysiłek. Jakby czuł się nieswojo, mówiąc do mikrofonu sekretarki.

Potem znów odsłuchiwał wiadomość od Louise, próbując się doszukać czegoś między wierszami. Nie miał pojęcia, co by to mogło być. Ale szukał. Po dziesiątym razie skinął na Roberta Akerbloma. Wystarczy.

- Wezmę to nagranie. W komendzie podrasujemy poziom dźwięku.

Robert Akerblom dał mu kasetę.

- Chciałbym pana o coś poprosić - powiedział Wallander. -

W tym czasie, kiedy będę przeglądał szuflady biurka pańskiej żony, proszę spisać plan jej zajęć w piątek. Z kim i gdzie miała się spotkać, któredy mogła jechać, w jakich godzinach i który dom zamierzała obejrzeć w okolicach Krageholmu.

- Nic nie wiem o tym domu - odparł Robert Akerblom. Wallander spojrział na niego pytająco.

- Louise odebrała telefon od właścicielki, narysowała mapkę i zabrała ją ze sobą - wyjaśnił Robert Akerblom. - Dzisiaj miała wpisać wszystkie dane. Gdybyśmy przyjęli ofertę pośrednictwa, jedno z nas pojechałoby tam, żeby zrobić zdjęcia.

Wallander zastanawiał się przez chwilę.

- Inaczej mówiąc, tylko Louise wie, gdzie jest ten dom. Robert Akerblom skinął głową.

- Kiedy właścicielka miała zadzwonić ponownie? - spytał Wallander.

- Dzisiaj. Dlatego Louise chciała go obejrzeć w piątek.

- Powinien pan tu być, kiedy się odezwie. To ważne. Proszę powiedzieć, że żona widziała dom, ale niestety dzisiaj nie ma jej w pracy, ponieważ się rozchorowała. Niech pan zapyta, jak tam dojechać, i niech pan zapisze numer telefonu. Potem proszę się natychmiast ze mną skontaktować.

Robert Akerblom pokiwał głową i zabrał się do sporządzania rozkładu zajęć Louise.

Wallander wysuwał kolejno szuflady biurka. Nie znalazł nic godnego uwagi. Ani jedna szuflada nie sprawiała wrażenia nienaturalnie pustej. Podniósł zieloną podkładkę na blacie. Leżał tam przepis na kotlety mielone, wyrwany z jakiegoś czasopisma. Potem przyjrzał się fotografii córek.

Wstał i poszedł do kuchenki. Jedną ścianę zdobił kalendarz i makatka z cytatem z Biblii. Na półce stał nienapoczęty słoik kawy i różne gatunki herbaty. Otworzył lodówkę. Litr

mleka i kostka margaryny.

Pomyślał o Louise. Jej głos brzmiał pewnie. Musiała mówić ze stojącego samochodu. Gdyby prowadziła, dałoby się wyczuć podzielność uwagi. Później, w komendzie, okaże się, że miał rację. Poza tym należała do osób ostrożnych i przestrzegających prawa, które nie ryzykują ani swojego, ani cudzego życia, rozmawiając przez telefon podczas jazdy. Jeśli zgadza się czas i miejsce, Louise jest w Skurupie. Załatwiła formalności w banku i wybiera się do Krageholmu. Ale najpierw dzwoni do męża. Cieszy się z udanej transakcji. Jest piątek po południu, koniec pracy, pogoda dopisuje. Ma powody do zadowolenia.

Znów usiadł przy biurku i zaczął przeglądać kalendarz. Robert Akerblom wręczył mu rozkład zajęć.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział Wallander. - To ważne. Jakiego usposobienia jest pańska żona?

Pilnował się, żeby używać czasu teraźniejszego, jakby nic się nie stało. Ale myślał o Louise w czasie przeszłym.

- Wszyscy ją lubią - odparł Robert Akerblom. - Jest pogodna, często się śmieje, szybko nawiązuje kontakty z ludźmi. Nie przepada za prowadzeniem interesów. Sprawy finansowe i skomplikowane negocjacje zostawia mnie. Łatwo się wzrusza. Jest wrażliwa na cudze cierpienie.

- Czy ma jakieś cechy szczególne?

- Szczególne?

- Każdy ma swoje dziwactwa.

- Niczego takiego nie zauważyłem - przyznał po namyśle Robert Akerblom.

Wallander skinął głową i wstał. Była za kwadrans dwunasta. Chciał porozmawiać z Björkiem przed lunchem.

- Odezwę się dzisiaj po południu - powiedział. - Proszę się nie zamartwiać. Może pan sobie przypomni coś ważnego, o czym powinienem wiedzieć.

- Co się stało? - spytał Robert Akerblom, ściskając

Wallanderowi dłoń na pożegnanie.

- Przypuszczalnie nic. Wszystko się na pewno wyjaśni.

Wallander złapał Bjórka w ostatniej chwili. Właśnie wybierał się do domu na lunch. Jak zwykle wydawał się zagoniony. Wallander wyobrażał sobie, że funkcja komendanta to nic godnego pozazdroszczenia.

- Przykro mi z powodu tego włamania - powiedział Bjórk, przybierając współczujący wyraz twarzy. - Oby nie napisali o tym w gazetach. Włamanie do mieszkania inspektora policji. Nie wyglądałoby to najlepiej. Mamy kiepską wykrywalność. Szwedzka policja plasuje się na dalekim miejscu w światowej statystyce.

- Jest, jak jest. Muszę z tobą porozmawiać. Stali na korytarzu przed gabinetem Bjórka.

- To pilne - dodał.

Bjórk kiwnął głową i weszli do gabinetu. Wallander wyjaśnił, o co chodzi. Dokładnie zrelacjonował przebieg spotkania z Robertem Akerblomem.

- Religijna matka dwójki dzieci - skwitował Bjórk. - Nie ma jej od piątku. Niedobrze.

- Otóż to. Niedobrze.

Bjórk przygląda! mu się z uwagą.

- Podejrzewasz zabójstwo? Wallander wzruszył ramionami.

- Nie wiem, co o tym myśleć. W każdym razie jestem pewien, że to nie jest zwykłe zaginięcie. Dlatego powinniśmy od razu przystąpić do działania, pomijając rutynowe procedury, jakie stosujemy w takich wypadkach.

Bjórk skinął głową.

- Zgadzam się. Kogo chcesz do pomocy? Nie zapominaj, że brakuje nam ludzi. Hanssonowi udało się złamać nogę w najmniej odpowiednim momencie.

- Martinssona i Svedberga. A propos, czy Svedberg dopadł tego byczka, który hasał po E14?

- Jakiś chłop złapał go na łące - ponuro odparł Bjórk.

- Svedberg ześlizgnął się do rowu i skręcił nogę w kostce. Ale jest na chodzie.

Wallander wstał.

- Jadę do Skurupu - powiedział. - Spotkajmy się o wpół do piątej, żeby zebrać do kupy wszystkie informacje. Ale już teraz musimy wszcząć poszukiwania jej samochodu.

Położył kartkę na biurku Bjórka.

- Toyota corolla - przeczytał Bjórk. - Zajmę się tym.

Wallander ruszył do Skurupu. Ponieważ potrzebował trochę czasu na przemyślenie sprawy, powoli sunął nadbrzeżną szosą.

Zerwał się wiatr. Po niebie przetaczały się postrzępione chmury. Do portu wpływał prom z Polski.

W Mossby Strandzie zatrzymał się na opustoszałym parkingu przed zamkniętym na głucho kioskiem. Siedział w samochodzie i myślał o pontonie, który w ubiegłym roku właśnie tutaj dopłynął do brzegu z dwoma martwymi mężczyznami, i o poznanej w Rydze kobiecie, Bajbie Liepie, o której - mimo szczyrych chęci - nie udało mu się zapomnieć.

Najmniej ze wszystkiego życzyłby sobie teraz zabójstwa kobiety.

Najbardziej życzyłby sobie spokoju.

Pomyślał o planach matrymonialnych ojca. I o włamaniu, i o muzyce, której został pozbawiony. Czuł się tak, jakby mu ktoś odebrał ważną część jego życia.

Pomyślał o córce, Lindzie, studiującej wieczorowo w Sztokholmie, z którą - tak mu się przynajmniej wydawało - zaczynał tracić kontakt.

Za dużo rzeczy miał na głowie.

Wysiadł z samochodu, zaciągnął suwak kurtki i zszedł na brzeg. Było chłodno. Marzał.

Odtworzył w myślach przebieg rozmowy z Robertem Akerblomem. Rozważał różne hipotezy. Czy mimo wszystko

mogło istnieć jakieś naturalne wyjaśnienie? Czy Louise mogła popełnić samobójstwo? Przypomniawszy sobie jej głos. Jej zapach.

Tuż przed pierwszą Kurt Wallander wsiadł do samochodu i pojechał do Skurupu.

Wyciągnął tylko jeden wniosek.

Był przekonany, że Louise Akerblom nie żyje.

Kurt Wallander miał stale powracający sen na jawie, który przypuszczalnie dzielił z wieloma ludźmi. Śnił, że dokonuje genialnego napadu na bank, czym wprawia w zdumienie cały świat. Snowi towarzyszyła ciekawość, ile pieniędzy zwykło się przechowywać w średniej wielkości banku. Mniej, niż się sądzi, ale i tak aż nadto? Nie wiedział dokładnie, jak by to zrobił, w każdym razie nie przestawał o tym myśleć.

Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał, zdjęty wyrzutami sumienia.

Był pewien, że nie odnajdą Louise Akerblom żywej. Nie dysponował żadnymi dowodami, nie znał miejsca zbrodni. Nie miał absolutnie nic, a mimo to wiedział, że się nie myli.

Raz po raz stawała mu przed oczami fotografia córek.

Jak wytłumaczyć coś, czego wytłumaczyć się nie da? Czy Robert Akerblom nadal będzie się modlił do swojego Boga, który tak okrutnie zawiódł i jego, i jego dzieci?

Krążył po banku w Skurupie, czekając, aż urzędnik asystujący Louise Akerblom przy transakcji w piątkowe popołudnie wróci od dentysty. Piętnaście minut wcześniej rozmawiał z dyrektorem, Gustavem Halldenem, którego miał okazję kiedyś poznać. Powiedział mu, że potrzebuje informacji w związku z zaginięciem pewnej kobiety, i poprosił o dyskrecję.

- Nie wiemy na pewno, czy stało się coś poważnego - wyjaśnił.

- Rozumiem - odparł Hallden. - To tylko przypuszczenia. Wallander skinął głową. Tak właśnie było. Ale gdzie jest granica między wiedzą a przypuszczeniami? Jego rozmyślania przerwał czyjś głos.

- Chciał się pan ze mną spotkać - powiedział niezbyt wyraźnie mężczyzna stojący za jego plecami.

Wallander odwrócił się.

- Główny księgowy Moberg?

Mężczyzna skinął głową. Jak na głównego księgowego, wydawał się zaskakująco młody. Ale nie tylko jego wiek przyciągnął uwagę Wallandera. Policzek mężczyzny był mocno spuchnięty.

- Nie bardzo mogę mówić - wymamrotał Moberg. Wallander nic nie zrozumiał.

- Poczekajmy - kontynuował Moberg - aż przestanie działać znieczulenie.

- Niestety, mam bardzo mało czasu. Chyba że mówienie sprawia panu ból.

Moberg pokręcił głową i zaprowadził Wallandera do niewielkiej salki w głębi banku.

- Tutaj to załatwialiśmy - poinformował Moberg. - Siedzi pan na tym samym miejscu co Louise Akerblom. Wiem od Halldena, że to o niej chce pan porozmawiać. Zaginęła?

- Przyjęliśmy zgłoszenie o jej zaginięciu. Prawdopodobnie pojechała odwiedzić krewnych i zapomniała o tym po wiedzieć domownikom.

Wyczytał ze spuchniętej twarzy Moberga, że potraktował jego wyjaśnienie dość sceptycznie. Jasne, pomyślał. Zaginiony to zaginiony. Nie można zaginać w połowie.

- Co chciałby pan wiedzieć? - zapytał Moberg i napił się wody, której sobie nalał z karafki stojącej na stole.

- Co się wydarzyło w piątek po południu. Ze szczegółami. Czas, co Louise Akerblom mówiła, jak się zachowywała, kto kupił ten dom, kto go sprzedał. Czy znał ją pan wcześniej?

- Spotkaliśmy się cztery razy w związku z transakcjami kupna-sprzedaży nieruchomości.

- Proszę opowiedzieć o piątku.

Moberg wyjął kalendarzyk z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Byliśmy umówieni kwadrans po drugiej. Louise przyszła kilka minut wcześniej. Zamieniliśmy parę słów o pogodzie.

- Czy sprawiała wrażenie spiętej albo zdenerwowanej?
- Nie - odparł po namyśle Moberg. - Przeciwnie. Wyglądała na zadowoloną. Przedtem odbierałem ją jako osobę dosyć chłodną. Ale w piątek było inaczej.

Wallander skinieniem głowy zachęcił go, żeby kontynuował.

- Przyszli nabywcy, młode małżeństwo Nilsonów, pełnomocnik spadkobierców majątku po zmarłym, i dopełniliśmy formalności proceduralnych. Wszystkie dokumenty były w należyтым porządku, wpis hipoteczny, wpis do księgi wieczystej, kwity pożyczkowe, czek bankowy. Szybko się z tym uporaliśmy. Przed rozstaniem chyba życzyliśmy sobie nawzajem miłego weekendu. Ale nie jestem tego pewien.

- Czy Louise Akerblom gdzieś się spieszyła? - spytał Wallander.

- To możliwe... Ale głowy nie dam. Wiem natomiast, że nie od razu odjechała. - Wskazał okno wychodzące na niewielki parking. - Zauważyłem, że tutaj zostawiła samochód, ale wsiadła do niego dopiero w piętnaście minut po wyjściu z banku. Rozmawiałem akurat przez telefon i wszystko widziałem. Wydaje mi się, że prócz aktówki miała jakąś torbę.

- Jak wyglądała ta torba?

Moberg wzruszył ramionami. Znieczulenie zaczęło mijać.

- Jak może wyglądać torba? Chyba była papierowa, nie plastikowa.

- I potem odjechała?

- Najpierw do kogoś zadzwoniła z radiotelefonu.

Do męża, pomyślał Wallander. Na razie wszystko się zgadza.

- Było po trzeciej - podjął Moberg. - O wpół do czwartej miałem następne spotkanie, do którego musiałem się przygotować. Moja rozmowa telefoniczna przeciągała się.

- Widział pan, jak odjeżdża?

- Nie, w tym czasie byłem już w swoim biurze.
- Więc po raz ostatni widział ją pan rozmawiającą przez radiotelefon?

Moberg skinął głową.

- Jaki miała samochód?

- Słabo się znam na markach. W każdym razie był czarny. Albo granatowy.

Wallander zamknął kołnotatnik.

- Gdyby pan sobie jeszcze coś przypomniał, proszę się natychmiast z nami skontaktować. Wszystko może być ważne.

Dostał namiary uczestników transakcji, opuścił bank i zatrzymał się na placu. Papierowa torba. Przypomniał sobie, że na ulicy równoległej do torów kolejowych jest cukiernia. Przeciął plac i skręcił w prawo.

Dziewczyna stojąca za ladą pracowała w ostatni piątek. Nie rozpoznała Louise Akerblom z fotografii, którą jej pokazał.

- Niedaleko jest piekarnia - powiedziała.

- Gdzie?

Okazało się, że piekarnia leży w tej samej odległości od banku co cukiernia, tyle że po lewej od placu. Podziękował i wyszedł.

W piekarni starsza kobieta spytała, czego sobie życzy. Wyjął zdjęcie i przedstawił się.

- Chciałbym się dowiedzieć, czy pani poznaje tę kobietę. Niewykluczone, że była tutaj w piątek tuż po trzeciej.

Kobieta włożyła okulary i dokładnie studiowała fotografię.

- Czy coś się stało? - zainteresowała się. - Kto to jest?

- Proszę mi tylko powiedzieć, czy pani ją rozpoznaje. Kobieta skinęła głową.

- Wydaje mi się, że kupiła kilka ciastek. Tak, z całą pewnością. Kupiła napoleonki. I chleb.

- Ile napoleonek? - spytał po namyśle.

- Cztery. Pamiętam, bo chciałam je włożyć do kartonu, ale

powiedziała, że wystarczy torebka. Spieszyła się.

- Czy zauważyła pani, dokąd poszła po wyjściu z piekarni?

- Nie. Musiałam się zająć innymi klientami.

- Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła.

- Co się stało?

- Nic - odparł Wallander. - To jedynie rutynowe pytania.

Wyszedł ze sklepu i ruszył na tył banku, gdzie Louise Akerblom zaparkowała samochód. Tutaj ślad się urywa, pomyślał. Nagrywa wiadomość na automatyczną sekretarkę i jedzie obejrzeć dom, którego lokalizacji jeszcze nie znamy. Jest w dobrym humorze, kupiła ciastka i wróci około piątej. Spojrzał na zegarek. Za trzy trzecia. Louise Akerblom była w tym miejscu trzy dni temu.

Wallander poszedł do samochodu, który postawił przed bankiem, wsiadł, włączył kasetę, jedną z niewielu, które mu zostały po włamaniu, i próbował dokonać podsumowania. Słuchając Placida Dominga, pomyślał, że każdy z członków rodziny Akerblomów miał dostać po napoleonce. Ciekawe, czy modlą się także przed deserem. Zastanawiał się, jakie to uczucie wierzyć w Boga. W związku z tym nasunął mu się pewien pomysł. Musi odbyć jeszcze jedną rozmowę. Powinien zdążyć przed odprawą w komendzie.

Co powiedział Robert Akerblom?

Pastor Tureson?

Wallander zapalił silnik i pojechał w kierunku Ystadu. Na E14 przekroczył dozwoloną prędkość. Zadzwoił do Ebby i poprosił ją, żeby się skontaktowała z pastorem Turesonem i poinformowała, że inspektor Wallander chce się z nim bezzwłocznie widzieć. Kiedy dojeżdżał do Ystadu, Ebba oddzwoniła. Pastor Tureson jest w kościele metodystów i chętnie się z nim spotka.

- Chyba nic ci się nie stanie, jeśli od czasu do czasu zajrzysz do kościoła - zauważyła Ebba.

Wallander przypomniał sobie kilka nocy, które rok temu

spędził z Bajbą Liepą w ryskim kościele. Nic jednak nie powiedział. Nawet gdyby chciał, nie miał teraz czasu o niej myśleć.

Pastor Tureson był wysokim krzepkim mężczyzną o bujnych siwych włosach. Wallander mógł się przekonać o jego sile, kiedy uścisnęli sobie dłonie.

W skromnym wnętrzu Wallander nie miał uczucia przytłoczenia, jakie go zawsze ogarniało, ilekroć wchodził do kościoła. Usiedli na krzesłach przed stołem ołtarzowym.

- Dzwoniłem do Roberta kilka godzin temu - powiedział pastor Tureson. - Biedny człowiek, jest zdruzgotany. Czy jeszcze jej nie znaleźliście?

- Nie.

- Nie rozumiem, co się mogło stać. Louise nie należy do osób, które narażają się na niebezpieczeństwo.

- Czasem nie da się tego uniknąć.

- Co ma pan na myśli?

- Są dwa rodzaje zagrożeń. Takie, na które sami się wystawiamy, albo takie, na które jesteśmy wystawieni. To zupełnie to samo.

Pastor Tureson bezradnie rozłożył ręce. Jego niepokój wydawał się autentyczny, szczerze współczuł mężowi i córkom.

- Proszę mi opowiedzieć o Louise. Jaka była? Czy znał ją pan od dawna? Jaka była rodzina Akerblomów?

Pastor Tureson spojrział na Wallandera z powagą.

- Pyta mnie pan tak, jakby to już był czas przeszły.

- Złe nawyki - usprawiedliwił się Wallander. - Oczywiście chciałbym się dowiedzieć, jaka jest Louise.

- Jestem pastorem w tej gminie od pięciu lat. Jak pan zapewne słyszy, pochodzę z Góteborga. Kiedy tutaj przyjechałem, Akerblomowie byli już członkami naszego Kościoła. Oboje są z rodzin metodystów, spotkali się dzięki wspólnej wierze. Obecnie wychowują w niej swoje córki.

Robert i Louise to porządni ludzie. Pracowici, oszczędni, szczodrzy. Trudno opisać ich inaczej i trudno mówić o każdym z osobna. Wierni są zdeorientowani zniknięciem Louise. Czuję to podczas naszej wczorajszej modlitwy na jej intencję.

Idealna rodzina, pomyślał Wallander. Żadnej szczeliny w murze. Mogę przepytąć tysiąc innych ludzi i wszyscy powiedzą to samo. Louise Akerblom nie ma słabych stron. Jedynie jej zniknięcie odbiega od normy.

Coś tu się nie zgadza. Nic się nie zgadza.

- Czy pan inspektor myśli o czymś szczególnym? - zapytał pastor Tureson.

- Myślę o słabościach - przyznał Wallander. - Bóg pomoże nam pokonać własne słabości. Czy to nie jeden z podstawowych wyznaczników wszystkich religii?

- Owszem.

- Tymczasem Louise Akerblom wydaje się osobą całkowicie ich pozbawioną. Jest chodzącą doskonałością. Czy tacy ludzie naprawdę istnieją?

- Louise taka właśnie jest.

- Jak anioł?

- Niezupełnie. Kiedyś, robiąc kawę na nasz wieczorek, sparzyła się i przypadkiem usłyszałem, jak zakląła.

Wallander postanowił zacząć od początku.

- Nie wchodzi w grę konflikt między nią a mężem? - spytał.

- Zdecydowanie nie.

- A jakiś inny mężczyzna?

- Wykluczone. Mam nadzieję, że nie zada pan tego pytania Robertowi.

- Czy mogły ją ogarnąć wątpliwości natury religijnej?

- To absolutnie niemożliwe. Coś bym o tym wiedział.

- Czy mogła mieć jakiś powód, żeby popełnić samobójstwo?

- Nie.

- Czy mogła doznać nagłego zamroczenia?

- Niby dlaczego? Louise jest całkowicie zrównoważona.
- Większość z nas ma jakieś tajemnice - powiedział Wallander po chwili milczenia. - Czy Louise Akerblom mogła coś ukrywać nawet przed mężem?

Pastor Tureson pokręcił głową.

- Oczywiście, że każdy ma jakieś tajemnice. Często bardzo mroczne. Jestem jednak przekonany, że w życiu Louise nie było nic takiego, co by mogło ją skłonić do porzucenia rodziny. Na pewno nie chciałyby nikogo niepokoić.

Wallander nie miał więcej pytań.

Coś tu się nie zgadza, pomyślał. Coś się nie zgadza w tym idyllicznym obrazku.

Wstał i podziękował pastorowi Turesonowi.

- Jeśli Louise nie wróci - powiedział - porozmawiam z innymi członkami gminy.

- Na pewno wróci. Nie ma innej możliwości.

Pięć po czwartej Wallander wyszedł z kościoła metodystów. Zaczęło padać, wiał chłodny wiatr. Drżąc z zimna, wszedł do samochodu. Był zmęczony. Jakby sama myśl, że dwie małe dziewczynki miałyby stracić matkę, pozbawiła go sił.

O wpół do piątej zebrali się w gabinecie Bjórka. Martinsson siedział na kanapie, Svedberg podpierał ścianę i jak zwykle drapał się po łysinie, jakby się łudził, że znajdzie tam jakieś włosy. Wallander usiadł na krześle. Bjórk stał za biurkiem i rozmawiał przez telefon. Kiedy skończył, poprosił Ebbe, żeby przez najbliższe pół godziny nikogo z nim nie łączyła. Z wyjątkiem Roberta Akerbloma.

- Co mamy? - spytał Bjórk. - Od czego zaczniemy?

- Nic nie mamy - odparł Wallander.

- Poinformowałem o sprawie Svedberga i Martinssona - podjął Bjórk. - Szukamy jej samochodu. Podjęliśmy wszystkie rutynowe działania, jakie wdramy w tych sytuacjach, w których oceniamy czyjeś zaginięcie jako poważne.

- Nie oceniamy - przerwał mu Wallander. - To jest poważne. Gdyby doszło do nieszczęśliwego wypadku, już byśmy coś o tym wiedzieli. A nie wiemy. Mamy więc do czynienia z przestępstwem. Niestety, jestem pewien, że Louise Akerblom nie żyje.

Martinsson zamierzał o coś spytać, ale Wallander nie dopuścił go do głosu i zdał relację z tego, co do tej pory udało mu się zebrać. Musi przekonać kolegów do swoich racji. Ktoś pokroju Louise Akerblom nie porzuca rodziny z własnej woli.

Zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce, że będzie w domu około piątej, i coś jej w tym przeszkodziło. Coś albo ktoś.

- Tak, trudna sprawa - skwitował Björk.

- Pośredniczka w handlu nieruchomościami, metodystka, matka dzieciom - powiedział Martinsson. - Może za dużo miała na głowie? Kupuje ciastka, jedzie w stronę domu, nagle się rozmyśla i skręca na Kopenhagę.

- Musimy znaleźć samochód - odezwał się Svedberg. - Inaczej nie ruszymy z miejsca.

- Przede wszystkim musimy odszukać dom, który miała obejrzeć - wtrącił Wallander. - Czy nie było telefonu od Roberta Akerbloma?

Nie. Nie było.

- Jeśli rzeczywiście pojechała gdzieś w okolice Krageholmu, powinniśmy pójść tym tropem, dopóki jej nie znajdziemy albo dopóki ślad się nie urwie.

- Peters i Noren przepatrzyli boczne drogi wokół Krageholmu - poinformował Björk. - I nic. Przy okazji odkryli skradzioną ciężarówkę.

Wallander wyjął z kieszeni kasetę z automatycznej sekretarki. Nie bez kłopotu udało im się zdobyć odpowiedni magnetofon. Pochylili się nad biurkiem i słuchali głosu Louise Akerblom.

- Taśmę trzeba dokładnie sprawdzić - powiedział Wallander. - Wątpię, żeby technicy mieli jakieś zastrzeżenia, ale niczego nie wolno nam lekceważyć.

- Jedno jest jasne - zauważył Martinsson. - Kiedy nagrywała tę wiadomość, nie czuła się zagrożona, nikt jej do niczego nie zmuszał, nie była ani zdenerwowana, ani zdesperowana.

- Coś się więc musiało stać między trzecią a piątą - powiedział Wallander. - W trójkącie Skurup, Krageholm, Ystad. Trzy dni temu.

- Jak była ubrana? - spytał Bjórk.

Wallander nagle sobie uświadomił, że nie zadał jej mężowi jednego z podstawowych pytań.

- Myślę, że mimo wszystko może istnieć jakieś naturalne wytłumaczenie - odezwał się Martinsson. - Powiedziałeś, Kurt, że ludzie jej pokroju nie znikają z własnej woli. Ale napaści i morderstwa zdarzają się bardzo rzadko. Wydaje mi się, że powinniśmy działać tak jak zwykle. Bez hysterii.

- Wcale nie histeryzuję - zaprotestował Wallander. - Wiem, co mówię. Niektóre wnioski same się nasuwają.

Bjórk już miał się włączyć, kiedy zadzwonił telefon.

- Przecież prosiłem, żeby nikt nam nie przeszkadzał - mruknął.

Wallander szybko położył dłoń na słuchawce.

- To może być Akerblom. Chyba będzie lepiej, jeśli ja z nim porozmawiam.

Odebrał i przedstawił się.

- Mówi Robert Akerblom. Czy znaleźliście Louise?

- Nie. Jeszcze nie.

- Przed chwilą zadzwoniła wdowa. Mam mapę. Sam zacznę jej szukać.

- Niech pan jedzie ze mną - zdecydował Wallander po namyśle. - Będę za chwilę. Czy mógłby pan w tym czasie skopiować mapę w kilku egzemplarzach? Pięć wystarczy.

- Dobrze.

Wallander pomyślał, że ludzie prawdziwie wierzący są zazwyczaj praworządni i posłuszni autorytetom. Nikt nie mógłby powstrzymać Roberta Akerbloma przed poszukiwaniem żony na własną rękę.

Wallander z trzaskiem odłożył słuchawkę na widelki.

- Mamy mapę - powiedział. - Pojedziemy dwoma samochodami. Robert Akerblom zabierze się ze mną.

- Nie weźmiemy kilku radiowozów? - zapytał Martinsson.

- Na razie niepotrzebne nam kolumny - odparł Wallander. - Najpierw musimy obejrzeć mapę i przygotować plan. Potem wyślemy patrole.

- Dzwońcie, gdyby coś się działo - powiedział Björk. - Tutaj albo do mnie do domu.

Wallander biegł korytarzem. Musi jak najszybciej ustalić, czy ślady nie zaprowadzą ich donikąd. Możliwe, że Louise Akerblom gdzieś tam jest.

Svedberg wytarł chusteczką krople deszczu z maski samochodu Wallandera, żeby mogli na niej położyć mapę, którą narysował Robert Akerblom na podstawie opisu wdowy.

- E14 - stwierdził Svedberg. - Zjazd na Katslósę i Kadesjów. W lewo na Knickarp, potem w prawo, znów w lewo i gdzieś niedaleko ma być bita droga.

- Nie tak szybko - przyhamował go Wallander. - Gdy byście byli w Skurupie, którędy byście pojechali?

Istniało kilka możliwości. Wdali się w krótką dyskusję. W końcu Wallander zapytał Roberta Akerbloma.

- Myślę, że Louise wybrałaby boczną drogę - odparł bez wahania. - Nie lubiła tłoku ani pośpiechu na E14. Chyba pojechałaby przez Svaneholm i Broddę.

- Nawet gdyby czas ją gonił? Chciała być w domu koło piątej.

- Tak, nawet wtedy.

- Pojedziecie tamtędy - Wallander zwrócił się do

Martinssona i Svedberga. - Będziemy w stałym kontakcie. Opuścili Ystad. Martinsson i Svedberg ruszyli pierwsi. Mieli do przebycia dłuższy odcinek. Robert Akerblom wpatrywał się przed siebie. Wallander od czasu do czasu na niego zerkał. Widział, że niespokojnie pociera dłonie, jakby nie mógł się zdecydować, czy je spleść, czy nie.

Czuł rosnące napięcie. Co właściwie spodziewają się znaleźć?

Wyhamował przed zjazdem na Kadesjö, przepuścił ciężarówkę i przypomniał sobie, że dwa lata temu jechał wtedy do położonej na odludziu posesji, gdzie zamordowano starsze małżeństwo. Wzdrygnął się i nie po raz pierwszy pomyślał o zmarłym przed rokiem starszym koledze Rydbergu. Ilekroć śledztwo, które prowadził, wykraczało poza utarte ramy, brakowało mu jego doświadczenia i mądrych rad.

Co się dzieje w naszym kraju? Co się stało ze zwyczajnymi złodziejami i oszustami? Skąd się bierze to niebывałe okrucieństwo?

Mapa leżała koło dźwigni zmiany biegów.

- Dobrze jedziemy? - spytał Wallander, żeby przerwać ciszę.

- Tak - odparł Robert Akerblom, nie odrywając oczu od szosy. - Za następnym pagórkiem skręcimy w lewo.

Wjechali w krageholmski las. Po lewej, między drzewami, połyskiwało jezioro. Wallander zwolnił i zaczęli wypatrywać bocznej bitej drogi.

Zauważył ją Robert Akerblom. Wallander zahamował, cofnął się i stanął.

- Proszę zostać w samochodzie - powiedział. - Rozejrzę się.

Zjazd był prawie całkowicie zarośnięty. Wallander przykucnął. Na trawie widniały ledwie widoczne ślady opon. Czuł na karku wzrok Roberta Akerbloma.

Wrócił do samochodu i wywołał Martinssona i Svedberga. Właśnie dotarli do Skurupu.

- Jesteśmy przy bitej drodze - poinformował. - Uważajcie, żeby nie zniszczyć śladów opon.

- Zrozumiałem - odezwał się Svedberg. Wallander skrzył, omijając ślady.

Dwa samochody, pomyślał. Albo jeden, który wjechał i wyjechał.

Podskakując, powoli sunęli po podmokłej wyboistej nawierzchni. Od wystawionego na sprzedaż domu dzielił ich kilometr. Wallander zdziwił się, zobaczywszy jego nazwę na mapie. „Odludzie”.

Trzy kilometry dalej droga się skończyła. Robert Akerblom popatrzył zdezorientowany na mapę i na Wallandera.

- To nie tu - powiedział Wallander. - Na pewno byśmy zauważyli ten dom, bo stoi tuż przy drodze. Zawracamy.

Wyjechali na szosę i wolno ruszyli przed siebie. Mniej więcej pięćset metrów dalej zobaczyli następny zjazd. Wallander dokładnie mu się przyjrzał. Tym razem było tu kilka różnych, przecinających się śladów opon. Droga wydawała się lepiej utrzymana i częściej z niej korzystano.

Ale i tutaj nie znaleźli Odludzia. Między drzewami stał wprawdzie jakiś dom, ale go minęli, ponieważ nie pasował do opisu.

Cztery kilometry dalej Wallander zatrzymał się.

- Czy ma pan przy sobie numer telefonu do wdowy Wallin? Podejrzewam, że ma złe wyczucie odległości.

Robert Akerblom skinął głową i wyjął z wewnętrznej kieszeni niewielki skorowidz. Wallander zauważył zakładkę w kształcie anioła.

- Proszę do niej zadzwonić, powiedzieć, że pan zablądził, i niech będzie uprzejma jeszcze raz wyjaśnić, jak tam dojechać.

Robert Akerblom długo musiał czekać, zanim pani Wallin podniosła słuchawkę.

Okazało się, że rzeczywiście wcale nie była pewna, na

którym kilometrze jest zjazd.

- Niech poda jakiś punkt orientacyjny - podpowiedział Wallander. - W przeciwnym razie pošemy po nią samochód.

- Dąb, w który uderzył piorun - poinformował Robert Akerblom. - Trzeba skręcić tuż przed nim.

Ruszyli. Dwa kilometry dalej dostrzegli rozłupany pień drzewa i zjazd w prawo. Wallander znów wywołał kolegów i wyjaśnił im, jak jechać. Potem po raz trzeci wysiadł z samochodu i ze zdziwieniem stwierdził, że nie ma tu żadnych świeżych śladów opon. Mógł je zmyć deszcz. Mimo to poczuł się zawiedziony.

Kilometr dalej zobaczyli dom. Zatrzymali się. Znów zaczęło padać, zerwał się porywisty wiatr.

Robert Akerblom puścił się biegiem do posesji, piskliwie wykrzykując imię żony. Wallandera zamurowało. Dopiero kiedy Akerblom zniknął za węglem, pognął za nim.

Żadnego samochodu, pomyślał. Ani samochodu, ani Louise.

Robert Akerblom właśnie zamierzał wybić szybę cegłą.

Wallander chwycił go za ramię.

- Nie warto.

- Może ona tam jest!

- Mówił pan, że nie miała kluczy. Proszę zostawić tę cegłę. Może znajdziemy jakieś wyłamane drzwi. Ale już teraz mogę pana zapewnić, że jej tu nie ma.

Robert Akerblom osunął się na ziemię.

- Gdzie ona jest? Co się stało?

Wallanderowi głos uwiązał w gardle. Zabrakło mu słów. Pomógł Akerblomowi się podnieść.

- Nie może pan tu siedzieć, bo jeszcze się pan rozchoruje. Rozejrzyjmy się.

Nie znaleźli wyłamanych drzwi. Pokoje, do których zaglądali przez pozbawione zasłon okna, były puste. Kiedy zdali sobie sprawę, że nic więcej nie wskórają, na podwórze wjechali

Martinsson i Svedberg.

- Nic - oznajmił Wallander, dyskretnie kładąc palec na ustach.

Nie chciał, żeby zaczęli zadawać pytania. Nie chciał powiedzieć, że Louise Akerblom prawdopodobnie w ogóle tu nie było.

- U nas też nic - stwierdził Martinsson. - Nie ma samo chodu, nic.

Wallander spojrział na zegarek. Dziesięć po szóstej.

- Myślę, że będzie z pana większy pożytek w domu, z córkami - zwrócił się do Roberta Akerbloma, siląc się na uśmiech. - Svedberg pana odwiezie. A my będziemy kontynuować poszukiwania. Proszę się nie zamartwiać. Żona na pewno wróci.

- Louise nie żyje - wyszeptał Robert Akerblom. - Nie żyje i nigdy nie wróci.

- Nie - po chwili milczenia zaprzeczył Wallander. - Nic na to nie wskazuje. Svedberg pana teraz odwiezie, a ja obiecuję, że się później odezwę.

Odjechali.

- Zabieramy się do roboty - powiedział Wallander, czując narastający niepokój.

Wsiadli do samochodu. Wallander zadzwonił do Bjórka i zażądał wszelkich dostępnych posiłków. Zbiórka przy rozłupanym dębie. Martinsson zaczął planować przeczesywanie terenu. Powinni jak najszybciej sprawdzić wszystkie drogi wokół Odludzia.

Wallander poprosił Bjórka o dostarczenie porządnych map.

- Szukamy do zmroku - powiedział. - Jeśli nie przyniesie to żadnych rezultatów, jutro o świcie kontynuujemy. Ale już z wojskiem.

- Jeszcze dzisiaj przydałyby się psy - zauważył Martinsson.

Bjórk zobowiązał się, że osobiście tego dopilnuje. Martinsson i Wallander popatrzyli na siebie.

- Podsumuj - rzucił Wallander.

- Nie było jej tutaj - zaczął Martinsson. - Jest albo gdzieś w pobliżu, albo daleko stąd. Nie wiem, co się wydarzyło. W każdym razie musimy odnaleźć samochód. Powinniśmy rozpocząć poszukiwania od tego miejsca. Ktoś pewnie widział granatową toyotę. Trzeba popytać sąsiadów. Bjórk zwoła na jutro konferencję prasową. Musimy dać do zrozumienia, że bardzo poważnie traktujemy to zagniecie.

- Co mogło się stać?

- Coś, czego nie chcemy przyjąć do wiadomości. Deszcz bębnił o szyby i dach.

- Cholera! - zaklął Wallander.

- Otóż to.

Tuż przed północą zmęczeni i przemoknięci policjanci zgromadzili się na podwórzu przed domem, którego Louise Akerblom prawdopodobnie nigdy nie widziała. Nie trafili na żadne ślady po granatowym samochodzie ani tym bardziej po Louise Akerblom. Jedynym godnym wzmianki znaleziskiem były ścierwa dwóch łosi wytropione przez psy. Poza tym radiowóz jadący na miejsce zbiórki o mały włos nie zderzył się z mercedesem, który z zawrotną szybkością mknął po wąskiej bitej drodze.

Bjórk podziękował wszystkim za ich wkład. Mogą wracać do domu, poszukiwania będą kontynuowane nazajutrz od szóstej rano.

Wallander odjechał ostatni. Z radiotelefonu zadzwonił do Roberta Akerbloma. Niestety, nie miał dla niego żadnych wiadomości. Mimo późnej pory Akerblom zaprosił go do siebie.

Zanim włączył silnik, skontaktował się z siostrą. Znał jej zwyczaje, był pewien, że jeszcze nie śpi. Powiedział, że ojciec zamierza się ożenić z pomocą domową. Ku jego zdumieniu Kristina parsknęła śmiechem. Ulżyło mu, kiedy obiecała, że przyjedzie na początku maja.

Odłożył słuchawkę i ruszył do Ystadu. Przez przednią szybę przetaczała się deszczowa nawałnica.

Odszukał willę Roberta Akerbloma. Wyglądała tak jak tysiące innych. Na parterze paliło się światło.

Odchylił się na fotelu i zamknął oczy.

Louise nigdy nie dotarła na miejsce, pomyślał.

Co się wydarzyło po drodze?

Coś się tu nie zgadza. Nic z tego nie rozumiem.

Budzik przy łóżku zadzwonił za kwadrans piąta. Kurt Wallander jęknął i przykrył głowę poduszką. Zdecydowanie za krótko śpię, pomyślał z rezygnacją. Dlaczego nie jestem takim policjantem, który po powrocie do domu nie zaprzęta sobie głowy pracą?

Cofnął się myślami do nocnego spotkania z Robertem Akerblomem. Z udręką patrzył na jego twarz. Mógł mu powiedzieć tylko tyle, że nie znaleźli Louise. Szybko się pożegnał, w samochodzie nie opuszczało go przykre uczucie. Potem przewracał się na łóżku do trzeciej, mimo że był kompletnie wykończony.

Musimy ją znaleźć, pomyślał. Teraz zaraz. Żywą albo martwą. Bylebyśmy ją znaleźli.

Umówił się z Robertem Akerblomem, że do niego zajrzy, jak tylko wznowią poszukiwania. Musi przejrzeć rzeczy osobiste Louise, musi ją lepiej poznać. Czuł, że za jej zaginięciem kryje się coś niezwykłego. Doświadczenie mu podpowiadało, że ten przypadek różni się od wszystkich, z jakimi kiedykolwiek miał do czynienia. Chciał się dowiedzieć czym.

Zwlekł się z łóżka, nastawił wodę na kawę i zamierzał włączyć radio. Przypomniawszy sobie o włamaniu, zaklął i pomyślał, że nikt nie będzie miał teraz czasu, żeby się tym zająć.

Wziął prysznic, ubrał się i wypił kawę. Pogoda nie poprawiła mu humoru. Lało bez przerwy, wiatr przybrał na sile. Trudno o gorsze warunki do przeczesywania terenu. Na krageholmskich polach i w lasach zaroi się od zmęczonych i skwaszonych policjantów, psów ze zwieszonymi ogonami i wkurzonych poborowych. Ale to sprawa Bjórka. On przyjrzy się w tym czasie rzeczom Louise Akerblom.

Wsiadł do samochodu i pojechał do rozłupanego dębu. Bjórk chodził tam i z powrotem na poboczu.

- Co za pogoda - mruknął. - Że też zawsze musi padać, kiedy kogoś szukamy.

- Tak - przyznał Wallander. - To dziwne.

- Rozmawiałem z podpułkownikiem Hernbergiem. Wysłał dwa autobusy poborowych. Będą o siódmej. Pomyślałem, że nie musimy na nich czekać. Martinsson wszystko przygotował.

Wallander z zadowoleniem pokiwał głową. Martinsson zawsze był dobry w planowaniu takich akcji.

- Na dziesiątą zwołałem konferencję prasową - kontynuował Bjórk. - Chciałbym, żebyś przyszedł. Do tego czasu musimy mieć jej fotkę.

Wallander wyjął z wewnętrznej kieszeni zdjęcie Louise Akerblom.

- Ładna dziewczyna - skostatował Bjórk. - Mam nadzieję, że odnajdziemy ją żywą. Czy dokładnie tak wygląda?

- Zdaniem męża, tak.

Bjórk wsunął fotografię do plastikowej koszulki i włożył do kieszeni deszczowca.

- Jadę do Akerblomów - poinformował Wallander. - Tam będę bardziej przydatny.

Bjórk nie miał zastrzeżeń. Kiedy Wallander się odwrócił, żeby pójść do samochodu, położył mu dłoń na ramieniu.

- Co o tym myślisz? - spytał. - Czy Louise nie żyje? Czy mamy do czynienia z morderstwem?

- Nic innego raczej nie wchodzi w grę. Może jest ranna, ale nie bardzo w to wierzę.

- Źle to wygląda. Oj, źle.

Wallander wrócił do Ystadu. Siwe morze znaczyły grzywiaste fale.

W willi na Akarvagen dwie dziewczynki przyglądały mu się z powagą.

- Wiedzą, że pan jest z policji - uprzedził go Robert Akerblom. - I wiedzą, że szuka pan ich mamy.

Wallander skinął głową i próbował się uśmiechnąć.

- Cześć - powiedział ze ściśniętym gardłem. - Jestem Kurt. A wy jak macie na imię?

- Maria i Magdalena.

- Bardzo ładnie. Moja córka nazywa się Linda.

- Dzisiaj będą u siostry. Lada moment po nie przyjedzie.

Napije się pan herbaty?

- Tak, z przyjemnością.

Zdjął płaszcz i buty i wszedł do kuchni. Dziewczynki nie spuszczały z niego wzroku.

Od czego zacząć? - pomyślał. Czy Robert Akerblom to zrozumie, że muszę przejrzeć wszystkie rzeczy Louise?

Dziewczynki odjechały.

Wallander dopił herbatę.

- O dziesiątej mamy konferencję prasową - powiedział. - Ujawnimy nazwisko pańskiej żony i poprosimy o skontaktowanie się z nami wszystkich, którzy ją widzieli. Jak się pan zapewne domyśla, nie wykluczamy zabójstwa.

Wallander zdawał sobie sprawę, że Robert Akerblom może się rozplakać. Ale tego poranka ów blady mężczyzna o zapadniętych oczach, nienagannie ubrany, w garniturze i krawacie, sprawiał wrażenie opanowanego.

- Musimy wierzyć w naturalne powody zaginięcia - kontynuował - nie możemy jednak pomijać innych ewentualności.

- Oczywiście.

Wallander odsunął pustą filiżankę, podziękował i wstał.

- Czy przypomniał pan sobie coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie. To mi się nie mieści w głowie.

- Rozejrzyjmy się. Chyba pan rozumie, że muszę przeszukać ubrania pańskiej żony, szuflady, wszystko, co mogłoby nam pomóc.

- Louise utrzymuje nienaganny porządek. Przepatrzyli dom od strychu po piwnicę i garaż. Pani Akerblom lubiła jasne, pastelowe kolory. Nigdzie nie było ciemnych zasłon ani obrusów. Emanacja radości życia. Stare meble zgodnie koegzystowały ze współczesnymi. W kuchni nie brakowało najbardziej nowoczesnych sprzętów. Purytańskie zasady najwyraźniej nie dotyczyły dóbr materialnych.

- Chciałbym na chwilę wpaść do biura - powiedział Robert Akerblom, kiedy wspólnie obeszlą dom. - Chyba mogę pana zostawić samego.

- Proszę się nie krępować. Gdybym miał jakieś pytania, zadzwonię. O dziesiątej muszę być w komendzie na konferencji prasowej.

- Do tego czasu na pewno wrócę.

Po wyjściu Roberta Akerbloma Wallander przystąpił do gruntownego przeszukiwania willi. Sprawdził zawartość kuchennych szafek i szuflad, zajrzał do lodówki i do zamrażarki. Zdziwił się, widząc pod zlewem pokaźny zapas alkoholu. Nie tak sobie wyobrażał rodzinę Akerblomów.

W salonie nie odnotował nic godnego uwagi i wszedł na piętro. Darował sobie pokoje dziewczynek i zaczął od łazienki. Spisał nazwy lekarstw Louise Akerblom, stanął na wadze, skrzywił się, widząc rezultat, po czym udał się do sypialni. Przeszukiwanie damskich ubrań zawsze sprawiało mu przykrość. Miał takie wrażenie, jakby go ktoś obserwował z ukrycia. Przejrzał kieszenie i kartony w szafach i zajął się komodą, w której Louise trzymała bieliznę osobistą. Nie znalazł nic, co by go zaskoczyło. Kiedy skończył, usiadł na krawędzi łóżka i rozglądał się po pokoju. Nic, pomyślał. Kompletnie nic.

Westchnął, poszedł do gabinetu i kolejno wysuwał szuflady biurka. Przejrzał album ze zdjęciami i listy. Nie było ani jednej fotki, na której Louise by się nie śmiała lub nie uśmiechała.

Powkładał wszystko z powrotem i szukał dalej. Deklaracje podatkowe, polisy ubezpieczeniowe, świadectwa szkolne i zaświadczenia o uprawnieniach do prowadzenia biura pośrednictwa w obrocie nieruchomościami. Nic go nie zaintrygowało.

Dopiero kiedy otworzył dolną szufladę, mocno się zdziwił. Początkowo sądził, że leży tam tylko papier maszynowy. Wsunął rękę pod spód i wyczuł jakiś metalowy przedmiot. Wyjął go i przyglądał mu się ze zmarszczonym czołem.

Kajdanki. Prawdziwe kajdanki, żadna zabawka. Wyprodukowane w Anglii.

Położył je na blacie.

To o niczym nie świadczy, pomyślał. W każdym razie były dobrze ukryte. Nie wiem, czy Robert Akerblom by ich stąd nie zabrał, gdyby wiedział o ich istnieniu.

Zamknął szufladę i schował kajdanki do kieszeni.

Potem zajął się pomieszczeniami piwnicznymi i garażem. Na półce nad niewielkim stołem stolarskim zobaczył kilka modeli samolotów z balsy. Może Robert Akerblom marzył kiedyś o tym, żeby zostać pilotem?

Zadzwoił telefon. Poszedł odebrać. Była dziewiąta.

- Chciałbym mówić z inspektorem Wallanderem - odezwał się Martinsson.

- To ja.

- Przyjeżdżaj. Natychmiast.

- Znaleźliście ją? - spytał z bijącym sercem.

- Nie. Nie znaleźliśmy ani jej, ani samochodu. Ale w sąsiedztwie zapalił się dom. Mówiąc dokładniej, eksplodował. Pomyślałem, że to może mieć jakiś związek z zaginięciem.

- Zaraz tam będę.

Napisał parę słów do Roberta Akerbloma i położył kartkę na kuchennym stole.

Jadąc do Krageholmu, próbował zrozumieć, co Martinsson

miał na myśli. Ekspłodował dom? Który dom?

Wyprzedził kolumnę trzech tirów. Lało jak z cebra, wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody. Kilkaset metrów przed rozłupanym dębem deszcz zelżał. Nad drzewami unosił się czarny słup dymu. Pod dębem czekał na niego radiowóz. Policjant dał mu znak, żeby zawrócić. Kiedy skręcili w boczną drogę, Wallander zorientował się, że wczoraj tędy jechał i że właśnie tutaj zauważył najwięcej śladów opon. Było też coś jeszcze. Ale co? Nie potrafił sobie przypomnieć.

Dom stał po lewej stronie, ledwie widoczny z drogi. Strażacy uwijali się przy gaszeniu pożaru. Ledwie wysiadł z samochodu, poczuł charakterystyczne ciepło. Martinsson wyszedł mu naprzeciw.

- Ludzie? - spytał Wallander.

- Nikogo. Na razie nie można wejść do środka. Zbyt wysoka temperatura. Tak to jest, kiedy wszystko staje w ogniu. Od przeszło roku, kiedy zmarł właściciel, nikt tu mieszkał. Wiem to od sąsiada. Spadkobiercy nie mogli się zdecydować, czy wynająć dom, czy sprzedać.

- Mów dalej - powiedział Wallander, patrząc na buchające płomienie.

- Byłem na szosie. Zrobiło się zamieszanie w jednej I wojskowych grup przeszukujących. I nagle coś huknęło. Jakby wybuchła bomba. Myślałem, że gdzieś niedaleko rozbił się samolot. Potem zobaczyłem dym. Przyjechałem tu pięć minut później. Wszystko się paliło. Nie tylko dom, stodoła też.

- Bomba... A może to gaz? Martinsson pokręcił głową.

- Nawet dwadzieścia butli gazu nie spowodowałoby takiej eksplozji. Połamały się drzewa owocowe za domem. Niektóre powyrywało z korzeniami. Ktoś to wszystko wysadził w powietrze.

- Po okolicy kręci się mnóstwo policjantów i żołnierzy -

zauważył Wallander. - Szczególny moment na wzniesienie pożaru.

- Też o tym pomyślałem i dlatego połączyłem to z naszą sprawą.

- Masz jakiś pomysł?

- Nie.

- Dowiedz się, kto jest właścicielem tego domu i kto reprezentuje spadkobierców. Zgadza się, że nie wygląda to na zwykły zbieg okoliczności. Gdzie Björk?

- Pojechał do komendy, żeby się przygotować do konferencji prasowej. Wiesz, ile nerwów kosztują go rozmowy z dziennikarzami, którzy nie mają zwyczaju wiernie go cytować. W każdym razie jest o wszystkim poinformowany. Svedberg zdał mu relację. I wie, że tu jesteś.

- Rozejrzę się dokładniej, kiedy to ugaszą. Byłoby dobrze, gdybyś wyznaczył ludzi do starannego przeczesania okolic.

- W poszukiwaniu Louise Akerblom?

- Przede wszystkim samochodu.

Martinsson poszedł przesłuchać sąsiada. Wallander patrzył na płomień.

Jak miałby wyglądać ten związek? - pomyślał. Zaginiona kobieta i eksplozja domu tuż pod nosem obławy.

Zerknął na zegarek. Za dziesięć dziesiąta. Przywołał jednego ze strażaków.

- Kiedy będę mógł tu powęszyć?

- Szybko się pali - odparł strażak. - Myślę, że wczesnym popołudniem da się podejść pod dom.

- To dobrze. Musiał być niezły huk.

- Nie zaczęło się od zapalki. Nie licząc, rzecz jasna, podpalenia stu kilo dynamitu.

Wallander pojechał do Ystadu. Zadzwoił do Ebby i poprosił, by uprzedziła Björka, że jest w drodze do komendy.

Nagle wróciła mu pamięć. Wczoraj wieczorem ktoś z

radiowozu utyskiwał na mercedesa, który w zawrotnym tempie mknął po jednej z bocznych dróg. Był niemal pewien, że chodziło o drogę biegnącą koło płonącego domu. Za dużo zbiegów okoliczności. Jak najszybciej powinniśmy znaleźć coś, co pozwoliłoby nam zebrać wszystko do kupy. Kiedy wszedł do komendy, Bjórk krążył niespokojnie po recepcji.

- Nigdy nie przywyknę do konferencji prasowych - burknął.
- O jakim pożarze wspominał Svedberg? Bardzo dziwnie mówił. Powiedział, że dom i stodoła eksplodowały. Co miał na myśli? I o jaki dom chodzi?

- Opis Svedberga jest bez zarzutu - odparł Wallander. - Ale ponieważ to nie ma nic wspólnego z konferencją zwołaną w sprawie zaginięcia Louise Akerblom, proponuję, żebyśmy przełożyli tę rozmowę na później. Może koledzy, którzy tam są, zdobędą do tego czasu więcej informacji.

Bjórk skinął głową.

- Załatwimy wszystko jak najprościej. Krótki, zwięzły komunikat o zaginięciu, rozdanie fotografii, apel do społeczeństwa. Potem odpowiesz na pytania o wyniki dochodzenia.

- Nie ma żadnych wyników. Gdybyśmy przynajmniej odnaleźli samochód...

- No to coś wymyśl. Nie zapominaj, że policjanci z pustymi rękami stają się łatwym łupem.

Konferencja prasowa trwała niewiele ponad pół godziny. Prócz przedstawicieli gazet lokalnych i lokalnej rozgłośni radiowej zjawili się korespondenci „Expressen” i „Idag”. Ze Sztokholmu nie było nikogo.

Przyjadą dopiero wtedy, kiedy ją znajdziemy, pomyślał Wallander. Pod warunkiem, że znajdziemy ją martwą.

Bjórk rozpoczął konferencję, poinformował, że policja bardzo poważnie traktuje zaginięcie Louise Akerblom, podał jej rysopis, wymienił markę samochodu i rozdał

zdjęcia. Na koniec spytał, czy są jakieś pytania, skinął głową na Wallandera i usiadł. Wallander wszedł na niewielkie podium.

- Jak myślicie, co się mogło stać? - zaczął dziennikarz z lokalnej rozgłośni.

Wallander widział go po raz pierwszy. Najwyraźniej radio często zmieniało współpracowników.

- Nic nie myślimy - odpowiedział. - Okoliczności skłaniają nas do poważnego potraktowania zaginięcia Louise Akerblom.

- Jakie to okoliczności?

- Musimy mieć jasność, że większość ludzi, którzy w taki lub inny sposób znikają, prędzej czy później się odnajduje. W dwóch przypadkach na trzy powód jest dość błahy. Na przykład amnezja. Zdarzają się jednak sytuacje, które świadczą o innych przyczynach. Wówczas traktujemy zaginięcie poważnie.

Björk podniósł rękę.

- Co naturalnie nie oznacza, że policja z mniejszą powagą podchodzi do innych przypadków zaginięcia.

O Boże, pomyślał Wallander.

Zgłosił się reporter z „Expressen”, młody człowiek z rudą brodą.

- Czy można prosić o więcej konkretów? Dlaczego nie wykluczacie przestępstwa? Nie jest też jasne, gdzie ta kobieta zginęła i kto ją widział ostatni.

Wallander skinął głową. Dziennikarz miał rację. Björk był zbyt ogólnikowy w kilku istotnych kwestiach.

- Louise Akerblom opuściła bank w Skurupie w piątek tuż po trzeciej po południu - zaczął. - Kwadrans po trzeciej urzędnik bankowy zauważył, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Tej godziny możemy być pewni. Potem nikt jej nie widział. Przypuszczamy, że mogła się udać jedną z dwóch dróg: E14 na Ystad albo boczną przez Slimminge i Rógłę do

Krageholmu. Jak wam już wiadomo, Louise Akerblom jest pośredniczką w handlu nieruchomościami. Niewykluczone, że postanowiła obejrzeć dom wystawiony na sprzedaż. Albo od razu pojechała w kierunku Ystadu. Nie znamy jej decyzji.

- O jaki dom chodzi? - zapytał współpracownik gazety lokalnej.

- Dla dobra śledztwa nie mogę na to odpowiedzieć. Konferencja dobiegła końca. Björk udzielił wywiadu dla lokalnego radia, a Wallander dla lokalnej prasy.

Już po wszystkim Wallander poszedł po kawę, usiadł w swoim pokoju i zadzwonił na miejsce pożaru. Złapał Svedberga. Martinsson wydał nowe dyspozycje, akcja poszukiwawcza miała się skoncentrować na pogorzelsku i najbliższych okolicach.

- W życiu nie widziałem takiego pożaru - przyznał Svedberg.

- Zanim się go ugasi, nie zostanie ani jedna belka stropowa.

- Zajrzę tam po południu. Teraz wracam do willi Akerblomów. Dzwonście, gdyby było coś nowego.

- Jasne. Co mówili dziennikarze?

- Nic interesującego.

Ledwie Wallander zdążył odłożyć słuchawkę, do pokoju zapukał Björk.

- Poszło całkiem nieźle - obwieścił. - Rozsądne pytania, żadnych insynuacji. Oby tylko napisali to, co chcemy.

Wallander darował sobie komentarz.

- Jutro będziemy musieli odkomenderować dwóch ludzi do odbierania telefonów - powiedział. - Ponieważ zaginęła religijna matka dwójki dzieci, obawiam się, że zgłosi się sporo osób, które wprawdzie nic nie widziały, ale chętnie udzielą nam błogosławieństwa. Nie licząc, rzecz jasna, tych, co będą mieli coś ważnego do powiedzenia.

- Chyba że Louise Akerblom wróci do domu.

- Obaj w to nie wierzymy.

Wallander zdał relację z pożaru. Powiedział o eksplozji.

Björk słuchał z zafascynacją miną.

- Co to może znaczyć? Wallander rozłożył ręce.

- Nie wiem. Wybieram się do Roberta Akerbloma i będę z nim dalej rozmawiał.

Björk otworzył drzwi.

- Spotykamy się u mnie o piątej.

Wallander już miał wyjść z pokoju, kiedy sobie uświadomił, że powinien być o coś poprosić Svedberga. Zadzwoił do niego.

- Wczoraj wieczorem jeden z naszych radiowozów o mały włos nie zderzył się z mercedesem - powiedział. - Pamiętasz?

- Jak przez mgłę - odparł Svedberg.

- Wywiedz się, co i jak. Podejrzewam, że ten mercedes ma coś wspólnego z pożarem. Związku z Louise Akerblom nie jestem pewien.

- Zapisałem. Coś jeszcze?

- O piątej spotykamy się u Björka - poinformował Wallander i zakończył rozmowę.

Kwadrans później siedział w kuchni Roberta Akerbloma na tym samym krześle, co kilka godzin temu, i pił herbatę.

- Czasami zdarza się coś nieprzewidzianego - powiedział Wallander. - Wybuchł pożar, ale na szczęście wszystko jest pod kontrolą.

- Rozumiem. Zawód policjanta z pewnością nie należy do najłatwiejszych.

Wallander przyglądał się Akerblomowi, czując pod palcami kajdanki, które miał w kieszeni. Nie był zachwycony czekającą go rozmową.

- Chciałbym panu zadać kilka pytań - zaczął. - To miejsce jest chyba równie dobre jak każde inne.

- Oczywiście. Proszę pytać.

Wallander lekko się zirytował, słysząc w głosie Akerbloma łagodne, acz kategoryczne nutki.

- Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, mam pewne wątpliwości. Czy pańska żona na coś chorowała?

Robert Akerblom spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Nie.

- Pomyślałem, że mogła się na przykład dowiedzieć o jakiejś poważnej chorobie. Czy była niedawno u lekarza?

- Nie. Gdyby coś jej dolegało, na pewno by mi o tym powiedziała.

- Są takie przypadłości, o których nie zawsze ma się ochotę mówić. Trzeba kilku dni, żeby się pozbierać. Często bywa tak, że to chory musi pocieszać swoich najbliższych.

- Jestem pewien, że to nie wchodzi w grę - odparł po namyśle Akerblom.

Wallander skinął głową i zmienił temat.

- Czy żona ma problemy alkoholowe? Robert Akerblom drgnął.

- Dlaczego pan o to pyta? Pijemy tyle co nic.

- W szafce pod zlewem jest mnóstwo alkoholu.

- Nie odmawiamy go naszym gościom. Oczywiście w umiar kowanej ilości. Nawet tak skromne biuro jak nasze dysponuje niewielkim funduszem reprezentacyjnym.

Wallander skinął głową. Nie miał żadnych powodów, by wątpić w szczerą odpowiedź. Wyjął z kieszeni kajdanki, położył je na stole i nie spuszczał wzroku z Akerbloma.

Tak jak podejrzewał, on nic nie rozumiał.

- Czy jestem aresztowany? - zapytał.

- Nie. Znalazłem te kajdanki w pańskim gabinecie na piętrze w dolnej szufladzie biurka pod ryzą papieru maszynowego.

- Widzę je po raz pierwszy.

- Ponieważ nie sądzę, żeby położyły je tam wasze córki, zakładam, że należą do pańskiej żony.

- Nic z tego nie rozumiem.

Wystarczyło ledwie słyszalne wahnięcie w głosie i rozbiegane spojrzenie, żeby Wallander wyczuł fałsz.

- Czy ktoś mógł je podrzucić?
- Nie wiem. Zapraszamy wyłącznie członków gminy. Spotkania służbowe zawsze odbywają się na parterze.
- Nikt więcej tu nie przychodzi?
- Rodzice, krewni, koledzy i koleżanki naszych dzieci.
- Dużo ludzi.
- Nic z tego nie rozumiem - powtórzył Robert Akerblom. Może nie rozumiesz, jak mogłeś zapomnieć o usunięciu kajdanek, pomyślał Wallander i po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy Robert Akerblom nie zabił żony. Szybko się jednak zreflektował. Kłamstwo w sprawie kajdanek to zbyt mało, żeby obalić wszystkie dotychczasowe przypuszczenia.
- Czy aby na pewno nic pan nie wie o kajdankach? Ich posiadanie nie jest niezgodne z prawem. Nie są potrzebne żadne zezwolenia, choć oczywiście nie wolno ich wykorzystywać wedle własnego widzimisień.
- Zarzuca mi pan mówienie nieprawdy?
- Niczego nie zarzucam. Chciałbym się tylko dowiedzieć, skąd się w pańskim domu wzięły kajdanki.
- Nie mam pojęcia.

Wallander skinął głową. Nie zamierzał go przyciskać. W każdym razie nie teraz. Tak czy owak, był pewien, że Robert Akerblom kłamie. Czyżby jego pożycie z żoną odbiegało od normy i czy z tego powodu Louise zaginęła bez wieści?

Odsunął filiżankę, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Kajdanki owinał w chusteczkę i schował do kieszeni. Może ekspertyza coś wykaże.

- Na razie to wszystko. - Wstał. - Odezwę się, jak tylko będę miał coś nowego. Uprzedzam, że jeszcze dzisiaj wieczorem pojawią się pierwsze doniesienia w lokalnym radiu i w popołudniówkach. Miejmy nadzieję, że nam pomogą.

Robert Akerblom w milczeniu pokiwał głową.

Wallander uściśnął mu rękę na pożegnanie i wyszedł.

Ulewny deszcz zamienił się w mżawkę, wiatr osłabł.

Pojechał do kafejki przy zajezdni autobusowej, zjadł dwie kanapki, wypił kawę i o wpół do pierwszej udał się na pogorzelnisko. Zaparkował, minął blokady i zobaczył, że z domu i stodoły zostały tylko tłące się zgliszczka. Na oględziny techników było jednak jeszcze za wcześnie.

Poszedł do dobrze mu znanego szefa oddziału strażackiego, Petera Edlera.

- Zalewamy wszystko wodą - powiedział Edler. - Niewiele więcej możemy zrobić. Czy to podpalenie?

- Nie mam pojęcia. Widziałeś Svedberga albo Martinssona?

- Chyba pojechali *coś zjeść*. A podpułkownik Herneberg zabrał swoich przemoczonych poborowych do jednostki. Ale wróć.

Wallander skinął głową. Kilka metrów dalej zauważył policjanta pałaszującego kanapkę. Jego pies z zapalem rozgrzebywał wilgotną, pokrytą sadzą ziemię. Po chwili zawył. Policjant szarpnął za smycz, spojrzął na psa i wypuścił kanapkę z dłoni.

Wallander podszedł bliżej.

- Co on znalazł? - spytał.

Policjant odwrócił się z pobladłą twarzą. Drżał.

Wallander pochylił się. W brei leżał palec. Czarny palec. Nie ten najmniejszy i nie kciuk, ale bez wątpienia ludzki.

Zrobiło mu się niedobrze. Poprosił policjanta, żeby się skontaktował ze Svedbergiem i Martinssonem.

- Mają się tu natychmiast stawić, choćby byli w połowie posiłku - powiedział. - I niech pan przyniesie plastikową torebkę z mojego samochodu. Jest na tylnym siedzeniu.

Policjant odszedł.

O co tu chodzi? - pomyślał Wallander. Palec. Palec Murzyna. Odcięty. W Skanii.

Zanim policjant wrócił, ciekawscy strażacy zdążyli się zebrać wokół znaleziska.

- Musimy się rozglądać za ludzkimi szczątkami -

poinformował Petera Edlera. - Bóg jeden wie, co tu się stało.
- Palec - z niedowierzaniem powiedział Edler. Dwadzieścia minut później przyjechał Svedberg i Martinsson. Natychmiast podbiegli do Wallandera i poruszeni do żywego wpatrywali się w czarny palec.

Milczeli.

W końcu Wallander przerwał ciszę.

- Jednego możemy być pewni. Nie jest to palec Louise Akerblom.

O piątej siedzieli w komendzie w sali zebrania. Wallander nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek zachowywali się równie cicho.

Pośrodku stołu na folii leżał czarny palec.

Björk tak przesunął krzesło, żeby go nie oglądać. Inni wpatrywali się z uwagą.

Po chwili przyjechał samochód ze szpitala i zabrał odciętą część ciała. Dopiero wtedy Svedberg wniósł na tacy kawę i Björk otworzył zebranie.

- Odjęło mi mowę - przyznał. - Czy ktoś może to sensownie wyjaśnić?

Milczeli. Pytanie było niedorzeczne.

- Wallander - po raz drugi zaczął Björk - dokonaj podsumowania.

- To nie będzie takie proste, ale spróbuję. Uzupełniajcie mnie, jeśli coś przeoczę. - Otworzył kolonotatnik. - Louise Akerblom zaginęła pięć dni temu, dokładniej, dziewięćdziesiąt osiem godzin temu. Od tamtej pory nikt jej nie widział, w każdym razie nic nam o tym nie wiadomo. Podczas poszukiwań Louise i jej samochodu eksploduje w pobliżu domu. Pełnomocnik spadkobierców, adwokat Holmgren, który mieszka w Varnamo, nic z tego nie rozumie. Dom stał pusty od przeszło roku. Spadkobiercy jeszcze nie podjęli decyzji, czy go sprzedać, czy zachować w rodzinie. Niewykluczone, że jeden z nich wykupi udziały pozostałych. Poprosiliśmy kolegów z Varnamo, żeby porozmawiali z Holmgrenem. Chcemy mieć nazwiska i adresy wszystkich spadkobierców. - Wypił łyk kawy. - Pożar zaczął się o dziewiątej. Dużo przemawia za tym, że odpalono ładunki wybuchowe. Nic nie wskazuje na inne, naturalne przyczyny. Adwokat Holmgren stanowczo zaprzeczył, jakoby w domu miały się znajdować butle gazowe. Przed rokiem zostały wymienione przewody elektryczne. W

trakcie akcji gaśniczej, w odległości około dwudziestu pięciu metrów od płonącego domu, jeden z naszych policyjnych psów wygrzebuje odcięty palec wskazujący lub środkowy lewej dłoni. Najprawdopodobniej palec męski. Wiemy także, że mężczyzna jest czarnoskóry. Technicy przeszukali dostępne połacie pogorzelniska i podwórza, ale nic więcej nie odkryli. Samochodu nadal nie ma, Louise Akerblom też nie ma. Ekspłodował dom i znaleźliśmy murzyński palec. To wszystko. Bjórk skrzywił się.

- Co mówią lekarze?

- Maria Lestadius ze szpitala rzuciła na to okiem - poinformował Svedberg - i poradziła nam, żebyśmy się zwrócili do laboratorium kryminalistycznego. Ona nie ma wystarczających kompetencji, żeby czytać z palców.

Bjórk przesunął się z krzesłem.

- Wróć. „Czytać z palców”?

- Tak się wyraziła - z rezygnacją przyznał Svedberg. Bjórk był znany z tego, że od czasu do czasu czepiał się rzeczy nieistotnych. Ciężko położył dłoń na stole.

- Innymi słowy, nic nie wiemy - powiedział. - Okropne. Czy Robert Akerblom nie może nam w niczym pomóc?

Wallander postanowił na razie nie wspominać o kajdankach. Obawiał się, że niepotrzebnie odwiodą ich od sedna sprawy. Poza tym wątpił, by miały bezpośredni związek ze zniknięciem Louise.

- Nie - odparł. - Akerblomowie sprawiają wrażenie najszcześliwszej rodziny w kraju.

- Czy mogła popaść w jakiś religijny obłęd? - zapytał Bjórk. - Bez przerwy się czyta o wariackich sektach.

- Kościół metodystyczny trudno uznać za wariacką sektę - zaoponował Wallander. - To jeden z naszych najstarszych Kościołów niezależnych. Ale przyznaję, że nie wiem, co dokładnie głosi.

- Musimy to sprawdzić - zdecydował Bjórk. - Co, waszym

zdaniem, powinniśmy teraz zrobić?

- Miejmy nadzieję, że jutrzejszy dzień coś przyniesie - odezwał się Martinsson. - Może ludzie zaczną dzwonić.

- Już przydzieliłem kilka osób do odbierania telefonów - zakomunikował Bjórk. - Co jeszcze moglibyśmy zrobić?

- Mamy się czym zająć - powiedział Wallander. - Gdzieś jest czarnoskóry mężczyzna, któremu brakuje palca u lewej ręki i który potrzebuje pomocy lekarskiej. Jeśli jeszcze z niej nie skorzystał, prędzej czy później do kogoś się zgłosi. Niewykluczone, że skontaktuje się z policją. Nikt dobrowolnie nie obcina sobie palców. W każdym razie dochodzi do tego bardzo rzadko. Czyli padł ofiarą przemocy. Naturalnie może być i tak, że zdążył wyjechać z kraju.

- Odcisk palca - wtrącił Svedberg. - Nie wiem, ilu Afrykanów przebywa w Szwecji, legalnie albo nielegalnie. Możliwe, że mamy ten odcisk w naszych kartotekach. Poza tym możemy się zwrócić do Interpolu. O ile wiem, dużo afrykańskich państw od kilku lat dysponuje nowoczesnymi rejestrami karnymi. Kilka miesięcy temu był o tym artykuł w „Szwedzkiej Policji”. Zgadzam się z Kurtem. Nawet jeśli nie widzimy związku między Louise Akerblom i palcem, musimy brać pod uwagę taką ewentualność.

- Puścimy to do gazet? - spytał Bjórk. - „Policja poszukuje właściciela palca”. To by dopiero były nagłówki.

- Czemu nie? - odparł Wallander. - Nie mamy nic do stracenia.

- Pomyślę o tym - powiedział Bjórk. - Na razie poczekajmy. Tymczasem trzeba uprzedzić szpitale w całym kraju. Poza tym lekarze mają chyba obowiązek informowania, jeśli podejrzewają, że okaleczenie nastąpiło wskutek czynu karalnego.

- I obowiązuje ich tajemnica zawodowa - zauważył Svedberg. - Oczywiście, że trzeba powiadomić szpitale, przychodnie zdrowia, wszystkie placówki. Czy ktoś wie, ilu

mamy lekarzy w kraju?

Nikt nie wiedział.

- Poproś Ebbę, żeby to sprawdziła - powiedział Wallander.

Ebba w ciągu dziesięciu minut porozumiała się telefonicznie z sekretarzem Szwedzkiego Związku Lekarzy, po czym zadzwoniła do sali zebrań.

- W Szwecji jest przeszło dwadzieścia pięć tysięcy lekarzy - poinformował Wallander, odebrawszy wiadomość od Ebby. Zdumieli się. Dwadzieścia pięć tysięcy.

- To gdzie oni są, kiedy się ich potrzebuje? - zadumał się Martinsson.

Björk zaczął się niecierpliwić.

- Jest coś jeszcze? Jeśli nie, musimy się zabrać do pracy. Spotykamy się jutro o ósmej rano.

- Zajmę się lekarzami - powiedział Martinsson.

Pozbierali swoje papiery i wstali. Zadzwonił telefon. Martinsson i Wallander byli już na korytarzu, kiedy Björk ich zawrócił.

- Przełom - oznajmił z wypiekami na twarzy. - Chyba mamy samochód. Dzwonił Noren. Na pogorzeliisku pojawił się niejaki Antonson, rolnik, i zapytał, czy policja jest zainteresowana czymś, co odkrył w stawie, kilka kilometrów od spalonego domu. O ile pamiętam, w kierunku Sjóbohallet. Noren od razu tam pojechał i zobaczył antenę radiową wystającą z brejowatej wody. Antonson jest pewien, że tydzień temu samochodu tam nie było.

- Cholera - burknął Wallander. - Nie możemy z tym czekać do jutra. Musimy załatwić reflektory i dźwig.

- Mam nadzieję, że w tym samochodzie nikogo nie ma - powiedział Svedberg.

- Tego się właśnie musimy dowiedzieć - rzucił Wallander. - Chodźmy.

Staw znajdował się w trudno dostępnym miejscu, tuż obok zagajnika, na północ od Krageholmu w kierunku Sjóbo.

Umieszczenie tam reflektorów i dźwigu zajęło policjantom przeszło trzy godziny. O wpół do dziesiątej udało im się przymocować do samochodu stalową linę. Wallander zdążył się w tym czasie pośliznąć i zsunąć do stawu. Noren pożyczył mu kombinezon, który na wszelki wypadek woził w bagażniku. Wallander nawet nie zauważył, że przemókł i zaczął marznąć. Całą uwagę skupił na samochodzie.

Czuł napięcie i niechęć. Miał nadzieję, że to samochód, którego szukają, i obawiał się, że w środku jest Louise Akerblom.

- Przynajmniej jedno nie ulega wątpliwości - odezwał się Svedberg. - To nie jest nieszczęśliwy wypadek. Wepchnięto wóz do stawu, żeby go ukryć. Przypuszczalnie ciemną nocą, bo sprawca nie zauważył wystającej anteny.

Wallander skinął głową. Tak, Svedberg miał rację. Lina powoli się naprężyła i zaczął się wyłaniać tył samochodu.

Wallander spojrział na Svedberga, który jak mało kto znał się na samochodach.

- To ten? - spytał.

- Moment - odparł Svedberg. - Jeszcze nie wiem. Lina się obluzowała i odczepiła. Samochód zanurzył się w brei.

Musieli wszystko zaczynać od nowa. Pół godziny później dźwig przystąpił do dzieła.

Inspektor patrzył to na samochód, to na Svedberga.

W końcu Svedberg pokiwał głową.

- Tak, to ten. Toyota corolla. Na sto procent. Wallander przesunął reflektor. Teraz było widać kolor.

Granatowy.

Dźwig wyciągnął samochód i zakończył pracę. Svedberg popatrzył na Wallandera. Podeszli do toyoty i zajrzeli do środka.

Nikogo.

Wallander otworzył bagażnik.

Nic.

- Samochód jest pusty - poinformował Bjórka.
- Może leży gdzieś na dnie stawu - powiedział Svedberg. Inspektor przytaknął i rozejrzał się. Staw miał około stu metrów obwodu. Ponieważ wystawała antena, nie mógł być głęboki.

- Potrzebujemy nurków - zwrócił się do Bjórka. - Teraz zaraz.

- Nic nie zobaczą w takich ciemnościach - zaproponował Bjórk. - Zaczekamy z tym do jutra.

- Nie chcę czekać do jutra. Wystarczy, że się przejdą z drapaczami.

Bjórk uległ. Poszedł do radiowozu, żeby zadzwonić gdzie trzeba.

Svedberg otworzył drzwi od strony kierowcy i poświecił latarką. Ostrożnie wyjął mokry telefon.

- Powinien tu być ostatni wybrany numer - powiedział. - Mogła dzwonić nie tylko do biura.

- Dobrze pomyślałeś, Svedberg - przyznał Wallander. Czekając na nurków, przeszukali samochód. Na tylnym siedzeniu Wallander znalazł papierową torebkę z rozmokłymi ciastkami.

Na razie wszystko się zgadza, pomyślał. Ale co stało się później? Kogo spotkałaś, Louise? Kogoś, z kim byłaś umówiona? Czy kogoś, kto chciał cię zobaczyć bez twojej wiedzy?

- Nie ma torebki - powiedział Svedberg. - Ani teczki. W skrytce jest tylko dowód rejestracyjny, ubezpieczenie i Nowy Testament.

- Poszukaj odręcznie narysowanej mapy. Mapy nie było. Wallander obszedł toyotę. Nie była uszkodzona. Louise Akerblom nie miała wypadku.

Usiedli w samochodzie patrolowym i pili kawę z termosu. Przestało padać. Wypogodziło się.

- Czy ona jest w stawie? - spytał Svedberg.

- Nie wiem. Może.

Dwaj młodzi nurkowie przyjechali jednym z wozów strażackich. Wallander i Svedberg mieli już okazję ich poznać. Przywitali się.

- Czego szukamy?

- Zwłok, teczek, torebki lub innych rzeczy, o których nic nie wiemy - odparł Wallander.

Nurkowie przygotowali się i weszli do zawiesistej wody z rozciągniętymi między sobą na linkach drapaczami.

Policjanci przyglądali się im w milczeniu.

Kiedy pierwszy raz przeczesali staw, pojawił się Martinsson.

- Widzę, że to ten samochód - powiedział.

- Możliwe, że Louise jest gdzieś na dnie - wyjaśnił Wallander.

Nurkowie pracowali bardzo rzetelnie. Od czasu do czasu któryś się zatrzymywał i coś wyciągał. Na brzegu zaroilo się od różnych przedmiotów. Popsute sanki, części kombajnu, zbutwiałe gałęzie, kalosz.

Minęła północ. Nadal żadnych śladów Louise Akerblom.

Za kwadrans druga nurkowie wyszli na ląd.

- Nic więcej tam nie ma - powiedział jeden z nich. - Ale w dzień możemy powtórzyć przeszukiwanie, jeśli uważacie, że to coś da.

- Nie - skwitował Wallander. - Ona jest gdzie indziej.

Zamienili kilka słów i rozjechali się do domów.

Wallander wypił piwo i zjadł kilka sucharków. Ze zmęczenia nie był w stanie sensownie myśleć. Nie rozbierając się, padł na łóżko i przykrył się kocem.

W środę 29 kwietnia Wallander był w komendzie o wpół do ósmej rano.

Coś go zastanowiło. Odszukał numer telefonu do pastora Turesona, wykręcił, przeprosił, że dzwoni o tak wczesnej porze, i spytał, czy nie mogliby się spotkać w ciągu dnia.

- Czy chodzi o coś szczególnego? - zainteresował się

Tureson.

- Nie. Mam pewne przemyślenia i chciałbym uzyskać na nie odpowiedź. Wszystko może być ważne.

- Słuchałem lokalnych wiadomości i przeglądałem prasę. Czy nie ma nic nowego?

- Louise wciąż się nie odnalazła. Dla dobra śledztwa nie mogę zdradzać wszystkich szczegółów.

- Rozumiem. Przepraszam, że spytałem. Jestem, rzecz jasna, wstrząśnięty jej zaginięciem.

Umówili się o jedenastej w kościele metodystów.

Wallander odłożył słuchawkę i poszedł do Bjórka. Svedberg siedział i ziewał, Martinsson rozmawiał przez telefon, Bjórk nerwowo bębnił palcami po blacie stołu.

Martinsson skrzywił się i zakończył rozmowę.

- Spływają pierwsze informacje - powiedział. - Na razie są niewiele warte. Ktoś doniósł, że z całą pewnością widział Louise Akerblom na lotnisku w Las Palmas w ubiegły czwartek. Czyli dzień przed zniknięciem.

- Przejdźmy do rzeczy - przerwał mu Bjórk. Komendant najwyraźniej się nie wyspał. Był zmęczony i poirytowany.

- Samochód trzeba poddać dokładnym oględzinom - zaczął Wallander. - Informacje od ludzi należy w miarę ich spływania analizować i weryfikować. Pojadę na pogorzelisko, żeby się zorientować, co znaleźli technicy. Palec jest w drodze do laboratorium kryminalistycznego. Musimy zdecydować, czy mamy o tym powiadomić opinię publiczną.

- Owszem, powiadomimy - z nieoczekiwaną stanowczością powiedział Bjórk. - Martinsson pomoże mi sformułować notkę dla prasy. Podejrzewam, że w redakcjach będzie niezłe zamieszanie.

- Wołałbym, żeby Svedberg to zrobił - przyznał Martinsson.

- Ja mam na głowie kontakty z dwudziestoma pięcioma tysiącami lekarzy i niezliczoną liczbą przychodni i

oddziałów pogotowia. To żmudna praca.

- Dobrze - zgodził się Bjórk. - A ja zajmę się tym adwokatem z Varnamo. Spotkamy się po południu, jeśli nic nie stanie na przeszkodzie.

Wallander poszedł do samochodu. Zapowiadał się pogodny dzień. Przystanął i odetchnął świeżym powietrzem. Po raz pierwszy w tym roku miał uczucie, że wiosna jest tuż-tuż.

Na pogorzelsku czekały go dwie niespodzianki. Technicy mieli się czym pochwalić. Wallandera przywitał Sven Nyberg, który pojawił się w Ystadzie zaledwie kilka miesięcy temu. Pracował w Malmö i kiedy nadarzyła się okazja, bez wahania się przeniósł. Wallander na razie nie miał z nim zbyt wiele do czynienia. Wiedział z plotek, że jest zdolny i doświadczony. A o jego obcesowości i niełatwym kontakcie z innymi mógł się osobiście przekonać.

- Chyba powinienes coś zobaczyć - rzucił Nyberg.

Weszli pod osłonę przeciwdeszczową rozpiętą na czterech słupkach. Na folii leżały powykręcane kawałki metalu.

- Bomba? - spytał Wallander.

- Nie - odparł Nyberg. - Jeszcze nie znaleźliśmy żadnych śladów bomby. Ale to jest nie mniej interesujące. To fragmenty dużej radiostacji.

Wallander popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

- Nadajnik i odbiornik - wyjaśnił Nyberg. - Nie wiem, jakiego typu ani jakiej firmy, w każdym razie to nie jest zabawka dla radioamatorów. Co taki sprzęt robi w opuszczonym domu, który nagle staje w ogniu?

Wallander pokiwał głową.

- Masz rację. Chciałbym się o tym dowiedzieć czegoś więcej.

Nyberg podniósł z folii jakiś metalowy przedmiot.

- To jest równie interesujące. Poznajesz? Wallander pomyślał o kolbie.

- Broń - powiedział. Nyberg przytaknął.

- Pistolet. Przypuszczalnie był naładowany i kiedy dom

wyleciał w powietrze, magazynek eksplodował pod wpływem fali uderzeniowej lub płomieni. Podejrzewam, że to dosyć nietypowy model. Jak widzisz, kolba jest wydłużona. To na pewno nie luger ani beretta.

- A co?

- Za wcześniej na odpowiedź. Dam ci znać, jak tylko się tego dowiemy. - Nyberg nabił fajkę i zapalił. - Co o tym wszystkim myślisz?

Wallander pokręcił głową.

- Rzadko mi się zdarza, żebym się czuł tak niepewnie jak teraz - przyznał. - Nie widzę żadnych związków, wiem tylko, że szukając zaginionej kobiety, ciągle się natykam na przedziwne rzeczy. Odcięty palec, części radiostacji, rzadki model broni. Może powinienem wyjść od tego, co nietypowe i z czym jako policjant nigdy dotąd się nie zetknąłem?

- Cierpliwości. Z czasem na pewno znajdziemy powiązania.

Nyberg wrócił do swojej pracochłonnej układanki. Wallander krążył przez chwilę po pogorzelsku i jeszcze raz próbował dokonać podsumowania. W końcu zrezygnował.

Wsiadł do samochodu i zadzwonił do komendy.

- Czy wpływa dużo informacji? - spytał Ebbę.

- Telefony dzwonią bez przerwy - odparła. - Przed chwilą przechodził tędy Svedberg i powiedział, że jest kilka wiarygodnych i ciekawych wiadomości. Ale nic więcej nie wiem.

Wallander postanowił, że po rozmowie z pastorem dokładnie przeszuka biurko Louise Akerblom w jej firmie. Miał wyrzuty sumienia, że tak długo zadowalał się pobieżnymi oględzinami.

Pojechał do Ystadu. Ponieważ do spotkania z Turesonem miał dużo czasu, zaparkował przy rynku i wszedł do sklepu ze sprzętem grającym. Niewiele myśląc, kupił na raty nową wieżę i za gotówkę CD z *Turandot* Pucciniego. Potem udał się na Mariagatan, nastawił płytę, położył się na kanapie i

usiłował myśleć o Bajbie Liepie. Niestety, przeszkadzała mu w tym Louise Akerblom.

Obudził się, spojrzął na zegarek i zaklął. Od dziesięciu minut powinien być w kościele metodystów.

Pastor Tureson przyjął go na zapleczu, w pomieszczeniu będącym połączeniem magazynu i biura. Na ścianach wisiały makatki z cytatami z Biblii. Na parapecie stał ekspres do kawy.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Wallander.

- Dobrze rozumiem, że policja ma mnóstwo pracy - odparł Tureson.

Wallander usiadł na krześle i wyjął kołonotatnik. Tureson zaproponował kawę, ale Wallander odmówił.

- Próbuję wyrobić sobie jakieś zdanie o Louise Akerblom - zaczął. - Na razie dowiedziałem się tylko tyle, że jest osobą niezwykle zrównoważoną, która nigdy z własnej woli nie porzuciłaby męża i dzieci.

- Wszyscy taką ją znamy.

- Jednocześnie wydaje mi się to podejrzane.

- Podejrzane? - zdziwił się Tureson.

- Po prostu nie wierzę, że są ludzie pozbawieni wad - wyjaśnił. - Każdy ma swoje ciemne strony. Zakładam, że Louise Akerblom nie zniknęła dobrowolnie z tego powodu, że nie była w stanie znieść swojego szczęścia.

- Wszyscy członkowie naszej gminy powiedzą panu inspektorowi to samo.

Wallanderowi nigdy nie udało się znaleźć odpowiedzi na pytanie, co takiego sprawiło, że zaczął słuchać pastora ze wzmożoną uwagą. Wydawało się, że Tureson broni szlachetnego wizerunku Louise Akerblom, choć Wallander wcale go nie kwestionował. A może pastor bronił czegoś innego?

Wallander postanowił spytać o coś, co dotąd uważał za mniej istotne.

- Proszę mi opowiedzieć o wiernych - zaczął. - Dlaczego ludzie decydują się na przystąpienie do Kościoła metodystycznego?

- Nasza wiara i egzegetyka jawią się jako jedynie słuszne.

- A są takie?

- W moim pojęciu i w opinii gminy - tak. Choć, co naturalne, inne grupy wyznaniowe je kwestionują.

- Czy ktoś z waszej gminy nie lubi Louise Akerblom?

- spytał Wallander i natychmiast odniósł wrażenie, że pastor zbyt długo zwleka z odpowiedzią.

- To raczej niemożliwe.

Znowu to samo, pomyślał Wallander. Wymijająca, pokrętna odpowiedź.

- Dlaczego ja panu nie wierzę?

- Powinien pan, inspektorze. Dobrze znam swoich wiernych.

Wallandera ogarnęło zmęczenie. Zdał sobie sprawę, że musi inaczej stawiać pytania, jeśli chce zburzyć spokój pastora. Musi przejść do ataku.

- Wiem, że Louise Akerblom ma wrogów wśród członków gminy - powiedział. - Nieważne, skąd to wiem. Byłbym wdzięczny za kilka słów komentarza.

Tureson długo mu się przyglądał.

- Nie, nie ma wrogów - odparł - ale rzeczywiście jeden z naszych wiernych pozostawał z nią w dość niefortunnej relacji. - Wstał i podszedł do okna. - Opadły mnie wątpliwości. Wczoraj wieczorem chciałem do pana zadzwonić. Ale się rozmyśliłem. Wierzmy, że Louise wróci. Że wszystko się wyjaśni. Jednocześnie, przyznaję, czułem niepokój. - Usiadł na krześle. - Mam powinności wobec pozostałych członków gminy. Nie chcę nikogo przedstawiać w złym świetle. Nie mogę rzucać oskarżeń, nie upewniwszy się, czy nie są fałszywe.

- Nasza rozmowa nie ma charakteru oficjalnego

przesłuchania. To, co pan powie, zostanie między nami. Nie sporządzą żadnego protokołu.

- Nie wiem, jak to ująć.

- Bez ogródek. Tak jest najprościej.

- Dwa lata temu pozyskaliśmy nowego wyznawcę - zaczął pastor Tureson. - Pracował jako maszynista na jednym z promów pływających do Polski. Rozwodnik, trzydzieści pięć lat, miły i skromny. Wszyscy go polubili. Mniej więcej rok temu Louise Akerblom poprosiła mnie o rozmowę. Bardzo jej zależało na tym, żeby mąż o niczym się nie dowiedział. Usiedliśmy tutaj, w tym pomieszczeniu, i Louise wyznała, że nasz nowy członek nie daje jej spokoju, pisze do niej miłosne listy, śledzi ją, nęka telefonami. Próbowwała go od tego odwieść, niestety, bezskutecznie. W końcu sytuacja stała się nie do wytrzymania. Louise chciała, żebym z nim pomówił. Zgodziłem się. Wpadł w szal, twierdził, że Louise go zdradziła i że to ja mam na nią zły wpływ. Rzekomo go kochała i zamierzała porzucić męża. Było to całkowicie niedorzeczne. Przestał przychodzić na nasze spotkania, rzucił pracę na promie, myśleliśmy, że zniknął na dobre. Poinformowałem wiernych, że się przeprowadził i zabrakło mu śmiałości, żeby się pożegnać. Louise bardzo się ucieszyła. Ale jakieś trzy miesiące temu wszystko zaczęło się od nowa. Któregoś wieczora Louise zobaczyła go na ulicy przed swoim domem. To był dla niej szok. Znowu prześladował ją miłosnymi wyznaniem. Nie będę ukrywał, inspektorze Wallander, że braliśmy pod uwagę powiadomienie policji. Teraz żałuję, że tego nie zrobiliśmy. To może być, naturalnie, przypadek, ale z każdą godziną mam coraz większe wątpliwości.

Nareszcie, pomyślał Wallander. Nareszcie jakiś punkt zaczepienia. Mimo że nic nie rozumiem z tych czarnych palców, radiostacji i rzadkich modeli pistoletów.

- Jak on się nazywa?

- Stig Gustafsson.
- Czy zna pan jego adres?
- Nie, ale mam numer osobowy. Kiedyś naprawiał w naszym kościele rury i dostał za to wynagrodzenie.
- Tureson podszedł do biurka i zajrzał do skoroszytu.
- 570503-0470 - przeczytał. Wallander zamknął kołonoatnik.
- Bardzo dobrze pan zrobił, mówiąc o tym. Dowiedziałbym się prędzej czy później, ale dzięki temu oszczędzamy na czasie.
- Ona nie żyje, prawda? - nieoczekiwanie powiedział Tureson.
- Nie wiem. Naprawdę nie znam odpowiedzi na to pytanie.
- Wallander uściskał pastorowi dłoń na pożegnanie i wyszedł z kościoła. Był kwadrans po dwunastej.
- Podbiegł do samochodu, pojechał do komendy i szybkim krokiem ruszył do swojego pokoju, żeby ściągnąć kolegów na zebranie. Kiedy usiadł za biurkiem, zadzwonił telefon.
- Nyberg.
- Coś nowego? - spytał Wallander.
- Nie, ale właśnie sobie przypomniałem markę tego pistoletu.
- Już zapisuję - powiedział Wallander, wyjmując kołonoatnik.
- Miałem rację, że to bardzo rzadka broń, u nas mało spotykana.
- Tym lepiej. Łatwiej dotrzemy do źródła.
- To astra constable, dziewiątka. Widziałem go kiedyś na wystawie broni we Frankfurcie. A jeśli chodzi o broń, pamięć mi dopisuje.
- Gdzie się go produkuje?
- To właśnie jest dziwne. O ile wiem, robi się go na licencji w jednym jedynym kraju.
- W jakim?

- W Afryce Południowej. Wallander odłożył długopis.
- W Afryce Południowej? - Tak.
- Jak to możliwe?
- Nie wiem, dlaczego jakiś model broni jest popularny w jednym kraju, a w innym nie. Po prostu tak jest.
- Jasny gwint. Afryka Południowa.
- W każdym razie mamy pewne powiązanie ze znalezionym palcem.
- Co robi w Szwecji południowoafrykański pistolet?
- To już twoje zadanie.
- Dobrze, że od razu zadzwoniłeś. Jeszcze do tego wrócimy.
- Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć - skonstatował Nyberg i zakończył rozmowę.

Wallander wstał i podszedł do okna.

Przede wszystkim muszą się skoncentrować na odszukaniu Louise Akerblom i sprawdzeniu Stiga Gustafssona. Wszystkim innym zajmą się w kolejności.

Tyle mamy, pomyślał, po stu siedemnastu godzinach od zaginięcia Louise Akerblom. Podniósł słuchawkę. Zmęczenie minęło bez śladu.

Peter Hanson był złodziejem. Choć nie należał do czołówki, często dostawał zlecenia od swojego pracodawcy Morella, pasera z Malmö.

Rano w Noc Walpurgii Peter Hanson bardzo źle myślał o Morellu. Jak wszyscy zaplanował sobie wolne, kto wie, może wybrałby się do Kopenhagi. Ale poprzedniego dnia późnym wieczorem Moreli zadzwonił do niego z niezwykle pilną sprawą.

- Musisz załatwić cztery pompy starego typu - powiedział. - Takie, jakie są na każdym wiejskim podwórzu.

- Po świętach - zastrzegł się Peter Hanson. - To chyba może poczekać.

Telefon Morella go obudził. Peter Hanson nie lubił, kiedy ktoś go wyrywał ze snu.

- Nie może poczekać - odparował Moreli. - Zgłosi się po nie pewien gość, który pojutrze wraca samochodem do Hiszpanii. Chce je ze sobą zabrać i sprzedać tamtejszym Szwedom. Są sentymentalni i dużo zapłacą, byleby tylko mieć stare szwedzkie pompy w swoich hacjendach.

- Niby jak mam to zrobić? - spytał Peter Hanson. - Zapomniałeś, że jest święto? Jutro w każdym letniaku będzie pełno ludzi.

- Załatw to. Im wcześniej zaczniesz, tym lepiej. - Moreli zmienił ton. - W przeciwnym razie sprawdzę, ile jest mi winien twój brat.

Peter Hanson rzucił słuchawkę na widelki. Wiedział, że Moreli uzna to za pozytywną odpowiedź. Ponieważ został obudzony i z pewnością długo nie będzie mógł zasnąć, ubrał się i pojechał z Rosengardu, gdzie mieszkał, do Malmö. Wszedł do pubu i zamówił piwo.

Brat Petera Hansona, Jan-Olof, był jego największym nieszczęściem. Grał na Jagersro*[* Tor wyścigów konnych w Malmö.], obstawiał wyścigi w totalizatorze, grał również

na innych torach w kraju. Często i z marnym rezultatem. Wydawał ponad miarę i zadłużył się po uszy u Morella. Ponieważ był niewypłacalny, Peter Hanson stał się chodzącą gwarancją.

Moreli trudnił się przede wszystkim paserstwem. Ale z upływem lat doszedł do wniosku, że - podobnie jak inni przedsiębiorcy - musi postawić na pewną przyszłość. Albo zdecyduje się na specjalizację, albo poszerzy dotychczasową działalność. Wybrał to drugie.

Mimo że pozyskał wielu zleceniodawców, którzy mieli bardzo konkretne życzenia, postanowił rozkręcić lichwiarski interes, licząc na znaczne obroty.

Moreli był po pięćdziesiątce. Dwadzieścia lat parał się oszustwami, po czym zmienił branżę i pod koniec lat siedemdziesiątych zbudował w południowej Skanii paserskie imperium. Na niewidzialnych listach płac miał trzydziestu złodziei i kierowców, co tydzień skradziony towar trafiał do jego magazynu w porcie w Malmö, skąd przesyłano go dalej, do zagranicznych odbiorców. Ze Smalandii spływały wieże, telewizory i telefony komórkowe. Z Hallandii przyjeżdżały kradzione samochody, na które czekali chętni w Polsce, a ostatnio także w byłej NRD. Otwierał się przed nim duży rynek w państwach nadbałtyckich, poza tym dostarczył już kilka luksusowych wozów do Czech. Peter Hanson był zaledwie pionkiem w jego imperium. Moreli ciągle wątpił w jego fachowość i wykorzystywał go najczęściej do realizacji dość nietypowych zamówień. Takich jak zdobycie czterech pomp. Idealne zadanie dla Hansona.

Z tego też powodu Peter Hanson siedział rano w Noc Walpurgii w swoim samochodzie i kłął. Moreli popsuł mu święta. Poza tym trochę się martwił. Wszędzie będzie pełno ludzi i nie ma co liczyć na spokojną pracę.

Peter Hanson urodził się w Horby i znał Skanię na wylot.

Nie było takiej drogi, którą by nie przejeżdżał, i dopisywała mu pamięć. Pracował dla Morella od czterech lat, czyli od dziewiętnastego roku życia. Czasami myślał o tym wszystkim, co ładował do swojej skorodowanej furgonetki. Raz ukradł dwa byczki. Na Boże Narodzenie często zamawiano świnie. Kilka razy przewoził nagrobki, zastanawiając się przy tym, kim są ci najwyraźniej rąbnięci zleceniodawcy. Wynosił drzwi wejściowe, kiedy właściciele domów spokojnie spali, zdjął iglicę z kościoła za pomocą wynajętego na tę okoliczność dźwigu. Pompy nie były niczym nadzwyczajnym. Tylko został wybrany niewłaściwy dzień.

Na początek postanowił przepatrzeć okolice na wschód od lotniska Sturup. O Ósterlenie mógł zapomnieć. Tego dnia w każdym domu letniskowym będzie pełno ludzi. Może mu się powieść wyłącznie w trójkącie Sturup, Horby, Ystad, gdzie jest sporo opuszczonych gospodarstw i gdzie być może uda mu się popracować w spokoju.

Pierwszą pompę dostrzegł tuż za Krageholmem, przy krętej leśnej drodze na Sovde. Wałący się dom stał na uboczu. Pompa była zardzewiała, ale sprawna. Ledwie zaczął ją podważać łomem, zamocowanie natychmiast puściło. Odłożył łom i zabrał się do usuwania desek przykrywających otwór studni. Pomyślał, że zdobycie czterech pomp dla Morella może mimo wszystko nie jest nierealne. Jeszcze trzy opuszczone zagrody i wczesnym popołudniem wróci do Malmo. Było dopiero dziesięć po ósmej. Kto wie, czy wieczorem nie uda mu się pojechać do Kopenhagi.

Wyszarpał pompę. Runął drewniany fundament.

Zajrzał do studni. Na dnie coś było. Coś jasnożółtego.

Z przerażeniem odkrył, że to ludzka głowa.

W studni leżała kobieta.

Skurczone, powykręcane zwłoki.

Rzucił pompę, puścił się biegiem do samochodu i w

zawrotnym tempie odjechał. Kilka kilometrów dalej, tuż przed Sówde, zatrzymał się, otworzył drzwi i zwymiotował. Wiedział, że nic mu się nie przywidziało. Na dnie studni leżała kobieta.

Została zamordowana, pomyślał. I uzmysłowił sobie, że na pompie są jego odciski palców.

Jego odciski palców były również w kartotece.

Moreli to załatwi. Zdecydowanie za szybko przeciął Sówde, a potem skręcił na południe, na Ystad. Wróci do Malmö i niech Moreli się tym zajmie. Gość pojedzie do Hiszpanii bez pomp.

Przed zjazdem na wysypisko śmieci jego podróż dobiegła końca. Zapalając papierosa drżącymi dłońmi, wpadł w poślizg, skontrował, samochód uderzył w płot, ściał kilka skrzynek pocztowych i stanął. Peter Hanson miał zapięte pasy, dzięki czemu nie wyleciał przez przednią szybę. Siedział za kierownicą lekko zamroczony, w szoku.

Mężczyzna, który kosił trawę w ogródku, zobaczył, co się stało. Najpierw podbiegł do samochodu, żeby się upewnić, czy nikt nie został poważnie ranny, następnie pospieszył do domu, skąd zadzwonił na policję, a potem wrócił, żeby przypilnować kierowcę, gdyby ten zamierzał uciec. Na pewno jest pijany, pomyślał. Bo kto traci kontrolę nad samochodem na prostym odcinku drogi?

Kwadrans później przyjechał radiowóz z Ystadu. Wezwanie przyjęli Peters i Noren, dwaj najbardziej doświadczeni policjanci. Kiedy sprawdzili, że nikt nie doznał obrażeń, Peters zaczął kierować ruchem, a Noren usiadł z Peterem Hansonem na tylnym siedzeniu radiowozu, żeby się dowiedzieć, co się stało. Alkomat niczego nie wykazał. Mężczyzna był oszołomiony i nie chciał wyjaśniać powodów wypadku. Noren nabrał podejrzeń, że ma do czynienia z człowiekiem zaburzonym. Mówił od rzeczy o jakichś pompach, o paserze z Malmö, opuszczonym domu i studni.

- W studni leży kobieta - wydukał.
- Aha - bąknął Noren. - Kobieta w studni.
- Nie żyje.

Nagle Noren poczuł się nieswojo. Co ten mężczyzna chce mu powiedzieć? Że w studni przy opuszczonym domu znalazł martwą kobietę?

Poprosił go, by został w samochodzie, i szybkim krokiem podszedł do Petersa, który przeganiał ciekawskich kierowców.

- Twierdzi, że znalazł martwą kobietę w studni. O jasnych włosach.

Peters opuścił ręce.

- Louise Akerblom?

- Nie mam pojęcia. Nawet nie wiem, czy to prawda.

- Zadzwoń do Wallandera. Natychmiast.

Przed południem w Noc Walpurgii w ystadzkiej komendzie panował nastrój wyczekiwania. O ósmej spotkali się w sali zebrań. Tego dnia mieli na głowie inne zmartwienia niż zaginiona kobieta. Tradycyjnie zapowiadał się najbardziej niespokojny wieczór w roku, co było równoznaczne z mnóstwem przygotowań.

Na zebraniu mówili wyłącznie o Stigu Gustafssonie. W czwartkowe popołudnie i wieczór Wallander nadzorował poszukiwania byłego maszynisty. Kiedy zreferował przebieg rozmowy z pastorem Turesonem, wszyscy się zgodzili, że nastąpił przełom. Uznali, że odcięty palec i wysadzony w powietrze dom mogą poczekać. Martinsson wyraził pogląd, że być może to czysty zbieg okoliczności i że tych spraw nic nie łączy.

- Mielіśmy już podobne sytuacje - zauważył. - Robimy nalot na bimbrownika i znajdujemy złodziejską melinę u są siada, którego pytamy o drogę.

W piątek rano jeszcze nie udało im się namierzyć Stiga Gustafssona.

- Musimy się z tym dzisiaj uporać - powiedział Wallander. - Może go nie znajdziemy. Ale jeśli będziemy mieli adres, dowiemy się przynajmniej, czy nie opuścił mieszkania w pośpiechu.

Zadzwoił telefon. Bjórk chwycił słuchawkę, słuchał przez chwilę, po czym przekazał ją Wallanderowi.

- To Noren - wyjaśnił. - Jest na miejscu jakiegoś wypadku drogowego za miastem.

- Niech ktoś inny się tym zajmie - z irytacją odburknął Wallander.

Mimo wszystko wysłuchał, co Noren ma do powiedzenia. Martinsson i Svedberg, którzy dobrze znali jego reakcje i byli wyczuleni na najmniejsze zmiany jego nastroju, od razu się domyślili, że to coś ważnego.

Wallander wolno odłożył słuchawkę i popatrzył na kolegów.

- Noren jest przy zjeździe na wysypisko - zaczął. - Doszło do niegroźnego wypadku. Kierowca twierdzi, że widział martwą kobietę wepchniętą do studni.

Czekali w napięciu na ciąg dalszy.

- Jeśli dobrze zrozumiałem - podjął Wallander - studnia znajduje się w odległości niespełna pięciu kilometrów od domu, który miała obejrzeć Louise Akerblom. I w jeszcze mniejszej odległości od stawu, w którym znaleźliśmy jej samochód.

Na moment zaległa cisza. Potem wszyscy jednocześnie wstali.

- Ruszamy do akcji? - spytał Bjórk.

- Nie - odparł Wallander. - Najpierw trzeba to potwierdzić. Noren ostrzegał nas przed nadmiernym optymizmem. Jego zdaniem kierowca jest lekko wstrząśnięty.

- Też bym był - przyznał Svedberg - gdybym zobaczył martwą kobietę w studni, a potem staranował płot.

- I ja tak myślę - skwitował Wallander.

Wyruszyli z Ystadu dwoma radiowozami. Svedberg zabrał

się z Wallanderem, Martinsson jechał sam. Przy wyjeździe z miasta Wallander włączył syrenę. Svedberg spojrział na niego pytająco.

- Jest bardzo mały ruch - stwierdził.

- Nie szkodzi.

Zatrzymali się przed zjazdem na wysypisko, blady Peter Hanson usiadł z tyłu i udzielał im wskazówek, któredy mają jechać.

- To nie ja - powtarzał raz po raz.

- Co nie ja? - spytał Wallander.

- To nie ja ją zabiłem.

- A co pan tam robił?

- Miałem tylko ukraść pompę. Wallander i Svedberg spojrzeli po sobie.

- Wczoraj późno wieczorem zadzwonił Moreli i zamówił cztery pompy - wymruczał Peter Hanson. - Ale ja jej nie zabiłem.

Wallander nic nie rozumiał.

- Chyba wiem, o co chodzi - powiedział Svedberg. - W Malmö mieszka słynny paser o tym nazwisku. Słynny dlatego, że kolegom nigdy nie udało się go złapać na gorącym uczynku.

- Pompy? - z niedowierzaniem spytał Wallander.

- Zabytki - wyjaśnił Svedberg.

Zatrzymali się przed opuszczonym gospodarstwem i wysiedli. Wallander pomyślał, że zapowiada się pogodna Noc Walpurgii. Bezchmurne niebo, bezwietrznie i mimo wczesnej pory - była dopiero dziewiąta - co najmniej szesnaście stopni.

Przyjrzał się studni i leżącej obok pompie, po czym wziął głęboki oddech, podszedł bliżej i spojrział w dół.

Martinsson, Svedberg i Peter Hanson czekali w stosownej odległości. Wallander natychmiast rozpoznał Louise Akerblom. Nawet w chwili śmierci na jej twarzy malował się

uśmiech. Zrobiło mu się niedobrze. Szybko się odwrócił i kucnął.

Martinsson i Svedberg podeszli do studni i czym prędzej się cofnęli.

- O, cholera! - zaklął Martinsson.

Wallander przełykał ślinę i głęboko oddychał. Pomyślał o córeczkach Louise Akerblom i o jej mężu. Czy nadal będą wierzyć w dobrego i wszechmogącego Boga?

Wyprostował się.

- To ona - powiedział. - Z całą pewnością. Martinsson pobiegł do radiowozu, zadzwonił do Bjórka i poprosił o przysłanie ludzi. Żeby wyjąć Louise Akerblom ze studni, potrzebowali strażaków. Wallander usiadł z Peterem Hansonem na zapuszczonej werandzie i słuchał jego relacji. Od czasu do czasu zadawał pytania i potakująco kiwał głową. Wiedział, że Peter Hanson mówi prawdę. Właściwie powinni mu być wdzięczni, że chciał ukraść pompy. Inaczej upłynęłoby dużo czasu, zanim odnaleźliby Louise Akerblom.

- Spisz jego dane - Wallander zwrócił się do Svedberga po zakończeniu rozmowy z Peterem Hansonem. - A potem go wypuść. I dopilnuj, żeby Moreli potwierdził jego wersję.

Svedberg skinął głową.

- Który prokurator ma dzisiaj dyżur? - spytał Wallander.

- Wydaje mi się, że Bjórk wspominał o Perze Akesonie - odparł Svedberg.

- Skontaktuj się z nim. Powiedz, że ją znaleźliśmy i że to morderstwo. Po południu dostanie ode mnie raport.

- Co robimy ze Stigiem Gustafssonem?

- Na razie sam go szukaj. Martinsson zostanie ze mną. Wspólnie dokonamy pierwszych oględzin, kiedy ją wyciągniemy.

- Cieszę się, że mnie przy tym nie będzie - powiedział Svedberg i ruszył do samochodu.

Wallander kilka razy głęboko odetchnął i wrócił do studni.

Nie chciał być sam, kiedy będzie mówił Robertowi Akerblomowi, gdzie znaleźli jego żonę.

Po dwóch godzinach wydobyto ze studni ciało Louise Akerblom. Zajęli się tym ci sami młodzi strażacy, którzy dwa dni wcześniej przeczesywali staw. Wyciągnęli ją na uprząży i położyli w namiocie rozpiętym obok studni. Już w trakcie windowania zwłok Wallander wiedział, jak zginęła. Od strzału w czoło. Znow ogarnęło go przecucie, że w tym dochodzeniu wszystko wydaje się nienaturalne. Choć nie poznał Stiga Gustafssona, nie bardzo chciało mu się wierzyć, że mógłby ją zastrzelić z takiej odległości. Coś tu się nie zgadzało.

Spytał Martinssona o pierwsze wrażenia.

- Strzał w czoło - powiedział Martinsson. - To mi nie wygląda ani na niekontrolowane wzburzenie, ani na nieszczęśliwą miłość, tylko na egzekucję.

- To samo pomyślałem - przyznał Wallander. Strażacy opróżnili studnię z wody, opuścili się na dno i wrócili z torebką, teczką i jednym butem Louise Akerblom. Drugi but miała na nodze. Przefiltrowali odpompowaną do plastikowego basenu wodę. Martinsson nie dostrzegł nic godnego uwagi.

Strażacy jeszcze raz sprawdzili dno studni, oświetlając je silnymi lampami. Znaleźli jedynie koci szkielet.

Z namiotu wyszedł lekarz. Był blady jak ściana.

- To straszne - powiedział do Wallandera.

- Tak. Najważniejsze już wiemy. Została zastrzelona. Od patologów z Malmö chciałbym dostać dwie informacje. O kuli i ewentualnych obrażeniach, które mogły świadczyć o biciu albo o tym, że była przetrzymywana. O wszystkim, co się tylko da. I, rzecz jasna, czy nie była wykorzystana seksualnie.

- Kula utkwiała w głowie - wtrącił lekarz. - Nie zauważyłem wylotu.

- Jeszcze jedno. Obejrzyjcie jej nadgarstki i kostki. Chcę wiedzieć, czy nie ma śladów po kajdankach.

- Po kajdankach?

- Tak, po kajdankach - powtórzył Wallander.

Podczas akcji wyciągania Louise Akerblom ze studni Björk trzymał się z daleka. Kiedy zwłoki położono na noszach i odwieziono karetką do szpitala, odciągnął Wallandera na bok.

- Musimy powiadomić jej męża - powiedział.

My, pomyślał Wallander. Akurat. Chcesz, żebym ja to zrobił.

- Wezmę z sobą pastora Turesona.

- Postaraj się dowiedzieć, ile czasu zajmie mu poinformowanie wszystkich krewnych - podjął Björk. - Obawiam się, że nie utrzymamy tego zbyt długo w tajemnicy. Poza tym nie rozumiem, dlaczego wypuściliście tego złodzieja. Może pójść do pierwszej lepszej popołudniówki i zgarnąć pokaźną sumkę za ujawnienie tych rewelacji.

Wallandera zirytował mentorski ton Björka, musiał jednak przyznać, że istniało takie ryzyko.

- Tak. To było głupie. I ja za to odpowiadam.

- Myślałem, że Svedberg go puścił.

- Owszem, Svedberg, ale na moje polecenie.

- Nie bądź zły, że zwracam na to uwagę. Wallander wzruszył ramionami.

- Jestem zły na tego, kto to zrobił Louise Akerblom, jej córkom i mężowi.

Gospodarstwo otoczono blokadami i kontynuowano oględziny. Wallander wsiadł do samochodu, zadzwonił do pastora Turesona i powiedział, jak się sprawy mają. Pastor długo milczał, po czym umówił się z Wallanderem przed kościołem.

- Czy Robert Akerblom się załamał? - spytał Wallander.

- Ma oparcie w Bogu.

Zobaczmy, pomyślał Wallander. Zobaczmy, czy to wystarczy.

Pastor Tureson czekał na ulicy, ze spuszczoną głową.

Jadąc do miasta, Wallander mozolnie zbierał myśli. Powiadamianie najbliższych o nagłej śmierci kogoś z rodziny zawsze sprawiało mu najwięcej trudności. Nie miało znaczenia, czy zgon nastąpił wskutek nieszczęśliwego wypadku, samobójstwa lub zbrodni. Bez względu na dobór słów był zwiastunem tragedii. Przypomniawszy sobie, co kilka miesięcy przed śmiercią powiedział mu Rydberg, jego przyjaciel i kolega. „Nigdy nie będzie dobrego sposobu przekazywania wiadomości o nagłej śmierci. Powinniśmy to brać na siebie, nie cedować na innych, ponieważ jesteśmy odporniejsi, widzieliśmy to, czego nikt nie powinien oglądać”.

Dręczący go niepokój, że w całym tym dochodzeniu jest coś niepojętego, musi w końcu znaleźć swoje uzasadnienie. Spytał Martinssona i Svedberga, czy mają podobne odczucia. Czy istnieje związek między odciętym czarnym palcem i śmiercią Louise Akerblom? Czy to jedynie zbieg nieprzewidzianych okoliczności? A może ktoś świadomie zaaranżował ten mętlak?

Dlaczego doszło do tej nagłej śmierci? - pomyślał. Jedynym motywem, jaki do tej pory zdołaliśmy wykryć, jest nieszczęśliwa miłość. Ale od nieszczęśliwej miłości do morderstwa daleka droga. Na dokładkę sprawca działa z zimną krwią, samochód ukrywa w jednym miejscu, ciało w innym.

Może nie znaleźliśmy kompletnie nic, na co warto byłoby rzucić okiem. Co zrobimy, jeśli Stig Gustafsson okaże się czysty?

Pomyślał o kajdankach. O uśmiechu Louise Akerblom. O szczęśliwej rodzinie, która już nie istniała.

Co jest wyobrażeniem, a co jest rzeczywistością?

Pastor Tureson wsiadł do samochodu. Miał łzy w oczach. Wallander natychmiast poczuł ucisk w gardle.

- Jak wspominałem, Louise Akerblom nie żyje - zaczął. - Znaleźliśmy ją w opuszczonym gospodarstwie kilkadziesiąt kilometrów od Ystadu. Na razie nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Jak umarła?

- Została zastrzelona - odparł Wallander po krótkim namyśle.

- Mam jeszcze jedno pytanie, oczywiście abstrahując od tego, kto mógł się dopuścić takiego obłąkanego czynu. Czy bardzo cierpiała?

- Jeszcze nie wiem. Ale nawet gdybym wiedział, poinformowałbym jej męża, że śmierć nastąpiła błyskawicznie.

Zaparkowali przed willą Akerblomów. Zanim Wallander zjawił się przed kościołem metodystów, pojechał do komendy i przesiadł się do swojego samochodu. Nie chciał korzystać z radiowozu.

Robert Akerblom natychmiast otworzył drzwi, ledwie zdążyli zadzwonić. Widział nas, pomyślał Wallander. Pewnie podbiega do okna na dźwięk każdego samochodu hamującego na ulicy.

Zaprowadził ich do salonu. Wallander nasłuchiwał. Dziewczynek chyba nie było w domu.

- Niestety muszę pana zawiadomić, że pańska żona nie żyje - zaczął. - Znaleźliśmy ją w opuszczonym gospodarstwie kilkadziesiąt kilometrów za miastem. Została zamordowana.

Robert Akerblom patrzył na niego z kamienną twarzą. Jakby czekał na ciąg dalszy.

- Bardzo mi przykro - podjął Wallander. - Nic więcej nie mogę powiedzieć. Chciałbym pana prosić o

zidentyfikowanie zwłok. Ale nie ma pośpiechu. Równie dobrze może to zrobić pastor Tureson.

Robert Akerblom nie spuszczał z niego wzroku.

- Czy córki są w domu? - zapytał Wallander. - To będzie dla nich straszne.

Spojrzał na pastora.

- Będziemy się wzajemnie wspierać - powiedział Tureson.

- Dziękuję za wiadomość - odezwał się Robert Akerblom. -

Najgorsza była niepewność.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - powiedział Wallander. - Wszyscy mieliśmy nadzieję na inne rozwiązanie.

- Kto to zrobił? - spytał Robert Akerblom.

- Nie wiemy. Ale nie damy za wygraną, dopóki go nie schwytamy.

- Nigdy go nie złapiecie.

- Dlaczego pan tak myśli?

- Nikt nie chciał jej śmierci, więc jak znajdziecie winnego? Wallander nie umiał odpowiedzieć. Robert Akerblom dotknął ich największego problemu.

Kilka minut później wstał. Pastor Tureson odprowadził go do przedpokoju.

- Mają panowie dwie godziny na powiadomienie najbliższych krewnych - powiedział Wallander. - Gdyby się to nie udało, proszę do mnie zadzwonić. Nie możemy tego zbyt długo utrzymywać w tajemnicy.

- Rozumiem. - Pastor ściszył głos. - Stig Gustafsson?

- Ciągłe szukamy. Nie wiemy, czy to on.

- Macie jakieś inne tropy?

- Może. Ale, niestety, nie mogę na to odpowiedzieć.

- Dla dobra śledztwa? - Tak.

Wallander zorientował się, że pastor Tureson chciałby jeszcze o coś spytać.

- Proszę pytać.

Tureson odezwał się tak cicho, że Wallander z trudem go zrozumiał.

- Czy to morderstwo na tle seksualnym?

- Nie wiemy. Ale nie jest to oczywiście wykluczone.

Wallander opuścił willę Akerblomów z dziwnym uczuciem głodu przemieszonym z niesmakiem. Zatrzymał się na Österleden przed kioskiem z kielbaskami i zapchał się hamburgerem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł. Kiedy dotarł do komendy, Svedberg poinformował go, że Björk w wielkim pośpiechu zwołał konferencję prasową. Ponieważ Wallander był zajęty, wziął do pomocy Martinssona.

- Wiesz, jak to wyszło na jaw? - spytał Svedberg.

- Tak. Peter Hanson.

- Nie! Zgaduj jeszcze raz.

- Ktoś od nas?

- Nie. Moreli. Paser z Malmö. Nie przepuścił okazji, żeby naciągnąć popołudniówkę na pieniądze. Prawdziwa kanalia. Ale teraz mogą go nareszcie przymknąć. Zlecenie kradzieży jest karalne.

- Dostanie warunkowe.

Weszli do stołówki i nalali sobie po kubku kawy.

- Jak Akerblom to przyjął? - zapytał Svedberg.

- Nie wiem. To pewnie takie uczucie, jakby się straciło połowę życia. Nie można sobie tego wyobrazić, dopóki się samemu przez coś podobnego nie przejdzie. Przynajmniej ja nie mogę. W każdym razie musimy się spotkać, jak tylko skończy się konferencja prasowa. Do tego czasu postaram się przygotować podsumowanie.

- A ja przejrzę informacje, które spłynęły od ludzi. Może w piątek ktoś widział Louise Akerblom w towarzystwie mężczyzny podobnego do Stiga Gustafssona.

- Dobrze. I zbierz wszystko, co o nim mamy.

Konferencja trwała półtorej godziny. Wallander uporał się z podsumowaniem i sporządził plan najbliższych zajęć.

Björk i Martinsson pojawili się w sali zebrania kompletnie wykończeni.

- Teraz wiem, co czujesz - powiedział Martinsson, osuwając się na krzesło. - Nie spytali mnie tylko o kolor jej majtek.

- Mogłeś to sobie darować - odparował Wallander. Martinsson rozłożył ręce w przepaszającym geście.

- Spróbuję dokonać podsumowania - zaczął Wallander. - Początek pomijam, bo go znamy. Tak więc znaleźliśmy Louise Akerblom. Zginęła od strzału w czoło. Podejrzewam, że strzelano z niewielkiej odległości. W swoim czasie otrzymamy dokładne dane. Nie wiemy, czy została wykorzystana seksualnie. Nie wiemy, czy była bita lub przetrzymywana. Nie wiemy też, gdzie ją zamordowano. Ani kiedy. Nie ulega natomiast wątpliwości, że nie żyła, kiedy ją wrzucono do studni. Znaleźliśmy też jej samochód. Jak najszybciej powinniśmy mieć wstępne wyniki oględzin ze szpitala. Zwłaszcza te dotyczące ewentualnego gwałtu. Wtedy zaczniemy sprawdzać przypuszczalnych sprawców. - Wypił łyk kawy. - Jeśli chodzi o motyw i sprawcę, mamy na razie tylko jeden trop. Maszynista Stig Gustafsson zadreślał ją miłosnymi wyznania mi. Nadal nie udało nam się go namierzyć. Ty wiesz o tym więcej, Svedberg. Poza tym możesz omówić spływające do nas informacje. Śledztwo komplikuje znaleziony palec i eksplozja domu. Jakby tego było mało, Nyberg znalazł na pogorzelnisku fragmenty wysokiej klasy radiostacji i kolbę broni, która - jeśli dobrze zrozumiałem - jest najczęściej używana w Afryce Południowej. Czarny palec i pistolet jakoś tam do siebie pasują, ale ma się to nijak do zabójstwa Louise Akerblom. Wallander skończył i spojrzał na Svedberga, który wertował swoje niechlujnie leżące papiery.

- Najpierw telefony - powiedział. - Kiedyś zbiorę je do kupy i wydam książkę pod tytułem „Ludzie, którzy chcą po moc policji”. Zbiję na tym fortunę. Jak zwykle napłynęły

złorzeczenia, kłamstwa, błogosławieństwa, wyznania, mrzonki, urojenia i kilka sensownych informacji. Niestety, tylko jedna wydaje się godna uwagi. Zarządca majątku Rydsgard twierdzi, że w piątek po południu widział przejeżdżającą Louise Akerblom. Czas się zgadza. To by znaczyło, że wiemy, którą drogę wybrała. Nic ponadto. Ale nie jest niczym nowym, że najbardziej przydatne dane pojawiają się na ogół dużo później. Dopiero wtedy odzywają się ci, którzy wszystko sobie wcześniej przemyśleli. Co do Stiga Gustafssona, nie udało nam się ustalić, dokąd się przeprowadził. Ma w Malmö niezamężną krewną, ale na razie nie znamy jej imienia. W książce telefonicznej Gustafssonów jest do wyboru, do koloru. Pozostaje nam rozdzielić ich między siebie. Tyle mam do powiedzenia.

Björk spojrzał znacząco na Wallandera.

- Przede wszystkim musimy się skoncentrować na Stigu Gustafssonie - zaczął po chwili Wallander. - Jeśli możemy do niego dotrzeć wyłącznie przez krewną w Malmö, trzeba ją odszukać. Muszą nam w tym pomóc wszyscy ludzie z komendy, którzy potrafią podnieść słuchawkę. Też siądę do telefonu, jak tylko pogonię szpital. Pracujemy do oporu.

Björk przytaknął skinieniem głowy.

- Dobrze. W razie czego jestem w komendzie.

Svedberg zajął się poszukiwaniem krewnej Stiga Gustafssona. Wallander poszedł do swojego pokoju. Zanim wybrał numer szpitala, zadzwonił do ojca. Długo czekał. Przypuszczałnie ściągnął go z atelier. Od razu się zorientował, że jest w złym humorze.

- Cześć, to ja.

- Ja, czyli kto?

- Dobrze wiesz kto.

- Zdążyłem zapomnieć barwę twojego głosu. Wallander powstrzymał się przed rzuceniem słuchawki na widełki.

- Pracuję - powiedział. - Znaleźliśmy martwą kobietę w

studni. Została zamordowana. Nie będę miał dzisiaj czasu, żeby do ciebie zajrzeć. Chyba to rozumiesz.

Ku jego zdziwieniu ojciec nieoczekiwanie złagodniał.

- Tak, rozumiem. To przykre.

- Owszem. Chciałem ci tylko życzyć miłego wieczoru. Postaram się wpaść jutro.

- Yhm. Teraz nie mogę z tobą dłużej rozmawiać.

- Dlaczego?

- Spodziewam się gościa.

Rozmowa się urwała. Wallander siedział ze słuchawką w dłoni.

Gościa, pomyślał. Gertruda Andersson składa mu wizyty nawet wtedy, kiedy u niego nie pracuje? Długo kręcił głową. Muszę znaleźć dla niego chwilę czasu. To małżeństwo byłoby prawdziwą katastrofą.

Wstał i poszedł do pokoju Svedberga. Wziął spis numerów telefonów, wrócił do siebie i wykreślił pierwszy z brzegu. Jednocześnie pomyślał, że jeszcze tego popołudnia powinien się odezwać do prokuratora.

Minęła czwarta. Nadal nie udało im się namierzyć krewnej Stiga Gustafssona.

O wpół do piątej Wallander zadzwonił do domu Pera Akesona, zdał mu relację z dotychczasowego przebiegu wydarzeń i poinformował, że próbują odszukać Stiga Gustafssona. Prokurator nie miał żadnych uwag. Poprosił Wallandera o telefon, gdyby zaszło coś nowego.

Kwadrans po piątej Wallander wziął od Svedberga trzeci spis. No tak, jęknął, Noc Walpurgii. Mnóstwo ludzi wyjechało.

Pod dwoma pierwszymi numerami nikt się nie zgłaszał. Trzeci numer należał do starszej pani, która stanowczo zaprzeczyła, by ktokolwiek z jej rodziny miał na imię Stig.

Wallander otworzył okno, czując pierwsze objawy bólu głowy, po czym wybrał czwarty numer z listy Svedberga.

Czekał i czekał, już miał odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszał kobiecy głos. Przedstawił się.

- Tak - powiedziała młoda kobieta o imieniu Monica. - Stig to mój przyrodni brat. Jest maszynistą okrętowym. Czy się w coś wpakował?

Od razu opuściło go zmęczenie i zniechęcenie.

- Nie. Ale chcielibyśmy się z nim jak najszybciej skontaktować. Czy wie pani, gdzie on mieszka?

- Jasne, że wiem. W Lommie. Ale teraz nie ma go w domu.

- A gdzie jest?

- W Las Palmas. Jutro wraca. O dziesiątej rano będzie w Kopenhadze. Chyba załatwił sobie tę wycieczkę w biurze podróży Spies.

- Znakomicie. Byłbym wdzięczny za podanie jego adresu i numeru telefonu.

Dostał potrzebne informacje, przeprosił za kłopot i zakończył rozmowę. Potem ruszył do Svedberga, zabrawszy po drodze Martinssona. Żaden z nich nie wiedział, gdzie jest Bjórk.

- Pojedziemy do Malmö - zdecydował Wallander. - Pomogą nam miejscowi koledzy. Bjórk musi zarządzić kontrolę paszportów wszystkich pasażerów promów.

- Czy wspomniała, od kiedy go nie ma? - spytał Martinsson.

- Jeśli wykupił tygodniową wycieczkę, znaczyłoby to, że wyjechał w zeszłą sobotę.

Popatrzyli na siebie. Wymowa słów Martinssona była oczywista.

- Wracajcie do domu - powiedział Wallander. - Jutro powinniśmy być wypoczęci. Przynajmniej niektórzy. Spotykamy się o ósmej rano i jedziemy do Malmö.

Martinsson i Svedberg opuścili komendę. Wallander porozumiał się z Bjórkiem, który obiecał zadzwonić do kolegi z Malmö i załatwić, co trzeba.

Kwadrans po szóstej Wallander zatelefonował do szpitala.

Lekarz mógł mu udzielić jedynie ogólnikowych informacji.

- Na ciele nie ma żadnych widocznych obrażeń - powiedział.

- Żadnych siniaków ani złamań. Nie wydaje się, żeby doszło do gwałtu. Nie zauważyłem żadnych śladów na nadgarstkach i kostkach.

- Dobrze. Dziękuję. Odezwę się jutro.

Odłożył słuchawkę, wyszedł z komendy, pojechał do Kasebergi, usiadł na wzgórzu i przez chwilę patrzył na morze. Tuż po dziewiątej był w domu.

O świcie, zanim się obudził, miał sen. Patrzył na swoją dłoń. Była czarna jak u Afrykanina. Miotaly nim sprzeczne uczucia. Przerazenie i radość. Nieżyjący od blisko dwóch lat Rydberg przyjrzał się dłoni z dezaprobatą i spytał, dlaczego tylko jedna jest czarna.

- Jutro coś się wydarzy - odparł Wallander.

Po obudzeniu rozpamiętywał sen. Leżał w łóżku i zastanawiał się nad odpowiedzią, jakiej udzielił Rydbergowi. Co miał na myśli?

Wstał i spojrział w okno. W Skanii zapowiadał się bezchmurny, słoneczny i wietrzny dzień. Był pierwszy maja, szósta rano.

Choć spał zaledwie dwie godziny, nie czuł zmęczenia. Niedługo się dowiedzą, czy Stig Gustafsson ma alibi na piątkowe popołudnie, kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa została zamordowana Louise Akerblom.

Gdybyśmy już dzisiaj rozwikłali sprawę, byłoby to podejrzenie proste. Przez pierwsze dni nie mieliśmy żadnego punktu zaczepienia, potem wszystko ruszyło z kopyta. Każde śledztwo toczy się własnym rytmem i żyje własnym życiem. Jego zegary odmierzają inny czas, który albo stoi w miejscu, albo gna naprzód. Niczego nie można przewidzieć.

Spotkali się o ósmej w sali zebrań.

- Nie ma powodów, żebyśmy wtajemniczali duńską policję - zaczął Wallander. - Jeśli wierzyć Monice Gustafsson, Stig Gustafsson wylądował w Kopenhadze o dziesiątej. Leci liniami Scanairflight. Sprawdzisz to, Svedberg. Do Malmö może się dostać promem przez Limhamn, wodolotem albo poduszkowcem SAS-u. Obstawimy wszystkie miejsca.

- Maszynista okrętowy powinien wybrać duży prom - zauważył Martinsson.

- Chyba że mu się to znudziło - zaripostował Wallander.
- Na każdym przejściu będą po dwie osoby. Mają go zatrzymać i podać powód zatrzymania. Ostrożności nigdy dosyć. Kiedy go przywieziemy do komendy, chciałbym pierwszy z nim porozmawiać.
- Dwie osoby to mało - wtrącił Bjork. - Może przydałby się jeden wóz patrolowy gdzieś w pobliżu?

Wallander nie protestował.

- Rozmawiałem z kolegami z Malmö - podjął Bjork.
- Dostaniemy wsparcie. Sami uzgodnicie, w jaki sposób policjanci z kontroli paszportowej dadzą wam znać, kiedy pojawi się Gustafsson.

Wallander spojrzął na zegarek.

- Jeśli to wszystko, jedźmy. Lepiej być wcześniej.
- Samolot może mieć dobowe opóźnienie - powiedział Svedberg. - Poczekajcie, dopóki nie sprawdzę.

Kwadrans później wrócił z informacją, że samolot z Las Palmas jest spodziewany na Kastrup dwadzieścia po dziewiątej.

- Już wystartował - dodał. - Lecą z wiatrem.

Natychmiast wyruszyli do Malmö, dogadali się z tamtejszymi kolegami i rozdzielili. Wallander udał się z młodym aspirantem Engmanem do terminalu poduszkowców. Engman przyszedł na miejsce Naslunda, z którym Wallander miał okazję pracować przez wiele lat. Naslund pochodził z Gotlandii i kiedy tylko zwolnił się etat w Visby, bez chwili wahania wrócił do rodzinnego miasta. Wallanderowi brakowało czasami jego pogody ducha.

Martinsson z kolegą z Malmö obstawili terminal promowy w Limhamnie, a Svedberg czekał na przystani wodolotów. Kontaktowali się z sobą przez walkie-talkie. O wpół do dziesiątej wszyscy byli na swoich posterunkach. Wallanderowi udało się załatwić kawę dla siebie i aspiranta.

- Po raz pierwszy będę zatrzymywał mordercę - przyznał

Engman.

- Nie wiemy, czy to on - odparł Wallander. - W tym kraju człowiek jest niewinny, dopóki mu się nie udowodni winy. Nie zapominaj o tym.

Nie ucieszył go ten mentorski ton. Żeby go złagodzić, powinien teraz powiedzieć coś miłego. Ale nic nie przyszło mu do głowy.

O wpół do jedenastej Svedberg ze swoim partnerem dokonali bezkonfliktowego zatrzymania. Stig Gustafsson był niskim szczupłym mężczyzną o rzadkich włosach. Opalił się na urlopie.

Svedberg poinformował go, że jest podejrzany o morderstwo, założył mu kajdanki i powiedział, że zostanie przesłuchany w ystadzkiej komendzie.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparł Gustafsson. - Dla czego kajdanki? Dlaczego mam jechać do Ystadu? Kogo zabiłem?

Svedberg odnotował autentyczne zdumienie Stiga Gustafssona i pomyślał, że może być niewinny.

Za dziesięć dwunasta Wallander usiadł naprzeciwko zatrzymanego w pokoju przesłuchań. Zdążył już o tym powiadomić prokuratora Pera Akesona.

- Czy napije się pan kawy? - spytał Wallander.

- Nie. Chcę wrócić do domu. I chcę wiedzieć, dlaczego tu jestem.

- To, czy wróci pan do domu, będzie zależeć od pańskich odpowiedzi na moje pytania.

Zaczął od początku, od danych personalnych. Stig Gustafsson miał na drugie imię Emil i urodził się w Landskronie. Był wyraźnie zdenerwowany. Wallander dostrzegł pot na jego czole, ale nie musiało to niczego oznaczać. Jedni boją się węży, inni policji.

Następnie od razu przeszedł do rzeczy, w napięciu czekając na reakcję.

- Jest pan tutaj w związku z brutalnym zabójstwem Louise Akerblom.

Stig Gustafsson zamarł. Czyżby się nie spodziewał, że tak szybko znajdziemy ciało? - pomyślał Wallander. A może naprawdę jest zaskoczony?

- Louise Akerblom zaginęła w ubiegły piątek - podjął. - Jej zwłoki odkryliśmy kilka dni temu. Przypuszczalnie została zamordowana w piątek po południu. Co ma pan na ten temat do powiedzenia?

- Czy chodzi o tę Louise Akerblom, którą znam? Wallander zauważył, że Gustafsson się boi.

- Tak. O tę, którą pan poznał u metodystów.

- Została zamordowana? - Tak.

- To okropne!

Wallandera ogarnęło dręczące uczucie, że coś jest nie tak, kompletnie nie tak. Stig Gustafsson był autentycznie zdziwiony i wstrząśnięty. Wallander wiedział z doświadczenia, że sprawcy najokrutniejszych zbrodni potrafią niezwykle wiarygodnie odgrywać niewiniątka, ale coś mu nie dawało spokoju. Czyżby uchwycili się czegoś, co od początku było nieporozumieniem?

- Chciałbym się dowiedzieć, co pan robił w ubiegły piątek - powiedział. - Proszę zacząć od popołudnia.

Odpowiedź go zaskoczyła.

- Byłem na policji.

- Na policji?

- Tak, w Malmö. Następnego dnia miałem lecieć do Las Palmas i nagle się zorientowałem, że mój paszport stracił ważność. Poszedłem na policję po nowy. Okazało się, że jest już po godzinach, ale byli bardzo uczynni i o czwartej odebrałem paszport. A potem zajrzałem do pubu.

W tym momencie Wallander zrozumiał, że Stig Gustafsson jest poza wszelkimi podejrzeniami. Ale mimo wszystko nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Bardzo im zależało na

jak najszybszym rozwikłaniu tej zagadki. Poza tym dopuściłby się przewinienia służbowego, opierając się na przeczuciach.

- Zaparkowałem przed Dworcem Głównym - dodał Gustafsson.

- Czy ktoś może poświadczyć, że był pan w pubie tuż po czwartej?

- Nie wiem - odparł po namyśle. - Siedziałem sam. Może zapamiętał mnie jeden z barmanów. Bardzo rzadko chodzę do tego pubu. Nie należę do stałych gości.

- Jak długo pan tam był?

- Nie dłużej niż godzinę.

- Mniej więcej do wpół do szóstej?

- Chyba tak. Chciałem jeszcze zdążyć do monopolowego.

- Którego?

- Tego na tyłach domu towarowego NK. Nie wiem, jak się ta ulica nazywa.

- I poszedł pan tam?

- Tak. Kupiłem parę piw.

- Czy ktoś może to potwierdzić? Stig Gustafsson pokręcił głową.

- Sprzedawca miał rudą brodę - powiedział. - Ale może zachowałem rachunek. Na rachunkach chyba są daty, prawda?

- I co było dalej?

- Poszedłem do samochodu. Chciałem kupić walizkę w B&W przy Jagersro.

- Czy ktoś mógłby pana rozpoznać?

- Nie kupiłem walizki. Były za drogie. Z przykrością musiałem się zadowolić starą.

- I co potem?

- Zjadłem hamburgera w najbliższym McDonaldzie. Tam obsługują tylko dzieciaki. Pewnie nic nie pamiętają.

Wallander pomyślał o pewnej kasjerce z banku, z której

miał wielki pożytek w śledztwie prowadzonym kilka lat temu.

- Młodzi ludzie często mają dobrą pamięć - powiedział.

- Coś sobie przypomniałem. - Tak?

- Skorzystałem z toalety w pubie. I tam przez chwilę rozmawiałem z pewnym facetem. Narzekał na brak papierowych ręczników. Był lekko wstawiony. Powiedział, że nazywa się Forsgard i ma kwaciarnię w Hóörze.

Wallander zanotował to.

- Sprawdzimy. Wróćmy do McDonalda przy Jagersro. Było wtedy około wpół do siódmej?

- Chyba tak.

- Co zrobił pan potem?

- Pojechałem do Nissego na karty.

- Kto to jest Nisse?

- Stary cieśla, z którym pływałem przez wiele lat. Nazywa się Nisse Strómgren. Mieszka na Fóreningsgatan. Od czasu do czasu gramy w taką dość skomplikowaną grę, której się nauczyliśmy na Dalekim Wschodzie. Bardzo fajna. Polega na zbieraniu waletów.

- Jak długo był pan u niego?

- Wyjechałem stamtąd koło północy. Trochę za późno, bo musiałem wcześniej wstać. Autobus odchodził sprzed Dworca Głównego o szóstej rano. Autobus do Kastrup.

Wallander skinął głową. Stig Gustafsson ma alibi, pomyślał. Jeśli powiedział prawdę. I jeśli Louise Akerblom zginęła w piątek.

Nie było dostatecznych przesłanek do tymczasowego aresztowania. Prokurator nie wyda nakazu.

To nie on. Nawet gdybym go zaczął przyciskać w sprawie nękania Louise Akerblom, do niczego to nie doprowadzi.

Wallander wstał.

- Proszę poczekać - powiedział i wyszedł z pokoju. Usiedli w sali zebrań i przygnębieni wysłuchali jego relacji.

- Sprawdzimy jego alibi, ale, szczerze mówiąc, nie sądzę, by to był on. Pudło.

- Chyba się zanadto spieszysz - wtrącił Bjórk. - Przecież jeszcze nie wiemy, czy Louise Akerblom rzeczywiście zginęła w piątek po południu. Po wyjściu od kolegi Gustafsson mógł pojechać z Lommy do Krageholmu.

- Mało prawdopodobne. Co by Louise Akerblom robiła tyle czasu poza domem? Nie zapominaj, że zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce, że będzie o piątej. Coś się musiało stać przed piątą.

Milczeli.

Wallander popatrzył po kolegach.

- Porozmawiam z prokuratorem - powiedział. - Jeśli nie macie żadnych zastrzeżeń, wypuszczę Gustafssona.

Nie mieli.

Kurt Wallander udał się do drugiego skrzydła gmachu komendy, gdzie mieściły się lokale prokuratury. Wszedł do Pera Akesonu i poinformował go o wynikach przesłuchania. Ilekroć tu był, zawsze zastawał potworny bałagan. Biurko i krzesła zawałyły sterty papierów, kosz na śmieci pękał w szwach. Ale Per Akeson był wytrawnym prokuratorem. Nikt nigdy nie przyłapał go na tym, żeby zapodziać jakiś ważny dokument.

- Nie możemy go aresztować - skonstatował, wysłuchawszy Wallandera. - Mam nadzieję, że szybko uda się zweryfikować jego alibi.

- Tak. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby to był on.

- Czy są jakieś inne tropy?

- Bardzo wątpliwe. Ewentualnie mógł kogoś wynająć, żeby ją zabił. Zanim zaczniemy szukać dalej, jeszcze dzisiaj wszystko dokładnie sprawdzimy. Nie mamy żadnych innych punktów zaczepienia. Odezwę się.

Per Akeson skinął głową i zmrużył oczy.

- Ile godzin śpisz? - zapytał. - Widziałeś się w lustrze?

Wyglądasz koszmarnie!

- To nic w porównaniu z tym, jak się czuję. Wallander wstał i wrócił do pokoju przesłuchań.

- Zapewnimy panu transport do Lommy - powiedział. - Z pewnością jeszcze się skontaktujemy.

- Jestem wolny?

- Cały czas jest pan wolny. Przesłuchanie nie jest równoznaczne z aresztowaniem.

- Nie zabiłem Louise. Nie rozumiem, jak mogliście tak myśleć.

- Czyżby? A kto deptał jej po piętach?

Wallander dostrzegł w twarzy Stiga Gustafssona cień niepokoju. Niech wie, że my wiemy, pomyślał.

Odprowadził go do recepcji i załatwił mu transport.

Nigdy się już nie zobaczymy. Możemy skreślić Stiga Gustafssona.

Po godzinnej przerwie na lunch znów się spotkali w sali zebrań. Wallander zjadł w domu kilka kanapek.

- Gdzie się podziali normalni złodzieje? - westchnął Martinsson. - To zakrawa na jakąś ponurą fikcję. Martwa kobieta w studni i odcięty czarny palec. To wszystko, co mamy.

- Owszem - przytaknął Wallander. - Choćbyśmy nie wiem jak chcieli, nie możemy pominąć tego palca.

- Za dużo się tu płacze wątków - z irytacją zauważył Svedberg i podrapał się po łysinie. - Musimy to jakoś zebrać do kupy. Teraz zaraz, bo inaczej nigdy nie ruszymy z miejsca.

Wallander wyczuł w słowach Svedberga zakamuflowaną krytykę. Nie mógł nie przyznać mu pewnej racji. Zbyt szybkie koncentrowanie się na jednym tropie często bywa zwodnicze. Svedberg dał wyraz zrozumiałej konsternacji.

- Słusznie - powiedział. - Zobaczymy, co mamy. Louise Akerblom zostaje zamordowana. Nie wiemy, gdzie ani przez

kogo. Ale wiemy kiedy. W pobliżu eksploduje niezamieszany dom. Na pogorzelisku Nyberg znajduje fragmenty radiostacji i nadpaloną kolbę pistoletu. Takie pistolety produkuje się na licencji w Afryce Południowej. Na podwórzu znajdujemy odcięty czarny palec. Ktoś usiłował ukryć samochód Louise Akerblom w stawie. To czysty przypadek, że trafiliśmy na niego tak szybko. Podobnie jak na zwłoki. Wiemy, że zginęła od strzału w czoło, co sprawia wrażenie egzekucji. Przed zebraniem zadzwoniłem do szpitala. Nic nie wskazuje na seksualne podłoże zbrodni. Po prostu została zastrzelona.

- Trzeba to uporządkować - odezwał się Martinsson. - Trzeba zdobyć więcej danych o palcu, radiostacji i pistolecie. Natychmiast powinniśmy się skontaktować z adwokatem z Varnamo. Ktoś musiał być w tym domu.

- Podzielimy się zadaniami - podjął Wallander. - Poza tym chciałbym się podzielić swoimi przemyśleniami.

- Zaczynj od przemyśleń - powiedział Björk.

- Kto mógł zastrzelić Louise Akerblom? Na przykład gwałciiciel. Ale według wstępnej oceny lekarza najprawdopodobniej nie została zgwałcona. Na ciele nie ma śladów pobicia ani przetrzymywania na siłę. Louise Akerblom nie miała wrogów. Wobec tego można założyć, że zaszła pomyłka. Zginęła zamiast kogoś innego. Druga możliwość jest taka, że przez przypadek stała się świadkiem czegoś, czego nie powinna widzieć albo słyszeć.

- I tutaj nam pasuje dom - wtrącił Martinsson. - Jest niedaleko tego, który miała obejrzeć. Na pewno coś się tam odbywało. Mogła to zobaczyć i zginęła. Peters i Noren zajrzeli na posesję wdowy Wallin. Obaj uważają, że bardzo łatwo pomylić drogę.

Wallander skinął głową.

- Kontynuuj.

- Niewiele więcej mam do dodania. Z jakiegoś powodu

komuś odcięto palec. Albo sprawiła to eksplozja. Chociaż charakter okaleczenia na to nie wskazuje. Po takim wybuchu z człowieka zostaje proch. A palec był cały.

- Mało wiem o Afryce Południowej - włączył się Svedberg. - Tylko tyle, że to kraj rasistowski, w którym panuje przemoc. Szwecja nie utrzymuje kontaktów dyplomatycznych z Afryką Południową. Poza tym nie gramy z nimi w tenisa i nie ubijamy żadnych interesów. W każdym razie oficjalnie. Za nic nie potrafię zrozumieć, dlaczego akurat w Szwecji są jakieś ślady z Afryki Południowej. Mogłyby być wszędzie, tylko nie u nas.

- Może właśnie dlatego - mruknął Martinsson. Wallander natychmiast uchwycił się tego komentarza.

- To znaczy?

- Nic takiego. Wydaje mi się, że powinniśmy zmienić sposób myślenia, żeby się połączyć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Też jestem tego zdania - wtrącił Björk. - Na jutro chcę mieć wasze uwagi na piśmie. Zobaczymy, czy spokojny namysł popchnie śledztwo naprzód.

Podzielili się zadaniami. Wallander przejął kontakt z adwokatem od Björka, który miał się skupić na wydębieniu wstępnego protokołu ogleźdin palca.

Wybrał numer do kancelarii adwokackiej i powiedział, że pilnie chciałby rozmawiać z Holmgrenem. Czekał tak długo, że zdążył się zirytować.

- Chodzi o nieruchomości w Skanii, którą pan zarządza wyjaśnił, kiedy Holmgren w końcu podszedł do telefonu.

- Tę, która spłonęła.

- To kompletnie niewytłumaczalne. Sprawdziłem, że dom był ubezpieczony od pożaru. Czy policja już wie, jak do tego doszło?

- Nie. Pracujemy nad tym. Chciałbym panu zadać kilka pytań.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo. Jestem bardzo

zajęty.

- Jeśli nie załatwimy tego telefonicznie, policja w Varnamo zaprosi pana do komisariatu.

- Proszę pytać - odparł po chwili adwokat. - Słucham.

- Ciągłe czekamy na faks z nazwiskami i adresami spadkobierców.

- Dopilnuję tego.

- Chciałbym wiedzieć, kto bezpośrednio odpowiada za tę nieruchomość.

- Ja. Nie rozumiem pytania.

- Domu trzeba doglądać. Naprawić dach, wytepić myszy.

Czy pan to robi?

- Zajmuje się tym jeden ze spadkobierców z Vollsjo, Alfred Hanson.

Wallander zapisał adres i numer telefonu.

- Dom stał pusty od roku, czy tak?

- Od ponad roku. Doszło do różnicy zdań w sprawie sprzedaży.

- Czyli, innymi słowy, nikt tam nie mieszkał?

- Oczywiście, że nie.

- Jest pan pewien?

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza. Dom był zamknięty na cztery spusty. Alfred Hanson regularnie do mnie dzwonił i informował, że wszystko jest w porządku.

- Kiedy ostatnio dzwonił?

- Skąd mam to pamiętać?

- Nie wiem, ale chciałbym otrzymać odpowiedź na to pytanie.

- Chyba koło Nowego Roku. Ale nie przysięgnę. Dlaczego to takie ważne?

- Na razie wszystko jest ważne. Dziękuję za informacje. Wallander zakończył rozmowę, wstał, wziął kurtkę i wyszedł.

- Jadę do Vollsjo - powiedział, stając w drzwiach pokoju

Martinssona. - Coś jest nie tak z tym domem, który wyleciał w powietrze.

- Ze wszystkim jest coś nie tak - odparł Martinsson. - Rozmawiałem z Nybergiem. Uważa, że zniszczona radiostacja mogła być wyprodukowana w Rosji.

- W Rosji?

- Tak powiedział.

- Jeszcze jeden kraj. Szwecja, Afryka Południowa i Rosja. Gdzie to się skończy?

Pół godziny później zajechał pod dom Alfreda Hansona. Dom był nowoczesny, wyraźnie odstawał od tradycyjnej zabudowy. Kiedy wysiadł z samochodu, w klatce rozszczekały się owczarki niemieckie. Dochodziło wpół do piątej. Wallander zgłódniał.

Na progu pojawił się czterdziestoletni mężczyzna. Bez butów, rozczochrany, zalaatywał alkoholem.

- Alfred Hanson? Mężczyzna skinał głową.

- Jestem z ystadzkiej policji.

- O, kurde - jęknął Hanson, zanim Wallander zdążył się przedstawić.

- Słucham?

- Kto na mnie doniósł? Ten pieprzony Bengtson?

- Nie mogę tego ujawnić - odparł po namyśle Wallander. - Policja chroni swoich informatorów.

- Tak, na pewno Bengtson. Czy jestem aresztowany?

- Porozmawiajmy.

Weszli do kuchni. Wallander natychmiast wyczuł słaby, ale niewątpliwy zapach fuzla. Wszystko stało się jasne. Alfred Hanson pędził bimber i sądził, że Wallander przyszedł go aresztować.

Hanson usiadł na krześle i podrapał się po głowie.

- Jak zwykle mam pecha - westchnął.

- O pędzeniu pomówimy później. Interesuje mnie także

inna sprawa.

- Jaka?

- Spalony dom.

- Nic o tym nie wiem.

Alfred Hanson wyraźnie się zaniepokoił.

- O czym pan nic nie wie? - zapytał Wallander.

- Z zawodu jestem lakiernikiem - powiedział, zapalając pomiętego papierosa drżącymi dłońmi. - Ale nie mam siły zasuwać dzień w dzień od siódmej rano. Pomyślałem, że wynajmę tę chałupę, gdyby znalazł się chętny. Byłem za tym, żeby ją sprzedać, ale rodzina cholernie wydziwia.

- Kim był ten chętny?

- Gość ze Sztokholmu. Jeździł po okolicy, zobaczył ten dom, spodobała mu się lokalizacja. Do dzisiaj zachodzę w głowę, jak do mnie trafił.

- Jak się nazywa?

- Przedstawił się jako Nordstrom. Ale co sobie pomyślałem, to inna para kaloszy.

- Co pan pomyślał?

- Dobrze mówił po szwedzku, ale z obcym akcentem. A cudzoziemcy chyba tak się nie nazywają, prawda?

- I chciał wynająć dom?

- Tak. Za niezłą sumkę. Dziesięć tysięcy koron miesięcznie. Trudno odmówić. Pomyślałem, że nic wielkiego się nie stanie. Będę miał parę groszy za dogłądanie domu. Spadkobiercy i Holmgren nie muszą nic wiedzieć.

- Na jaki okres go wynajął?

- Przyjechał tu na początku kwietnia i chciał korzystać z domu do końca maja.

- Czy podał powód?

- Jacyś malarze potrzebowali ciszy i spokoju. Wallander pomyślał o ojcu.

- Malarze?

- Tak, artyści. I wyłożył pieniądze na stół. Wziąłem bez

gadania.

- Kiedy się pan z nim znowu spotkał?
- Nigdy.
- Nigdy?
- Taki był niepisany warunek. Że będę się trzymał z daleka. To się trzymałem. Dałem mu klucze i po sprawie.
- Dostał pan klucze z powrotem?
- Nie. Powiedział, że wyśle je pocztą.
- Nie ma pan żadnego adresu?
- Nie.
- Mógłby go pan opisać?
- Był potwornie gruby.
- A poza tym?
- Jak, kurde, można opisać tłuściocha? Rzadkie włosy, czerwona nabrzmiała twarz. I gruby jak beczka.

Wallander pokiwał głową.

- Czy zostało panu coś z tych pieniędzy? - spytał, myśląc o odciskach palców.
- Nic. Dlatego znowu zacząłem pędzić.
- Jeśli pan natychmiast z tym skończy, nie zabiorę pana do Ystadu.

Alfred Hanson nie wierzył własnym uszom.

- Dobrze pan usłyszał. Oczywiście co jakiś czas będę pana sprawdzał. Proszę wylać wszystko, co pan ma.

Wallander wyszedł, zostawiając Hansona z otwartymi ze zdumienia ustami. Niedopełnienie obowiązków służbowych, pomyślał. Ale teraz nie mam czasu zajmować się bimbrownikami.

Pojechał w kierunku Ystadu. Nie wiedzieć czemu zatrzymał się na parkingu nad Krageholmssjön, wysiadł i udał się na brzeg jeziora.

Coś go przerażało w tym śledztwie. Miał wrażenie, że dopiero je rozpoczynają.

Boję się. Jakby czarny palec wskazywał na mnie. Tkwię w

czymś, czego nie jestem w stanie zrozumieć. Brakuje mi odpowiednich predyspozycji.

Usiadł na wilgotnym kamieniu. Zalała go fala zmęczenia i zniechęcenia. Popatrzył na jezioro i pomyślał, że śledztwo i jego odczucia cechuje duże podobieństwo. Tak jak nie potrafił zapanować nad własnymi emocjami, tak nie był w stanie pokierować tą sprawą. Westchnął. Błądzi w życiu, błądzi w poszukiwaniach mordercy Louise Akerblom.

Co dalej? Nie chcę mieć do czynienia z bezwzględными zabójcami, którzy gardzą ludzkim życiem. Nie chcę mieć nic wspólnego z przemocą, której do końca życia nie zrozumieję. Może następne pokolenie policjantów zdobędzie inne doświadczenia i inaczej będzie traktować swój zawód. Dla mnie już na to za późno. Nigdy się nie zmienię. Jestem i pozostanę w miarę zdolnym gliną w średniej wielkości okręgu policyjnym.

Wstał i przez chwilę przyglądał się sroce, która sfrunęła z wierzchołka drzewa.

Żadne pytanie nie doczeka się odpowiedzi, pomyślał. Staram się wyłapywać sprawców różnych przestępstw i stawiać ich przed sądem. Raz mi się to udaje, raz nie. Ale któregoś dnia zejdem z tego świata, poniosłszy porażkę w najważniejszym dochodzeniu. Życie na zawsze pozostanie zagadką.

Chcę się zobaczyć z córką. Czasami tęsknię za nią aż do bólu. Muszę schwytać czarnego mężczyznę bez palca, zwłaszcza jeśli to on zabił Louise Akerblom. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego to zrobił. Muszę śledzić Stiga Gustafssona, nie wolno go przedwcześnie spuszczać z oczu, mimo że jestem przeświadczony o jego niewinności.

Wrócił do samochodu.

Strach i przykre uczucia nie chciały go opuścić. Palec ciągle celował prosto w niego.

Mężczyzna z Transkei

Ledwie widoczny, siedział w kucki w cieniu wraku samochodu. Nie ruszał się, jego czarna twarz zlewała się z ciemną blachą karoserii.

Starannie wybrał to miejsce, skąd miał zostać zabrany. Czekał tu od wczesnego popołudnia. Teraz słońce zaczęło się chować za przedmiejskim gettem Soweto. Połyskiwała czerwienią wysuszona ziemia. Był 8 kwietnia 1992 roku.

Podróż zajęła mu dużo czasu. Biały człowiek, który go odwiedził, kazał mu się stawić odpowiednio wcześniej. Na wszelki wypadek nie wymienił żadnej konkretnej godziny. Przyjadą po niego tuż po zachodzie słońca. Tyle wiedział.

Dwadzieścia sześć godzin temu biały mężczyzna, który się przedstawił jako Stewart, zapukał do jego domu - blaszaka w Ntibane. W pierwszej chwili pomyślał, że to policja z Umtaty. Na ogół przychodzili raz w miesiącu. Po każdym napadzie na bank lub zabójstwie pod jego drzwiami stał wywiadowca z wydziału kryminalnego. Czasami zabierali go do Umtaty na przesłuchanie, ale najczęściej wierzyli w jego alibi, choć ostatnio polegało ono na tym, że się upijał w którymś z pobliskich barów.

Kiedy wyszedł przed dom, w ostrym słonecznym świetle zobaczył nieznanego mężczyznę, który twierdził, że nazywa się Stewart.

Victor Mabasha od razu się zorientował, że mężczyzna kłamie. Mógł się nazywać wszystko jedno jak, tylko nie Stewart. Choć mówił po angielsku, był Burem, a żaden Bur nie nosi takiego imienia.

Było popołudnie. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, Victor Mabasha spał. Bez pośpiechu się podniósł, włożył spodnie i otworzył. Zaczął się przyzwyczajać, że nikt już nie ma do niego ważnych spraw. Najczęściej przychodzili ci, którym był winien pieniądze, czasem zjawiał się jakiś naiwniak, licząc na pożyczkę. I policjanci. Ale oni nie pukali,

tylko łomotali albo wywalali drzwi.

Rzekomy Stewart miał około pięćdziesiątki. Był w źle skrojonym garniturze i obficie się pocił. Po drugiej stronie ulicy stał jego samochód. Victor zwrócił uwagę, że ma transwalskie numery. Dlaczego przejechał taki szmat drogi, żeby się z nim spotkać?

Mężczyzna nie zamierzał wchodzić do środka. Wyjął kopertę i powiedział, że ktoś chce się z nim pilnie widzieć następnego dnia pod Soweto.

- Wszystko jest tutaj - dodał.

Tuż obok blaszaka na wpół nagie dzieci bawiły się pogiętym kołpakiem. Przepędził je.

- Kto? - spytał.

Nie ufał białym. A najbardziej tym, którzy kiepsko kłamią i którym się wydaje, że zadowoli go jakaś koperta.

- Nie mogę powiedzieć - odparł Stewart.

- Zawsze ktoś chce się ze mną spotkać. Rzecz w tym, czy ja chcę się z tym kimś spotkać.

- Wszystko jest tutaj - powtórzył Stewart.

Victor wyciągnął rękę i wziął grubą brązową kopertę. Od razu wyczuł plik banknotów. To było przyjemne i niepokojące zarazem. Potrzebował pieniędzy. Nie wiedział jednak, od kogo je dostał, i to go martwiło. Nie chciał być zamieszany w nie wiadomo co.

Stewart otarł twarz i łysinę mokrą chusteczką.

- Na mapie zobaczysz zaznaczone miejsce spotkania - powiedział. - Pod Soweto. Chyba nie zapomniałeś, jak tam jest?

- Wszystko się zmienia. Wiem, jak wyglądało Soweto osiem lat temu, ale nie mam pojęcia, jak wygląda dzisiaj.

- Masz być nie w Soweto, tylko trochę dalej, na drodze dojazdowej do autostrady prowadzącej do Johannesburga. Tam nic się nie zmieniło. Żeby zdążyć na czas, musisz wyruszyć wcześniej rano.

- Kto chce się ze mną widzieć?
- Woli nie podawać swojego nazwiska. Zobacysz go jutro.
Victor pokręcił głową.
- Muszę znać nazwisko. Inaczej nie stawię się tam zawczasu.
W ogóle się nie stawię.

Stewart wahał się. Victor bacznie mu się przyglądał. Po dłuższym namyśle Stewart uznał, że Victor mówi prawdę. Rozejrzał się. Dzieci nigdzie nie było. Blaszak najbliższych sąsiadów, równie nędzny jak Victora, stał pięćdziesiąt metrów dalej. Przed drzwiami w wirującym kurzu jakaś kobieta ucierała ziarno. Kilka kóz szukało źdźbeł trawy na wysuszonej czerwonej ziemi.

- Jan Kleyn - półgłosem powiedział Stewart. - Jan Kleyn chce się z tobą spotkać. Zapomnij, że wiesz to ode mnie. Musisz być na czas.

Potem się odwrócił i poszedł do samochodu. Victor patrzył za nim, kiedy odjeżdżał w tumanach kurzu. Prowadził zdecydowanie za szybko. Jak większość białych, czuł się niepewnie na terenach zamieszkałych przez czarnych. Jakby odwiedzał terytorium wroga. Co zresztą było prawdą. Victor Mabasha uśmiechnął się.

Biali ludzie to strachliwi ludzie.

Dziwne, że Jan Kleyn posłużył się takim posłańcem. A może to kolejne kłamstwo Stewarta? Może wcale go nie przysłał Jan Kleyn. Może zrobił to kto inny?

Wróciły bawiące się kołpakiem dzieci. Victor wszedł do blaszaka, zapalił lampę naftową, usiadł na kulawym łóżku i siłą nawyku rozpruł kopertę od tyłu. Bomby listowe miały niemal zawsze detonatory z przodu. Niewiele osób spodziewało się takich przesyłek i większość otwierała je normalnie.

W kopercie była mapa, narysowana odręcznie czarnym flamastrem. Miejsce spotkania zostało zaznaczone czerwonym krzyżykiem. Widział je przed sobą. Trudno tam

nie trafić. Prócz mapy był plik czerwonych pięćdziesięciorandowych banknotów. Bez liczenia wiedział, że jest pięć tysięcy.

I to wszystko. Żadnej wiadomości, dlaczego Jan Kleyn chce się z nim zobaczyć.

Victor położył kopertę na klepisku i wyciągnął się na łóżku. Pościel zalatywała stęchlizną. Nad jego głową bzyczał niewidzialny komar. Przekręcił się na bok i patrzył na lampę.

Jan Kleyn chce się ze mną spotkać, pomyślał. Minęły dwa lata, od kiedy mi powiedział, że nigdy więcej nie będziemy mieli z sobą nic wspólnego. A teraz chce mnie widzieć. Dlaczego?

Usiadł na łóżku i spojrzął na zegarek. Jeśli jutro ma być pod Soweto, jeszcze dzisiejszego wieczora musi wyjechać z Umtaty. Stewart się pomylił. Nie może czekać do rana. Do Johannesburga było prawie dziewięćset kilometrów.

Nie musiał podejmować żadnych decyzji. Przyjął pieniądze, więc nie ma wyboru. Nie zamierzał się zadłużać u Kleyna na pięć tysięcy randów. Byłoby to równoznaczne z wydaniem na siebie wyroku śmierci. Jan Kleyn nigdy nie popuszczał tym, którzy go zawiedli.

Wysunął torbę spod łóżka i spakował kilka koszul, slipy i parę butów. Gdyby zadanie wymagało dużo czasu, kupi sobie niezbędne ubrania. Potem ostrożnie zdjął zaślepkę w szczycie łóżka. W folii leżały nasmarowane tłuszczem dwa noże. Wytarł je szmatką i ściągnął koszulę. Z haka u sufitu zdjął specjalny pas. Zapinając go w talii, z przyjemnością skonstatował, że nie musi zmieniać dziurki. Mimo że przez wiele miesięcy, dopóki nie skończyły się pieniądze, oddawał się picciu piwa, nie przybrał na wadze. Ciągle był w dobrej formie, choć wkrótce stuknie mu trzydzieści jeden lat.

Musnął opuszkami palców ostrza noży, które następnie włożył do pochew. Gdyby dotknął ciut mocniej, z palców

trysnęłaby krew. Usunął inną zaślepkę i wyjął pistolet, też owinięty folią i nasmarowany tłuszczem. Usiadł na łóżku i starannie go oczyścił. Parabellum 9 mm. Załadował magazynek specjalną amunicją do nabycia jedynie u handlarza bronią z Ravenmore. Dwa zapasowe magazynki zawiązał w jedną z koszul, które spakował do torby. Potem założył uprząż i schował pistolet do kabury. Teraz mógł pojechać na spotkanie z Janem Kleynem.

Chwilę później opuścił blaszak. Zamknął drzwi na zardzewiałą kłódkę i ruszył na przystanek autobusowy znajdujący się kilka kilometrów dalej, w kierunku na Umtatę.

Patrząc zmrużonymi oczami na czerwone słońce, które szybko opuszczało się nad Soweto, przywołał w pamięci swoją ostatnią bytność w tym mieście. Osiem lat temu pewien kupiec dał mu pięćset randów za zabicie konkurencyjnego sklepikarza. Jak zwykle zachował najdalej idącą ostrożność i starannie się przygotował. Ale już na początku wszystko poszło nie tak. Przypadkiem napatoczył się patrol policji i musiał na łeb na szyję uciekać z Soweto. Od tamtej pory się tam nie pokazał.

Afrykański zmierzch trwał bardzo krótko. Nagle otoczyły go ciemności. Z autostrady, która rozwidlała się na dwie nitki - jedna na Kapsztad, druga na Port Elizabeth - dochodził szum samochodów. Gdzieś w oddali zawyła policyjna syrena.

Jan Kleyn musiał mieć jakąś wyjątkową sprawę, skoro się z nim skontaktował. Nie brakowało chętnych do zastrzelenia kogokolwiek za tysiąc randów. Tymczasem Kleyn dał mu pięć tysięcy zaliczki. Z pewnością nie tylko dlatego, że uchodził za najlepszego i najbardziej bezwzględneho zawodowego zabójcę w Afryce Południowej.

Jego rozmyślenia przerwał dźwięk silnika samochodu, który zjechał z autostrady. Chwilę później zobaczył światła

reflektorów. Wyjął pistolet, przeładował i odbezpieczył. Auto zatrzymało się, oświetlając zakurzone zarośla i wrak samochodu. Victor Mabasha czekał w ciemnościach. Maksymalnie skupiony.

Ktoś wysiadł z wozu. Victor od razu się zorientował, że to nie jest Jan Kleyn. Zresztą wcale się tego nie spodziewał. Kleyn zawsze wysyłał innych po ludzi, z którymi chciał się spotkać.

Victor obszedł wrak, żeby zajść od tyłu zbliżającego się mężczyznę. Ponieważ przewidywał, że samochód zatrzyma się właśnie w tym miejscu, przeciwiczył ten manewr, żeby móc go wykonać bezszelestnie.

Wyrósł za plecami mężczyzny i przytknął mu lufę do głowy. Mężczyzna drgnął.

- Gdzie jest Jan Kleyn? - spytał Victor Mabasha. Mężczyzna powoli odwrócił głowę. Bał się.

- Zawiozę cię do niego - odparł.

- Dokąd?

- Na farmę pod Pretorią. W Hammanskraal.

Victor Mabasha uświadomił sobie, że to nie jest pułapka. Kiedyś spotkał się z Kleynem w Hammanskraal. Schował pistolet do kabury.

- Jedźmy - powiedział. - To tysiąc kilometrów stąd. Usiadł z tyłu. Mężczyzna za kierownicą milczał. Wkrótce z autostrady, którą podążali na północ, zobaczył światła Johannesburga. Ilekroć znajdował się w pobliżu tego miasta, zawsze wzbierała w nim gwałtowna nienawiść. Była jak dzikie zwierzę, które nie daje mu spokoju i nieustannie go prześladuje, przypominając o czymś, co chciałby wymazać z pamięci.

Victor Mabasha dorastał w Johannesburgu. Ojciec był górnikiem i rzadko gościł w domu. Przez wiele lat pracował w kopalniach diamentów w Kimberley, potem harował w wyrobiskach w Yerwoerdburgu, na północny wschód od

Johannesburga. W wieku czterdziestu dwóch lat wysiadły mu płuca. Victor Mabasha do tej pory nie mógł zapomnieć ostatnich miesięcy jego życia, przeraźliwego świstu, kiedy z trudem łąpał powietrze, i wylęknionego spojrzenia. Przez cały czas matka starała się prowadzić dom i opiekować dziewięciorgiem dzieci. Mieszkali w slumsach. Victor zapamiętał swoje dzieciństwo jako jedno wielkie niekończące się upokorzenie. Wcześniej zaczął się przeciwko temu buntować, ale jego protesty były opacznie rozumiane. Zaczął się zadawać z młodocianymi złodziejami, trafił do więzienia, w celi porządnie oberwał od białych policjantów. To tylko spotęgowało jego rozgoryczenie. Wyszedł na wolność i wrócił do rozbojów. Po swoim postanowił się uporać z poniżeniem. Zamiast - jak wielu kolegów - przyłączyć się do powstającego ruchu czarnych, wybrał odmienną drogę. Mimo że tyrania białych zniszczyła jego życie, uznał, że jedynym sposobem przetrwania są dobre stosunki z białymi. W zamian za protekcję podejmował się rozmaitych kradzieży na zamówienie białych paserów. Kiedy pewnego dnia, tuż po dwudziestych urodzinach, zaproponowano mu tysiąc dwieście randów za zabicie czarnego polityka, który znieważył białego sklepikarza, w ogóle się nie wahał. Miał to być ostateczny dowód, że jest po stronie białych. Jego zemsta polegała na tym, że nie zdawali sobie sprawy, jak mocno nimi gardzi. Myśleli, że jest głupim Kafrem, który zna swoje miejsce w Afryce Południowej. W głębi duszy nienawidził białych i dlatego był na ich usługach.

Czasami dowiadywał się z gazet, że któryś z jego dawnych kolegów został powieszony lub skazany na długoletnie więzienie. Ubolewał nad ich losem, ale nigdy nie opuściło go przeświadczenie, że wybrał słuszną drogę przetrwania i że z czasem być może zapewni sobie godne życie poza slumsami.

W wieku dwudziestu dwóch lat poznał Jana Kleyna. Choć byli rówieśnikami, Kleyn traktował go z wyniosłą pogardą. Jan Kleyn był fanatykiem. Victor Mabasha wiedział, że nienawidzi czarnych. Uważał ich za zwierzęta, które biali ciągle muszą karcić. Wcześniej przyłączył się do faszystowskiego burskiego ruchu oporu i w kilka lat zdobył czołową pozycję. Nie był politykiem, działał w ukryciu, wykorzystując swoje stanowisko w południowoafrykańskiej służbie wywiadowczej. Jego największy atut stanowiło okrucieństwo. Nie widział żadnej różnicy między zastrzeleniem czarnego i zabiciem szczura.

Victor Mabasha nienawidził i podziwiał Jana Kleyna. Imponowała mu jego absolutna pewność, że Burowie to naród wybrany, i jego bezwzględność. Jakby cały czas panował nad swoimi myślami i uczuciami. Na próżno usiłował znaleźć jego słaby punkt. Taki po prostu nie istniał. Dwa razy podjął się morderstw na zlecenie Jana Kleyna. Wywiązał się z tego bez zarzutu. Kleyn był zadowolony. Mimo że spotykali się wtedy regularnie, Jan Kleyn ani razu nie podał mu ręki.

Zostawili za sobą światła Johannesburga. Ruch na autostradzie do Pretorii wyraźnie się przerzedził. Victor Mabasha odchylił się na siedzeniu i zamknął oczy. Niedługo się dowie, dlaczego Jan Kleyn zmienił zdanie co do ich kontaktów. Choć tego nie chciał, czuł dreszczyk podniecenia. Jan Kleyn nigdy by go nie wezwał, gdyby nie chodziło o coś bardzo ważnego.

Dom stał na wzgórzu w odległości około dziesięciu kilometrów od Hammanskraal. Opasywał go wysoki parkan i strzegły przed intruzami biegające swobodnie owczarki niemieckie.

W pokoju obwieszonym myśliwskimi trofeami na Victora Mabashę czekało tego wieczora dwóch mężczyzn. Zasłony były zaciągnięte, służbę wysłano do domu. Mężczyźni

siedzieli naprzeciwko siebie przy stole przykrytym grubym zielonym obrusem. Popijali whisky i rozmawiali przyciszonymi głosami, jakby ich mimo wszystko ktoś mógł usłyszeć.

Jednym z mężczyzn był Jan Kleyn. Niesamowicie wychudzony, jak po niedawno przebytej chorobie. Ostre rysy twarzy upodabniały go do czujnego ptaka. Miał szare oczy i jasne rzadkie włosy. Był ubrany w ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Mówił zachrypniętym głosem, powściągliwie, niemal flegmatycznie.

Drugi mężczyzna, Franz Malan, stanowił jego przeciwieństwo. Był duży i gruby, miał wielki brzuch, czerwoną twarz i obficie się pocił. Ta zewnętrznie niedobrana para czekała w kwietniowy wieczór 1992 roku na przyjazd Victora Mabashy.

Jan Kleyn popatrzył na zegarek.

- Będzie tu za pół godziny - powiedział.

- Obyś się nie mylił - zauważył Franz Malan.

Jan Kleyn drgnął, jakby ktoś nagle wycelował w niego broń.

- Czy ja się kiedykolwiek pomyliłem?

Mówił cicho, ale trudno było nie wychwycić groźnych nutek.

Franz Malan przyglądał mu się w zadumie.

- Jak dotąd nie. Tak tylko pomyślałem.

- Źle myślisz. Marnujesz czas na niepotrzebne zamartwianie się. Wszystko się odbędzie zgodnie z planem.

- Mam nadzieję - przyznał Franz Malan. - Przełożeni wyznaczyliby nagrodę za moją głowę, gdyby coś się nie udało.

Jan Kleyn uśmiechnął się.

- Ja popełniłbym samobójstwo. Ale nie spieszy mi się do umierania. Wycofam się dopiero wtedy, kiedy odzyskamy to, co w ostatnich latach straciliśmy. Nie wcześniej.

Jan Kleyn zrobił zdumiewającą karierę. Był powszechnie znany ze swojej bezkompromisowej nienawiści do

wszystkich przeciwników polityki apartheidu. Wielu go lekceważyło, uznając za największego narwańca w burskim ruchu oporu. Ale ci, którzy go znali, wiedzieli, że jest chłodny i wyrachowany i mimo bezwzględności nigdy sobie nie pozwoli na pochopne działania. Uważał się za politycznego chirurga, do którego obowiązków należy usuwanie nowotworów stale zagrażających zdrowemu burskiemu organizmowi. Mało kto orientował się, że jest jednym z najbardziej skutecznych funkcjonariuszy służby wywiadowczej.

Franz Malan od ponad dziesięciu lat pracował w wojskowym tajnym wydziale bezpieczeństwa. Wcześniej działał w terenie, przeprowadzał operacje w Rodezji Południowej i Mozambiku. W wieku czterdziestu czterech lat przeszedł zawał i skończyła się jego kariera oficerska. Dzięki swoim poglądom i zdolnościom został przeniesiony do aparatu bezpieczeństwa. Wykonywał różnorodne zadania, od instalowania bomb w samochodach przeciwników apartheidu po organizowanie akcji terrorystycznych wymierzonych w członków ANC*[* Afrykański Kongres Narodowy.]. Należał do burskiego ruchu oporu, ale tak jak Jan Kleyn pozostawał w cieniu. Wspólnie obmyślili pewien plan, który zamierzali urzeczywistnić przy pomocy Victora Mabashy. Spędzili dni i noce na dyskusjach, w końcu doszli do porozumienia. Przedłożyli gotową propozycję zleceniodawcy, czyli tajnemu stowarzyszeniu o nazwie Komitet.

Wszystko zaczęło się z chwilą wypuszczenia na wolność Nelsona Mandeli, który blisko trzydzieści lat spędził w więzieniu na Robben Island. Dla Jana Kleyna, Franza Malana i innych prawomyślnych Burów oznaczało to wypowiedzenie wojny. Prezydent de Klerk zdradził swój naród, białą społeczność Afryki Południowej. Apartheidowi groziła zagłada. Chyba że zaszłoby coś drastycznego. Pewna

liczba wysoko postawionych Burów, wśród nich Jan Kleyn i Franz Malan, uznała, że wolne wybory nieuchronnie doprowadzą do przejścia władzy przez czarną większość. Byłoby to równoznaczne z katastrofą, sądnym dniem, godzącym w prawo narodu wybranego do rządzenia Afryką Południową wedle jego woli. Dyskutowali o wszelkich możliwych akcjach.

Ostateczna decyzja zapadła cztery miesiące temu. Spotkali się w tym właśnie domu, będącym własnością południowoafrykańskiej armii, wykorzystywanym do poufnych konferencji i zebrań. Oficjalnie służba wywiadowcza i wojsko nie utrzymywały żadnych kontaktów z tajnymi stowarzyszeniami. Obowiązywała je lojalność wobec urzędującego rządu i konstytucji. W rzeczywistości było inaczej. Tak jak w okresie świetności Bractwa Jan Kleyn i Franz Malan wszędzie mieli swoich ludzi. Operacja, którą zaplanowali na zlecenie Komitetu i byli gotowi wprowadzić w czyn, znajdowała oparcie w dowództwie południowoafrykańskiej armii, w pozostającym w opozycji do ANC Ruchu Inkatha i wśród dobrze sytuowanych przedsiębiorców i bankowców.

Siedzieli w tym samym pokoju co teraz, przy stole przykrytym zielonym obrusem, kiedy Jan Kleyn nagle zadał pytanie:

- Kto jest dzisiaj najważniejszą osobą w Afryce Południowej?

Franz Malan szybko się zorientował, o kogo mu chodzi.

- Zróbmy eksperyment myślowy - podjął Kleyn. - Wyobraź sobie, że nie żyje. Ale nie umarł śmiercią naturalną. Wtedy obwołano by go świętym. Wyobraź sobie, że został zamordowany.

- Doszłoby do niespotykanych dotąd zamieszek w murzyńskich dzielnicach. Strajk generalny. Chaos. Bylibyśmy jeszcze bardziej wyizolowani.

- I co dalej? Powiedzmy, że niekwestionowanym zabójcą jest czarny.

- To by tylko dołało oliwy do ognia. Inkatha i ANC zaczęłyby się otwarcie zwalczać. A my siedzielibyśmy z założonymi rękami i patrzyli, jak się nawzajem wykańczają kilofami, siekierami i dzidami.

- Tak jest. Ale pójdźmy krok dalej. Morderca jest członkiem ANC.

- Kongres znalazłby się w rozsypce. Następcy tronu rzuciliby się sobie do gardeł.

Jan Kleyn kiwnął głową.

- Dobrze. Dalej!

- Czarni zwróciliby się przeciwko białym - odparł po chwili namysłu Franz Malan. - A ponieważ ich polityczne ugrupowanie byłoby na krawędzi kompletnego rozpadu i anarchii, musielibyśmy poprosić o interwencję policję i wojsko. Doszłoby do wojny domowej. Gdybyśmy to dobrze zaplanowali, udałoby się wyeliminować wszystkich liczących się czarnuchów. A potem światowa opinia publiczna musiałaby przyjąć do wiadomości, że to Murzyni wszczęli wojnę.

Jan Kleyn przytaknął.

- Mówisz poważnie? - spytał Franz Malan, nie odrywając wzroku od rozmówcy.

Jan Kleyn nie ukrywał zdumienia.

- Poważnie?

- No, że mamy go uśmiercić - wyjaśnił.

- Oczywiście, że mówię poważnie. Za rok go usuniemy. Operacja Spriengboek*[* W jęz. afrikaans - szpringbok, zwany też antylopą skoczkiem.].

- Skąd ta nazwa?

- Bo wszystko trzeba jakoś nazwać. Nigdy nie upolowałeś antylopy? Jeśli strzał jest celny, podskakuje, zanim skona. I taki podskok chciałbym zafundować naszemu

największemu wrogowi.

Siedzieli do świtu. Franzowi Malanowi zaimponowało gruntowne przygotowanie Kleyna. Plan był śmiały i pozbawiony niepotrzebnego ryzyka. Kiedy potem wyszli na werandę, żeby rozprostować kości, Franz Malan miał jedno zastrzeżenie.

- Doskonały plan - przyznał. - Widzę tylko jedno ale. Założyłeś, że Victor Mabasha nie zawiedzie. Nie zapominaj, że jest Zulusem. Oni są do pewnego stopnia podobni do Burów. Zachowują lojalność wyłącznie wobec siebie i swoich przodków, którym oddają cześć. Innymi słowy, składasz w jego ręce wielką odpowiedzialność. A wiesz, że ich lojalność nie równa się naszej. Przypuszczalnie masz rację. Mabasha będzie bogaty, bogatszy, niż mu się kiedykolwiek śniło. Ale mimo wszystko ten plan opiera się na zaufaniu do czarnucha.

- Od razu ci na to odpowiem. Nikomu nie ufam. W każdym razie nie do końca. Ufam tobie. Uważam, że każdy ma jakiś słaby punkt. Brak zaufania rekompensuję dodatkowymi środkami ostrożności i reasekuracją. Naturalnie dotyczy to także Victora Mabashy.

- Ufasz tylko sobie.

- Tak. We mnie nie znajdziesz ani jednego słabego punktu. Victor Mabasha będzie, rzecz jasna, pod stałą obserwacją. Postaram się, żeby o tym wiedział. Poza tym przejdzie specjalne przeszkolenie pod okiem jednego z najlepszych światowych ekspertów. Jeśli skrewi, czeka go powolne konanie w straszliwych męczarniach. Będzie żałował, że się urodził. Victor Mabasha wie, czym są tortury. Zrozumie, czego od niego żądamy.

Kilka godzin potem rozstali się.

Cztery miesiące później plan zyskał akceptację spiskowców, którzy ślubowali dochować tajemnicy. Zadanie zaczynało nabierać kształtów.

Kiedy samochód zatrzymał się przed domem na wzgórzu, Franz Malan uwiązał psy. Victor Mabasha, który nie znosił owczarków niemieckich, nie ruszył się z miejsca, dopóki nie był całkowicie pewien, że nie zostanie zaatakowany. Jan Kleyn przywitał go na werandzie. Victor nie mógł sobie odmówić przyjemności wyciągnięcia ręki. Kleyn to zlekceważył i spytał, jak minęła podróż.

- Kiedy się przez całą noc siedzi w autobusie, różne pytania przychodzą do głowy - odparł Victor Mabasha.

- Znakomicie. Otrzymasz potrzebne ci odpowiedzi.

- Kto decyduje o tym, czego potrzebuję, a czego nie? Zanim Jan Kleyn zdążył się odezwać, z cienia wyłonił się Franz Malan. On też nie podał ręki Victorowi.

- Wejźmy do środka - powiedział Jan Kleyn. - Mamy dużo spraw do omówienia, a czasu jest mało.

- Na imię mi Franz - przedstawił się Malan. - Podnieś rękę.

Victor nie protestował. Niepisane reguły stanowiły, że podczas rozmów nie można mieć przy sobie broni. Franz Malan odebrał mu pistolet, a potem przyglądał się nożom.

- Zrobił je afrykański płatnerz - wyjaśnił Victor. - Świetne do walki wręcz i jako broń miotająca.

Usiedli przy stole zasłanym zielonym obrusem. Kierowca parzył w kuchni kawę.

Victor Mabasha czekał. Miał nadzieję, że dwaj mężczyźni nie zauważyli, jak bardzo jest spięty.

- Milion randów - powiedział Jan Kleyn. - Tym razem zaczniemy od końca. Chcę, żebyś cały czas pamiętał, ile ci oferujemy za przysługę.

- Milion to dużo albo mało. Zależy od okoliczności. I kim są ci „my”?

- Pytania zostawmy na potem. Znasz mnie, wiesz, że możesz mi ufać. Franza traktuj jak przedłużenie mojego ramienia. Możesz na nim polegać tak jak na mnie.

Victor Mabasha skinął głową. Zrozumiał. Gra się zaczęła.

Wszyscy się nawzajem zapewniają o swojej wiarygodności, podczas gdy ufają tylko sobie.

- No więc, chcemy cię poprosić o drobną przysługę - podjął Jan Kleyn.

W uszach Victora Mabashy zabrzmiało to tak, jakby Kleyn prosił go o przyniesienie szklanki wody.

- Kim są „my” nie ma w tym wypadku większego znaczenia.

- Założmy, że milion randów to mnóstwo pieniędzy - powiedział Victor Mabasha. - Przypuszczam, że mam kogoś zabić. Jeśli tak, milion to za dużo. A jeśli założymy, że za mało, to jaka będzie odpowiedź?

- Jakim cudem milion randów to mało?! - zezłościł się Franz Malan.

Jan Kleyn uniósł dłoń.

- Powiedzmy, że to dobra zapłata za bardzo skondensowane i krótkotrwałe zadanie.

- Chcecie, żebym kogoś zabił.

Jan Kleyn długo na niego patrzył, zanim odpowiedział. Victor Mabasha miał wrażenie, że przez pokój przeciągnęła fala zimnego powietrza.

- Tak jest - odparł. - Chcemy, żebyś kogoś zabił.

- Kogo?

- Dowiesz się w swoim czasie.

Victor Mabasha zaniepokoił się. Przecież powinien wiedzieć, w kogo ma wycelować broń.

- To bardzo szczególne zadanie - kontynuował Jan Kleyn. - Będzie wymagało podróży, być może kilkutygodniowych przygotowań, prób i maksymalnej czujności. Powiem ci tylko tyle, że masz wyeliminować ważnego mężczyznę.

- Południowoafrykańczyka?

- Tak, Południowoafrykańczyka - odparł po chwili wahania Jan Kleyn.

Victor Mabasha usiłował dociec, o kogo chodzi. Ale wszystko było ciągle bardzo mętne. I kim jest ten tłusty,

spocony mężczyzna, który siedzi naprzeciwko niego? Wydawał mu się znajomy. Czy go gdzieś spotkał? A jeśli tak, to w jakich okolicznościach? Widział jego zdjęcie w gazecie? Gorączkowo szukał w pamięci. Bez rezultatu.

Kierowca postawił na zielonym obrusie filiżanki i dzbanek kawy. Milczeli, dopóki nie wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Chciałbym, żebyś za dziesięć dni opuścił Afrykę Południową - podjął Jan Kleyn. - Tymczasem wrócisz do Ntibane i powiesz swoim znajomym, że wyjeżdżasz do Botswany, do wujka, który ma w Gaborone sklep żelazny. Dostaniesz list ostemplowany w Botswanie, w którym wujek oferuje ci pracę. Pokazuj go, komu się tylko da. Za siedem dni, piętnastego kwietnia, pojedziesz autobusem do Johannesburga. Ktoś po ciebie wyjdzie na stację i jedną noc spędzisz w pewnym mieszkaniu, gdzie otrzymasz ode mnie ostatnie instrukcje. Dzień później polecisz do Londynu, a stamtąd do Sankt Petersburga. Według danych w paszporcie będziesz z Zimbabwe. Nazwisko sam możesz wybrać. W Petersburgu odbiorą cię z lotniska. Pojedziecie potem pociągiem do Finlandii, a z Finlandii popłyniecie promem do Szwecji. Tam zostaniesz przez kilka tygodni. Pewien mężczyzna dostarczy ci najważniejszych instrukcji. W określonym dniu wrócisz do Afryki Południowej. Wtedy ja przejmę odpowiedzialność za ostatnią fazę. Najpóźniej pod koniec czerwca będzie po wszystkim. Będziesz mógł odebrać pieniądze w dowolnym miejscu na świecie. Jak tylko wyrazisz zgodę na wyświadczenie nam tej drobnej przysługi, wypłacimy ci sto tysięcy randów zaliczki.

Jan Kleyn umilkł i bacznie mu się przyglądał. Victor Mabasha zastanawiał się, czy dobrze usłyszał. Sankt Petersburg? Finlandia? Szwecja? Próbował sobie wyobrazić mapę Europy. Bez powodzenia.

- Mam jedno pytanie - odezwał się po chwili. - Co to wszystko znaczy?

- Jesteśmy przezorni i skrupulatni - odparł Kleyn. - Powinieneś nas docenić, robimy to ze względu na bezpieczeństwo. Twoje też.

- Sam o nie dbam. Zacznijmy od początku. Kto po mnie wyjdzie w Petersburgu?

- Jak być może wiesz, w Związku Sowieckim zaszły w ostatnich latach duże zmiany, które nas wszystkich cieszą. Ale przy okazji sporo zdolnych ludzi straciło pracę. Dotyczy to zwłaszcza oficerów KGB. Bez przerwy zarzucają nas pytaniami, czy nie zechcielibyśmy skorzystać z ich doświadczenia i usług. Nierzadko są gotowi na wszystko, byleby dostać pozwolenie na pobyt w naszym kraju.

- Nie pracuję z KGB. Z nikim nie pracuję. Wszystko, co trzeba, załatwiam sam.

- Bardzo słusznie. Pracujesz sam. Nasi przyjaciele z Petersburga podzielią się z tobą cennymi doświadczeniami. Są bardzo biegli.

- Dlaczego Szwecja? Jan Kleyn wypił łyk kawy.

- Dobre i naturalne pytanie - zaczął. - Po pierwsze, to manewr mający odwrócić uwagę. Nawet jeśli nikt niepowołany nie wie, co i jak, lepiej zapuścić zasłony dymne. Szwecja, ten mały, niepokąźny, neutralny kraj, zawsze agresywnie występowała przeciwko naszemu ustrojowi społecznemu. Nikt nie pomyśli, że owieczka ukrywa się w wilczym stadzie. Po drugie, nasi petersburscy koledzy mają dobre kontakty w Szwecji. Wielu już się tam urządziło pod fałszywymi nazwiskami. Łatwo tam wjechać, ponieważ kontrole graniczne są, delikatnie mówiąc, sporadyczne albo żadne. Po trzecie, mamy sprawdzonych przyjaciół, którzy pomogą nam znaleźć odpowiednie lokum. Ale przede wszystkim chodzi o to, że byś był jak najdalej od Afryki Południowej. Za dużo ludzi interesuje się tym, co robię.

Victor Mabasha pokręcił głową.

- Muszę wiedzieć, kogo mam zabić.

- W swoim czasie - powtórzył Kleyn. - Nie wcześniej. Na koniec przypomnę ci naszą rozmowę sprzed ośmiu lat. Powiedziałeś, że można zabić każdego, jeśli się wszystko dobrze zaplanuje. Nikt nie ujdzie cało. A teraz czekam na odpowiedź.

W tym momencie Victor Mabasha zrozumiał, o kogo chodzi. Myśl przyprawiająca o zawrót głowy. Ale wszystko trzymało się kupy. Ślepa nienawiść Kleyna do czarnych, postępująca liberalizacja...

Ważny mężczyzna. Chcieli, żeby zastrzelił prezydenta de Klerka.

W pierwszej chwili zamierzał odmówić. Ryzyko było zbyt duże. Co z ochroniarzami, którzy nie odstępują go na krok? Prezydent de Klerk to obiekt dobry dla zamachowca samobójcy.

Jednocześnie nie mógł zaprzeczyć, że podtrzymuje to, co powiedział Kleynowi osiem lat temu. Nikomu na całym świecie nie zagwarantuje się skutecznej ochrony przed wytrawnym zamachowcem.

Milion randów. Zawrotna suma. Nie może odmówić.

- Trzysta tysięcy zaliczki - powiedział. - Najpóźniej po jutrze ma być na moim koncie w londyńskim banku. Chcę mieć prawo do wycofania się, jeśli uznam, że plan jest zbyt ryzykowny. Możecie wtedy ode mnie zażądać propozycji alternatywnej. Pod takimi warunkami się zgadzam.

Jan Kleyn uśmiechnął się.

- Znakomicie. Wiedziałem.

- W paszporcie chcę mieć nazwisko Travis. Ben Travis.

- Oczywiście. Dobre nazwisko. Łatwo zapamiętać.

Z plastikowej koszulki, która leżała na podłodze, Jan Kleyn wyjął list ostemplowany w Botswanie i wręczył go Victorowi.

- Piętnastego kwietnia o szóstej rano odjeżdża z Umaty autobus do Johannesburga. Masz do niego wsiąść.

Jan Kleyn i mężczyzna, który przedstawił się jako Franz, wstali.

- Odwieziemy cię do domu - powiedział Kleyn. - Ponieważ czasu jest mało, pojedziesz jeszcze tej nocy. Prześpisz się na tylnym siedzeniu.

Victor Mabasha skinął głową. Spieszyło mu się. Miał tylko tydzień, żeby wszystko załatwić. Między innymi dowiedzieć się, kim jest Franz.

Chodziło o jego własne bezpieczeństwo. Musi się maksymalnie skoncentrować.

Pożegnali się na werandzie. Tym razem Victor nie wyciągnął ręki. Odebrał swoją broń i wsiadł do samochodu.

Prezydent de Klerk, pomyślał. Nikomu się nie upieczę. Nawet tobie.

Jan Kleyn i Franz Malan zostali na werandzie i patrzyli na światła oddalającego się samochodu.

- Chyba masz rację - odezwał się Franz Malan. - Wydaje mi się, że on sobie poradzi.

- Naturalnie, że sobie poradzi. Niby czemu wybrałem najlepszego?

Franz Malan w zamyśleniu spoglądał na gwiazdzone niebo.

- Sądzisz, że odgadł, o kogo chodzi?

- Chyba typuje prezydenta de Klerka. To nieuniknione. Franz Malan popatrzył na Kleyna.

- Tego chciałeś, prawda? Chciałeś, żeby tak właśnie myślał.

- Oczywiście. Niczego nie robię na chybił trafił. Uważam, że powinniśmy się teraz pożegnać. Jutro mam ważne spotkanie w Bloemfontein.

17 kwietnia Victor Mabasha poleciał jako Ben Travis do Londynu. Już wiedział, kim jest Franz Malan. To go tylko utwierdziło w przekonaniu, że jego ofiarą ma być prezydent de Klerk. Spakował do torby kilka książek o nim. Powinien

go jak najlepiej poznać.

Nazajutrz udał się do Petersburga, gdzie czekał na niego niejaki Konowalenko.

Dwa dni później przyплыł promem do Sztokholmu. Późnym wieczorem, po długiej podróży samochodem, dotarł do ustronnego gospodarstwa w południowej Szwecji. Mężczyzna siedzący za kierownicą mówił płynną angielszczyzną z rosyjskim akcentem.

W poniedziałek 20 kwietnia Victor Mabasha obudził się o świcie i wyszedł na podwórze, żeby się wysikać. Nad polami unosiła się mgła. Zadrzał z zimna.

Szwecja, pomyślał, wita Bena Trávisa mgłą, chłodem i ciszą.

Żmiję zauważył minister spraw zagranicznych Botha.

Zbliżała się północ, większość członków południowoafrykańskiego rządu życzyła sobie dobrej nocy i udała się do swoich bungalowów. Przy ognisku został jedynie prezydent de Klerk, minister spraw zagranicznych Botha, minister spraw wewnętrznych Vlok i jego sekretarz oraz dwóch - wybranych przez prezydenta i gabinet - oficerów aparatu bezpieczeństwa, którzy, podobnie jak ich koledzy, ślubowali prezydentowi wierność i dochowanie tajemnicy. W pewnej odległości, ledwie widoczni w blasku ogniska, stali czarni służący.

To była zielona mamba. Zastygła w bezruchu na granicy jasnego kręgu wyznaczanego przez migotliwe światło płomieni. Botha przypuszczalnie by jej nie dostrzegł, gdyby się nie pochylił, żeby się podrapać w kostkę. Na jej widok drgnął, po czym znieruchomiał. Bardzo wcześnie się nauczył, że żmija atakuje tylko to, co się rusza.

- Dwa metry ode mnie jest żmija - powiedział cicho.

Prezydent de Klerk siedział zatopiony w myślach. A raczej półleżał, wyciągnięty na leżaku. Jak zwykle znajdował się w pewnej odległości od kolegów. Sądził, że ministrowie chcieli mu w ten sposób okazać szacunek. Nie miał nic przeciwko temu. Prezydent de Klerk często odczuwał nieprzepartą potrzebę samotności.

Słowa ministra spraw zagranicznych powoli dotarły do jego świadomości i zakłóciły bieg myśli. Odwrócił głowę i spojrzął na twarz kolegi poprzez tańczące płomienie.

- Mówiłeś coś?

- Dwa metry ode mnie jest zielona żmija - powtórzy! Pók Botha. - Chyba jeszcze nigdy nie widziałem takiej dużej mamby.

Prezydent de Klerk ostrożnie wyprostował się na leżaku. Nie cierpiał żmij. Panicznie się bał wszystkich gadów. I nie

tylko. Służba w jego rezydencji musiała codziennie niezwykle skrupulatnie przepatrywać każdy kąt w poszukiwaniu pajaków, chrząszczy lub innych insektów. Ta sama procedura obowiązywała ludzi, którzy sprząтали gabinet prezydenta, jego samochody i salę zebrań rady ministrów.

Wyciągnął głowę i zobaczył żmiję. Natychmiast zrobiło mu się niedobrze.

- Zabijcie ją - powiedział.

Minister spraw wewnętrznych drzemał na leżaku, jego sekretarz siedział ze słuchawkami na uszach i słuchał muzyki. Jeden z ochroniarzy ostrożnie wyjął nóż zza pasa, z dużą precyzją wycelował i odciął mambie głowę. Potem podniósł wijące się ciało i wrzucił do ognia. De Klerk z przerażeniem zauważył, że łeb żmii, który ciągle leżał na ziemi, porusza się; gad otwierał i zamykał paszczę, pokazując jadowite zęby. Mdłości się nasiliły, poczuł nagły zawrót głowy, jakby za chwilę miał zemdleć. De Klerk szybko opadł na leżak i zamknął oczy.

Martwy wąż, pomyślał. Ale jego ciało się wije i ten, kto tego nie wie, może dojść do wniosku, że nie umarł. Tak jest w moim kraju, w mojej Afryce Południowej. Wiele rzeczy, które uznaliśmy za pogrzebane i niebyłe, wciąż istnieje. Walczymy nie tylko z żywymi, musimy się również zmagać z tym, co uparcie powraca.

Mniej więcej co cztery miesiące prezydent de Klerk zabierał swoich ministrów i kilku wybranych sekretarzy do obozowiska w Ons Hoop, tuż przy granicy z Botswaną. Spędzali tam na ogół dwa dni i wyjazdy te odbywały się zawsze przy otwartej kurtynie. Oficjalnie prezydent i jego gabinet w odosobnionym miejscu debatowali o istotnych sprawach kraju. De Klerk wprowadził ten zwyczaj z chwilą objęcia funkcji głowy państwa. Teraz, po blisko czterech latach prezydentury, wiedział, że część najważniejszych

decyzji rządu zapadła właśnie tutaj, przy ognisku w Ons Hoop. Obozowisko zbudowano za pieniądze podatników i de Klerk bez trudu potrafiłby uzasadnić jego przydatność. On i jego współpracownicy swobodniej i odważniej myśleli, siedząc przy ognisku pod rozgwieżdżonym niebem i wdychając zapach pierwotnej Afryki. De Klerk miał czasami wrażenie, że odzywała się w nich burska krew. Wolni mężczyźni, związani z naturą, którzy nigdy się do końca nie przystosowali do nowych czasów, do klimatyzowanych gabinetów i samochodów z szybami kuloodpornymi. W Ons Hoop mogli się napawać widokiem gór na horyzoncie, rozległą równiną, a zwłaszcza dobrze przyrządzonym *braai*. Toczyli dyskusje bez pośpiechu, co - zdaniem de Klerka - przynosiło pozytywne rezultaty.

Pik Botha patrzył przez chwilę na ginącego w płomieniach węża, po czym odwrócił głowę i spojrzał na de Klerka. Siedział z zamkniętymi oczami. Wiedział, co to znaczy. Prezydent chce zostać sam. Położył dłoń na ramieniu drzemającego ministra spraw wewnętrznych i delikatnie nim potrząsnął. Vlok gwałtownie się obudził. Wstał. Jego sekretarz szybko wyłączył muzykę i zebrał spod krzesła papiery. W towarzystwie służącego, który niósł lampę, udali się do swoich bungalów.

Pik Botha został. Zdarzało się, że prezydent chciał zamienić z nim kilka słów na osobności.

- Chyba już pójdę - powiedział.

De Klerk otworzył oczy. Tego wieczora nie miał o czym rozmawiać z ministrem spraw zagranicznych.

- Idź. Potrzebujemy snu.

Pik Botha pokiwał głową, życzył prezydentowi dobrej nocy i odszedł.

Najczęściej de Klerk siedział jeszcze przez chwilę sam i wracał myślami do toczonych dyskusji. Przyjeżdżali do Ons Hoop, żeby omawiać polityczne strategie, a nie rutynowe

rządowe sprawy. Przy obozowym ognisku rozmawiali wyłącznie o przyszłości Afryki Południowej. Tutaj przygotowali plan takiej przebudowy kraju, by biali nie stracili wpływów.

Ale tego wieczora, w poniedziałek 27 kwietnia 1992 roku, de Klerk czekał na kogoś, z kim chciał się spotkać w cztery oczy, bez wiedzy ministra spraw zagranicznych, jego najbardziej zaufanego człowieka w rządzie. Skinieniem głowy dał znak jednemu z ochroniarzy. Ten zniknął i po kilku minutach pojawił się razem z czterdziestoletnim mężczyzną, ubranym w lekki garnitur khaki. Mężczyzna przywitał się z de Klerkiem i przysunął bliżej niego jeden z leżaków. De Klerk polecił ochroniarzom, żeby się oddalili. Chciał ich mieć w pobliżu, ale poza zasięgiem słyszalności.

Prezydent de Klerk darzył zaufaniem cztery osoby. Przede wszystkim żonę. Na drugim miejscu ministra Bothę, a na trzecim człowieka, który właśnie usiadł naprzeciwko niego. Nazywał się Pieter van Heerden i pracował w południowoafrykańskiej służbie wywiadowczej. Ważniejsza jednak od jego działalności na rzecz bezpieczeństwa republiki była rola specjalnego informatora de Klerka. Składał prezydentowi regularne raporty o tym, co się dzieje w dowództwie wojskowym, w policji, w partiach politycznych, a zwłaszcza w szeregach służby bezpieczeństwa. Miał go natychmiast powiadamiać o każdym planowanym przewrocie wojskowym lub ewentualnym spisku. Bez van Heerdena de Klerk byłby pozbawiony przewodnika po tych siłach, które knuły przeciwko niemu. Van Heerden udawał człowieka bardzo krytycznego wobec prezydenta. Robił to zręcznie, zawsze w sposób wyważony, bez cienia przesady. Nikt by nie podejrzewał, że jest jego osobistym informatorem.

De Klerk miał świadomość, że korzystając z pomocy van Heerdena, umniejsza wiarygodność swojego gabinetu. Nie

widział jednak innej możliwości zapewnienia sobie informacji niezbędnych do wprowadzenia w Afryce Południowej takich zmian, które nie spowodowałyby narodowej katastrofy.

Miało to przede wszystkim związek z czwartą osobą, której de Klerk całkowicie ufał.

Z Nelsonem Mandelą, przywódcą ANC. Dwadzieścia siedem lat przesiedział w więzieniu na Robben Island pod Kapsztadem, skazany na początku lat sześćdziesiątych na dożywocie za rzekome, nigdy nieudowodnione akcje sabotażowe.

Prezydent de Klerk nie miał złudzeń. Zdawał sobie sprawę, że jedynie on i Mandela są w stanie zapobiec wybuchowi niewyobrażalnie krwawej wojny domowej. Nieraz krążył w bezsenne noce po prezydenckim pałacu, patrzył na światła Pretorii i myślał, że przyszłość republiki zależy od politycznego kompromisu, który miał nadzieję zawrzeć wspólnie z Mandelą.

Z Nelsonem Mandelą potrafił rozmawiać absolutnie szczerze. Z wzajemnością. Różnili się charakterem i temperamentem. Mandela miał filozoficzne usposobienie, dzięki któremu potrafił być stanowczy i pełen energii. Prezydentowi de Klerkowi brakowało takiej perspektywy. Kiedy pojawiał się jakiś problem, od razu szukał praktycznych rozwiązań. Przyszłość republiki postrzegał jako zmieniające się realia polityczne i nieustanny wybór pomiędzy tym, co możliwe, a co niemożliwe do przeprowadzenia. Tych dwóch mężczyzn o tak różnych postawach i doświadczeniach łączyło wzajemne zaufanie, które mogła zniszczyć tylko oczywista wiarołomność. Nigdy nie ukrywali przed sobą rozbieżności zdań, nigdy nie musieli się uciekać do zbędnej retoryki, mimo że walczyli na dwóch różnych frontach. Biała ludność była podzielona, de Klerk wiedział, że wszystko się zawali, jeśli krok po kroku

nie będzie dążył do kompromisu, który byłby do przyjęcia przez białą większość. Sił ultrakonserwatywnych i tak nigdy nie przekona. Ani rasistowskich oficerów w armii i policji. Musiał jednak mieć baczenie, by ich organizacje nie rosły w siłę.

Prezydent de Klerk wiedział, że Nelson Mandela zмага się z podobnymi problemami. Murzyni też byli podzieleni. Zwłaszcza na zdominowaną przez Zulusów Inkathę i ANC.

Dlatego potrafili się wzajemnie zrozumieć, nie ukrywając przy tym różnicy poglądów.

Van Heerden gwarantował de Klerkowi dostęp do potrzebnych mu informacji. Wiedział, że trzeba skupiać wokół siebie przyjaciół, ale bardziej liczyły się bliższe kontakty z wrogiem.

Zazwyczaj spotykali się w sobotnie popołudnia w gabinecie de Klerka. Tym razem van Heerden nie chciał czekać. Z uwagi na obecność innych członków rządu prezydent niechętnie odniósł się do tej wizyty, ale van Heerden nie dawał za wygraną. Nie mogą tego odkładać do powrotu de Klerka do Pretorii. W końcu się zgodził. Ponieważ van Heerden był człowiekiem chłodnym i opanowanym, który nigdy nie zachowuje się pochopnie, uznał, że musi mieć coś bardzo ważnego do zakomunikowania.

- Jesteśmy sami - odezwał się de Klerk. - Przed chwilą Pik zauważył} zmiję. Zastanawiałem się, czy nie miała gdzieś nadajnika. Van Heerden uśmiechnął się.

- Jeszcze nie wykorzystujemy zmij w charakterze informatorów. Może kiedyś to będzie konieczne. Nigdy nic nie wiadomo.

De Klerk przyglądał mu się badawczo. Co takiego nie mogło czekać?

Van Heerden zwilżył wargi.

- Spisek na pana życie wszedł w fazę intensywnych przygotowań - zaczął. - Nie ma najmniejszych wątpliwości, że

tym razem zagrożenie jest poważne. Wymierzone w pana, w politykę rządu, a w konsekwencji w cały naród.

Van Heerden zamilkł. Przywykł do tego, że de Klerk często miał jakieś pytania. Ale tym razem nic nie powiedział, tylko bacznie mu się przyglądał.

- Nadal brakuje mi szczegółowych informacji o spisku - podjął. - Ale znam główne zarysy, które są wystarczająco groźne. Biorą w tym udział ludzie z naczelnego dowództwa armii, z kręgów ultrakonserwatywnych, przede wszystkim z burskiego ruchu oporu. Nie możemy przy tym zapominać, że większość konserwatystów nie ma swojej politycznej organizacji. Ponadto istnieją dowody, że są w to zamieszani zagraniczni eksperci od zamachów, głównie z KGB.

- KGB już nie ma - przerwał mu de Klerk. - Przynajmniej nie w takiej formie, którą znamy.

- Ale są bezrobotni agenci KGB. Jak już pana prezydenta informowałem, odbieramy dużą liczbę ofert od byłych oficerów sowieckiej służby wywiadowczej.

De Klerk skinął głową. Tak, pamiętał.

- Na czele każdego spisku zawsze ktoś stoi - powiedział po chwili. - Jedna osoba lub kilka, które pociągają za sznurki. Kto to jest?

- Nie wiem - przyznał van Heerden. - I to mnie martwi. Z wojskowej służby bezpieczeństwa z całą pewnością jest w to zamieszany niejaki Franz Malan. Był na tyle nieostrożny, że nie zablokował dostępu do swoich plików komputerowych. Poprosiłem zaufanego człowieka o przeprowadzenie rutynowej kontroli i w ten sposób się dowiedziałem, że coś jest na rzeczy.

Gdyby ludzie wiedzieli, do czego doszło, pomyślał de Klerk. Funkcjonariusze służby bezpieczeństwa kontrolują się nawzajem, czytają pliki kolegów, podejrzewają się o polityczną zdradę.

- Dlaczego tylko ja? - spytał de Klerk. - Dlaczego nie ja i

Mandela?

- Jeszcze za wcześnie, żeby na to odpowiedzieć. Chociaż oczywiście nietrudno sobie wyobrazić, co by oznaczał taki zamach w obecnej sytuacji.

De Klerk podniósł rękę. Van Heerden nie musiał mu tego tłumaczyć. Doskonale zdawał sobie sprawę z grożącej krajowi katastrofy.

- Jest jeszcze coś, co mnie niepokoi - podjął van Heerden. - Mamy pod stałym nadzorem pewną liczbę znanych morderców, czarnych i białych. Za odpowiednią zapłatą za biją każdego. Chyba mogę sobie pozwolić na stwierdzenie, że podejmowane przez nas działania prewencyjne, mające zapobiegać ewentualnym zamachom na polityków, są dosyć skuteczne. Wczoraj otrzymałem raport z Umtaty z informacją, że kilka dni temu niejaki Victor Mabasha wybrał się z krótką wizytą do Johannesburga. Kiedy wrócił do Ntibane, miał przy sobie dużo pieniędzy. De Klerk skrzywił się.

- To może być przypadek.

- Nie byłbym tego taki pewien - powiedział van Heerden. - Gdybym to ja planował zamach na prezydenta kraju, wybrałbym właśnie Mabaszę. De Klerk uniósł brwi.

- Nawet gdyby zamach był wymierzony w Nelsona Mandelę?

- Tak.

- Czarny płatny zabójca.

- Jest bardzo sprawny.

De Klerk podniósł się z leżaka i wzruszył dogasające ognisko. Nie miał ochoty wysłuchiwać, czym się charakteryzuje sprawny zawodowy morderca. Dołożył parę drew i rozprostował plecy. Jego łysina załśniła w płomieniach. Spojrzał w niebo i podziwiał Krzyż Południa. Był zmęczony. Próbował zrozumieć to, co mu powiedział van Heerden. Zdawał sobie sprawę, że spisek jest całkiem

prawdopodobny. Wiele razy wyobrażał sobie śmierć z rąk zamachowca nasłanego przez rozjuszonych białych Burów, którzy go bez przerwy oskarżali o wyprzedawanie kraju Murzynom. Zastanawiał się także, co by się stało, gdyby Mandela umarł, naturalną lub nienaturalną śmiercią. Był stary. Zachował wprawdzie dobrą kondycję, ale blisko trzydzieści lat spędził w więzieniu.

De Klerk usiadł.

- Powinieneś się, rzecz jasna, skoncentrować na ujawnieniu spisku - powiedział. - Użyj wszelkich możliwych środków. Pieniądze nie grają roli. Jeśli zajdzie taka potrzeba, kontaktuj się ze mną o każdej porze. Na razie, co oczywiste, trzeba dyskretnie wzmocnić moją ochronę i...

Van Heerden domyślał się, co prezydent chce powiedzieć.

- ...zastanawiam się, czy nie należałoby o tym poinformować Mandeli. Jaka będzie jego reakcja? A może powinienem poczekać, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej?

Van Heerden rozumiał, że de Klerk nie prosi go o radę. Pytania kierował do siebie. I sam powinien znaleźć na nie odpowiedź.

- Pomyślę o tym. Wkrótce poznasz moje zdanie. Czy masz coś jeszcze w zanadrzu?

- Nie - odparł van Heerden i wstał.

- Piękna noc. Żyjemy w najpiękniejszym kraju na ziemi. Ale w cieniu czają się potwory. Czasami chciałbym znać przyszłość. Choć, szczerze mówiąc, nie wiem, czy nie zabrakłoby mi do tego odwagi.

Pożegnali się i van Heerden rozpląnął się w ciemnościach.

De Klerk wpatrywał się w ogień. Czy ma powiedzieć Mandeli o spisku, czy się z tym wstrzymać? Właściwie był zbyt zmęczony, żeby podjąć decyzję.

Siedział przy ognisku i patrzył, jak dogasa.

W końcu się zdecydował.

Na razie nic przyjacielowi nie wyjawia.

Victor Mabasha daremnie próbował sobie wmówić, że to, co się stało, to tylko sen. Że na podwórzu nigdy nie pojawiła się żadna kobieta. Że Konowalenko, którego nienawdził, jej nie zabił. Że jego myśli zatruł zły duch, *songoma*, żeby go pozbawić pewności siebie i uniemożliwić wykonanie zadania. Wiedział, że na nim, Murzynie z Afryki Południowej, ciąży przekleństwo, które bierze się stąd, że nie ma pojęcia, kim jest lub kim powinien być. W jednej chwili bez skrpułów godzi się na przemoc, by w następnej nie rozumieć, jak można zabijać bliźnich. Doszedł do wniosku, że duchy wysłały za nim swoje śpiewające psy, które go pilnowały, były jego wartownikami, nieskończenie bardziej czujnymi niż Jan Kleyn...

Od początku wszystko było nie tak. Poczł instynktowną niechęć do mężczyzny, który czekał na niego na lotnisku pod Petersburgiem. Miał w sobie coś śliskiego. Victor Mabasha nie znosił takich ludzi. Wiedział z doświadczenia, że często przysparzają kłopotów.

Poza tym zorientował się, że Anatolij Konowalenko jest rasistą. Kilka razy miał ochotę chwycić go za gardło i powiedzieć, że zna jego myśli, wie, że Konowalenko uważa go za kogoś gorszego, za Kafra.

Ale tego nie zrobił. Narzucił sobie dyscyplinę. Liczyło się przede wszystkim powierzone mu zadanie. Zdumiała go własna porywczność. Przecież spotykał się z rasizmem na każdym kroku i na swój sposób nauczył się z tym żyć. Dlaczego więc tak zareagował na Konowalenkę? Czy dlatego, że nie potrafił zaakceptować takiego traktowania przez białego, który nie pochodzi z Afryki Południowej? Tak, chyba tak.

Podróż z Johannesburga do Londynu i z Londynu do Sankt Petersburga przebiegła spokojnie. Podczas nocnego lotu do Londynu nie spał i patrzył w ciemność. Wydawało mu się,

że widzi w dole płonące ogniska. Wiedział, że to złudzenie. Nie po raz pierwszy opuszczał Afrykę Południową. Kiedyś zlikwidował członka ANC w Lusace. Kiedyś w ówczesnej Rodezji Południowej brał udział w jedynym nieudanym zamachu na Joshuę Nkomo. I od tamtej pory postanowił działać wyłącznie na własną rękę.

Yebo, yebo. Nigdy więcej nikomu się nie podporządkuje. Jak tylko wróci z tego lodowatego skandynawskiego kraju, Anatolij Konowalenko stanie się bladym wspomnieniem koszmaru zesłanym na niego przez *songomę* i rozwieje się niczym słup dymu. Przepędzi go święty duch, ukryty w wyciu śpiewających psów. Jego zatrutej pamięci nie będzie już nękał ten arogancki Rosjanin o szarych, popsutych zębach.

Konowalenko był niski i krępy. Ledwie sięgał mu do ramion. Ale, co Victor pojął w lot, nie brakowało mu żadnej klepki. Naturalnie ani trochę go to nie zdziwiło. Jan Kleyn nie zwykł się zadowalać byle kim. Zawsze wybierał najlepszych.

Nigdy jednak Victor Mabasha nie posądzałby go o taką brutalność. Tymczasem ów były wysoko postawiony funkcjonariusz KGB, wyspecjalizowany w likwidacji infiltratorów i uchodźców, zabijał z zimną krwią. Zdaniem Victora, zbędna brutalność cechowała wyłącznie amatorów. Likwidacji powinno się dokonywać *mningichecha*, szybko i bez zadawania ofierze niepotrzebnych cierpień.

Opuścili Sankt Petersburg następnego dnia. Na promie do Szwecji chłód tak mu się dał we znaki, że całą podróż przeleżał w kabinie, szczelnie opatulony kocami. Zanim dobili do brzegu, Konowalenko wręczył mu nowy paszport i udzielił instrukcji. Zdumiał się, widząc, że teraz nazywa się Shalid i ma szwedzkie obywatelstwo.

- Jesteś byłym bezpieczeństwa z Erytrei - wyjaśnił Konowalenko. - Przyjechałeś do Szwecji pod koniec lat

sześciodziesiątych i w siedemdziesiątym ósmym przyznano ci obywatelstwo.

- Czy po przeszło dwudziestoletnim pobycie w tym kraju nie powinienem znać kilku słów po szwedzku?

- Wystarczy, żebyś zapamiętał „tack”, czyli „dziękuję”. Nikt cię o nic nie będzie pytał.

I miał rację.

Ku niemałemu zdumieniu Victora młoda urzędniczka ledwie zajrzała do jego paszportu. Nie do wiary, jak łatwo można wjechać do jakiegoś kraju, pomyślał. Zaczynał rozumieć, dlaczego ta faza przygotowań miała się odbyć tak daleko od Afryki Południowej.

Mimo że nie ufał swojemu instruktorowi, imponowała mu ta niewidzialna organizacja, która zdawała się panować nad wszystkim. W sztokholmskim porcie czekał na nich samochód. Kluczyki leżały na tylnym lewym kole. Ponieważ Konowalenko nie był pewien, którędy wyjechać z miasta, inny samochód pilotował ich do trasy wylotowej prowadzącej na południe kraju. Victor pomyślał, że światem rządzą tajne organizacje i ludzie tacy jak jego *songoma*. Że wszystko kształtuje się i zmienia pod ziemią. Jan Kleyn był tylko posłańcem. Nie bardzo wiedział, jakie jest jego miejsce w tej niewidzialnej strukturze. Może to i lepiej.

Jechali przez Szwecję. Od czasu do czasu między drzewami iglastymi bielily się plamy śniegu. Konowalenko nie prowadził zbyt szybko i prawie nic nie mówił. Odpowiadało to Victorowi, ponieważ był zmęczony długą podróżą. Kiedy przysypiał, od razu odzywał się jego duch. W ciemnych zakamarkach snu wyły śpiewające psy, a kiedy otwierał oczy, nie miał pojęcia, gdzie jest. Bez przerwy padało. Uderzyło go, że wszędzie jest czysto. Kiedy zatrzymali się na posiłek, miał uczucie, że w tym kraju nigdy nie dojdzie do rozpadu.

Ale czegoś tu brakowało. Czego? Nie udało mu się dociec.

Mijane krajobrazy napawały go tęsknotą.

Podróżowali cały dzień.

- Dokąd jedziemy? - spytał po przeszło trzech godzinach spędzonych w samochodzie.

- Na południe - odparł po kilku minutach Konowalenko. - Zobaczysz, kiedy będziemy na miejscu.

Do koszmaru *songomy* było jeszcze daleko. Kobieta jeszcze się nie pojawiła na podwórzu, jej czoła nie przeszył pocisk wystrzelony z pistoletu Konowalenki. Victor Mabasha myślał tylko o wykonywaniu tego, za co mu zapłacił Jan Kleyn. Miał słuchać Konowalenki. Duchy, te dobre i te złe, zostały w Afryce Południowej, w górskich jaskiniach pod Ntibane. Duchy nie opuszczają kraju, nie przekraczają granic.

Tuż przed ósmą wieczorem dotarli do leżącego na odludziu gospodarstwa. Już w Petersburgu Victor za zdumieniem zauważył, że zmierzch i noc nie są takie jak w Afryce. Było widno, choć powinno być ciemno, zmierzch nie spadał na ziemię jak ciężka pięść nocy, tylko się na nią powoli opuszczał jak liść niesiony przez wir powietrza.

Weszli do domu i zainstalowali się w sypialniach. Było ciepło. Nawet o to zadbali, pomyślał. Wzięli pod uwagę to, że Murzyn w tym polarnym kraju z pewnością zmarznie. A ten, komu zimno, tak jak ten, kto jest głodny albo spragniony, niczego nie zdziała, niczego się nie nauczy.

Pomieszczenia były niskie. Niemal tuż nad głową miał drewniane belki stropowe. Obszedł dom. Czuł obce zapachy mebli, dywanów i środków czyszczących. Najbardziej brakowało mu zapachu ogniska.

Afryka była daleko. Pomyślał, że może o to właśnie chodzi. Tutaj wszystko przeciwczą, poprawią, udoskonalą, doprowadzą do perfekcji. Nic im w tym nie przeszkodzi, nic nie będzie przypominać o tym, co nastąpi później.

Konowalenko sięgnął do zamrażarki po gotowe dania.

Victor postanowił potem sprawdzić, ile ich jest, żeby się zorientować, jak długo tu zostanie.

Ze swojego bagażu Konowalenko wyjął rosyjską wódkę. Chciał poczęstować Victora, ten odmówił. Kiedy pracował, pił z umiarem, góra dwa piwa dziennie. Ale Konowalenko sobie nie żałował i już pierwszego wieczora porządnie się wstawił. Victor pomyślał, że to mu daje przewagę. W krytycznej sytuacji będzie mógł wykorzystać słabość Konowalenki do alkoholu.

Wódka rozwiązała mu język. Zaczął opowiadać o utraconym raj, o KGB w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy niepodzielnie władali sowieckim imperium i żaden polityk nie mógł się czuć bezpiecznie, wiedząc, że znają wszystkie jego tajemnice.

Victor pomyślał, że być może w kraju, w którym nikomu nie wolno było oficjalnie wierzyć w święte duchy, KGB zastępowała *songomę*. Społeczeństwo przeganiające bogów jest skazane na śmierć. W mojej ojczyźnie wiedzą o tym *nkosis* i dlatego nasi bogowie nie ucierpieli wskutek apartheidu. Cieszą się wolnością, nigdy ich nie zniewolono żadnymi prawami, mogą się swobodnie przemieszczać, nikt ich nie poniża. Gdyby nasze duchy wypędzono na odległe wyspy, a nasze śpiewające psy - na pustynię Kalahari, żaden biały człowiek nie uszedłby z życiem w Afryce Południowej. Ich nędzne kości, wszystkich Burów i Anglików, leżałyby w czerwonej ziemi. W dawnych czasach, kiedy jego przodkowie walczyli z białoskórymi intruzami, zuluscy wojownicy obcinali wrogom żuchwy. *Impi* wracający z wygranej bitwy niósł te żuchwy jak trofea, którymi się potem ozdabiało świątynię wodza. Teraz bogowie dawali odpór białym i nigdy nie pozwolili się pokonać.

Pierwszej nocy w obcym domu Victorowi Mabashy nic się nie śniło. Uwolnił się od trudów długiej podróży i obudził się o świcie wypoczęty. Słyszał pochrapywanie

Konowalenki. Po cichu wstał, ubrał się i przepatrzył cały dom. Nie wiedział, czego szuka. Ale Jan Kleyn był stale obecny, wszędzie towarzyszyło mu jego czujne spojrzenie.

Na strychu, gdzie pachniało zbożem przypominającym sorgo, zobaczył wysokiej klasy radiostację. Nie znał się na elektronice, nie miał jednak wątpliwości, że za pomocą tej aparatury można się komunikować z Afryką Południową.

W końcu trafił na zamknięte drzwi. Za nimi krył się powód, dla którego tutaj przyjechał.

Wyszedł na podwórze, żeby się wysikać. Nigdy dotąd jego mocz nie był taki żółty. To pewnie ich jedzenie, pomyślał. Całkiem inne, bez przypraw. I długa podróż. I duchy, które walczą w moich snach. Gdziekolwiek się znajdę, Afryka jest ze mną.

Wszystko zasnuwała mgła. Poszedł za dom. Był tam zaniedbany ogród, rosły rozmaite drzewka owocowe, rozpoznał kilka gatunków. Cisza i spokój. Pomyślał, że to równie dobrze mógłby być lipcowy poranek gdzieś w Natalu.

Zmarzył i wrócił do domu. Konowalenko już się obudził i przygotowywał kawę. Miał na sobie ciemnoczerwony dres z napisem KGB na plecach.

Po śniadaniu przystąpili do pracy. Konowalenko otworzył zamknięty pokój. Na stole w ostrym świetle lampy leżał karabin i pistolet. Victor nie znał tych modeli. Karabin wyglądał dość topornie.

- To nasza chluba - poinformował Konowalenko. - Nie jest może najpiękniejszy, ale skuteczny. Punktem wyjścia był zwykły remington 375 HH. Technicy KGB uszlachetnili go wręcz perfekcyjnie. Kosi wszystko w zasięgu ośmiuset metrów. Tego typu laserowy celownik mają wyłącznie najnowocześniejsze i trudno dostępne modele wykorzystywane w armii amerykańskiej. Niestety, nie udało nam się jak dotąd sprawdzić tego majstersztyku w praktyce.

Innymi słowy, dokonasz inauguracji.

Victor Mabasha podszedł do stołu i przyglądał się karabinowi.

- Weź go - powiedział Konowalenko. - Od tej chwili będziecie stanowić nierozłączną parę.

Broń była zdumiewająco lekka. Położył ją na ramieniu. Stabilna.

- Amunicja? - spytał.

- Superplastik. Specjalna odmiana klasycznego prototypu Spitzera. Pocisk leci daleko i szybko. Spiczasty czubek zmniejsza opór powietrza.

Victor Mabasha odłożył karabin i wziął pistolet. Glock compact 9 mm. Czytał o nim w różnych pismach, ale nigdy nie trzymał w ręku.

- Tu myślałem o standardowej amunicji - poinformował Konowalenko. - Nie ma powodu, żeby wydziwiać bez potrzeby.

- Muszę przestrzelać karabin. Trochę to potrwa, jeśli mam trafić z tak dużej odległości. Gdzie znajdziemy osiemsetmetrowy tor do ćwiczeń?

- Tutaj. Nie bez kozery wybraliśmy ten dom.

- My?

- Ludzie, którym powierzono to zadanie. - Konowalenkę wyraźnie irytowały pytania niewynikające bezpośrednio z jego wypowiedzi. - W pobliżu nie ma żadnych sąsiadów. Poza tym bez przerwy tu wieje. Nikt nic nie usłyszy. Przejdźmy teraz do salonu. Zanim zabierzemy się do pracy, chciałbym ci wszystko wytłumaczyć.

Usiedli naprzeciwko siebie w zniszczonych skórzanych fotelach.

- Warunki są proste - zaczął Konowalenko. - Po pierwsze, czeka cię najtrudniejsze zadanie w całym twoim życiu. Nie dość, że musisz pokonać przeszkody natury technicznej, czyli odległość, nie wolno ci chybić. Będziesz miał tylko

jedną szansę. Po drugie, o celu i miejscu dowiesz się z minimalnym wyprzedzeniem. Na końcowe przygotowania zostanie ci niewiele czasu. Nie ma mowy o wahaniach i braniu pod uwagę innych rozwiązań. Wybrano cię nie tylko dlatego, że jesteś zręczny i wyrachowany. Najlepiej działał w pojedynkę. W tym wypadku będziesz bardziej samotny niż kiedykolwiek. Nikt ci nie pomoże, nikt się do ciebie nie przyzna, nikt cię nie wesprze. Po trzecie, istnieje tu pewien niebagatelny aspekt psychologiczny. Nazwisko ofiary poznasz w ostatniej chwili. Nie możesz stracić zimnej krwi. Już wiesz, że to ktoś ważny. Na pewno się zastanawiasz, kto to taki. Dowiesz się dopiero wtedy, kiedy położysz palec na spuście.

Victora Mabasę wkurzał mentorski ton Konowalenki. Przez moment miał ochotę mu powiedzieć, że wie, kogo zlikwiduje.

- Mieliśmy twoje dane w archiwach KGB - podjął z uśmiechem Konowalenko. - Jeśli mnie pamięć nie myli, uznano cię za „bardzo użytecznego wilka samotnika”. Niestety, nie można tego sprawdzić, bo archiwa zostały zniszczone albo gdzieś się zapodziały w tym bałaganie. - Umilkł i pogrążył się w ponurych myślach o znamienitej służbie wywiadowczej, która już nie istniała. - Nie mamy dużo czasu - odezwał się po chwili. - Może to i lepiej, bo będziemy się musieli maksymalnie skoncentrować. Codziennie czeka nas strzelanie do celu, zajęcia psychologiczne i omawianie najróżniejszych sytuacji, do których może dojść podczas realizacji zadania. Poza tym, ponieważ nie jesteś zbyt wprawnym kierowcą, dwie godziny dziennie będziesz jeździł samochodem.

- W tym kraju obowiązuje ruch prawostronny - zauważył Victor Mabasha. - W Afryce Południowej jeździmy lewą stroną.

- Właśnie. To tylko wzmoże twoją czujność. Masz jakieś

pytania?

- Mnóstwo. Ale rozumiem, że nie na wszystkie dostanę odpowiedź.

- Dobrze rozumiesz.

- Jak cię znalazł Jan Kleyn? On nienawidzi komunistów. A ty, człowiek KGB, byłeś przecież komunistą. Może nadal jesteś?

- Nie gryzie się ręki, która cię karmi. Praca w tajnej służbie bezpieczeństwa to kwestia lojalności wobec tych dłoni, które akurat należą do ludzi trzymających władzę. Oczywiście, że w KGB było trochę oddanych komunistów. Na ogół jednak pracowali tam zawodowcy, skupieni na wykonywaniu zleconych im zadań.

- To nie wyjaśnia kontaktu z Janem Kleynem.

- Bezrobotny szuka pracy. Chyba że woli się zastrzelić. Ja i moi koledzy zawsze uważaliśmy Afrykę Południową za dobrze zorganizowany i zdyscyplinowany kraj. Pomijam aktualne zawirowania. Po prostu zaproponowałem swoje usługi za pośrednictwem naszych starych kanałów wywiadowczych. Najwyraźniej moje kwalifikacje odpowiadały Kleynowi. Dobiliśmy targu. Podjąłem się opieki nad tobą.

- Za ile?

- Nie chodzi o pieniądze, tylko o wyjazd do Afryki Południowej i gwarancję pracy.

Importujemy morderców, pomyślał Victor Mabasha. Z punktu widzenia Jana Kleyna to mądre posunięcie. Pewnie zrobiłbym tak samo.

- Masz więcej pytań?

- Na razie nie.

Konowalenko poderwał się z fotela.

- Mgła zrzędła - powiedział. - Jest wietrznie. Proponuję, żebyśmy zaczęli się oswajać z karabinem.

Następne dni w domu na pustkowiu, gdzie podwórze bez

przerwy przeszywał wiatr, Victor Mabasha zapamięta jako oczekiwanie na nieuniknioną katastrofę. Nie spodziewał się jednak, że przybierze taki kształt. Powstał jeden wielki chaos i kiedy uciekał, nadal nie rozumiał, co się właściwie stało.

Dni upływały na realizowaniu warunków przedstawionych przez Konowalenkę. Victor Mabasha natychmiast docenił zalety karabinu. Leżąc, siedząc albo stojąc, oddawał próbne strzały na gliniastym polu za domem. Na piaskowym wale Konowalenko poumieszczał różne cele. Victor Mabasha mierzył do piłek futbolowych, wyciętych z kartonu twarzy, starej walizki, radioodbiornika, garnków, tac i Bóg wie czego. Po każdym strzale dowiadywał się o rezultacie przez walkie-talkie i dokonywał nieznaczących korekt. Zauważył, że karabin powoli słucha jego milczących rozkazów.

Trzy razy robili przerwę na posiłek, który przygotowywał Konowalenko. Victor Mabasha cenił jego wiedzę i umiejętność jej przekazywania. Jan Kleyn wybrał właściwego człowieka.

Przeżycie katastrofy brało się z czego innego: ze stosunku Konowalenki do Murzyna zabójcy. Victor Mashaba starał się nie zwracać uwagi na jego pogardliwy ton, ale w końcu okazało się to niemożliwe. Pogarda ujawniała się w całej pełni zwłaszcza wieczorami, kiedy jego rosyjski mistrz wypijał zdecydowanie za dużo wódki. Nigdy jednak nie pozwolił sobie na jawnie rasistowskie insynuacje, które usprawiedliwiłyby gwałtowną reakcję Victora. Ale, rzecz jasna, pogarszały sprawę. Victor Mabasha czuł, że długo tego nie wytrzyma. Jeśli nic się zmieni, będzie zmuszony zabić Konowalenkę.

Na seansach psychologicznych, kiedy siedzieli w salonie na skórzanych fotelach, Konowalenko traktował go jak dyletanta w kwestii najbardziej elementarnych zachowań. Żeby stłumić rosnącą nienawiść do tego impertynenta o

szarych popsutych zębach, postanowił grać przydzieloną mu rolę. Udawał głupiego, wtrącał niedorzeczne uwagi i patrzył, jaką tym sprawia radość Konowalence.

Nocami wyły śpiewające psy. Czasami się budził i miał wrażenie, że Konowalenko pochyła się nad nim z bronią w rękę. Ale się mylił. Nikogo nie było. Potem nie spał aż do świtu, który przychodził zbyt wcześnie.

Chwilę oddechu dawały mu codzienne przejażdżki samochodem. W budynku gospodarczym stały dwa samochody. Jemu przypadł mercedes. Z bmw korzystał Konowalenko, ale nigdy się nie zwierzał z celu swoich podróży.

Victor Mabasha bocznymi drogami docierał do miasta o nazwie Ystad, jeździł nadbrzeżnymi szosami i dzięki tym wycieczkom jakoś to wszystko znosił. Którejś nocy policzył porcje żywnościowe w zamrażarce. Do końca pobytu w tym odludnym domu został im jeszcze tydzień.

Muszę wytrzymać, myślał. Jan Kleyn spodziewa się, że za milion randów zrobię, co do mnie należy.

Przypuszczał, że podczas jego samochodowych przejażdżek Konowalenko regularnie kontaktuje się z Afryką Południową. Był pewien, że wysyła Kleynowi dobre wiadomości.

Ale nie opuszczało go przecucie nadchodzącej katastrofy. Z każdą godziną był coraz bliżej punktu zwrotnego, kiedy całe jego jestestwo zacznie się domagać zabicia Konowalunki. Wiedział, że musi to zrobić, żeby nie ranić przodków i nie utracić własnej godności.

Nic jednak nie poszło po jego myśli.

Siedzieli w skórzanych fotelach, była mniej więcej czwarta po południu, Konowalenko mówił o problemach i możliwościach przeprowadzenia likwidacji z różnych typów dachów. I nagle zeszytniał. Victor Mabasha ani trochę się nie zdziwił. W pobliżu zatrzymał się jakiś samochód.

Nasłuchiwali. Drzwi się otworzyły i zamknęły. Konowalenko, który nigdy nie rozstawał się z lugerem, wstał i odbezpieczył broń.

- Schowaj się, żeby cię nie było widać z zewnątrz - po wiedział.

Victor Mabasha wykonał polecenie. Przykucnął przy oknie za kominkiem. Konowalenko cicho otworzył drzwi wychodzące na zapuszczony sad i zniknął.

Nie wiedział, ile czasu przesiedział za kominkiem. W każdym razie był tam, kiedy niczym trzask bata zabrzmiał wystrzał z pistoletu. Ostrożnie się wyprostował, zobaczył, że Konowalenko nad czymś się pochyla, i wyszedł na podwórze.

Na mokrym żwirze leżała na plecach jakaś kobieta. Konowalenko zabił ją strzałem w czoło.

- Kto to jest? - spytał Victor Mabasha.

- A skąd mam wiedzieć? Była sama.

- Czego chciała?

Konowalenko wzruszył ramionami i nogą zamknął oczy martwej kobiety, zostawiając na jej twarzy grudki gliny z podeszwy buta.

- Pytała o drogę - odparł. - Najwyraźniej zablądziła. Victor Mabasha nie wiedział, czy sprawiły to grudki gliny z butów Konowalenki, czy fakt, że ją zabił, kiedy pytała o drogę, dość, że podjął ostateczną decyzję.

Teraz miał jeszcze jeden powód: niepohamowaną brutalność Konowalenki.

On nigdy by nie zastrzelił kobiety dlatego, że pytała o drogę. I nigdy nie zamknąłby komuś oczu butem.

- Jesteś szalony - powiedział. Konowalenko uniósł brwi.

- A co miałem zrobić?

- Nie mogłeś powiedzieć, że nie wiesz, gdzie jest to miejsce, którego szukała?

Konowalenko schował pistolet do kieszeni.

- Nic nie rozumiesz. Nas nie ma. Za kilka dni stąd odjedziemy, tak jakby nas nigdy tu nie było.

- Ale ona tylko spytała o drogę. - Victor Mabasha zagotował się z oburzenia. - Zabicie człowieka musi mieć jakiś sens.

- Wracaj do domu. Ja się tym zajmę.

Widział przez okno, jak Konowalenko wkłada kobietę do bagażnika jej samochodu i odjeżdża.

Po niespełna godzinie był z powrotem. Przyszedł pieszo.

- Gdzie ona jest? - spytał Victor Mabasha.

- W bezpiecznym miejscu.

- A samochód?

- Jak wyżej.

- Szybko poszło.

Konowalenko nastawił wodę na kawę, po czym odwrócił się do Victora z uśmiechem.

- Jeszcze jedna lekcja - powiedział. - Mimo doskonałej organizacji zawsze może się coś przydarzyć. Właśnie dlatego konieczne jest szczegółowe planowanie. Pozwala na improwizację. W przeciwnym razie tego rodzaju niespodzianki wprowadzałyby jedynie niepotrzebny zamęt. Konowalenko zajął się kawą.

Zabiję go, pomyślał Victor Mabasha. Zabiję, zanim się rozstaniemy. Nie ma odwrotu.

W nocy nie spał. Zza ściany dobiegało pochrapywanie Konowalenki. Jan Kleyn to zrozumie. On jest taki jak ja. Nie znosi przemocy, której nie przyświeca określony cel. Pozbawiając życia prezydenta de Klerka, chce położyć kres niekończącym się zbrodniom nękającym nasz nieszczęśliwy kraj.

Taki potwór jak Konowalenko nigdy nie dostanie u nas azylu. Potwór nigdy nie dostanie pozwolenia na wjazd do ziemskiego raju.

Trzy dni później Konowalenko poinformował, że się zbierają.

- Nauczyłem cię tego, co umiem - powiedział. - Radzisz sobie z karabinem. Wiesz, jak się zachować, kiedy zobaczysz, kto się pojawi w celowniku. Wiesz, jak myśleć, planując ostatni etap. Pora, żebyś wracał do domu.

- Nad jednym się zastanawiam - przyznał Victor Mabasha. - Jak przewiozę karabin do Afryki Południowej.

- To oczywiście, że go z sobą nie weźmiesz - odparł Konowalenko, nie ukrywając pogardy z powodu tak idiotycznego pytania. - Skorzystamy z innej drogi transportu. Nie musisz wiedzieć z jakiej.

- Mam jeszcze jedno pytanie. Ani razu nie wypróbowałem pistoletu.

- Nie było takiej potrzeby. Jest dla ciebie. Gdyby ci się nie udało. Tej broni nikt nie wytropi.

Błąd, pomyślał Victor Mabasha. Nigdy go nie wyceluję w swoją głowę.

Użyję go przeciwko tobie.

Wieczorem tego dnia Konowalenko upił się bardziej niż zwykle. Z przekrwionymi oczami siedział przy stole i patrzył na Victora.

O czym on myśli? - zastanawiał się Victor Mabasha. Czy ten człowiek kiedykolwiek przeżywał miłość? Gdybym był kobietą, jak by wyglądało dzielenie z nim łóża?

Zdenerwował się. Cały czas miał przed oczyma martwą kobietę leżącą na podwórzu.

- Masz dużo wad. - Konowalenko przerwał jego rozmyślenia. - A najgorsza to ta, że jesteś sentymentalny.

- Sentymentalny?

Wiedział, co to znaczy, ale nie był pewien, czy Konowalence chodziło o to samo.

- Nie spodobało ci się, że zabiłem tę kobietę - wyjaśnił Konowalenko. - Przez ostatnie dni byłeś zdekoncentrowany i źle strzelałeś. W ostatnim raporcie do Jana Kleyna doniosę o tej słabości. Niepokoi mnie to.

- A mnie bardziej niepokoi twoja brutalność.

Nagle nie było już odwrotu. Wiedział, że teraz powie Konowalence, o czym myślał.

- Jesteś głupszy, niż sądziłem - odparł Konowalenko. - Przypuszczalnie leży to w naturze czarnej rasy.

Victor Mabasha zarejestrował te słowa w świadomości, po czym wolno się podniósł.

- Zabiję cię - oznajmił.

Konowalenko z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie. Nie zrobisz tego.

Każdego wieczora Victor Mabasha brał pistolet z pokoju za stalowymi drzwiami. Teraz go wyjął i wycelował w Konowalencę.

- Nie powinieneś być jej zabijać - powiedział. - W ten sposób poniżyłeś mnie i siebie.

Zobaczył, że Konowalencę zdjął strach.

- Zwariowałeś - wydusił. - Nie możesz mnie zabić.

- Już ja najlepiej wiem, co mogę. Wstań. Powoli. Pokaż ręce. Odwróć się.

Konowalenko wykonał jego polecenia.

Victor Mabasha zdążył pomyśleć, że coś jest nie tak, zanim Konowalenko błyskawicznie uskoczył. Strzelił, ale pocisk trafił w regał.

Nie miał pojęcia, skąd się wziął nóż. W każdym razie Konowalenko trzymał go w ręku, kiedy się na niego z rykiem rzucił. Pod ich ciężarem zawalił się stół. Victor był silny, ale Konowalence też nic nie brakowało. Nóż niebezpiecznie zbliżał się do jego twarzy. Kopnął Konowalencę w plecy i przyłożył mu pięścią. Bez rezultatu. W końcu się uwolnił i poczuł przeszywający ból w lewej dłoni. Sparaliżował mu całe ramię. Pistolet dawno gdzieś zapodział. Chwycił do połowy opróżnioną butelkę wódki, odwrócił się i rozbił ją na głowie Konowalenci, a ten osunął się na podłogę.

W tym momencie Victor Mabasha zauważył, że palec wskazujący lewej dłoni wisi na cieniutkim pasemku skóry. Chwiejnie wyszedł z domu. Nie wątpił, że roztrzaskał Konowalence głowę. Popatrzył na silnie krwawiącą rękę. Zaciśnął zęby i oderwał pasemko skóry. Palec spadł na zwir. Wrócił do środka, owinał dłoń w kuchenną ścierekę, wrzucił do torby trochę ubrań i odszukał pistolet. Potem zatrzasnął za sobą drzwi, wskoczył do mercedesa i ostro ruszył. Prowadził zdecydowanie za szybko. Po drodze napotkał jakiś samochód, niewiele brakowało, żeby doszło do kolizji, dotarł do szosy i zwolnił.

Mój palec, pomyślał. To dla ciebie, *songoma*. Wskaż mi teraz drogę do domu. Jan Kleyn na pewno to zrozumie. Jest mądrym *nkosi*. Wie, że można na mnie polegać. Zrobię, o co mnie prosił. Nawet jeśli nie będzie to karabin o zasięgu ośmiuset metrów. Wykonam, co do mnie należy, i dostanę milion randów. Ale teraz potrzebuję twojej pomocy, *songoma*. Dałem ci w zamian swój palec.

Konowalenko siedział bez ruchu w skórzanym fotelu. Ból rozsadzał mu głowę. Gdyby oberwał butelką z przodu, a nie z boku, już by nie żył. Od czasu do czasu przykładał do skroni owinięte w ręcznik kostki lodu. Próbował się skupić. Nie po raz pierwszy znalazł się w opałach.

W godzinę rozważył wszystkie za i przeciw i podjął decyzję. Spojrzał na zegarek. Dwa razy na dobę mógł nawiązać kontakt z Janem Kleynem. Do kolejnego połączenia zostało mu dwadzieścia minut. Poszedł do kuchni po świeże kostki lodu.

Dwadzieścia minut później siedział na strychu przy radiostacji i wywoływał Afrykę Południową. Jan Kleyn odezwał się po kilku minutach. Nie posługiwali się żadnymi imionami.

Konowalenko zdał relację z tego, co zaszło. „Ptaszek wyfrunął z klatki. Nauka śpiewu zakończyła się fiaskiem”.

Jan Kleyn nie odpowiedział od razu. Kiedy wreszcie dotarło do niego, co się stało, nie miał wątpliwości. „Ptaszka trzeba złapać. Przyślemy zmiennika. O terminie wysyłki poinformujemy później. Chwilowo wszystko wraca do punktu wyjścia”.

Konowalenko był w pełni usatysfakcjonowany. W ocenie Jana Kleyna wywiązał się z powierzonego mu zadania.

Czwarty warunek, o którym Victor Mabasha nic nie wiedział, był bardzo prosty.

- Sprawdź go - polecił Kleyn, kiedy się spotkali w Nairobi. - Przetestuj jego wytrzymałość, znajdź słabe punkty. Musimy mieć pewność, że nie skrewi. W tej grze nie może my sobie pozwolić na żadne nieprzewidziane okoliczności. Jeśli się nie będzie nadawał, zmienimy go.

Victor Mabasha nie wytrzymał, pomyślał Konowalenko. Pozornie twardy, okazał się zagubionym i sentymentalnym Afrykaninem.

Teraz to już jego sprawa, jak go odnaleźć i zabić. Potem pozna następnego kandydata Jana Kleyna.

Wiedział, że czeka go niełatwe zadanie. Victor Mabasha był ranny i zachowywał się nieobliczalnie. Konowalenko nie wątpił jednak, że sobie poradzi. W KGB słynął z niebywałego wręcz uporów. I nigdy się nie poddawał.

Przespał się kilka godzin, o świcie spakował torbę i zaniósł ją do bmw.

Zanim zamknął drzwi, włączył detonator. Za trzy godziny, kiedy będzie w bezpiecznej odległości, dom wyleci w powietrze.

Tuż po szóstej odjechał. Późnym popołudniem powinien być w Sztokholmie.

Przed wjazdem na E14 stały dwa radiowozy. Przemknęło mu przez głowę, że Victor Mabasha ich wydał. Ale nie. Niezatrzymywany przez nikogo, pojechał dalej.

Przed siódmą rano we wtorek Jan Kleyn zadzwonił do

Franza Malana.

- Musimy się spotkać - powiedział. - Komitet powinien się czym prędzej zebrać.

- Czy coś się stało? - spytał Franz Malan.

- Tak. Pierwszy ptaszek się nie sprawdził. Trzeba wybrać innego.

Późnym wieczorem 28 kwietnia Konowalenko zaparkował przed jednym z wieżowców w Hallundzie. Podróż ze Skanii zajęła mu wiele godzin. Mimo że lubił szybką jazdę i bmw świetnie się do tego nadawało, przestrzegał dopuszczalnych prędkości. Przed Jonkópingiem z przykrością skonstatował, że policja zatrzymuje samochody. Ponieważ większość z nich go wyprzedziła, zakładał, że wyłapały je radary.

Konowalenko nie miał zaufania do szwedzkiej policji. Zapewne brało się to z jego pogardy dla szwedzkiej demokracji. Konowalenko nienawidził demokracji. Odebrała mu kawał życia. Mimo że jej zaprowadzenie w jego kraju potrwa bardzo długo - może nawet nigdy nie nastąpi - opuścił Leningrad, kiedy tylko zdał sobie sprawę, że nie uda się już ocalić starego sowieckiego ustroju. Gwoździem do trumny był nieudany zamach stanu jesienią 1991 roku, kiedy to pewna liczba znaczących wojskowych i członków biura politycznego próbowała przywrócić hierarchiczny system. Ledwie porażka stała się faktem, Konowalenko zaczął myśleć o ucieczce. W demokracji, wszystko jedno jakiej, nigdy nie mógłby żyć. Mundur KGB, który nosił od dwudziestego roku życia, był jego drugą skórą. Co by zostało, gdyby się obdarł ze skóry?

Nie był w tych myślach odosobniony. W ostatnich latach, kiedy KGB poddano surowym reformom, kiedy brutalnie zburzono mur berliński, bez przerwy dyskutował z kolegami o przyszłości. Wedle niepisanych reguł służby wywiadowcze zawsze obarczano odpowiedzialnością w okresach załamywania się systemów totalitarnych. Zbyt dużo ludzi trafiło w ręce KGB, zbyt wielu chciało pomścić zaginionych lub zabitych członków rodziny. Konowalenko nie miał ochoty stawać przed sądem, tak jak jego byli koledzy ze Stasi w nowych Niemczech. Na ścianie gabinetu powiesił mapę świata i godzinami ją studiował. Z przykrością

stwierdził, że świat drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych nie bardzo mu odpowiada. Nie wyobrażał sobie życia w żadnej z okrutnych i wyjątkowo niestabilnych dyktatur w Ameryce Południowej. Nie miał też zaufania do samowładców nadal rządzących w niektórych państwach afrykańskich. Zastanawiał się nad znalezieniem sobie miejsca w jednym z fundamentalistycznych krajów arabskich. Islam był mu nienawistny, w najlepszym razie obojętny. Ale wiedział, że tamtejsza policja, zarówno jawna, jak i tajna, ma duże uprawnienia. W końcu odrzucił tę możliwość. Nigdy by się nie przystosował do całkowicie obcej kultury islamu. Poza tym nie chciał rezygnować z picia wódki.

Myślał również o zaoferowaniu swoich usług jakiejś międzynarodowej firmie ochroniarskiej. Ale za słabo się na tym znał.

Tylko jeden kraj wchodził w grę. Afryka Południowa. Przeczytał o nim wszystko, co tylko mógł zdobyć. Wykorzystując wpływy, którymi nadal cieszyli się oficerowie KGB, dotarł do rozmaitych źródeł. Lektura umocniła go w przekonaniu, że w Afryce Południowej może sobie zapewnić przyszłość. Odpowiadała mu segregacja rasowa i dobrze zorganizowane siły policyjne, które dysponowały sporymi wpływami.

Nie lubił kolorowych, zwłaszcza Murzynów. Traktował ich jak nieobliczalnych osobników gorszego gatunku o skłonnościach przestępczych. Nie wiedział, czy to przesady, po prostu uznał, że tak jest. Z przyjemnością myślał o służących, kelnerach i ogrodnikach.

Anatolij Konowalenko był żonaty. Ale swoje przyszłe życie planował bez Miry. Od dawna miał jej dosyć. Przypuszczalnie on też się jej znudził, choć nigdy o to nie pytał. Pozostało wyzute z uczuć przyzwyczajenie. Odbijał to sobie, nawiązując stosunki z kobietami, które poznawał na

drodze zawodowej.

Ich dwie córki żyły już własnym życiem. Nie musiał się o nie niepokoić.

Postanowił uciec z rozpadającego się imperium, nie pozostawiając żadnych śladów. Anatolij Konowalenko przestanie istnieć. Zmieni tożsamość, być może wygląd. Żona jakoś sobie poradzi, żyjąc z renty, jaką dostanie po uznaniu go za zmarłego.

Jak większość kolegów, Konowalenko z biegiem lat zdążył się odpowiednio zabezpieczyć na wypadek ewentualnego kryzysu. Miał rezerwę w zagranicznej walucie, kilka paszportów na różne nazwiska i inne niezbędne dokumenty. Nie zapomniał o siatce kontaktów z ludźmi na strategicznych stanowiskach - w Aeroflocie, służbach celnych, Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nomenklatura stanowiła coś w rodzaju tajnej sekty. Byli po to, żeby sobie pomagać, żeby nic nie zakłócało ich wygodnego życia. Tak przynajmniej myśleli, dopóki nie nastąpił ten niepojęty krach.

Pod koniec, tuż przed ucieczką, wszystko odbyło się bardzo szybko. Skontaktował się z Janem Kleynem, oficerem łącznikowym między KGB i południowoafrykańską służbą wywiadowczą. Spotkali się podczas wizyty Konowalenki w moskiewskiej placówce w Nairobi, jego pierwszego pobytu na kontynencie afrykańskim. Dobrze im się rozmawiało, Jan Kleyn nie ukrywał, że Konowalenko może się dobrze przysłużyć jego krajowi. Robił nadzieję na emigrację i wygodne życie.

Ale to musiało potrwać. Konowalenko potrzebował jakiegoś punktu zaczepienia po opuszczeniu Związku Sowieckiego. Wybrał Szwecję. Wielu kolegów mu ją rekomendowało. Pomijając wysoki standard życia, łatwo było przekroczyć granicę i równie łatwo zachować anonimowość. Poza tym w Szwecji zaczęła się rozrastać rosyjska kolonia, zwłaszcza

zorganizowanych w szajki kryminalistów rozszerzających tu swoją działalność. W wielu wypadkach były to pierwsze szczury, które opuściły tonący okręt. Konowalenko wiedział, że będzie miał z nich pożytek. KGB znakomicie się współpracowało z rosyjskimi przestępcami. Teraz mogli sobie świadczyć przysługi na obczyźnie.

Wysiadł z samochodu i pomyślał, że nawet w tym kraju uchodzącym za wzorcowy istnieją skazy. Ponure osiedle mieszkaniowe przywoływało na pamięć Leningrad i Berlin. Jakby na fasadach domów był wypisany upadek. Jednocześnie uznał, że Władimir Rykoff i jego żona Tania dobrze zrobili, wybierając Hallundę. Mieszkały tu różne nacje, mogli żyć anonimowo, tak jak chcieli.

Jak ja chcę, poprawił się w myślach.

Kiedy przyjechał do Szwecji, posłużył się Rykoffem, żeby jak najszybciej wtopić się w nowe środowisko. Rykoff mieszkał w Sztokholmie od początku lat osiemdziesiątych. Przez pomyłkę zastrzelił w Kijowie pułkownika KGB i musiał uciekać z kraju. Ponieważ był śniady i z wyglądu przypominał Araba, wjechał jako irański uchodźca i bardzo szybko uzyskał status uchodźcy, mimo że nie znał ani słowa po persku. Z czasem otrzymał obywatelstwo szwedzkie i wrócił do prawdziwego nazwiska. Irańczykiem był tylko wtedy, kiedy się kontaktował ze szwedzkimi urzędami. Jeszcze podczas pobytu w obozie dla uchodźców pod Flenem dokonał kilku napadów na bank, żeby utrzymać siebie i rzekomo irańską żonę. To mu zapewniło godziwy kapitał wyjściowy. Poza tym doszedł do wniosku, że mógłby zarabiać na świadczeniu usług Rosjanom, którzy coraz szerszym strumieniem, mniej lub bardziej legalnie, napływali do Szwecji. Jego dosyć nietypowe biuro turystyczne wkrótce stało się dobrze znane. Zdarzały się okresy, kiedy nadmiar chętnych przekraczał jego możliwości. Na liście płac widnieli rozmaici przedstawiciele

szwedzkich urzędów, nawet referenci z Urzędu Imigracyjnego, i wszystko to wpływało na reputację biura, słynącego z dużej efektywności i sprawnego planowania. Czasami się irytował, że tak trudno przekupić szwedzkich urzędników. Najczęściej jednak dopinał swego. Rykoff wprowadził ponadto ceniony obyczaj zapraszania wszystkich nowo przybyłych na prawdziwie rosyjski posiłek do siebie, do Hallundy.

Konowalenko wkrótce po przyjeździe zorientował się, że wbrew pozorom Rykoff jest uległy i nie grzeszy siłą charakteru. Zaczął się zalecać do jego żony, która bynajmniej nie okazała mu niechęci, i wtedy miał go w garści. Tak się urządził, że Rykoff odwał za niego najgorszą robotę, wszystkie monotonne, rutynowe czynności.

Kiedy Jan Kleyn zaproponował mu opiekę nad afrykańskim zawodowym mordercą w związku z ważną operacją w Afryce Południowej, praktyczne sprawy zlecił Rykoffowi. To on wynajął dom w Skanii, załatwił samochody i zorganizował zapas żywności. To on kontaktował się z fałszerzami dokumentów i odebrał broń, którą Konowalence udało się przemyć z Sankt Petersburga.

Konowalenko wiedział o jeszcze jednej umiejętności Rykoffa.

W razie potrzeby nie wahał się zabić.

Konowalenko zamknął samochód, wziął torbę i wjechał windą na piąte piętro. Miał klucz, ale zadzwonił. Sygnał był prosty, coś w rodzaju zmodyfikowanej wersji pierwszych taktów *Międzynarodówki*.

Otworzyła mu Tania. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, widząc, że nie ma z nim Victora Mabashy.

- Już jesteś? - spytała. - A gdzie Murzyn?

- Władimir w domu?

Dał jej torbę i wszedł do mieszkania. Było czteropokojowe,

wyposażone w cztery drogie skórzane fotele, marmurowy stół, najnowsze modele wież i magnetowidów. Wszystko pozbawione smaku. Konowalenko nie lubił tu mieszkać, ale teraz nie miał innego wyjścia.

Władimir wyszedł z sypialni w jedwabnym szlafroku. Tania była szczupła, on - spasiony. Gdyby Konowalenko kazał mu utyć, Władimir przypuszczalnie by nie zaprotestował, otrzymawszy takie polecenie.

Tania podała prosty posiłek i postawiła butelkę wódki. Konowalenko powiedział tylko to, co uznał za stosowne. Nie wspomniał o kobiecie, którą musiał zabić.

Victor Mabasha doznał załamania nerwowego. Jest teraz gdzieś w Szwecji i trzeba go bezwzględnie zlikwidować.

- Czemu tego nie zrobiłeś w Skanii? - spytał Władimir.

- Napotkało to pewne trudności.

Ani Władimir, ani Tania nie mieli więcej pytań.

Podczas podróży samochodem Konowalenko przebiegł myślami całe zajście i opracował plan działania. Doszedł do wniosku, że Victor Mabasha ma tylko jedną możliwość wydostania się z kraju.

Musi odszukać Konowalenkę. To on ma paszport i bilety, to on może mu dać pieniądze.

Victor Mabasha najprawdopodobniej dotrze do Sztokholmu. Jeśli już tego nie zrobił. A w Sztokholmie on i Rykoff się nim zajmą.

Konowalenko wychylił kilka kieliszków wódki. Uważał jednak, żeby się nie upić. Choć teraz niczego bardziej nie pragnął, czekało go ważne zadanie.

Musi zadzwonić do Jana Kleyna na numer w Pretorii, z którego wolno mu było korzystać tylko w razie absolutnej konieczności.

- Idźcie do sypialni - polecił. - Zamknijcie drzwi i włączcie radio. Muszę zadzwonić i nie chcę, żeby mi ktokolwiek przeszkadzał.

Wiedział, że małżonkowie podsłuchują, ilekroć nadarzy się sposobność. Tym razem nie zamierzał im tego ułatwiać. Zwłaszcza że chciał powiedzieć Kleynowi o kobiecie, którą musiał zabić.

To będzie znakomite wyjaśnienie załamania Victora Mabashy. Nie powinno być cienia wątpliwości, że dzięki Konowalence udało się w samą porę ujawnić jego słabość.

Zabójstwo kobiety mogło także spełnić inną funkcję. Jan Kleyn powinien zrozumieć, jeśli dotąd nie rozumiał, że Konowalenko jest absolutnie bezwzględny.

Zgodnie z zapewnieniem Kleyna złożonym w Nairobi tego właśnie najbardziej było trzeba w Afryce Południowej.

Białych gardzących ludzkim życiem.

Konowalenko wybrał numer, który zapamiętał, ledwie go dostał w Afryce. Przez lata pracy w KGB ciągle ćwiczył koncentrację i pamięć, ucząc się numerów telefonów.

Cztery razy wykręcał mnóstwo cyfr, zanim satelita nad równikiem odebrał sygnały i przekazał na Ziemię.

Ktoś podniósł słuchawkę w Pretorii.

Konowalenko natychmiast rozpoznał ochryply rozwlekły głos.

Dopiero po chwili przyzwyczał się do pogłosu i sekundowego opóźnienia w komunikacji z Afryką.

Jeszcze raz zreferował przebieg wydarzeń. Posługiwał się szyfrem. Victor Mabasha był developerem. Przed wyjazdem do Sztokholmu starannie się przygotował. Jan Kleyn nie miał żadnych pytań ani wątpliwości.

Kiedy skończył, w słuchawce zaległa cisza.

- Wyślemy innego developera - odezwał się w końcu Kleyn. - Poprzedniego trzeba oczywiście natychmiast zwolnić. Skontaktujemy się, jak tylko będziemy wiedzieć coś więcej o zmienniku.

Konowalenko odłożył słuchawkę. Rozmowa wypadła zgodnie z jego oczekiwaniami. Jan Kleyn rozumiał, że

Konowalenko zapobiegł kompletnemu fiasku planowanego zamachu.

Nie mógł się oprzeć pokusie, by się nie zakraść pod drzwi sypialni. Ze środka nic nie było słychać oprócz dźwięków dochodzących z radia.

Usiadł przy stole i nalał sobie pół kieliszka wódki. Teraz mógł sobie na to pozwolić. Ponieważ chciał побыć sam, nie otwierał drzwi do sypialni.

W swoim czasie zabierze Tanie do pokoju, w którym zwykł nocować.

Nazajutrz wcześniej rano wstał po cichu z łóżka. Nie chciał budzić Tani. Rykoff był już na nogach. Siedział w kuchni i pił kawę. Konowalenko nalał sobie filizankę i usiadł naprzeciwko niego.

- Victor Mabasha musi umrzeć - zaczął. - Prędzej czy później przyjedzie do Sztokholmu. Mam przecucie, że już tu jest. Obciąłem mu palec. Na lewym ręku będzie miał bandaż albo rękawiczkę. Najprawdopodobniej odwiedzi kluby, w których spotykają się Afrykanie. Tylko w taki sposób może mnie odnaleźć. Chcę, żebyś puścił w obieg informację, że ten, kto wyeliminuje Victora Mabashę, dostanie sto tysięcy koron. Pogadaj ze wszystkimi rosyjskimi kryminalistami, których znasz. Nie wymieniaj mojego nazwiska. Powiedz tylko, że zleceniodawca jest solidny.

- To dużo pieniędzy.

- Nie twój problem. Zrób, o co cię proszę. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś sam zgarnął tę forszę. Albo ja.

Konowalenko chętnie by wycelował pistolet w głowę Victora Mabashy. Wiedział jednak, że to mało prawdopodobne. Za dużo szczęścia naraz.

- Dzisiaj wieczorem zajrzemy do klubów - podjął. - Do tego czasu wszyscy powinni być poinformowani o nagrodzie. Innymi słowy, czeka cię dużo pracy.

Władimir pokiwał głową i wstał. Mimo otyłości był niezwykle sprawny.

Pół godziny później wyszedł. Konowalenko widział z okna, jak wsiada do volva. Chyba sobie kupił nowszy model.

Zaże się na śmierć, pomyślał. Samochody to jego szczęście. Umrze, nie czując radości z pokonywania własnych ograniczeń. Niemal niczym się nie różni od przeżywającej krowy.

Konowalenko też miał tego dnia ważną sprawę do załatwienia. Musi zdobyć sto tysięcy koron. Oczywiście, okradając bank. Pozostawało jedynie pytanie który.

Wrócił do sypialni, przez chwilę kusiło go, żeby wsunąć się pod kołdrę i obudzić Tanie. Zdusił tę myśl, szybko się ubrał i tuż przed dziesiątą opuścił mieszkanie w Hallundzie.

Na dworze było chłodno i padał deszcz.

Ciekawe, gdzie się teraz podziewa Victor Mabasha.

Kwadrans po drugiej w środę 29 kwietnia Anatolij Konowalenko obrabował oddział Handelsbanken w Akalli. Zajęło mu to dwie minuty. Wybiegł z banku, skręcił za róg i otworzył drzwi samochodu. Silnik pracował na wolnych obrotach. Szybko odjechał.

Liczył, że udało mu się zgarnąć co najmniej dwa razy więcej, niż potrzebował. Kiedy Victora Mabashy już nie będzie, zaprosi Tanie na wytworną kolację.

Tuż przed Ulvsundavagen był ostry zakręt w prawo. Nagle gwałtownie zahamował. Ulicę tarasowały dwa radiowozy. Mnóstwo myśli przeleciało mu przez głowę. Jakim cudem zdążyli zorganizować blokadę? Opuścił bank maksimum dziesięć minut temu. Skąd mogli wiedzieć, że właśnie tędy będzie uciekał?

Przystąpił do działania.

Wrzucił wsteczny i z piskiem opon zawrócił, taranując kosz na śmieci i zahaczając tylnym zderzakiem o drzewo. Koniec ze swobodną jazdą. Teraz jest skazany na improwizację.

Za plecami usłyszał syreny. Zaklął głośno i znów zaczął się zastanawiać, jak do tego doszło. Na dokładkę nie znał okolic na północ od Sundbybergu. Wszystkie ewentualne drogi ucieczki wychodziły na jakąś obwodnicę prowadzącą do śródmieścia. Nie wiedział, gdzie jest, i nie był w stanie niczego zaplanować.

Dosyć szybko stracił orientację i znalazł się na ślepej uliczce w jakiejś przemysłowej dzielnicy. Policja ciągle deptała mu po piętach, mimo że zyskał nad nią przewagę, dwukrotnie przejechawszy na czerwonym świetle. Wyskoczył z samochodu z reklamówką w jednej ręce i z pistoletem w drugiej. Kiedy pierwszy radiowóz gwałtownie zahamował, podniósł broń i strzelił w przednią szybę. Nie wiedział, czy kogoś trafił, najważniejsze, że dało mu to trochę czasu. Policjanci nie będą go ścigać, dopóki nie wezwą posiłków.

Szybko przesadził ogrodzenie i wylądował na złomowisku, a może na placu budowy. Nie był pewien. W każdym razie miał szczęście. Z naprzeciwka nadjechała jakaś parka, żeby się nacieszyć samotnością we dwoje. Konowalenko bez wahania podkradł się do samochodu, wsunął pistolet przez opuszczoną szybę i przyłożył go do skroni chłopaka.

- Spokojnie, róbcie, co mówię - powiedział łamanym szwedzkim. - Wysiadać z wozu. Kluczyki zostawić.

Patrzyli na niego tępym wzrokiem. Konowalenko nie miał czasu, szarpnięciem otworzył drzwi, wyciągnął chłopaka, usiadł za kierownicą i spojrzął na dziewczynę.

- Odjeżdżam - oznajmił. - Masz sekundę, żeby się zdecydować, czy jedziesz ze mną, czy zostajesz.

Wrzasnęła i wyskoczyła z samochodu. Konowalenko ruszył. Już mu się nie spieszyło. Zewsząd rozlegały się dźwięki syren, ale policjanci nie mieli pojęcia, że zdążył zmienić środek lokomocji.

Ciekawe, czy kogoś zabiłem, pomyślał. Dowiem się wieczorem z telewizyjnych wiadomości.

Zaparkował przy Duvbo i metrem wrócił do Hallundy. Zadzwonił. Ani Tani, ani Władimira nie było w domu. Otworzył drzwi swoim kluczem, reklamówkę z pieniędzmi położył na stole i wziął butelkę wódki. Po kilku porządnych łykach rozluźnił się i spokojnie skonstatował, że wszystko poszło dobrze. Jeśli postrzelił albo zabił policjanta, w mieście będzie lekkie zamieszanie, ale nie powinno to przeszkodzić w likwidacji Victora Mabashy.

Przeliczył pieniądze. Sto sześćdziesiąt dwa tysiące koron.

O szóstej włączył telewizor, żeby obejrzeć pierwsze wydanie wiadomości. Tania właśnie wróciła i szykowała w kuchni kolację.

Tak jak się spodziewał, pierwszy materiał dotyczył interesującej go sprawy. Zdumiał się, słysząc, że strzał, który oddał tylko po to, żeby roztrzaskać przednią szybę radiowozu, w innych okolicznościach uznano by za wyborowy. Pocisk trafił dokładnie między oczy. Śmierć nastąpiła na miejscu.

Pokazano zdjęcie policjanta, którego zabił. Nazywał się Klas Tengblad, miał dwadzieścia sześć lat, był żonaty, osierocił dwoje małych dzieci.

Policja wiedziała o sprawcy tylko tyle, że kilka minut wcześniej obrabował oddział Handelsbanken w Akalli.

Konowalenko skrzywił się i już miał wyłączyć telewizor, kiedy zauważył, że w drzwiach stoi Tania i bacznie mu się przygląda.

- Dobry policjant to martwy policjant - powiedział, naciskając guzik pilota. - Co dzisiaj na kolację? Jestem głodny. Kiedy kończyli posiłek, przyszedł Władimir.

- Napad na bank - powiedział. - Jeden zabity policjant. Sprawca mówi po szwedzku z obcym akcentem. Wieczorem w mieście będzie pełno glin.

- To się zdarza - odparł Konowalenko. - Załatwiłeś, co trzeba?

- Przed północą każdy gość z półświatka będzie wiedział, że można zarobić sto tysięcy.

Tania podała mężowi kolację.

- Czy zabijanie policjanta naprawdę było konieczne? - spytał Władimir.

- Dlaczego myślisz, że to ja go zabiłem? Władimir wzruszył ramionami.

- Wyborowy strzał. Napad na bank, żeby zapłacić za głowę Victora Mabashy. Obcy akcent. To się chyba trzyma kupy.

- Mylisz się co do strzału. To był tylko fart. Albo niefart. Zależy, jak się na to spojrzy. W każdym razie będzie lepiej, jeśli sam pojedziesz do miasta. Możesz zabrać Tanie.

- Na Söder jest kilka klubów, gdzie zbierają się Afrykanie - powiedział Władimir. - Od nich zacznę.

O wpół do dziewiątej Tania i Władimir pojechali do miasta. Konowalenko wykapał się i włączył telewizor. W serwisach informacyjnych przedstawiano obszernie materiały o zabitym policjancie. Nadal nie było żadnych pewnych tropów.

Naturalnie, pomyślał Konowalenko. Nie zostawiam śladów. Przysnął na krześle, kiedy nagle zadzwonił telefon. Jeden sygnał. Cisza. Siedem sygnałów. Cisza. Konowalenko podniósł słuchawkę za trzecim razem. Wiedział, że to Władimir. W tle rozbrzmiewał dyskotekowy gwar.

- Słyszysz mnie?! - zawołał Władimir. - Tak.

- Bo ja ledwie słyszę sam siebie. Mam wiadomości.

- Ktoś widział Victora Mabaszę w Sztokholmie?

- Lepiej. Jest tutaj. Konowalenko wstrzymał oddech.

- Zauważył cię?

- Nie. Ale ma się na baczności.

- Jest sam? - Tak.

Konowalenko zastanawiał się przez chwilę. Było dwadzieścia po jedenastej. Jaką powinien podjąć decyzję?

- Podaj mi adres - powiedział. - Czekać na mnie na zewnątrz.

Rozejrzyj się trochę i zlokalizuj wyjścia ewakuacyjne.

- Zrobi się.

Po zakończeniu rozmowy Konowalenko sprawdził pistolet, wsunął do kieszeni zapasowy magazynek, z blaszanej skrzyni wyjął dwa granaty z gazem łzawiącym i dwie maski przeciwgazowe i włożył je do reklamówki, w której wcześniej miał pieniądze z napadu na bank.

Potem starannie się uczesał przed lustrem w łazience. Jak zwykle, kiedy czekało go ważne zadanie.

Kwadrans przed północą wyszedł z mieszkania i pojechał taksówką do Ostermalmstorg. Zapłacił i inną taksówką dotarł na Söder.

Dyskoteka mieściła się pod numerem 45. Poleciał kierowcy, żeby się zatrzymał pod 60, i zawrócił.

Nagle stanął przed nim Władimir.

- Jest w środku - powiedział. - Tania pojechała do domu.

Konowalenko pokiwał głową i poprosił Władimira o za poznanie go z topografią lokalu.

- W którym miejscu siedzi? - spytał, kiedy miał już jasny obraz sytuacji.

- Przy barze.

Kilka minut później włożyli maski i odbezpieczyli broń.

Władimir otworzył drzwi, odepchnął dwóch zdumionych ochroniarzy i Konowalenko wrzucił do środka dwa granaty z gazem łzawiącym.

Ześlij mi noc, *songoma*. Jak znieść to nocne światło, które nie pozwala mi znaleźć bezpiecznego schronienia? Czemu wysłałeś mnie do tego dziwnego kraju, gdzie człowiekowi odebrano ciemność? Oddałem ci mój palec, *songoma*. Ofiarowałem cząstkę siebie w zamian za gęsty mrok. A ty mnie opuszczasz. Zostawiasz własnemu losowi. Jestem sam jak opadła z sił antylopa, która ucieka przed gepardem.

Victor Mabasha miał wrażenie, że porusza się w odrealnionej rzeczywistości. Jakby jego dusza podróżowała osobno, tuż obok, niewidzialna. Czuł na karku swój oddech. W mercedesie, którego obicia wydzielają słaby zapach przywołujący na pamięć oskórowane antylopy, było tylko jego ciało, zwłaszcza lewa dłoń. Brakujący palec dawał o sobie znać niczym sierocy ból w obcym kraju.

Już na samym początku tej panicznej ucieczki usiłował okiełznać myśli i kierować się rozsądkiem. Jestem Zulusem, powtarzał po tysiackroć jak zakłęcie, pochodzę z plemienia wojowników, jestem synem Niebios. Moi przodkowie zawsze stali w pierwszym szeregu, kiedy nasi *impis* ruszali do natarcia. Od lat wygrywaliśmy z białymi, zanim wykurzyli Buszmenów z bezkresnych pustyń, gdzie sami wkrótce dokonali żywota. Wygrywaliśmy z nimi, zanim powiedzieli, że nasza ziemia jest ich ziemią. Pokonaliśmy ich u podnóża Isandlwany, ich żuchwy zdobyły królewskie *kraale*. Jestem Zulusem, straciłem palec, ale zniosę ból, zostało mi tyle palców, ile żyć ma szakal.

Kiedy siły odmówiły mu posłuszeństwa, skręcił w pierwszą lepszą leśną dróżkę i zatrzymał się nad czarnym lśnią cym jeziorem. W pierwszej chwili pomyślał, że to ropa. Usiadł na przybrzeżnym kamieniu i odwinął ścierkę. Dłoń ciągle krwawiła, ból był nie tyle fizyczny, ile czuł go w świadomości.

Jak to możliwe, że Konowalenko okazał się szybszy od

niego? Przegrał z powodu wahania, które trwało nie dłużej niż sekundę. Musiał przyznać, że uciekł jak pijane dziecko we mgle, bez ładu i składu, na oślep. Zachował się niegodnie wobec siebie i Jana Kleyna. Powinien był przeszukać bagaż Konowalenki, zabrać bilety lotnicze i pieniądze, tymczasem pomyślał jedynie o ubraniu i pistolecie. Poza tym nie zapamiętał, któredy jechał. Nigdy nie trafiłby do tamtego domu.

Słabość, pomyślał. Nigdy, mimo najlepszych intencji, nie udało mi się jej pokonać. To kara wymierzona przez *songomę*. Wysłuchała duchów i pozwoliła, by psy zaśpiewały mi pieśń o słabości, której nie zwalczę.

Słońce, które w tym dziwnym kraju nie wiedziało, co to odpoczynek, wychynęło zza horyzontu. Z wierzchołka drzewa zerwał się do lotu jakiś drapieżny ptak i poszybował nad lustrzaną taflą jeziora.

Przede wszystkim musi się przespać. Wystarczy mu kilka godzin. Potem znów będzie mógł polegać na swoim umyśle. W czasach, które wydawały mu się równie odległe jak prehistoria jego przodków, ojciec, Okumana, najlepszy z najlepszych rzemieślnik wyrabiający oszczepy, powiedział mu, że póki żyjemy, zawsze jest jakieś wyjście. Że śmierć to ostateczna kryjówka, którą trzeba zachować w odwodzie do chwili, gdy nie będzie szans na uporanie się z pozornie nieuchronnym zagrożeniem. Nie brakuje sensownych rozwiązań. Początkowo się ich nie dostrzega, a to błąd, bo w odróżnieniu od zwierząt człowiek ma rozum, potrafi wejrzeć w siebie i zgłębić sekretne zakamarki, w których duchy przodków tylko czekają, by prowadzić ludzi przez życie.

Kim jestem? - pomyślał. Człowiek bez tożsamości nie jest człowiekiem. Jest zwierzęciem. I to mnie się przytrafiło. Zaczęłam zabijać ludzi, ponieważ umarłam. Już w dzieciństwie, kiedy widziałem te przeklęte napisy, co wolno

czarnym, a co jest zarezerwowane wyłącznie dla białych, czułem się pomniejszony. Dzieci powinny rosnać, tymczasem w moim kraju czarne dziecko uczy się, jak się coraz bardziej kurczyć. Rodzice pogodzili się ze swoim nieistnieniem, poddali się tłumionej goryczy. Byłem posłuszny, nauczyłem się być nikim. Moim prawdziwym ojcem była segregacja. Nauczyłem się życia w fałszu, pogardzie i kłamstwie, które w moim kraju urasta do jedynej prawdy. Kłamstwie strzeżonym przez policję i prawo, przez rzekę białej wody, strumień słów o naturalnej różnicy między czarnym i białym, o wyższości cywilizacji białych. Mnie ta wyższość uczyniła mordercą, *songoma*. To konsekwencja tego, czego się nauczyłem z powodu kurczenia się w dzieciństwie. Bo czymże jest segregacja, zafałszowana przewaga białych, jeśli nie systematycznym ogałaniem naszych dusz? Kiedy nasza rozpacz eksploduje szaleńczym spustoszeniem, biali nie widzą rozpaczony i nienawiści, która jest nieskończenie większa. Nosimy ją w sobie. Moje myśli i uczucia są jak przepołowione mieczem. Bez palca mogę się obyć. Ale jak mam żyć, nie wiedząc, kim jestem?

Wzdrygnął się, był bliski zaśnięcia. Na granicy snu i jawy powróciły do niego dawno nieobecne myśli.

Długo siedział na kamieniu nad jeziorem.

Przypływały wspomnienia. Nie musiał ich przyzywać.

Lato 1967 roku. Kiedy skończył sześć lat, zorientował się, że jedna rzecz różni go od innych dzieci, z którymi się bawił w zakurzonych slumsach na przedmieściach Johannesburga. Kopali piłkę, wykonaną z papieru i sznurków, i nagle okazało się, że potrafi grać jak żaden inny z jego kolegów. Mógł z nią robić, co chciał, była mu posłuszna jak pies. Dzięki temu odkryciu zrodziło się w nim pierwsze wielkie marzenie, które bezlitośnie miała zniszczyć owa święta segregacja. Zostanie czołowym rugbistą w Afryce

Południowej.

Czuł niebywałą radość. Myślał, że sprzyjają mu duchy przodków. Napełnił butelkę wodą z kranu i ofiarował ją czerwonej ziemi.

Któregoś dnia tamtego lata przy zakurzonemu placu, gdzie Victor grał w papierową piłkę z kolegami, zatrzymał się biały handlarz alkoholem. Siedział za kierownicą i długo przyglądał się czarnemu chłopcu o fenomenalnym talencie.

Przypadkiem piłka wylądowała obok samochodu. Victor ostrożnie podszedł, uklonił się i podniósł papierową kulę.

- Gdybyś był biały... - odezwał się mężczyzna. - Nigdy nie widziałem kogoś, kto by sobie tak radził z piłką. Szkoda, że jesteś czarny.

Śledził wzrokiem samolot, który zostawiał na niebie białą wstążkę.

Nie pamiętam bólu, pomyślał. Ale z pewnością już wtedy we mnie był. A może wpojono sześciolatkowi, że niesprawiedliwość to naturalny stan rzeczy, i w ogóle na to nie zareagował? Dziesięć lat później wszystko się zmieniło.

Czerwiec 1976 roku. Soweto. Przed Orlando West Junior Secondary School zgromadziło się przeszło piętnaście tysięcy uczniów. Jego to nie dotyczyło. Wychowywała go ulica, prowadził życie coraz bystrzejszego i bezwzględniejszego złodzieja. Nadal okradał tylko czarnych. Ale już kierował spojrzenie w stronę osiedli białych, gdzie można się było nieźle obłowić. Był w grupie młodych ludzi, których łączyła wściekłość z powodu nauki w znieprawdowanym języku Burów. Ciągłe pamiętał, jak młoda dziewczyna zacisnęła dłoń w pięść i krzyknęła do nieobecnego prezydenta: „Vorster! Jak będziesz mówił po zulusku, my będziemy mówić w afrikaans!” Był w nim chaos. Zewnętrzna dramaturgia, policja gniewnie wymachująca swoimi *sjamboks*, zaczęła go dotyczyć dopiero wtedy, kiedy oberwał. Rzucił kamieniami, jego

smykałka do piłki nigdy go nie opuściła. Prawie za każdym razem trafiał. Widząc, jak jeden z policjantów łapie się za policzek, a między palcami spływa krew, przypomniał sobie mężczyznę w samochodzie i jego słowa, kiedy w czerwonym kurzu stał z papierową piłką. Został schwytany, kańczug ranił mu skórę tak głęboko, że czuł ból również w sobie. Zapamiętał potężnego, czerwonego na twarzy policjanta, od którego załatywało przetrawioną wódką. Nagle w jego oczach dostrzegł strach. W tym momencie uświadomił sobie, że to on jest silniejszy, i strach białego mężczyzny będzie go odtąd przepelniał bezgraniczną pogardą. Z zamyślenia wyrwał go jakiś ruch po drugiej stronie jeziora. W jego kierunku wolno płynęła łódka. Mężczyzna rytmicznie wiosłował. Mimo dużej odległości słyszał odgłos wydawany przez dulki.

Podniósł się z kamienia, zakręciło mu się w głowie, uznał, że rękę powinien opatrzyć lekarz. Miał rzadką krew, ilekroć się skaleczył, zawsze długo krwawił. Poza tym musi zdobyć coś do picia. Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik. Benzyny wystarczy góra na godzinę.

Wyjechał na szosę i kontynuował podróż w obranym wcześniej kierunku.

Po czterdziestu pięciu minutach dotarł do miasteczka o nazwie Almhult. Próbował sobie wyobrazić, jak to się wymawia. Zatrzymał się na stacji benzynowej. Konowalenko zawsze dawał mu pieniądze na benzynę. Zostały mu dwa banknoty stukoronowe. Wiedział, jak obsłużyć automat, ale okaleczona dłoń mu to uniemożliwiała. Zaczął zwracać na siebie uwagę innych.

Starszy mężczyzna zaofiarował się z pomocą. Victor Mabasha nie zrozumiał, co powiedział, ale pokiwał głową i próbował się uśmiechnąć. Nalał benzyny za jeden banknot. Tylko dziesięć litrów. Trudno. Musi przecież coś zjeść, a przede wszystkim ugasić pragnienie. Mruknięciem

podziękował mężczyźnie, przestawił samochód i wszedł do sklepu. Kupił chleb i dwie duże butelki coca-coli. Po zapłaceniu zostało mu czterdzieści koron. Na mapie, którą zobaczył przy kasie obok rozmaitych ofert reklamowych, próbował odszukać Almhult, ale bez powodzenia.

Wsiadł do samochodu. Odgryzł duży kęs chleba i zaspokoił pragnienie, opróżniając całą butelkę coli.

I co teraz? Jak znaleźć lekarza albo szpital? Nie miał na to pieniędzy. Personel szpitala odeśle go z kwitkiem.

Wiedział, co to oznacza. Musi dokonać napadu rabunkowego. Pistolet leżący w skrytce był jego jedynym wyjściem.

Wyjechał z miasteczka. Po obu stronach szosy rozciągał się las.

Obym tylko nie musiał nikogo zabijać, pomyślał. Nie chcę tego, dopóki nie wykonam zadania. Dopóki nie zastrzelę de Klerka.

Kiedy pierwszy raz zabiłem człowieka, nie byłem sam, *songoma*. Dobrze to pamiętam, choć z trudem potrafię sobie przypomnieć ludzi, których likwidowałem później. Stało się to w styczniu 1981 roku przed południem na cmentarzu w Duduzie. Pamiętam popękane nagrobki, *songoma*, pamiętam, co myślałem; że chodzę po dachu domu umarłych. Tego ranka miał być pochowany nasz krewny, bodaj kuzyn mojego ojca. Na cmentarzu odbywały się także inne pogrzeby. Nagle gdzieś powstało zamieszanie, żałobnicy się rozpierzchli. Zobaczyłem biegnącą wśród nagrobków dziewczynę, uciekała jak ścigana łania; rzeczywiście była ścigana. Ktoś krzyknął, że to donosicielka, Murzynka, która jest na usługach policji. Została schwytana. Wydzieriała się, nigdy nie widziałem nikogo w większych tarapatkach. Oberwała nożem i pałą. Ciągle żyła. Zaczęliśmy znosić suche gałęzie i kępy trawy, które wyrwaliśmy spomiędzy grobów. Mówię „my”, ponieważ nagle stałem się

uczestnikiem. Czarna kobieta przekazuje informacje policji. Dlaczego miałyby żyć? Błagała o litość. Wkrótce jej ciało przykryły gałęzie i trawa. Spaliliśmy ją żywcem. Na próżno się szamotała, trzymaliśmy ją mocno, dopóki nie szcerniała jej twarz. To był pierwszy człowiek, którego zabiłem, *songoma*. Nigdy tego nie zapomnę, bo zabijając ją, zabiłem i siebie. Segregacja rasowa zatriumfowała. Stałem się zwierzęciem, *songoma*. Nie było już odwrotu.

Dłoń znów zaczęła go boleć. Starał się nią nie poruszać. Słońce ciągle było wysoko, nie musiał patrzeć na zegarek. Jeszcze długo posiedzi w samochodzie, mając za towarzystwo własne myśli.

Nie wiem, gdzie jestem. Wiem, że jestem w kraju, który się nazywa Szwecja. I nic poza tym. Może właśnie tak wygląda świat? Nie ma żadnego tutaj ani tam. Jest tylko teraz.

Powoli zapadał przedziwny, ledwie zauważalny zmierzch.

Wsunął magazynek do pistoletu i włożył broń za pas.

Brakowało mu jego noży. Ale jednocześnie postanowił nikogo bez potrzeby nie zabijać.

Spojrzał na wskaźnik paliwa. Wkrótce znowu będzie musiał zatankować. Teraz powinien rozwiązać problem pieniędzy.

Kilka kilometrów dalej zobaczył mały sklep. Był otwarty. Zatrzymał się, wyłączył silnik i zczekał, dopóki nie wyszli wszyscy klienci. Odbezpieczył broń, wysiadł i szybko wślizgnął się do środka. Za ladą stał starszy mężczyzna. Victor pokazał pistoletem na kasę. Mężczyzna chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Victor strzelił w sufit i po raz drugi wskazał na kasę. Mężczyzna otworzył ją drżącymi rękami. Victor pochylił się, przełożył pistolet do skaleczonej dłoni i wyjął pieniądze. Potem się odwrócił i szybko opuścił sklep.

Nie zauważył, że mężczyzna osunął się za ladę, mocno uderzając głową o betonową posadzkę. Później będzie się mówiło, że to rabuś go powalił. Mężczyzna zmarł. Serce nie

wytrzymało takiego szoku.

Kiedy Victor w pośpiechu wychodził, opatrunek uwiązał w drzwiach. Nie miał czasu, by go odsupływać, i szarpnięciem uwolnił rękę.

W tym momencie zauważył przed sklepem mniej więcej trzynastoletnią dziewczynkę. Patrzyła wielkimi oczami na jego zakrwawioną dłoń.

Muszę ją zabić, pomyślał. Nie mogę mieć aż dwóch świadków.

Wyciągnął pistolet i wycelował. Ale się na to nie zdobył. Opuścił rękę, wskoczył do samochodu i odjechał.

Pomyślał, że bardzo szybko będzie miał na karku policję. Będą szukać Murzyna z okaleczoną dłonią. Dziewczynka, której nie zabił, zacznie mówić. Najpóźniej za cztery godziny musi się rozejrzeć za innym samochodem.

Zatrzymał się na samoobsługowej stacji benzynowej i napełnił bak. Na mijanym niedawno drogowskazie widział napis „Sztokholm” i tym razem postanowił zapamiętać, jak wrócić tam, skąd przyjechał.

Nagle ogarnęło go zmęczenie. Gdzieś będzie musiał się przespać. Miał nadzieję, że znajdzie jeszcze jedno jezioro z czarną spokojną wodą.

Znalazł je na rozległej równinie na południe od Linkópingu. Zdażył już zmienić samochód. Pod motelem koło Huskvarny udało mu się pokonać zamek i stacyjkę innego mercedesa. Jechał, dopóki starczyło mu sił. Przed Linkópingiem skręcił w wąską drogę, potem w jeszcze węższą i zobaczył przed sobą jezioro. Było parę minut po północy. Zwinął się na tylnym siedzeniu i zasnął.

Wiem, że śnię, *songoma*. I nie ja mówię, tylko ty. Opowiadasz o wielkim Czace, wielkim wojowniku, dzięki któremu lud Zulusów stał się potęgą i wszędzie budził bezgraniczny lęk. Kiedy się złościł, ludzie padali martwi. Kazał wycinać w pień całe pułki, jeśli nie wykazały się

należyty męstwem podczas niekończących się wojen. Jest moim przodkiem, w dzieciństwie, wieczorami przy ognisku, słuchałem opowieści o nim. Teraz rozumiem, że ojciec myślał o Czace, żeby zapomnieć o świecie białych, w którym musiał żyć. Żeby przetrzymać pracę w kopalniach, poskromić strach przed zawaleniem się podziemnych korytarzy, przed gazami wyniszczającymi jego płuca. Ale ty mówisz o Czace co innego, *songoma*. Mówisz, że Czaka, syn Senzangakhona, zmienił się nie do poznania po śmierci ukochanej kobiety, Noliwy. Jego serce wypełniły głębokie ciemności, nie potrafił już kochać ani ludzi, ani ziemi, czuł jedynie nienawiść. Zzerała go jak pasożyt. Stopniowo tracił ludzkie cechy, w końcu zostało zwierzę, które czerpało radość z zabijania, widoku krwi i cudzego cierpienia. Dlaczego mi o tym mówisz, *songoma*? Czy stałem się taki jak on? Czy jestem łaknącym krwi zwierzęciem? Nie wydaje mi się, *songoma*. Zabijam, ale nie na oślep.

Uwielbiam przyglądać się tańczącym kobietom, ich ciemnym ciałom w blasku płonących ognisk. Chciałbym podziwiać w tańcu moje córki, dopóki nie zamknę oczu i nie wrócę do podziemnego świata, w którym spotkam ciebie, *songoma*. A wtedy objawisz przede mną ostatnią tajemnicę...

Obudził się gwałtownie tuż przed piątą rano. Koło samochodu rozspiewał się ptak. Nigdy dotąd nie słyszał takiego śpiewu.

Kontynuował podróż na północ.

O jedenastej dotarł do Sztokholmu.

Była środa 29 kwietnia 1992 roku, wigilia Nocy Walpurgii.

Trzech zamaskowanych mężczyzn weszło tuż po podaniu deseru. W dwie minuty oddali ponad trzysta strzałów z broni automatycznej i uciekli czekającym na nich samochodem.

Potem zaległa cisza. Na krótko. Ranni i zszokowani ludzie zaczęli pojękiwać i krzyczeć.

Zacny durbański klub kiperów miał swoje doroczne zebranie. Komitet organizacyjny, wzięwszy pod uwagę względy bezpieczeństwa, postanowił zaprosić uczestników na kolację do klubowej restauracji golfistów w Pinetown, kilkadziesiąt kilometrów od Durbanu. Pinetown nigdy dotąd nie padło ofiarą żadnych aktów przemocy, coraz powszechniejszych w prowincji Natal. Poza tym kierownik restauracji obiecał wzmocnić ochronę tego wieczora.

Tymczasem strażnicy zostali spacyfikowani, nim zdążyli wszcząć alarm. Zamachowcy przecięli ogrodzenie wokół restauracji nożycami do metalu i udusili owczarka niemieckiego.

Kiedy trzech mężczyźni wpadli z bronią w rękę, w restauracji znajdowało się łącznie pięćdziesiąt pięć osób. Wszyscy członkowie klubu kiperów byli biali. Obsługa składała się z pięciorga Murzynów, czterech mężczyzn i jednej kobiety. Gdy padły pierwsze strzały, czarni kucharze, czarni bufetowi i portugalski szef kuchni wymknęli się tylnym wyjściem.

W efekcie wśród porzuconych stołów i krzeseł, potłuczonej porcelany i lamp leżało dziewięć osób zabitych i siedemnaście rannych. Reszta była w szoku, między innymi pewna starsza kobieta, która później umrze na atak serca.

Na deser podano sałatkę owocową. Pociski roztrzaskały przeszło dwieście butelek czerwonego wina. Policja, która przybyła na miejsce po masakrze, miała trudności z odróżnieniem krwi od wina.

Pierwszy pojawił się inspektor Samuel de Beer z

durbańskiego wydziału zabójstw. Towarzyszył mu czarny inspektor Harry Sibande. De Beer nie ukrywał swoich rasistowskich poglądów, ale Harry Sibande nauczył się patrzeć na to przez palce. Od dawna wiedział, że jest dużo lepszym policjantem i że de Beer nigdy mu nie dorówna.

Krążyli po zdewastowanym lokalu. Karetki kursowały między Pinetown i Durbanem, rozwożąc rannych do różnych szpitali.

Mocno zszokowani świadkowie nie mieli dużo do powiedzenia. Weszło trzech zamaskowanych mężczyzn. O czarnych dłoniach.

De Beer uznał, że doszło do najpoważniejszego w tym roku zamachu politycznego dokonanego przez którąś z murzyńskich frakcji zbrojnych. Tego wieczora, 30 kwietnia 1992 roku, otwarta wojna domowa między czarnymi i białymi w Natalu przybliżyła się o kolejny krok.

Tego samego dnia de Beer zadzwonił do służby wywiadowczej w Pretorii. Obiecali podesłać mu swoich ludzi nazajutrz rano. Również wojskowy oddział specjalny zajmujący się zamachami politycznymi i akcjami terrorystycznymi oddał do jego dyspozycji doświadczonego człowieka.

Prezydent de Klerk dowiedział się o zajściu tuż przed północą. Poinformował go o tym minister spraw zagranicznych, Pik Botha, dzwoniąc do rezydencji pod zastrzeżony numer.

De Klerk nie krył irytacji.

- Codziennie giną niewinni ludzie - powiedział. - Co jest takiego nadzwyczajnego w tym wypadku?

- Skala, bezwzględność i okrucieństwo - wyjaśnił minister. - Partia bardzo gwałtownie zareaguje, jeśli jutro rano nie wydasz stanowczego oświadczenia. Jestem przekonany, że kierownictwo ANC, przypuszczalnie sam Mandela, potępi atak. Czarni duchowni zrobią to samo. Źle by to wyglądało,

gdybyś nic nie powiedział.

Pik Botha był jednym z nielicznych, którzy mieli szczerą posłuch u de Klerka. Prezydent bardzo często korzystał z rad swojego ministra spraw zagranicznych.

- Zrobię, jak mówisz - odparł. - Napisz, co trzeba. Chciałbym to mieć o siódmej.

Tego samego dnia późnym wieczorem odbyła się jeszcze jedna rozmowa telefoniczna dotycząca zajścia w Pinetown. Do pułkownika wojskowej supertajnej komórki bezpieczeństwa, Franza Malana, zadzwonił kolega ze służby wywiadowczej, Jan Kleyn. Obaj już wiedzieli, co się stało kilka godzin wcześniej w restauracji w Pinetown. Obaj zareagowali konsternacją i oburzeniem. Dobrze odegrali swoje role. Jan Kleyn i Franz Malan mieli udział w planowaniu masakry w Pinetown. Stanowiła element strategii wzrostu poczucia zagrożenia w kraju. Ostatnim ogniwem łańcucha nasilających się zamachów i mordów miała być likwidacja, którą powierzono Victorowi Mabashy. Jan Kleyn zadzwonił do Franza Malana w całkiem innej sprawie. W ciągu dnia odkrył, że ktoś przeglądał jego prywatne, ściśle tajne pliki. Po kilku godzinach, stosując metodę eliminacji, domyślił się, kim jest ów anioł stróż. Uświadomił sobie, że ten fakt w poważnym stopniu zagraża powodzeniu ich operacji.

Nigdy nie wymieniali swoich imion, kiedy do siebie dzwoniли. Gdyby przypadkiem jakoś połączenia nie była najlepsza i nie mogliby rozpoznać się po głosie, mieli w zanadru kilka fraz na powitanie.

- Musimy się spotkać - powiedział Jan Kleyn. - Wiesz, dokąd się jutro wybieram?

- Tak.

- Zrób to samo.

Franz Malan został poinformowany, że do śledztwa w sprawie masakry oddelegowano z jego tajnej komórki

kapitana Breytenbacha. Ale wystarczy jedna rozmowa telefoniczna, żeby Malan pojechał zamiast niego. Miał wolną rękę w dokonywaniu zmian, które uważał za konieczne, i nie musiał tego uzgadniać z przełożonymi.

- Będę - odparł.

Na tym zakończyli rozmowę. Franz Malan zadzwonił do kapitana Breytenbacha i powiadomił go, że jutro osobiście poleci do Durbanu. Potem zastanawiał się nad tym, co niepokoi Jana Kleyna. Domyślał się, że chodzi o ich wielką operację. Miał nadzieję, że nic jej nie zniweczy.

O czwartej rano 1 maja Jan Kleyn opuścił Pretorię. Minął Johannesburg i autostradą N3 ruszył do Durbanu. O ósmej powinien być na miejscu.

Jan Kleyn lubił prowadzić. Gdyby chciał, mógłby polecieć do Durbanu śmigłowcem. Ale podróż trwałaby zbyt krótko. Sam w samochodzie miał czas na przemyślenia.

Przyspieszył. Wkrótce skończą się problemy w Szwecji. Początkowo miał wątpliwości, czy Konowalenko naprawdę jest taki sprawny i wyrachowany, jak mu się wydawało. Czy nie popełnił błędu, angażując go do tego zadania? Po długich rozważaniach doszedł do wniosku, że Konowalenko zrobi to, co konieczne. Victor Mabasha będzie zlikwidowany. Może już go nie ma? Jego miejsce zajmie Sikosi Tsiki, człowiek numer dwa na jego liście, i Konowalenko przygotuje go tak jak Mabaszę.

Jan Kleyn ciągle nie rozumiał, dlaczego śmierć jakiejś Szwedki spowodowała tak gwałtowną reakcję Mabaszy. Czyżby mimo wszystko był sentymentalny? Jeśli tak, dobrze, że w porę to odkryli. Bo co by się stało, gdyby Victor Mabasha zobaczył w celowniku swoją ofiarę?

Zostawił Mabaszę w spokoju i wrócił do sprawy nadzoru, któremu go poddano bez jego wiedzy. W plikach nie było żadnych szczegółów, żadnych nazwisk, miejsc, nic. Ale zdolny oficer wywiadu mógł wyciągnąć pewne wnioski.

Choćby taki, że szykuje się poważny zamach polityczny. Jan Kleyn pomyślał, że szczęście mu sprzyja. W samą porę zauważył włamanie do komputera i można jeszcze coś zrobić.

Pułkownik Franz Malan wszedł do śmigłowca czekającego na specjalnym lotnisku wojskowym pod Johannesburgiem. Był kwadrans po siódmej, w Durbanie powinien wylądować około ósmej. Skinął głową pilotowi, zapiął pas bezpieczeństwa i patrzył na pozostającą w dole ziemię. Był zmęczony. Aż do świtu zastanawiał się, co niepokoi Jana Kleyna.

W zadumie przyglądał się afrykańskiemu przedmieściu, nad którym lecieli. Widział nędzę, slumsy, dym ognisk.

Jak mieliby nas pokonać? - pomyślał. Wystarczy, że twardo będziemy obstawać przy swoim. Poleje się krew, także krew białych, tak jak wczoraj w Pinetown. Ale nic za darmo. Nasze panowanie w Afryce Południowej wymaga ofiar.

Odchylił się w fotelu i zamknął oczy.

Niedługo się dowie, co niepokoi Jana Kleyna.

Przybyli do restauracji w Pinetown w dziesięciominutowym odstępnie. Spędzili przeszło godzinę w upapranych krwią pomieszczeniach wspólnie z lokalnymi śledczymi, którym przewodził inspektor Samuel de Beer. Jan Kleyn i Franz Malan stwierdzili, że zamachowcy zrobili swoje. Liczbę zabitych oszacowano na ponad dziesięć osób, ale miało to podrzędne znaczenie. Masakra niewinnych specjalistów oceniających jakość wina przyniosła spodziewany efekt. Rozwścieczeni biali już zaczęli się domagać zemsty. W radiu samochodowym Jan Kleyn wysłuchiwał oświadczeń Nelsona Mandeli i prezydenta de Klerka. Potępili zamach. De Klerk zapowiedział działania odwetowe wymierzone w terrorystów.

- Czy są jakieś ślady prowadzące do sprawców tej potwornej rzezi? - spytał Jan Kleyn.

- Na razie nie - odparł Samuel de Beer. - Poza tym nikt nie widział samochodu, którym uciekli.

- Byłoby dobrze, gdyby rząd jak najszybciej wyznaczył nagrodę - zauważył Franz Malan. - Poproszę ministra obrony, żeby poruszył tę sprawę na najbliższym posiedzeniu gabinetu.

W tym momencie dał się słyszeć hałas za blokadami, gdzie zebrało się dużo białych, demonstracyjnie wymachujących bronią. Murzyni omijali ich szerokim łukiem. Drzwi do restauracji otworzyły się z łoskotem. Do środka weszła biała kobieta około trzydziestki. Była bliska hysterii. Na widok inspektora Sibande, jedyne go czarnego w lokalu, wyciągnęła pistolet i strzeliła. Harry Sibande zdążył paść na podłogę i ukryć się za przewróconym stołem. Kobieta podeszła do niego, kurczowo trzymając broń dwiema rękami i raz po raz naciskając spust, krzyczała w afrikaans, że chce pomścić brata, który tutaj zginął. I nikt jej nie powstrzyma, dopóki nie zgładzi wszystkich Kafrów.

Samuel de Beer rzucił się na nią, rozbroił i wyprowadził do radiowozu. Harry Sibande wstał zza stołu. Był wstrząśnięty. Jeden z pocisków przeszył blat i rękaw jego marynarki.

Jan Kleyn i Franz Malan obserwowali to zdarzenie. Trwało ułamki sekund. Biała kobieta zachowała się zgodnie z ich oczekiwaniami. Takie właśnie reakcje miała wywołać wczorajsza masakra. Oczywiście na większą skalę. Nienawiść powinna ogromną falą zalać kraj.

De Beer wrócił i otarł pot z twarzy.

- Trzeba ją zrozumieć.

Harry Sibande milczał.

Jan Kleyn i Franz Malan obiecali de Beerowi wszelką możliwą pomoc, zgodzili się, że trzeba to jak najszybciej wyjaśnić, i odjechali samochodem Jana Kleyna. Udali się na północ N2, po czym skręcili na Umhlanga Rocks. Jan Kleyn zatrzymał się przed restauracją rybną tuż nad brzegiem

morza. Tutaj mogli spokojnie porozmawiać. Zamówili krewetki i wodę mineralną. Znad morza wiał łagodny wiatr. Franz Malan zdjął marynarkę.

- O ile wiem, inspektor de Beer jest wyjątkowo nieudolny. Jego kolega Kafr jest zdecydowanie bystrzejszy. I uparty.

- Mam takie same informacje - przyznał Jan Kleyn. - Śledztwo będzie się ślimaczyć, aż w końcu wszyscy prócz zainteresowanych krewnych zapomną o tym incydencie. - Odłożył nóż i wytarł usta serwetką. - Śmierć nigdy nie jest przyjemna. Nikt nie urządza rzezi bez ważnego powodu. Z drugiej strony, nie ma zwycięzców, są jedynie przegrani. I nie ma zwycięstwa bez ofiar. W gruncie rzeczy jestem bardzo prymitywnym darwinistą. Silniejszy zostaje przy życiu i prawo jest po jego stronie. Kiedy płonie dom, nikt nie pyta o zarzewie ognia, dopóki się nie przystąpi do gaszenia pożaru.

- Co się stanie z trzema zamachowcami? - spytał Franz Malan. - Nie przypominam sobie żadnej decyzji.

- Proponuję spacer po jedzeniu - powiedział z uśmiechem Jan Kleyn.

Franz Malan potraktował to jako odpowiedź na swoje pytanie. Ponieważ znał Kleyna dość dobrze, wiedział, że nie ma sensu tego drażnić. Dowie się w swoim czasie.

Przy kawie Kleyn poinformował go o powodach, dla których musieli się spotkać.

- Żyjemy i pracujemy w utajeniu, w różnych służbach wywiadowczych, gdzie obowiązują najróżniejsze niepisane reguły. Na przykład taka, że się nawzajem kontrolujemy, czy li mamy do siebie ograniczone zaufanie. Tworzymy na własny użytek rozmaite zabezpieczenia, choćby po to, żeby nikt się za daleko nie zapuścił na nasz teren. Zakładamy miny, dlatego że inni to robią. W ten sposób uzyskujemy swoistą równowagę, dzięki której możemy z sobą współpracować. Niestety, zauważyłem, że ktoś się zanadto

interesuje moimi plikami. Kazano mu objąć nade mną pieczę. Wiem, że dostał to zlecenie z samej góry. Franz Malan zbladł.

- Czy przejrano nasz plan?

Jan Kleyn spojrział na niego chłodnym wzrokiem.

- Nie jestem aż tak nierozsądny, żeby ktokolwiek mógł się zapoznać ze szczegółami operacji. Nie wymieniam żadnych nazw ani nazwisk. Ale ktoś w miarę inteligentny może wyciągnąć odpowiednie wnioski. Dlatego sprawa jest poważna.

- Trudno będzie go namierzyć.

- Ani trochę. Wiem, kto to jest.

Franz Malan spojrział na niego ze zdumieniem.

- Zacząłem się cofać w czasie - wyjaśnił Kleyn. - To często zdaje egzamin. Zadałem sobie pytanie o zleceniodawcę. Dość szybko wywnioskowałem, że właściwie tylko dwie osoby mogą się interesować tym, co robię. Prezydent i minister spraw zagranicznych.

Franz Malan otworzył usta, żeby zgłosić zastrzeżenia.

- Nie przerywaj - powstrzymał go Kleyn. - Jeśli się dobrze zastanowisz, sam do tego dojdiesz. W naszym kraju istnieje uzasadniony lęk przed spiskiem. De Klerk ma wszelkie powody, żeby się obawiać nastrojów panujących wśród części dowództwa wojskowego. Nie może też liczyć na stuprocentową lojalność ludzi odpowiedzialnych za operacje wywiadowcze. Dzisiaj w Afryce Południowej panuje duża niepewność. Nie wszystko da się przewidzieć. A to znaczy, że istnieje nieograniczone zapotrzebowanie na informację. Prezydent ufa bez zastrzeżeń tylko jednej osobie ze swojego gabinetu. Jest nią minister spraw zagranicznych Botha. Kiedy to pojąłem, wystarczyło się przyjrzeć tajnym informatorom prezydenta. Z powodów, których nie muszę ujawniać, został tylko jeden godny uwagi: Pieter van Heerden.

Franz Malan znał go. Widywali się przy różnych okazjach.

- Pieter van Heerden - powtórzył Jan Kleyn. - To on zdradzał prezydentowi nasze najtajniejsze myśli.

- Według mnie van Heerden jest bardzo inteligentny. Jan Kleyn pokiwał głową.

- Owszem. I niebezpieczny. Wróg, który zasługuje na szacunek. Ale niestety jest chorowity.

Franz Malan uniósł brwi.

- Chorowity?

- Czasami kłopoty same się rozwiązują. Przypadkiem wiem, że w przyszłym tygodniu podda się operacji prostaty w prywatnym szpitalu w Johannesburgu.

Franz Malan wypił łyk kawy.

- I z tego szpitala już nie wyjdzie - kontynuował Jan Kleyn. - Osobiście tego dopilnuję. W końcu to mnie chciał dopaść i włamał się do moich plików.

Milczeli, kiedy czarny kelner sprzątał ze stołu.

- Uporałem się z tym problemem - skwitował Kleyn. - Powiedziałem ci o tym z jednego powodu. Musisz być bardzo ostrożny. Najprawdopodobniej i tobie ktoś zagląda przez ramię.

- Dobrze, że o tym wiem. Jeszcze raz przejrzę wszystkie zabezpieczenia.

Kelner przyniósł rachunek. Kleyn zapłacił.

- Przejdźmy się - powiedział. - Zadałeś mi pytanie i wkrótce usłyszysz odpowiedź.

Ruszyli nadbrzeżną ścieżką ku wysokim skałom, którym to miejsce zawdzięczało nazwę.

- W środę wylatuje do Szwecji Sikosi Tsiki - wyjął Jan Kleyn.

- Sądzisz, że jest najlepszy?

- Był drugi na liście. Mam do niego całkowite zaufanie.

- A Victor Mabasha?

- Prawdopodobnie już nie żyje. Konowalenko powinien się

odezwać dzisiaj wieczorem albo najpóźniej jutro rano.

- Doszły nas słuchy, że dwunastego czerwca szykuje się wiec w Kapsztadzie. Sprawdzam, czy nie byłaby to odpowiednia okazja.

- Tak, znakomita.

- Będę cię informował na bieżąco.

Jan Kleyn zatrzymał się na krawędzi przepaści stromo opadającej ku morzu.

Franz Malan spojrział w otchłań. Na dole leżał wrak samochodu.

- Jeszcze go nie znaleźli - powiedział Jan Kleyn. - Kiedy znajdą, w środku będą ciała trzech dwudziestopięcioletnich Murzynów. Ktoś ich zastrzelił, po czym zepchnął samochód w przepaść. - Wskazał na parking za ich plecami. - Tam mieli dostać zapłatę.

Zawrócili.

Franz Malan nie zapytał, kto załatwił trzech sprawców masakry w restauracji. O niektórych sprawach wołał nie wiedzieć.

Tuż po pierwszej Jan Kleyn wysadził Franza Malana przed garnizonem koło Durbanu. Uścisnęli sobie dłonie i szybko się rozstali.

Jan Kleyn nie wracał do Pretorii autostradą. Wołał rzadziej uczęszczane drogi Natalu. Nie spieszyło mu się, chciał sobie wszystko spokojnie przemyśleć. Stawka była wysoka, dotyczyła jego samego, jego braci spiskowców, a zwłaszcza wszystkich białych w Afryce Południowej.

Jechał przez rodzinne okolice Nelsona Mandeli. Tutaj się urodził, tutaj dorastał. Przypuszczalnie tutaj zostanie przewieziony, kiedy dokona żywota.

Czasami Jana Kleyna przerażał chłód jego własnych uczuć. Wiedział, że o takich jak on mówi się „fanatycy”. Ale nie wyobrażał sobie innego życia.

Niepokoili go tylko dwie rzeczy. Pierwszą były koszmary

senne, które go niekiedy nawiedzały. Był w świecie zaludnionym przez Murzynów. Nie mógł mówić. Słowa, które wydobywały się z niego, zamieniały się w zwierzęce odgłosy. Brzmiały jak krzyki hieny. Drugą stanowiła niewiedza o długości jego życia. Nie chodziło mu o nieśmiertelność. Chciał doczekać czasów, kiedy biali Południowoafrykańczycy umocnią swoją zagrożoną władzę. Potem może umrzeć. Nie wcześniej.

Zjadł obiad w niewielkiej restauracji w Witbanku.

Zdażył jeszcze raz starannie przemyśleć ich plan, wszystkie założenia i pułapki. Uspokoił się. Musi się udać. Być może sugerowany przez Franza Malana 12 czerwca w Kapsztadzie stanowił dobrą okazję.

Tuż przed dziewiątą wieczorem skręcił na podjazd swojego dużego domu na obrzeżach Pretorii.

Czarny nocny stróż otworzył mu bramę.

Zanim zasnął, pomyślał o Victorze Mabashy.

Ledwie pamiętał jego twarz.

Pieter van Heerden czuł się nieswojo. Podskórny lęk nie był dla niego niczym nowym, chwile napięć i zagrożeń stanowiły naturalny element jego pracy w służbie wywiadowczej. Ale teraz, czekając na operację w Brenthurst Clinic, był bardziej bezbronny wobec własnego niepokoju.

Gdyby chciał, mógłby wybrać coś droższego niż prywatny szpital w Hillbrow, północnej dzielnicy Johannesburga. Ale Brenthurst słynął z wysokiej klasy aparatury medycznej, zespołu wybitnych lekarzy i nienagannej opieki. Niestety, sale nie miały nadzwyczajnego wyposażenia i cały budynek był w dość opłakanym stanie. Van Heerden, choć nie należał do krezusów, pieniędzy miał dość. Nie lubił się tym jednak afiszować. Kiedy wyjeżdżał na urlop, unikał luksusowych hoteli, ponieważ przebywających tam białych Południowoafrykańczyków cechowała szczególna odmiana pustoty. Dlatego nie chciał być operowany w szpitalu obsługującym najzamożniejszych białych w kraju.

Van Heerden leżał w pokoju na drugim piętrze. Z korytarza dobiegł go czyjś śmiech. Chwilę później przetoczył się stolik z herbatą. Spojrzał w okno. Na dachu siedział gołąb. Niebo przybrało jego ulubiony ciemnoniebieski odcień. Niedługo skończy się krótki afrykański zmierzch. W szybko zapadających ciemnościach powrócił niepokój.

Był poniedziałek 4 maja. Nazajutrz o ósmej rano doktor Plitt i doktor Berkowitsch przeprowadzą nieskomplikowany zabieg chirurgiczny, który pozbawi go problemów z oddawaniem moczu. Nie obawiał się operacji. Lekarze zapewnili go, że zabieg jest niegroźny. Nie miał powodów im nie wierzyć. Po kilku dniach wyjdzie ze szpitala, a tydzień później o wszystkim zapomni.

Niepokoilo go coś innego, co częściowo wiązało się z jego przypadłością. Choć miał trzydzieści sześć lat, zapadł na chorobę dotykającą niemal wyłącznie sześćdziesięciolatków.

Zadawał sobie pytanie, czy się przypadkiem nie wypalił, czy się przedwcześnie nie postarzał. Praca w służbie wywiadowczej była wyczerpująca. Dobrze o tym wiedział. Presję, którą bez przerwy odczuwał, potęgowała jego funkcja tajnego informatora prezydenta. Ale dbał o kondycję fizyczną, nie palił i bardzo rzadko sięgał po alkohol.

Głównym powodem niepokoju, który z pewnością pośrednio wpłynął na jego stan zdrowia, była narastająca bezsilność wobec sytuacji w kraju.

Pieter van Heerden był Burem. Dorastał w Kimberley w środowisku kultywującym wszystkie burskie tradycje. Sąsiedzi, szkolni koledzy i nauczyciele byli Burami. Ojciec pracował dla de Beerów, największych wytwórców diamentów w Afryce Południowej i na całym świecie. Matka była typową burską żoną, podległą mężowi, pochłoniętą wychowywaniem dzieci i wpajaniem im podstawowych religijnych wyobrażeń o porządku wszechrzeczy. Cały swój czas poświęcała Pieterowi i czworgu jego rodzeństwa. Do ukończenia dwudziestu lat, kiedy był na drugim roku na uniwersytecie w Stellenbosch pod Kapsztadem, nigdy się przeciwko niczemu nie buntował. To, że w ogóle udało mu się uzyskać zgodę ojca na naukę w znanej z radykalizmu uczelni, było jego pierwszym przejawem samodzielności. Ponieważ nie dostrzegł u siebie żadnych szczególnych zdolności i nie trawiły go wygórowane ambicje, zdecydował się na karierę urzędnika. Nie pociągało go pójście w ślady ojca i praca w kopalnictwie przy produkcji diamentów. Studiował prawo. Odpowiadało mu to, mimo że absolutnie niczym się nie wyróżniał.

Wszystko się zmieniło, kiedy kolega z roku namówił go do odwiedzenia murzyńskiej dzielnicy Kapsztadu. Sporo młodych ludzi zaglądało wówczas z ciekawości do osiedli zamieszkałych przez czarnych. Werbalny dotąd radykalizm

uprawiany przez liberalnych studentów uniwersytetu w Stellenbosch przybrał nową postać. Po raz pierwszy postanowili wszystko zobaczyć na własne oczy.

Dla van Heerdena było to szokujące doświadczenie. Uświadomił sobie, w jakich nędznych i upokarzających warunkach żyją Murzyni. Poraził go kontrast między zielonymi osiedlami willowymi białych i slumsami czarnych. Nie potrafił zrozumieć, że to jeden i ten sam kraj. Ta wizyta wprawiła go w emocjonalny zamęt. Odsunął się od kolegów. Znacznie później przyszło mu do głowy, że to wszystko przypomina zręcznie spreparowany falsyfikat. Całe jego życie okazało się kłamstwem. Nawet wspomnienia wydawały się zniekształcone i nieprawdziwe. W dzieciństwie miał czarną *nanny*. Myślenie o niej zawsze dawało mu poczucie bezpieczeństwa. Brała go w swoje silne ramiona i przytulała do piersi. Teraz pojął, że musiała go nienawidzić. Nie tylko biali żyli w zakłamanym świecie. Żeby przeżyć, Murzyni ukrywali swoją wrogość wynikającą z nieustannie doznawanych krzywd. Poza tym mieszkali w kraju, który kiedyś należał do nich i który im ukradziono.

Jego światopogląd, złożony z praw danych przez Boga, naturę i tradycję, legł w gruzach. Opierał się na haniebniej niesprawiedliwości. Uświadomił to sobie w murzyńskiej dzielnicy Langa, znajdującej się w stosownej, zdaniem twórców segregacji rasowej, odległości od Kapsztadu, zarezerwowanego dla białych.

Poruszyło go to bardziej niż innych kolegów. Kiedy próbował z nimi dyskutować, zauważył, że to, co dla niego było traumatycznym przeżyciem, u nich przybrało formę czułościowości. On widział apokalipsę, oni mówili o zbiorce odzieży.

Zdał końcowe egzaminy. Nie doszedł do ładu z własnymi odczuciami. Kiedy w przerwie semestralnej pojechał do Kimberley, ojciec wpadł we wściekłość, słysząc jego

opowieść o wizycie w murzyńskiej dzielnicy. Wówczas zdał sobie sprawę, że jego myśli są takie jak on, coraz bardziej bezdomne.

Po studiach otrzymał ofertę pracy w Ministerstwie Sprawiedliwości w Pretorii. Natychmiast ją przyjął. W ciągu roku sprawdził się i zaproponowano mu przeniesienie do służby wywiadowczej. Zdążył już przywyknąć do swojej traumy, ponieważ nie znalazł sposobu, by się z nią uporać. Rozdwojenie stało się synonimem jego osobowości. Potrafił grać prawomyślnego i przekonującego Bura, który robił i mówił to, czego od niego oczekiwano, ale nie opuszczało go przecucie zbliżającej się katastrofy. Pewnego dnia iluzja prysnie i Murzyni wezmą krwawy odwet. Nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Żył w coraz większej izolacji.

Dosyć szybko się zorientował, że praca w wywiadzie ma dużo zalet. Zyskał wiedzę na temat procesów politycznych, o których ogół miał mętne lub śladowe pojęcie.

Kiedy nowo wybrany prezydent Frederik de Klerk publicznie ogłosił, że Nelson Mandela będzie uwolniony i ANC stanie się partią legalną, pomyślał, że być może uda się uniknąć katastrofy. Hańby to wprawdzie nie zmaże, ale kto wie, czy przed Afryką Południową nie rysuje się jakaś przyszłość.

Pieter van Heerden od początku darzył prezydenta de Klerka niekłamaną estymą. Rozumiał tych, którzy traktowali go jak zdrajcę. Ale on nie podzielał ich opinii. W jego oczach de Klerk był zbawicielem. A kiedy wybrano go na prezydenckiego łącznika, odczuł coś na kształt dumy. Bardzo szybko on i de Klerk nabrali do siebie zaufania. Po raz pierwszy van Heerden miał przeświadczenie, że robi coś pożytecznego. Przekazując prezydentowi informacje nie zawsze przeznaczone dla jego uszu, przyczyniał się do umacniania tych sił, które chciały stworzyć nierasistowską Afrykę Południową.

Myślał o tym teraz w Brenthurst Clinic. Jego niepokój minie dopiero wtedy, gdy Afryka Południowa się zmieni, kiedy Nelson Mandela zostanie jej pierwszym czarnym prezydentem.

Drzwi się otworzyły. Do pokoju weszła czarna pielęgniarka Marta.

- Przed chwilą dzwonił doktor Plitt - powiedziała. - Będzie tu mniej więcej za pół godziny, żeby zrobić punkcję lędźwiową.

Van Heerden spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Punkcję? Teraz?

- Też mi się to wydało dziwne. Ale doktor był stanowczy. Mam pana położyć na lewym boku. Radziłabym nie protestować. Jutro rano operacja. Doktor Plitt wie, co robi.

Van Heerden skinął głową. W pełni ufał młodemu lekarzowi. Nie mógł się jednak wyzbyć wrażenia, że doktor wybrał sobie dziwną porę na punkcję.

Marta pomogła mu się odpowiednio ułożyć.

- Doktor Plitt prosił, żeby się pan nie ruszał.

- Jestem posłusznym pacjentem. Stosuję się do zaleceń lekarzy. I do pani zaleceń. Prawda?

- Nie mamy z panem żadnych kłopotów - potwierdziła Marta. - Zobaczymy się jutro, kiedy się pan wybudzi po operacji. Teraz schodzę z dyżuru.

Wyszła z pokoju. Van Heerden pomyślał, że czeka ją przeszło godzinna jazda autobusem. Przypuszczał, że mieszka w Soweto.

Przysypiał, kiedy otworzyły się drzwi. W pokoju paliła się tylko lampka przy jego łóżku. W odblasku na szybie zobaczył wchodzącego lekarza.

- Dobry wieczór - powiedział van Heerden, nie poruszając się.

- Dobry wieczór, Pieterze van Heerden.

Nie był to głos doktora Plitta. Ale brzmiał znajomo. Po

dwóch sekundach zrozumiał, kto stoi za jego plecami, i szybko się odwrócił.

Jan Kleyn wiedział, że lekarze z Brenthurst Clinic bardzo rzadko przychodzą do pacjentów w białych fartuchach. Wiedział praktycznie wszystko o obowiązującej tu rutynie. Bez trudu mógł zagrać doktora. Lekarze dość często zamieniali się dyżurami. Nie musieli pracować w tym szpitalu. Poza tym niejednokrotnie zaglądali do pacjentów o nietypowych porach. Zwłaszcza tuż przed operacją lub zaraz po niej. Kiedy ustalił, o której zmieniają się pielęgniarki, plan był gotowy. Zaparkował przed Brenthurst Clinic, mijając recepcję, pomachał strażnikom służbową legitymacją, wystawioną przez jedną z firm transportowych, z których nierzadko korzystały szpitale i laboratoria.

- Mam zabrać próbki krwi - wyjaśnił. - Chodzi o pacjenta z drugiego oddziału.

- Trafi pan? - spytał strażnik.

- Już tu byłem - odparł Jan Kleyn i ściągnął windę.

Powiedział prawdę. Poprzedniego dnia przyszedł do szpitala z torebką owoców. Niby z wizytą do kogoś z drugiego oddziału. Dobrze wiedział, gdzie to jest.

Daleko, na końcu pustego korytarza, pielęgniarka z trzeciej zmiany pochylała się nad dziennikiem szpitalnym. Cicho podszedł do drzwi pokoju van Heerdena i nacisnął klamkę.

Kiedy przerażony van Heerden się odwrócił, Jan Kleyn trzymał w prawej dłoni pistolet z tłumikiem, a w lewej - skórę szakala.

Kleyn pozwalał sobie czasami na ubarwiające życie makabryczne pomysły. W tym wypadku skóra szakala miała posłużyć jako zasłona dymna, która wprawi w kontuzję policjantów prowadzących śledztwo. Mord na oficerze służby wywiadowczej spowoduje niemałe zamieszanie w johannesburskim wydziale zabójstw. Zaczną szukać związków między jego śmiercią a wykonywaną pracą.

Kontakty Pietera van Heerdena z prezydentem de Klerkiem spowodują, że poszukiwania sprawców staną się bardziej intensywne. Dlatego Jan Kleyn postanowił podrzucić policji trop, który z całą pewnością wywiedzie ją w pole. Zdarzało się, że czarni kryminaliści zostawiali na miejscu zbrodni jakieś rytualne przedmioty. Przede wszystkim dotyczyło to zabójstw na tle rabunkowym. Nie poprzestawali na mazaniu ścian krwią, często kładli koło ofiary gałązki, kamienie lub skóry zwierząt.

Kleyn od razu pomyślał o szakalu. Jego zdaniem taką właśnie rolę grał van Heerden. Wykorzystywał wiedzę innych, zasięgał u nich informacji i przekazywał je dalej nie tak, jak powinien.

Spojrzał na przestraszoną twarz van Heerdena.

- Operacji nie będzie - powiedział swoim ochrypłym głosem. Narzucił mu szakala skórę na głowę i oddał trzy strzały. Poduszka pociemniała. Wsunął pistolet do kieszeni, otworzył szufladę nocnej szafki, wyjął z niej portfel i opuścił pokój. Wyszedł równie niepostrzeżenie, jak wszedł. Strażnicy nie będą w stanie podać dokładnego rysopisu mężczyzny, który zabił i obrabował van Heerdena.

Policja uznała, że to zabójstwo na tle rabunkowym, i umorzyła sprawę. Ale prezydent de Klerk nie dał się zwieść. Śmierć van Heerdena potraktował jako jego ostatnią wiadomość. Nie istniały już żadne wątpliwości. Spisek był faktem.

Ci, którzy za tym stali, stanowili autentyczne zagrożenie. Stado owiec we mgle

W poniedziałek 4 maja Kurt Wallander był gotów przekazać któremuś z kolegów prowadzenie śledztwa w sprawie zabójstwa Louise Akerblom. Nie dlatego, żeby czuł się odpowiedzialny za brak wyników. Po prostu narastało w nim uczucie, że opuszczają go siły.

W sobotę i niedzielę nic się nie działo. Ludzie się porozjeżdżali, byli nieosiągalni. Uzyskanie informacji z krajowego wydziału techniki nie wchodziło w grę. Wszędzie panował zastój. Z jednym wyjątkiem. Trwał intensywny pościg za nieznanym mężczyzną, który zabił w Sztokholmie młodego policjanta.

Śledztwo w sprawie śmierci Louise Akerblom utknęło w martwym punkcie. W piątek w nocy Bjork dostał ostrego ataku kamicy żółciowej i wylądował w szpitalu. Wallander poszedł do niego w sobotę rano po wytyczne.

Po wizycie w szpitalu spotkał się w komendzie z Martinssonem i Svedbergiem.

- Dzisiaj i jutro Szwecja jest nieczynna - zaczął. - Wyniki badań technicznych dostaniemy najwcześniej w poniedziałek. Proponuję, żebyśmy wykorzystali te dwa dni na przejrzenie wszystkiego, co udało nam się zebrać do tej pory. Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś pomieszkał przez chwilę z rodziną, Martinsson. Przypuszczam, że w najbliższym tygodniu czeka nas mnóstwo pracy. Ale teraz spróbujmy się skupić. Jeszcze raz przeanalizujemy przebieg wypadków. Chciałbym też, żebyście odpowiedzieli na jedno pytanie.

- Zawiesił głos. - Cały czas nie opuszcza mnie wrażenie, że w tej sprawie jest coś dziwnego. Nie umiem tego lepiej wyrazić. Wiem, że to niezbyt profesjonalne, w każdym razie wydaje mi się, że stoimy przed czymś, co się nie poddaje żadnym znanym nam klasyfikacjom.

Wallander spodziewał się, że koledzy zareagują zdumieniem

lub nieufnością. Tymczasem Martinsson i Svedberg podzielali jego odczucia.

- Nigdy się z czymś takim nie zetknąłem - powiedział Martinsson. - Brakuje mi, oczywiście, twojego doświadczenia, Kurt, ale muszę przyznać, że nie mam zielonego pojęcia, o co w tej płataninie chodzi. Szukamy sprawcy ohydneho mordu. Im głębiej w to wchodzimy, tym mniej rozumiemy motywy, po czym się okazuje, że śmierć Louise Akerblom jest zaledwie odpryskiem czegoś o wiele poważniejszego. Przez ostatni tydzień źle spałem. A to mi się na ogół nie zdarza.

Wallander pokiwał głową i spojrział na Svedberga.

- Martinsson wszystko już powiedział - zaczął Svedberg, drapiąc się po łysinie. - Nic dodać, nic ująć. Wczoraj wieczorem zrobiłem w domu listę: „Martwa kobieta, studnia, czarny palec, wysadzony dom, radiostacja, pistolet, Afryka Południowa”. Wpatrywałem się w nią ponad godzinę, jakbym rozwiązywał rebus. Nic się nie trzyma kupy w tym śledztwie. Chyba po raz pierwszy mam wrażenie, że się błąkam w kompletnych ciemnościach.

- To właśnie chciałem wiedzieć - skwitował Wallander.

- Myślę, że to nasze wspólne odczucie nie jest bez znaczenia. Sprawdźmy, czy mimo wszystko nie uda nam się choć trochę rozproszyć tych ciemności, o których mówisz, Svedberg.

Przeanalizowanie wszystkiego po kolei zajęło im blisko trzy godziny. Uznali, że jak dotąd nie popełnili wprawdzie żadnych większych błędów, ale też nie odkryli żadnych nowych śladów.

- Oględnie mówiąc, bardzo to wszystko mętne - podsumował Wallander. - Jedyne trop, jaki mamy, to palec. Możemy również założyć, że jego właściciel nie był sam. Alfred Hanson nie wynajął domu Afrykaninowi. To wiemy na pewno. Nie wiemy natomiast, kim jest człowiek, który

podał się za Nordstroma i wyłożył dziesięć tysięcy koron. Nie znamy też powodów wynajmu. Co do związku tych ludzi z Louise Akerblom lub z tym domem, radiostacją i pistoletem, mamy tylko wątpliwe hipotezy. Najgorsze są takie śledztwa, które prowokują do snucia domysłów i nie poddają się logicznemu myśleniu. Na tym etapie najbardziej prawdopodobna wydaje się taka oto hipoteza, że Louise Akerblom przypadkiem zobaczyła coś, czego nie powinna była widzieć. Musimy się dowiedzieć, kim są ludzie, którzy dopuszczają się egzekucji.

Siedzieli przy stole w milczeniu, zastanawiając się nad jego słowami. Drzwi się otworzyły i do środka zajrzała sprzątaczką.

- Nie teraz - powiedział Wallander. Zamknęła drzwi.

- Chcę się dzisiaj zająć informacjami, które do nas wpłynęły od różnych ludzi - oznajmił Svedberg. - Dam znać, gdybym potrzebował pomocy. Pewnie na nic innego nie starczy mi już czasu.

- A ja sprawdzę alibi Stiga Gustafssona - powiedział Martinsson. - W razie czego pojedę do Malmö. Ale najpierw spróbuję odnaleźć tego kwiaciara Forsgarda, którego rzekomo spotkał w ubikacji.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa - przypomniał Wallander. - Odszukaj kogo trzeba, nie patrząc na to, że siedzą w swoich domkach letniskowych i chcą mieć spokój.

Umówili się na podsumowujące spotkanie o piątek. Wallander poszedł po kawę i zadzwonił ze swojego pokoju do Nyberga.

- Dostaniesz raport w poniedziałek - oznajmił Nyberg. - Ale to, co najważniejsze, już wiesz.

- Nie. W dalszym ciągu nie wiem, dlaczego spłonął ten dom. Nie znam powodów.

- Powinieneś chyba o to spytać komendanta straży pożarnej.

Może potrafi udzielić sensownych wyjaśnień. My jeszcze nie jesteśmy gotowi.

- Wydawało mi się, że współpracujemy ze strażakami - zauważył z irytacją Wallander. - Czyżby weszły nowe zarządzenia, o których nic nie wiem?

- Nie znamy jednoznacznej odpowiedzi.

- Jak myślisz? Co myślą strażacy? Co myśli Peter Edler?

- Eksplozja była tak potężna, że po detonatorze nie zostało śladu. Możliwe, że była cała seria wybuchów.

- Nie. Huknęło tylko raz.

- Chodzi mi o to - cierpliwie odparł Nyberg - że można zaaranżować dziesięć eksplozji niemal jednocześnie. Ładunki wybuchają w odstępach jednej dziesiątej sekundy. To niesamowicie wzmacnia efekt, bo wpływa na siłę podmuchu.

- Nie zrobili tego amatorzy - powiedział po namyśle Wallander.

- Na pewno nie.

- Czy może być inne wytłumaczenie pożaru?

- Wątpię.

Wallander zajął się papierami.

- Co możesz powiedzieć o radiostacji? Podobno została wyprodukowana w Rosji.

- Nie podobno. Udało mi się to potwierdzić dzięki pomocy wojskowych.

- Jakie wnioski?

- Żadne. Wojskowi są bardzo ciekawi, skąd się u nas wzięła. To prawdziwa zagadka.

- Kolba pistoletu?

- Nic nowego.

- Coś jeszcze?

- W zasadzie nie. W raporcie nie będzie żadnych rewelacji.

Wallander zakończył rozmowę, po czym wybrał numer kwatery głównej policji na Kungsholmen i poprosił o

połączenie z inspektorem Lovenem. Poznał go przed rokiem podczas śledztwa w sprawie dwóch nieboszczyków znalezionych w pontonie, który przyplłynął do Mossby Strandu. Choć pracowali z sobą zaledwie kilka dni, Wallander zapamiętał go jako zdolnego śledczego.

- Inspektor Loven jest chwilowo nieosiągalny - poinformowała telefonistka.

- Mówi inspektor Wallander z Ystadu. Mam ważną sprawę. Chodzi o policjanta, który parę dni temu został zabity w Sztokholmie.

- Poszukam go.

- To pilne - powiedział Wallander.

Po dwunastu minutach Loven podniósł słuchawkę.

- Cześć. Myślałem o tobie, czytając o zabójstwie tej kobiety. Jak wam idzie?

- Powoli. A wam?

- Dorwiemy go. Prędzej czy później łapiemy ludzi, którzy do nas strzelają. Masz podobno coś do powiedzenia w tej sprawie?

- Ta kobieta zginęła od strzału w czoło. Jak Tengblad. Pomyślałem, że powinniśmy jak najszybciej porównać pociski.

- U nas ten człowiek celował w szybę. Tylko wyborowy strzelec jest w stanie trafić w czoło kogoś, kogo ledwie widzi za kierownicą jadącego samochodu. Oczywiście, masz rację. Trzeba to sprawdzić.

- Macie rysopis?

- Po zabójstwie ukradł samochód dwojgu młodym ludziom. Niestety, byli tak przerażeni, że nie umieli jednoznacznie opisać jego wyglądu.

- A może słyszeli, jak mówi?

- W tym jednym punkcie byli zgodni. Mówił z obcym akcentem.

Wallander poczuł narastające napięcie. Opowiedział

Lovenowi o rozmowie z Alfredem Hansonem i o mężczyźnie, który zapłacił dziesięć tysięcy koron za wynajem opuszczonego gospodarstwa.

- Trzeba to wziąć pod uwagę - przyznał Loven. - Mimo że wydaje się dziwne.

- Wszystko jest bardzo dziwne. W poniedziałek mógłbym przyjechać do Sztokholmu. Przypuszczam, że jest tam mój Afrykanin.

- Może miał coś wspólnego z zamachem gazowym na jedną z dyskotek na Söder.

Wallander przypominał sobie jak przez mgłę, że widział o tym wzmiankę w „Ystads Allehanda”.

- Co to był za zamach? - spytał.

- Ktoś wrzucił do lokalu granaty z gazem łzawiącym. Przychodzi tam wielu Afrykanów. Nigdy nie mieliśmy żadnych problemów z tą dyskoteką. Ale teraz stało się. Poza tym ktoś strzelał w środku.

- Zabezpieczcie pociski.

- Wydaje ci się, że mamy w kraju tylko jeden egzemplarz broni?

- Nie. Szukam powiązań. Nieoczekiwanych powiązań.

- Przyspieszę, co się da - obiecał Loven. - Dziękuję za telefon. Powiem szefostwu, że będziesz w poniedziałek.

Zgodnie z umową spotkali się o piątej. Zebranie było bardzo krótkie. Martinssonowi udało się potwierdzić tak dużą część alibi Stiga Gustafssona, że mogli definitywnie wyłączyć go z kręgu podejrzanych.

Wallander miał jednak pewne wątpliwości. Nie bardzo wiedział dlaczego.

- Jeszcze go nie skreślamy - powiedział. - Przejrzyjmy ponownie wszystkie materiały na jego temat.

Martinsson spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Co spodziewasz się znaleźć?

Wallander wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Boję się, żebyśmy go nie wykluczyli za wcześnie. Martinsson chciał zaprotestować, ale się rozmyślił. Cenił rozeznanie i intuicję Wallandera.

Svedberg przekopał się przez sterty informacji, które do nich spłynęły. Nie znalazł nic, co by rzucało nowe światło na śmierć Louise Akerblom i dom wysadzony w powietrze.

- Trudno uwierzyć, że nikt nie widział Afrykanina, któremu brakuje palca - skwitował Wallander.

- Może on nie istnieje - wtrącił Martinsson.

- Mamy palec - przypomniał Wallander. - Nie odcięto go duchowi.

Potem Wallander powiedział, co sam zdiagnozował. Byli zgodni, że powinien pojechać do Sztokholmu. Mimo nikłego prawdopodobieństwa mógł istnieć związek między zabójstwem Louise Akerblom i Tengblada.

Na zakończenie przejrzeni listę spadkobierców spalonego domu.

- To może poczekać - zdecydował Wallander. - Wątpię, byśmy tam znaleźli jakieś nowe tropy.

Wysłał Svedberga i Martinssona do domu, sam został jeszcze chwilę w swoim pokoju i zadzwonił do prokuratora Pera Akesona. Zdał mu krótkie sprawozdanie.

- Powinniśmy jak najszybciej wyjaśnić tę zbrodnię - powiedział Akeson.

Wallander nie mógł się z tym nie zgodzić. Postanowili się spotkać w poniedziałek wcześniej rano i punkt po punkcie omówić dotychczasowe rezultaty śledztwa. Wallander uznał, że Akeson obawia się ewentualnej krytyki z powodu niedbale prowadzonego dochodzenia. Zakończył rozmowę, zgasił lampę na biurku i opuścił komendę. Zjechał po długim zboczach i skręcił na szpitalny parking.

Björk czuł się lepiej, w poniedziałek powinien wrócić do pracy. Wallander złożył mu raport. Björk również był zdania, że podróż do Sztokholmu może się okazać owocna.

- W naszym okręgu zazwyczaj było spokojnie - zauważył Björk, kiedy Wallander szykował się do wyjścia. - Nie działo się nic, co wzbudzałoby jakąś szczególną uwagę. Teraz wszystko się zmieniło nie do poznania.

- Nie tylko tutaj. To, o czym mówisz, należy do przeszłości.

- Starzeję się.

- Nie ty jeden.

Opuścił szpital, ciągle słysząc swoje ostatnie słowa. Dochodziło wpół do siódmej. Zgłodniał. Z niechęcią pomyślał o pichceniu czegośkolwiek w domu. Zje coś w mieście. Pojechał do siebie, wykopał się i włożył czyste ubranie. Potem bezskutecznie usiłował się dodzwonić do Lindy do Sztokholmu. Zszedł do piwnicznej pralni, wpisał się na listę i pieszo ruszył do śródmieścia. Wiatr ucichł, ale było chłodno.

Starość, pomyślał. Mam zaledwie czterdzieści cztery lata, a zaczynam odczuwać jej skutki. Nagle zagotował się z wściekłości. Tylko od niego zależy, jak się czuje. Nie może niczego zwać na pracę ani na rozwód, od którego minęło już pięć lat. Problem w tym, jak mógłby to zmienić.

Dotarł do rynku i zastanawiał się, gdzie by tu zjeść. W przybliżeniu rozrzutności wybrał Continental. Poszedł Hamngatan, zatrzymał się na chwilę przed witryną sklepu z lampami, po czym ruszył dalej, do hotelu. Skinął głową dziewczynie w recepcji. Przypomniał sobie, że chodziła z jego córką do jednej klasy.

W restauracji nikogo nie było. Zawahał się. Przesiadanie w pustym lokalu nie nastraja optymistycznie. Ale już postanowił i nie miał siły niczego zmieniać.

Od jutra zaczynam nowe życie, pomyślał z grymasem na twarzy. W sprawach osobistych zawsze przesuwiał to, co najważniejsze, na później. W przeciwieństwie do spraw służbowych. Przepołowiony człowiek.

Usiadł w części barowej. Młody kelner spytał, czego się

napije. Wallander miał wrażenie, że kiedyś go już spotkał.

- Whisky bez lodu - powiedział. - I osobno woda.

Błyskawicznie opróżnił szklaneczkę i zamówił następną. Rzadko się upijał, ale tego wieczora nie zamierzał sobie odmawiać.

Przy trzeciej whisky już wiedział, skąd zna kelnera. Kilka lat temu przesłuchiwał go w sprawie włamań i kradzieży samochodów. Został aresztowany i skazany.

Ustatkował się, pomyślał. Nie będę mu przypominał o jego przeszłości. Kto wie, czy wzięwszy pod uwagę okoliczności, nie powiodło mu się lepiej niż mnie?

Bardzo szybko poczuł działanie alkoholu.

Chwilę później przesiadł się do części restauracyjnej. Zamówił przystawkę, gorące danie i deser. Do posiłku wypił butelkę wina, do kawy dwa kieliszki koniaku.

Opuścił restaurację o wpół do jedenastej. Był porządnie zawiany i ani myślał wracać do domu. Naprzeciwko zajezdni autobusowej wsiadł do taksówki i pojechał do jedynej w mieście restauracji z dansingiem. Było tam nadspodziewanie dużo ludzi, nie bez trudu udało mu się znaleźć skrawek wolnego miejsca przy barze. Pił whisky i tańczył. Zawsze nieźle sobie radził na parkiecie. Szwedzkie szlagiery roztkliwiły go. Zakochiwał się w każdej kobiecie, z którą tańczył. I z każdą wyobrażał sobie ciąg dalszy u niego w domu. Ale złudzenia się rozwiały, kiedy nagle zebrało mu się na mdłości. Ledwie zdążył wyjść z restauracji, zwymiotował. Już tam nie wrócił, tylko zataczając się, powędrował do siebie. Rozebrał się do naga i stanął przed lustrem w przedpokoju.

- Kurt Wallander - powiedział na głos. - Oto twoje życie.

Postanowił zadzwonić do Bajby Liepy do Rygi. Było po drugiej, uznał, że nie powinien. Po kilku sygnałach podniosła słuchawkę.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Nie znalazł odpowiednich

angielskich słów. Obudził ją i przeraził tym telefonem w środku nocy.

W końcu powiedział, że ją kocha. W pierwszej chwili go nie zrozumiała. W drugiej domyśliła się, że jest pijany. Wallander czuł, że ta rozmowa jest straszliwą pomyłką.

Przeprosił i rozłączył się. Poszedł do kuchni. W lodówce miał pół butelki wódki. Mimo że ciągle było mu niedobrze, wypił wszystko do dna.

Obudził się o świcie na kanapie w salonie. Z potwornym kacem. Najbardziej żałował telefonu do Bajby Liepy.

Jęknął na wspomnienie tej rozmowy, chwiejnie pomaszerował do sypialni, padł na łóżko i usiłował nie myśleć. Podniósł się dopiero po południu, zaparzył kawę i zaległ przed telewizorem. Nie zadzwonił do ojca, nie próbował skontaktować się z córką. O siódmej podgrzał zapiekankę rybną, tylko to miał w zamrażarce, zjadł i wrócił przed telewizor. Robił wszystko, byle nie myśleć o nocnej rozmowie.

O jedenastej połknął proszek nasenny i narzucił koldrę na głowę.

Jutro będzie lepiej, pomyślał. Zadzwonię do niej i wszystko wyjaśnię. Albo napiszę list. Albo wykombinuję coś innego.

W poniedziałek 4 maja plany Wallandera wzięły w łeb. Mnóstwo rzeczy zdarzyło się naraz. Tuż po wpół do ósmej, ledwie wszedł do swojego pokoju, zadzwonił Loven ze Sztokholmu.

- W mieście mówi się o kontrakcie na Afrykanina - powiedział. - Jego znak szczególnie to bandaż na lewej dłoni.

Trochę to trwało, zanim Wallander zrozumiał, o jaki kontrakt chodzi.

- O, cholera!

- Spodziewałem się takiej reakcji - stwierdził Loven. - Poza tym chciałbym się dowiedzieć, o której mamy po ciebie wyjść.

- Jeszcze nie wiem. Na pewno po południu. Bjórk, jeśli go pamiętasz, miał atak kamicy żółciowej. Najpierw muszę tu wszystko pozalać i jak tylko będę znał odpowiedź, natychmiast się odezwę.

- Czekamy - odparł Loven.

Wallander odłożył słuchawkę i telefon natychmiast zadzwonił. Jednocześnie do pokoju wszedł Martinsson, wymachując jakąś kartką. Wallander wskazał ręką krzesło i podniósł słuchawkę.

Dzwonił Hógberg, obducent z Malmö, ze wstępnymi wynikami badań zwłok Louise Akerblom. Wallander miał z nim styczność nie po raz pierwszy i wiedział, że facet jest skrupulatny. Przysunął kołonoatnik i na migi poprosił Martinssona o długopis.

- W żadnym razie nie ma mowy o gwałcie - zaczął Hógberg.

- Chyba że gwałciciel użył kondomu i stosunek odbył się w ciszy i spokoju. Na ciele denatki nie ma żadnych obrażeń świadczących o jakiegokolwiek przemocy. Nie licząc otarć spowodowanych wrzuceniem do studni. Na nadgarstkach i na kostkach nie znalazłem śladów po kajdankach. Została zastrzelona i to wszystko.

- Chciałbym jak najszybciej dostać pocisk.

- Dostarczymy go przed południem. Ale sporządzenie raportu zajmie trochę czasu.

- Dziękuję. - Wallander odłożył słuchawkę. - Louise Akerblom nie została zgwałcona. Możemy wykluczyć zabójstwo na tle seksualnym.

- Dobrze i to - stwierdził Martinsson. - Poza tym wiemy, że palec wskazujący pochodzi z lewej dłoni mniej więcej trzydziestoletniego Murzyna. Właśnie przyszedł faks ze Sztokholmu. Ciekawe, skąd wytrasnęli takie dokładne dane.

- Nie mam pojęcia. Ale im więcej wiemy, tym lepiej. Powinniśmy ściągnąć tu Svedberga. Po południu jadę do

Sztokholmu. O drugiej jest konferencja prasowa. Musicie się tym zająć. W razie czego łapcie mnie w Sztokholmie.

- Svedberg szaleńczo się ucieszy. Jesteś pewien, że nie możesz tam pojechać trochę później?

- Jestem - odparł Wallander i wstał.

- Słyszałem, że koledzy z Malmö zatrzymali Morella - powiedział Martinsson, kiedy wyszli na korytarz.

- Kogo? - zdziwił się Wallander.

- Morella. Pasera z Malmö. Tego od pomp.

- Aha. Tak...

Wallander udał się do recepcji i poprosił Ebbę, żeby zabukowała mu bilet na samolot odlatujący do Sztokholmu o trzeciej i załatwiła pokój w stosunkowo niedrogim hotelu Central na Vasagatan. Potem wrócił do swojego pokoju i położył dłoń na słuchawce, żeby zadzwonić do ojca. Ale zrezygnował. Po co sobie fundować kiepski nastrój. Ten dzień wymaga od niego maksymalnej koncentracji. Poprosi Martinssona, żeby go wyręczył, przekazując informację, że musiał nagle wyjechać do Sztokholmu. Może w ten sposób udowodni ojcu, jak bardzo jest zapracowany.

Ta myśl go pokrzepiła.

Za pięć czwarta Wallander wylądował na Arlandzie. Mżyło. Przeciął podobną do hangaru halę przylotów i na zewnątrz, za obrotowymi drzwiami, dostrzegł Lovena.

Bolała go głowa. Miał za sobą ciężki dzień. Blisko dwie godziny spędził w gabinecie prokuratora. Per Akeson nie szczędził mu pytań i krytycznych komentarzy. Wallander zachodził w głowę, jak wytłumaczyć prawnikowi, że policjanci muszą się niekiedy kierować instynktem. Akeson miał zastrzeżenia do dotychczasowych raportów. Wallander ich bronił, co w konsekwencji doprowadziło do niepotrzebnych zgrzytów.

Zanim Peters odwiózł go na lotnisko Sturup, wpadł do domu, wrzucił do torby kilka ubrań i nareszcie dodzwonił

się do córki. Ucieszyła się, że przyjeżdża. Miał się do niej odezwać bez względu na porę.

Dopiero w samolocie uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Kanapki SAS-u były jego pierwszym posiłkiem tego dnia.

W samochodzie, kiedy jechali na Kungsholmen, dowiedział się o wynikach pościgu za mordercą Tengblada. Loven i jego koledzy nie mieli żadnego tropu, szukali na chybił trafił. Zdążył też wyrobić sobie zdanie o incydencie w dyskotecce. Wszystko wskazywało na wyglupy lub akcję odwetową. Nawet w tym wypadku nie było jednoznacznych przesłanek. Wallander spytał o kontrakt, obce i przerażające słowo, które w ostatnich latach zaczynało się materializować w największych miastach kraju. Nie miał złudzeń. Wkrótce doświadczą tego na swoim terenie. Zleceniodawcy zawierali kontrakty z płatnymi mordercami. Ot, zwyczajna transakcja. I ostateczny dowód na niewyobrażalną brutalizację życia.

- Nasi ludzie próbują wyniuchać, co w trawie piszczy - powiedział Loven, gdy mijali Cmentarz Północny.

- Nic mi się nie klei - przyznał Wallander. - Tak jak rok temu, kiedy wyrzuciło na brzeg ponton z dwoma trupami.

- Wszystko w rękach techników. Może pociski coś wyjaśnią. Wallander poklepał się po kieszeni marynarki, gdzie włożył kulę, która zabiła Louise Akerblom.

Zaparkowali w podziemnym garażu komendy i wjechali windą do centrali dowodzenia akcją pościgową za mordercą Tengblada.

Wallandera zatkało na widok liczby policjantów. Patrzyło na niego przeszło piętnaście par oczu. Loven przedstawił go. W odpowiedzi rozległy się pomruki. Śledztwo prowadził niejaki Stenberg, niski pięćdziesięcioletni mężczyzna o przeredzonych włosach.

Wallanderowi puściły nerwy. Uznał, że jest źle

przygotowany i że nie rozumieją jego skańskiego dialektu. Usiadł za stołem i opowiedział o wszystkim, co zaszło. Zasyпали go pytaniami. Tak, miał do czynienia z doświadczonymi policjantami, którzy bardzo szybko potrafili się wdrożyć w śledztwo, dostrzec jego słabe punkty i pytać o to, co najważniejsze.

Dyskutowali przeszło dwie godziny. Kiedy znużenie zaczęło dawać im się we znaki i kiedy Wallander poprosił o tabletki od bólu głowy, Stenberg dokonał podsumowania.

- Musimy jak najszybciej otrzymać wyniki balistyczne - powiedział na zakończenie. - Jeśli istnieje jakiś związek między Skanią i Sztokholmem, wszystko się jeszcze bardziej zagmatwa.

Kilku policjantów zasznurowało usta. Reszta wpatrywała się tępo przed siebie.

Dochodziła ósma, kiedy Wallander opuszczał komendę na Kungsholmen. Loven odwiózł go do hotelu na Vasagatan.

- Poradzisz sobie? - spytał, gdy byli na miejscu.

- Mam tu córkę - odparł Wallander. - Mógłbyś mi przypomnieć, jak się nazywa ta dyskoteka, do której wrzucili granaty z gazem łzawiącym?

- „Aurora”. Ale nie sądzę, żeby ci przypadła do gustu.

- Z pewnością masz rację.

Loven skinął głową i odjechał. Wallander wziął klucz, odpierając pokusę odwiedzenia okolicznych barów. Wspomnienie sobotniego wieczoru w Ystadzie było zbyt świeże. Wszedł do pokoju, wziął prysznic i włożył czystą koszulę. Po godzinnym odpoczynku odszukał adres „Aurory” w książce telefonicznej. Za kwadrans dziewiąta opuścił hotel. Zastanawiał się, czy nie powinien był zadzwonić do córki. Zdecydował, że zrobi to później. Wizyta w „Aurorze” nie potrwa długo. Poza tym Linda nie kładła się wcześniej. Pod Dworcem Centralnym wsiadł do taksówki i podał adres na Söder. W zamyśleniu przyglądał się miastu.

Gdzieś tutaj jest jego córka Linda i siostra Kristina. Ukryty wśród domów i ludzi czaił się przypuszczalnie Afrykanin z odciętym palcem lewej dłoni.

Ogarnęło go niemiłe uczucie. Jakby się spodziewał, że za chwilę coś się stanie. Coś, czego już teraz zaczął się obawiać. Przypomniawszy sobie uśmiechniętą twarz Louise Akerblom. Co zdążyła zrozumieć? Czy miała świadomość, że umrze?

Schody prowadziły w dół do czarnych metalowych drzwi, nad którymi świecił na czerwono brudnawy neon. Kilka liter się nie paliło. Wallander przez moment się zawahał. Po co przyszedł do tego lokalu, do którego kilka dni temu ktoś wrzucił granaty z gazem łzawiącym? Ponieważ poruszał się po omacku, nie mógł pominąć żadnej możliwości odnalezienia Murzyna z odciętym palcem. Otworzył drzwi i wszedł do mrocznego pomieszczenia. Początkowo z trudem rozróżniał sprzęty. Z głośników zawieszonych pod sufitem sączyła się muzyka. Wydawało mu się, że jest sam w tym zadymionym lokalu. Po chwili w kącie dostrzegł cienie o połyskujących białkach oczu i oświetlony bar. Kiedy oczy przywykły do mroku, podszedł do kontuaru i zamówił piwo.

- Sami sobie poradzimy - powiedział ogolony na zero barman, serwując mu piwo.

Wallander nie miał pojęcia, o co mu chodzi.

- Sami organizujemy taką ochronę, jaka jest nam potrzebna - dodał.

Wallander ze zdumieniem stwierdził, że ten człowiek rozpoznał w nim policjanta.

- Skąd pan wie, że jestem policjantem? - spytał i od razu tego pożałował.

- Tajemnica zawodowa.

Wallander poczuł narastającą złość. Zirykowała go ta arogancka pewność siebie.

- Mam kilka pytań - powiedział. - Ponieważ już pan wie, kim jestem, nie muszę się legitymować.

- Bardzo rzadko odpowiadam na pytania.
 - Tym razem pan odpowie. Inaczej będzie źle. Barman popatrzył na niego zaskoczony.
 - Może odpowiem.
 - Przychodzi tu dużo Afrykanów - zaczął Wallander.
 - Uwielbiają to miejsce.
 - Szukam trzydziestoletniego Murzyna, który ma wyjątkowy znak szczególny.
 - Jaki?
 - Brakuje mu palca u lewej ręki.
- Wygolony mężczyzna parsknął śmiechem. Wallander nie spodziewał się takiej reakcji.
- Co w tym śmiesznego?
 - Jest pan drugi.
 - Drugi?
 - Wczoraj wieczorem też mnie ktoś pytał, czy nie widziałem Afrykanina ze zniekształconą dłonią.
- Wallander zastanawiał się przez chwilę.
- I co mu pan odpowiedział?
 - Że nie.
 - Nie?
 - Nie widziałem nikogo bez palca.
 - Na pewno?
 - Na pewno.
 - A kto pytał?
 - Zobaczyłem go po raz pierwszy w życiu - odparł barman i zaczął wycierać kieliszki.
- Wallander wyczuł kłamstwo w jego głosie.
- Zapytam jeszcze raz. Ostatni raz.
 - Nie mam nic więcej do powiedzenia.
 - Kto pytał?
 - Już mówiłem. Nieznajomy.
 - Pytał po szwedzku?
 - Tak jakby.

- To znaczy?

- Inaczej niż pan i ja.

No to jesteśmy coraz bliżej, pomyślał Wallander. Nie może mi się teraz wywinąć.

- Jak wyglądał?

- Nie pamiętam.

- Za chwilę szlag mnie trafi, jeśli nie usłyszę prawidłowej odpowiedzi.

- Całkiem zwyczajnie. Czarna kurtka. Jasne włosy. Nagle Wallander wyczuł, że mężczyzna się boi.

- Nikt nas nie słyszy - powiedział. - Obiecuję, że nikomu tego nie powtórzę.

- On się chyba nazywa Konowalenko. Postawię panu to piwo, jeśli pan sobie zaraz stąd pójdzie.

- Konowalenko? Jest pan pewien?

- Jak można być czegokolwiek pewnym w tym pieprzonym świecie?

Wallander wyszedł i od razu udało mu się złapać taksówkę. Usiadł z tyłu i podał nazwę hotelu.

W pokoju położył dłoń na słuchawce, żeby zadzwonić do córki, po czym się rozmyślił. Porozmawia z nią jutro rano.

Długo leżał z otwartymi oczami.

Konowalenko, pomyślał. Nazwisko. Czy naprowadzi go na właściwy trop?

Odtworzył w pamięci wszystko, co się wydarzyło od tego ranka, kiedy Robert Akerblom wszedł do jego pokoju.

Zasnął dopiero o świcie.

Kiedy nazajutrz rano Wallander zjawił się w komendzie, okazało się, że Loven siedzi już na odprawie z ludźmi ścigającymi mordercę Tengblada. Nalał sobie kawy z automatu, wszedł do pokoju Lovena i zadzwonił do Ystadu. Po krótkim oczekiwaniu Martinsson podniósł słuchawkę.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Zamierzam się skoncentrować na niejakiem Konowalence. Przypuszczalnie jest Rosjaninem.

- Do licha, chyba nie trafiłeś na jeszcze jednego Bałta?

- Nie wiadomo, czy ten Konowalenko nie nazywa się całkiem inaczej. Nie wiadomo, czy to Rosjanin. Równie dobrze może być Szwedem.

- Alfred Hanson powiedział, że człowiek, któremu wynajął dom, mówił z obcym akcentem.

- Właśnie o tym myślę. Ale nie jestem pewien, czy to był Konowalenko.

- Dlaczego?

- Przeczucie. Całe śledztwo opiera się na przecuciach. Wcale mi się to nie podoba. Poza tym tamten gość był bardzo gruby, a to nie pasuje do opisu zabójcy Tengblada.

- A jak do tego wszystkiego pasuje Afrykanin bez palca? Wallander szybko zrelacjonował przebieg rozmowy w „Aurorze”.

- Może coś jednak mamy - przyznał Martinsson. - Rozumiem, że zostajesz w Sztokholmie.

- Tak, to konieczne. Przynajmniej jeszcze jeden dzień. Co w Ystadzie? Spokój?

- Robert Akerblom za pośrednictwem pastora Turesona zwrócił się do nas z pytaniem, kiedy może pochować żonę.

- Chyba nie ma żadnych przeszkód?

- Bjórk chciał, żebym porozmawiał o tym z tobą.

- No to porozmawiałeś. Jaka jest pogoda?

- Jak zwykle.

- To znaczy?
- Kwietniowa. Bez przerwy się zmienia. Ale nie powiedziałbym, że jest ciepło.
- Możesz jeszcze raz zadzwonić do ojca i przekazać mu, że zostaję w Sztokholmie?
- Kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, zaprosił mnie do siebie, ale nie miałem czasu.
- Zrobisz to?
- Jasne. Natychmiast.

Wallander rozłączył się i wybrał numer do córki. Była zaspana.

- Miałaś dzwonić wczoraj - powiedziała.
- Pracowałem do późna.
- Mogę się z tobą spotkać teraz.
- Nie da rady. Przez najbliższe godziny będę potwornie zajęty.
- Może w ogóle nie chcesz się ze mną zobaczyć?
- Dobrze wiesz, że chcę. Odezwę się później.

Na widok Lovena szybko odłożył słuchawkę. Na pewno uraził Lindę. Dlaczego nie chciał, żeby Loven słyszał, że rozmawia z córką? Nie rozumiał tego.

- Ale ty wygładasz - zaczął Loven. - Nie spałeś?
- Może spałem za długo - odparł wymijająco. - Efekt jest podobny. Jak wam idzie?
- Żadnego przełomu. Ale do czasu.
- Mam jedną rzecz - powiedział Wallander, postanawiając na razie przemilczeć swoją wizytę w „Aurorze”. - Koledzy w Ystadzie dostali cynk, że w zabójstwo policjanta może być zamieszany niejaki Konowalenko.

Loven zmarszczył czoło.

- Czy można to potraktować poważnie?
- Chyba tak. Gość sprawiał wrażenie dobrze poinformowanego.
- Nie da się ukryć, że mamy kłopoty z rosyjskimi

przestępcami, którzy zaczynają się osiedlać w Szwecji - odezwał się po namyśle Loven. - To oczywiste, że z upływem lat ten problem się nie zmniejszy. Dlatego próbowaliśmy go w miarę dokładnie przeanalizować. - Przeglądał teczki na półce i po chwili znalazł to, czego szukał. - Mamy człowieka o nazwisku Rykoff. Władimir Rykoff. Mieszka w Hallundzie. Jeśli Konowalenko jest w mieście, powinien coś o tym wiedzieć.

- Dlaczego?

- Ma opinię świetnie zorientowanego we wszystkim, co się dzieje w środowisku imigrantów. Możemy go odwiedzić.

Loven wręczył teczkę Wallanderowi.

- Przeczytaj - powiedział. - Sporo można się dowiedzieć.

- Sam mogę mu złożyć wizytę. Loven wzruszył ramionami.

- Bardzo dobrze. Mimo że do przelomu daleko, mamy trochę punktów zaczepienia w sprawie Tengblada. Technicy są zdania, że ta twoja kobieta została zabita z tej samej broni. Ale, rzecz jasna, nie można tego stwierdzić z całą pewnością. Przypuszczalnie to ta sama broń. Nie wiemy jednak, czy strzelała z niej ta sama osoba.

Dochodziła pierwsza, kiedy Wallander dotarł do Hallundy. Zdażył zjeść lunch w jakimś motelu i przejrzeć materiał o Władimirze Rykoffie, który dostał od Lovena. Zatrzymał się przed właściwym budynkiem i przez chwilę obserwował okolicę. Uderzyło go, że niemal nikt z mijających go ludzi nie mówił po szwedzku.

To jest przyszłość, pomyślał. Dziecko, które tutaj dorośnie i na przykład zostanie policjantem, będzie miało zupełnie inne doświadczenia niż ja.

Wszedł na klatkę, odszukał na tablicy nazwisko Rykoff i wszedł do windy.

Drzwi otworzyła kobieta. Od razu zauważył jej czujność, mimo że jeszcze się nie przedstawił. Wyjął legitymację.

- Mam kilka pytań do pana Rykoffa - powiedział.

- Jakich pytań?

Kobieta mówiła z obcym akcentem. Prawdopodobnie pochodziła z byłego bloku wschodniego.

- To sprawa między mną a nim.

- Jest moim mężem.

- Zastąłem go?

- Zaraz mu powiem.

Kobieta zniknęła w drzwiach sypialni. Rozejrzał się. Choć mieszkanie było kosztownie urządzone, odniósł wrażenie, że jest w nim coś prowizorycznego. Jakby lokatorzy mieli się stąd lada moment wyprowadzić.

Do pokoju wszedł Władimir Rykoff. Miał na sobie szlafrok. Też drogi. Sądząc po rozczochranych włosach, właśnie się obudził.

W nim także Wallander wyczuł wyjątkową czujność.

Nagle zdał sobie sprawę, że jest coraz bliżej czegoś, co posunie naprzód śledztwo, które rozpoczęli blisko dwa tygodnie temu, kiedy w jego pokoju zjawił się Robert Akerblom i zgłosił zaginięcie żony, i które zaczynało się rozsypywać, rozmnieniać na drobne, wymykać wszelkim logicznym ocenom.

Nie po raz pierwszy wydawało mu się, że tylko krok dzieli go od przełomu. Często przeczucia go nie myliły.

- Przepraszam za najście - powiedział. - Mam do pana kilka pytań.

- W jakiej sprawie?

Rykoff nie poprosił go, by usiadł. Jego ton był opryskliwy, nieprzychylny. Wallander postanowił od razu przejść do rzeczy. Usadowił się na krześle i gestem polecił małżeństwu, żeby usiadło.

- Z tego, co wiem, przyjechał pan tutaj jako irański uchodźca - zaczął. - W latach siedemdziesiątych otrzymał pan obywatelstwo szwedzkie. Pańskie nazwisko słabo się kojarzy z Iranem.

- To moja sprawa, jak się nazywam. Wallander nie spuszczał z niego wzroku.

- Naturalnie. Ale obywatelstwo można podważyć, jeśli powody jego przyznania okażą się nieprawdziwe.

- Grozi mi pan?

- Ale skąd. Czym się pan zajmuje?

- Jestem właścicielem biura podróży.

- A dokładnie?

- „Rykoffs Reseservice”.

- Do jakich krajów organizuje pan wycieczki?

- Różnych.

- Na przykład?

- Do Polski.

- I?

- Do Czech.

- Dalej!

- Chryste! O co panu chodzi?

- Pańskie biuro podróży jest zarejestrowane w miejscowym urzędzie. Ponieważ z danych urzędu skarbowego wynika, że nie składał pan deklaracji podatkowych za ostatnie dwa lata, domyślam się, że firma nie prowadziła w tym czasie żadnej działalności.

Rykoffa zamurowało.

- Utrzymujemy się z dochodów, które mieliśmy w tłustych latach - odparła małżonka. - Żadne prawo nie zmusza nas do tego, żeby bez przerwy pracować.

- Oczywiście - zgodził się Wallander. - Ale nie wiedzieć czemu większość pracuje.

Kobieta zapaliła papierosa. Wallander zauważył, że jest zaniepokojona. Mąż spojrzał na nią z dezaprobatą. Demonstracyjnie wstała, żeby otworzyć okno. Tak było zaklinowane, że Wallander podniósł się, by jej pomóc, ale... nie, poradziła sobie.

- Tymi sprawami zajmuje się mój prawnik - skwitował

Rykoff, nie kryjąc zdenerwowania.

Wallander nie był pewien, czy to złość, czy strach.

- Nie oszukujmy się, ma pan tyle samo wspólnego z Iranem co ja. Pochodzi pan z Rosji. Odebranie panu szwedzkiego obywatelstwa graniczyłoby z cudem. Nie dlatego tu jestem. Wiem, że jest pan Rosjaninem, Rykoff, i wiem, że ma pan dobre rozeznanie w kręgach rosyjskich imigrantów. Zwłaszcza tych, którzy są na bakier z prawem. Kilka dni temu ktoś zastrzelił miejscowego policjanta. Trudno o większą głupotę. To nas doprowadziło do białej gorączki. Mam na dzieję, że pan mnie rozumie.

Rykoff odzyskiwał spokój. Ale nie jego żona, która od czasu do czasu zerknęła na przeciwległą ścianę.

Zanim Wallander usiadł, zauważył tam zegar. Coś się wydarzy, pomyślał, czego nie powinienem być świadkiem.

- Szukam Konowalenki - powiedział. - Zna go pan?

- Nie. Nie znam.

W tym momencie Wallander uświadomił sobie trzy rzeczy. Po pierwsze, Konowalenko istnieje. Po drugie, Rykoff go zna. Po trzecie, wcale mu się to nie podoba, że pyta o niego policja.

Rykoff wszystkiemu zaprzeczył. Wallander niby przypadkiem patrzył na jego żonę, zadając mu pytanie. W jej twarzy, mimowolnym drgnieniu powiek, znalazł odpowiedź.

- Na pewno? Myślałem, że Konowalenko to dosyć częste nazwisko.

- Nikogo takiego nie znam. - Rykoff zwrócił się do małżonki.

- A ty?

Pokręciła głową.

Tak, pomyślał Wallander. Znacnie Konowalenkę. I dotrzemy do niego za waszym pośrednictwem.

- Szkoda.

Rykoff spojrział na niego ze zdumieniem.

- To wszystko?

- Tak, na razie. Ale z pewnością jeszcze się odezwiemy. Nie poddamy się, dopóki nie zatrzymamy zabójcy policjanta.

- Nic o tym nie wiem - powiedział Rykoff. - Tak jak wszyscy ubolewam z powodu śmierci tego młodego policjanta.

- Rozumiem. - Wallander wstał. - Jeszcze jedno. Może dowiedział się pan z gazet, że parę tygodni temu na południu Szwecji zamordowano kobietę. Albo z telewizji. Podejrzewamy, że Konowalenko też maczał w tym palce.

Tym razem to Wallandera замуrowało. W reakcji Rykoffa było coś niejasnego. Dopiero później zrozumiał co. Kompletna obojętność.

Właśnie na to pytanie Rykoff czekał, pomyślał, czując przyspieszony puls. Żeby to ukryć, zaczął krążyć po pokoju.

- Czy mogę się trochę rozejrzeć?

- Proszę - odpowiedział Rykoff. - Taniu, otwórz naszemu gościowi wszystkie drzwi.

Wallander obrzucał spojrzeniem kolejne pomieszczenia, mając w pamięci reakcję Rykoffa.

Loven nie wiedział, że trafił w dziesiątkę. W tym mieszkaniu w Hallundzie jest trop. Wallandera zdziwił jego własny spokój. Powinien natychmiast stąd wyjść i ściągnąć ludzi Lovena. Rykoffa trzeba poddać długim przesłuchaniom, dopóki się nie przyzna do znajomości z Konowalenką i nie wyjawia, gdzie teraz przebywa.

Kiedy zajrzał do niedużego pokoju, przypuszczalnie gościnnego, coś przykuło jego uwagę. Ale co? Nie było tam nic szczególnego. Łóżko, biurko, krzesło, niebieskie zasłony, półka z książkami i gadżetami. Zapamiętał wszystkie detale i odwrócił się.

- Pójdę już - powiedział.

- Nie mamy na pieńku z policją - stwierdził Rykoff.

- Jeśli tak, możecie spać spokojnie.

Wallander wrócił do śródmieścia. Teraz uderzymy,

pomyślał. Opowiem Lovenowi, co i jak. Rykoff albo jego żona muszą nam wszystko wyśpiewać.

Zgarniemy ich. Zgarniemy.

Niewiele brakowało, żeby Konowalenko niczego nie zauważył. Zaparkował przed wiadomym blokiem w Hallundzie i jak zwykle zerknął na fasadę. Ustalili, że gdyby zaszło coś nieprzewidzianego, Tania otworzy okno. Okno było zamknięte. Idąc do windy, przypomniał sobie o dwóch butelkach wódki, które zostawił w bagażniku. Wrócił po nie i odruchowo spojrział w górę. Okno było otwarte. Wsiadł do samochodu i czekał.

Kiedy zobaczył wychodzącego z budynku Wallandera, natychmiast się domyślił, że to policjant, przed którym Tania chciała go ostrzec.

Miał rację. Nazywał się Wallander i był inspektorem policji. Tania zdążyła ponadto wyczytać z jego legitymacji, że pracuje w Ystadzie.

- Czego chciał?

- Pytał o Konowalenkę - odparł Rykoff.

- Bardzo dobrze.

Tania i Rykoff spojrzeli na niego, nic nie rozumiejąc.

- Bardzo dobrze - powtórzył. - Kto prócz was mógłby cokolwiek o mnie powiedzieć? Tylko Victor Mabasha. I ten gliniarz zaprowadzi nas do niego.

Poprosił Tanie, żeby przyniosła kieliszki. Napili się. Konowalenko wzniosł cichy toast za zdrowie policjanta z Ystadu. Był z siebie ogromnie zadowolony.

Po wizycie w Hallundzie Wallander pojechał do hotelu i zadzwonił do córki.

- Możemy się spotkać? - spytał.

- Teraz? Myślałam, że pracujesz.

- Mam trochę czasu.

- Gdzie się umówimy? Słabo znasz Sztokholm.

- Co nieco wiem o Dworcu Centralnym.

- Może być za czterdzieści pięć minut w głównej hali?

- Może.

Zakończyli rozmowę. Wallander zszedł do recepcji.

- Nie będę dzisiaj osiągalny - poinformował. - Dla nikogo. Muszę coś pilnie załatwić.

- Do której?

- Do odwołania.

Ledwie rozpoznał Lindę. Obcięła włosy i ufarbowała je na czarno. Poza tym była mocno umalowana. Miała na sobie czarny kombinezon, jaskrawoczerwony płaszcz przeciwdeszczowy i botki na wysokim obcasie. Oglądało się za nią wielu mężczyzn. Wkurzyło go to i spieszyło. Umówił się z córką, a tymczasem szła ku niemu pewna siebie, dojrzała kobieta. Jej nieśmiałość nagle się rozpułnęła. Objął ją z mieszanymi uczuciami.

Powiedziała, że jest głodna. Zaczęło padać. Puścili się biegiem do kafejki na Vasagatan vis-a-vis poczty.

Patrzył na nią, kiedy jadła. Na jej pytanie, czy nie ma na nic ochoty, przecząco pokręcił głową.

- Mama była tu w zeszłym tygodniu - oznajmiła. - Chciała mi pokazać swojego nowego faceta. Poznałeś go?

- Rozmawiałem z nią co najmniej pół roku temu.

- Nie podoba mi się. Okazywał mi większe zainteresowanie niż mamie.

- Aha.

- Importuje jakieś narzędzia z Francji. Ale przede wszystkim opowiadał o golfie. Chyba wiesz, że mama zaczęła grać w golfa?

- Nie, nie wiem.

- Niedobrze, że nic o niej nie wiesz - powiedziała po namyśle. - W końcu to jak dotąd najważniejsza kobieta w twoim życiu. Ona wie o tobie wszystko. O tej pani z Łotwy też.

Wallander lekko osłupiał. Nigdy nie opowiadał byleż żonie o

Bajbie.

- Jakim cudem?

- Ano takim, że ktoś jej o tym doniósł.

- Kto?

- Czy to ważne?

- Nie. Pytam z ciekawości. Nagle zmieniła temat.

- Co robisz w Sztokholmie? Chyba nie przyjechałeś tylko po to, żeby się ze mną spotkać?

Opowiedział jej, co się stało. Cofnął się w czasie do tego dnia, kiedy ojciec oznajmił mu, że zamierza się ożenić, i kiedy Robert Akerblom powiadomił go o zaginięciu żony. Słuchała z uwagą. Po raz pierwszy odniósł wrażenie, że ma dorosłą córkę, która w wielu sprawach przewyższa go doświadczeniem.

- Brakuje mi partnera do rozmowy - przyznał. - Gdyby żył Rydberg. Pamiętasz go?

- Tego zgorzknialca?

- Nie był zgorzkniały, chociaż mógł za takiego uchodzić.

- Owszem, pamiętam. Miałam nadzieję, że nigdy nie będziesz taki jak on.

Tym razem Wallander zmienił temat.

- Co wiesz o Afryce Południowej?

- Niewiele. Czarnych traktują tam jak niewolników. Oczywiście jestem temu przeciwna. W szkole mieliśmy gościa z RPA, Murzynkę. Nie wierzyłam w ani jedno jej słowo.

- Tak czy inaczej, wiesz więcej niż ja. Kiedy w zeszłym roku byłem na Łotwie, nie mogłem się wyzbyć myśli, jak to możliwe, żeby facet po czterdzieście nie miał bladego pojęcia o świecie.

- Po prostu nie nadążasz. Pamiętam, że ile razy próbowałam ciebie albo mamę o coś zapytać, kiedy miałam dwanaście-trzyście lat, zawsze mieliście gdzieś to, co działo się poza drzwiami naszego domu. Liczyła się tylko twoja praca. Nic

poza tym. Czy nie dlatego się rozwiedliście?

- Czyżby?

- Wasze wspólne życie sprowadzało się do cebulek tulipanów i nowych baterii w łazience. Tylko o tym ze sobą rozmawialiście, prawda?

- Co złego w pogawędkach o kwiatach?

- Nic. Tak wyrosły, że przesłoniły wam świat. - Nagle ucięła tę dyskusję. - Ile masz czasu?

- Trochę.

- Czyli tyle, co nic. Jeśli chcesz, możemy się zobaczyć wieczorem.

Wyszli na ulicę. Przestało padać.

- Czy chodzenie na takich wysokich obcasach nie jest kłopotliwe? - spytał z wahaniem.

- Nie. Można się tego nauczyć. Chcesz spróbować? Wallandera ogarnęła radość. Cieszył się, że ma córkę.

Zrobiło mu się lżej na duszy. Patrzył, jak machając mu ręką na pożegnanie, idzie do stacji metra.

W tym momencie przypomniał sobie, co zwróciło jego uwagę w mieszkaniu w Hallundzie.

Na półce dostrzegł popielniczkę. Już kiedyś widział identyczną. To mógł być przypadek, ale nie bardzo w to wierzył.

Tego wieczora, kiedy poszedł do Continentalu, na stole w części barowej stała szklana popielniczka, taka sama jak ta, którą zobaczył w mieszkaniu Władimira i Tani.

Konowalenko, pomyślał.

Przy jakiejś okazji udał się tam, może siedział przy tym samym stole co ja. Nie potrafił się oprzeć pokusie i zabrał ją. Ludzka słabość, jedna z najpowszechniejszych. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że inspektor policji z Ystadu zajrzy do małego pokoju w Hallundzie.

Wallander wrócił do hotelu. Może jednak nie jest całkiem do niczego. Może czas nie do końca go przegonił. Może

zdoła rozwiązać zagadkę tego bezsensownego i brutalnego zabójstwa kobiety, która zabiła w okolicach Krageholmu.

Jeszcze raz dokonał podsumowania. Louise Akerblom i Klas Tengblad zostali zastrzeleni z tej samej broni. Do Tengblada strzelał biały mężczyzna mówiący z obcym akcentem. Afrykanina obecnego przy śmierci Louise Akerblom ścigał mężczyzna mówiący z obcym akcentem, który się przypuszczalnie nazywał Konowalenko. Konowalenkę znał Rykoff, mimo że się tego wypierał. Gdyby sądzić po wyglądzie, to Rykoff mógł wynająć dom od Alfreda Hansona. W mieszkaniu Rykoffa zauważył popielniczkę z Ystadu. Gdyby nie pociski, powiązania byłyby wręcz żałosne. Ale Wallander miał intuicję, której ufał. Przyciśnięcie Rykoffa powinno przynieść odpowiedzi na ich pytania.

Tego samego dnia zjadł z Lindą kolację w restauracji tuż obok hotelu.

Tym razem czuł się pewniej w jej towarzystwie. Idąc spać, tuż przed pierwszą w nocy, pomyślał, że od dawna nie spędził równie miłego wieczoru.

Następnego dnia Wallander stawiał się w komendzie na Kungsholmen przed ósmą rano. Zebrani policjanci ze zdumieniem słuchali jego uwag po wizycie w Hallundzie. Miał wrażenie, że nikt mu nie wierzy. Ale ponieważ niczego bardziej nie pragnęli niż schwytania zabójcy ich kolegi, nastrój powoli się zmieniał. W końcu nikt już nie kwestionował jego wniosków.

Potem wszystko odbyło się bardzo szybko. Blok w Hallundzie wzięto pod dyskretną obserwację. Energiczny młody prokurator bez wahania wyraził zgodę na zatrzymanie.

Akcję zaplanowano na drugą po południu. Wallander trzymał się z boku, kiedy Loven szczegółowo omawiał z

kolegami kolejne kroki. O dziesiątej, podczas najbardziej gorączkowej fazy przygotowań, zadzwonił do Bjórka, poinformował go o akcji i o tym, że być może już wkrótce wyjaśni sprawę zabójstwa Louise Akerblom.

- Muszę przyznać, że to brzmi nieprawdopodobnie - skwitował Bjórk.

- Żyjemy w nieprawdopodobnym świecie - zauważył Wallander.

- Tak czy inaczej, odwalileś kawał dobrej roboty. Powiadomię wszystkich, co i jak.

- Bylebyś nie organizował konferencji prasowej. I na razie nic nie mów Robertowi Akerblomowi.

- Naturalnie. Kiedy będziesz z powrotem?

- Najszybciej, jak się da. Jaka jest pogoda?

- Wspaniała! Czuje się wiosnę. I słyszy. Svedberg kicha jak opętany.

Wallandera ogarnęła tęsknota za domem, szybko jednak ustąpiła napięciu przed czekającą ich akcją. O jedenastej Loven zebrał wszystkich jej uczestników. Z raportów ludzi obserwujących blok wynikało, że Władimir i Tania są w mieszkaniu. O innych osobach nic im nie było wiadomo.

Wallander z uwagą słuchał Lovena. Akcja w Sztokholmie zdecydowanie różniła się od tych, do których przywykł. Operacje na taką skalę praktycznie się w Ystadzie nie zdarzały. Nie licząc tej sprzed roku, kiedy pewien ćpun okopał się w domu letniskowym w Sandskogenie.

Przed odprawą Loven spytał Wallandera, czy chce wziąć czynny udział w akcji.

- Tak - odparł. - Konowalenko, jeśli tam jest, w połowie należy do mnie. Poza tym chciałbym zobaczyć minę Rykoffa.

O wpół do dwunastej Loven zakończył odprawę.

- Nie wiemy, co zastaniemy - powiedział. - Przypuszczał nie dwie osoby potulnie zaakceptują naszą obecność, ale może

być inaczej.

Wallander zjadł z Lovenem lunch w komendzie.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym, czym się parasz? - zapytał nagle Loven.

- Codziennie o tym myślę. Podobnie jak większość policjantów, prawda?

- Nie wiem. Wiem, że jestem coraz bardziej przygnębiony. Tu, w Sztokholmie, powoli tracimy nad wszystkim kontrolę. Nie mam pojęcia, jak to wygląda w mniejszych okręgach, w każdym razie nasi przestępcy wiodą dosyć przyjemny żywot. Przynajmniej jeśli chodzi o ryzyko wpadki.

- My chyba nadal panujemy nad sytuacją. Ale różnice między okręgami coraz bardziej się zacierają. To, co dzieje się tutaj, dzieje się także w Ystadzie.

- Wielu policjantów chciałoby się przenieść na prowincję. Wydaje im się, że tam jest łatwiej.

- Pewnie niejeden od nas chciałby przyjechać do Sztokholmu, bo na prowincji jest zbyt spokojnie.

- Ja raczej nie mógłbym się przestawić.

- Ani ja. Albo jestem policjantem w Ystadzie, albo w ogóle nim nie jestem.

Na tym zakończyli rozmowę. Loven miał mnóstwo spraw na głowie. Wallander odszukał pokój odpoczynkowy i wyciągnął się na kanapie. Od dnia, kiedy złożył mu wizytę Robert Akerblom, nie przespał porządnie ani jednej nocy. Zdrzemnął się na parę minut, obudził gwałtownie, po czym leżał z otwartymi oczami i myślał o Bajbie Liepie.

Punktualnie o drugiej wkroczyli do akcji: Wallander, Loven i trzech innych policjantów. Dwa razy nacisnęli dzwonek, odczekali i łomem wyważyli drzwi. W odwodzie znajdowała się specjalna grupa operacyjna z automatami gotowymi do strzału. Wszyscy prócz Wallandera mieli broń. Loven mu ją proponował, ale Wallander odmówił. Natomiast tak jak inni chętnie włożył kamizelkę kuloodporną.

Ledwie wpadli do środka, akcja praktycznie się zakończyła. W mieszkaniu nie było nikogo. Popatrzyli na siebie pytająco. Loven wyjął walkie-talkie i połączył się z grupą operacyjną.

- Mieszkanie jest puste - powiedział. - Akcja odwołana. Przyślijcie techników.

- Uciekli w nocy - odezwał się Wallander. - Albo o świcie.

- Złapiemy ich. W ciągu pół godziny zacznie obowiązywać stan alarmowy w całym kraju. - Podał Wallanderowi plastikowe rękawice. - Rozejrzyj się.

Podczas gdy Loven konferował ze zwierzchnikiem z Kungsholmen, Wallander wszedł do małego pokoju. Włożył rękawice i ostrożnie zdjął z półki popielniczkę. Nie pomylił się. Kilka dni temu, pijąc zbyt dużo whisky, wpatrywał się w identyczną.

- Na pewno są na niej odciski palców - stwierdził jeden z techników, wsuwając popielniczkę do foliowej torebki. - Przypuszczalnie nie mamy ich w kartotece, ale może Interpol coś będzie wiedział.

Wallander podszedł do okna i patrzył na okoliczne domy i szare niebo. Przypomnił sobie, że Tania otworzyła właśnie to okno, ponieważ Władimira drażnił dym z jej papierosa. Nie wiedząc, czy niepowodzenie akcji przygnębia go czy złości, udał się do małżeńskiej sypialni i zajrzał do szaf. Większość ubrań została. Nie znalazł jednak żadnych walizek. Usiadł na krawędzi łóżka i odruchowo wysunął szufladę nocnej szafki. Była tam szpulka nici i pół paczki papierosów. Tania paliła gitany bez filtra.

Pochylił się i zajrzał pod łóżko. Tylko kłębki kurzu. Obszedł łóżko i wysunął szufladę drugiej nocnej szafki. Była pusta. Na wierzchu stała nieopróżniona popielniczka i leżało pół tabliczki czekolady.

Zauważył, że pety mają filtry. Podniósł jednego. Camel. Zamyślił się.

Tania zapaliła papierosa. Władimir od razu zareagował, więc otworzyła okno. Z trudem.

Palaczom rzadko przeszkadzają inni palacze. Zwłaszcza kiedy pokój nie jest zadymiony. Czyżby Tania paliła różne gatunki papierosów? Wątpliwe. Czyli Władimir też pali.

Wrócił do salonu. Otworzył okno, z którym zmagala się Tania. Inne okna w pokoju i drzwi balkonowe otwierały się bez problemu.

Zmarszczył czoło. Dlaczego wybrała okno, które najtrudniej otworzyć? I dlaczego trudno je było otworzyć?

Nagle odpowiedzi stały się bardzo ważne. Po chwili już je znał. Tania otworzyła najbardziej odporne okno, ponieważ z jakiegoś powodu chodziło o to, by otworzyć właśnie to okno, nie żadne inne. A sprawiało kłopot, bo rzadko je otwierano.

Znowu stanął przy oknie. Było najlepiej widoczne z parkingu. Jeszcze raz spokojnie wszystko przemyślał. I zrozumiał. Tania sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Popatrzyła na ścienny zegar, a potem otworzyła okno, dając znak komuś na parkingu, żeby nie przychodził.

Konowalence, pomyślał. Był tak blisko.

W przerwie między rozmowami telefonicznymi podzielił się z Lovenem swoimi spostrzeżeniami.

- Możliwe, że masz rację - przyznał Loven. - Ale to mógł być ktoś inny.

- Naturalnie.

Pojechali na Kungsholmen. Technicy kontynuowali pracę. Ledwie weszli do pokoju Lovena, zadzwonił telefon. W Hallundzie w blaszanej skrzyni znaleźli kilka granatów z gazem łzawiącym tego samego typu, którego użyto w dyskotecie na Söder.

- Wszystko zaczyna się układać - powiedział Loven. - Albo nic. Nie rozumiem, co mu się nie podobało w tym lokalu. W każdym razie alarm już został ogłoszony. Musimy zadbać o maksimum informacji w prasie i telewizji.

- Jutro mogę wracać do Ystadu. Jak schwytnie Konowalenkę, wypożyczymy go od was.

- Nieudane akcje są zawsze wkurzające. Ciekawe, gdzie oni się schowali.

Wallander udał się do hotelu. Wieczorem postanowił znowu zajrzeć do „Aurory”. Miał kilka pytań do wygolonego barmana.

Czuł, że jest coraz bliżej czegoś rozstrzygającego.

Długo siedział pod gabinetem prezydenta de Klerka. Czekał od ósmej wieczorem. Teraz minęła północ. Był sam. Od czasu do czasu zaglądał woźny, starszy mężczyzna w szarym garniturze, który tuż po jedenastej zgasił wszystkie światła prócz lampy stojącej.

Georg Scheepers uznał, że mężczyzna z powodzeniem mógłby pracować w zakładzie pogrzebowym. Dyskrecja i usłużność granicząca z uniżonością przywiodły mu na pamięć człowieka, który kilka lat temu zajmował się pochówkiem jego matki.

W tym symbolicznym podobieństwie jest być może coś z prawdy, pomyślał Scheepers. Prezydent de Klerk administruje szczątkami południowoafrykańskiego imperium białych. Może w gabinecie obok siedzi ktoś, kto raczej przygotowuje pogrzeb, aniżeli prowadzi kraj ku lepszej przyszłości?

Przez cztery godziny miał o czym myśleć. Co jakiś czas woźny bezgłośnie otwierał drzwi, przepraszając, że prezydent nadal jest bardzo zajęty. O dziesiątej przyniósł mu filiżankę letniej herbaty.

Georg Scheepers zaczął się zastanawiać, dlaczego prezydent wezwał go do siebie tego wieczora, w środę 7 maja. Poprzedniego dnia, w porze lunchu, sekretarka kazała mu się stawić u szefa, Henrika Werveya. Georg Scheepers, asystent prokuratora rejonowego w Johannesburgu, widywał go wyłącznie w sądzie lub na piątkowych zebraniach. Spiesząc korytarzem, zachodził w głowę, czego Wervey może od niego chcieć. Natychmiast wpuszczono go do gabinetu. Wervey wskazał mu krzesło, podpisał kilka dokumentów, na które czekała sekretarka, i po chwili zostali sami.

Henrika Werveya bali się nie tylko przestępcy. Blisko sześćdziesięcioletni, miał przeszło sto dziewięćdziesiąt

centymetrów i nie lada krzepę. Kilka lat temu w trakcie przebudowy pomieszczeń prokuratury sam wyniósł kasę pancerną, którą później dwóch ludzi z trudem dźwignęło na wózek. Ale nie z powodu tężyzny fizycznej budził postrach. Ilekroć nadarzyła się sposobność, żądał kary śmierci. Kiedy sąd przyznawał mu rację - co zdarzało się często - i przestępcę czekała szubienica, Wervey przeważnie był świadkiem egzekucji. Dlatego miał opinię człowieka brutalnego. Nikt jednak nie mógł mu zarzucić, że kieruje się rasistowskimi kryteriami. Biały przestępca bał się go tak samo jak czarny.

Georg Scheepers niepokoił się, że popełnił coś nagannego. Wervey służył z obsztorcowywania swoich asystentów, jeśli uznał to za konieczne.

Tymczasem rozmowa potoczyła się inaczej, niż się spodziewał. Wervey odszedł od biurka i usiadł na krześle obok.

- Wczoraj późnym wieczorem został zamordowany w prywatnej klinice w Hillbrow pracownik służby wywiadowczej Pieter van Heerden - zaczął. - Wydział zabójstw uważa, że doszło do zbrodni na tle rabunkowym. Zginął jego portfel. Nikt nie widział sprawcy. Przypuszczalnie działał sam i pewne poszlaki wskazują na to, że podał się za posłańca z laboratorium współpracującego z Brenthurst. Ponieważ żadna z pielęgniarek z nocnej zmiany niczego nie słyszała, musiał się posłużyć bronią z tłumikiem. Sporo przemawia za tym, że hipoteza policji dotycząca zabójstwa na tle rabunkowym jest słuszna. Ale trzeba, naturalnie, uwzględnić profesję van Heerdena.

Wervey uniósł brwi w oczekiwaniu na jego reakcję.

- Myślę, że byłoby rzeczą rozsądną sprawdzić, czy mamy do czynienia z przypadkowym zabójstwem na tle rabunkowym, czy nie - przyznał Scheepers.

- Jest pewne ale. To, co teraz powiem, potraktuj jako ściśle poufne. Chcę, żebyśmy mieli w tej sprawie całkowitą jasność.

- Rozumiem.

- Van Heerden odpowiadał za przekazywanie prezydentowi de Klerkowi poza oficjalnymi kanałami bieżących informacji o pracy wywiadu. Innymi słowy, pełnił wyjątkowo delikatną funkcję.

Wervey umilkł. Scheepers w napięciu czekał na dalszy ciąg.

- Prezydent de Klerk zadzwonił do mnie kilka godzin temu - podjął. - Chciał, żebym wyznaczył prokuratora, który by go informował o przebiegu śledztwa. Jest niemal pewien, że morderstwo van Heerdena ma związek z jego pracą w służbie wywiadowczej. Dopóki nie będzie przekonujących dowodów, kategorycznie odrzuca możliwość zabójstwa na tle rabunkowym. - Popatrzył na Scheepersa. - Nie wiemy, o czym van Heerden informował prezydenta.

Georg Scheepers pokiwał głową.

- Wyznaczam cię do tego zadania. Od tej chwili masz się skupić wyłącznie na śledztwie w sprawie zabójstwa van Heerdena. Czy to jasne?

Georg Scheepers przytaknął. Ciągłe nie do końca uświadamiał sobie znaczenie tego, co usłyszał.

- Będziesz regularnie wzywany do prezydenta - kontynuował Wervey. - Nie wolno ci pisać żadnych sprawozdań, musisz się ograniczyć do notatek, które potem masz spalić. Rozmawiasz tylko z prezydentem i ze mną. Gdyby któryś z kolegów cię spytał, czym się zajmujesz, powiedz, że poprosiłem cię o dziesięcioletnią prognozę ewentualnego naboru prokuratorów. Zrozumiałeś?

- Tak.

Wervey wstał, wziął z biurka plastikowy skoroszyt i podał mu.

- Tu są skromne materiały dochodzeniowe, które do tej pory

udało się zebrać - wyjaśnił. - Van Heerden nie żyje od zaledwie dwunastu godzin. Śledztwo prowadzi inspektor Borstlap. Proponuję, żebyś pojechał do Brenthurst Clinic i porozmawiał z nim. Przyłóż się. Wybrałem ciebie, ponieważ masz zadatki na bardzo dobrego prokuratora. Nie zrób mi zawodu.

Georg Scheepers wrócił do siebie i próbował zrozumieć, czego właściwie od niego oczekiwano. Potem pomyślał, że musi kupić garnitur. W tym, co miał, nie mógł się pokazać prezydentowi.

Teraz, siedząc w mrocznym pokoju, miał na sobie bardzo drogi granatowy garnitur. Na pytanie żony, po co go kupił, odparł, że będzie uczestniczył w pracach przygotowawczych prowadzonych przez ministra sprawiedliwości. Bez zastrzeżeń przyjęła jego wyjaśnienie.

Za dwadzieścia pierwsza dyskretny woźny zjawił się z informacją, że prezydent czeka. Georg Scheepers poderwał się z krzesła. Był zdenerwowany. Woźny zaprowadził go pod wysokie dwuskrzydłowe drzwi, zapukał i otworzył.

Za biurkiem oświetlonym samotną lampą siedział mężczyzna o przeredzonych włosach. Georg Scheepers stanął przy drzwiach. Mężczyzna dał mu znak dłonią, żeby podszedł bliżej i zajął miejsce na krześle. Był zmęczony. Scheepers zauważył wyraźne worki pod oczami.

Prezydent de Klerk od razu przeszedł do rzeczy. W jego głosie pobrzmiwała nutka zniecierpliwienia, jakby ciągle musiał rozmawiać z ludźmi, którzy nic nie rozumieją.

- Jestem przekonany - zaczął - że Pieter van Heerden nie został zamordowany na tle rabunkowym. Pańskie zada nie będzie polegało na dopilnowaniu, żeby prowadzący śledztwo przyjęli do wiadomości, że jego śmierć ma związek z pracą w wywiadzie. Chcę, żeby zostały zbadane wszystkie jego pliki komputerowe, wszystkie teczki z dokumentami, wszystko, czym się zajmował w ostatnim roku. Czy to jasne?

- Tak.

De Klerk pochylił się ku niemu. Jego twarz nabrała w świetle lampy niemal upiornego odcienia.

- Van Heerden podzielił się ze mną podejrzeniami co do spisku, który stanowi poważne zagrożenie dla całej Afryki Południowej - powiedział. - I może doprowadzić do chaosu. Jego śmierć trzeba postrzegać w takim kontekście. Tylko takim.

Georg Scheepers skinął głową.

- Więcej nie musi pan wiedzieć. - De Klerk odchylił się na krześle. - Prokurator rejonowy Wervej wyznaczył pana, ponieważ według niego jest pan godny zaufania i lojalny wobec przełożonych. Chciałbym podkreślić poufny charakter sprawy. Ujawnienie tego, co przed chwilą powiedziałem, równałoby się zdradzie stanu. Jest pan prokuratorem, więc nie muszę panu wyjaśniać, jaka za to grozi kara.

- Naturalnie - odparł Georg Scheepers i odruchowo się wyprostował.

- O wszystkim proszę informować tylko mnie - podjął de Klerk. - Będzie się pan umawiał za pośrednictwem mojego sekretariatu. Dziękuję, że pan przyszedł.

Audycja dobiegła końca. De Klerk wrócił do swoich papierów.

Georg Scheepers wstał, skłonił się i ruszył po grubym dywanie do drzwi.

Woźny zszedł z nim po schodach. Uzbrojony wartownik odprowadził go do samochodu. Usiadł za kierownicą. Miał spocone dłonie.

Spisek, pomyślał. Sprzysiężenie zagrażające państwu? Chaos? Czy można sobie wyobrazić większy chaos od tego, który już mamy?

Zostawił to pytanie bez odpowiedzi i włączył silnik. Potem otworzył skrytkę, w której przechowywał pistolet.

Wsunął magazynek, odbezpieczył i położył broń na sąsiednim siedzeniu.

Georg Scheepers nie lubił prowadzić nocą. Było zbyt niebezpiecznie. Bez przerwy dochodziło do coraz brutalniejszych rozbojów i napadów z bronią w rękę.

Jechał do domu w południowoafrykańskich ciemnościach. Pretoria spała.

Miał o czym myśleć.

Kiedy nauczyłem się odczuwać strach, *songoma*? Kiedy po raz pierwszy, samotny i opuszczony, zetknąłem się z twarzą wykrzywioną strachem? Kiedy zrozumiałem, że lęk towarzyszy wszystkim niezależnie od koloru skóry, wieku, pochodzenia? Nikt nie ujdzie lękowi, bez lęku nie ma życia. Nie pamiętam, *songoma*. Ale teraz wiem, że tak właśnie jest. Jestem więźniem w kraju o niewyobrażalnie krótkich nocach, których ciemności nigdy całkowicie mnie nie otulają. Nie pamiętam, *songoma*, kiedy po raz pierwszy przyszedł do mnie strach, ale teraz daje o sobie znać, gdy szukam wyjścia, żeby uciec stąd do domu, do Ntibane.

Dni i noce zlały się w niewyraźną całość, już ich nie odróżniał. Victor Mabasha nie wiedział, ile czasu upłynęło, odkąd zostawił Konowalenkę w odludnym domu na gliniastych polach. Ten sam mężczyzna nagle zmartwychwstał i strzelił do niego w przesyconej gazem łzawiącym dyskotecce. Przeżył szok. Był przekonany, że zabił Konowalenkę butelką, którą roztrzaskał na jego skroni. Zauważył go mimo piekących oczu i dymu. Wymknął się z lokalu tylnym wyjściem razem z innymi ludźmi, tłoczącymi się i krzyczącymi w panice. Przez moment miał wrażenie, że jest w Afryce Południowej, gdzie murzyńskie osiedla nierzadko atakowano gazem łzawiącym. Ale był w Sztokholmie, Konowalenko zmartwychwstał i ścigał go, żeby zabić.

Przyjechał do miasta o świcie i długo jeździł ulicami, nie wiedząc, co robić. Był wyczerpany, nie bardzo mógł polegać na własnym rozsądku. Przestraszył się. Dotąd wyobrażał sobie, że chłodny umysł i umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach to jego najlepsze ubezpieczenie na życie. Zastanawiał się nad wynajęciem pokoju w hotelu. Ale nie miał paszportu, nie miał żadnych dokumentów. Był nikim, bezimiennym człowiekiem z bronią.

Ból powracał w nierównych odstępach. Powinien się rozejrzeć za lekarzem. Czarna krew przesączała się przez bandaż, nie mógł sobie pozwolić na zakażenie i gorączkę. Stałby się całkowicie bezbronny. Nie przejmował się, że po palcu została krwawa rana. Jakby nigdy go nie miał. Wmówił sobie, że istniał tylko w jego wyobraźni. Urodził się bez palca wskazującego lewej dłoni.

Spał na cmentarzu. Mimo śpiwora, który kupił, marzył. W snach ścigały go śpiewające psy. Patrząc w gwiazdy, myślał, że może już nigdy nie wróci do ojczyzny, jego stopy nigdy nie dotkną czerwonej pylistej ziemi. Ogarnął go dojmujący smutek. Ostatnio czuł się tak po śmierci ojca. W Afryce Południowej, kraju zbudowanym na totalnym kłamstwie, mało było miejsca dla prostych nieprawd. Kłamstwo stanowiło istotę jego życia.

Noce spędzane na cmentarzu były pełne słów *songomy*. Otoczony obcymi nieboszczykami, białymi, których spotka dopiero w krainie umarłych, wspominał dzieciństwo. Widział twarz ojca, jego uśmiech, słyszał jego głos. Kto wie, może świat duchów jest tak samo podzielony jak Afryka Południowa? Wyobraził sobie, że duchy jego przodków przebywają w zadymionych, walących się slumsach. Próbował się tego dowiedzieć od *songomy*. W odpowiedzi słyszał tylko wycie śpiewających psów, którego nie udało mu się zrozumieć.

Drugiego dnia o świcie ukrył śpiwór w grobowcu i opuścił cmentarz. Kilka godzin później ukradł samochód. Nadarzyła się okazja, więc się nie wahał. Znowu dopisywał mu rozsądek. Jakiś mężczyzna wysiadł z samochodu, nie wyłączywszy silnika, i wszedł do bramy. W pobliżu nie było nikogo. Ford. Znał tę markę, kiedyś często jeździł fordami. Usiadł za kierownicą, teczkę z sąsiedniego fotela położył na jezdni i odjechał. Wkrótce opuścił miasto i zaczął się rozglądać za jeziorem, nad którym mógłby w samotności

zebrać myśli.

Jeziora nie znalazł, ale dotarł do morza. Tak mu się przynajmniej wydawało. Nie wiedział, co to za morze. W każdym razie woda była słona. Nie tak jak w Durbanie czy w Port Elizabeth, ale w tym kraju chyba nie ma słonych jezior? Wspiął się na przybrzeżne skały. Patrząc na przesmyki między wysepkami archipelagu, przeczuwał bezkres morza. Było chłodno. Marzył. Tutaj doszedłem w życiu, pomyślał. I co dalej?

Przykucnął i tak jak w dzieciństwie ułożył z kamyków spiralny labirynt. Próbował jak najgłębiej zanurzyć się w sobie, żeby usłyszeć *songomę*. Nie udało się. Morze szumiało zbyt głośno, nie był dostatecznie skupiony. Labirynt z kamyków nie pomógł. Zląkł się. Pozbawiony możliwości rozmowy z duchami, straci siły i umrze. Nie będzie już odporny na choroby, myśli go porzucą, ciało stanie się skorupą, którą skruszy najlżejszy dotyk.

Zaniepokojony, wrócił do samochodu. Usiłował się skupić na tym, co najważniejsze.

Po pierwsze: Jak Konowalence udało się go tak łatwo wytropić w dyskotecę, o której się dowiedział od przypadkowo spotkanych w barze Afrykanów z Ugandy?

Po drugie: Jak się stąd wydostanie i wróci do Afryki Południowej?

Uznał, że musi zrobić coś, na co nie miał najmniejszej ochoty. Musi odszukać Konowalenkę. To będzie równie trudne jak schwywanie samotnego szpringboka w bezkresnym afrykańskim buszu. W jakiś sposób musi Konowalenkę zwabić. To on miał jego paszport, tylko on mógł mu pomóc w opuszczeniu tego kraju. Innej możliwości nie widział.

Nadal się łudził, że nie będzie musiał nikogo pozbawiać życia. Nie licząc, rzecz jasna, Konowalenki.

Tego wieczora wrócił do dyskoteki. Nie było dużo ludzi.

Usiadł przy stole w kącie i pił piwo. Kiedy podszedł do kontuaru po następne, odezwał się do niego wygolony barman. Dopiero po chwili zrozumiał, że dopytywały się o niego dwie różne osoby. Z opisu wywnioskował, że jedna to Konowalenko. A druga? Barman wyjaśnił, że policjant, który mówił z takim akcentem, z jakim się mówi tylko na południu kraju.

- Czego chciał? - spytał Victor Mabasha. Barman wskazał na jego poplamiony bandaż.

- Szukał Murzyna, który stracił palec.

Zrezygnował z drugiego piwa i opuścił lokal. Konowalenko mógł tu wrócić. Mimo że miał broń pod ręką, jeszcze nie był przygotowany na to spotkanie.

Ledwie wyszedł na ulicę, wiedział, co zrobi. Policjant pomoże mu znaleźć Konowalenkę.

Na południu prowadzono dochodzenie w sprawie zaginięcia kobiety. Może już odnaleźli ciało, które Konowalenko gdzieś ukrył. Skoro udało im się dowiedzieć o jego istnieniu, powinni chyba znać Konowalenkę.

Zostawiłem ślad, pomyślał. Palec. Może Konowalenko też coś po sobie zostawił?

Resztę wieczora spędził w pobliżu dyskoteki. Ale nie pokazał się ani Konowalenko, ani policjant. Wygolony barman opisał mu jego wygląd. Biali czterdziestoletni mężczyźni bardzo rzadko tu zaglądali.

Późną nocą poszedł na cmentarz. Nazajutrz ukradł kolejny samochód i wieczorem czekał przed dyskoteką.

Punkt dziewiąta zatrzymała się taksówka. Victor zsunął się na przednim siedzeniu. Z taksówki wysiadł policjant i zniknął w lokalu. Natychmiast podjechał jak najbliżej wejścia, ukrył się w najciemniejszym zakamarku i czekał. Pistolet miał w kieszeni kurtki.

Mężczyzna, który kwadrans później wyszedł na ulicę i rozglądał się niezdecydowanie lub w zamyśleniu, sprawiał

wrażenie niegroźnego, samotnego spacerowicza. Victor Mabasha wyjął pistolet, postąpił dwa kroki naprzód i przytknął mu lufę pod brodę.

- Spokojnie - powiedział po angielsku. - Tylko spokojnie. Mężczyzna drgnął. Zrozumiał i nie ruszał się.

- Podejź do samochodu - polecił Mabasha. - Otwórz drzwi i wsiadaj.

Mężczyzna posłuchał. Był wyraźnie wystraszony.

Victor szybko się pochylał i uderzył go w szczękę. Dostatecznie mocno, żeby go na chwilę pozbawić przytomności, nie na tyle jednak, żeby go okaleczyć. Victor Mabasha znał siłę swojego ciosu, kiedy panował nad sytuacją. Czego, niestety, nie mógł powiedzieć o tym fatalnym ostatnim wieczorze spędzonym z Konowalenką.

Przeszukał mężczyznę. Nie miał broni. Victor Mabasha utwierdził się w przekonaniu, że znalazł się w osobliwym kraju, w którym policjanci chodzą nieuzbrojeni. Potem skrepował mu ręce i zakleił usta taśmą. Z kącika ust sączyła się strużka krwi. Nigdy do końca nie da się uniknąć urazów. Mężczyzna przypuszczalnie ugryzł się w język.

Przez trzy popołudniowe godziny Victor Mabasha uczył się na pamięć trasy, którą zamierzał przebyć. Wiedział, dokąd się uda, i nie chciał ryzykować, że zabłądzi. Kiedy stanął na pierwszych światłach, wyjął mężczyźnie portfel. Nazywał się Kurt Wallander i miał czterdzieści cztery lata.

Na zielonym ruszył. Cały czas nie spuszczał wzroku ze wstecznego lusterka.

Po drugich światłach nabrał podejrzeń, że mają ogon. Czyżby policjant był z obstawą? Jeśli tak, wkrótce zaczną się kłopoty. Na kilkupasmowej jezdni przyspieszył. Czyżby mu się coś przywidziało? Może jednak nikt za nimi nie jechał.

Mężczyzna jęknął i poruszył się. Victor Mabasha pomyślał, że dobrze wyliczył siłę ciosu.

Skręcił w kierunku cmentarza i zatrzymał się przed

zielonym domem, w którym mieścił się sklep z kwiatami i wieńcami. O tej porze był zamknięty. Wyłączył światła i obserwował ruch uliczny. Nie dostrzegł żadnego hamującego samochodu.

Odczekał dziesięć minut. I nic. Tylko policjant powoli odzyskiwał przytomność.

- Ani mru-mru - powiedział Mabasha, zrywając mu taśmę z ust.

Policjanci wiedzą, kiedy człowiek mówi serio. Ciekawe, czy w tym kraju też się wieszka ludzi za wzięcie policjanta jako zakładnika.

Wysiadł z samochodu i nasłuchiwał. Poza szumem ulicy nie było słyhać niczego. Otworzył drzwi od strony pasażera i skinął na mężczyznę. Poszli do najbliższej furtki i szybko rozplynęli się w mroku cmentarza.

Victor Mabasha zaprowadził policjanta do grobowca, do którego bez kłopotu się włamał. W wilgotnym pomieszczeniu załatywało stęchlizną. Cmentarze go nie przerażały. Wcześniej wielokrotnie ukrywał się pośród zmarłych.

Kupił lampę gazową i zapasowy śpiwór. Mężczyzna początkowo się opierał.

- Nie zabiję cię - powiedział Mabasha. - Nic ci nie zrobię. Ale musisz tu wejść.

Posadził policjanta na śpiworze, zapalił lampę i wyszedł sprawdzić, czy nie widać światła na zewnątrz. Było idealnie ciemno.

Stał i nasłuchiwał. Lata czujności wyostrzyły mu słuch. Coś się poruszyło na alejce. Jego obstawa, pomyślał. Albo jakieś zwierzę.

W końcu uznał, że to nic groźnego, wrócił do grobowca i kucnął naprzeciwko wyraźnie przerażonego policjanta, który nazywał się Kurt Wallander.

- Jeśli zrobisz, co ci powiem - zaczął - nic ci się nie stanie.

Musisz odpowiedzieć na moje pytania. Musisz mówić prawdę. Wiem, że jesteś policjantem. Widzę, że wpatrujesz się w bandaż na mojej dłoni. To znaczy, że znalazłeś mój palec, który odciął mi Konowalenko. Od razu ci powiem, że to on zastrzelił kobietę. Twoja sprawa, czy mi wierzysz, czy nie. Przyjechałem do tego kraju na krótko. Chcę zabić tylko jednego człowieka. Konowalenkę. Musisz mi pomóc w jego odszukaniu. Kiedy Konowalenko zginie, natychmiast cię uwolnię.

Victor Mabasha czekał na odpowiedź. Nagle o czymś sobie przypomniał.

- Czy ty nie masz swojego cienia? - spytał. - Jakiejś obstawy?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Jesteś sam?

- Tak - odparł Wallander i skrzywił się.

- Musiałem cię unieszkodliwić. Ale cios nie był chyba zbyt mocny.

Wallander znowu się skrzywił.

- Nie.

Victor Mabasha milczał. Teraz nie było pośpiechu. Cisza powinna uspokoić policjanta. Ze współczuciem pomyślał o jego strachu. Wiedział, jak bardzo bywa obezwładniający.

- Gdzie jest Konowalenko? - zapytał łagodnie.

- Nie wiem.

Victor Mabasha zrozumiał, że Konowalenko jest znany policji i że siedzący naprzeciwko niego mężczyzna mówi prawdę. Pomylił się w swoich przewidywaniach. Wszystko będzie wymagało więcej czasu i zachodu. Wspólnie poszukają Konowalenki.

Spokojnie opowiedział o okolicznościach, w jakich zginęła kobieta, nie ujawniając powodu swojego pobytu w Szwecji.

- A więc to on wysadził dom w powietrze - skwitował Wallander.

- Ja nic o tym nie wiem. Teraz twoja kolej, żeby mi powiedzieć, co się potem stało.

Policjant się rozluźnił, mimo że czuł się nieswojo w chłodnym, wilgotnym grobowcu. Za ich plecami, w kamiennych sarkofagach, leżały trumny.

- Jak się nazywasz? - zapytał Wallander.

- Mów mi Goli.

- Jesteś z Afryki Południowej?

- Może. To nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma.

- Liczy się tylko miejsce pobytu Konowalenki. Powiedział to tak ostro, że w oczach policjanta znów po jawił się strach.

Nagle Victor Mabasha znieruchomiał. Podczas rozmowy z Wallanderem ani na chwilę nie opuściła go czujność. Teraz jego wyczulone uszy usłyszały jakiś dźwięk. Dał znak policjantowi, żeby się nie ruszał, po czym wyjął pistolet i przykręcił płomień lampy.

Przed grobowcem ktoś był. Na pewno nie zwierzę. Świadome celu, ostrożne kroki.

Błyskawicznie się pochylił i chwycił Wallandera za gardło.

- Pytam po raz ostatni - warknął. - Miałeś obstawę?

- Nie. Przysięgam.

Puścił go. Konowalenko, pomyślał z wściekłością. Nie wiem, jak to robisz, ale teraz rozumiem, dlaczego Jan Kleyn chciał ci dać zajęcie w Afryce Południowej.

Nie mogli zostać w grobowcu. Spojrzał na lampę. To była ich szansa.

- Kiedy otworzę drzwi, rzucisz lampę w lewo. - Rozwiązał mu rękę, maksymalnie podkręcił płomień i podał lampę.

- A potem pobiegnij w prawo, tylko dobrze się schyl, żebyś mi nie wszedł w pole strzału.

Wallander chciał zaprotestować, ale widząc podniesioną rękę Mabashy, nie powiedział ani słowa. Murzyn odbezpieczył pistolet.

- Liczę do trzech.

Otworzył drzwi i kiedy policjant rzucił lampę, strzelił. Wallander wyszedł za nim, z trudem zachowując równowagę. Huknęły strzały. Z co najmniej dwóch pistoletów. Mabasha uskoczył i przykucnął za nagrobkiem. Policjant odpełznął w inną stronę. Gazowa lampa oświetlała grobowiec. Victor Mabasha dostrzegł jakiś ruch i strzelił. Kula trafiła w żelazne drzwi i ze świstem zniknęła w środku. Następną kulą roztrzaskała lampę i zaległy ciemności. Ktoś biegł żwirową alejką. Po chwili zapadła cisza.

Wallander z trudem łapał powietrze. Serce waliło mu jak młotem. Myślał, że został trafiony. Nigdzie jednak nie było krwi i nic go nie bolało z wyjątkiem języka, który sobie wcześniej przygryzł. Ostrożnie podczołgał się do wysokiego nagrobka i znieruchomiał. Serce tłukło się jak oszalałe. Victora Mabashy nie było. Upewniwszy się, że jest sam, rzucił się do ucieczki. Potykając się, biegł w kierunku ulicznych świateł i szumu samochodów. Zwolnił dopiero za ogrodzeniem cmentarza. Koło przystanku autobusowego udało mu się złapać taksówkę jadącą z Arlandy.

- Hotel Central - wydyszał. Taksówkarz przyglądał mu się podejrzliwie.

- Nie wiem, czy pana zabrać - powiedział. - Wszystko mi pan uświni.

- Policja! - wrzasnął Wallander. - Jazda!

Ruszyli. Przed hotelem Wallander zapłacił za kurs, nie czekając na resztę ani na rachunek. Wziął klucz z rąk recepcjonisty, który ze zdziwieniem popatrzył na jego ubranie, wszedł do pokoju i padł na łóżko. Minęła północ.

Kiedy się jako tako uspokoił, wybrał numer do Lindy.

- Dlaczego dzwonisz tak późno? - spytała.

- Wcześniej nie mogłem. Byłem zajęty.

- A dlaczego masz taki dziwny głos? Stało się coś? Wallander poczuł ucisk w gardle, był bliski łez. W końcu się

opanował.

- Nie, nic - odparł.

- Na pewno wszystko jest w porządku?

- Tak. A co mogłoby być nie w porządku?

- Ty wiesz najlepiej.

- Zapomniałaś, że zawsze pracowałem o dziwnych porach?

- Tak, chyba tak.

W tym momencie podjął decyzję.

- Zaraz u ciebie będę. Nie pytaj dlaczego. Później ci to wytłumaczę.

Opuścił hotel i pojechał taksówką do Brommy. Kiedy usiedli przy kuchennym stole z piwem w rękę, opowiedział jej, co się stało.

- Podobno dzieci powinny wiedzieć, czym się zajmują ich rodzice - stwierdziła Linda, kręcąc głową. - Nie bałeś się?

- Jasne, że się bałem. Oni mają za nas ludzkie życie.

- Dlaczego nie zawiadomiłeś policji?

- Sam jestem policjantem. Muszę sobie wszystko przemyśleć.

- W tym czasie mogą przecież zabić dużo ludzi.

- Masz rację. Pojadę na Kungsholmen. Po prostu najpierw chciałem o tym porozmawiać z tobą.

- Dobrze, że wpadłeś. Odprowadziła go do przedpokoju.

- Dlaczego o mnie pytałeś? - odezwała się nagle, kiedy już miał wyjść. - Dlaczego nie wspomniałeś, że byłeś tu wczoraj?

Wallander nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

- Nie rozumiem.

- W drodze do domu spotkałam sąsiadkę, panią Nilson. Powiedziała, że byłeś tu wczoraj i pytałeś o mnie. Przecież masz klucz do mojego mieszkania.

- Nie rozmawiałem z żadną panią Nilson.

- Wobec tego musiałam coś pokręcić. Nagle Wallander zdrętwiał.

- Zaczynij od początku. W drodze do domu spotkałaś panią Nilson. Powiedziała, że pytałem o ciebie. Tak?

- Tak.

- Powtórz dokładnie jej słowa.

- „Tata pytał o ciebie”. To wszystko. Wallander się zaniepokoił.

- Nigdy nie widziałem pani Nilson. Skąd ona może wiedzieć, jak wyglądam? Skąd może wiedzieć, że ja to ja?

- Chodzi ci o to, że to był kto inny? - zapytała po chwili. - Ale kto? Dlaczego? Kto miałby udawać ciebie?

Wallander spojrział na nią z powagą. Potem zgasił światło i podszedł do okna w salonie. Ulica była pusta. Wrócił do przedpokoju.

- Nie wiem, kto to był - przyznał. - Jutro jedziesz ze mną do Ystadu. Nie chcę, żebyś mieszkała tu sama.

- Dobrze. Czy mam się czego bać tej nocy?

- Nie. Ani trochę. Po prostu przez najbliższe dni nie możesz tu być sama.

- Nic więcej nie mów. Chwilowo chcę wiedzieć jak najmniej. Posłała mu na materacu.

Leżał w ciemnościach, wsłuchując się w jej oddech. Konowalenko, pomyślał. Kiedy był pewien, że zasnęła, wstał i podszedł do okna.

Nikogo.

Wallander zadzwonił do automatycznej informacji kolejowej. Pociąg do Malmö odjeżdżał trzy po siódmej. Tuż po szóstej opuścili mieszkanie w Brommie.

Tej nocy spał niespokojnie. Zapadał w sen, po chwili gwałtownie się budził. Chciał spędzić kilka godzin w pociągu. Lot do Ystadu trwał zbyt krótko, a on potrzebował trochę czasu na odpoczynek i przeanalizowanie sytuacji.

Przeszło godzinę stali pod Mjölby z powodu jakiejś awarii lokomotywy. Wcale go to nie zmartwiło. Od czasu do czasu zamieniali parę słów, ale najczęściej Linda zatapiała się w

książce, a on w myślach.

Czternaście dni, pomyślał, patrząc na ciągnik, który zaorywał bezkresne pole. Nie udało mu się policzyć mew unoszących się nad skibami. Czternaście dni temu zaginęła Louise Akerblom. Jej obraz powoli zaczyna się zacierać w świadomości dwóch małych córeczek. Ciekawe, czy Robert Akerblom pozostanie wierny swojemu Bogu. Jak mu to wyjaśni pastor Tureson?

Spojrzał na Lindę. Spała z policzkiem przytulonym do okna. Czego ona najbardziej się lęka? Czy jest takie miejsce, w którym spotykają się ich zbłąkane myśli? Nikogo nie znamy. Zwłaszcza siebie.

Czy Robert Akerblom znał swoją żonę?

Ciągnik zniknął w niecce na polu. Wallander wyobraził sobie, że się powoli zapada w bezdennym oceanie gliny.

Pociąg ruszył z szarpnięciem. Linda obudziła się i spojrzała na niego.

- Jesteśmy na miejscu? - spytała. - Długo spałam?

- Może kwadrans - odparł z uśmiechem. - Jeszcze nie dojechaliśmy do Nassjó.

Ziewnęła.

- Napiłabym się kawy. A ty?

Siedzieli w wagonie restauracyjnym aż do Hassleholmu. Po raz pierwszy opowiedział jej o swoich dwóch podróżach do Rygi w zeszłym roku. Słuchała zafascynowana.

- Jakbyś mówił o kimś innym - przyznała, kiedy skończył.

- Mam podobne uczucie.

- Mogłeś zginąć. Nie pomyślałeś o mnie i o mamie?

- O tobie tak.

W Malmö musieli poczekać tylko pół godziny na pociąg do Ystadu. Przed czwartą dotarli na Mariagatan. Pościelił jej w pokoju gościnnym. Szukając czystego prześcieradła, uświadomił sobie, że kompletnie zapomniał o zarezerwowanym czasie w pralni. O siódmej zjedli kolację w

pizzerii na Hamngatan. Oboje byli zmęczeni i już o dziewiątej wrócili do domu.

Zadzwoiła do dziadka. Wallander stał obok i słuchał. Obiecała, że go nazajutrz odwiedzi. Ojciec rozmawiał z nią zupełnie inaczej niż z nim. Zawsze go to dziwiło.

Pomyślał, że powinien się skontaktować z Lovenem, ale darował to sobie, ponieważ nie wiedział, jak mu wytłumaczyć, dlaczego od razu ich nie powiadomił o zajściu na cmentarzu. Sam tego nie rozumiał. Dopuścił się przewinienia służbowego. Czyżby zaczął tracić rozum? A może to strach tak go sparaliżował?

Linda zasnęła, a on długo patrzył na wyludnioną ulicę.

Krążył myślami wokół Victora Mabashy i Konowalenki.

Kiedy Wallander stał przy oknie w Ystadzie, Władimir Rykoff stwierdził, że policja ciągle interesuje się jego mieszkaniem. Był dwa piętra wyżej w tym samym bloku. To Konowalenko zasugerował, że powinni mieć dodatkowe lokum, gdyby z jakichś powodów nie mogli korzystać ze swojego mieszkania. Również Konowalenko uznał, że im bliżej, tym bezpieczniej. Dlatego Rykoff wynajął na nazwisko Tani identyczne mieszkanie dwa piętra wyżej. Bez problemu mogli poprzenieśli wszelkie niezbędne rzeczy.

Konowalenko kazał im się przeprowadzić dzień wcześniej. Po gruntownym odpytaniu Władimira i Tani doszedł do wniosku, że policjant z Ystadu jest niewątpliwie bystry. Nie wolno go lekceważyć. Powinni się liczyć z tym, że policja może przeprowadzić rewizję mieszkania. Ale najbardziej obawiał się przesłuchań Władimira i Tani. Sądził, że po pewnym czasie zaczną się plątać w zeznaniach.

Zastanawiał się, czy nie powinien ich zabić. Uznał, że nie jest to konieczne. Władimir był mu ciągle potrzebny. Poza tym policja jeszcze bardziej by się uaktywniła.

Tego samego wieczora przenieśli się dwa piętra wyżej. Konowalenko kategorycznie zabronił im wychodzić przez

najbliższe dni.

Już jako młody oficer KGB poznał grzechy śmiertelne w mętnym świecie służb wywiadowczych. Świadczenie tajnych usług oznaczało udział w bractwie, w którym obowiązywały niepisane zasady. Grzech najcięższy, co dość oczywiste, stanowiła podwójna zdrada, czyli przekazywanie obcemu państwu ściśle poufnych informacji o macierzystej firmie. W szpiegowskim piekle krety zajmowały najpośledniejsze miejsce.

Innym grzechem śmiertelnym było spóźnianie się. Należało przestrzegać nie tylko terminów spotkań, opróżniania skrzynek kontaktowych, uprowadzeń czy zwyczajnych podróży, ale również realizacji własnych planów.

W czwartek 7 maja wczesnym rankiem Konowalenko zgrzeszył nadmiarem zaufania do swojego bmw. Dawno temu nauczył się od przełożonych, że przed podróżą zawsze trzeba się odpowiednio zabezpieczyć. Jeśli zawiedzie jeden środek lokomocji, powinno być dość czasu na wdrożenie wariantu awaryjnego. Ale wspomnianego poranka, kiedy przy St. Eriksbron bmw nagle odmówiło posłuszeństwa, Konowalenko nie miał nic w zanadrzu. Oczywiście mógł skorzystać z taksówki lub metra. Ponieważ nie wiedział, kiedy - jeśli w ogóle - policjant i jego córka opuszczą mieszkanie w Brommie, nie mogło być mowy o spóźnieniu. Mimo to całą winę ponosił on, nie samochód. Przez blisko dwadzieścia minut próbował uruchomić silnik. Bez powodzenia.

W końcu wysiadł i złapał taksówkę. Chciał być przed tym domem z czerwonej cegły najpóźniej o siódmej. Teraz dochodziła za kwadrans ósma.

Bez trudu uzyskał informację, że Wallander ma córkę, która mieszka w Brommie. Wystarczył telefon do ystadzkiej komendy. Tam mu powiedziano, że inspektor zatrzymał się w hotelu Central. Podał się za policjanta, po czym udał się

do hotelu, żeby z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem zarezerwować pokoje dla sporej grupy turystów. W dogodnym momencie rzucił okiem na wiadomość zostawioną dla Wallandera od Lindy, zapamiętał jej imię i numer telefonu. Wyszedł z hotelu, odszukał adres, pojechał do Brommy, porozmawiał na klatce z sąsiadką i wszystko było jasne.

W czwartkowy poranek czekał na ulicy do wpół do dziewiątej. Z domu wyszła starsza kobieta. Przywitał się. Rozpoznała w nim tego sympatycznego człowieka, z którym już raz miała przyjemność rozmawiać.

- Wyjechali dzisiaj wcześniej rano - odpowiedziała na jego pytanie.

- Oboje? - Tak.

- Na długo?

- Obiecała, że zadzwoni.

- Mówiła, dokąd się wybierają?

- Na urlop za granicę, ale gdzie dokładnie, nie bardzo wiem.

Konowalenko widział, że kobieta szuka w pamięci. Czekał.

- Chyba do Francji - powiedziała po chwili. - Ale nie jestem pewna.

Podziękował za pomoc i odszedł. Później przyśle tu Rykoffa, żeby przeszukał mieszkanie.

Ponieważ musiał się zastanowić i nigdzie się nie spieszył, udał się pieszo do Brommaplan, żeby stamtąd wrócić do miasta taksówką. Bmw się wysłużyło, Rykoffa czeka tego dnia jeszcze jedno zadanie: załatwienie nowego wozu.

Podróż zagraniczną od razu wykluczył. Policjant z Ystadu miał głowę na karku. Dowiedział się, że dzień wcześniej ktoś wypytywał starszą panią. I że ten ktoś może się znowu pojawić. Dlatego zostawił fałszywy trop.

Prawdopodobnie pojechał z córką do Ystadu, pomyślał. Albo wybrał inne miejsce, którego nigdy nie uda mi się wykryć. Chwilowe schronienie. Ma przewagę. Ale do czasu.

Wyciągnął jeszcze jeden wniosek. Policjant z Ystadu był zaniepokojony. Bo dlaczego zabierałby z sobą córkę?

Uśmiechnął się. On i ten mało ważny policjant o nazwisku Wallander myśleli bardzo podobnie. Przypomniał sobie, co mówił rekrutom na ich pierwszych ćwiczeniach pewien pułkownik KGB. Studia, świetny rodowód lub wysoki iloraz inteligencji nie dają żadnej gwarancji zdobycia tytułu mistrza szachowego.

Teraz trzeba przede wszystkim zlikwidować Victora Mabashę. Dwa razy im się nie powiodło, w dyskotecie i na cmentarzu.

Z pewnym niepokojem pomyślał o wczorajszym dniu. Przed północą wybrał specjalny numer Jana Kleyna w Afryce Południowej. Starannie się przygotował do tej rozmowy. Nic nie mogło usprawiedliwić tego, że Victor Mabasha ciągle żyje, więc postanowił skłamać. Powiedział, że go zlikwidowali. Zainstalowali mu w baku granat i kiedy benzyna uszkodziła gumową uszczelkę blokującą bezpiecznik, samochód eksplodował. Victor Mabasha zginął na miejscu.

Mimo to Konowalenko wyczuł, że Jan Kleyn nie jest zadowolony. Nie mógł pozwolić sobie na to, by wywiad południowoafrykański stracił do niego zaufanie. To by zrujnowało całe jego przyszłe życie.

Przypieszył kroku. Czas nagli. Victora Mabashę trzeba wytropić i zabić w ciągu najbliższej doby.

Powoli zapadał ten dziwny zmierzch, ale Victor Mabasha ledwie zwrócił na to uwagę. Myślał o człowieku, którego miał zabić. Jan Kleyn go zrozumie. Pozwoli mu wykonać zadanie. Pewnego dnia zobaczy w celowniku prezydenta. Nie zawaha się, zrobi to, czego się podjął.

Zastanawiał się, czy prezydent wie, że niedługo umrze. Czy biali mają swoje *songomy*, które mówią do nich w snach?

Tak, pewnie mają. Bo jak można istnieć bez kontaktu ze

światem duchów, który ma władzę nad żywymi i umarłymi? Tym razem duchy okazały mu przychylność. Powiedziały, co ma robić.

Wallander obudził się parę minut po szóstej. Po raz pierwszy od wszczęcia poszukiwań zabójcy Louise Akerblom czuł się wyspany. Zza uchylonych drzwi dobiegało go pochrapywanie córki. Wstał i patrzył na nią. Przepeliła go radość. Pomyślał, że sens życia polega na troszczeniu się o własne dzieci. Na niczym więcej. Długo brał prysznic. Postanowił pójść do policyjnego lekarza. Chyba musi być jakaś forma pomocy medycznej dla policjanta, który chce schudnąć, żeby poprawić swoją kondycję.

Codziennie rano wracał pamięcią do pewnej nocy sprzed roku, kiedy obudził się zlany zimnym potem, przekonany, że dostał ataku serca. Lekarz, który go zbadał, powiedział, że to ostrzeżenie. Coś w jego życiu było nie tak. Teraz mógł stwierdzić, że właściwie nie zrobił nic, by cokolwiek zmienić. Na domiar złego jego nadwaga wzrosła o dodatkowe trzy kilogramy.

Wypił kawę w kuchni. Tego ranka Ystad tonął w gęstej mgle. Ale wkrótce zawita prawdziwa wiosna. Zdecydował, że w poniedziałek porozmawia z Bjórkiem o urlopie.

Napisał na kartce swój numer telefonu, położył go na kuchennym stole i kwadrans po siódmej opuścił mieszkanie.

Na ulicy opatulila go mgła. Ledwie widział swój samochód zaparkowany kawałek dalej. Pomyślał, że może powinien pójść do komendy pieszo.

Nagle wyczuł jakiś ruch po drugiej stronie ulicy. Jakby zakołysała się latarnia. Po chwili zorientował się, że to człowiek. Sekundę później wiedział, kto to jest.

Goli przyjechał do Ystadu.

Jan Kleyn miał jedną słabość, którą starannie ukrywał. Nazywała się Miranda i była czarna jak cień kruka. Jego tajemnica, absolutny kontrast w jego życiu.

Ci, którzy znali Jana Kleyna, nigdy by w to nie uwierzyli. Koledzy ze służby wywiadowczej potraktowaliby wszelkie pogłoski o jej istnieniu jako czcze fantazje. Jan Kleyn był niczym słońce całkowicie pozbawione plam.

Tymczasem miał jedną o imieniu Miranda.

Byli rówieśnikami. Wiedzieli o swoim istnieniu od dziecka, ale nie dorastali razem. Żyli w dwóch osobnych światach. Matka Mirandy, Matilda, była służącą w domu rodziców Jana Kleyna, dużej białej willi położonej na wzgórzu opodal Bloemfontein. Mieszkała kilka kilometrów dalej w blaszaku, pośród innych Afrykanów. Codziennie o świcie pokonywała strome zbocze i rozpoczynała pracę od podania rodzinie porannego posiłku. Droga pod górę była jak pokuta za grzech, który polegał na tym, że urodziła się czarna. Jan Kleyn i jego rodzeństwo mieli swoich służących, ale on szczególnie się garnął do Matildy. Pewnego dnia, kiedy miał jedenaście lat, zaczął się nagle interesować, skąd ona każdego ranka przychodzi i dokąd się udaje po pracy. I zaczął ją śledzić. Oczywiście w tajemnicy przed wszystkimi, jako że ojciec nie pozwalał mu się oddalać bez opieki poza teren ogrodzonego murem ogrodu. Po raz pierwszy zobaczył z bliska stłoczone blaszaki, w których mieszkały afrykańskie rodziny. Wiedział, że czarni żyją w innych warunkach niż on. Ciągłe słyszał od rodziców, że różnice między białymi i Murzynami to naturalna kolej rzeczy. Biali, tacy jak Jan Kleyn, są ludźmi. Czarni jeszcze nie. W bliżej nieokreślonej przyszłości być może znajdą się na tym samym poziomie rozwoju co biali. Ich skóra pojaśnieje, umysł stanie się bardziej chłonny, a wszystko to dzięki cierpliwym wysiłkom wychowawczym białych. Mimo to nie wyobrażał sobie, że

ich domy mogą być aż tak nędzne.

Jego uwagę przykuło coś jeszcze. Matildę przywitała dziewczynka w jego wieku, długonoga i chuda. Z pewnością córka. Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że Matilda może mieć własne dzieci. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że ona ma rodzinę, że oprócz pracy w jego domu ma swoje prywatne życie. Poczul się niemile dotknięty. Jakby Matilda go oszukała. Świącie wierzył, że istnieje tylko dla niego.

Dwa lata później Matilda zmarła. Miranda nigdy mu nie powiedziała, co było bezpośrednim powodem jej śmierci, wspomniała jedynie, że coś ją trawiło od środka. Ojciec Mirandy wrócił z dwoma synami i jedną córką w swoje rodzinne strony, niedaleko granicy z Lesoto. Mirandę, którą miała się zaopiekować jedna z sióstr Matildy, postanowiła w nagłym przypływie dobroci przygarnąć matka Jana Kleyna. Miranda zamieszkała w domku ogrodnika i przysposabiła się do przejęcia obowiązków po matce. W ten sposób duch Matildy pozostał w białej willi. Matka Jana Kleyna nie na darmo była Burką. Pielęgnowanie tradycji stanowiło dla niej gwarancję przetrwania społeczności Afrykanerów. Zatrudnianie służących z tej samej rodziny, pokolenie za pokoleniem, dawało poczucie niezmienności i stabilności.

Jan Kleyn i Miranda dorastali blisko siebie, ale zachowywali dystans. Choć widział, że jest bardzo ładna, coś takiego jak czarna piękność praktycznie nie istniało. Należało do świata rzeczy zabronionych. Słyszał opowieści rówieśników o białych Burach, którzy na weekendy wyjeżdżali do sąsiedniego Mozambiku, portugalskiej kolonii, żeby się przespać z czarną kobietą. Utwierdzało go to jedynie w tym, że prawda, którą sobie przyswoił, jest niepodważalna. Przyglądał się

Mirandzie, kiedy podawała mu śniadanie na tarasie, ale nie miał ochoty na bliższą znajomość. Zaczęła się jednak

pojawiać w jego snach. Sny były burzliwe, budził się mocno poruszony, wstrząśnięty. Tam rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Nie tylko dostrzegał urodę Mirandy, ale dawał temu wyraz. Pozwalał sobie ją kochać; dziewczęta z burskich rodzin, z którymi się zadawał, nie umywały się do córki Matildy.

Po raz pierwszy spotkali się naprawdę, kiedy mieli po dziewiętnaście lat. Była styczniowa niedziela, wszyscy prócz Jana Kleyna pojechali na rodzinną kolację do Kimberley. On został, ponieważ wciąż nie czuł się najlepiej po świeżo przebytej malarii. Siedział na tarasie, Miranda była jedyną służącą w domu, i nagle wstał i poszedł do niej do kuchni. Znacznie później często będzie myślał, że od tamtej pory nigdy jej nie opuścił. Że pozostał w kuchni. Przejęła nad nim władzę, której już do końca nie odzyskał.

Dwa lata potem zaszła w ciążę.

Studiował wtedy na uniwersytecie w Johannesburgu. Kochał Mirandę i bał się tej miłości. Czuł się jak zdrajca własnego narodu i tradycji. Nieraz próbował z nią zerwać, ale było to ponad jego siły. Spotykali się potajemnie, zdjęci lękiem, że ktoś ich nakryje. Kiedy mu powiedziała, że jest w ciąży, uderzył ją. Po chwili zrozumiał, że nigdy nie będzie mógł bez niej żyć. Zakończyła służbę w białej willi. Załatwił jej pracę w Johannesburgu. Przy pomocy angielskich przyjaciół z uniwersytetu, którzy mieli inny stosunek do czarnych kobiet, kupił jej niewielki domek w Bezuidenhout Park we wschodnim Johannesburgu. Mieszkała tam niby jako służąca pewnego Anglika spędzającego większość czasu w posiadłości w Rodezji Południowej. W Bezuidenhout Park mogli się spotykać, tam urodziła się ich córka, której bez zbędnych dyskusji dali imię Matilda. Więcej dzieci nie mieli. Jan Kleyn nigdy się nie ożenił. Martwiło to jego rodziców, czasami napawało goryczą, ponieważ Bur, który nie zakłada rodziny i nie ma gromadki dzieci, uchodzi za odszczepieńca

nieprzestrzegającego żelaznych zasad afrykanerskiej tradycji. Jan Kleyn stawał się dla nich coraz większą zagadką i wiedział, że nigdy nie będzie mógł im wyjawić, że kocha Mirandę, córkę służącej Matildy.

Jan Kleyn leżał w łóżku i myślał o tym wszystkim w sobotni poranek 9 maja. Wieczorem miał pojechać do Bezuidenhout Park. Ten zwyczaj uważał za święty. Mogło mu w tym przeszkodzić wyłącznie coś, co miało związek z jego pracą w służbie wywiadowczej. W tę sobotę wiedział, że zjawi się w Bezuidenhout Park z dużym opóźnieniem. Czekало go ważne spotkanie z Franzem Malanem i nie mógł tego przesunąć.

Jan Kleyn kładł się późno i wczesnie wstawał. Wystarczyło mu kilka godzin snu. Tego ranka został w łóżku trochę dłużej. Z kuchni dochodziły słabe odgłosy; to służący Moses przygotowywał śniadanie.

Pomyślał o rozmowie telefonicznej tuż po północy. Konowalenko nareszcie przekazał mu informację, na którą czekał. Victor Mabasha nie żył. Ten problem przestał istnieć. Przy okazji rozwiały się jego wątpliwości co do talentów Konowalenki.

O dziesiątej spotka się z Franzem Malanem w Hammanskraal. Czas dojrzał do tego, by podjąć decyzję o dniu i miejscu zamachu. Następcę Victora Mabashy już wyznaczył. Był przekonany, że podjął właściwą decyzję. Sikosi Tsiki wykona każde polecenie. Wybór Victora Mabashy nie był chybiony. Jan Kleyn zdawał sobie sprawę, że wszyscy ludzie, nawet ci najbardziej bezkompromisowi, mają ukryte wady. Dlatego wynajął Konowalenkę. Victor Mabasha, zważony na jego wadze, okazał się za lekki. Sikosi Tsiki przejdzie taką samą próbę. Jan Kleyn nie wyobrażał sobie, żeby dwie osoby z rzędu były zbyt miękkie.

O wpół do dziewiątej opuścił dom i pojechał do Hammanskraal. Afrykański slums przy autostradzie

spowijał dym. Pomyśleć, że Miranda i Matilda musiałyby tam mieszkać, w blaszaku, wśród bezpańskich psów, ze szczypiącym w oczy dymem z węgla drzewnego. Na szczęście Miranda uniknęła piekła slumsów. Jej córka Matilda też. Dzięki Janowi Kleynowi i jego zakazanej miłości nie dzieliły beznadziejnego życia swoich afrykańskich sióstr i braci.

Córka Jana Kleyna odziedziczyła urodę po matce. Ale była jedna różnica dobrze rokująca na przyszłość. Miała jaśniejszą skórę. Jeśli kiedyś urodzi dziecko białemu mężczyźnie, proces będzie trwał. Za ileś tam lat, po jego śmierci, nikt się nie zorientuje, że w żyłach jego potomków płynie murzyńska krew.

Prowadząc samochód, Jan Kleyn lubił rozmyślać o przyszłości. Nie rozumiał tych, którzy twierdzili, że nie da się jej przewidzieć. Uważał, że przyszłość tworzy się tu i teraz.

Franz Malan czekał na werandzie w Hammanskraal, kiedy Jan Kleyn wjechał na podwórze. Podali sobie ręce, weszli do środka i usiedli przy stole zasłanym zielonym obrusem.

- Victor Mabasha nie żyje - zaczął Jan Kleyn. Twarz Franza Malana rozjaśniła się w uśmiechu.

- Właśnie miałem o to spytać.

- Konowalenko zabił go wczoraj. Szwedzi słyną ze wspaniałych granatów.

- Też je mamy. Są trudne do zdobycia, ale nasi pośrednicy jakoś sobie z tym radzą.

- To chyba jedyna rzecz, za którą możemy być wdzięczni Rodezyjczykom - powiedział Jan Kleyn.

Przypomniało mu się, co usłyszał o sytuacji w Rodezji Południowej sprzed blisko trzydziestu lat. W ramach szkolenia przysposabiającego do pracy w wywiadzie starszy oficer opowiadał o tym, jak białym w Rodezji Południowej udało się obejść sankcje, które wobec nich zastosowano. To

go nauczyło, że wszyscy politycy mają brudne ręce. Uczestnicy gry o władzę tworzą i łamią zasady w zależności od postępów gry. Mimo sankcji nałożonych przez wszystkie państwa - z wyjątkiem Portugalii, Tajwanu, Izraela i Afryki Południowej - Rodezja Południowa nigdy nie cierpiała na brak potrzebnych jej towarów z importu. Eksport również nie poniósł większego uszczerbku. Działo się tak przede wszystkim dlatego, że politycy amerykańscy i sowieccy cichcem przyjeżdżali do Salisbury i oferowali swoje usługi. Politycy amerykańscy, głównie senatorowie z Południa, uważali wspieranie białej mniejszości za rzecz ważną. Poprzez swoje kontakty greccy i włoscy biznesmeni, szybko powstające spółki lotnicze i rozbudowana sieć pośredników podjęli się potajemnego zniesienia sankcji. Politycy sowieccy dzięki podobnym działaniom zapewnili sobie dostawy niektórych rodezyjskich metali potrzebnych w rodzimym przemyśle. Wkrótce izolacja okazała się pozorna. Ale politycy na całym świecie nadal potępiali z mównic biały rasistowski reżim i wychwalali skuteczność sankcji.

Później Jan Kleyn zdał sobie sprawę, że biali w Afryce Południowej też mają wielu przyjaciół na świecie. Poparcie dla nich mniej rzucało się w oczy niż pomoc oferowana Murzynom, ale Jan Kleyn nie wątpił, że było co najmniej równorzędne z tym, co podawano do publicznej wiadomości. Trwała walka na śmierć i życie, wszystkie chwytły były dozwolone.

- Następca? - spytał Franz Malan.

- Sikosi Tsiki. Drugi na mojej liście. Ma dwadzieścia osiem lat, urodził się pod East London. Wyleciał z ANC i z Inkathy za nielojalność i kradzieże. Obecnie zionie fanatyczną nienawiścią do obu organizacji.

- Fanatycy. Jest w nich coś, co nie do końca da się kontrolować. Gardzą ludzkim życiem, ale nie zawsze działają zgodnie z planem.

Jana Kleyna zirytował mentorski ton Franza Malana. Udało mu się jednak zachować spokój.

- Postrzegam go jako fanatyka - odparł - co wcale nie znaczy, że nim jest. To człowiek tak samo opanowany jak ty albo ja.

Franza Malana zadowolila ta odpowiedź. Jak zwykle nie miał powodów, by nie wierzyć Janowi Kleynowi.

- Rozmawiałem z pozostałymi przyjaciółmi z Komitetu - podjął Kleyn. - Zażądałem głosowania, ponieważ chodziło o wybór następcy. Nikt nie miał zastrzeżeń.

Franz Malan mógł sobie wyobrazić, jak to się odbyło. Siedzieli przy owalnym stole z orzechowego drewna i powoli podnosili ręce. Nigdy nie głosowali tajnie. Jawność decyzji stanowiła gwarancję pełnego zaufania. Członków Komitetu łączyła jedynie niezłomna wola obrony praw Burów i wszystkich białych w Afryce Południowej. Wielu ze źle skrywaną pogardą patrzyło na faszystowskiego przywódcę Terrace'a Blanche'a. Ale jego obecność była konieczna. Przedstawiciel rodziny de Beer, starszy mężczyzna, który nigdy się nie śmiał, cieszył się niejednoznacznym szacunkiem, takim jaki często wzbudza wielkie bogactwo. Sędzia Pelsler, słynący z pogardy dla ludzi reprezentant Bractwa, miał duże wpływy i mało kto mu się sprzeciwiał. Generał Stroesser z dowództwa powietrznych sił zbrojnych z trudem znosił towarzystwo urzędników cywilnych i właścicieli kopalń.

Ale opowiedzieli się za powierzeniem zadania Tsikiemu. Tym samym on i Jan Kleyn mogli kontynuować operację.

- Sikosi Tsiki wyjeżdża za trzy dni - powiedział Kleyn.

- Konowalenko jest przygotowany do jego przyjęcia. Polecą przez Amsterdam do Kopenhagi na zambijskim paszporcie, a stamtąd popłynię łodzią do Szwecji.

Franz Malan skinął głową. Teraz była jego kolej. Wyjął z teczek mapę i kilka powiększonych czarno-białych zdjęć,

które sam zrobił i wywołał w domowym laboratorium. Mapę potajemnie skopiował w pracy.

- Piątek dwunastego czerwca - zaczął. - Według szacunków lokalnej policji powinno przyjść co najmniej czterdzieści tysięcy ludzi. Wiele przemawia za tym, żeby uderzyć właśnie wtedy. Po pierwsze, na południe od stadionu wznosi się Signal Hill. Odległość od wzgórza, które nie jest zabudowane, do mównicy wynosi mniej więcej siedemset metrów. Można wjechać na szczyt od strony południowej. Sikosi Tsiki bez problemu się tam dostanie i bez problemu zniknie. W razie czego będzie mógł zostać, zejść później i niepostrzeżenie wmieszać się w tłum spanikowanych Murzynów.

Jan Kleyn uważnie studiował fotografie. Czekał na ciąg dalszy.

- Po drugie - kontynuował Franz Malan - zamach nastąpi w sercu tak zwanej angielskiej części naszego kraju. Afryka nie reagują prymitywnie. Pomyślą, że zamachowcem jest ktoś z Kapsztadu. Skierują swoją wściekłość na mieszkańców miasta. Wszyscy ci liberalni Anglicy, którzy chcą dobra Murzynów, zobaczą na własne oczy, co ich czeka, kiedy ich pupile przejmą władzę. To nam znacznie ułatwi wdrożenie akcji odwetowych.

Jan Kleyn skinął głową. Myślał tak samo. Zastanawiał się nad propozycją Franza Malana. Wiedział z doświadczenia, że każdy plan ma swoje słabe strony.

- Jakie są wady? - spytał.

- Nie widzę żadnych.

- Zawsze jest jakieś ale. Dopóki go nie znajdziemy, nie możemy podjąć decyzji.

- Tylko jedno przychodzi mi do głowy - powiedział po namyśle Franz Malan. - Że Sikosi Tsiki chybi.

- Nie chybi - obruszył się Kleyn. - Wybieram ludzi, którzy trafiają do celu.

- Siedemset metrów to jednak spora odległość. Nagły podmuch wiatru, mimowolne drgnięcie ręki, nieoczekiwany odblask słońca i pocisk przelatuje kilka centymetrów obok, trafiając kogoś innego.

- To się po prostu nie stanie.

Franz Malan pomyślał, że być może nie uda im się znaleźć ani jednego słabego punktu ich planu. Dopatrzył się natomiast słabego punktu Jana Kleyna. Kiedy Kleynowi zabrakło racjonalnych argumentów, uznał, że będzie tak, a nie inaczej.

Nic jednak nie powiedział.

Służący przyniósł herbatę. Jeszcze raz przeanalizowali plan. Omawiali szczegóły i zapisywali pytania, które wymagały odpowiedzi. O czwartej po południu doszli do wniosku, że nic więcej już nie działają.

- Do dwunastego czerwca został miesiąc - stwierdził Jan Kleyn. - Nasz czas na podjęcie decyzji jest więc ograniczony. W przyszły piątek musimy postanowić, czy przeprowadzimy to w Kapsztadzie, czy nie. Do piątku powinniśmy wszystko starannie rozważyć i odpowiedzieć na wszystkie pytania. Spotkamy się tutaj piętnastego maja rano. Na dwunastą zwołam cały Komitet. W ciągu tego tygodnia musimy dokładnie przejrzeć plan, każdy z osobna, pod kątem słabych punktów. Dobre strony już znamy. Teraz musimy się skupić na ewentualnych mankamentach.

Franz Malan pokiwał głową. Nie miał uwag. Pożegnali się i opuścili dom w Hammanskraal w dziesięciominutowym odstepie czasu.

Jan Kleyn od razu udał się do Bezuidenhout Park.

Miranda Nkoyi przyglądała się córce. Matilda siedziała na podłodze i patrzyła przed siebie. Ale jej spojrzenie nie było puste. Czasami, jak podczas nagłego zawrotu głowy, Mirandzie wydawało się, że dostrzega w niej swoją matkę. Kiedy Matilda, jej matka, ją urodziła, miała zaledwie

siedemnaście lat. Teraz jej córka osiągnęła ten wiek.

Co ona takiego widzi? - pomyślała Miranda. Bywało, że ciarki przechodziły jej po plecach, gdy uświadamiała sobie podobieństwo Matildy do ojca. Przede wszystkim pełne skupienia spojrzenie skierowane do wewnątrz, niezrozumiałe dla innych.

- Matildo - odezwała się łagodnie, ściągając córkę na ziemię. Dziewczyna szybko oprzytomniała i popatrzyła jej w oczy.

- Wiem, że niedługo przyjdzie ojciec - powiedziała. - Ponieważ nie pozwalasz mi go nienawidzić, kiedy jest tutaj, nienawidzę go, czekając na niego. Możesz decydować o tym, kiedy, ale nigdy nie odbierzesz mi mojej nienawiści.

Miranda miała ochotę krzyknąć, że ją rozumie. Często czuła to samo. Ale nie mogła. Była jak matka, która przeboleła upokorzenie wynikające z faktu, że nie wolno jej żyć godnie we własnym kraju. Miranda złagodniała tak jak ona, zamilkła w bezsilności równoważonej jedynie tym, że zdradzała ojca Matildy.

Wkrótce będę musiała jej powiedzieć, że zachowałam trochę siły, pomyślała. Będę musiała, żeby ją odzyskać i udowodnić, że nie dzieli nas aż tak przepastna różnica.

Matilda należała potajemnie do młodzieżówki ANC. Była aktywnym członkiem, powierzano jej poufne zadania. Kilka razy zatrzymała ją policja. Miranda żyła w strachu, że zostanie ranna lub zginie. Ilekroć za trumnami Murzynów ciągnęły rozśpiewane konduktu pogrzebowe, modliła się do wszystkich bogów, w których wierzyła, o oszczędzenie jej córki. Zwracała się do chrześcijańskiego Boga, do duchów przodków, do zmarłej matki i *songomy*, o którym zawsze mówił jej ojciec. Nie była jednak przekonana, czy rzeczywiście ją słyszą. Modlitwy, choć wyczerpywały ją, przynosiły ukojenie.

Miranda rozumiała bezsilność córki mającej Bura za ojca. Wroga. Jakby się urodziła ze śmiertelną skazą.

Siedemnaście lat temu kochała Jana Kleyna w równie nikłym stopniu co teraz. Matilda była owocem uległości i strachu. Jakby łóżko, w którym ją splodzili, unosiło się w samotnym, pustym wszechświecie. A potem nie miała siły się uwolnić. Dziecko miało ojca, ojciec urządził jej życie, załatwił dom w Bezuidenhout Park i pieniądze. Od początku postanowiła nie dawać mu więcej dzieci. Matilda będzie jej jedynym potomkiem, choć już na samą myśl o tym ścisnęło się jej afrykańskie serce. Jan Kleyn ani razu nie wspomniał o drugim dziecku, nigdy też nie wymagał od niej nadmiernego zaangażowania. Znosiła jego nocne wizyty, ponieważ nauczyła się go zdradzać.

Patrzyła na córkę, która znowu zatopiła się w swoim świecie. Matilda odziedziczyła po niej urodę. Miała jedynie ciut jaśniejszą karnację. Ciekawe, jak by zareagował Jan Kleyn, gdyby się dowiedział, że jego córka chciałaby być prawdziwie czarna.

Moja córka też go zdradza, pomyślała Miranda. Nie ma w tym niczego złego. Nasza zdrada przypomina linę ratowniczą, której się kurczowo trzymamy, kiedy Afryka Południowa tonie. To on jest uosobieniem zła. I pewnego dnia szczytnie. Nasza wolność nie będzie równoznaczna z prawem do głosowania, będzie uwolnieniem się od wewnętrznych łańcuchów, które nas krępują.

Przed garażem zatrzymał się samochód.

Matilda wstała i spojrzała na matkę.

- Dlaczego go nie zabiłaś? - spytała.

Usłyszała w jej głosie jego głos. Ale w piersi Matildy biło afrykańskie serce. Postarała się o to. Nie miała wpływu na jej wygląd, na jaśniejszą skórę, ale nie szczędziła wysiłków, by chronić jej duszę. Tego szańca, ostatniego, Jan Kleyn nigdy nie zdobędzie.

Co ciekawe, Jan Kleyn wydawał się niczego nie zauważać. Zawsze przywoził mnóstwo jedzenia, chciał, żeby mu

przyrządzała *braai*, jak za dawnych lat, kiedy mieszkał w białej willi. Nie miał pojęcia, że traktuje ją tak jak jej matkę, zniewoloną służącą. Nie miał pojęcia, że zmusza ją do wcielania się w różne role: kucharki, kochanki, garderobianej. Nie widział w oczach córki zacieklej nienawiści. Widział nieruchomy, skamieniały świat, którego obronę uważał za swój życiowy obowiązek. Nie widział fałszu, zakłamania i bezdenne go kłamstwa.

- Wszystko w porządku? - spytał, stawiając w przedpokoju torby z jedzeniem.

- Tak - odpowiedziała Miranda. - Wszystko dobrze.

Zajęła się przyrządzaniem *braai*, a on próbował rozmawiać z córką, która ukrywała się za maską nieśmiałości. Kiedy chciał ją pogłaskać, sztywniała. Zjedli kolację, afrykanerskie kielbaski, duże kawałki mięsa, kapustę. Miranda wiedziała, że Matilda pójdzie potem do łazienki i wszystko zwróci. Następnie mówił o nieistotnych rzeczach, o domu, tapetach, ogrodzie. Matilda zniknęła w swoim pokoju, Miranda została z nim sama i udzielała mu stosownych odpowiedzi. Później poszli do łóżka. Jak na sople lodu był wyjątkowo gorący. Nazajutrz była niedziela. Ponieważ nie mogli się pokazywać razem, odbywali spacer w czterech ścianach, jedli i milczeli. Matilda zwykle ulatniała się najszybciej, jak tylko mogła, i wracała dopiero po jego odjeździe. W poniedziałek wszystko zaczynało wracać do normy.

Kiedy zasnął i spokojnie, równo oddychał, ostrożnie wysliznęła się z łóżka. Dobrze opanowała sztukę bezgłośnie go poruszania się po sypialni. Wyszła do kuchni, zostawiając drzwi otwarte, na wypadek gdyby się obudził. Miała też gotową wymówkę. Wstała, żeby się napić wody.

Jak zwykle powiesiła jego ubranie na krześle w kuchni. Stało w miejscu niewidocznym z sypialni. Kiedyś ją zapytał, dlaczego wieszka jego ubranie w kuchni, a nie w sypialni. Wyjaśniła, że rano, zanim je włoży, chciała je wyczyścić.

Przejrzała kieszenie. Wiedziała, że portfel jest w lewej wewnętrznej kieszeni marynarki, a klucze w prawej kieszeni spodni. Pistolet zawsze kładł na stoliku przy łóżku.

Najczęściej nie znajdowała w jego kieszeniach nic więcej. Ale tej nocy wyjęła kartkę, na której własnoręcznie coś napisał. Zerkając na sypialnię, przeczytała i zanotowała w pamięci: „Kapsztad. 12 czerwca. Odległość? Wiatr? Drogi?” Złożyła kartkę i wsunęła na miejsce.

Nie miała pojęcia, co znaczyły te słowa, ale oczywiście przekaze je mężczyźnie, z którym się zawsze spotykała następnego dnia po wyjeździe Jana Kleyna. Razem z przyjaciółmi spróbują rozszyfrować ich sens.

Napiła się wody i wróciła do łóżka.

Zdarzało się, że mówił przez sen. Najczęściej w godzinę po zaśnięciu. Te słowa, pomruki, okrzyki też miała zapamiętywać i przekazywać. Mężczyzna wszystko dokładnie zapisywał. Jan Kleyn rzadko jej mówił, skąd przyjechał i dokąd się wybiera. Nigdy świadomie lub niechcący słowem nie wspomniał o pracy w wywiadzie.

Dawno temu powiedział jej, że jest naczelnikiem wydziału w Ministerstwie Sprawiedliwości w Pretorii.

Mężczyzna, który się do niej zwrócił z prośbą o przekazywanie informacji, wyjaśnił, że Jan Kleyn działa w tajnej policji i że nie wolno jej się z tą wiedzą zdradzić.

Jan Kleyn odjechał w niedzielę wieczorem. Miranda pomachała mu na pożegnanie. Zapowiedział się na najbliższy piątek późnym popołudniem.

Plan zaczął nabierać konturów. Wszystko było pod kontrolą. Miał powody do zadowolenia.

Nie wiedział jednak, że Victor Mabasha ciągle żyje.

Wieczorem 12 maja, miesiąc przed zamachem na Nelsona Mandelę, Sikosi Tsiki poleciał liniami KLM z Johannesburga do Amsterdamu. Tak jak Victor Mabasha długo się zastanawiał, kto będzie jego ofiarą. Nie doszedł

jednak do wniosku, że przyjdzie mu zabić prezydenta de Klerka. Nic nie wymyślił i pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

W ogóle nie brał pod uwagę, że może chodzić o Nelsona Mandelę.

W środę 13 maja kilka minut po osiemnastej kuter rybacki przybił do kei w Limhamnie.

Sikosi Tsiki zszedł na ląd. Kuter natychmiast zawrócił i popłynął do Danii.

Na kei czekał na niego niesamowicie gruby mężczyzna.

Tego popołudnia nad Skanią szalała wichura. Ucichła dopiero następnego dnia wieczorem.

Potem przyszło ciepło.

O trzeciej w niedzielne popołudnie Peters i Noren patrolowali śródmiejskie ulice Ystadu. Czekali na zmienników. Dzień minął spokojnie, tylko raz musieli interweniować. Przed dwunastą dostali wiadomość, że nagi mężczyzna rozbiera dom w Sandskogenie. Zgłosiła to jego żona. Poinformowała, że mąż wpadł w szal, ponieważ cały swój wolny czas musiał poświęcać na naprawy letniaka teściów. Żeby mieć święty spokój, postanowił go rozebrać. Dodała, że najchętniej siedziałby z wędką nad jeziorem.

- Pojedźcie tam i uspokójcie go - powiedział operator z centrali.

- Jak to się nazywa? - spytał Noren. - Gorszące zachowanie?

- Niczego takiego już nie ma - odparł operator. - Ale jeśli to dom teściów, można by to nazwać karalną samowolą. Nieważne. Uspokójcie go i tyle.

Jechali do Sandskogeny z niewielką prędkością.

- Chyba go rozumiem - odezwał się Peters. - Posiadanie własnego domu to średnia przyjemność. Zawsze jest coś do zrobienia. I brakuje na to czasu albo pieniędzy. A co dopiero zajmować się cudzym domem.

- Może powinniśmy mu pomóc w rozbiórce - zauważył Noren.

Dotarli pod wskazany adres. Na drodze, przed płotem stała grupka ludzi. Noren i Peters wysiedli z radiowozu. Nagi mężczyzna łomem zrywał z dachu blachę. Podbiegła do nich żona. Noren widział, że płakała. Wysłuchali jej chaotycznej relacji. Wynikało z niej, że mąż nie miał prawa tego robić.

Podeszli pod dom i zawołali go. Siedział okrakiem na kalenicy i tak był skupiony na blasze, że nie zauważył radiowozu. Teraz, widząc Petersa i Norena, tak się zdumiał, że wypuścił łom z dłoni. Noren musiał uskoczyć, żeby nie oberwać.

pan zejść. Nie ma pan pozwolenia na rozbiórkę domu.

Ku ich zdziwieniu mężczyzna natychmiast posłuchał. Spuścił drabinę i zszedł. Żona podbiegła z płaszczem kąpielowym, który na siebie włożyła.

- Aresztujecie mnie? - zapytał.

- Nie - odpowiedział Peters. - Proszę tylko zaprzestać rozbiórki. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby pana jeszcze kiedykolwiek poprosili o naprawy.

- Ja chcę tylko wędkować - przyznał mężczyzna. Wracali do Ystadu przez Sandskogen. Noren zdał relację operatorowi.

Kiedy mieli skręcić na Ósterleden, Peters rozpoznał nadjeżdżający z naprzeciwka samochód. Zgadzał się kolor i numer rejestracyjny.

- To Wallander - powiedział.

Noren oderwał się od książki raportów.

Samochód przejechał obok. Wallander najwyraźniej ich nie zauważył. Było to dosyć dziwne, ponieważ siedzieli w niebieskobiałym radiowozie. Ale ich uwagę przykuł przede wszystkim pasażer rozkojarzonego Wallandera. Spojrzeli po sobie.

- Czy to przypadkiem nie był Murzyn? - spytał Noren.

- Jasne, że Murzyn - przytaknęła Peters.

Pomyśleli o odciętym palcu znalezionym kilka tygodni temu i o poszukiwanym w całym kraju Murzynie.

- Widocznie Wallander go złapał - z wahaniem powiedział Noren.

- To dlaczego pojechał w przeciwnym kierunku? I dlaczego się nie zatrzymał, kiedy nas zobaczył?

- Jakby nie chciał nas widzieć. Dzieci tak mają. Jak zamkną oczy, to wydaje im się, że nikt ich nie widzi.

Peters skinął głową.

- Myślisz, że ma jakiś problem?

- Nie - odparł Noren. - Ale gdzie mu się udało znaleźć tego Murzyna?

Rozmowę przerwał im meldunek o porzuconym motocyklu,

który mógł zostać skradziony w Bjaresjö. Zakończyli swoją zmianę i wrócili do komendy. Pijąc kawę, spytali kolegów o Wallandera. Ze zdziwieniem dowiedzieli się, że się nie pokazał. Peters właśnie chciał opowiedzieć o tym, co zobaczyli, kiedy Noren położył palec na ustach.

- Dlaczego miałem nic nie mówić? - zapytał Peters w przebiegłym, gdzie szykowali się do wyjścia.

- Skoro Wallander się nie pokazał, to na pewno coś znaczy - odparł Noren. - Nie powinniśmy się wtrącać. Poza tym to mógł być zupełnie inny Murzyn. Słyszałem od Martinssona, że córka Wallandera chodzi z jakimś Afrykaninem. Może to był on.

- Mimo wszystko to dziwne - nie ustępował Peters.

To uczucie nie opuszczało go także w domu, szeregowcu usytuowanym przy trasie wylotowej na Kristianstad. Po kolacji pobawił się przez chwilę z dziećmi i wyszedł z psem. Ponieważ Martinsson mieszkał na tym samym osiedlu, postanowił do niego wpaść i opowiedzieć, co widzieli z Norenem. Martinsson pytał go niedawno, czy może liczyć na szczeniaka, kiedy jego labradorka będzie miała małe.

Otworzył Martinsson i zaprosił Petersa do środka.

- Nie, nie - podziękował. - Niedługo muszę wracać do domu. Chciałem ci tylko coś powiedzieć. Masz chwilę?

Martinsson czytał właśnie nudne sprawozdania, które podesłała mu Partia Liberalna. Udzielał się dla niej, mając nadzieję na funkcję radnego w gminie. Włożył kurtkę i wyszedł. Peters opowiedział, co się wydarzyło po południu.

- Jesteś pewien? - zdziwił się Martinsson.

- Nie mogło się nam obu przywidzieć.

- Dziwne - przyznał Martinsson w zamyśleniu. - Gdyby to był nasz Afrykanin, na pewno bym o tym wiedział.

- Może to chłopak jego córki.

- Wallander mówił mi, że się rozstali.

Przez chwilę szli w milczeniu i patrzyli na psa szarpiącego

smycz.

- Jakby nie chciał nas widzieć - podjął Peters. - A to może oznaczać jedno. Nie chciał, żebyśmy go zauważyli.

- Nie tyle jego, co Afrykanina.

- Z pewnością jest jakieś naturalne wytłumaczenie. Nie twierdzą, że Wallander coś ukrywa.

- Jasne, że nie. Dobrze, że mi o tym powiedziałaś.

- Nie chciałbym rozsiewać plotek.

- Przecież to nie plotka.

- Noren się wścieknie.

- O niczym się nie dowie - zapewnił Martinsson. Pożegnali się przed domem Martinssona. Peters obiecał mu szczeniaka, jak tylko się urodzi.

Martinsson zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Wallandera. Postanowił z tym poczekać do następnego dnia i porozmawiać z nim osobiście. Z westchnieniem pochylił się nad stertą partyjnych dokumentów.

Wallander przyszedł do komendy tuż przed ósmą. Miał już gotową odpowiedź na pytanie, które z pewnością padnie. Poprzedniego dnia, kiedy się w końcu zdecydował zabrać Victora Mabasę na przejażdżkę, uznał, że ryzyko spotkania kogoś znajomego lub kogoś z policji równa się zeru. Trzymał się dróg rzadko uczęszczanych przez radiowozy. I natknął się na Petersa z Norenem. Zobaczył ich za późno, nie zdążył poprosić Victora, żeby się zsunął z siedzenia. Kątem oka dostrzegł, że Peters i Noren zauważyli jego pasażera. Nie miał wątpliwości, że następnego dnia będzie musiał się z tego wytłumaczyć. Jednocześnie przeklinał swojego pecha i żałował tej wyprawy.

Potem, kiedy się uspokoił, zwrócił się o pomoc do córki.

- Twój były chłopak, Herman Mboya, musi zmartwychwstać - powiedział. - Gdyby ktoś pytał. Co mało prawdopodobne.

Popatrzyła na niego i parsknęła śmiechem.

- Pamiętasz, czego mnie uczyłeś, kiedy byłam małą? Że jedno kłamstwo pociąga za sobą kolejne. W końcu jest ich tyle, że nikt już nie wie, co jest prawdą.

- Też mi się to nie podoba. Ale niedługo będzie po wszystkim. Wyjedzie i zapomnimy o jego istnieniu.

- Nie ma sprawy. Powiem, że Herman Mboya znów jest ze mną. Czasami chciałabym, żeby wrócił.

Wchodząc do komendy w poniedziałkowy poranek, Wallander miał więc gotową odpowiedź na pytanie, co w niedzielne popołudnie robił w jego samochodzie Afrykanin. W porównaniu z wyjątkowo skomplikowaną sytuacją, w jakiej się znalazł, gdy lada moment wszystko mogło mu się wysliznąć z rąk, to był drobiazg.

Kiedy w porannej mgłę zobaczył na ulicy przypominającego zjawę Victora Mabashę, w pierwszym odruchu chciał wrócić do domu i zadzwonić po kolegów. Coś go jednak powstrzymało wbrew policyjnemu rozsądkowi. Na sztokholmskim cmentarzu nabrał przekonania, że Victor Mabasha mówił prawdę. To nie on zabił Louise Akerblom. Może to widział, ale był niewinny. Niejaki Konowalenko, człowiek, który się tego dopuścił, chciał go teraz zabić. Niewykluczone, że Victor Mabasha próbował mu przeszkodzić w zabójstwie Louise Akerblom. Wallander nie przestawał się zastanawiać, co się za tym wszystkim kryje. I z tego powodu postanowił go zaprosić do siebie, świadomy, że być może popełnia błąd. Nie po raz pierwszy pozwalał sobie na niekonwencjonalne, oględnie mówiąc, formy obcowania z podejrzanymi lub ze zdeklarowanymi przestępcami. Kilkakrotnie Björk czuł się w obowiązku przypomnieć Wallanderowi o regulaminie i przepisowym zachowaniu policjanta. Jeszcze na ulicy zażądał od Mabashy oddania broni. Wziął od niego pistolet i przeszukał ubranie. Murzyn wydawał się dziwnie obojętny, jakby niczego innego się nie spodziewał. Wallander miał go przecież zaprosić do

swojego domu. Żeby nie wyjść na zbyt naiwnego, zapytał, jak zdobył jego adres.

- Kiedy jechaliśmy na cmentarz - odparł Mabasha - przejrzałem twój portfel i zapamiętałem adres.

- Najpierw na mnie napadłeś, a teraz jedziesz za mną setki kilometrów ze Sztokholmu? Mam nadzieję, że odpowiesz na wszystkie pytania.

Usiedli w kuchni. Wallander zamknął drzwi, żeby nie obudzić Lindy. Później uzna tę kilkugodzinną rozmowę za najdziwniejszą, jaką kiedykolwiek odbył. Nie tylko dlatego, że po raz pierwszy dokładniej poznał obcy świat, z którego pochodził Victor Mabasha i do którego miał niebawem wrócić. Został zmuszony do postawienia sobie pytania, jak to możliwe, by człowiek mógł się składać z tylu sprzeczności. Bezwzględny morderca traktujący zabijanie jak wykonywanie obowiązków służbowych i rozumny, wrażliwy mężczyzna o przemyślanych poglądach politycznych. Nie wziął jednak pod uwagę, że padł ofiarą oszustwa. Victor Mabasha wiedział, o co gra. Umiejętność zaskarbiania sobie zaufania mogła mu zapewnić powrót do Afryki Południowej. To duchy mu podszeptały, żeby szukać pomocy w opuszczeniu kraju u policjanta ścigającego Konowalenkę.

Wallanderowi najmocniej utkwiała w pamięci opowieść Victora Mabashy o pewnej roślinie, która rośnie tylko na pustyni Namib. Mogła liczyć dwa tysiące lat. Cień jej długich liści chroni kwiat i zmyślny system korzeni. Victor Mabasha dostrzegał w niej symbol stojących naprzeciwko siebie sił w jego ojczyźnie, które walczyły o władzę także w nim samym.

- Ludzie nie wyrzekną się dobrowolnie swoich przywilejów - powiedział. - Tak się zakorzeniły, że są jak jedna z części ciała. Nie jest to żaden rasistowski defekt. W mojej ojczyźnie biali znaleźli się pod władaniem tego przekonania.

Ale w innej sytuacji równie dobrze mogłoby to dotyczyć mnie i moich braci. Nie pokona się rasizmu rasizmem. W kraju szarpanym i kaleczonym przez stulecia musi dojść do przełamania nawyków związanych z podporządkowaniem sobie innych. Biali muszą przyjąć do wiadomości, że ich najbliższa przyszłość to rezygnacja. Muszą oddać ziemię Murzynom, których jej na całe wieki pozbawiono. Muszą przekazać większość majątku tym, co nic nie mają, muszą się nauczyć traktować Murzynów jak ludzi. Ludzkie cechy barbarzyństwa czynią je nieludzkim. Czarni, którzy przywykli do uległości, do uważania się za nic, muszą z tym zerwać. Kto wie, czy podporządkowanie nie jest najtrudniejszą do wyleczenia raną ludzkości. Tkwi głęboko, deformuje, wnika w każdą część ciała. Nie ma dłuższej podróży od bycia nikim do stania się kimś. Uległość weszła w krew, zdominowała całe życie. Myślę, że rozwiązanie pokojowe to iluzja. Segregacja rasowa osiągnęła w moim kraju poziom absurdu. Młode pokolenia czarnych nie zamierzają się podporządkowywać. Niecierpliwia się, widzą rychły koniec. Ale wszystko odbywa się zbyt wolno. Również wielu białych myśli podobnie. Nie akceptują przywilejów polegających na tym, że mają traktować Murzynów jak powietrze, jak służących lub osobliwy gatunek zwierząt, które się trzyma w położonych na uboczu, wydzielonych slumsach. W moim kraju są duże rezerwy chronionych zwierząt i duże rezerwy ciągle nękanych ludzi. Zwierzętom żyje się lepiej.

Victor Mabasha umilkł i popatrzył na Wallandera, jakby czekał na pytania lub uwagi. Wallander pomyślał, że wszystkich białych traktuje jednakowo, bez względu na to, gdzie mieszkają.

- Wielu moich czarnych braci sądzi, że podległość można pokonać uczuciem wyższości - kontynuował Victor Mabasha. - To oczywiście błąd. Prowadzi jedynie do

niechęci i napięć między różnym grupami, które powinny żyć w zgodzie. Zwłaszcza do konfliktów w rodzinie. A trzeba ci wiedzieć, że w moim kraju człowiek bez rodziny nic nie znaczy. Dla Afrykanina rodzina to punkt wyjścia.

- Sądziłem, że duchy - wtrącił Wallander.

- Duchy zaliczają się do rodziny. To nasi przodkowie, którzy nad nami czuwają. Żyją jak niewidzialni domownicy. Nigdy nie zapominamy o ich istnieniu. Dlatego biali dopuścili się potwornej zbrodni, odbierając nam ziemię, na których mieszkaliśmy od pokoleń. Duchy nie lubią opuszczać swoich terenów. Duchy bardziej niż żywi nie cierpią slumsów, dokąd wyrzucili nas biali.

Urwał, jakby w słowach, które przed chwilą wypowiedział, dostrzegł coś przerażającego, jakby nie chciało mu się wierzyć, że pochodzą od niego.

- Dorastałem w rozbitej rodzinie - odezwał się po dłuższej chwili. - Biali wiedzieli, że mogą nas osłabić, niszcząc nasze rodziny. Widziałem, jak moi bracia i siostry coraz bar dziej upodabniają się do ślepych królików. Biegali wkoło, nie mając pojęcia, skąd się wzięli i co z sobą zrobić. Wybrałem inną drogę. Nauczyłem się nienawiści. Piłem czarną wodę, która tę nienawiść wyzwała. Zorientowałem się, że zadu fani w sobie biali, przeświadczeni o nadaniu im władzy przez Boga, też mają słabe punkty. Bali się. Mówili o stworzeniu z Afryki Południowej doskonałego dzieła sztuki, białego pałacu w raj. Nie dostrzegali w tym żadnej niedorzeczności. A ci, co dostrzegali, udawali, że jej nie ma. Budowali na kłamstwie. Nocami ogarniał ich lęk. W ich domach było coraz więcej broni. Ale lęk nie ustępował. Przemoc stała się sposobem walki ze strachem. Widząc to, pomyślałem, że powinienem być blisko swoich przyjaciół, a jeszcze bliżej swoich wrogów. Powinienem grać rolę czarnego, który wie, czego chcą biali. Chciałem pielegnować

w sobie pogardę, świadcząc im usługi. Stać w ich kuchni i pluć do wazy z zupą przed postawieniem jej na stole w jadalni. Być nikim, który w tajemnicy przed wszystkimi jest kimś.

Umilkł. Wallander pomyślał, że powiedział to, co chciał powiedzieć. I co z tego? Czy pomoże mu to zrozumieć powody, dla których Victor Mabasha znalazł się w Szwecji? O co tu chodzi? Afrykę Południową wyniszczała okropna polityka rasowa. Coś tam o tym wiedział, teraz zapoznał się dokładniej. Ale zamach? Na kogo? I kto za tym stoi? Jakaś organizacja?

- Muszę wiedzieć więcej - zaczął. - Nie powiedziałeś, kto za tym wszystkim stoi. Kto zapłacił za twój bilet do Szwecji?

- Ci bezwzględni ludzie są jak cienie - odparł Victor Mabasha. - Duchy przodków dawno ich opuściły. Spotykają się potajemnie i planują zagładę mojego kraju.

- A ty jesteś na ich usługach? - Tak.

- Dlaczego?

- Czemu nie?

- Zabijasz.

- Pewnego dnia inni zabiją mnie.

- Co masz na myśli?

- Wiem, że tak będzie.

- Ale Louise Akerblom nie zabiłeś?

- Nie.

- Zrobił to Konowalenko? - Tak.

- Dlaczego?

- Tylko on zna odpowiedź.

- Jeden człowiek przyjeżdża z Afryki Południowej, drugi przyjeżdża z Rosji. Spotykają się w odludnym domu w Skanii. Mają tam radiostację i broń. Dlaczego?

- Tak zostało ustalone.

- Kto tak ustalił?

- Ci, co chcieli, żebyśmy tu przyjechali.

To do niczego nie prowadzi, pomyślał Wallander. Spróbował jeszcze raz.

- Rozumiem, że chodzi o przygotowania do przestępstwa, które masz popełnić w swoim kraju. Morderstwo? Kto ma zginąć? Dlaczego?

- Próbowałem ci opowiedzieć o moim kraju.

- Zadaję proste pytania i oczekuję prostych odpowiedzi.

- Może odpowiedzi nie mogą być inne.

- Nie rozumiem cię - przyznał Wallander po długim milczeniu. - Nie wahasz się zabijać na zlecenie, a jednocześnie cierpisz z powodu sytuacji w swoim kraju. Nie potrafisz tego sensownie połączyć.

- W wypadku Murzyna z Afryki Południowej nic się nie trzyma kupy.

Victor Mabasha kontynuował opowieść o swojej nieszczęśliwej ojczyźnie. Wallanderowi trudno było w to wszystko uwierzyć. Potem pomyślał, że odbył długą podróż. Jego przewodnik pokazał mu miejsca, o których istnieniu dotąd nie wiedział.

Żyję w kraju, w którym uważamy, że wszystkie prawdy są proste. I niepodważalne. Cały nasz system prawny opiera się na tej zasadzie. Teraz zacynam sobie uświadamiać, że być może obowiązuje coś wręcz przeciwnego. Prawda jest złożona, wieloznaczna, pełna sprzeczności. Kłamstwo natomiast jest czarne i białe. Inaczej postrzegają prawdę ci, którzy gardzą ludzkim życiem, i ci, którzy je szanują.

Victor Mabasha patrzył mu prosto w oczy.

- Zabiłeś Louise Akerblom? - zapytał po raz ostatni.

- Nie. Ofiarowałem swój palec za jej duszę.

- I nie powiesz, co będziesz robił, kiedy wrócisz do swojego kraju?

Zanim Victor Mabasha odpowiedział, Wallander zauważył pewną zmianę na jego twarzy. Później doszedł do wniosku, że stopniowo znikająca z niej maska obojętności.

- Nie powiem. Ale to się nie stanie.
- Nie rozumiem.
- Z moich rąk nikt nie zginie. Ale nie będę mógł przeszkodzić innym rękom.
- Zamach?
- Odkładam zadanie, które mi powierzono. Kładę na ziemi i odchodzę.
- Mówisz zagadkami. Co kładziesz na ziemi? Na kogo jest ten zamach?

Victor Mabasha pokręcił głową. Wallander zrozumiał, że niczego więcej już się nie dowie. Po pewnym czasie zda sobie sprawę, że trochę to jeszcze potrwa, zanim nauczy się szukać prawd nie tam, gdzie zwykł je znajdować. Krótko mówiąc, wyznanie Victora Mabashy było łgarstwem. Nie zamierzał z niczego rezygnować. Musiał kłamać, żeby uzyskać pomoc w opuszczeniu Szwecji, kłamać wiarygodnie i na tyle sprytnie, by skutecznie oszukać szwedzkiego policjanta.

Wallander nie miał chwilowo żadnych pytań.

Był zmęczony. Kto wie, może jednak osiągnął to, czego chciał. Do zamachu nie dojdzie, w każdym razie nie Victor Mabasha będzie zabójcą. Jeśli mówił prawdę. To da jego południowoafrykańskim kolegom trochę czasu. Nie wyobrażał sobie, by to, z czego zrezygnował Victor Mabasha, miało przynieść jakikolwiek pożytek Murzynom w RPA.

Tyle wystarczy, pomyślał. Skontaktuję się z południowoafrykańską policją przez Interpol i poinformuję o wszystkim, czego się dowiedziałem. Nic więcej nie mogę zrobić. Gdyby Per Akesson wydał nakaz aresztowania Victora Mabashy, powstałoby okropne zamieszanie. Poza tym wzrosłoby ryzyko, że Konowalenko opuści kraj. Nie muszę wiedzieć nic więcej. Pozostaje mi jeszcze jeden niezgodny z prawem uczynek: pomoc Victorowi w wyjeździe ze Szwecji.

W trakcie ich rozmowy pojawiła się Linda. Zaspana weszła do kuchni i zdziwiła się. Wallander wyjaśnił jej pokrótce, kto to jest.

- To on cię ogłuszył? - spytała.

- Tak.

- I teraz pije z tobą kawę?

- Yhm.

- Nie uważasz, że to trochę dziwne?

- Życie policjanta jest dziwne.

O nic więcej nie pytała. Wróciła ubrana, usiadła na krześle i przysłuchiwała się w milczeniu. Później Wallander wysłał ją do apteki po bandaż. W szafce w łazience znalazł penicylinę i dał Victorowi Mabashy, świadomy, że powinien raczej wezwać lekarza. Wreszcie z nieprzyjemnym uczuciem oczyścił ranę po odciętym palcu i owinął rękę czystym bandażem.

Zadzwoił do Lovena, niemal natychmiast uzyskał połączenie. Spytał o Konowalencę i ludzi, którzy ulotnili się z mieszkania w Hallundzie. Nie wyjawiał, że Victor Mabasha siedzi u niego w kuchni.

- Wiemy, gdzie się podzieli podczas naszej akcji - powiedział Loven. - Przenieśli się dwa piętra wyżej. Sprytnie i poręcznie. Mieli dodatkowe mieszkanie na jej nazwisko. Ale teraz ich tam nie ma.

- Wiemy też jeszcze jedno - dodał Wallander. - Że są w kraju. Przypuszczalnie w Sztokholmie. Najłatwiej się tam ukryć.

- W razie czego osobiście porozwalam wszystkie drzwi. Musimy ich szybko zdjąć.

- Skoncentruj się na Konowalencie. Afrykanin jest chyba mniej ważny.

- Gdybym potrafił zrozumieć, co ich łączyło...

- Byli razem, kiedy została zamordowana Louise Akerblom. Potem Konowalenco obrabował bank i zastrzelił policjanta. Wtedy Murzyna z nim nie było.

- Ale co to znaczy? Nie widzę żadnych logicznych powiązań.
- Trochę jednak wiemy. Konowalenko wydaje się opętany żądzą zabicia Afrykanina. Prawdopodobnie stali się wrogami.
- A jak się do tego ma pośredniczka w obrocie nieruchomościami?
- Nijak. Możemy przyjąć, że zginęła przez przypadek. Sam mówiłeś, że Konowalenko jest bezwzględny.
- Wszystko sprowadza się do jednego pytania. Dlaczego?
- Tylko Konowalenko zna odpowiedź.
- Albo Afrykanin. Nie zapominaj o nim, Kurt.

Po rozmowie z Lovenem Wallander powziął ostateczną decyzję wyekspediowania Victora Mabashy z kraju. Ale przedtem musi się upewnić, że to nie on zastrzelił Louise Akerblom.

Jak to zrobić? - pomyślał. W życiu nie widziałem kogoś o twarzy tak pozbawionej wyrazu. Nie potrafię z niej wyczytać, gdzie kończy się prawda i zaczyna kłamstwo.

- Zostaniesz w moim mieszkaniu - powiedział do Victora Mabashy. - Ciągle nie wiem wielu rzeczy. Lepiej, żebyś oswoił się z tą myślą.

Nie licząc przejażdżki, niedzielę spędzili w domu. Victor Mabasha był zmęczony i większość czasu przespał. Wallander niepokoił się, że może się przyplątać zakażenie krwi, a jednocześnie dręczyło go to, że w ogóle przetrzymuje Mabashę u siebie. Jak wiele razy wcześniej, kierował się raczej intuicją niż zdrowym rozsądkiem. Teraz nie widział żadnego oczywistego wyjścia z tej sytuacji.

Wieczorem zawiózł Lindę do swojego ojca. Wysadził ją na szosie. Nie chciał wysłuchiwać kazania, że nie ma nawet czasu, żeby napić się z nim kawy.

W poniedziałek znów był w komendzie. Bjórk go przywitał, po czym usiedli z Martinssonem i Svedbergiem w sali zebrań. Opowiedział wybiórczo o tym, co się wydarzyło w

Sztokholmie. Padło dużo pytań. Nikt nie miał uwag. Klucz do wszystkiego był w rękach Konowalenki.

- Innymi słowy, pozostaje nam tylko czekać, aż zostanie schwytany - podsumował Bjórk. - To daje nam trochę czasu na nadrobienie zaległości.

Sporządzili listę najpilniejszych spraw. Wallander miał zbadać, co się stało z trzema końmi wyścigowymi, które skradziono ze stajni pod Skarby. Ku zdumieniu kolegów parsknął śmiechem.

- To dosyć absurdalne - wyjaśnił. - Najpierw zaginiona kobieta, a teraz uprowadzone konie.

Ledwie dotarł do swojego pokoju, złożono mu wizytę, której się spodziewał. Nie wiedział tylko, kto go będzie wypytywał. Okazało się, że Martinsson. Zapukał i wszedł.

- Masz czas? - spytał. Wallander skinął głową.

- Muszę cię o coś zapytać. Wallander dostrzegł zakłopotanie kolegi.

- Słucham.

- Ktoś cię wczoraj widział w towarzystwie Afrykanina - zaczął Martinsson. - W twoim samochodzie. Pomyślałem...

- Co pomyślałeś?

- Sam nie wiem.

- Linda znowu się spotyka z tym swoim Kenijczykiem.

- Tak myślałem.

- Niedawno powiedziałaś co innego.

Martinsson rozłożył ręce, skrzywił się i szybko opuścił pokój.

Wallander zamknął za nim drzwi, usiadł i zatopił się w myślach. Na jakie pytania chce usłyszeć odpowiedź od Victora Mabashy? Jak sprawdzi, co jest prawdą?

W ostatnich latach Wallander wiele razy miał styczność z obcokrajowcami zamieszkanymi w różne sprawy. Byli ofiarami przestępstw lub ich możliwymi sprawcami. Jego wcześniejsze wyobrażenia o istnieniu prawd absolutnych, o

tym, co dobre, a co złe, o winie i niewinności, wcale nie muszą być powszechnie obowiązujące. Zależnie od miejsca pochodzenia, dorastania w określonej kulturze, zmieniały się również kwalifikacje przestępstw. W takich sytuacjach często czuł się bezradny. Brakowało mu wiedzy, jak zadawać właściwe pytania, które mogłyby doprowadzić do wyjaśnienia sprawy.

Jakiś czas temu rozmawiał z Rydbergiem, swoim starszym kolegą i nauczycielem, o wielkich zmianach zachodzących w kraju i na świecie. Policji będzie się stawiać całkiem nowe wymagania. Rydberg, wolno sącząc whisky, snuł przypuszczenia, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat szwedzka policja zostanie zmuszona do największych przeobrażeń w swojej historii. Tym razem nie skończy się na radykalnych zmianach organizacyjnych, inne będą również zasady policyjnej roboty.

- Ja tego nie dożyję - powiedział Rydberg tego wieczora, kiedy siedzieli na jego małym balkonie. - Każdy człowiek ma swój czas na ziemi. Trochę żałuję, że mnie wtedy nie będzie. Zapowiadają się trudne lata. Trudne i fascynujące. Ale ty będziesz na swoim miejscu. I będziesz się musiał przestawić na zupełnie inny tok myślenia.

- Ciekawe, czy sobie poradzę - odparł Wallander. - Coraz częściej zadaję sobie pytanie, czy mógłbym żyć z dala od komendy.

- Jeśli popłyniesz do Indii Zachodnich, nie wracaj - z ironią zauważył Rydberg. - Ci, którzy się gdzieś wypuszczają i wracają, rzadko czują się lepiej. Oszukują samych siebie. Nie uświadamiają sobie starej prawdy, że od siebie się nie uciekną.

- To mi nie grozi. Nie mam tak wielkich planów. W najlepszym razie mógłbym się zastanowić nad inną pracą, która by mi odpowiadała.

- Będziesz policjantem do końca życia. Jesteś taki jak ja.

Lepiej się z tym pogódź.

Wallander przestał myśleć o Rydbergu. Wyjął kołonotatnik i chwycił długopis.

Pytania i odpowiedzi. Przypuszczalnie już tutaj tkwi błąd. Ludzie, nie tylko z odległych kontynentów, muszą mieć swobodę wypowiedzi. Powiniennem się tego nauczyć na podstawie rozmów z Afrykanami, Arabami i Latynosami. Często boją się naszego pośpiechu, odbierają go jako przejaw pogardy. Brak dla kogoś czasu, niemożność posiedzenia z kimś w ciszy równa się odrzuceniu.

„Opowiedz” - napisał u góry strony.

Może to go do czegoś doprowadzi.

Opowiedz, nic więcej.

Odsunął kołonotatnik i położył nogi na biurku. Potem zadzwonił do domu. Wszystko było w porządku. Obiecał, że przyjedzie za parę godzin.

Nieuważnie przeczytał zgłoszenie o zaginięciu koni. Dowiedział się tylko tyle, że zniknęły w nocy z 5 na 6 maja. Wieczorem stały w swoich boksach. O wpół do szóstej rano, kiedy jedna ze stajennych otworzyła bramę, nie było po nich śladu.

Spojrzał na zegarek i postanowił tam pojechać. Po rozmowie z trzema opiekunami koni i osobistym asystentem ich właściciela powziął przypuszczenie, że równie dobrze mogło tu chodzić o oszustwo ubezpieczeniowe. Zrobił notatki i powiedział, że się jeszcze odezwie.

W drodze powrotnej do Ystadu zatrzymał się przed kafejką i wypił kawę.

Zastanawiał się, czy w Afryce są konie wyścigowe.

Sikosi Tsiki przybył do Szwecji w środę 13 maja wieczorem. Dowiedział się od Konowalenki, że zatrzyma się na południu. Tam będzie się przygotowywał, stamtąd wyjedzie z kraju. Kiedy Konowalenko otrzymał wiadomość od Jana Kleyna, że zmiennik jest w drodze, zastanawiał się, czy nie zorganizować kwatery pod Sztokholmem. Istniało sporo możliwości, zwłaszcza niedaleko Arlandy, gdzie hałas startujących i lądujących samolotów zagłuszał inne dźwięki. Można byłoby tam przeprowadzić niezbędne ćwiczenia w strzelaniu z karabinu. Poza tym miał problem z Victorem Mabashą i szwedzkim policjantem, którego zniechęcił. Jeśli nadal byli w Sztokholmie, powinien zostać, dopóki się ich nie zlikwiduje. Nie mógł też nie brać pod uwagę wzmożonej w całym kraju czujności po zabójstwie policjanta. Na wszelki wypadek postanowił działać na dwóch frontach. Znowu wysłał Rykoffa na południe, żeby się rozejrzał za odpowiednim domem. Rykoff wskazał na mapie obszar na północ od Skanii - Smalandię - i stwierdził, że tam znacznie łatwiej znaleźć odludne gospodarstwa. Konowalenko wolał jednak okolice Ystadu. Jeśli nie uda im się dopaść Victora Mabashy i policjanta w Sztokholmie, prędzej czy później pojawią się w mieście Wallandera. Był tego tak samo pewien jak łączącej ich więzi. Nie rozumiał, na czym polegała. Tak czy inaczej, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że przebywają blisko siebie. Znajdzie jednego, powinien również odnaleźć drugiego.

W Biurze Turystycznym Rykoff wynajął dom położony na północ od Ystadu w kierunku na Tomelilli. Lokalizacja mogła być lepsza. Ale obok posesji znajdowała się opuszczona żwirownia, która nadawała się do ćwiczeń strzeleckich. Ponieważ Konowalenko zdecydował, że tym razem - jeśli skorzysta z tej ewentualności - weźmie z sobą Tanie, Rykoff nie musiał kupować prowiantu.

Konowalenko polecił mu wykorzystać wolny czas na odszukanie adresu Wallandera i obserwację jego mieszkania. Tak też się stało. Ale Wallander się nie pokazał. W przeddzień przyjazdu Tsikiego, we wtorek 12 maja, Konowalenko postanowił zostać w Sztokholmie. Mimo że żaden z jego ludzi nie wytropił Victora Mabashy, miał przecucie, że Murzyn zaszył się w stolicy. Poza tym nie sądził, by Wallander, policjant skrupulatny i przezorny, wcześniej wrócił do domu. Musiał się liczyć z tym, że jest obserwowany.

Ale we wtorek tuż po piątej po południu Rykoff w końcu go zobaczył. Drzwi się otworzyły i Wallander wyszedł na ulicę. Był sam. Rykoff od razu zauważył, że ma się na baczności. Ruszył na piechotę. Rykoff zdał sobie sprawę, że natychmiast się zdradzi, jeśli pojedzie za nim samochodem. Czekał. Dziesięć minut później drzwi znowu się otworzyły. Rykoff zeszytywniał. W towarzystwie młodej dziewczyny, przypuszczalnie córki Wallandera, której nigdy wcześniej nie widział, pojawił się Victor Mabasha. Przecięli ulicę, wsiedli do samochodu i odjechali. I tym razem Rykoff został na miejscu. Zadzwoił do mieszkania w Jarfalli, gdzie Konowalenko tymczasowo mieszkał z Tanią. Ona odebrała. Rykoff krótko się z nią przywitał i poprosił do telefonu Konowalenkę. Ten natychmiast podjął decyzję. Nazajutrz rano przyjeżdża z Tanią do Skanii. Będą tam dopóty, dopóki nie zlikwidują Wallandera i Victora Mabashy, a jeśli zajdzie taka konieczność - również córki policjanta. Co dalej, uzgodnią później. W każdym razie mieszkanie w Jarfalli musi być w odwodzie.

W nocy Konowalenko i Tania wyjechali do Skanii. Rykoff czekał na nich na parkingu koło zachodniego wjazdu do Ystadu. Udali się do wynajętego domu. Po południu Konowalenko obejrzał Mariagatan. Długo przyglądał się kamienicy, w której mieszkał Wallander. W drodze

powrotnej na moment zatrzymał się na pagórku opodal komendy.

Uznał, że sytuacja jest bardzo prosta. Tym razem musi mu się udać. W przeciwnym razie może się pożegnać z marzeniami o Afryce Południowej. Już teraz były zagrożone. Nie powiedział Janowi Kleynowi prawdy, że Victor Mabasha ciągle żyje. Istniało ryzyko, że Kleyn ma informatora, o którym Konowalenko nic nie wie. Co jakiś czas kazał swoim ludziom sprawdzać, czy nikt go nie śledzi. Nie zauważyli jednak żadnego cienia, który mógłby być na usługach Kleyna.

Konowalenko i Rykoff spędzili dzień na planowaniu. Konowalenko był od początku zdecydowany na ostre uderzenie. Brutalny, bezpośredni atak.

- Czym dysponujemy? - spytał.

- Praktycznie wszystkim prócz granatników - odparł Rykoff.

- Mamy materiały wybuchowe, detonatory, granaty, broń automatyczną, strzelby, pistolety, środki łączności.

Konowalenko wypił kieliszek wódki. Najchętniej złapałby Wallandera żywego, żeby uzyskać od niego odpowiedzi na kilka pytań, a potem by go zabił. Odrzucił jednak tę myśl. Nie może ryzykować.

- Jutro rano, kiedy Wallandera nie będzie w domu, Tania rzuci okiem na klatkę schodową i drzwi do jego mieszkania

- powiedział. - Dla niepoznaki możesz roznosić ulotki reklamowe. Weźmiemy je z jakiegoś domu towarowego.

Potem będziemy obserwować dom. Uderzymy jutro wieczorem, kiedy się upewnimy, że są w środku. Wysadzimy drzwi i otworzymy ogień. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, zabijemy ich obu i wycofamy się.

- Jest ich troje - przypomniał Rykoff.

- Nieważne. Nie możemy dopuścić do tego, by ktokolwiek przeżył.

- Dzisiaj odbieram drugiego Afrykanina. Czy weźmiemy go z

sobą?

- Nie - odparł Konowalenko. - Zostanie z Tanią. - Spojrzał z powagą na Rykoffa i Tanie. - Sikosi Tsiki powinien sądzić, że Victor Mabasha nie żyje od kilku dni. Czy to jasne?

Oboje skinęli głowami.

Konowalenko nalał sobie i Tani po kieliszku wódki. Rykoff podziękował, ponieważ musiał przygotować materiały wybuchowe, a nie chciał tego robić pod wpływem alkoholu. Poza tym za kilka godzin miał pojechać do Limhamnu po Tsikiego.

- Urządźmy Afrykaninowi powitalną kolację - powiedział Konowalenko. - Żadne z nas nie przepada za siedzeniem przy jednym stole z czarnuchem, ale to czasami konieczne dla dobra sprawy.

- Victorowi Mabashy nie smakowało rosyjskie jedzenie - zauważyła Tania.

Konowalenko zastanawiał się przez chwilę.

- Kurczak - obwieścił. - Wszyscy Afrykanie lubią kurczaki.

O szóstej Rykoff odebrał Tsikiego z Limhamnu. Kilka godzin później siedzieli przy stole. Konowalenko podniósł kieliszek.

- Jutro masz wolne - powiedział. - Zaczynamy w piątek.

Sikosi Tsiki skinął głową. Był równie milczący jak jego poprzednik.

Cisi ludzie, pomyślał Konowalenko. Jeśli trzeba, bezwzględni. Jak ja.

Po powrocie do Ystadu Wallander spędzał większość czasu na planowaniu różnych form działań przestępczych. Z samozaparciem przygotowywał wyjazd Victora Mabashy z kraju. Choć cierpiał katusze, doszedł do wniosku, że tylko tak zapanuje nad sytuacją. Nie opuszczała go świadomość, że postępuje karygodnie. Nawet jeśli Victor Mabasha nie zabił Louise Akerblom, był świadkiem tej zbrodni. Poza tym dopuścił się kradzieży samochodów i obrabował sklep.

Jakby tego było mało, przebywał w Szwecji nielegalnie i zamierzał popełnić poważne przestępstwo w swojej ojczyźnie, Afryce Południowej. Wallander wmawiał sobie, że w ten sposób uda się temu zapobiec. Ponadto uniemożliwi Konowalence zgładzenie Victora. Konowalenko zostanie skazany za zabójstwo Louise Akerblom. W swoim czasie za pośrednictwem Interpolu poinformuje o wszystkim kolegów z Afryki Południowej. Ale najpierw Victor Mabasha musi opuścić Szwecję. Skontaktował się z biurem podróży w Malmö, żeby się zorientować w możliwościach dotarcia do Lusaki w Zambii. Mabasha mu podpowiedział, że nie wjedzie do swojego kraju bez wizy. Jako obywatel szwedzki nie potrzebuje wizy do Zambii. Z Zambii przez Zimbabwę dostanie się do Botswany, a stamtąd - przez zieloną granicę - do Afryki Południowej. Miał pieniądze na podróż. Biuro w Malmö przedstawiło kilka możliwości. Zdecydowali, że Mabasha uda się do Londynu, a potem polecą Zambia Airways do Lusaki. Wallander musiał mu załatwić fałszywy paszport. Czekają go jedno z najtrudniejszych wyzwań. Preparowanie fałszywego dokumentu w rodzimej komendzie równało się zdradzie własnego zawodu. Jego wyrzutów sumienia nie przytłumiła obietnica Victora Mabashy, że natychmiast po wylądowaniu w Zambii zniszczy paszport.

- Tego samego dnia - zażądał. - I masz go spalić.

Kupił tani aparat fotograficzny i zrobił kilka zdjęć. Pozostawał problem odprawy paszportowej. Mimo że Victor Mabasha będzie miał technicznie autentyczny dokument wystawiony na nazwisko niefigurujące w komputerowych kartotekach straży granicznej, mogło zajść coś nieprzewidzianego. Po rozważeniu wielu różnych wariantów Wallander zdecydował się na poduszkowiec wypływający z Malmö. Da Victorowi Mabashy bilet w pierwszej klasie. Zakładał, że dzięki karcie pokładowej policjanci nie będą się

nim ponad miarę interesować. Poza tym Linda zagra jego dziewczynę. Pożegnają się na oczach kontrolerów paszportów, Wallander nauczy go kilku zdań po szwedzku. Victor Mabasha miał opuścić Szwecję w piątek rano 15 maja. Do tego czasu Wallander musi załatwić paszport. We wtorek po południu wypełnił formularz paszportowy dla ojca i wziął dwa zdjęcia. Od niedawna zmieniły się procedury i paszporty wyrabiano od ręki. Wallander poczekał, aż urzędniczka obsłuży ostatniego w tym dniu klienta.

- Przepraszam - powiedział - trochę się spóźniłem. Mój tata wybiera się na emerycką wycieczkę do Francji. Porządkując swoje papiery, przez przypadek spalił paszport.

- To się zdarza - stwierdziła kobieta o imieniu Irma. - Czy musi go mieć już dzisiaj?

- Raczej tak. Przykro mi, że przychodzę tak późno. Wallander uważnie się przyglądał, co Irma robi. Kiedy trzymał w ręku gotowy paszport, pomyślał, że powinien sobie z tym poradzić.

- Zdumiewająco proste - zauważył.

- I nudne. Dlaczego to, co proste, musi być nudne?

- Niech pani zostanie policjantką. Nam nigdy się nie nudzi.

- Jestem policjantką. Nie wiem, czy chciałabym się z panem zamienić. Wyciąganie zwłok ze studni musi być okropne. Jakie to uczucie?

- Nie wiem. Prawdopodobnie tak paralizujące, że przestaje się cokolwiek odczuwać. Z pewnością Ministerstwo Sprawiedliwości dysponuje badaniami na temat doznań, które towarzyszą policjantom podczas wydobywania ze studni kobiecych zwłok.

Został z nią, dopóki wszystkiego nie pozamykała. To, co potrzebne do wystawiania paszportów, przechowywano w kasie pancерnej. Wiedział, gdzie trzyma się klucze.

Uzgodnili, że Victor Mabasha wyjedzie jako obywatel

szwedzki Jan Berg. Wallander przetestował setki imion i nazwisk, żeby sprawdzić, które najłatwiej mu wymówić. Wybrali „Jan Berg”. Victor Mabasha spytał, co znaczy to nazwisko. Był zadowolony, słysząc, że „Berg” to „góra”. Wallander wywnioskował z ich rozmów, że Mabasha ma bliski kontakt ze światem duchów. Nic nie było przypadkowe, nawet chwilowa zmiana nazwiska. Linda po części mu wyjaśniła, dlaczego Mabasha myśli tak, jak myśli, ale mimo to nie był w stanie go rozszyfrować. Mabasha mówił o przodkach jak o osobach żyjących. Wallander nie zawsze mógł się połapać, czy coś się stało sto lat temu, czy całkiem niedawno. Victor Mabasha wyraźnie go fascynował. Coraz mniej chciało mu się wierzyć, że ma do czynienia z przestępcą, który przygotowywał się do zamachu w swoim kraju.

We wtorek Wallander został w pracy do późna. Żeby czas szybciej mu zleciał, siadł do pisania listu do Bajby Liepy. Napisał, przeczytał i podarł. Kiedyś mu się uda, ale jeszcze nie teraz.

O dziesiątej w komendzie była tylko nocna zmiana. Ponieważ nie miał odwagi zapalać światła w biurze paszportowym, zaopatrzył się w latarkę o niebieskim świetle. Idąc korytarzem, usiłował sobie wyobrazić, że zmierza do zupełnie innego celu. Zastanawiał się, czy szwedzcy policjanci nie mają przypadkiem jakiegoś anioła stróża, który czuwa nad nimi, kiedy się dopuszczają rzeczy zabronionych.

Klucz wisiał w szafie na dokumenty. Przez chwilę przyglądał się maszynie, która ze zdjęć i wypełnionych formularzy robiła paszport. Potem włożył gumowe rękawice i zabrał się do roboty. Raz usłyszał zbliżające się kroki. Przykucnął za maszyną i zgasił latarkę. Kiedy kroki ucichły, wrócił do pracy. Pocił się. W końcu paszport był gotowy. Wyłączył maszynę i odwiesił klucz na miejsce. Prędzej czy później

kontrola wykaże brak jednego blankietu. Kto wie, może już jutro. Przysporzy to Bjórkowi niemało kłopotu. Nic jednak nie naprowadzi ich na ślad Wallandera.

Dopiero kiedy usiadł w swoim pokoju, uświadomił sobie, że zapomniał podstemplować paszport. Zaklął i cisnął go na biurko.

W tym samym momencie drzwi się otworzyły i do środka wszedł Martinsson. Widząc Wallandera, drgnął.

- Oj, przepraszam - wyjąkał. - Myślałem, że cię nie ma. Chciałem tylko sprawdzić, czy nie zostawiłem tu czapki.

- Czapki? - zdziwił się Wallander. - W połowie maja?

- Łapie mnie przeziębienie. Miałem ją wczoraj.

Wallander nie pamiętał żadnej czapki, kiedy poprzedniego dnia Martinsson i Svedberg siedzieli u niego i omawiali najnowsze wyniki śledztwa i bezskuteczne jak dotąd poszukiwania Konowalenki.

- Zobacz pod biurkiem - zaproponował Wallander. Kiedy Martinsson się pochylił, Wallander błyskawicznie schował paszport do kieszeni.

- Nie ma. Ciągłe gubię czapki.

- Zapytaj sprzątaczkę.

Martinsson już miał wyjść, kiedy nagle coś sobie przypomniał.

- Pamiętasz Petera Hansona?

- Jak mógłbym nie pamiętać?

- Svedberg zadzwonił do niego przedwczoraj, żeby coś uściślić w protokole przesłuchania, i opowiedział o włamaniu do twojego mieszkania. Złodzieje na ogół trzymają ze sobą. Svedberg uznał, że warto spróbować. I dzisiaj Peter Hanson oddzwonił z informacją, że być może wie, kto to zrobił.

- Jasny gwint! Jeśli odzyska płyty i kasety, daruję im więzę.

- Pogadaj jutro ze Svedbergiem. I nie siedź tu za długo.

- Właśnie się zbierałem - odparł Wallander i wstał.

Martinsson zatrzymał się w drzwiach.

- Myślisz, że go złapiemy?

- Pewnie. Pewnie, że go złapiemy. Konowalenko się nie wywinie.

- Jeśli nie opuścił kraju.

- Musimy założyć, że ciągle tu jest.

- A Afrykanin bez palca?

- Konowalenko z pewnością wszystko nam wyjaśni. Martinsson z wahaniem pokiwał głową.

- Jeszcze jedno. Jutro jest pogrzeb Louise Akerblom. Wallander spojrzał na niego i nic nie powiedział.

Pogrzeb był w środę o drugiej po południu. Wallander do ostatniej chwili nie mógł się zdecydować, czy powinien pójść, czy nie. Z rodziną Akerblomów nie łączyły go żadne więzi osobiste. Kobieta, którą mieli pochować, już nie żyła, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Poza tym obecność policjanta mogłaby zostać opacznie zrozumiana. Zwłaszcza że sprawcy jeszcze nie ujęto. Wallander nie wiedział, dlaczego w ogóle rozważa możliwość uczestnictwa w pogrzebie. Z ciekawości? A może z powodu wyrzutów sumienia? O pierwszej włożył ciemny garnitur i biały krawat, który znalazł po długich poszukiwaniach. Victor Mabasha przyglądał się, jak go zawiązuje przed lustrem w przedpokoju.

- Idę na pogrzeb kobiety, którą zabił Konowalenko - wyjaśnił.

Victor Mabasha popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Dopiero teraz? U nas grzebiemy zmarłych natychmiast. Żeby znowu nie zaczęli chodzić.

- My nie wierzymy w upiory.

- Duchy to nie upiory - odparł Mabasha. - Czasami się zastanawiam, dlaczego biali tak mało rozumieją.

- Może masz rację. Albo się mylisz. Może być na odwrót. Wyszedł. Zirytowały go ostatnie słowa Mabashy. Ten

czarnuch będzie mnie uczył, pomyślał gniewnie. Ciekawe, co by zrobił bez mojej pomocy?

Zaparkował przed krematorium w pewnej odległości od kaplicy i czekał, aż wszyscy żałobnicy wejdą do środka. Dopiero kiedy kościelny miał zamknąć drzwi, wysiadł i zajął miejsce w ostatnim rzędzie. Spojrzał na niego jakiś mężczyzna z przodu i przywitał się skinieniem głowy. Dziennikarz z „Ystads Allehanda”.

Śluchał muzyki organowej ze ściśniętym gardłem. Pogrzeby sporo go kosztowały. Już teraz lękał się tego dnia, kiedy będzie zmuszony pożegnać ojca. Pogrzeb matki dwanaście lat temu ciągle budził w nim przykre wspomnienia. Miał wygłosić krótką mowę nad trumną, ale się załamał i wybiegł z kościoła.

Próbował opanować wzruszenie, przyglądając się ludziom zebranych w kaplicy. W pierwszym rzędzie siedział Robert Akerblom, jego dwie córki w białych sukienkach i pastor Tureson, który miał odprawić nabożeństwo żałobne.

Nagle pomyślał o kajdankach, które znalazł w szufladzie biurka w domu Akerblomów. Od przeszło tygodnia nie zaprzątał sobie tym głowy.

Istnieje jakaś policyjna ciekawość, która wykracza poza ramy prowadzonego śledztwa. Może to skrzywienie bierze się stąd, że bez przerwy przeszukujemy najbardziej intymne zakamarki? Wiem, że kajdanki nie mają związku ze sprawą, a mimo to jestem gotów zadać sobie dużo trudu, żeby dociec, dlaczego leżały w szufladzie. Żeby zrozumieć, co znaczą dla Louise Akerblom, a może i dla jej męża.

Odrzucił te myśli i skupił się na ceremonii pogrzebowej. Raz jeden podczas mowy pastora Turesona nawiązał kontakt wzrokowy z Robertem Akerblomem. Mimo dzielącej ich odległości dostrzegł bezgraniczny smutek i uczucie opuszczenia. Wrócił ucisk w gardle i łzy popłynęły mu z oczu. Żeby się opanować, zaczął myśleć o Konowalence.

Przypuszczalnie jak większość policjantów, Wallander w skrytości ducha nie był zagorzałym przeciwnikiem kary śmierci. Nie licząc zniesienia zakazu jej wykonywania wobec zdrajców ojczyzny w czasie wojny, uważał, że należy ją stosować w określonych rodzajach przestępstw. Niektóre morderstwa, gwałty i przestępstwa narkotykowe swoją bezwzględnością i totalną pogardą dla ludzkiego życia skłaniały go do wniosku, że taki człowiek stracił wszelkie prawa do życia. Wiedział, że w jego rozumowaniu jest wiele sprzeczności i że podobne ustawodawstwo nie ma racji bytu. Przemawiały za tym wyłącznie jego doświadczenia, nieuporządkowane i przykre. To, na co musiał patrzeć jako policjant, wywoływało w nim irracjonalne i bolesne reakcje. Po pogrzebie uściśnął dłoń Robertowi Akerblomowi i jego najbliższemu. W obawie, że się rozplacze, starał się nie patrzeć na dziewczynki.

Pastor Tureson odszedł z nim na bok.

- Doceniamy pana obecność - powiedział. - Nie sądziliśmy, że policja oddeleguje kogoś na pogrzeb.

- Reprezentuję tylko siebie - odparł Wallander.

- Tym lepiej. Czy w dalszym ciągu szukacie mężczyzny, który jest sprawcą tej tragedii?

Wallander skinął głową.

- Ale go schwytaicie? Wallander ponownie skinął głową.

- Tak. Prędzej albo później. Jak sobie radzi Robert Akerblom i dziewczynki?

- Nasza gmina jest dla nich wszystkim. Poza tym ma Boga.

- A więc nadal wierzy.

Pastor Tureson zmarszczył czoło.

- Dlaczego miałyby opuścić Boga z powodu czegoś, co ludzie uczynili jemu i jego rodzinie?

- Właśnie, dlaczego?

- Za godzinę zbieramy się w naszym kościele. Zapraszam.

- Dziękuję - odpowiedział Wallander - ale niestety muszę

wracać do pracy.

Podali sobie ręce i Wallander ruszył do samochodu. Nagle zauważył, że wiosna jest w pełnym rozkwicie.

Jak tylko Victor Mabasha wyjedzie, pomyślał, i jak tylko zgarniemy Konowalenkę, zajmę się wiosną.

W czwartek rano Wallander podwiózł Lindę pod dom ojca w Lóderupie. Nieoczekiwanie postanowiła tam przenocować. Zobaczyła zarośnięty ogród i uznała, że musi go doprowadzić do porządku. Zajmie jej to co najmniej dwa dni.

- Gdybyś zmieniła zdanie, zadzwoń - powiedział Wallander.

- Mógłbyś mi podziękować za wysprzątanie twojego mieszkania. Miałeś niezły bajzel.

- Tak, wiem. Dziękuję.

- Jak długo powinnam tu zostać? Mam dużo pracy w Sztokholmie.

- Niedługo - odparł bez przekonania.

Ku jego zdziwieniu Linda o nic go nie spytała.

Potem odbył rozmowę z prokuratorem Akesonem. Po powrocie ze Sztokholmu wspólnie z Martinssonem i Svedbergiem zebrał wszystkie materiały dochodzeniowe.

O czwartej po południu zrobił zakupy i pojechał do domu. Pod drzwiami leżała pokaźna sterta reklam z jakiegoś domu towarowego. Nie patrząc, wyrzucił je do kosza. Potem przygotował kolację i jeszcze raz omówił z Victorem Mabasha wszystkie okoliczności związane z jego podróżą. W miarę powtarzania szwedzkie słowa brzmiały coraz lepiej.

Po kolacji przećwiczyli ostatni szczegół. Victor Mabasha, z płaszczem na lewym ramieniu zasłaniającym owiniętą bandażem zdeformowaną dłoń, musiał się nauczyć wyjmowania paszportu z wewnętrznej kieszeni. Nauczył się. Wallander był zadowolony. Nikt nie zauważył okaleczonej ręki.

- Polecisz do Londynu angielskimi liniami - poinformował. -

SAS byłyby zbyt ryzykowny. Szwedzkie stewardesy czy tają gazety i oglądają wiadomości w telewizji. Zwróciłyby uwagę na bandaż i zawiadomiły kogo trzeba.

Potem, kiedy uporali się ze wszystkimi kwestiami praktycznymi, zaległa cisza, której przez dłuższą chwilę żaden z nich nie przerywał.

W końcu Victor Mabasha podniósł się i stanął naprzeciwko Wallandera.

- Dlaczego mi pomagasz? - spytał.

- Nie wiem. Często myślę, że powinienem cię zakuć w kajdanki. Zdaję sobie sprawę, że dużo ryzykuję, pozwalając ci wyjechać. Kto wie, czy to nie ty zabiłeś Louise Akerblom. Sam mówiłeś, jak gładko się kłamie w twoim kraju. Może wypuszczam mordercę.

- I mimo to się zdecydowałeś? - Tak.

Victor Mabasha zdjął wisiorek i wręczył go Wallanderowi. Na rzemieniu wisiał ząb jakiegoś drapieźnika.

- Lampart jest samotnym myśliwym - powiedział Mabasha.

- W przeciwieństwie do lwów chodzi własnymi drogami i przecina tylko własne ślady. Za dnia w najgorszy upał odpoczywa na drzewie w towarzystwie orłów. Nocami poluje. Jest wytrawnym łowcą i największym wyzwaniem dla myśliwych. To kiel lamparta. Chcę, żebyś go miał.

- Nie jestem pewien, czy cię zrozumiałem, ale dziękuję.

- Nie wszystko można zrozumieć. Opowieść jest jak niekończąca się podróż.

- Może na tym polega różnica między nami. Ja przywykłem do tego, że każda historia ma swój koniec, ty uważasz, że nigdy się nie kończy.

- Możliwe - zgodził się Mabasha. - Świadomość, że się kogoś nie spotka po raz drugi, bywa bardzo przyjemna, bo coś żyje nadal.

- Bo ja wiem? Nie wydaje mi się. Victor Mabasha nie odpowiedział.

Godzinę później spał pod kocem na kanapie, a Wallander oglądał ząb, który dostał w prezencie.

Nagle coś go zaniepokoiło. Poszedł do ciemnej kuchni i z okna obserwował ulicę. Cisza i spokój. Potem sprawdził, czy drzwi wejściowe są zamknięte. Były. Usiadł na taborecie przy telefonie i pomyślał, że jest po prostu zmęczony. Za dwanaście godzin Victor Mabasha zniknie na dobre.

Znowu popatrzył na ząb.

I tak nikt by mi nie uwierzył. Choćby dlatego nie będę opowiadał o dniach i nocach spędzonych z Murzynem, któremu obcięto palec w odludnym domu w Skanii.

Tę tajemnicę zachowam dla siebie.

Jan Kleyn i Franz Malan spotkali się w Hammanskraal w piątek rano 15 maja i dosyć szybko doszli wspólnie do wniosku, że w ich planie trudno się dopatrzeć słabych punktów.

Do zamachu dojdzie 12 czerwca w Kapsztadzie. Na Signal Hill opodal stadionu, gdzie przemówi Nelson Mandela, Sikosi Tsiki będzie miał idealną pozycję, by oddać strzał i niepostrzeżenie się oddalić.

O dwóch sprawach Jan Kleyn nie wspomniał ani Franzowi Malanowi, ani pozostałym członkom Komitetu. W ogóle nikomu nie zamierzał o tym opowiadać. Dla dobra Afryki Południowej i władzy białych był gotów zabrać niektóre tajemnice do grobu. Kulisy pewnych wydarzeń nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego.

Po pierwsze, nie chciał ryzykować i pozwolić Tsikiemu żyć ze świadomością, kogo zabił. Nie wątpił, że zachowa milczenie. Ale tak jak faraoni kazali likwidować ludzi, którzy budowali sekretne pomieszczenia w piramidach, żeby nikt się nie dowiedział o ich istnieniu, tak Jan Kleyn postanowił poświęcić Tsikiego. Osobiście go zabije i postara się, by nigdy nie odnaleziono ciała.

Po drugie, nikomu nie powie, że Victor Mabasha zginął

dopiero wczoraj po południu. Teraz z całą pewnością nie ma go wśród żywych, ale fakt, że żył tak długo, Jan Kleyn poczytywał za osobistą porażkę. Odpowiadał za błędy Konowalenki i jego nieudolność w zamknięciu rozdziału pod tytułem „Victor Mabasha”. Człowiek KGB miał nieoczekiwane minusy. Największy polegał na tym, że kłamstwami usiłował zatuszować swoje niepowodzenia. Jan Kleyn czuł się zawsze urażony, ilekroć ktoś wątpił w jego możliwości pozyskiwania wszelkich niezbędnych informacji. Po zamachu na Mandelę będzie musiał podjąć ostateczną decyzję, czy ściągnąć Konowalenkę do Afryki Południowej. Nie wątpił, że znakomicie przygotowuje Tsikiego. Ale z powodu tych drobnych niemożności - kto wie, czy nie dlatego zawałiło się sowieckie mocarstwo - nie wykluczał pozbycia się Konowalenki i jego pomocników, Władimira i Tani. Operacja wymagała starannego posprzątania. Tego zadania nie zamierzał cedować na nikogo innego.

Siedzieli przy stole zasłanym zielonym obrusem i jeszcze raz omawiali plan. W poprzednim tygodniu Franz Malan pojechał do Kapsztadu i obejrzał stadion, na którym Nelson Mandela wygłosi przemówienie. Jedno popołudnie spędził na Signal Hill, skąd Sikosi Tsiki miał oddać strzał. Zarejestrował wszystko na taśmie wideo. Obejrzel ten zapis trzy razy. Brakowało im jedynie informacji o sile i kierunku wiatru nad Kapsztadem w czerwcu. Franz Malan, podając się za przedstawiciela jachtklubu, poprosił o stosowne dane krajowy instytut meteorologiczny. Obiecano mu je przesłać. Nikt nigdy nie wytropił nazwiska i adresu, które zostawił.

Jan Kleyn nie działał w terenie. Jego wkład polegał na teoretycznym przygotowaniu planu. Rozwazał najróżniejsze ewentualności, rozpisывał wszystko na role i sytuacje, dopóki się nie upewnił, że nie pojawi się żaden nieoczekiwany problem.

Po dwóch godzinach zakończyli pracę.

- Zostaje tylko jedno - stwierdził Jan Kleyn. - Musimy się dowiedzieć, jakie dyspozycje otrzyma dwunastego czerwca kapsztadzka policja.

- Ja się tym zajmę - odparł Franz Malan. - Roześlemy okólnik do wszystkich okręgów z prośbą o przekazywanie nam zawczasu kopii planów bezpieczeństwa dotyczących wszystkich masowych imprez politycznych.

Czekając na przybycie członków Komitetu, wyszli na werandę i w milczeniu patrzyli na krajobraz. Odległe slumsy spowijał dym.

- Ciągle trudno mi sobie wyobrazić, co się stanie - powiedział Franz Malan. - Może dojść do rzezi.

- Spójrz na to jak na proces oczyszczania. Te słowa lepiej się kojarzą niż rzeź. Poza tym do tego przecież dążymy.

- Mimo to czasami mam wątpliwości. Czy uda nam się nad wszystkim zapanować?

- Odpowiedź jest prosta. Musimy.

Znowu ten fatalizm, pomyślał Franz Malan. Popatrzył ukradkiem na stojącego kilka metrów dalej Kleyna. Czasami nie mógł się opędnąć od pytania, czy ten człowiek nie jest szaleńcem. Czy pod maską opanowania nie kryje się psychopata?

Poczuł się nieswojo. Czym prędzej odrzucił tę myśl.

O drugiej zebrali się wszyscy członkowie Komitetu. Franz Malan i Jan Kleyn pokazali film i złożyli sprawozdania. Pytań było niewiele, wątpliwości udało się bez trudu rozwiązać. Zajęło im to niespełna godzinę. Tuż przed trzecią głosowali. Klamka zapadła.

Za dwadzieścia osiem dni Nelson Mandela zginie na stadionie pod Kapsztadem.

Mężczyźni opuszczali Hammanskraal jeden po drugim. Jan Kleyn wyjechał ostatni. Zaczęło się odliczanie.

Atak nastąpił tuż po północy.

Victor Mabasha spał na kanapie w salonie. Wallander stał przy oknie w kuchni i nie mógł się zdecydować, czy powinien coś zjeść, czy tylko napić się herbaty. Zastanawiał się, co o tej porze porabia ojciec i córka. Przypuszczał, że jeszcze nie śpią. Zawsze, ku jego niepomiernemu zdziwieniu, mieli mnóstwo tematów do rozmowy.

Czekając, aż zagotuje się woda, pomyślał, że od wszczęcia poszukiwań Louise Akerblom minęły trzy tygodnie. Po trzech tygodniach wiedzieli, że zabił ją niejaki Konowalenko. Ten sam mężczyzna, który najprawdopodobniej zastrzelił policjanta Tengblada.

Za kilka godzin, kiedy Victor Mabasha opuści Szwecję, będzie mógł opowiedzieć o tym, co się stało. Anonimowo. Szczerze wątpił, by ktokolwiek potraktował poważnie jego list, który wysłał do komendy. Oczywiście bez podpisu. Wszystko zależało od zeznań Konowalenki. Jeśli mu uwierzą.

Wlał wrzątek do dzbanka z esencją i odsunął krzesło, żeby usiąść. W tym momencie eksplodowały drzwi wejściowe. Fala wybuchu rzuciła go na drzwi lodówki. Kuchnia błyskawicznie wypełniła się dymem. Po omacku dobrnęła do sypialni. Kiedy wziął pistolet z nocnej szafki, usłyszał za plecami cztery strzały. Padł na podłogę. Ktoś strzelał w salonie.

Konowalenko, pomyślał gorączkowo. Teraz mnie załatwi.

Wpełzł pod łóżko. Bał się. Był przekonany, że serce nie wytrzyma takiego napięcia. Na zawsze zapamięta uczucie upokorzenia - że umrze pod własnym łóżkiem.

Z salonu dobiegły go głuchoe odgłosy i przytłumione jęki. Po chwili ktoś wszedł do sypialni, zastygł w bezruchu i wyszedł. Nagle coś zawołał Victor Mabasha. A więc żył. Wallander usłyszał kroki na klatce schodowej. Jednocześnie ktoś

krzyknął. Nie wiedział, czy na ulicy, czy w jednym z mieszkań.

Wyczołgał się spod łóżka i jak najciszej podszedł do okna. W gęstym dymie niewiele widział. W końcu dostrzegł Victora Mabaszę w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Rykoff. Nie zastanawiając się, otworzył okno i strzelił w powietrze. Rykoff puścił Mabaszę i odwrócił się. Ledwie Wallander padł na podłogę, szyby przeszła seria z broni automatycznej. Zawirowało od odłamków. Potem usłyszał krzyki i pisk opon. Zdążył zobaczyć odjeżdżające audi. Wybiegł na chodnik, gdzie zaczęli się gromadzić na wół rozebrani ludzie. Na widok Wallandera z pistoletem w rękę z wrzaskiem się rozpierzchli. Wallander niezdarnie otworzył drzwi samochodu, długo nie mógł trafić kluczykiem do stacyjki, zaklął, wreszcie się udało, odpalił i ruszył za audi. W oddali usłyszał dźwięk syren. Postanowił wyjechać na Österleden. Miał szczęście. Audi wyprysnęło z Regementsgatan i pomknęło na wschód. Przypuszczalnie nie podejrzewali, że ich ściga. Mężczyzna, który wszedł do jego sypialni i zobaczył posłane łóżko, pewnie pomyślał, że właściciela nie ma w domu.

Zwykle Wallander nie zawracał sobie głowy ścieleniem łóżka, ale tego dnia Linda, mając dosyć bałaganu, wysprzątała mieszkanie i zmieniła mu pościel.

Opuścili miasto z dużą szybkością. Wallander trzymał się w stosownej odległości. Miał wrażenie, że śni mu się jakiś koszmar. Łamał wszystkie możliwe przepisy obowiązujące podczas pościgu za groźnym przestępcą. Zaczął hamować, żeby zawrócić, ale po chwili się rozmyślił. Minęli Sandskogen i pole golfowe. Ciekawe, czy audi skręci na Sandhammaren, czy pojedzie prosto w kierunku Simrishamnu i Kristianstadu.

Nagle tylne światła audi zaczęły się kołysać. Pewnie złapali gumę. W końcu samochód stoczył się do rowu i przewrócił

na bok. Wallander gwałtownie zahamował na podjeździe najbliższego domu i wjechał na podwórze. Kiedy wysiadł, w oświetlonych drzwiach wejściowych stanął mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna.

Wallander miał w ręku pistolet. Starał się mówić przyjaźnie, acz stanowczo.

- Nazywam się Wallander - zaczął, zdyszany. - Jestem z policji. Proszę zadzwonić pod 90 000 i powiedzieć, że ścigam Konowalenkę. Niech pan poda swój adres i każe im rozpocząć poszukiwania w okolicach poligonu. Czy to jasne? Mężczyzna skinął głową.

- Poznaję pana - powiedział flegmatycznie. - Widziałem pana w gazetach.

- Proszę natychmiast zadzwonić. Chyba ma pan telefon?

- Pewnie, że mam. Nie przydałaby się panu lepsza broń?

- Owszem, ale nie czas na to. I wybiegł na szosę.

Z daleka zobaczył audi. Nie przestał się zastanawiać, jak długo jego serce wytrzyma to napięcie. Cieszył się, że nie umarł pod łóżkiem. Miał wrażenie, że strach pcha go naprzód. Przystanął za drogowskazem i nasłuchiwał. Przy samochodzie nikogo nie było. Zauważył dziurę w parkanie okalającym poligon. Znad morza nadciągała gęsta mgła. Popatrzył na owce. Leżały nieruchomo. Po chwili jedna zabeczła. Odpowiedziała jej inna.

Tam, pomyślał. Owce mnie poprowadzą. Skulony podbiegł do dziury w parkanie, przykucnął i wpatrywał się we mgłę. Nic nie widział i nic nie słyszał. Od strony Ystadu nadjechał jakiś samochód. Wysiadł z niego mężczyzna, który obiecał zadzwonić pod 90 000. Trzymał w ręku strzelbę.

- Proszę tu zostać - polecił Wallander. - Niech pan cofnie samochód o sto metrów, poczeka na policję i pokaże im tę dziurę w płocie. I niech pan im powie, że co najmniej dwóch mężczyzn jest uzbrojonych. Jeden ma coś w rodzaju karabinu automatycznego. Zapamięta pan?

Mężczyzna pokiwał głową.

- Wziąłem z sobą strzelbę - powiedział. Wallander wahał się przez chwilę.

- Proszę mi wyjaśnić, jak ona działa. Nie znam się na strzelbach.

Mężczyzna spojrzał na niego ze zdziwieniem, po czym pokazał bezpiecznik i zademonstrował, jak się ją ładuje. Wallander zorientował się, że to model łamany. Wziął ją i włożył do kieszeni zapasowe naboje.

Mężczyzna wrócił do samochodu. Wallander przelazł przez dziurę w parkanie. Znowu zabezpieczała owca. Z prawej strony, gdzieś między zagajnikiem a gołym zboczem opadającym ku morzu. Wallander wsunął pistolet za pas i ostrożnie ruszył w kierunku niespokojnie pobekującego stada owiec.

Mgła gęstniała.

Z centrali zadzwonili do Martinssona i poinformowali o dwóch rzeczach naraz: o strzelaninie i pożarze na Mariagatan, i o tym, co Wallander przekazał za pośrednictwem mężczyzny z okolic Ystadu. Martinsson natychmiast się rozbudził i ubierając się, zadzwonił do Bjórka. W jego przekonaniu strasznie długo to trwało, zanim szef zrozumiał, o co chodzi. Ale już trzydzieści minut później największe z możliwych sił policyjnych zebrały się przed komendą. Zawezwano także posiłki z sąsiednich okręgów. Poza tym Bjórk zdążył obudzić komendanta Głównego Zarządu, który zażyczył sobie, by niezwłocznie dać mu znać, gdy tylko zlokalizują Konowalenkę.

Martinsson i Svedberg z niechęcią patrzyli na tabun policjantów. Obaj uważali, że mniejsza grupa mogłaby zdziałać to samo w znacznie krótszym czasie. Ale Bjórk stosował się do przepisów. Bał się ryzykować, żeby się później nie narazić na krytykę.

- Wszystko diabli wezmą - stwierdził Svedberg. - Musimy się tym zająć. Bjórk narobi tylko zamieszania. Jeśli

Konowalenko jest tak niebezpieczny, jak myślimy, Wallander potrzebuje naszej pomocy.

Martinsson pokiwał głową i podszedł do Bjórka.

- Zanim wszystkich zbierzesz, pojedę tam ze Svedbergiem.

- Nie ma mowy - odparł Bjórk. - Musimy się trzymać regulaminu.

- Ty się trzymaj regulaminu, a my będziemy się trzymać zdrowego rozsądku - odburknął rozeźlony Martinsson i odszedł.

Bjórk zawołał za nim, ale bez skutku. Svedberg i Martinsson wsiedli do samochodu i nim odjechali, dali znak Norenowi i Petersowi, żeby im towarzyszyli.

Koledzy z radiowozu włączyli syrenę i koguty i z dużą szybkością ruszyli przodem. Martinsson prowadził, Svedberg siedział obok i obmacywał pistolet.

- Co wiemy? - spytał Martinsson. - Poligon przed zjazdem na Kaseberge. Dwóch uzbrojonych mężczyzn. Jeden z nich to Konowalenko.

- Nic nie wiemy - odparł Svedberg. - Nie powiem, żebym się przesadnie cieszył.

- Eksplozja i strzelanina na Mariagatan. Czy to się trzyma kupy?

- Miejmy nadzieję, że Bjórk się wszystkiego dowie za pomocą regulaminu.

Przed komendą w Ystadzie zapanowało coś na kształt chaosu. Co chwila dzwoniли przerażeni ludzie mieszkający na Mariagatan. Strażacy kończyli gasić pożar. Teraz policja powinna się zająć strzelaniną. Peter Edler poinformował, że na ulicy przed domem jest mnóstwo krwi.

Bjórk, bombardowany z różnych stron, postanowił, że Mariagatan może poczekać. Przede wszystkim trzeba schwytać Konowalenkę oraz drugiego mężczyznę i pospieszyć Wallanderowi z odsieczą.

- Czy ktoś z was wie, jak duży jest ten poligon? - zapytał.

Nikt nie wiedział, ale Bjórk był przekonany, że rozciąga się od szosy aż do wybrzeża. Na wszelki wypadek powinni otoczyć cały teren.

Bez przerwy przyjeżdżały radiowozy z sąsiednich okręgów. Ponieważ chodziło o zatrzymanie człowieka, który między innymi zabił policjanta, zjawili się nawet ci, co nie byli na służbie.

Bjórk razem z komendantem z Malmö uzgodnił, że ostateczną decyzję podejmą na miejscu. Jeden radiowóz pchnęli do pułku po dokładne mapy.

Tuż przed pierwszą w nocy z Ystadu wyjechał długi sznur samochodów. Za nimi podążało kilku ciekawskich kierowców. Mgła zaczęła teraz zasnuwać śródmieście.

Koło poligonu czekał na nich mężczyzna, który najpierw rozmawiał z Wallanderem, a potem z Martinssonem i Svedbergiem.

- Czy coś się stało? - zapytał Bjórk.

- Nic - odparł mężczyzna.

W tym momencie gdzieś daleko rozległ się pojedynczy wystrzał. Po chwili zaterkotała cała seria. I znowu zaległa cisza.

- Gdzie Svedberg i Martinsson?

W głosie Bjórka dał się wyczuć lęk.

- Na poligonie.

- A Wallander?

- Nie widziałem go, odkąd tam pobiegł.

Zamontowane na dachu policyjne reflektory omiały mgłą i owce.

- Musimy ich zawiadomić, że jesteśmy - powiedział Bjórk. - I zaczniemy wspomagać, jak się tylko da.

Kilka minut później jego głos rozbrzmiewał nad poligonem. Dźwięk z megafonu niósł się upiornym echem. A potem otoczyli teren i czekali.

Ledwie Wallander wszedł na poligon i oblepiła go mgła,

wszystko rozegrało się bardzo szybko. Kierował się na beczące owce. Spieszył się, gnany przeczuciem, że dotrze za późno. Kilka razy potknął się o leżące owce, które hałaśliwie się rozpierzchały. Zdał sobie sprawę, że prowadząc go, jednocześnie ujawniają jego obecność.

W końcu ich zobaczył. Byli tuż przed zboczem opadającym ku morzu. Miał wrażenie, że patrzy na zatrzymany kadr. Victor Mabasha klęczał, przed nim z pistoletem w ręku stał Konowalenko, a obok - gruby Rykoff.

- Gdzie jest policjant? - raz po raz pytał Konowalenko.

- Nie wiem - odpowiadał hardo Victor Mabasha. Wallandera ogarnęła wściekłość. Nienawidził tego typu, który zabił Louise Akerblom i Tengblada, i gorączkowo myślał, co powinien zrobić. Jeśli podczołga się bliżej, zauważą go. Strzelając z pistoletu z tej odległości, zapewne chybi. Strzelba miała mniejszy zasięg. Szarża równała się samobójstwu, bo pistolet automatyczny Rykoffa zmiótlby go natychmiast.

Pozostawało czekanie i nadzieja na rychłą odsiecz kolegów. Słyszał jednak, że Konowalenko jest coraz wyraźniej zirytowany. A czas uciekał.

Leżał z pistoletem gotowym do strzału. Mierzył w Konowalenkę.

Ale koniec przyszedł za wcześnie. I tak błyskawicznie, że nim zdążył zareagować, było już za późno. Później uświadomił sobie, jak mało trzeba czasu, żeby pozbawić kogoś życia.

Konowalenko zapytał po raz ostatni. Victor Mabasha odpowiedział równie hardo. Konowalenko podniósł pistolet i strzelił Mabashy w czoło. Tak samo jak trzy tygodnie temu strzelił do Louise Akerblom.

Wallander krzyknął i strzelił. Ale było już po wszystkim. Victor Mabasha upadł na plecy i znieruchomiał. Wallander chybił. Wiedział, że największe zagrożenie to broń

automatyczna Rykoffa. Wycelował w grubasa i raz po raz naciskał spust. Zdziwił się, widząc, że Rykoff nagle się zachwiał i osunął na ziemię. Kiedy wymierzył w Konowalenkę, ten zdążył się zasłonić Mabasha. Trzymając go przed sobą jak tarczę, wycofywał się w kierunku wybrzeża. Mimo że Victor Mabasha nie żył, Wallander nie był w stanie strzelić. Wstał i krzyknął, żeby Konowalenko się poddał. W odpowiedzi usłyszał strzał i odskoczył. Uratował go martwy Mabasha. Konowalence zabrakło precyzji. Nic dziwnego, skoro dźwigał ciężkie bezwładne zwłoki. W oddali dał się słyszeć dźwięk policyjnej syreny. Im bliżej wody, tym gęściejsza była mgła. Wallander szedł za Konowalenką z pistoletem i strzelbą. Nagle Konowalenko zostawił zwłoki, pobiegł z boczem w dół i zniknął. W tym momencie zabeczła owca. Wallander odwrócił się i podniósł broń. Zobaczył, że z mgły wyłania się Martinsson i Svedberg. Na ich twarzach malowało się przerażenie.

- Nie celuj w nas! - krzyknął Martinsson. - Nie widzisz, że to my?

Wallander wiedział, że Konowalenko znowu może się wymknąć. Nie miał czasu na wyjaśnienia.

- Zostańcie tutaj! - zawołał. - Nie idźcie za mną! Zaczął się cofać, nie opuszczając broni. Martinsson i Svedberg ani drgnęli. Po chwili rozpląnął się we mgle. Martinsson i Svedberg popatrzyli na siebie wystraszeni.

- Czy to na pewno był Kurt? - spytał Svedberg.

- Tak. Ale chyba kompletnie mu odbiło.

- Najważniejsze, że żyje.

Ostrożnie ruszyli ku wybrzeżu. Nic nie widzieli. Słyszeli tylko cichy szum fal przypląwu.

Martinsson nawiązał kontakt z Bjórkiem, a Svedberg zaczął przeszukiwać dwóch martwych mężczyzn. Martinsson podał ich pozycję i zażądał karetka pogotowia.

- Co z Wallanderem? - zapytał Bjórk.

- Żyje - odpowiedział Martinsson. - Ale nie wiem, gdzie teraz jest.

Zanim Bjórk zdążył zadać następne pytanie, szybko wyłączył walkie-talkie, podszedł do Svedberga i spojrzał na Rykoffa, którego zabił Wallander. Dwa pociski weszły tuż powyżej pępka.

- Musimy powiedzieć Bjórkowi, że Wallander był w hysterii. Svedberg skinął głową. Wiedział, że to nieuniknione. Podeszli do drugiego ciała.

- Człowiek bez palca - skostatował Martinsson. - A teraz bez życia.

Pochylił się i wskazał na otwór wlotowy w czole.

Obaj pomyśleli o tym samym. Louise Akerblom.

Przyjechały radiowozy, a nieco później dwie karetki. Kiedy przystąpiono do oględzin zwłok, Svedberg i Martinsson wsiedli z Bjórkiem do jednego z samochodów i powiedzieli, co zobaczyli.

Bjórk patrzył na nich z niedowierzaniem.

- To bardzo dziwne - stwierdził na koniec. - Kurt bywa uparty, ale żeby postradał zmysły?

- Szkoda, że go nie widziałeś - powiedział Svedberg. - Był kompletnie niepoczytalny. Poza tym mierzył do nas z broni. Z pistoletu i ze strzelby.

Bjórk pokręcił głową.

- A potem pobiegł brzegiem?

- Ściągał Konowalenkę - wyjaśnił Martinsson.

- Brzegiem?

- Tam straciliśmy go z oczu.

Bjórk próbował zrozumieć to, co usłyszał.

- Wyślemy patrole z psami - zdecydował po chwili milczenia. - Trzeba ustawić blokady i gdy tylko mgła ustąpi, wezwiemy śmigłowce.

Wysiedli z samochodu. W tym momencie we mgle gruchnął pojedynczy strzał. Gdzieś znad brzegu, od wschodu. Zapadła

cisza. Policjanci, pielęgniarki i psy czekali na dalszy rozwój wypadków.

W końcu zabezczała owca. Martinsson zadrżał.

- Musimy pomóc Kurtowi - powiedział. - Jest sam. Ma przeciwko sobie faceta, który zabija wszystkich, jak leci. Musimy pomóc Kurtowi. Teraz, Otto.

Svedberg nigdy nie słyszał, żeby Martinsson kiedykolwiek wcześniej wymówił imię Bjórka. Bjórk drgnął, jakby nie od razu do niego dotarło, że o nim mowa.

- Ludzie w kamizelkach kuloodpornych i psy - powie dział. Chwilę później ruszyła obława. Psy natychmiast podjęły trop i rwały się do przodu. Martinsson i Svedberg szli tuż za nimi. W odległości około dwustu metrów od zwłok psy zwietrzyły plamę krwi na piasku. Zataczały koła, ale nic więcej nie znalazły. Nagle jeden z nich zaczął ciągnąć na północ. Byli na obrzeżach poligonu, posuwali się wzdłuż parkanu. Trop prowadził do szosy i dwa kilometry dalej urywał się. Psy zaskomliły i zawróciły.

- Co się dzieje? - spytał Martinsson.

- Trop wystygł - odparł policjant, kręcąc głową. Martinsson nie rozumiał.

- Wallander nie mógł się przecież rozpuścić.

- Ale na to wygląda.

Kontynuowali poszukiwania do świtu. Blokady już stały. Wszystkie siły policyjne południowej Szwecji były w mniejszym lub większym stopniu zaangażowane w pościg za Konowalenką i Wallanderem. Kiedy mgła się rozrzedziła, do akcji włączyły się śmigłowce.

Nic nie znaleźli. Dwóch mężczyzn nigdzie nie było.

O dziewiątej rano Svedberg, Martinsson i Bjórk siedzieli w sali zebrań. Byli zmęczeni i mokrzy od mgły. Poza tym Martinsson miał pierwsze objawy przeziębienia.

- Co ja powiem komendantowi głównemu? - spytał Bjórk.

- Czasami najlepiej jest mówić prawdę - odparł spokojnie

Martinsson.

Björk pokręcił głową.

- Wyobrażacie sobie tytuły na pierwszych stronach gazet? „Obląkany inspektor, tajna broń szwedzkiej policji, w pogoni za zabójcą policjanta”.

- Tytuł powinien być krótki - zareplikował Svedberg. Björk wstał.

- Jedźcie do domu, przebierzcie się, zjedzcie coś i do roboty. Martinsson podniósł rękę, jakby siedział w klasie.

- Chcę pojechać do jego ojca do Lóderupu. Jest tam jego córka. Możliwe, że wie coś, co by nam pomogło.

- Dobrze - zgodził się Björk. - Tylko się pospiesz.

Potem udał się do swojego pokoju i zadzwonił do komendanta głównego. Po rozmowie był czerwony ze złości. Tak jak się spodziewał, usłyszał reprimendę.

Martinsson siedział w kuchni w Lóderupie. Linda zaparzyła kawę. Zaraz po przyjeździe poszedł do atelier przywitać się z ojcem Wallandera. Nic mu jednak nie wspomniał o wydarzeniach z ostatniej nocy. Najpierw chciał pomówić z córką.

Zauważył, że Linda się przelękła. W jej oczach zalśniły łzy.

- Ja też właściwie powinnam była nocować na Mariagatan - przyznała.

Poczęstowała go kawą. Drżały jej ręce.

- Nie potrafię zrozumieć - podjęła - że Victor Mabasha nie żyje.

Martinsson wymruczał coś w odpowiedzi. Pomyślał, że Linda ma dużo do powiedzenia o tym, co łączyło jej ojca z martwym Afrykaninem. Uświadomił sobie, że to nie jej kenijski chłopak jechał z Wallanderem kilka dni temu. Ale dlaczego Kurt kłamał?

- Musicie znaleźć tatę, zanim coś się stanie - przerwała jego rozmyślenia.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

- To za mało. Martinsson skinął głową.

- Zrobimy więcej niż w naszej mocy.

Pół godziny później Martinsson się pożegnał. Linda zobowiązała się opowiedzieć dziadkowi o tym, co zaszło. On z kolei obiecał, że będzie ją o wszystkim informował. I wrócił do Ystadu.

Po lunchu Björk, Svedberg i Martinsson znów usiedli w sali zebrań. Björk zrobił coś bardzo dziwnego. Zamknął drzwi.

- Musimy mieć spokój - wyjaśnił. - Trzeba skończyć z tym koszmarnym bajzłem, zanim na dobre wszystko się nam wyśliznie z rąk.

Martinsson i Svedberg wpatrywali się w stół. Nie wiedzieli, co powiedzieć.

- Czy nie zauważyliście u Kurta żadnych objawów szaleństwa? - zapytał Björk. - Musieliście chyba coś podejrzewać? Mnie zawsze się wydawał trochę dziwny. Ale to wy obcujecie z nim na co dzień.

- Nie sądzę, żeby postradał zmysły - zaczął Martinsson po długim milczeniu, którego nie mógł dłużej znieść. - Może jest przepracowany?

- Wszyscy policjanci w tym kraju dostawaliby z tego powodu szalu - zauważył Björk. - A nie dostają. To oczywiste, że zwariował. Albo, jeśli wolicie, ma zaćmienie umysłu. Może to dziedziczne? Czy parę lat temu jego ojciec nie błąkał się po polach?

- Był pijany - odparł Martinsson. - Albo miał chwilowy zanik pamięci. Kurt nie jest sklerotykiem.

- A może cierpi na alzheimera? - zastanawiał się Björk. - Przedwczesna demencja.

- Nie wiem, o jakiej chorobie mówisz - powiedział Svedberg.

- Nie odbiegajmy od tematu. Tylko lekarz jest w stanie stwierdzić, czy Kurta chwilowo zaćmiło, czy nie. Naszym zadaniem jest go odszukać. Wiemy, że uczestniczył w strzelaninie, w której wyniku zginęły dwie osoby.

Widzieliśmy go na poligonie. Mierzył do nas, ale nie stanowił żadnego zagrożenia. Sprawiał raczej wrażenie zdesperowanego. Albo zrozpaczonego. Nie potrafię tego rozstrzygnąć. Potem przepadł bez śladu.

Martinsson powoli pokiwał głową.

- Kurt nie znalazł się tam przez przypadek - stwierdził z namysłem. - Przypuścili atak na jego mieszkanie. Możemy założyć, że był razem z Murzynem. Co się stało potem, możemy się jedynie domyślać. Kurt wpadł na jakiś ślad i albo nie miał możliwości, żeby nas o tym powiadomić, albo na razie wolał to zatrzymać dla siebie. Wiemy, że czasami tak robi. I zawsze nas to wkurza. Ale teraz liczy się tylko jedno. Musimy go odszukać.

Siedzieli w milczeniu.

- Nigdy nie przypuszczałem, że czegoś takiego dożyję - odezwał się Bjórk.

Martinsson i Svedberg zorientowali się, co ma na myśli.

- Ale to konieczne - powiedział Svedberg. - Musisz wysłać za nim list gończy.

- To okropne - wymruczał Bjórk. - Ale nie widzę innego wyjścia.

Nie mieli już nic więcej do powiedzenia.

Ciężkim krokiem Bjórk wszedł do swojego pokoju, żeby wydać dyspozycję co do wszczęcia poszukiwań jego kolegi, inspektora Kurta Wallandera.

Był 15 maja 1992 roku. Do Skanii zawitała wiosna. Był ciepły dzień. Pod wieczór nad Ystad nadciągnęły burzowe chmury.

Biała lwica

W poświęcie księżycy lwica sprawiała wrażenie idealnie białej.

Georg Scheepers wstrzymał oddech, patrząc na nią z platformy dżipa. Leżała nad rzeką w odległości trzydziestu metrów od niego. Zerknął na żonę Judith. Odwzajemniła spojrzenie. Zauważył, że się boi. Pokręcił głową.

- Spokojnie - powiedział. - Nic nam nie zrobi.

Wierzył w to, choć w głębi duszy wcale nie był taki pewien. Zwierzęta z Parku Narodowego Krugera przywykły do widoku ludzi obserwujących je z platform samochodowych również o tej porze, o północy. Ale nie zapominał, że patrzy na nieobliczalnego drapieznika, który kieruje się wyłącznie instynktem. Lwica była młoda, a więc silna i szybka. W każdej chwili mogła się ocknąć ze stanu błędnego lenistwa i w kilku susach dopaść samochodu. Czarny szofer nie wydawał się zanadto czujny. Gdyby chciała, zabiłaby ich wszystkich w parę sekund. Trzy kłapnięcia paszczą w szyć albo w kręgosłup, i po krzyku.

Nagle lwica jakby odczytała jego myśli. Podniosła łeb i lustrowała samochód. Judith wczepiła się w jego ramię. Wydawało się, że lwica patrzy prosto na nich. W jej oczach odbijało się światło księżycy. Georgowi Scheepersowi szybciej zabiło serce. Życzyłby sobie, żeby szofer uruchomił silnik. Tymczasem Murzyn za kierownicą ani drgnął. Scheepersowi przeszło przez myśl, że zasnął.

Lwica podniosła się z piasku, nie odrywając od nich oczu. Georg Scheepers słyszał o czymś w rodzaju lwich dreszczy. Myśli się całkiem trzeźwo, tylko nie można ruszyć się z miejsca.

Stała nieruchomo i patrzyła na nich. Wystające łopatki grały pod skórą. Jest piękna, pomyślał. Piękna swoją siłą o nieprzewidywalnym charakterze. Ale przede wszystkim jest lwem. Jej kolor był na drugim miejscu. Coś zamajaczyło w

jego pamięci. Ale co?

- Dlaczego on nie odjeżdża? - szepnęła Judith.

- Spokojnie - odparł. - Nie podejdzie do nas.

Lwica obserwowała ludzi w samochodzie stojącym na skarpie. Księżyc świecił jasno. Była pogodna ciepła noc. Gdzieś w ciemnym nurcie rzeki ślamazarnie sunął hipopotam.

Georg Scheepers uznał tę sytuację za ostrzeżenie. Uczucie zagrożenia, które w każdej chwili mogło się przerodzić w niekontrolowaną przemoc, było w jego kraju czymś powszechnym. Wszyscy na coś czekali. Patrzył na nich drapieżnik. Drapieżnik, który był w nich. Murzyni zniecierpliwieni tym, że zmiany zachodzą zbyt wolno. Biali bojący się utraty swoich przywilejów, z obawą myślący o przyszłości. Przypominało to czekanie nad rzeką, gdzie przygląda się im lew.

Była albinosem, stąd ten kolor. Krążyło mnóstwo legend o albinosach. O ich niesamowitej sile. I o nieśmiertelności.

Nagle lwica ruszyła prosto na nich. Skupiona. Szofer zapalił silnik i włączył reflektory. Światło ją oślepiło. Zamarła z uniesioną łapą. Georg Scheepers poczuł na ramieniu paznokcie żony.

Jedź, pomyślał. Jedź, zanim nas zaatakują.

Szofer wrzucił wsteczny bieg. Silnik zakaszał. Georg Scheepers miał wrażenie, że za chwilę przestanie mu bić serce. Szofer docisnął pedał gazu i samochód zaczął się toczyć do tyłu. Lwica odwróciła łeb, żeby nie oślepiła jej światło reflektorów.

I było po wszystkim. Paznokcie Judith nie wpijały się już w jego ramię. Mocno trzymali się poręczy, kiedy dzip, trzęsąc się i podskakując, jechał do ich bungalowu. Nocna wyprawa wkrótce dobiegnie końca, ale na zawsze pozostanie wspomnienie o lwicy i myślach, które obudziła swoją obecnością nad brzegiem rzeki.

To Georg Scheepers zaproponował żonie dwudniowy wypad do Parku Narodowego Krugera. Od przeszło tygodnia usiłował rozgryźć notatki zmarłego van Heerdena. Potrzebował czasu, żeby wszystko przemyśleć. Mieli wyjechać na piątek i sobotę. Niedzielę, 17 maja, zamierzał poświęcić na przejrzenie plików komputerowych van Heerdena. Chciał to zrobić w ciszy i spokoju, kiedy korytarze prokuratury będą świecić pustkami. Policja, na życzenie jego szefa, Werveya, zadbała o to, żeby zabezpieczyć wszystkie materiały oznaczone klauzulą „ściśle tajne”. Oficjalnie miał je przejrzeć sam Wurvey z racji swojego stanowiska prokuratora rejonowego. Kiedy przełożeni van Heerdena odmówili wydania materiałów, dopóki się z nimi nie zapoznają ich ludzie, Wurvey dostał ataku furii i natychmiast skontaktował się z ministrem sprawiedliwości. Kilka godzin później wywiad się poddał. Materiały przekazano prokuraturze. Odpowiadał za nie Wurvey, ale to Georg Scheepers miał je w ścisłej tajemnicy rozpracowywać. Dlatego musiał się tym zająć w niedzielę, kiedy w urzędzie nie ma żywego ducha.

Wyjechali z Johannesburga wcześniej rano w piątek 15 maja. Podróż autostradą N4 na Nelspruit trwała krótko. Skreślili w boczną drogę i dotarli do Parku Narodowego Krugera od Numbi. Judith zarezerwowała bungalow w Nwanetsi, nieopodal granicy z Mozambikiem. Byli tam kilka razy wcześniej i chętnie wracali do tego miejsca. Bungalowy, restauracja i organizowane przejażdżki po parku przyciągały przede wszystkim tych, którzy pragnęli spokoju. Ludzie kładli się wcześniej i wstawali o świcie, żeby popatrzeć na zwierzęta ciągnące do wodopoju. W drodze do celu Judith spytała go o sprawozdanie, które miał przygotować dla ministra sprawiedliwości. Odpowiedział wymijająco, że na razie niewiele jeszcze wie i że potrzebuje czasu na dopracowanie założeń, jakimi powinien się kierować. Nie

pytała o nic więcej, ponieważ wiedziała, że małżonek jest z natury niezwykle małomówny.

Dwa dni minęły im na wycieczkach. Podziwiali zwierzęta i krajobrazy, psychicznie odpoczywając od Johannesburga. Po posiłkach Judith zatapiała się w lekturze, a Georg Scheepers analizował w myślach zebrane dotąd informacje o van Heerdenie i jego tajnej pracy.

Zaczął od metodycznego przejrzenia akt i dosyć szybko doszedł do wniosku, że musi się podszkolić w czytaniu między wierszami. Pomiedzy formalnie poprawnymi notatkami służbowymi i raportami znajdował luźne kartki z pospiesznie skreślonymi zapiskami. Rozszyfrowywał je mozolnie, mało czytelny charakter pisma przywodził na myśl skrobiącego maczkiem nauczyciela. Sądził, że to szkice wierszy. Poetyckie zwroty, załączki metafor, maksymy. I właśnie wtedy, kiedy usiłował zrozumieć tę niezwiązaną z pracą aktywność van Heerdena, ogarnęło go przeczucie, że coś się wydarzy. Raporty, notatki służbowe i luźne zapiski - które na własny użytek nazywał boskimi wersami - obejmowały wiele lat. Na początku były to najczęściej precyzyjne obserwacje i refleksje formułowane w sposób chłodny i niewartościujący. Ale mniej więcej sześć miesięcy przed śmiercią ich charakter się zmienił. Nabrały nowego, mrocznego tonu. Zamiast pewności pojawiły się wahania, czysty głos zmatowiał. Poza tym dostrzegł jeszcze jedną różnicę. Van Heerden zaczął wpisywać daty, a czasami nawet godziny. Często siedział w pracy do późna. Zdecydowaną większość zapisków sporządzał po północy. Składały się na poetycki pamiętnik. Starał się znaleźć wyraźny punkt zaczepienia, trop, którego mógłby się trzymać. Ponieważ van Heerden nigdy nie poruszał spraw osobistych, uznał, że ograniczał się tylko do tego, co działo się w pracy. Nie było tam żadnych konkretnych danych, van Heerden szpikował pamiętnik synonimami i metaforami.

Afrykę Południową nazywał Ojczyzną. To było oczywiste. Ale kim był Kameleon, Matka i Dziecko? Van Heerden nie miał żony ani bliskich krewnych. Wyczytał to z notatki, którą na jego życzenie przygotował inspektor Borstlap z johannesburskiej policji. Scheepers wpisał imiona do komputera i próbował ustalić jakiś sensowny kontekst. Bez powodzenia. Język van Heerdena wymykał się, jakby autor chciał się pozbyć tego, co notował. Wyczuwa się niebezpieczeństwo, myślał Scheepers. Wyznanie. Van Heerden wpadł na trop czegoś. Cały jego obraz świata wydawał się nagle zagrożony. Pisał o krainie umarłych tak, jakbyśmy ją nosili w sobie. Miał wizję czegoś, co się załamuje. A jednocześnie wyczuwał u van Heerdena coraz większe wyrzuty sumienia i smutek.

Bez przerwy pisał o czarnych, białych, Burach, Bogu i przebaczeniu. Nigdzie jednak nie użył słowa „spisek” ani „konspiracja”. A tego mam szukać i o tym van Heerden informował prezydenta de Klerka. Dlaczego nigdzie o tym nie wspomniał?

W czwartek, w przeddzień ich wyjazdu do Nwanetsi, siedział w biurze do późna. Pogasił wszystkie światła z wyjątkiem lampy na biurku. Od czasu do czasu słyszał rozmawiających pod uchylonym oknem nocnych stróżów.

Pieter van Heerden był lojalnym podwładnym, pomyślał. Coś odkrył w tej coraz bardziej rozbitej i coraz bardziej samowolnej służbie wywiadowczej. Spisek wymierzony w państwo. Sprzysiężenie, które postawiło sobie za cel przygotowanie zamachu stanu. Van Heerden intensywnie poszukiwał organizatorów. Dużo było znaków zapytania. Van Heerden pisał wiersze o swoich lękach i krainie umarłych, którą nosił w sobie.

Scheepers spojrział na szafę z dokumentami. Przechowywał w niej między innymi dyskiety van Heerdena, których

odbiór pokwitował Wervey. Tam musi być rozwiązanie, pomyślał. Coraz bardziej chaotyczne i introwertyczne refleksje notowane na luźnych kartkach mogły stanowić jedynie część większej całości. Prawda jest z pewnością na dyskietkach.

Wcześniej rano w niedzielę 17 maja wrócili z Parku Narodowego Krugera do Johannesburga. Podwiózł Judith do domu, zjadł śniadanie i pojechał do rozłożystego gmachu prokuratury w śródmieściu Johannesburga. Miasto było opustoszałe. Miał wrażenie, że nagle wszystkich ewakuowano; raz na zawsze. Ubrojeni strażnicy wpuścili go do środka, szedł do gabinetu, słysząc echo własnych kroków.

Od razu się zorientował, że ktoś był w jego pokoju. Świadczyły o tym drobne, ledwie zauważalne zmiany. Przypuszczalnie sprzątaczką, pomyślał. Ale nie był pewien. Zaczyna mi się udzielać niepokój van Heerdena, jego poczucie zagrożenia.

Odegnał od siebie te myśli, zdjął marynarkę, otworzył szafę i wsunął pierwszą dyskietkę do stacji dysków.

W ciągu dwóch godzin posortował materiał. W plikach van Heerdena nie było nic godnego uwagi. Najbardziej uderzający wydawał się wyjątkowy porządek.

Została mu ostatnia dyskietka.

Georg Scheepers nie umiał jej otworzyć. Podejrzewał, że znajduje się na niej tajny testament van Heerdena. Na monitorze wyświetliła się prośba o podanie hasła, które otworzy bramy do rozlicznych sekretnych zakamarków. Nic z tego, pomyślał Scheepers. Hasło to jedno słowo. Może być dowolne. Ewentualnie mógłbym skorzystać z programu zawierającego kompletny zestaw słów. Ale czy hasło jest w języku angielskim czy afrikaans? Nie sądził, by udało się to rozwiązać za pomocą słownika. Van Heerden nie zabezpieczałby swojej najcenniejszej dyskietki nic

niemówiącym słowem. Z pewnością wybrał je świadomie. Scheepers podwinął rękawy koszuli, nalał sobie kawy z termosu, który przyniósł z domu, i jeszcze raz zabrał się do lektury luźnych kartek. Obawiał się, że van Heerden tak zaprogramował dyskietkę, żeby po kilku nieudanych próbach jej otworzenia zapis automatycznie się kasował. Jakbym usiłował wejść do twierdzy. Zwodzony most jest podniesiony, fosa wypełniona wodą. Istnieje tylko jeden sposób.

Wdrapać się po murze. Gdzieś muszą być wykute w kamieniu stopnie. I tego szukam. Pierwszego schodka.

O drugiej po południu ciągle niczego nie wskórał. Był zniechęcony, odczuwał lekką złość na van Heerdena i jego zabezpieczenie, którego nie mógł złamać.

Po kolejnych dwóch godzinach był bliski rezygnacji. Wyczerpał wszystkie możliwości otworzenia dyskietki. Czuł, że ani o krok nie przybliżył się do właściwego hasła. Wybór van Heerdena wynikał z określonych przesłanek, których jak dotąd nie udało mu się ustalić. Nie spodziewając się zbyt wiele, sięgnął do notatki i raportu przesłanych przez inspektora Bórstłapa. Może coś go naprowadzi na ślad? Z niechęcią przeczytał protokół obdukcji i zamknął oczy, kiedy dotarł do zdjęć zmarłego. Kto wie, czy to jednak nie było morderstwo na tle rabunkowym. Szczegółowy raport policyjny nic mu nie dał.

Na końcu w teczce od Bórstłapa był spis wszystkich przedmiotów znalezionych przez policję w gabinecie van Heerdena. Inspektor poczynił ironiczny komentarz, że nie ma gwarancji, że przełożeni zmarłego nie usunęli jakichś papierów albo sprzętów, których nie powinna oglądać policja. Pobieźnie przejrzał wykaz. Popielniczki, fotografie rodziców w ramkach, kilka litografii, podstawka na długopisy, kalendarz, podkładka do pisania. Już miał to odłożyć, kiedy nagle zwróciła jego uwagę wymieniona przez

Bórstłapa „bardzo cenna” figurka antylopy z kości słoniowej.

Wystukał słowo „antylopa”. Komputer odpowiedział prośbą o podanie poprawnego hasła. Zastanawiał się przez chwilę, po czym napisał „kudu”. Odpowiedź była negatywna. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Judith.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział. - Weź atlas zwierząt i otwórz na antylopach.

- Czym ty się właściwie zajmujesz? - zdziwiła się.

- Moje zadanie polega między innymi na sformułowaniu opinii na temat rozrostu stad podstawowych naszych antylop - skłamał. - Chcę się tylko upewnić, czy nie pominąłem żadnego gatunku.

Przyniosła atlas i odczytała wszystkie po kolei.

- O której będziesz w domu? - spytała potem.

- Albo niedługo, albo bardzo późno. Zadzwonię.

Już wiedział, o jakie słowo chodzi. Zakładając, że ta mała figurka stanowiła prawdziwy trop. Szpringbok, pomyślał. Element naszego godła państwowego. Czyżby to było takie proste?

Powoli wystukał to słowo, zwlekając z wpisaniem ostatniej litery. Odpowiedź przysła natychmiast. Błąd.

Jest jeszcze jedna możliwość. „Szpringbok” w afrikaans, czyli „Spriengboek”. Monitor od razu się rozświetlił i pojawiła się lista plików. Udało się. Wniknął w świat van Heerdena.

Aż się spocił z wrażenia. Radość włamywacza - pomyślał - który otworzył skarbiec bankowy. I przystąpił do czytania. Przed ósmą, kiedy dobrnął do końca obszernych materiałów, wiedział dwie rzeczy. Pierwsza, van Heerden został zamordowany z powodu tego, czym się zajmował. Druga, jego przeczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa było uzasadnione.

Odchylił się na krześle i rozprostował szyję.

Potem zadrzał.

Van Heerden odnotowywał wszystko z chłodną precyzją. Teraz Scheepers rozumiał, że targały nim sprzeczności. Odkrycia, których dokonał w związku ze spiskiem, spotęgowały w nim uczucie, że całe jego życie, życie Bura, opiera się na kłamstwie. Im głębiej penetrował świadomość spiskowców, tym lepiej poznawał samego siebie. W jednym człowieku miały się pomieścić dwa światy, pierwszy dochodził do głosu w zapiskach na luźnych kartkach, drugi - w chłodnych, precyzyjnych obserwacjach. W pewnym sensie van Heerden zmierzał ku własnej zagładzie.

Scheepers wstał i podszedł do okna. Gdzieś daleko były policyjne syreny. W co wierzyliśmy? Że spełnią się nasze marzenia o status quo? Że wystarczą drobne ustępstwa na rzecz Murzynów? To w gruncie rzeczy niczego nie zmienia. Ogarnęło go uczucie wstydu. Choć był jednym z tych Burów, którzy nie uważali de Klerka za zdrajcę, swoją biernością, tak jak jego żona Judith, w najwyższym stopniu przyczyniał się do kultywowania rasistowskiej polityki. On też nosił w sobie krainę umarłych. On też był winny.

Owo bezsłowne przyzwolenie stało się wodą na młyn spiskowców. Liczyli na jego bierność i cichą wdzięczność.

Znów usiadł przed monitorem.

Van Heerden dobrze się spisał. Wnioski, które Scheepers mógł wyciągnąć i którymi już następnego dnia mógł się podzielić z prezydentem de Klerkiem, nie pozostawiały cienia wątpliwości. Nelson Mandela, niekwestionowany przywódca Murzynów, miał zginąć. Tuż przed śmiercią van Heerden usiłował znaleźć odpowiedź na najważniejsze pytania: gdzie i kiedy. Zamykając komputer po raz ostatni, jeszcze jej nie znał. Ale poszlaki wskazywały na nieodległą przyszłość, gdy Mandela będzie przemawiał do większego zgromadzenia. Van Heerden sporządził listę ewentualnych miejsc i dat w najbliższych trzech miesiącach. Były na niej

między innymi Durban, Johannesburg, Soweto, Bloemfontein, Kapsztad i East London. Gdzieś poza granicami RPA przygotowywał się płatny morderca. Van Heerdenowi udało się dowiedzieć, że w jego cieniu kryją się byli agenci KGB. Nadal jednak istniało sporo niejasności.

Pozostawała jeszcze sprawa najważniejsza. Georg Scheepers ponownie przeczytał ustęp, w którym van Heerden analizował centrum decyzyjne. Pisał o „Komitecie”, kręgu luźno związanych osób, przedstawicieli wpływowych grup wśród południowoafrykańskich Burów. Ale nie wymieniał nazwisk. Jedyne, jakie znał, to Jan Kleyn i Franz Malan.

Georg Scheepers domyślał się, że Jan Kleyn to „Kameleon”. Nie znalazł jednak pseudonimu Franza Malana.

Van Heerden widział w nich głównych aktorów. Koncentrując się na nich, miał nadzieję dotrzeć do innych członków Komitetu, jego struktury i planów.

„Zamach stanu” - zanotował pod koniec ostatniego tekstu pisanego na dwa dni przed śmiercią. „Wojna domowa? Chaos?” Zostawił te pytania bez odpowiedzi.

Był jeszcze jeden zapisek z tego samego dnia, z niedzieli, zanim van Heerden trafił do szpitala. „Przyszły tydzień. Iść dalej. Bezuidenhout. 559”.

Mówi mi zza grobu, co mam robić, pomyślał Georg Scheepers. Takie były jego zamierzenia. Muszę to wykonać za niego. Tylko co? Bezuidenhout to dzielnica Johannesburga, a cyfry odsyłają do numeru domu.

Nagle poczuł ogromne zmęczenie i niepokój. Złożono na jego barki dużo większą odpowiedzialność, niż mu się początkowo wydawało.

Wyłączył komputer i zamknął dyskiety w szafie na dokumenty. Była dziewiąta. Na dworze ciemno. Policyjne syreny były bez przerwy jak czuwające nocą hieny.

Opuścił wyludniony gmach prokuratury i poszedł do samochodu. Nie precyzując tej decyzji, udał się na wschód,

do Bezuidenhout. Szybko trafił. Pod numerem 559 znajdował się dom usytuowany koło parku, który dał nazwę dzielnicy. Zatrzymał się, wyłączył silnik i zgasił reflektory. Biała willa z glazurowanej cegły. Za zaciągniętymi zasłonami paliło się światło. Na podjeździe stał samochód. Nadal był zbyt zmęczony i niespokojny, żeby pozbierać myśli. Najpierw ten długi dzień musi osiąść w jego świadomości. Przypomniawszy sobie lwicę leżącą nieruchomo nad rzeką. Podniosła się i ruszyła ku nim. Rozszarpuje nas drapieżnik.

Nagle uzmysłowił sobie rzecz najważniejszą. Nie mogło się teraz przytrafić nic gorszego od zabójstwa Nelsona Mandeli. Konsekwencje byłyby okropne. W ułamku sekundy ległyby w gruzach wszelkie nieśmiałe próby znalezienia kompromisowego rozwiązania, korzystnego dla białych i Murzynów. Puściłyby tamy, kraj ogarnąłby potop.

Pewna grupa ludzi tego właśnie chciała. Założyli Komitet, żeby zburzyć tamy.

Tyle zdążył przemyśleć, kiedy z domu wyszedł jakiś mężczyzna i wsiadł do samochodu. Jednocześnie w jednym z okien uchyliła się zasłona. Zobaczył Murzynkę, za którą stała inna Murzynka, młodsza. Starsza pomachała dłonią. Ta z tyłu nie poruszyła się.

Nie rozpoznał mężczyzny za kierownicą. Było zbyt ciemno. Ale nie miał wątpliwości, że to Jan Kleyn. Zsunął się na siedzeniu, kiedy przejeżdżał tuż obok. Gdy się wyprostował, zasłony były zaciągnięte.

Zmarszczył czoło. Dwie Murzynki? Jan Kleyn wyszedł z ich domu. Kameleon, Matka i Dziecko? Nie widział związku. Nie miał jednak powodów, by nie wierzyć van Heerdenowi. Skoro napisał, że to ważne, to znaczy, że tak jest.

Van Heerden domyślał się jakiejś tajemnicy. Muszę podjąć ten trop.

Nazajutrz zadzwonił do kancelarii prezydenta de Klerka i

poprosił o pilne spotkanie. Otrzymał odpowiedź, że prezydent może go przyjąć o dziesiątej wieczorem. W ciągu dnia sporządził raport, w którym zawarł swoje przemyślenia i wnioski. Siedząc w prezydenckiej poczekalni, gdzie go wprowadził ten sam ponury odźwierny, straszliwie się denerwował. Tego wieczora nie musiał czekać jak podczas swojej pierwszej wizyty. Punkt dziesiąta odźwierny go zaanonsował. Kiedy Scheepers wszedł do gabinetu, miał podobne uczucie jak poprzednio. Prezydent de Klerk sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Błada twarz, ciężkie worki pod oczami.

Najkrócej, jak potrafił, opowiedział o swoich dokonaniach. Na razie nic nie wspominał o domu w Bezuidenhout Park.

Prezydent de Klerk słuchał z przymkniętymi oczyma. Kiedy Scheepers skończył, siedział bez ruchu. Pomyślał, że prezydent zasnął. Po chwili de Klerk otworzył oczy i popatrzył na niego.

- Często się zastanawiam - powiedział wolno - jakim cudem jeszcze żyję. Tysiące Burów uważa mnie za zdrajcę. Tymczasem w raportach wskazuje się na Nelsona Mandelę jako potencjalną ofiarę zamachu.

Prezydent umilkł. Scheepers widział jego skupienie.

- Coś mnie niepokoi w tym raporcie - podjął. - Załóżmy, że w odpowiednich miejscach znajdują się fałszywe tropy. Wyobraźmy sobie dwa scenariusze. Według pierwszego to ja, prezydent tego kraju, mam być ofiarą. Chcę, żeby pan przeczytał raport pod tym kątem. Poza tym proszę rozważyć i taką możliwość, że ci ludzie planują zamach na mojego przyjaciela Mandelę i na mnie. Oczywiście nie odrzucam tej ewentualności, że ci szaleńcy szykują się na Mandelę. Chcę tylko, żeby się pan wszystkiemu krytycznie przyjrzał. Pieter van Heerden został zamordowany. Czyli oczy i uszy są wszędzie. Z doświadczenia wiem, że fałszywe tropy stanowią istotny element pracy wywiadu. Czy pan mnie

rozumie?

- Tak - odparł Scheepers.

- Daję panu dwa dni na wyciągnięcie ostatecznych wniosków.

- W dalszym ciągu wierzę, że Pieter van Heerden uznał za ich cel Nelsona Mandelę.

- Wierzy pan? Ja wierzę w Boga. Ale nie wiem, czy on istnieje. Nie wiem też, czy jest tylko jeden.

Scheepersa zamurowało. Zrozumiał jednak, co de Klerk ma na myśli.

Prezydent podniósł dłonie i powoli je opuścił na biurko.

- Komitet - powiedział z namysłem - chce zburzyć to, co próbujemy budować. Wycofujemy się z obecnej polityki, która okazała się błędna, a oni usiłują spowodować potop. Nie wolno dopuścić do tego, by im się to udało.

- Naturalnie.

De Klerk zastanawiał się. Scheepers czekał w milczeniu.

- Każdego dnia liczę się z tym, że rzuci się na mnie jakiś oszalały fanatyk - podjął po chwili. - Myślę o tym, co spotkało mojego poprzednika, Verwoerda. Zasztyletowany w parlamencie. Biorę to pod uwagę. Nie czuję lęku. Niepokoi mnie tylko to, że dzisiaj praktycznie nie ma nikogo, kto mógłby mnie zastąpić. - Popatrzył na Scheepersa z lekkim uśmiechem. - Pan jest jeszcze młody. Obecnie przyszłość tego kraju zależy od dwóch starych mężczyzn, Nelsona Mandeli i mnie. Dlatego byłoby dobrze, gdybyśmy obaj przez pewien czas pozostali przy życiu.

- Czy Nelson Mandela nie powinien mieć zdecydowanie większej ochrony?

- Nelson Mandela to szczególny człowiek. Nie przepada za ochroniarzami. Jak większość ludzi wybitnych. Choćby de Gaulle. Dlatego trzeba to załatwić bardzo dyskretnie. Oczywiście zadbałem o wzmocnienie ochrony, ale on nie musi o tym wiedzieć.

Audiencja dobiegła końca.

- Dwa dni - powtórzył de Klerk. - I ani dnia dłużej. Scheepers wstał i uklonił się.

- Jeszcze jedno - dodał prezydent. - Proszę nie zapominać, co się przydarzyło van Heerdenowi. Niech pan będzie ostrożny.

Dopiero kiedy wyszedł, uświadomił sobie, co takiego powiedział mu prezydent de Klerk. Również jego obserwowały czujne oczy. Zlany zimnym potem wsiadł do samochodu i pojechał do domu.

Znowu pomyślał o niemal idealnie białej lwicy w zimnym i czystym świetle księżyca.

Kurt Wallander zawsze sobie wyobrażał, że śmierć jest czarna. Teraz, stojąc na brzegu w gęstej mgle, doszedł do wniosku, że nie ma określonego koloru. Tutaj była biała.

Wydawało mu się, że słyszy chłopot fal, ale to mgła potęgowała w nim doznanie niebytu.

Kiedy było już po wszystkim i stał na poligonie otoczony niewidocznymi owcami, nie przeszła mu przez głowę ani jedna klarowna myśl. Wiedział, że Victor Mabasha nie żyje, że zabił człowieka i że Konowalenko znowu gdzieś przepadł, pochłonięty przez wszędobylską biel. Wyłonili się z niej Svedberg i Martinsson, dwa widma. Z ich twarzy odczytał własne przerażenie biorące się stąd, że koło niego leżeli martwi ludzie. Miał ochotę uciec i nigdy nie wrócić, a jednocześnie chciał ścigać Konowalenkę. Potem zapamięta te sekundy tak, jakby obserwował siebie samego z pewnej odległości. To inny Wallander stał tam i wymachiwał bronią. To nie był on, lecz ktoś, kto się chwilowo w niego wcielił. Dopiero kiedy się wydarł na Martinssona i Svedberga, żeby się trzymali z daleka, i kiedy, potykając się i ślizgając po pochyłości, został sam, powoli zaczynał rozumieć, co się stało. Victor Mabasha zginął od strzału w czoło, tak jak zginęła Louise Akerblom. Gruby mężczyzna zachwiał się i wyrzucił ramiona w górę. On też nie żył i to Wallander go zabił.

Krzyknął. Niczym samotny buczonek przeciwmgłowy. Nie ma powrotu, pomyślał z rozpaczą. Zatrącić się w tej mgle jak na pustyni, a kiedy opadnie, już mnie nie będzie.

Próbował pozbierać do kupy resztki zdrowego rozsądku, które - taką przynajmniej miał nadzieję - jeszcze mu zostały. Wracaj. Wróć do martwych mężczyzn. Tam są twoi koledzy. Razem poszukacie Konowalenki.

Nie mógł tego zrobić. Jeśli w ogóle miał jeszcze jakies obowiązki, to należało do nich wytropienie Konowalenki,

schwywanie go i przekazanie Bjórkowi lub w najgorszym wypadku zabicie go. Potem zapadłby w sen. A kiedy by się obudził, koszmar ulotniłby się raz na zawsze. Nie, nieprawda. Zastrzelenie Rykoffa będzie go prześladowało do końca życia. A skoro tak, równie dobrze może zapolować na Konowalenkę. Mętnie przeczuwał, że w ten sposób chce odpokutować za śmierć Rykoffa.

Konowalenko czaił się gdzieś we mgle. Może był tuż-tuż. Wallander wypalił prosto w biel, jakby chciał ją rozproszyć. Odgarnął z czoła zlepione potem włosy. Wtedy zauważył, że krwawi. Pewnie się skaleczył odłamkami szkła, kiedy Rykoff strzelał w szyby na Mariagatan. Spojrzał na swoje ubranie. Krew. Skapywała na piasek. Zastygł w bezruchu, wyrównał oddech i ruszył. Szedł po śladach Konowalenki. Pistolet wsunął za pas. Odbezpieczoną strzelbę trzymał na wysokości bioder. Ze śladów wnioskował, że Konowalenko przemieszczał się dość szybko, niemal biegł. Przyspieszył kroku, węsząc jak pies. Miał wrażenie, że to nie on się porusza, tylko piasek. Zauważył, że Konowalenko się zatrzymał, obejrzał i puścił biegiem w stronę łądu. Na trawie ślady będą niewidoczne. Wdrapał się na górę. Wschodnie obrzeże poligonu. Przystanął i nasłuchiwał. Daleko, za plecami, coraz ciszej rozbrzmiewała syrena. Potem tuż obok zabeczła owca. I znowu cisza. Szedł wzdłuż parkanu na północ. To był jego jedyny punkt orientacyjny. W każdej chwili Konowalenko mógł wychynąć z mgły. Próbował sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy dostanie kulkę w czoło. Bez powodzenia. Sens jego życia polegał wyłącznie na trzymaniu się blisko płotu. Konowalenko czaił się gdzieś z bronią gotową do strzału. Miał go znaleźć, to wszystko.

Dotarł do szosy na Sandhammaren. Nic, tylko mgła. Wydawało mu się, że po drugiej stronie widzi kontury konia. Zwierzę stało nieruchomo i strzygło uszami.

Wyszedł na środek jezdni i wysikał się. Z oddali dobiegł go odgłos samochodu jadącego w kierunku Kristianstadu.

Ruszył do Kasebergi. Konowalenko zniknął. Jeszcze raz mu się udało. Wallander maszerował bez celu. Łatwiej było mu iść niż stać. Marzył, by z tej bieli wyłoniła się Bajba Liepa. Niestety. Był tylko on i wilgotny asfalt.

Oparty o resztki starej palety na mleko stał rower. Ponieważ nie był zabezpieczony, Wallander uznał, że ktoś zostawił go dla niego. Przymocował strzelbę do bagażnika, zjechał z asfaltowej szosy i popedałował krzyżującymi się na polach żwirówkami. W końcu dotarł do domu ojca. Palila się tylko lampa przed drzwiami wejściowymi. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Potem ukrył rower za budynkiem gospodarczym. Wiedział, gdzie jest zapasowy klucz - w nadtluczonej doniczce na schodkach prowadzących do piwnicy. Otworzył atelier. W niewielkim pomieszczeniu bez okien ojciec trzymał farby i stare blejtramy. Zamknął za sobą drzwi i zapalił światło. Blask żarówki zaskoczył go. Jakby się spodziewał, że wszędzie jest mgła. Zimną wodą z kranu usiłował zmyć krew z twarzy. Mógł się przejrzeć w odłamku spękanego lustra na ścianie. Nie rozpoznał swoich oczu. Były wytrzeszczone, przekrwione i lękliwie rozbiegane. Przygotował kawę na brudnej płycie elektrycznej. Była czwarta rano. Wiedział, że ojciec wstaje o wpół do szóstej. Do tego czasu musi zniknąć. Potrzebuje jakiejś kryjówki. Przelatywały mu przez głowę rozmaite warianty, wszystkie bez sensu. Wreszcie wpadł na pomysł. Wypił kawę, wyszedł z atelier, przeciął podwórze i ostrożnie otworzył drzwi do domu. W przedpokoju uderzył go odór stęchlizny, typowy w mieszkaniach starych ludzi. Cisza i spokój. Zakradł się do kuchni, gdzie był telefon, i zamknął drzwi. O dziwo, pamiętał numer. Z ręką na słuchawce zastanawiał się, co ma powiedzieć. W końcu zadzwonił. Sten Widen odebrał bardzo szybko. Nie spał. Koniarze

wstają wcześniej, pomyślał.

- Sten? Tu Kurt Wallander.

Kiedys byli bliskimi przyjaciółmi. Wallander wiedział, że Sten prawie nigdy nie okazuje zaskoczenia.

- Słyszę. Dzwonisz o czwartej rano?

- Potrzebuję twojej pomocy.

Sten Widen milczał. Czekał na ciąg dalszy.

- Przyjedź po mnie. Muszę się u ciebie ukryć. Przynajmniej na kilka godzin.

- Gdzie? - spytał i zaniósł się kaszlem.

Ciągle pali te swoje cygaretki, pomyślał Wallander.

- Będę na ciebie czekał przy zjeździe na Kasebergę. Jaki masz samochód?

- Starego duetta.

- Ile ci to zajmie czasu?

- Jest gęsta mgła. Czterdzieści pięć minut. Może trochę mniej.

- Będę. Dzięki za pomoc.

Odłożył słuchawkę i opuścił kuchnię. Nie mógł się oprzeć pokusie, przeszedł przez salon, gdzie stał stary telewizor, i ostrożnie uchylił kotarę do pokoju gościnnego, w którym spała Linda. W słabym blasku lampy wiszącej przed drzwiami wejściowymi zobaczył jej włosy, czoło i kawałek nosa. Spała mocno.

Potem wyszedł z domu i posprzątał po sobie w atelier. Dojechał do głównej drogi i skręcił w prawo. Przy zjeździe na Kasebergę postawił rower za barakiem będącym własnością Urzędu Telekomunikacyjnego i czekał. Mgła nie rzedła. Nagle przemknął radiowóz. Wallander miał wrażenie, że za kierownicą rozpoznaje Petersa.

Pomyślał o Stenie Widenie. Ostatnio widzieli się przeszło rok temu. Prowadził wtedy śledztwo i przyszło mu do głowy, żeby odwiedzić go w jego stadninie koło ruin zamku w Stjarnsundzie. Trenował konie wyścigowe. Mieszkał sam,

przypuszczalnie za dużo i za często pił i łączyły go niejasne stosunki z dziewczętami, które zatrudniał. Kiedyś żyli wspólnym marzeniem. Sten Widen, dysponujący pięknym barytonem, miał zostać śpiewakiem operowym, a Wallander jego impresariem. Marzenie się rozwiało, ich przyjaźń osłabła, by w końcu przeminąć na zawsze.

Mimo to jest moim jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem, pomyślał Wallander, czekając we mgle. Poza Rydbergiem. Ale to co innego. Nigdy byśmy się do siebie nie zbliżyli, gdyby nie praca w policji.

Po czterdziestu minutach z mgły wyłonił się bordowy duett. Wallander wyszedł zza baraku i wsiadł do samochodu. Sten Widen przyglądał się jego poplamionej krwią, brudnej twarzy, ale jak zwykle nie okazał zdziwienia.

- Potem opowiem - rzucił Wallander.

- Jak chcesz.

Widen trzymał w ustach niezapaloną cygaretkę i zalaatywał alkoholem.

Minęli poligon. Wallander się skulił. Na poboczu stało kilka radiowozów. Sten Widen zwolnił. Na szosie nie było żadnych blokad. Popatrzył na usiłującego się schować Wallandera i nic nie powiedział. Minęli Ystad i Skurup i skręcili w lewo na Stjarnsund. Kiedy wjechali na teren stadniny, mgła była równie gęsta. Przed stajnią paliła papierosa siedemnastoletnia dziewczyna. Ziewała.

- Moja twarz jest znana z gazet i telewizji - powiedział Wallander. - Chciałbym pozostać anonimowy.

- Ulrika nie czyta gazet - odparł Sten Widen. - A na ekranie telewizora ogląda filmy wideo. Mam jeszcze jedną dziewczynę, Kristinę. Nic nie powie.

Weszli do zapuszczonego domu. Wallander odniósł wrażenie, że wszystko wygląda tak jak podczas jego ostatniej bytności. Sten Widen zapytał, czy nie jest głodny. Wallander twierdząco pokiwał głową i usiedli w kuchni.

Zjadł kilka kanapek i napił się kawy. Sten co jakiś czas znikał w sąsiednim pokoju. Kiedy wracał, coraz mocniej zalatywał alkoholem.

- Dziękuję, że po mnie przyjechałeś - powiedział Wallander. Sten Widen wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy.

- Chciałbym się trochę przespać, a potem ci powiem, co i jak.

- Konie trzeba oporządzić. Możesz spać tam.

I wstał. Wallander poszedł za nim. Czuł ogromne zmęczenie. Sten zaprowadził go do małego pokoju, w którym stała kanapa.

- Chyba nie mam czystej pościeli, ale dam ci koc i poduszkę.

- To aż nadto - odparł Wallander.

- Wiesz, gdzie jest łazienka?

Wallander skinął głową. Tak, pamiętał. Zdjął buty. Na podłodze zachrząścił piasek. Rzucił kurtkę na krzesło i położył się. Sten przyglądał mu się, stojąc w drzwiach.

- Co u ciebie? - spytał Wallander.

- Znowu zacząłem śpiewać.

- Musisz mi o tym opowiedzieć.

Sten Widen odszedł. Wallander usłyszał rzenie konia na podwórzu. Nim zasnął, pomyślał o Stenie. Niby wyglądał tak jak zawsze, te same zmierzwiłone włosy, ta sama egzema na szyi. A jednak coś się zmieniło.

Obudził się i w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Bolało go całe ciało. Dotknął ręką czoła. Czuł, że ma gorączkę. Leżał pod kocem, od którego zalatywało końmi. Chciał zerknąć na zegarek, ale okazało się, że go nie ma. Pewnie go zgubił w nocy. Podniósł się i poszedł do kuchni. Zegar ścienny wskazywał wpół do dwunastej. Spał przeszło cztery godziny. Mgła zrzędła. Nalał sobie kawy i usiadł przy kuchennym stole. Po chwili wstał i przepatrzył szafki w poszukiwaniu tabletek przeciwbólowych. Znalazł.

Zadzwoił telefon. Sten Widen odebrał. Rozmowa dotyczyła siana i kosztu dostawy.

Sten odłożył słuchawkę i wszedł do kuchni.

- Już na nogach?

- Potrzebowałem snu - odparł Wallander, po czym opowiedział, co się stało.

Sten Widen słuchał z kamienną twarzą. Wallander zaczął od zaginięcia Louise Akerblom i wspomniał o mężczyźnie, którego zabił.

- Musiałem się ulotnić - dodał. - Oczywiście zdaję sobie sprawę, że koledzy mnie szukają. Ale jakoś się z tego wyłgam. Skłamię, że leżałem nieprzytomny w krzakach. Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił. Zadzwoń, proszę, do mojej córki i powiedz jej, że jestem cały i zdrowy. I niech zostanie u ojca.

- Mam nie mówić, gdzie jesteś?

- Nie. Jeszcze nie. Ale powinna być przekonana, że wszystko w porządku.

Sten Widen pokiwał głową. Wallander podał mu numer. Nikt nie odbierał.

- Próbuje, dopóki się nie zgłosi.

Do kuchni weszła jedna z dziewcząt dogładających koni. Wallander kiwnął głową, a ona się przedstawiła. Kristina.

- Pojedź po pizzę - powiedział Widen. - I kup kilka gazet. W domu nie ma nic do jedzenia.

Dał jej pieniądze. Na podwórzu rozległ się odgłos silnika, po chwili duett odjechał.

- Powiedziałaś, że znowu śpiewasz - zaczął Wallander. Po raz pierwszy Sten się uśmiechnął. Wallander pamiętał ten uśmiech sprzed wielu lat.

- Jestem w chórze kościelnym w Svedali - powiedział. - Czasami śpiewam solo na pogrzebach. Stwierdziłem, że mi tego brakuje. Ale konie nie są zachwycone, kiedy słyszą mnie w stajni.

- A nie potrzebujesz impresaria? Nie wyobrażam sobie, żebym po czymś takim mógł dalej pracować w policji.

- Zabiłeś w obronie własnej. Też bym zabił. Ciesz się, że miałeś broń.

- Nikt chyba nie jest w stanie zrozumieć, jakie to uczucie.

- To minie.

- Nie.

- Wszystko mija.

Sten Widen zadzwonił ponownie. Nadal nikt nie odbierał. Wallander wziął prysznic i pożyczył od Stena koszulę. Też zalatywała końmi.

- Jak sobie radzisz? - zapytał.

- Z czym?

- Z końmi.

- Jeden jest dobry. Trzy inne może też będą niezłe. Ale Mgła jest utalentowana. Chyba uda się na niej zarobić. Kto wie, czy nie będzie miała szans na tegorocznym derby.

- Nazywa się Mgła?

- Tak, a co?

- Myślałem o ubiegłej nocy. Gdybym miał konia, może bym dogonił Konowalenkę.

- Nie na Mgle. Zrzuca tych, których nie zna. Zdolne konie często dokazują. Jak ludzie. Są pochłonięte sobą i kapryśne. Czasem się zastanawiam, czy nie chciałaby lustra w swoim boksie. Ale szybko biega.

Kristina wróciła z pizzą i gazetami. I wyszła.

- Ona nie będzie jadła? - spytał Wallander.

- Je w stajni. Dziewczęta mają tam niewielką kuchnię. -

Wziął pierwszą z brzegu gazetę. - O, jest coś o tobie.

- Wolalbym tego nie czytać. Jeszcze nie.

- Jak chcesz.

Sten Widen zadzwonił trzeci raz. Odebrała Linda. Wallander zorientował się, że zadaje mnóstwo pytań, ale Widen powiedział tylko tyle, ile trzeba.

- Bardzo jej ulżyło - poinformował, odkładając słuchawkę. - Obiecała, że zostanie tam, gdzie jest.

Jedli pizzę. Na stół wskoczył kot. Wallander dał mu kawałek. Zwierzaka też czuć było końmi.

- Mgła się przerzedza - powiedział Sten Widen. - A propos, czy mówiłem ci o tym, że byłem w Afryce Południowej?

- Nie. - Wallander zdziwił się. - Nie wiedziałem.

- Pojechałem tam, kiedy nic nie wyszło z kariery operowej. Chyba pamiętasz, że chciałem uciec od wszystkiego. Pomyślałem, że będę polował na grubego zwierzka albo zostanę poszukiwaczem diamentów w Kimberley. Pewnie coś o tym czytałem. No i poleciałem do Kapsztadu. Po trzech tygodniach miałem dosyć. Dałem nogę i wróciłem na stare śmieci. A kiedy zmarł ojciec, zająłem się końmi.

- Zwiąłeś?

- Było mi wstyd, że tak się tam traktuje czarnych. W swoim kraju chodzili z czapkami w rękę i przepaszali, że żyją. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem i nigdy tego nie zapomnę.

Wytarł usta i wyszedł. Wallander myślał o tym, co usłyszał. Potem uznał, że niedługo będzie musiał pojechać do komendy.

Podszedł do telefonu. Znalazł to, czego szukał. Otworzył do połowy opróżnioną butelkę whisky i wypił solidny łyk. Jeden, drugi... Przez okno zobaczył Stena na cisawym koniu.

Najpierw ktoś się do mnie włamuje, pomyślał, potem wysadzają mi mieszkanie. Co będzie teraz?

Położył się na kanapie i podciągnął koc pod brodę. Gorączkę sobie wmówił, ból głowy minął. Zaraz będzie musiał wstać.

Victor Mabasha nie żyje. Zastrzelił go Konowalenko. Śledztwo w sprawie zaginięcia i śmierci Louise Akerblom znaczą trupy. Nie widział żadnego wyjścia. Jak uda im się schwycić Konowalenkę?

Chwilę później zasnął. Obudził się po czterech godzinach.

Sten Widen siedział w kuchni nad popołudniówką.

- Jesteś poszukiwany - powiedział. Wallander spojrzął na niego tępo.

- Kto?

- Ty. Rozesłali za tobą listy gończe. Poza tym można się domyślić między wierszami, że doznałeś chwilowego zaciemnienia umysłu.

Wallander wyrwał mu gazetę z rąk. Zamieścili jego zdjęcie. I Bjórka. Sten mówił prawdę. Rzeczywiście był poszukiwany. On i Konowalenko. W dodatku rzekomo miał problemy z samym sobą.

Spojrzął na Stena Widena wystraszony.

- Zadzwoń do Lindy.

- Już to zrobiłem i powiedziałem, że jesteś przy zdrowych zmysłach.

- Uwierzyła ci? - Tak.

Wallander siedział bez ruchu. Po chwili podjął decyzję. Będzie grał tę rolę, którą mu przydzielono. Chwilowo nie zrównoważonego, zaginionego i ściganego listem gończym inspektora z Ystadu. To mu da coś, czego potrzebował najbardziej. Czas.

Kiedy Konowalenko dostrzegł Wallandera we mgle, tuż obok stada owiec, przyznał nie bez zdziwienia, że napotkał równego sobie przeciwnika. Ledwie Victor Mabasha osunął się martwy na ziemię, usłyszał przeraźliwy krzyk. Odwrócił się i zobaczył tego korpulentnego policjanta z prowincji, który raz po raz rzucał mu wyzwanie. Teraz już wiedział, że go nie docenił. Rykoff został trafiony dwiema kulami w klatkę piersiową. Zasłaniając się Afrykaninem jak tarczą, zszedł stromym zboczem na brzeg, przekonany, że Wallander ruszy za nim, że się nie podda. Nie ulegało wątpliwości, że jest groźnym przeciwnikiem.

Biegł plażą we mgle. Zadzwoił z komórki do Tani, która

siedziała w samochodzie przy rynku. Dopadł parkanu, wydostał się na szosę i zauważył na drogowskazie nazwę miejscowości: Kaseberga. Poinstruował Tanie, którą ma jechać, uprzedzając, żeby prowadziła ostrożnie. Nie wspomniał o śmierci Władimira. Zrobi to później. Cały czas oglądał się za siebie. Gdzieś w pobliżu czaił się Wallander, pierwszy bezwzględny Szwed, z jakim się zetknął. Ale nie do końca ufał swoim odczuciom. Wallander był przecież prowincjonalnym gliną. W jego zachowaniu coś się nie zgadzało.

Kiedy przyjechała Tania, usiadł za kierownicą i udali się do wynajętego domu pod Tomelillą.

- Gdzie Władimir? - spytała.

- Musieliśmy się rozdzielić. Zabiorę go później.

- Co z Afrykaninem?

- Nie żyje.

- A policjant?

Milczał. Zrozumiała, że coś się nie powiodło. Konowalenko prowadził za szybko. Był zdenerwowany. Podejrzewała, że Władimir nie żyje. Nic jednak nie powiedziała, powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć. Dopiero kiedy weszli do domu, gdzie przywitało ich obojętne spojrzenie Tsikiego, zaczęła krzyczeć. Konowalenko uderzył ją w twarz otwartą dłonią. Ponieważ to jej nie uciszyło, wmusił w nią sporą dawkę silnych proszków uspokajających. Sikosi Tsiki siedział na kanapie i patrzył na nich. Konowalenko miał wrażenie, że występuje na scenie i że Tsiki jest jedynym ważnym widzem. Kiedy Tania zapadła w głęboki sen graniczący z utratą przytomności, Konowalenko się przebrał i nalał sobie wódki. Pozbycie się Victora Mabashy nie przyniosło mu spodziewanej satysfakcji. Rozwiązywało jedynie problemy praktyczne, zwłaszcza w jego delikatnych relacjach z Janem Klynem. Wiedział, że Wallander nie da mu spokoju.

Nie zrezygnuje, znowu podejmie trop.

Wychylił drugi kieliszek.

Afrykanin jest jak bezgłośne zwierzę, pomyślał. Bez przerwy na mnie patrzy, ani sympatycznie, ani niesympatycznie, po prostu patrzy. Nic nie mówi, o nic nie pyta. Gdyby mu kazano, siedziałby tak dzień za dniem.

Na razie Konowalenko nie miał mu nic do powiedzenia. Z każdą minutą Wallander jest coraz bliżej. Trzeba pomyśleć o ofensywie. Przygotowania do zamachu w Afryce Południowej muszą poczekać.

Znał słaby punkt Wallandera. I tam właśnie zamierzał uderzyć. Ale gdzie jest córka? Zapewne niedaleko, przypuszczalnie w Ystadzie. W każdym razie nie na Mariagatan.

W ciągu godziny obmyślił plan. Dość ryzykowny, ale w wypadku tego zdumiewającego policjanta nie istniały żadne bezpieczne strategie.

Ponieważ Tania stanowiła klucz jego planu, musiał poczekać, aż się obudzi. Ale ani przez chwilę nie zapomniał, że Wallander gdzieś jest we mgle i ciemnościach i że podchodzi coraz bliżej.

- Rozumiem, że ten tęgi mężczyzna nie wróci - odezwał się nagle Sikosi Tsiki.

Miał głęboki głos i mówił po angielsku ze śpiewnym akcentem.

- Popełnił błąd - odparł Konowalenko. - Był zbyt powolny.

Sikosi Tsiki nic więcej nie powiedział tej nocy. Podniósł się z kanapy i poszedł do swojego pokoju. Konowalence bardziej się spodobał następca Mabashy przysłany przez Jana Kleyna. Nie omieszka o tym wspomnieć, kiedy jutro wieczorem zadzwoni do Afryki Południowej.

Tylko on nie spał. Zasłony były starannie zaciągnięte. Dolał sobie wódki.

Położył się przed piątą rano.

Tania zjawiała się w ystadzkiej komendzie kilka minut przed pierwszą po południu w sobotę 16 maja. Jeszcze nie doszła do siebie po szoku spowodowanym śmiercią męża i po sporej dawce prozków uspokajających, którymi ją naszpikował Konowalenko. Była jednak zdeterminowana. To Wallander zabił Władimira, policjant, który złożył im wizytę w Hallundzie. Konowalenko opowiedział jej, jak zginął mąż. Nie miało to nic wspólnego z prawdą. Tak czy inaczej, Tania uznała Wallandera za wyjątkowo okrutnego sadystę i potwora. Ze względu na Władimira wystąpi w roli, którą powierzył jej Konowalenko. Dzięki temu nadejdzie taki moment, kiedy będą go mogli zabić.

Weszła do recepcji.

- W czym mogę pomóc? - spytała z uśmiechem kobieta siedząca za szybą.

- Chciałabym zgłosić włamanie do samochodu - powiedziała Tania.

- Oj! Sprawdzę, czy ktoś będzie mógł panią przyjąć. Wszystko dzisiaj stoi na głowie.

- Rozumiem. Straszne rzeczy się dzieją.

- Nigdy nie przypuszczałam, że w Ystadzie może do czegoś takiego dojść - przyznała recepcjonistka. - Cóż, nigdy nic nie wiadomo.

Łączyła się kilkakrotnie, w końcu ktoś odebrał.

- Martinsson? Masz czas na włamanie do samochodu? Do uszu Tani dobiegł wzburzony głos. Recepcjonistka nie dawała za wygraną.

- Mimo wszystko musimy normalnie funkcjonować - powiedziała. - Nie udało mi się złapać nikogo prócz ciebie. To nie zajmie dużo czasu.

Mężczyzna uległ.

- Przyjmie panią inspektor Martinsson. Trzecie drzwi po lewej.

Tania zapukała i weszła do pokoju, w którym panował

kompletny chaos. Rieczony inspektor wyglądał na zmęczonego i podminowanego. Na biurku piętrzyły się papiery. Popatrzył na nią, nie kryjąc irytacji. Poprosił, żeby usiadła, i zaczął szukać po szufladach stosownego formularza.

- Włamanie do samochodu - mruknął.

- Tak. Złodzieje ukradli mi radio.

- Nic nowego.

- Przepraszam, czy mogłabym dostać szklankę wody? Dokucza mi suchy kaszel.

Martinsson spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Naturalnie.

Wstał i wyszedł z pokoju.

Tania od razu zauważyła na biurku notes z adresami. Błyskawicznie zajrzała pod literę W. Znalazła domowy numer Wallandera na Mariagatan i numer telefonu jego ojca. Zapisała ten ostatni na kartce, którą wyjęła z kieszeni płaszcza, po czym odłożyła notes na miejsce i rozglądała się po pokoju.

Martinsson wrócił ze szklanką wody dla niej i z kubkiem kawy dla siebie. Zadzwoił telefon. Zdjął słuchawkę z widełek i przystąpił do zadawania pytań. Opowiedziała o rzekomym włamaniu. Podała zapamiętany numer rejestracyjny samochodu zaparkowanego w śródmieściu. Skradziono radio i reklamówkę z alkoholem. Martinsson wypełnił, co trzeba, i poprosił ją o przeczytanie zgłoszenia. Przeczytała i podpisała się. „Irma Alexanderson”. Zamieszkała na Malmövägen. Zwróciła formularz Martinssonowi.

- Na pewno bardzo się pan niepokoi o kolegę - powiedziała uprzejmie. - Jak on się nazywa? Wallander?

- Tak. Nie jest łatwo.

- Myślę o jego córce. Jakiś czas temu uczyłam ją muzyki. Potem przeprowadziła się do Sztokholmu.

Martinsson spojrział na nią z pewnym zainteresowaniem.

- Teraz jest tutaj.

- Ach, tak. Wobec tego miała wielkie szczęście, kiedy wybuchł ten straszny pożar.

- Jest u dziadka - odparł Martinsson, kładąc słuchawkę na widełki.

Tania wstała.

- Nie będę dłużej zawracać panu głowy. Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co - powiedział Martinsson i uścisnął jej rękę na pożegnanie.

Tania była pewna, że natychmiast o niej zapomni, a jeśli nie, to i tak jej nie rozpozna, ponieważ blond włosy ukryła pod ciemną peruką.

Skinęła głową recepcjonistce, przebiła się przez tłum dziennikarzy zaproszonych na konferencję prasową, która miała się wkrótce rozpocząć, i wyszła z komendy.

Konowalenko czekał na nią w samochodzie na pobliskiej stacji benzynowej.

- Córka Wallandera jest u jego ojca - powiedziała. - Mam numer telefonu.

Konowalenko popatrzył na nią i uśmiechnął się.

- No to ją mamy. A jak mamy ją, to mamy i jego.

Wallanderowi śniło się, że idzie po wodzie. Był w niebieskiej krainie. Niebieskie niebo zasnuwały postrzępione chmury, w oddali niebieszczył się las, a na skale odpoczywały niebieskie ptaki. Nie wspominając o niebieskim morzu, po którym szedł. Gdzieś czaił się Konowalenko. Szedł po jego śladach odcisniętych na piasku. Nie prowadziły jednak w kierunku łądu, przeciwnie, ginęły w wodzie. We śnie, co oczywiste, też się tam udał. Pod stopami czuł drobniutkie odłamki szkła. Bez trudu utrzymywał się na pofałdowanej powierzchni. Konowalenko był za niebieskimi szkierami, blisko horyzontu.

Pamiętał ten sen, kiedy się obudził wcześniej rano w niedzielę 17 maja. Leżał na kanapie w domu Stena Widena. Cicho wszedł do kuchni i spojrzął na zegar. Wpół do szóstej. Rzucił okiem na sypialnię Stena. Nikogo. Doglądał koni. Nalał sobie kawy i usiadł przy kuchennym stole.

Jego sytuacja była na swój sposób klarowna. Poszukiwano go listem gończym. Nikt go nie posądzał o dokonanie przestępstwa, ale mógł być ranny lub martwy. Celował z broni do swoich kolegów, co świadczyło o tym, że jest nie zrównoważony psychicznie. Namierzenie inspektora Wallandera z Ystadu było niezbędnym do schwytania Konowalenki. Kiedy Sten Widen powiedział mu, co doniosły popołudniówki, postanowił przyjąć narzuconą mu rolę. Dzięki temu powinien zyskać na czasie, którego potrzebował do odszukania i, w razie konieczności, zabicia Konowalenki.

Wallander uświadomił sobie, że stał się ofiarą. Nie wierzył, by policja schwytala Konowalenkę, nie ponosząc przy tym strat w ludziach. Postanowił załatwić to sam. Przeraziła go ta myśl, ale uznał, że nie ma innego wyjścia. Musi dokończyć to, czego się podjął, bez względu na konsekwencje.

Próbował się wczuć w położenie Konowalenki. Na pewno dał mu się we znaki. Nawet jeśli nie traktował go jako równorzędnego przeciwnika, musiał przyjąć do wiadomości, że jest policjantem, który chodzi własnymi drogami, i że nie zawaha się użyć broni. Powinien nabrać do niego pewnego szacunku. Wallander nigdy się nie narażał na niepotrzebne ryzyko. Był tchórzliwy i ostrożny. Skrajne reakcje świadczyły o jego desperacji. Niech Konowalenko żyje w przeświadczeniu, że jestem kimś innym.

Próbował sobie wyobrazić plany Konowalenki. Wrócił do Skanii i udało mu się zlikwidować Victora Mabashę. Wątpił, by działał na własną rękę. Miał do pomocy Rykoffa. Ale jakim cudem się wymknął? Na pewno dzięki Tani i może jakimś innym pomagierom. Przedtem wynajęli dom na fałszywe nazwisko. Kto wie, czy i teraz nie znaleźli czegoś na odludziu.

Victor Mabasha nie żyje. I co dalej? Co z zamachem? Co z tajną organizacją, która pociąga za sznurki, i z Konowalenką? Czy akcja zostanie odwołana? Czy ci anonimowi ludzie robią swoje?

Pijąc kawę, pomyślał, że może zrobić tylko jedno. Dać się złapać Konowalence. Wdzierając się do mieszkania na Mariagatan, szukali również jego. Victor Mabasha tuż przed śmiercią powiedział, że nie wie, gdzie jest Wallander.

W przedpokoju dały się słyszeć kroki. Wszedł Sten Widen. Miał na sobie brudny kombinezon i upaprane gliną kalosze.

- Dzisiaj są zawody w Jagersro - powiedział. - Chciałbyś się wybrać?

Jasne, czemu nie? Byleby zająć myśli czymś innym.

- Czy Mgła pobiegnie? - spytał.

- Tak, i wygra. Ale nie wydaje mi się, żeby ją obstawiali. Masz szansę na niej zarobić.

- Skąd wiesz, że wygra?

- Jest kapryśna, ale dzisiaj ma ochotę zawalczyć. Przeczuwa,

że szykuje się coś poważnego. Poza tym konkurenci nie dopisali. Będzie wprawdzie kilka koni z Norwegii, o których niewiele wiem, ale sądzę, że sobie z nimi poradzi.

- Kto jest jej właścicielem?

- Niejaki Moreli. Biznesmen.

Wallander zareagował na to nazwisko. Niedawno gdzieś je słyszał. Ale gdzie?

- Ze Sztokholmu?

- Nie, ze Skanii. Mieszka w Malmö.

Już sobie przypomniiał. Peter Hanson i pompy. Paser Moreli.

- A czym on się konkretnie zajmuje? - zapytał.

- Szczerze mówiąc, to dosyć podejrzany typ. Chodzą rozmaite słuchy. Ale wnosi regularnie opłaty. Nie wtrącam się do tego, skąd pochodzą pieniądze.

Wallander nie miał więcej pytań.

- Chyba się jednak z wami nie zabiorę - powiedział.

- Ulrika zrobiła zakupy. Wyjeżdżamy za dwie godziny. Musisz sobie radzić sam.

- A duett zostaje?

- Możesz go pożyczyć, tylko zatankuj. Zawsze o tym zapominam.

Wallander widział, jak wprowadzają konie do dużego wozu transportowego i odjeżdżają. Chwilę później on też opuścił posesję. W Ystadzie zaryzykował i skręcił na Mariagatan. W miejscu, gdzie było jego okno, widniała osmalona dziura w ścianie. Straszne. Zatrzymał się na kilka sekund, po czym wyjechał z miasta. Mijając poligon, zauważył zaparkowany w głębi radiowóz. Teraz, kiedy mgła opadła, odległości wydały mu się mniejsze. Dotarł do przystani w Kaseberdze. Istniało niewielkie ryzyko, że zostanie rozpoznany. Na zdjęciu zamieszczonym w gazetach nie był szczególnie do siebie podobny. Problem polegał na tym, że mógł się natknąć na kogoś znajomego. Zadzwoił z automatu do

ojca. Tak jak przypuszczał, odebrała Linda.

- Gdzie jesteś? - spytała. - Co ty wyprawiasz?
- Słuchaj uważnie. Czy ktoś może cię słyszeć?
- Niby kto? Dziadek maluje.
- Nikt poza tym?
- Przecież mówię, że nikogo tu nie ma!

- Czy policja nie obserwuje domu? Nie stoi na drodze żaden samochód?

- Na polu stoi traktor Nilsonów.
- Nic więcej?
- Nikogo tu nie ma, tato. Skończ już z tymi pytaniami.
- Zaraz tam będę. Nic nie mów dziadkowi.
- Wiesz, co jest w gazetach?
- Potem o tym porozmawiamy.

Odwiesił słuchawkę i pomyślał zadowolony, że do tej pory nie udało się stwierdzić, że to on zabił Rykoffa. Nawet gdyby koledzy wiedzieli, nie wypuściliby tej informacji przed jego powrotem do komendy. Po tylu latach pracy w policji był tego pewien.

Z Kasebergi pojechał prosto do domu ojca. Zaparkował na szosie i ostatni odcinek przebył na piechotę.

Czekała na niego w drzwiach. W przedpokoju objęła go. Milczeli. Nie znał jej myśli, miał jednak przeświadczenie, że stają się sobie coraz bliżsi i że słowa nie zawsze są potrzebne.

Usiedli przy stole w kuchni.

- Dziadek jeszcze długo tu nie przyjdzie - powiedziała. - Mogłabym się od niego uczyć dyscypliny pracy.

- Albo oślego uporu. Jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

Po chwili Wallander znów spoważniał. Opowiedział o tym, co się stało, i dlaczego przyjął rolę poszukiwanego, na poły nieobliczalnego policjanta.

- Co w ten sposób zyskasz?

Nie umiał rozstrzygnąć, czy w pytaniu córki kryje się lęk, czy nieufność.

- Chcę go zwabić. Wiem, że nie tworzę żadnej jednoosobowej armii. Ale sam muszę zrobić pierwszy krok, żeby to wszystko zakończyć.

Szybko zmieniła temat, jakby chciała zaprotestować przeciwko temu, co usłyszała.

- Czy Victor Mabasha bardzo cierpiał?

- Nie. To się odbyło błyskawicznie. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że umiera.

- Co się z nim teraz stanie?

- Nie wiem. Przypuszczalnie zrobią obdukcję, a potem to już sprawa jego rodziny, czy będzie pochowany tutaj, czy w Afryce Południowej. Jeśli stamtąd pochodził.

- Kim on właściwie był?

- Nie wiem. Czasami wydawało mi się, że miałem coś w rodzaju kontaktu z nim, ale często mi się wymykał. Nie mogę powiedzieć, żebym znał jego myśli. Był szczególny, niezwykle skomplikowany. Jeśli taki jest skutek życia w Afryce Południowej, to nie życzylbym takiej ojczyzny nawet najgorszemu wrogowi.

- Chcę ci pomóc.

- I pomożesz. Zadzwoń do komendy i poproś Martinssona.

- Nie o to mi chodzi. Chciałabym zrobić coś, czego nie może zrobić nikt inny.

- Tego nie da się zaplanować zawczasu. Jeśli w ogóle. To się po prostu dzieje.

Zadzwoiła do komendy, ale nie udało im się namierzyć Martinssona. Przykryła słuchawkę dłonią i zapytała, co teraz. Wallander wahał się. W końcu uznał, że nie może czekać i nie ma wyboru. Powiedział, żeby poprosiła do telefonu Svedberga.

- Siedzi na zebraniu. Nie może wyjść.

- Przedstaw się, powiedz, że to ważne.

Po kilku minutach Svedberg się odezwał. Linda przekazała słuchawkę Wallanderowi.

- To ja, Kurt - zaczął. - Powstrzymaj się od reakcji. Gdzie teraz jesteś?

- U siebie w pokoju.

- Zamknąłeś drzwi?

- Chwileczkę.

Wallander usłyszał trzask drzwi.

- Gdzie jesteś, Kurt?

- Tam, gdzie nigdy mnie nie znajdziecie.

- Do diabła!

- Słuchaj i nie przerywaj! Muszę się z tobą spotkać. Pod warunkiem, że nikomu o tym nie powiesz. Ani Bjorkowi, ani Martinssonowi, nikomu. Jeśli mi tego nie obiecasz, natychmiast się rozłączam.

- Siedzimy w sali zebrań i zastanawiamy się, jak zintensyfikować poszukiwania ciebie i Konowalenki. To nieco absurdalne, że miałbym tam wrócić i nie wspomnieć, że właśnie z tobą rozmawiałem.

- Nic na to nie poradzę. Mam swoje powody. Zamierzam wykorzystać to, że jestem poszukiwany.

- Jak?

- Powiem ci, kiedy się zobaczymy. No, decyduj się!

W słuchawce zaległa cisza. Wallander czekał. Nie potrafił przewidzieć odpowiedzi.

- Dobrze.

- Na pewno? - Tak.

Wallander opisał mu drogę do Stjarnsundu.

- Za dwie godziny - powiedział. - Wyrobisz się?

- Już ja się o to postaram, żeby się wyrobić. Wallander zakończył rozmowę.

- Chcę, żeby ktoś wiedział, co robię.

- Na wypadek, gdyby się coś stało?

Zapytała tak nieoczekiwanie, że nie zdążył wymyślić

żadnego wykrętu.

- Tak - przyznał. - Na wypadek, gdyby coś się stało. Wypił jeszcze jedną kawę. Przed wyjściem zawahał się.

- Nie chciałbym cię dodatkowo stresować - powiedział - ale byłoby dobrze, gdybyś przez kilka najbliższych dni nie opuszczała domu. Nic się nie wydarzy. Po prostu będę spokojniej spał.

Pogłaskała go po policzku.

- Zostanę tu. Nie martw się.

- Góra dwa dni. Mam nadzieję, że potem ten koszmar się skończy i zacznę się oswajać z myślą, że zabiłem człowieka.

Odwrócił się i wyszedł, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. We wstecznym lusterku zobaczył, że stoi na drodze i patrzy za nim.

Svedberg stawiał się punktualnie. Za dziesięć trzecia wjechał na podwórze.

Wallander włożył kurtkę i wyszedł mu na spotkanie.

Svedberg spojrział na niego i pokręcił głową.

- Co ty robisz? - zapytał.

- Myślę, że wiem, co robię. Dziękuję, że przyjechałeś. Ruszyli na most przerzucony nad fosą opasującą ruiny zamku. Svedberg zatrzymał się, oparł o poręcz i patrzył w zamyśleniu na zieloną breję.

- To się w głowie nie mieści - powiedział.

- Doszedłem do wniosku, że prawie zawsze postępujemy wbrew własnym przekonaniom. Wydaje nam się, że możemy do czegoś nie dopuścić, jeśli nie przyjmiemy tego do wiadomości.

- Ale dlaczego Szwecja? Dlaczego wybrali ten kraj na swoją bazę?

- Victor Mabasha miał prawdopodobne wyjaśnienie.

- Kto?

Wallander zdał sobie sprawę, że Svedberg nie zna nazwiska zabitego Afrykanina. Powtórzył je.

- Po pierwsze, dlatego - podjął - że jest tu Konowalenko, a po drugie, żeby mieć zasłonę dymną. Ludzie, którzy stoją za tym zamachem, nie mogą zostawiać żadnych śladów. W Szwecji łatwo się ukryć. Można niepostrzeżenie przekraczać nasze granice. Mabasha przytoczył porównanie. Powie dział, że Afryka Południowa jest jak kukulka, która często składa jajka w cudzych gniazdach.

Ruszyli ku ruinom zamku. Svedberg rozglądał się.

- Nigdy tu nie byłem - przyznał. - Ciekawe, jak w tam tych czasach wyglądało życie policjanta.

W milczeniu patrzyli na pozostałości murów.

- Chyba rozumiesz, że Martinsson i ja byliśmy wstrząśnięci - odezwał się Svedberg. - Byłeś zakrwawiony, rozczochrany i w każdej ręce trzymałeś broń, którą na dokładkę wymachiwałeś.

- Tak, rozumiem.

- Ale popełniliśmy błąd, mówiąc Bjórkowi, że wyglądałeś jak wariat.

- Czasami się zastanawiam, czy rzeczywiście tak nie jest.

- Co chcesz zrobić?

- Chcę sprowokować Konowalenkę, żeby mnie ścigał. Sądzę, że to jedyna możliwość wywabienia go z kryjówki.

Svedberg spojrział na niego z powagą.

- To niebezpieczne.

- Nie tak bardzo, jeśli zagrożenie można przewidzieć - odparł, zastanawiając się jednocześnie, co właściwie ma na myśli.

- Potrzebna ci obstawa.

- Wtedy się nie pojawi. Najpierw się upewni, czy jestem sam, i dopiero wtedy zaatakuję.

- Zaatakuję?

Wallander wzruszył ramionami.

- Będzie chciał mnie zabić. Ale się postaram, żeby mu się to nie udało.

- Jak?

- Jeszcze nie wiem.

Svedberg zerknął na niego pytająco. Zawrócili i znów przystanęli na moście.

- Mam tylko jedną prośbę - powiedział Wallander. - Niepokoję się o córkę. Konowalenko jest nieobliczalny. Chciałbym, żebyście zapewnili jej ochronę.

- Bjórk zażąda wyjaśnień.

- Wiem. Dlatego ciebie o to proszę. Porozmawiaj z Martinssonem. Bjórk nie musi o niczym wiedzieć.

- Spróbuję. Rozumiem twój niepokój. Zeszli z mostu i ruszyli pod górę.

- Wczoraj Martinsson rozmawiał z pewną kobietą, która zna twoją córkę - zaczął Svedberg, żeby pomówić o czymś przyjemniejszym.

Wallander zdumiał się.

- Gdzie rozmawiał? U siebie w domu?

- Nie, w komendzie. Przyszła zgłosić włamanie do samochodu. Uczyła Linde. Dokładnie nie pamiętam.

Wallander stanął jak wryty.

- Jeszcze raz. Od początku. Svedberg powtórzył zdanie po zdaniu.

- Jak ona się nazywa? - spytał Wallander.

- Nie mam pojęcia.

- Jak wyglądała?

- Musisz zapytać Martinssona.

- Spróbuj sobie przypomnieć, co ci powiedział! Svedberg zastanawiał się.

- Piliśmy kawę. Martinsson narzekał, że bez przerwy ktoś mu przeszkadza. Mówił, że od tego natłoku zajęć dostanie wrzodów żołądka. „Gdybyśmy przynajmniej mieli z głowy włamania do samochodów. Była u mnie kobieta, której ktoś obrobił samochód. Pytała o córkę Wallandera. Chciała wiedzieć, czy Linda ciągle mieszka w Sztokholmie”. To tyle.

- A co na to Martinsson? Powiedział, że Linda jest tutaj?

- Nie wiem.

- Musimy do niego zadzwonić.

Wallander przyspieszył kroku. Po chwili puścił się biegiem. Svedberg pobiegł za nim.

- Dzwon - rzucił, kiedy wpadli do domu. - Spytaj o nazwisko tej kobiety i czy jej powiedział, gdzie jest Linda. Gdy by był ciekaw, po co ci te informacje, powiedz, że później mu wszystko wytłumaczysz.

Svedberg skinął głową.

- Nie wierzysz w to włamanie?

- Nie wiem. Ale nie mogę ryzykować.

Svedberg niemal od razu złapał Martinssona. Coś notował. Wallander podejrzewał, że pytania Svedberga kompletnie zaskoczyły Martinssona.

Po rozmowie Svedberg zaczął podzielać niepokój Wallandera.

- Mówi, że wspomniał.

- O czym?

- Że Linda mieszka u dziadka.

- Dlaczego to powiedział?

- Bo go zapytała.

Wallander spojrział na kuchenny zegar.

- Dzwon tam. Może odebrać ojciec. O tej porze je obiad.

Poproś do telefonu Lindę. Potem oddasz mi słuchawkę.

Rozbrzmiało wiele sygnałów, zanim ktoś się zgłosił. Ojciec. Svedberg spytał o córkę, otrzymał odpowiedź i szybko się rozłączył.

- Poszła nad morze - powiedział. Wallander poczuł ucisk w żołądku.

- Mówiłem jej, żeby siedziała w domu.

- Pół godziny temu - dodał Svedberg.

Wskoczyli do samochodu Svedberga. Jechali bardzo szybko.

Wallander milczał. Svedberg zerkał na niego od czasu do

czasu i nic nie mówił.

Dotarli do bocznej drogi na Kasebergę.

- Jedź prosto - rzucił Wallander. - Skrećimy w następną. Zaparkowali jak najbliżej wzniesienia. W pobliżu nie było żadnych innych samochodów. Pobiegli na brzeg. Wallander był bliski paniki. Znow czuł na karku oddech Konowalenki.

- Może siedzi gdzieś za wydumą - powiedział.

- Skąd wiesz, że jest właśnie tutaj? - spytał Svedberg.

- To jej plaża. Ile razy mówi, że wybiera się nad morze, zawsze ma na myśli to miejsce. Rozejdźmy się.

Svedberg poszedł w kierunku Kasebergi, a Wallander - na wschód. Próbował sobie wmówić, że martwi się niepotrzebnie. Nic jej się nie stało. Ale nie mógł zrozumieć, dlaczego mimo obietnicy nie została w domu. Czyżby nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji? Po tym, co się wydarzyło?

Od czasu do czasu odwracał się i patrzył na Svedberga. Na razie żadnego rezultatu. Nagle pomyślał o Robercie Akerblomie. On na pewno by się modlił. Ja nie mam Boga, nie mam nawet duchów jak Victor Mabasha. Wszystko, co mam, to radość i smutek.

Na wzniesieniu stał jakiś mężczyzna z psem i wpatrywał się w morze. Wallander spytał go, czy nie widział samotnej dziewczyny spacerującej plażą. Mężczyzna pokręcił głową. Był tutaj od dwudziestu minut i nikogo w tym czasie nie zauważył.

- A może widział pan mężczyznę? - zapytał Wallander i podał rysopis Konowalenki.

Mężczyzna ponownie pokręcił głową.

Wallander ruszył dalej. Marzył, mimo że wiatr niósł z sobą wiosenne ciepło. Przyspieszył kroku. Plaża wydawała się nie mieć końca. Znow się odwrócił. Svedberg był daleko. Nie sam. Ktoś stał obok niego. Nagle zaczął machać ręką do Wallandera.

Wallander puścił się biegiem. Zadyszany, spojrzął na córkę. Z trudem łapał oddech.

- Miałaś się nie ruszać z domu - powiedział po chwili.

- Nie sądziłam, że spacer po plaży w biały dzień może być niebezpieczny - odparła. - Przecież różne straszne rzeczy dzieją się w nocy.

Usiadł z nią na tylnym siedzeniu. Svedberg prowadził.

- Co powiedzieć dziadkowi? - spytała.

- Nic. Porozmawiam z nim wieczorem. Jutro zagramy w karty. Na pewno się ucieszy.

Pożegnali się niedaleko domu. Svedberg i Wallander wrócili do Stjarnsundu.

- Chciałbym, żeby od dzisiaj miała ochronę - powiedział Wallander.

- Pomówię z Martinssonem - obiecał Svedberg. - Jakoś to załatwimy.

- Jeden radiowóz na szosie. Żeby było widać, że dom jest pod obserwacją. Potrzebuję dwóch dni. Chciałbym, żebyś tu do mnie od czasu do czasu dzwonił.

- Co mam powiedzieć Martinssonowi?

- Sam wpadłeś na to, żeby obserwować dom mojego ojca. Wymyśl jakieś sensowne argumenty.

- Nadal nie chcesz, żeby o wszystkim wiedział?

- Wystarczy, że ty wiesz.

Svedberg odjechał. Wallander usmażył sobie jajka. Dwie godziny później konie były z powrotem.

- Wygrała? - zapytał, kiedy Sten Widen wszedł do kuchni.

- Wygrała. Ale ledwie ledwie.

Peters i Noren siedzieli w radiowozie i pili kawę. Byli nie w humorze. Svedberg zlecił im pilnowanie domu, w którym mieszkał ojciec Wallandera. Nic gorszego nie mogło ich spotkać. Mieli tu tkwić, dopóki nie przyjadą zmiennicy. Czyli ładne parę godzin. Było kwadrans po jedenastej w nocy.

- Jak myślisz, co się dzieje z Wallanderem? - zapytał Peters.
- Nie wiem - odpowiedział Noren. - Ile razy mam ci powtarzać, że nie wiem!
- Trudno się nad tym nie zastanawiać. Kto wie, czy on nie jest alkoholikiem.
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Nie pamiętasz, jak go zatrzymaliśmy za jazdę po pijaku?
- To wcale nie znaczy, że jest alkoholikiem.
- Jasne, ale może znaczyć.

Noren wysiadł, żeby się wysikać, i właśnie wtedy zobaczył łunę. Pomyślał, że to odbłask świateł samochodowych. Ale po chwili dostrzegł dym.

- Pożar! - zawołał. Peters wyszedł z wozu.

- Czyżby palił się las? - zdziwił się Noren.

Płomienie buchały z pobliskiego zagajnika. Ponieważ teren był pofałdowany, nie mogli precyzyjnie zlokalizować źródła ognia.

- Sprawdźmy to - zdecydował Peters.

- Svedberg nie pozwolił nam się stąd ruszać - zaproponował Noren. - Cokolwiek by się działo.

- To nam zajmie dziesięć minut. W takich sytuacjach mamy obowiązek interweniować.

- Zadzwoń do Svedberga i poproś o pozwolenie.

- Dziesięć minut - powtórzył Peters. - Boisz się?

- Niczego się nie boję. Ale rozkaz to rozkaz.

Mimo to zrobili tak, jak chciał Peters. Pojechali gliniastą drogą w kierunku łuny. Okazało się, że pali się w beczce po benzynie. Ktoś wypełnił ją papierem i plastikiem, który dawał jasny świecący blask. Kiedy dotarli na miejsce, ogień dogasał.

- Dziwna pora na palenie śmieci - zauważył Peters i rozejrzał się.

W pobliżu nie było żywej duszy.

- Wracamy - powiedział Noren.

Po niespełna dwudziestu minutach byli pod domem, który mieli pilnować. Cisza i spokój. Światła pogaszone. Ojciec i córka Wallandera spali.

Kilka godzin później zmienił ich Svedberg.

- Wszystko w porządku - poinformował Peters. Nie wspomniał o przejażdżce do płonącej beczki. Svedberg przysypiał. Nastął świt. O ósmej rano zaczął się zastanawiać, dlaczego nikt się nie pokazał na podwórzu. Wiedział, że ojciec Wallandera wstaje bardzo wcześnie. O wpół do dziewiątej uznał, że coś jest nie tak. Wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi i nacisnął klamkę.

Drzwi nie były zamknięte. Zadzwoił i czekał. Nic. Wszedł do mrocznego przedpokoju i nasłuchiwał. Cisza. Po chwili usłyszał podejrzany chrobot. Jakby mysz usiłowała przegryźć ścianę. Udał się za tym odgłosem. Stał pod drzwiami pokoju i zapukał. Odpowiedział mu zdławiony krzyk. Otworzył drzwi. Ojciec Wallandera leżał skrepowany na łóżku z czarną taśmą na ustach.

Svedberg ostrożnie zerwał taśmę i rozwiązał sznury. Potem przeszukał dom. Pokój, w którym przypuszczalnie spała córka Wallandera, był pusty.

- Kiedy to się stało? - zapytał.

- Wczoraj wieczorem. Tuż po jedenastej.

- Ilu ich było?

- Jeden.

- Jeden?

- Jeden, ale miał broń.

Svedberg wyprostował się. W głowie czuł pustkę.

Po chwili podszedł do telefonu i zadzwonił do Wallandera.

Kwaskowaty zapach zimowych jabłek. Taka była jej pierwsza myśl po przebudzeniu. Ale potem, kiedy otworzyła oczy, istniały jedynie samotność i strach. Leżała na kamiennej posadzce. Zalatywało wilgotną ziemią. Nie słyszała żadnych dźwięków, mimo że przerażenie wyostrzyło jej zmysły. Ostrożnie obmacała dłonią chropowate podłoże. Nie było jednolite, pod palcami czuła kamienie. Jest w piwnicy. U dziadka, gdzie ją brutalnie obudzono i skąd została porwana, w loszku na kartofle też były takie brukowce.

Coraz mocniej bolała ją głowa. Nie wiedziała, jak długo leży w ciemnościach i ciszy, ponieważ jej zegarek został na stoliku koło łóżka, była jednak niemal pewna, że od jej uprowadzenia minęło wiele godzin.

Mogła swobodnie poruszać rękami. Na nogach miała łańcuch. Badając go dłońmi, wyczuła kłódkę. Na samą myśl o żelaznych więzach zrobiło jej się zimno. Ludzi najczęściej krępuje się sznurami. Są miękkie, w miarę elastyczne. Łańcuchy to przeszłość, kojarzyły się z okresem niewolnictwa i dawnymi procesami heretyków.

Największą przykrość, jakiej doznała w chwili przebudzenia, sprawiło jej ubranie. Miała na sobie cudze ciuchy. I obce. Nie jej styl, nie jej kolory. Wprowadzie ich nie widziała, ale takie odniosła wrażenie, obmacując je dłońmi. Poza tym wydzielaly intensywny zapach proszku do prania. Ktoś ją w to ubrał. Zdjął koszulę nocną i włożył wszystko, poczawszy od majtek po skarpetki i buty. Zrobiło jej się niedobrze. Nasiliły się ból i zawroty głowy. Ujęła ją w dłonie i zaczęła się kołysać. To nieprawda, pomyślała z desperacją. Ale to była prawda. Dobrze pamiętała, co się stało.

O czymś śniła. Zbudził ją ręcznik, który ktoś nagle przycisnął jej do nosa i ust. Poczwała ostry zapach i zdrętwiała. W słabym świetle lampy palącej się przed

drzwiami wejściowymi zobaczyła mężczyznę. Jego twarz tuż nad jej twarzą. Teraz sobie uświadomiła, że zalatywał wodą po goleniu, mimo że nie był ogolony. Nic nie mówił. Spojrzała mu w oczy i pomyślała, że nigdy ich nie zapomni. Potem nic już nie pamiętała aż do chwili, kiedy się obudziła na wilgotnej kamiennej posadzce.

Oczywiście rozumiała, dlaczego to się stało. Mężczyzna, który ją odurzył, ścigał ojca. Patrzyła w oczy Konowalenki, zabójcy Victora Mabashy i policjanta. Chciał zabić jej ojca. To on się zakradł do pokoju, ubrał ją i skuł łańcuchem.

Kłapa się otworzyła. Nie była na to przygotowana. Później doszła do wniosku, że Konowalenko z pewnością stał na górze i nasłuchiwał. Do piwnicy wpadało ostre światło. Może chodziło o to, żeby ją oślepić? Zobaczyła opuszczającą się drabinę, parę brązowych butów i nogawki. Na końcu pojawiła się twarz, ta sama twarz i te same oczy, które na nią patrzyły ostatniej nocy. Odwróciła głowę od światła. Wrócił paraliżujący strach. Zauważyła, że pomieszczenie jest większe, niż myślała. W ciemnościach ściany i sufit wydawały się tuż-tuż. Całkiem możliwe, że cały dom jest podpiwniczony.

Konowalenko zasłonił sobą światło. W jednym ręku trzymał latarkę, w drugim jakiś metalowy przedmiot, którego w pierwszej chwili nie rozpoznała.

Okazało się, że to nożyce.

Krzyknęła. Przejmująco, w panice. Pomyślała, że zszedł tutaj, żeby ją zabić, i że robi to nożycami. Chwyciła za łańcuch na kostkach i zaczęła go szarpać, jakby miała nadzieję, że się uwolni. Cały czas świecił na nią, widziała czarny kontur jego głowy.

Nagle skierował latarkę na siebie. Trzymał ją pod brodą. Jego twarz przypominała czaszkę. Umilkła. Jakby jej krzyk jedynie spotęgował strach. Jednocześnie ogarnęło ją dziwne zmęczenie. Na wszystko było za późno, opór nie miał sensu.

- Krzyk nic ci nie da - przemówiła czaszka. - Nikt cię nie usłyszy. Mogę się tylko zdenerwować i zrobić ci krzywdę. Lepiej siedź cicho.

Tato, pomyślała, musisz mi pomóc.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Chwyił ją za włosy tą ręką, w której miał latarkę, i zaczął obcinać. Drgnęła z bólu. Trzymał mocno, nie była w stanie się ruszyć. Słyszała chrzęst ostrych nożyc na szyi, tuż pod płatkami uszu. Puścił ją. Znowu zrobiło jej się niedobrze. Było to równie upokarzające jak fakt, że ją ubrano.

Konowalenko zwinął włosy w kłębek i schował do kieszeni.

Chory człowiek, pomyślała. Obląkany sadysta, który zabija za zimną krwią. Odezwał się jeszcze raz. Światło latarki padło na jej wisiołek. Był w kształcie lutni, dostała go od rodziców, kiedy miała piętnaście lat.

- Wisiołek - powiedział. - Zdejmij go.

Zdjęła i podała mu tak, żeby nie dotknąć jego dłoni. Bez słowa wszedł po drabinie, zamknął klapę i zostawił ją w ciemnościach.

Podpełzła do ściany i po omacku dotarła do najbliższego kąta.

Poprzedniego dnia późnym wieczorem, po udanym porwaniu córki policjanta, Konowalenko wyrzucił Tanie i Tsikiego z kuchni. Potrzebował samotności, a kuchnia najbardziej mu odpowiadała. W ostatnim domu wynajętym przez Rykoffa było to największe pomieszczenie. Zaprojektowano je w starym stylu. Architekt wyeksponował belki stropowe, stał tu tradycyjny piec, na ścianach wisały ażurowe porcelanowe szafki i miedziane rondle. Przypominało Konowalence jego dzieciństwo w Kijowie, dużą kuchnię w kołchozie, gdzie jego ojciec pełnił funkcję komisarza.

Nie bez zdziwienia uświadomił sobie, że brakuje mu Rykoffa. Nie tylko dlatego, że spadły na niego wszystkie

praktyczne obowiązki. Choć nie nękała go chandra i nie odczuwał smutku, był przygnębiony. Wieloletnie doświadczenie wyniesione z pracy w KGB sprawiło, że ludzkie życie - nie licząc swojego i dwójki dzieci - miał za nic. Niemal codzienne obcowanie ze śmiercią wyzuło go z wszelkich uczuć. A mimo to śmierć Rykoffa zrobiła na nim wrażenie i zapalał wyjątkową nienawiścią do policjanta deptającego mu po piętach. Teraz ma jego córkę, dzięki której go zwabi. Ale myśl o zemście nie przyniosła mu ulgi. Siedział w kuchni, pił wódkę i od czasu do czasu popatrywał w ścienne lustro. Nagle się sobie nie spodobał. Czyżby zaczął się starzeć? Czyżby wraz z upadkiem sowieckiego imperium puszczały mu nerwy?

O drugiej w nocy, kiedy Tania zasnęła - albo udawała, że śpi - i Sikosi Tsiki zamknął się w swoim pokoju, zadzwonił do Jana Kleyna. Wszystko przemyślał. Uznał, że nie powinien zatajać śmierci swojego pomocnika. Nie zaszkodzi, jeśli Jan Kleyn zda sobie sprawę, że jego praca nie jest wolna od ryzyka. Poza tym postanowił po raz drugi skłamać. Powie, że ów kłopotliwy policjant został zlikwidowany. Tak był pewien swego po uwięzieniu Lindy, że niejako na wyrost usunął Wallandera.

Jan Kleyn wysłuchał go, nie czyniąc zbędnych komentarzy. Konowalenko utwierdził się w przekonaniu, że uzyskał najwyższą ocenę. Kleyn powiedział, że Sikosi Tsiki powinien wkrótce wrócić do Afryki Południowej, i zapytał, czy Konowalenko ma jakieś zastrzeżenia co do jego przydatności, czy nie dostrzegł w nim jakichś słabych stron, które wyszły na jaw u Victora Mabashy. Nie, nie dostrzegł. Trochę się zagalopował. Poświęcił Tsikiemu bardzo mało czasu. Wyrobił sobie jedynie ogólne wrażenie, że Afrykanin jest wychłodzony uczuciowo. Rzadko się śmiał, kontrolował się, nienagannie się ubierał. Pomyślał, że kiedy tylko pozbędzie się Wallandera i jego córki, szybko go

wszystkiego nauczy. Powiedział, że Sikosi Tsiki nie powinien zawieść. Jan Kleyn wydawał się zadowolony. Na zakończenie poprosił Konowalenkę o telefon za trzy dni. Wówczas otrzyma dokładne instrukcje w sprawie powrotu Tsikiego do Afryki Południowej.

Dzięki rozmowie z Janem Kleynem odzyskał nieco wigoru, który przytłumiła śmierć Rykoffa. Siedział w kuchni i myślał, że uprowadzenie córki policjanta było żenująco proste. W kilka godzin po wizycie Tani w ystadzkiej komendzie zlokalizował dom dziadka. Zadzwoił tam, odebrała gosposia, podał się za pracownika Urzędu Telekomunikacyjnego, powiedział, że przygotowują do druku aktualną książkę telefoniczną, i spytał, czy nic się nie zmieniło w danych adresowych. Tania kupiła w księgarni szczegółową mapę Skanii, po czym oboje tam pojechali i obserwowali dom. Gosposia wyszła późnym popołudniem, po kilku godzinach pojawił się radiowóz. Upewniwszy się, że to jedyna obstawa, szybko obmyślił manewr odwracający uwagę policji. Wrócił pod Tomelillę, przygotował beczkę po benzynie, którą znalazł w budynku gospodarczym, i poinstruował Tanie, co ma robić. Dwoma samochodami - jeden wynajęli na pobliskiej stacji benzynowej - udali się do Lóderupu, obejrzeni zagajnik, uzgodnili godzinę i zabrali się do pracy. Tania rozpałała ogień i ulotniła się, zanim pojawili się policjanci. Konowalenko wiedział, że ma mało czasu. Potraktował to jako dodatkowe wyzwanie. Szybko otworzył drzwi wytrychem, związał dziadka, po czym uspił jego wnuczkę i przeniósł do samochodu. Zajął mu to nie więcej niż dziesięć minut. Tania ubrała nieprzytomną dziewczynę w ciuchy, które kupiła dzień wcześniej. Położyli ją w piwnicy i skuli stopy łańcuchem.

Poszło jak po maśle. Zastanawiał się, czy reszta pójdzie równie gładko. Zauważył wisiołek na jej szyi i pomyślał, że ojciec może ją w ten sposób zidentyfikować. Chciał

utwierdzić Wallandera w przekonaniu, że sytuacja jest bardzo poważna. Właśnie wtedy postanowił obciąć Lindzie włosy i wysłać je razem z wisiorkiem. Obcięte włosy zwiastują śmierć, pomyślał. Jest policjantem, więc zrozumie.

Nalał sobie wódki i spojrzął w okno. Świtało. Było ciepło, niedługo zamieszka tam, gdzie zawsze świeci słońce, z dala od strefy klimatycznej, w której nigdy nie można przewidzieć, jaka będzie pogoda następnego dnia.

Przespał się kilka godzin. Zegarek wskazywał kwadrans po dziewiątej. Był poniedziałek 18 maja. Wallander powinien już wiedzieć o uprowadzeniu córki. I czeka na wiadomość.

Niech jeszcze trochę poczeka, pomyślał. Z każdą godziną milczenie będzie coraz bardziej dotkliwe, niepokój wytrąci go z równowagi.

Kłapa do piwnicy, gdzie więził Linde, znajdowała się pod nogami krzesła, na którym siedział. Od czasu do czasu nasłuchiwał. Cisza.

W zamyśleniu wyglądał przez okno. Po chwili wstał, wziął kopertę i włożył do niej obcięte włosy i wisior.

Wkrótce skontaktuje się z Wallanderem.

Wiadomość o uprowadzeniu Lindy spadła na Wallandera jak grom z jasnego nieba. Ogarnęła go rozpacz i wściekłość. Sten Widen, który przypadkiem był w kuchni i podniósł słuchawkę, osłupiał, widząc, jak Wallander zrywa telefon ze ściany i ciska go do gabinetu. Po chwili zauważył strach w jego oczach, nagi, bezbronny, i pojął, że stało się coś okropnego. Na ogół nie kwapił się z okazywaniem współczucia. Ale nie tym razem. Poruszony bólem i bezradnością przyjaciela, przykucnął obok niego i poklepał po ramieniu.

W tym czasie Svedberg wykazał się niebywałą energią. Kiedy się upewnił, że ojciec Wallandera jest cały i zdrowy, zadzwonił do Petersa. Odebrała żona. Mąż śpi po nocnej

zmianie. Svedberg dobitnie dał jej do zrozumienia, że ma go natychmiast obudzić. Potem kazał na wpół przytomnemu Petersowi stawić się z Norenem przed domem, który mieli obserwować. Peters dobrze znał Svedberga i wiedział, że nigdy by go nie zrywał z łóżka bez potrzeby. Nie zadając żadnych pytań, obiecał, że będzie jak najszybciej. Zadzwoił do Norena i kiedy przyjechali na miejsce, Svedberg poinformował ich, co się stało.

- Nie ma co owijać w bawełnę - zaczął Noren, który już wcześniej nabrał pewnych podejrzeń, że z tą płonąącą beczką było coś nie tak.

Svedberg wysłuchał jego relacji. Peters, który obstawał przy tym, żeby zlokalizować pożar, milczał. Noren nie zważył na niego winy. Powiedział, że obaj tak zdecydowali.

- No to się teraz módlcie, żeby nic się nie przytrafiło córce Wallandera - skwitował Svedberg.

- Kto ją porwał? - spytał Noren. - I dlaczego? Svedberg popatrzył na nich z powagą.

- Jeśli dochowacie tajemnicy - powiedział - postaram się zapomnieć, że wczoraj w nocy złamaliście moje rozkazy. Jeśli Linda wyjdzie z tego cała, nikt się o niczym nie dowie. Czy to jasne?

Pokiwali głowami.

- Nic nie widzieliście, nic się nie paliło - podjął. - Córka Wallandera nie została uprowadzona. Innymi słowy, nic się nie wydarzyło.

Peters i Noren spojrzeli na niego pytająco.

- Nic się nie wydarzyło - powtórzył Svedberg. - Zakarbujcie to sobie w pamięci. Tylko tyle. Musicie mi uwierzyć, kiedy mówię, że to ważne.

- Czy możemy coś zrobić? - zapytał Peters.

- Tak. Wracajcie do domu i śpijcie dalej.

Svedberg przepatrzył podwórze i dom. I przeszukał zagajnik, w którym stała ta nieszczęsna beczka. Zobaczył

odciski opon. Potem wrócił i jeszcze raz porozmawiał z ojcem Wallandera.

Staruszek siedział w kuchni, pił kawę i był wystraszony.

- Co się stało? - spytał. - Nie ma Lindy.

- Nic nie wiem - szczerze odpowiedział Svedberg. - Ale z całą pewnością wszystko się wyjaśni.

- Tak pan myśli? - W jego głosie dało się wyczuć wahanie. - Kurt był bardzo zdenerwowany. A gdzie on w ogóle jest? I co się właściwie dzieje?

- On sam najlepiej to panu wytłumaczy - odparł Svedberg i wstał. - Wkrótce się z nim zobaczę.

- To proszę mu przekazać, że ze mną wszystko dobrze.

- Przekażę.

Kiedy Svedberg zajechał pod dom Stena Widena, Wallander stał boso na podwórzu. Dochodziła jedenasta. Natychmiast mu o wszystkim powiedział. Nie omieszkał nadmieniść, że łatwo udało się odwrócić uwagę Petersa i Norena i wykorzystując ich krótką nieobecność, uprowadzić córkę. Na zakończenie przekazał wiadomość od ojca.

Wallander słuchał w skupieniu. Svedberg miał jednak uczucie, że myśli o czym innym. Zwykle potrafił z nim nawiązać kontakt wzrokowy. Teraz Wallander uciekał spojrzeniem. Pewnie jest myślami z córką.

- Ślady? - spytał Wallander.

- Żadnych.

Wallander pokiwał głową. Weszli do domu.

- Próbowałem sobie wszystko przeanalizować - zaczął Wallander, kiedy usiedli.

Svedberg zauważył, że drżą mu ręce.

- To naturalnie robota Konowalenki. Tak jak się obawiałem. To moja wina. Powinienem tam być. Inaczej by się to potoczyło. Posłużył się Lindą, żeby dotrzeć do mnie. Widocznie nie ma współpracowników, działa na własną rękę.

- Wydaje mi się, że jednak kogoś ma - delikatnie wtrącił Svedberg. - Jeśli dobrze zrozumiałem Petersa i Norena, sam nie zdążyłby podpalić beczki, a potem związać twojego ojca i uprowadzić córkę.

- Beczkę podpaliła Tania - powiedział po namyśle Wallander. - Żona Władimira Rykoii. A więc jest ich dwoje. Nie wiemy gdzie. Przypuszczalnie niedaleko Ystadu w jakimś odludnym domu na wsi. W innej sytuacji moglibyśmy ten dom odszukać. Teraz to niemożliwe.

Sten Widen cicho podszedł do stołu i postawił dzbanek kawy.

- Trzeba mi czegoś mocniejszego - powiedział Wallander. Sten Widen przyniósł whisky.

Wallander napił się prosto z butelki.

- Zastanawiałem się, co dalej. Konowalenko się do mnie odezwie. Powinienem czekać na wiadomość w domu ojca. Nie wiem, co zaproponuje. W najlepszym razie moje życie w zamian za życie Lindy. W najgorszym coś, czego nie jestem w stanie sobie wyobrazić. - Spojrzał na Svedberga. - Tak myślę. Co ty na to?

- Chyba masz rację. Pozostaje tylko pytanie, co my mamy zrobić.

- Nikt nic nie będzie robił - odparł Wallander. - Żadnych policjantów wokół domu, nikogo. Konowalenko zwietrzy najmniejsze zagrożenie. Musimy być tylko ja i ojciec. A ty powinieneś dopilnować, żeby nikt się tam nie kręcił.

- Sam nie dasz sobie rady. Dlaczego odrzucasz naszą pomoc?

- Muszę. Nie chcę, żeby moja córka zginęła. Svedberg uznał rozmowę za skończoną. Wallander podjął decyzję i nic jej nie zmieni.

- Zawiozę cię do Lóderupu - zaproponował Svedberg.

- Nie trzeba - wtrącił Sten Widen. - Kurt może wziąć duetta.

Wallander skinął głową. Wstał, zakręciło mu się w głowie.

Chwycił się krawędzi stołu, żeby nie upaść.

- Nic mi nie jest - powiedział.

Svedberg i Sten Widen wyszli na podwórze i patrzyli, jak odjeżdża.

- Jak to się skończy? - spytał Svedberg. Sten Widen milczał.

Kiedy Wallander dotarł do Loderupu, ojciec pracował w atelier. Po raz pierwszy nie malował swojego odwiecznego pogodnego pejzażu w wieczornym słońcu - z głuszcem albo bez głuszca - tylko pejzaż mroczny, chaotycznie zakomponowany. Las wyrastał z jeziora, w tle przytłaczały ciężarem masywne góry.

Po kilku chwilach ojciec odłożył pędzel i odwrócił się. Bał się.

- Chodźmy do domu. Odesłałem gosposię.

Położył Wallanderowi dłoń na ramieniu. Niezwykły gest.

Wallander opowiedział, co się wydarzyło w ciągu ostatnich trzech tygodni. Choć ojciec nie był w stanie oddzielić od siebie nakładających się wątków i motywów, chciał mu przedstawić pełny obraz sytuacji. Nie zamierzał przed nim zatajać, że zabił człowieka i że Linda jest w wielkim niebezpieczeństwie. Mężczyzna, który ją więzi i który go skrupował, nie ma absolutnie żadnych skrupułów.

Ojciec słuchał i patrzył na swoje ręce.

- Rozwiązę to - powiedział Wallander. - Jestem zdolnym policjantem. Poczekam tutaj, dopóki ten człowiek się ze mną nie skontaktuje. Może to nastąpić w każdej chwili. Albo dopiero jutro.

Minęło popołudnie i Konowalenko się nie odezwał. Dwa razy zadzwonił Svedberg, ale Wallander nie miał dla niego nowych wiadomości. Wysłał ojca do atelier. Nie mógł patrzeć, jak siedzi w kuchni i wpatruje się w swoje ręce. W normalnej sytuacji ojciec wpadłby w szal, że musi słuchać poleceń syna. Teraz po prostu wstał i wyszedł. Wallander wędrował tam i z powrotem, przysiadł na krześle i po

chwili się zrywał. Od czasu do czasu wychodził na podwórze i obrzucał spojrzeniem okoliczne pola. Wracał, znów wychodził i tak w kółko. Dwa razy usiłował coś zjeść. Bez powodzenia. Lęk, niepokój i bezsilność zmąciły mu myśli. Kilka razy pojawiał się w nich Robert Akerblom. Czym prędzej przeganiał go w obawie, że może to przesądzić o losie jego córki.

Nastał wieczór. Konowalenko milczał. Zadzwoił Svedberg z wiadomością, że będzie uchwytany pod domowym numerem telefonu. Wallander zakręcił do Stena Widena, choć nie miał mu właściwie nic do powiedzenia. O dziesiątej wysłał ojca do łóżka. Za oknami była jasna wiosenna noc. Przez chwilę siedział na schodach przed drzwiami. Kiedy ojciec zasnął, zadzwonił do Rygi, do Bajby Liepy. Nikt nie odbierał. Zastał ją pół godziny później. Całkowicie opanowany, powiedział, że bardzo niebezpieczny mężczyzna uprowadził jego córkę i że on nie ma z kim o tym porozmawiać. Mówił prawdę. Znowu ją przeprosił za wcześniejszy telefon, kiedy pijany zadzwonił do niej w środku nocy. Próbował opisać, co czuje, ale nie najlepiej mu to wyszło. Angielskie słowa gdzieś odpłynęły. Obiecał, że się niebawem odezwie. Słuchała go w całkowitym niemal milczeniu. Zastanawiał się potem, czy naprawdę z nią rozmawiał, czy sobie to wmówił.

Nie mógł zasnąć. Czasami siadał na którymś ze zniszczonych foteli ojca i zamykał oczy. Za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że zasypia, natychmiast przytomniał. Krążąc po mieszkaniu, miał wrażenie, że odbywa podróż po całym swoim życiu. O świcie zauważył na podwórzu zastygłego w bezruchu zająca.

Był wtorek 19 maja.

Tuż po piątej rano zaczęło padać.

Wiadomość dotarła przed ósmą. Na podwórze wjechała taksówka. Wallander usłyszał ją z daleka i wyszedł na

schodki. Kierowca wręczył mu grubą kopertę.

- To do mojego ojca - zauważył Wallander. - Od kogo?

- Pewna kobieta zostawiła ją w naszej korporacji w Simrishamnie - odparł taksówkarz, któremu wyraźnie się spieszyło i nie chciał zmoknąć. - Zapłaciła za przewóz. Wszystko jest załatwione. Nie trzeba kwitować odbioru.

Wallander pokiwał głową. Tania, pomyślał. Przejęła po mężu rolę gońca.

Taksówka odjechała. Wallander był w domu sam. Ojciec już malował w atelier.

Watowana koperta. Dokładnie ją obmacał i ostrożnie otworzył. Nie od razu zobaczył, co zawiera. Po chwili nie miał wątpliwości: włosy Lindy i jej wisiorek, który kiedyś dostała w prezencie.

Siedział jak sparaliżowany, wpatrując się w obcięte włosy, po czym zaczął płakać. Ból przekroczył kolejną granicę, nie potrafił nad nim zapanować. Co Konowalenko jej zrobił? To wszystko jego wina, to on ją w to wciągnął.

W końcu zmusił się do przeczytania krótkiej wiadomości.

Za dwanaście godzin Konowalenko odezwie się ponownie. Napisał, że powinni się spotkać, żeby rozwiązać swoje problemy. Do tego czasu Wallander ma tylko czekać. Wszelkie kontakty z policją narażą na szwank życie jego córki.

Wiadomość nie była podpisana.

Popatrzył na włosy córki. Świat jest bezsilny wobec zła. Jakim cudem uda mu się powstrzymać Konowalenkę?

Konowalenko chciał, żeby tak właśnie myślał. Dał mu dwanaście godzin, żeby się wyzbył złudzeń, że istnieje jakieś inne wyjście prócz tego, które on, Konowalenko, mu narzuci.

Wallander siedział nieruchomo na krześle.

Nie miał pojęcia, co robić.

Dawno temu, w pomroce dziejów, Karl Evert Svedberg postanowi! zostać policjantem z jednego tylko powodu, który próbował ukryć przed światem.

Otóż Karl Evert Svedberg panicznie bał się ciemności.

Od najwcześniejszego dzieciństwa przesypiał noce przy zapalanej lampce. W miarę upływu lat - w przeciwieństwie do innych - ów lęk wcale nie minął. Przeciwnie, w okresie dojrzewania przybrał na sile, powodując coraz większe poczucie wstydu, że cierpi na ułomność zwaną tchórzostwem. Ojciec, piekarz, który wstawał dzień w dzień o wpół do trzeciej w nocy, zaproponował, by poszedł w jego ślady i wybrał ten sam zawód. Tym sposobem problem sam by się rozwiązał. Matka, modystka, ceniona za talent w projektowaniu kapeluszy stosownie do osobowości, ale mająca coraz mniejsze grono klientek, traktowała to poważniej. Udała się z synem do psychologa, któremu nie pozostawało nic innego jak wyrażenie nadziei, że owa przypadłość z czasem ustąpi. Akurat! Przypadłość się nasilała. Nigdy nie udało mu się dociec jej źródeł. Wreszcie zdecydował, że zostanie policjantem. Wyobrażał sobie, że zwalczy lęk przed ciemnościami wyuczoną odwagą i męstwem.

We wtorek 19 maja obudził się przy zapalanej lampce. Poza tym miał zwyczaj zamykania drzwi do sypialni. Mieszkał sam w śródmieściu Ystadu. Urodził się w tym mieście i niechętnie je opuszczał, nawet na krótko.

Zgaślił lampkę, przeciągnął się i wstał. Źle spał tej nocy. Zdenerwowały go i przerażyły wydarzenia związane z Kurtem Wallanderem: znalezienie związanego ojca i porwanie córki. Uznał, że musi pomóc koledze. Zastanawiał się, co może zrobić i dochować przy tym obietnicy milczenia. Tuż przed świtem postanowił, że spróbuje odszukać dom, w którym ukrywa się Konowalenko.

Zakładał, że właśnie tam jest więziona córka Wallandera. W komendzie stawił się kilka minut przed ósmą. Punkt wyjścia stanowiła strzelanina na poligonie sprzed paru dni. Martinsson zabezpieczył nieliczne przedmioty znalezione w ubraniach zabitych mężczyzn. Nie było tam nic szczególnego. Mimo to Svedberg chciał je jeszcze raz obejrzeć. Poszedł do policyjnego magazynu, gdzie przechowywano przedmioty i materiały dowodowe z miejsc zbrodni. W kieszeniach Afrykanina nie było nic, co można by uznać za godne uwagi. Svedberg odłożył foliową torebkę z ziarenkami żwiru i ostrożnie opróżnił zawartość następnej. W kieszeniach grubasa Martinsson znalazł papierosy, zapalniczkę, okruszki tytoniu, niezidentyfikowane kłęбки kurzu tudzież inne śmieci. Uważnie się temu przyglądał. Przede wszystkim rzuciła mu się w oczy zapalniczka. Był na niej ledwie czytelny tekst reklamowy. Podniósł ją pod światło. Odłożył torebkę na miejsce i zabrał zapalniczkę do swojego pokoju. O wpół do jedenastej mieli zebranie w sprawie Konowalenki i Wallandera. Zostało mu trochę czasu. Wyjął z szuflady biurka szkło powiększające, ustawił lampę i rozpoczął oględziny zapalniczki. Mniej więcej po minucie serce zaczęło mu szybciej bić. Odczytał napis. To mógł być ślad. Rzecz jasna, jeszcze nie wiedział, czy doprowadzi go do celu. W każdym razie na zapalniczce reklamował się sklep spożywczy sieci ICA w Tomelilli. Nie musiało to nic znaczyć. Rykoff mógł wejść w jej posiadanie gdziekolwiek. Ale jeśli kupił ją w Tomelilli, ekspedientka powinna zapamiętać wyjątkowo grubego mężczyznę mówiącego z obcym akcentem. Wsunął zapalniczkę do kieszeni i opuścił gmach komendy, nikomu się nie tłumacząc, dokąd się wybiera. Pojechał do Tomelilli, wylegitymował się i poprosił o rozmowę z kierownikiem sklepu. Trafił na młodego człowieka, który przedstawił się jako Sven Persson. Wyjął

zapalniczkę i wyjaśnił, o co mu chodzi. Persson długo się zastanawiał, po czym pokręcił głową. Nie, nie przypominał sobie żadnego grubasa, który by ostatnio cokolwiek u nich kupował.

- Niech pan spyta kasjerkę, Britte - powiedział. - Ale obawiam się, że ma nie najlepszą pamięć. Jest dość roztargniona.

- Czy to jedyna kasjerka?

- Zatrudniamy dodatkową w soboty. Dzisiaj nie pracuje.

- Proszę do niej zadzwonić i poprosić, żeby natychmiast tu przyjechała.

- Pali się?

- Tak, natychmiast.

Sven Persson poszedł do telefonu. Svedberg wyraził się jasno. Począł, aż Britta, kobieta około pięćdziesiątki, obsłuży klienta, który położył przed nią mnóstwo kuponów rabatowych, po czym się przedstawił.

- Chciałbym spytać, czy nie robił tu ostatnio zakupów bardzo gruby mężczyzna.

- Dużo takich do nas przychodzi - odparła Britta. Svedberg przeformułował pytanie.

- Nie gruby, tylko opasły. Góra tłuszczu. Poza tym nie mówi dobrze po szwedzku. Był taki?

Szukała w pamięci. Svedberg zorientował się, że rozprasza ją narastająca ciekawość.

- Nie zrobił nic nadzwyczajnego - dodał. - Chciałbym się tylko dowiedzieć, czy tutaj był.

- Nie. Takiego tłuściocha na pewno bym zapamiętała, bo się odchudzam i patrzę na ludzi.

- Czy w ostatnich dniach nie miała pani wolnego?

- Nie.

- Choćby przez godzinę?

- Zdarza się, że muszę coś załatwić.

- I kto wtedy siedzi przy kasie?

- Sven Persson.

Nadzieje Svedberga przygasły. Podziękował za pomoc i zaczął krążyć po sklepie w oczekiwaniu na pracującą dorywczo kobietę. Zastanawiał się gorączkowo, co dalej, jeśli napis na zapalniczce okaże się fałszywym tropem. Od czego powinien wyjść?

Kasjerka dorabiająca w soboty, młoda, niespełna osiemnastoletnia dziewczyna, była tak pulchna, że Svedberga natychmiast opadły wątpliwości, czy powinien ją wypytywać o grubasów. Kierownik sklepu ją przedstawił - Annika Hagstrom - po czym się dyskretnie wycofał. Stali przed półkami z jedzeniem dla kotów i psów.

- Dowiedziałem się, że pracuje tu pani w soboty - zaczął niepewnie Svedberg.

- Jestem bezrobotna - wyjaśniła Annika Hagstrom. - Nie mogę znaleźć pracy. To moje jedyne zajęcie.

- Tak, niełatwo dzisiaj o pracę - przyznał Svedberg.

- Zastanawiałam się nawet, czyby się nie nająć do policji. Spojrzał na nią zdumiony.

- Ale chyba źle bym się czuła w mundurze. A pan czemu jest po cywilnemu?

- Nie zawsze wkładamy mundur.

- Może jeszcze raz to przemyślę. Co ja takiego zrobiłam?

- Nic. Chciałem tylko zapytać, czy nie zauważyła pani w sklepie mężczyzny, który inaczej wyglądał.

Jęknął w duchu, ubolewając nad niezdarnością takiego sformułowania.

- Inaczej? To znaczy jak?

- No, był bardzo gruby - wydukał - i źle mówił po szwedzku.

- A, ten - odparła bez wahania. - Był tu w zeszłą sobotę. Svedberg nie spuszczał z niej wzroku.

- O której? - spytał, wyjmując notes z kieszeni.

- Tuż po dziewiątej.

- Przyszedł sam? - Tak.

- Pamięta pani, co kupił?
- Oj, dużo tego było. Między innymi kilka paczek herbaty. Wziął cztery reklamówki.
- To on, pomyślał Svedberg. Rosjanie piją tyle samo herbaty, co my kawy.
- Jak zapłacił?
- Gotówką. Wyjął pieniądze z kieszeni.
- A jak się zachowywał? Czy był zdenerwowany? Cały czas odpowiadała pewnie i bez namysłu.
- Spieszył się. Był jak powrzucał wszystko do reklamówek.
- Powiedział coś?
- Nie.
- To skąd pani wie, że mówił z obcym akcentem?
- Zorientowałam się po jego „dzień dobry” i „dziękuję”.
- Svedberg skinął głową.
- Zapewne nie wie pani, gdzie on mieszka. Zmarszczyła czoło.
- Czyżby i na to pytanie znała odpowiedź?
- Gdzieś za żwirownią - odparła.
- To znaczy?
- Wie pan, gdzie jest podstawówka? Przytaknął.
- Zaraz za szkołą trzeba skrócić w lewo, a potem jeszcze raz w lewo.
- Skąd pani wie, że on tam mieszka?
- Za nim w kolejce stał niejaki Holgerson, taki rozmowny staruszek. I ten Holgerson stwierdził, że w życiu nie widział takiego tłuszczocha, a potem dodał, że go zauważył koło żwirowni. Jest tam kilka opuszczonych gospodarstw. Holgerson ma oko na wszystko, co się dzieje w Tomelilli.
- Svedberg schował notes do kieszeni. Spieszyło mu się.
- Wie pani co - powiedział. - Może jednak powinna pani zostać policjantką.
- Co on takiego zrobił?
- Nic. Jeśli znowu przyjdzie, proszę udawać, że nikt o niego

nie pytał. Zwłaszcza policja.

- Nic nie powiem. Czy można któregoś dnia was odwiedzić?

- Proszę zadzwonić i spytać o mnie. Nazywam się Svedberg.

Oprowadzę panią.

Rozpromieniła się.

- Zadzwonię.

- Tylko nie w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Mamy teraz mnóstwo pracy.

Opuścił sklep i pojechał zgodnie z jej wskazówkami. Zatrzymał się przed drogą prowadzącą do żwirowni i wysiadł. W skrytce miał lornetkę. Udał się do żwirowni i wszedł do kabiny kruszarki.

Po drugiej stronie żwirowni zobaczył dwa domy. Jeden był na wpół zawalony, drugi wydawał się w niezłym stanie. Na podwórzu nie zauważył samochodów, nikt tam chyba nie mieszkał. Mimo to czuł, że dobrze trafił. Dom stał na uboczu. Obok nie przejeżdżały samochody. Nikt niezainteresowany nie korzystał z tej drogi, ponieważ prowadziła tylko do posesji.

Czekał z lornetką przed oczami. Zaczął siąpić kapuśniaczek.

Po blisko trzydziestu minutach drzwi nagle się otworzyły i wyszła kobieta. Tania, pomyślał. Stała nieruchomo i paliła papierosa. Svedberg nie widział jej twarzy, ponieważ częściowo zasłaniało ją drzewo.

Opuścił lornetkę. To musi być tutaj. Dziewczyna ze sklepu miała oczy i uszy nie od parady. I dobrą pamięć. Zsunął się z kruszarki i wrócił do samochodu. Było już po dziesiątej. Postanowił zadzwonić do komendy i powiedzieć, że jest chory. Nie ma czasu wysiadywać na zebraniach.

Musi porozmawiać z Wallanderem.

Tania rzuciła papierosa i zgasiła go obcasem. Stała na podwórzu w lekkiej mżawce. Pogoda odpowiadała jej samopoczuciu. Konowalenko zajmował się nowym Afrykaninem, nie interesowało jej, o czym mówią. Władimir

zdażył ją o wszystkim poinformować. Wiedziała, że w Afryce Południowej szykował się zamach na bardzo ważnego polityka. Nie miała jednak pojęcia, na kogo ani dlaczego. Władimir na pewno jej powiedział, ale nie zapamiętała. Wyszła na podwórze, żeby przez kilka minut pobyc tylko ze sobą. Do tej pory nie miała kiedy poważnie się zastanowić, co oznacza śmierć Władimira. Zaskoczył ją własny smutek i ból. Ich małżeństwo było wyłącznie praktycznym układem. Uciekając z rozsypującego się Związku Sowieckiego, mogli się wzajemnie wspierać. Potem, po przyjeździe do Szwecji, sens życia widziała w pomaganiu Władimirowi w jego rozlicznych zajęciach. Wszystko się zmieniło, odkąd się nagle pojawił Konowalenko. Początkowo czuła do niego pociąg. Jego stanowczość i pewność siebie kontrastowały z osobowością Władimira. Nie wzbraniała się, kiedy Konowalenko zaczął okazywać jej względy. Dostyc szybko jednak zrozumiała, że tylko ją wykorzystywał. Przeraziła ją jego nieczułość i głęboka pogarda do ludzi. Konowalenko całkowicie ich zdominował. Czasami, późno wieczorem, rozmawiała z Władimirem o tym, żeby wszystko zacząć od nowa, z dala od Konowalenki. Ale to się nie zisciło. A teraz Władimir nie żył. Tęskniła za nim. Nie wiedziała, co się wydarzy. Konowalenko wydawał się opętany żądzą zgładzenia policjanta, który zabił Władimira i ściągnął na niego tyle kłopotów. O przyszłości pomyśli wtedy, kiedy będzie już po wszystkim, kiedy policjant zginie, a Afrykanin wróci do siebie, żeby wykonać powierzone mu zadanie. Uświadomiła sobie, że - czy tego chce, czy nie - jest zależna od Konowalenki. Nie było powrotu z emigracji. Coraz rzadziej myślała o Kijowie, skąd oboje z Władimirem pochodzili. Już nigdy nie zobaczy miejsc i ludzi, w których kiedyś miała ostoję. Te drzwi zatrzasnęły się raz na zawsze. Klucza nie było. To, co pozostało, odeszło wraz z Władimirem.

Pomyślała o dziewczynie więzionej w piwnicy. Co się z nią stanie? Spytała o to Konowalenkę. Odpowiedział, że ją wypuści, jak dopadnie jej ojca. Od razu nabrała wątpliwości, że nie mówi prawdy. Wzdrygnęła się na myśl, że zabije również Lindę.

Tania nie bardzo wiedziała, co czuje. Owszem, szczerze nienawidziła ojca dziewczyny, który zabił jej męża, w dodatku w barbarzyński sposób, czego Konowalenko bliżej nie wyjaśnił, ale żeby z tego powodu poświęcać życie córki policjanta? Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że nie może temu zapobiec. Najmniejszy sprzeciw z jej strony skończyłby się tym, że Konowalenko zwróciłby się także przeciwko niej.

Zadrżała, deszcz przybrał na sile, wróciła do domu. Zza zamkniętych drzwi dochodził mamrotliwy głos Konowalenki. Poszła do kuchni i spojrzała na kłapę w podłodze. Ścienny zegar wskazywał, że trzeba dać dziewczynie coś do jedzenia. Już przygotowała kanapki i nalala kawy do termosu. Dotychczas dziewczyna niczego nie tknęła. Za każdym razem Tania wracała z piwnicy z poprzednim posiłkiem. Zapaliła światło, które zamocował Konowalenko, i podniosła kłapę. W jednym ręku trzymała latarkę.

Linda wcisnęła się w kąt. Leżała zwinięta w kłębek, jakby miała silne bóle żołądka. Tania poświeciła na nocnik. Pusty. Ogarnęło ją współczucie. Wcześniej była całkowicie pochłonięta żalobą po stracie Władimira. Ale teraz, kiedy ją zobaczyła, sparaliżowaną strachem, dotarło do niej, że okrucieństwo Konowalenki nie ma granic. Nie było żadnych powodów, by ją przetrzymywać w ciemnej piwnicy, w dodatku skutą łańcuchem. Wystarczyłoby ją zamknąć w jednym z pokoi na piętrze i uniemożliwić ewentualną ucieczkę.

Dziewczyna się nie ruszała. Ale śledziła ją wzrokiem. Na

widok świętych włosów zrobiło jej się niedobrze. Przykucnęła koło niej.

- Niedługo będzie po wszystkim - powiedziała. Dziewczyna milczała. Patrzyła Tani prosto w oczy.

- Spróbuj coś zjeść. Niedługo będzie po wszystkim. Strach zżera ją od środka, pomyślała Tania.

Nagle uznała, że musi pomóc Lindzie. Zapłaci za to życiem, ale nie ma innego wyjścia. Ona także z trudem znosiła bezwzględność Konowalenki.

- Niedługo będzie po wszystkim - powtórzyła szeptem, położyła reklamówkę z jedzeniem obok jej głowy i wyszła.

Opuściła klapę. Kiedy się odwróciła, zobaczyła Konowalenkę. Drgnęła i krzyknęła. Potrafił się podkraść, nie wydając najłżejszego dźwięku. Czasem odnosiła wrażenie, że ma nienaturalnie wyczulony zmysł słuchu. Jak zwierzę. Słyszy to, czego inni nie są w stanie usłyszeć.

- Śpi - powiedziała.

Konowalenko przyglądał się jej z powagą. Potem nagle się uśmiechnął i wyszedł z kuchni bez słowa.

Tania opadła na krzesło i zapaliła papierosa. Zauważyła, że drżą jej dłonie. Wiedziała, że decyzja, którą podjęła, jest nieodwołalna.

Svedberg zadzwonił do Wallandera tuż po pierwszej. Odebrał natychmiast. Długo się zastanawiał, jak przekonać Wallandera, żeby nie porywał się na Rosjanina w pojedynek. Zdawał sobie sprawę, że Wallander kieruje się nie tylko zdrowym rozsądkiem, że w równej mierze powodują nim emocje. Mógł go jedynie poprosić, żeby nie stawał do konfrontacji z Konowalenką sam. W pewnym sensie jest niepoczytalny, pomyślał. Owładnięty niepokojem o córkę, może zrobić praktycznie wszystko.

Od razu przeszedł do rzeczy.

- Odszukałem dom, w którym mieszka Konowalenko. Miał wrażenie, że Wallander drgnął.

- Jeden z przedmiotów znalezionych w kieszeni Rykoffa naprowadził mnie na właściwy trop - kontynuował. - Nie będę się wdawał w szczegóły, w każdym razie trafiłem do sklepu w Tomelilli, gdzie mi pomogła kasjerka o fenomenalnej pamięci. Dom znajduje się na wschód od Tomelilli, koło żwirowni, której od dawna nikt nie eksploatuje. Jest dosyć stary.

- Mam nadzieję, że nikt cię nie widział - powiedział Wallander.

Svedberg usłyszał w jego głosie napięcie.

- Nikt. Możesz być spokojny.

- Spokojny?! Chyba wiem, gdzie jest ta żwirownia. Jeśli się nie pomyliłeś, to mam przewagę nad Konowalenką.

- Odezwał się?

- Dwanaście godzin upływa o ósmej wieczorem. Będzie się tego trzymał. Nic nie zrobię, dopóki się ze mną nie skontaktuje.

- Jeżeli sam się na niego zasadzisz, dojdzie do tragedii. Wolę nie myśleć, co się może stać.

- Przecież wiesz, że nie ma innego wyjścia. Konowalenko na pewno mnie obserwuje i bez względu na to, gdzie wyznaczy mi spotkanie, będzie miał nad wszystkim pełną kontrolę. Tylko ja, nikt inny, mogę się do niego zbliżyć. Nie muszę ci chyba wyjaśniać, co się stanie, jeśli się zorientuje, że nie jestem sam.

- Wszystko rozumiem. Mimo to uważam, że powinniśmy spróbować.

Na moment zaległa cisza.

- Zabezpieczę się - odparł Wallander. - Nie powiem ci, gdzie się z nim spotkam. Wiem, że chcesz dobrze, ale nie mogę podejmować żadnego ryzyka. Dziękuję, że namierzyłeś dla mnie ten dom. Zapamiętam to.

Po tych słowach się wyłączył.

Svedberg siedział ze słuchawką w rękę.

I co teraz? Nie przypuszczał, że Wallander po prostu zachowa najważniejszą informację dla siebie.

Odłożył słuchawkę na widełki i pomyślał, że choć Wallanderowi się wydaje, że nie potrzebuje pomocy, on, Svedberg, mu pomoże. Tylko z kim miałyby to zrobić?

Podszedł do okna i patrzył na odległą wieżę kościoła. Po ucieczce nocą z poligonu Wallander skontaktował się ze Stenem Widenem, pomyślał. Nigdy przedtem go nie spotkałem. Wallander ani razu o nim nie wspomniał. Nie ulegało jednak najmniejszej wątpliwości, że się od dawna przyjaźnią. I do niego Wallander zwrócił się o pomoc. Zrobię to samo.

Wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i opuścił miasto. Deszcz przybrał na sile, zerwał się wiatr. Jadąc nadbrzeżną szosą, pomyślał, że ostatnie wydarzenia muszą niedługo mieć swój finał. Było tego zbyt dużo jak na tak mały okręg policyjny.

Zastał Stena Widena w stajni przed okratowanym boksem, w którym niespokojny koń uderzał kopytem w drewniane przepierzenie. Svedberg przywitał się i stanął tuż obok. Koń był bardzo wysoki i smukły. Svedberg nigdy nie siedział na końskim grzbiecie, darzył konie szacunkiem i nie rozumiał, jak można dobrowolnie spędzić całe życie na ich doglądaniu i trenowaniu.

- Jest chora - wyjaśnił Sten Widen. - Nie wiem, co jej dolega.

- Wydaje się pobudzona - zauważył nieśmiało Svedberg.

- Ma bóleści.

Sten Widen wszedł do boksu, chwycił konia za uzdę i zwierzę niemal natychmiast się uspokoiło. Pochylił się i popatrzył na lewą przednią nogę. Svedberg podszedł bliżej.

- Spuchnięta - stwierdził Sten Widen. - Widzi pan? Svedberg nic nie widział, ale mruknął potakująco. Sten Widen przez chwilę głaskał konia, po czym wyszedł z boksu.

- Chciałbym z panem porozmawiać - powiedział Svedberg. Na kanapie w nieposprzątanym salonie siedziała starsza pani. Svedberg pomyślał, że nie pasuje do otoczenia. Była uderzająco elegancka, mocno umalowana i miała na sobie kosztowną biżuterię.

Sten Widen zarejestrował jego spojrzenie.

- Czeka na swojego szofera - poinformował. - Jest właścicielką dwóch koni, które trenuję.

- Ach tak.

- Wdowa po przedsiębiorcy budowlanym z Trelleborga. Niedługo wraca do domu. Przyjeżdża tutaj od czasu do czasu. Chyba jest bardzo samotna.

Ostatnie słowa wypowiedział z zaskakującą wyrozumiałością.

Usiedli w kuchni.

- Sam nie wiem, czemu tu jestem - zaczął Svedberg. - To znaczy wiem, ale nie mam pojęcia, o co mógłbym pana prosić.

I opowiedział o domu, który zlokalizował opodal żwirowni pod Tomelillą. Sten Widen wstał, otworzył kuchenną szafkę zawaloną papierami i programami wyścigów konnych i po chwili wyjął brudną, podartą mapę. Kiedy rozłożył ją na stole, Svedberg pokazał niezatemperowanym ołówkiem, gdzie jest ten dom.

- Nie znam planów Wallandera - przyznał. - Wiem tylko tyle, że sam chce się rozprawić z Konowalenką. Nie podejmie żadnego ryzyka ze względu na córkę. Oczywiście można to zrozumieć. Problem polega na tym, że Wallander nie ma szans na unieszkodliwienie Konowalenki.

- I chciałby mu pan pomóc? Svedberg pokiwał głową.

- Ale sam sobie nie poradzę. Pomyślałem o panu, ponieważ nikt z policji nie wchodzi w grę. Dlatego tu jestem. Pan go zna, to pański przyjaciel.

- Może.

- Może?

- Fakt, znamy się od dawna, ale od przeszło dziesięciu lat nic nas nie łączy.

- Nie wiedziałem. Myślałem, że jest inaczej.

Na podwórze zajechał samochód. Sten Widen wstał i wyszedł z wdową po przedsiębiorcy budowlanym. Svedberg pomyślał, że się pomylił. Nie tak sobie wyobrażał przyjaciela Wallandera.

- Co pan zamierza? - spytał Sten Widen, wróciwszy do kuchni.

Svedberg powiedział mu, co i jak. Po ósmej zadzwoni do Wallandera. Nie dowie się, co mu zaproponował Konowalenko, ale ma nadzieję, że wydusi z niego informację o czasie spotkania. Wtedy sam lub w towarzystwie pojedzie jeszcze tej nocy pod Tomelille, żeby być pod ręką, gdyby Wallander potrzebował pomocy.

Sten Widen słuchał z obojętnym wyrazem twarzy. Kiedy Svedberg umilkł, wyszedł z kuchni. Hm, może poszedł do toalety. Tymczasem Sten Widen wrócił ze strzelbą w dłoni.

- Spróbujemy go wesprzeć - powiedział, usiadł przy stole i lustrował strzelbę.

Svedberg wyjął służbową broń, dając tym samym do zrozumienia, że on także nie pójdzie z gołymi rękami. Sten Widen skrzywił się.

- Z czymś takim na szaleńca?

- Może pan zostawić konie? - spytał Svedberg.

- Ulrika z nimi będzie - odparł Sten Widen. - To jedna z moich pomocnic.

Svedberg cały czas czuł się nieswojo w towarzystwie Stena Widena. Jego małomówność i dosyć dziwny sposób bycia sprawiały, że nie potrafił się wyluzować. Ale był mu wdzięczny, że nie musi działać sam.

O trzeciej po południu pojechał do domu. Uzgodnili, że się odezwie zaraz po skontaktowaniu się z Wallanderem. W

drodze powrotnej do Ystadu kupił popołudniówki. Przejrzał je w samochodzie. W dalszym ciągu wieści o Konowalencie i Wallanderze stanowiły swoistą sensację, choć publikowano je na dalszych stronach.

Nagle rzuciły mu się w oczy tytuły, których obawiał się najbardziej.

I zdjęcia córki Wallandera.

Zadzwoił do Wallandera dziesięć po ósmej. Konowalenko nawiązał z nim kontakt.

- Wiem, że nie chcesz mi powiedzieć, co i jak - zaczął Svedberg. - Ale podaj mi przynajmniej godzinę.

- Jutro o siódmej rano - po chwili wahania odparł Wallander.

- Nie pod jego domem.

- Nie. O nic więcej nie pytaj.

- I co się wtedy stanie?

- Obiecał, że uwolni Lindę. Tylko tyle wiem.

Akurat, pomyślał Svedberg. Dobrze wiesz, że będzie chciał cię zabić.

- Uważaj na siebie, Kurt.

- Tak, tak - odparł Wallander i odłożył słuchawkę. Svedberg był przekonany, że umówili się pod Tomelillą.

Wallander zbyt się pospieszył z odpowiedzią.

Siedział bez ruchu. Po chwili zadzwonił do Stena Widena.

Spotkają się u Svedberga o północy i pojedą do Tomelilli.

W kuchni Svedberga wypili po filiżance kawy i przeszli na ty.

Deszcz ciągle padał.

Za kwadrans druga opuścili mieszkanie.

Mężczyzna znów wrócił pod jej dom w Bezuidenhout Park. Trzeci poranek z rzędu Miranda zauważyła go po drugiej stronie ulicy. Stał bez ruchu, czekał. Widziała go przez cienką zasłonę w oknie salonu. Biały, w garniturze i krawacie, wyglądał jak zagubiony cudzoziemiec. Zwróciła na niego uwagę tuż po wyjściu Matildy do szkoły. Zareagowała natychmiast, ponieważ mało kto chodził tą ulicą. Mężczyźni z sąsiednich willi wsiadali rano do swoich samochodów i jechali do śródmieścia Johannesburga. Kilka godzin później wsiadały do swoich samochodów kobiety i jechały na zakupy, odwiedzały salony piękności albo po prostu gdzieś znikaly. W Bezuidenhout mieszkała zawiedziona i niepewna siebie gromadka przedstawicieli białej klasy średniej. Ci, którym nie udało się wspiąć na najwyższy szczebel społecznej hierarchii. Miranda wiedziała, że wielu z nich zastanawia się nad emigracją. Jeszcze jedna prawda nieuchronnie zaczynała dochodzić do głosu. Dla tych ludzi Afryka Południowa nie była ich rdzenną ojczyzną, nie czuli się z nią związani, ich przodkowie nie pochodzili stąd. Mimo że się tutaj urodzili, bez chwili wahania zaczęli myśleć o przeprowadzce, kiedy w lutym de Klerk wygłosił orędzie do narodu, Nelsona Mandelę wypuszczono z więzienia i szło nowe. Takie nowe, w którym nie tylko Miranda mogłaby zamieszkać w Bezuidenhout.

Mężczyzna po drugiej stronie ulicy był obcy. Ciekawe, czego tu szukał. Może coś zgubił, może o czymś marzył? Długo mu się przyglądała zza cienkiej zasłony, w końcu doszła do wniosku, że obserwuje jej dom. W pierwszej chwili się przelękała. Może to ktoś z bliżej nieokreślonego urzędu, jakiegoś organu sprawującego pieczę nad czarnymi w Afryce Południowej? Spodziewała się, że się ujawni, że zadzwoni do drzwi. Ale im dłużej stał, tym bardziej w to wątpiła. Poza

tym nie miał teczki. Miranda przywykła do tego, że biała społeczność Afryki Południowej komunikuje się z czarnymi za pośrednictwem psów, policji, pałek, pojazdów opancerzonych lub specjalnie spreparowanych papierów. Tymczasem mężczyzna stał z gołymi rękami.

Pierwszego dnia Miranda często podchodziła do okna, żeby się upewnić, czy nadal tam jest. Myślała o nim jak o pomniku, którego nie ma gdzie postawić albo którego nikt nie chce. Przed dziewiątą zniknął. Ale nazajutrz znowu tam był, w tym samym miejscu, i znowu patrzył w okna jej domu. Nabrała podejrzeń, że chodzi o Matildę. Że to tajniak. Gdzieś, poza zasięgiem jej wzroku, mogły stać w pogotowiu samochody z ludźmi w mundurach. Ale w jego zachowaniu było coś, co sprawiało, że nie miała pewności. Jakby tam stał tylko po to, by go zobaczyła i zrozumiała, że nie jest niebezpieczny. Że nie stanowi zagrożenia i że daje jej czas, żeby przywykła do jego obecności.

W środę 20 maja pojawił się po raz trzeci. Rozejrzał się, przeciął ulicę, otworzył furtkę i ruszył do drzwi wyłożoną kamieniami alejką. Kiedy rozbrzmiał dzwonek, ciągle stała za zasłonką. Tego dnia Matilda nie poszła do szkoły. Obudziła się z bólem głowy i gorączką, może nabawiła się malarii, i została w łóżku. Miranda cicho zamknęła drzwi do jej pokoju i otworzyła drzwi wejściowe. Dzwonek odezwał się tylko raz. Mężczyzna wiedział, że ktoś jest w domu.

Młody człowiek, pomyślała.

- Miranda Nkoyi? - spytał jasnym głosem. - Czy mógłbym pani zająć chwilkę?

Pełna obaw wpuściła go do środka, zaprowadziła do salonu i poprosiła, żeby usiadł.

Georga Scheepersa opuściła pewność siebie. Czarne sekretarki zaczęły się pojawiać w prokuraturze od niedawna, kiedy złagodzono ustawy o segregacji rasowej. Nigdy dotąd nie był sam na sam z Murzynką w jej domu.

Nie wyzbył się uczucia, że Murzyni nim gardzą. Wszędzie dopatrywał się wrogości z ich strony. Wyrzuty sumienia dopadały go podczas biało-czarnego tete-a-tete, zwłaszcza w sytuacjach męsko-damskich. Z mężczyznami może byłoby inaczej. On, biały, górowałby nad nimi. Ale nie teraz. Miał wrażenie, że krzesło się pod nim zapada i że siedzi na podłodze.

Ostatnie dni i ubiegły weekend poświęcił na zgłębianie najskrytszych tajemnic Jana Kleyna. Już wiedział, że Kleyn składał regularne wizyty w tym domu w Bezuidenhout. Robił to od wielu lat, odkąd po ukończeniu studiów osiadł w Johannesburgu. Dzięki wpływom Werveya i swoim osobistym kontaktom udało mu się przepatrzyć konta bankowe. Co miesiąc Jan Kleyn przelewał spore sumy na rzecz Mirandy Nkoyi.

Jan Kleyn, jeden z najbardziej zaufanych pracowników wywiadu, Bur dumny ze swego systemu wartości, żył potajemnie z czarną kobietą. Dla niej gotów był ponieść największe ryzyko. Jeśli prezydenta de Klerka postrzegano jako zdrajcę, Jan Kleyn też mógł się za niego uważać.

Scheepers miał jednak wrażenie, że odsłonił zaledwie rąbek tajemnicy, i postanowił odszukać tę kobietę. Nie powie, kim jest, niewykluczone, że ona nie wspomni Janowi Kleynowi o jego wizycie. Jeśli wspomni, Kleyn dosyć szybko ustali jego tożsamość, ale nie będzie znał powodów odwiedzin. Zaniepokoi się, że został przejrzany i że Georg Scheepers może go w dalszym ciągu kontrolować. Naturalnie Jan Kleyn mógł go zabić. Choć to raczej mało prawdopodobne, ponieważ postanowił się odpowiednio zabezpieczyć. Nie wyjdzie z tego domu, dopóki Miranda nie zrozumie, że nie on jeden wie o utajnionym życiu Jana Kleyna.

Patrzyła na niego, przeszywała wzrokiem. Była bardzo ładna.

Zmusił się do powiedzenia jej prawdy. Mężczyznę, który do

niej przychodzi, łoży na dom i przypuszczalnie jest jej kochankiem, podejrzewa się o spisek zagrażający bezpieczeństwu państwa i życiu kilku osób. Wydawało mu się, że o części spraw Miranda ma pojęcie, o części zaś dowiaduje się po raz pierwszy. Co ciekawe, wyraźnie jej ulżyło, jakby się spodziewała lub obawiała całkiem innych wiadomości. Zaczął się zastanawiać, cóż by to mogło być. Zapewne jeszcze jakaś tajemnica, jakieś tajemne przejście.

- Muszę wiedzieć - przyznał. - W zasadzie nie mam żadnych pytań. Nie proszę pani o to, by świadczyła pani przeciwko niemu. Chodzi o coś bardzo poważnego. O zagrożenie dla naszego kraju. Tak wielkie, że nie mogę pani wyjawić mojego nazwiska.

- Ale jest pan jego wrogiem - powiedziała. - Kiedy stado wyczuwa niebezpieczeństwo, niektóre zwierzęta uciekają na oślep i giną. Czy tak?

- Możliwe. Może i tak.

Siedział plecami do okna. Kiedy Miranda mówiła o stadzie, dostrzegł jakiś ruch przy drzwiach, jakby ktoś zaczął naciskać klamkę, po czym zmienił zdanie. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że tego ranka młoda kobieta nie wyszła z domu. Młoda kobieta, czyli córka Mirandy.

W wyniku ostatnich poszukiwań odkrył coś godnego uwagi. Miranda Nkoyi była zarejestrowana jako gosposia, zatrudniona u niejakiego Sidneya Houstona, który większość czasu spędza! na swoim ranczu, hen na rozległych równinach na wschód od Harare. Układ z tym nieobecny hodowcą bydła Scheepers bez trudu przejrzał, zwłaszcza kiedy się dowiedział, że Jan Kleyn i Houston byli kolegami ze studiów. Ale druga kobieta, córka Mirandy, oficjalnie nie istniała. Teraz stała za drzwiami i podsłuchiwała.

Nagle go olśniło. Później dojdzie do wniosku, że dał się zwieść przesądom, niewidzialnym barierom rasowym, które

wytoczyły jego życie. Pojął, kim jest podsłuchująca ich dziewczyna. Odkrył wielką i skrzętnie skrywaną tajemnicę Jana Kleyna. Jakby oblegana twierdza w końcu runęła. Prawda tak długo nie wychodziła na jaw, ponieważ po prostu wydawała się nie do pomyślenia. Jan Kleyn, gwiazda wywiadu, bezwzględny w walce Bur, miał córkę z Murzynką. Córkę, którą przypuszczalnie kochał nad życie. Może sobie wyobrażał, że Nelson Mandela musi umrzeć, żeby jej było lepiej. W opinii Scheepersa obłuda zasługiwała wyłącznie na nienawiść. Wszelkie jego opory zniknęły. Chyba rozumiał, jakiego zadania podjęli się de Klerk i Nelson Mandela. Jak uda im się stworzyć wspólnotę ludzi, którzy traktują się wzajemnie jak zdrajcy?

Miranda nie spuszczała z niego wzroku. Nie potrafiła odgadnąć jego myśli, ale zauważyła, że jest wzburzony. Błądził spojrzeniem, najpierw popatrzył na nią, potem na fotografię dziewczynki stojącą na gzymsie kominka.

- Pani córka - powiedział. - I córka Jana Kleyna.

- Matilda.

Scheepers przypomniał sobie, co przeczytał o Mirandzie.

- Jak pani matka.

- Jak moja matka.

- Kocha pani męża?

- Nie jest moim mężem. Jest jej ojcem.

- A ona?

- Ona go nienawidzi.

- Stoi teraz za drzwiami i podsłuchuje.

- Jest chora. Ma gorączkę.

- Ale słucha.

- Dlaczego miałyby się nie przysłuchiwać? Scheepers skinął głową.

- Chciałbym wiedzieć. Proszę się zastanowić. Interesuje mnie każdy drobiazg, który mógłby nam pomóc w dotarciu do ludzi, którzy zamierzają wywołać chaos w kraju. Zanim

będzie za późno.

Miranda pomyślała, że oto nareszcie przyszedł moment, na który czekała od bardzo dawna. Wyobrażała sobie wprawdzie, że opowie o swoich nocnych przeszukiwaniach kieszeni Jana Kleyna i wsłuchiwaniu się w to, co mówi przez sen, tylko córce, że nikt inny nie będzie świadkiem tych zwierzeń, ale teraz zmieniła zdanie. Dziwiła się sama sobie, że postanowiła zaufać temu zupełnie nieznanemu mężczyźnie. Może sprawiła to jego wrażliwość? Jego niepewność w stosunku do niej? Czy nabrała do niego zaufania wyłącznie z powodu tych słabości?

Radość wynikająca z uczucia ulgi, pomyślała. Jakbym wyszła z morza, oczyszczona.

- Długo mi się wydawało, że jest zwykłym urzędnikiem - zaczęła. - Nie podejrzewałam go o żadne przestępstwa. Aż się dowiedziałam.

- Od kogo?

- Może powiem, ale jeszcze nie teraz. Powinno się mówić w stosownym czasie.

Żałował, że jej przerwał.

- On nie wie, że ja wiem - podjęła. - Pod tym względem miałam nad nim przewagę. Mogła mi przynieść wybawienie albo śmierć. Ile razy do nas przychodził, wstawałam w nocy i sprawdzałam jego kieszenie. Wszystko odpisywałam, słuchałam, co mówi przez sen, i przekazywałam to dalej.

- Komu?

- Tym, którzy nas chronią.

- Ja też was chronię.

- Nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

- To nie ma znaczenia.

- Kontaktuję się z czarnymi, którzy tak jak Jan Kleyn prowadzą podwójne życie.

Słyszał o tym. Niczego jednak nigdy nie udało się udowodnić. Wiedział, że służby wywiadowcze, cywilne i

wojskowe, ciągle polowały na własne cienie. Powtarzały się pogłoski, że Murzyni mają swój wywiad, który podlega bezpośrednio ANC lub jest odrębną organizacją. Rozszyfrowywali poczynania przeciwników, ich strategie i tożsamość. Uświadomił sobie, że Miranda potwierdziła ich istnienie.

Jan Kleyn jest martwy, pomyślał. Ludzie, których traktował jako wrogów, przetrząsali mu kieszenie.

- Co znalazła pani w ostatnich miesiącach? - spytał. - Okres wcześniejszy mnie nie interesuje.

- Wszystko przekazywałam dalej, nie starałam się zapamiętywać, bo i po co.

Uznał, że mówi prawdę. Jeszcze raz próbował ją nakłonić, by umożliwiła mu spotkanie z kimś, kto analizuje zawartość kieszeni Jana Kleyna i sens słów mamrotanych we śnie.

- Dlaczego miałabym panu wierzyć?

- Nie musi pani. W życiu nie istnieją żadne gwarancje. Jest tylko ryzyko.

- Czy on zabił dużo ludzi? - zapytała po dłuższym namyśle.

Mówiła głośno. Przypuszczała to dlatego, żeby córka mogła ją słyszeć.

- Tak - odparł. - Zabił dużo ludzi.

- Murzynów?

- Murzynów.

- Byli przestępcami?

- Niektórzy byli, niektórzy nie.

- Dlaczego ich zabijał?

- Bo nie chcieli mówić. Bo byli rebeliantami.

- Jak moja córka.

- Nie znam pani córki.

- Ale ja ją znam. - Podniosła się gwałtownie. - Proszę przyjść jutro. Może ktoś będzie chciał się z panem zobaczyć. Niech pan już idzie.

Wyszedł. Przeciął ulicę i wszedł do samochodu. Był spocony.

Odjeżdżając, pomyślał o własnej słabości. I o sile tej kobiety. Czy istnieje szansa, że się w przyszłości porozumieją i pogodzą?

Matilda nie pokazała się, kiedy odjechał. Miranda zostawiła ją w spokoju. Ale wieczorem długo siedziała przy niej na łóżku.

Gorączka opadała i nasilała się.

- Martwisz się? - spytała Miranda.

- Nie. Jeszcze bardziej go nienawidzę.

Kliptown będzie się później kojarzyć Scheepersowi z piekłem, czymś, czego do tej pory nie musiał oglądać. Od kołyski po grób Burowie kroczyli przez życie wytyczoną drogą, jak zaślepieni. Teraz wstąpił na drogę Murzynów i nigdy nie zapomni, co tam zobaczył. Był poruszony, dotyczyło to przecież dwudziestu milionów ludzi. Ludzi, którym odmówiono godnej egzystencji, którzy przedwcześnie umierali, którym nie pozwolono w pełni rozwinąć własnych możliwości.

Zjawił się przed domem w Bezuidenhout nazajutrz o dziesiątej rano. Otworzyła mu Miranda. Jej córka Matilda miała go zawieźć do człowieka, który zgodził się z nim porozmawiać. Odniósł wrażenie, że spotkał go niemały przywilej. Matilda była równie piękna jak matka. Miała jej oczy i nieco jaśniejszą skórę. Nie dostrzegł w jej twarzy żadnych rysów ojca. Może dlatego, że tak bardzo się wobec niego dystansowała? Przywitała go z rezerwą, na jego wyciągniętą rękę odpowiedziała jedynie skinieniem głowy. Mimo jej młodego wieku poczuł się niepewnie. Zaczął się niepokoić. W co on się pakuje? A jeśli Jan Kleyn odgrywa zupełnie inną rolę, niż mu się wydaje? Na zmianę decyzji było jednak za późno. Przed domem zatrzymał się stary, skorodowany samochód. Miał oblużowaną rurę wydechową i do połowy odcięte zderzaki. Matilda otworzyła drzwi i spojrzała na niego.

- Myślałem, że on przyjedzie tutaj - powiedział z wahaniem.

- Złożymy wizytę w innym świecie - odparła Matilda.

Usiadł z tyłu. Dopiero później uświadomił sobie, że w samochodzie był taki zapach jak w kurniku w czasach jego dzieciństwa. Człowiek za kierownicą, w czapce z daszkiem głęboko wciśniętej na czoło, odwrócił się, popatrzył na niego i ruszyli. Rozmawiał z Matildą w języku, którego Scheepers nie rozumiał, ale rozpoznał jako khosa. Zmierzali na południowy zachód. Zdaniem Scheepersa mężczyzna prowadził zdecydowanie za szybko. Wkrótce minęli centrum Johannesburga i znaleźli się w sieci przecinających się obwodnic. Czy wiozą mnie do Soweto? - pomyślał.

Nie, nie jechali do Soweto. Minęli Meadowsland, nad przykurzonym pejzażem siał się gęsty cuchnący dym. Zahamowali tuż za skupiskiem zapuszczonych domów, wśród których biegały psy, dzieci, kury i piętrzyły się wraki spalonych samochodów. Matilda usiadła obok niego. W rękę trzymała czarny kaptur.

- Od tej chwili nie wolno panu nic widzieć - powiedziała. Zaprotestował, odepchnął jej rękę.

- Czego się pan obawia? Proszę się zdecydować. Chwycił kaptur.

- Dlaczego? - spytał.

- Są tu tysiące oczu - wyjaśniła. - Pan nic nie zobaczy i nikt nie zobaczy pana.

Zirytował się.

- To nie jest odpowiedź, tylko jakaś zagadka.

- Nie dla mnie. Proszę się zdecydować!

Włożył kaptur. Pojechali dalej. Droga stawała się coraz gorsza, ale kierowca nie zwalniał. Scheepers amortyzował wstrząsy najlepiej, jak potrafił. Mimo to kilka razy mocno uderzył głową w dach. Stracił poczucie czasu. Kaptur łaskotał go w twarz, swędziała skóra.

Samochód przyhamował i stanął. Gdzieś zaczął ujadać pies.

Z radia dobiegały dźwięki muzyki. Czuł zapach ognisk. Matilda pomogła mu wysiąść i zdjęła kaptur. Oślepiło go słońce. Kiedy oczy przyzwyczyły się do światła, zobaczył, że stoi między szopami skleconymi z blachy falistej, tektury, grubego workowego płótna i brezentu. Były też blaszaki z wraków samochodów. Cuchnęło odpadkami. Wychudzony sparszywiący pies capnął go za nogę. Patrzył na ludzi żyjących w skrajnej nędzy. Nie zwracali na niego uwagi. Nie było w nich ani wrogości, ani ciekawości. Była obojętność. Tak jakby dla nich nie istniał.

- Witamy w Kliptown - powiedziała Matilda. - Może w Kliptown, a może w innym *shanty-town*. I tak pan tutaj sam nie trafi. Takie miejsca wszędzie wyglądają podobnie, wszędzie ta sama nędza, taki sam zapach i tacy sami ludzie. Poszła przodem. Miał wrażenie, że zanurza się w labiryncie, który go pochłania, odziera z przeszłości. Już po kilku krokach stracił orientację. Idąc obok córki Jana Kleyna, doznał poczucia absurdu. Ale ten absurd stanowił dziedzictwo, które dzieli ich po raz ostatni i które przestanie istnieć.

- Co pan widzi? - spytała.

- To samo co ty.

- Wcale nie! Jest pan zszokowany?

- Naturalnie.

- Ja nie. Szok przypomina schody. Ma dużo stopni. Nie stoimy na tym samym stopniu.

- Ty jesteś na najwyższym?

- Prawie.

- Czy stamtąd widać co innego?

- Można popatrzeć dalej. Na łąkach pasą się stada czujnych zebr. Galopujące antylopy zapominają o prawie grawitacji. Kobra chowa się w opuszczonej termitierze. Kobiety noszą wodę. - Stała naprzeciwko niego. - W pańskich oczach odbija się moja nienawiść. Ale pan tego nie widzi.

- Jakiej odpowiedzi się spodziewasz? Życie tutaj to piekło. Czy to moja wina?

- Możliwe. To zależy.

Ruszyli. Nigdy sam się stąd nie wydostanie. Potrzebuję jej, pomyślał. Zawsze byliśmy zależni od Murzynów i ona to wie.

Matilda zatrzymała się przed szopą większą od innych i kucnęła przy drzwiach z byle jak przyciętego masonitu.

- Niech pan wejdzie - powiedziała. - Ja tu zaczekam. W pierwszej chwili Scheepers nic nie widział. Potem zauważył drewniany stół, kilka krzeseł i kopnącą się lampę naftową. Z cienia wyłonił się mężczyzna i patrzył na niego z leciutkim uśmiechem. Jest w moim wieku, pomyślał Scheepers. Był jednak mocniejszej budowy ciała, nosił brodę i emanowała z niego ta sama godność, którą dostrzegł u Mirandy i Matildy.

- Georg Scheepers.

Mężczyzna parsknął śmiechem i wskazał na krzesło.

- Co pana tak bawi? - spytał Scheepers, z trudem ukrywając narastający niepokój.

- Nic. Mów mi Steve.

- Wiesz, dlaczego chciałem się z tobą spotkać.

- Nie ze mną, tylko z kimś, kto może ci powiedzieć coś nowego o Janie Kleynie. Tak się składa, że tym kimś jestem ja.

- Możemy przejść do rzeczy? - zniecierpliwiał się Scheepers.

- Nie wiedzieć czemu białym zawsze się spieszy.

- Jan Kleyn.

- Niebezpieczny człowiek. Wróg wszystkich, nie tylko nasz. Kruki wołają w nocy. Z naszego rozeznania wynika, że przypuszczalnie szykuje się coś, co może wywołać chaos. A tego nie chcemy. Ani ANC, ani de Klerk. Dlatego musisz mi powiedzieć, co wiesz. Potem być może wspólnie oświetlimy kilka najciemniejszych kątów.

Scheepers nie powiedział wszystkiego. Ale przekazał rzeczy najważniejsze. Ryzykował. Nie miał przecież pojęcia, z kim rozmawia. Musiał jednak tak postąpić. Steve słuchał, wolno pocierając brodę.

- A więc to zaszło tak daleko - skwitował, kiedy Scheepers umilkł. - Spodziewaliśmy się tego, ale sądziliśmy, że jakiś szalony Bur najpierw będzie chciał poderżnąć gardło zdrajcy de Klerkowi.

- Zawodowy morderca. Bez twarzy, bez nazwiska. Ale mógł się pojawić wcześniej, zwłaszcza w otoczeniu Jana Kleyna. Może krukowi, o których wspomniałeś, uda się coś usłyszeć. To może być biały albo Murzyn. Dotarłem do informacji świadczących o tym, że prawdopodobnie dostanie dużo pieniędzy. Co najmniej milion randów.

- Powinniśmy go zidentyfikować. Jan Kleyn wybiera tylko najlepszych. Jeśli to Południowoafrykańczyk, nieważne, czarny czy biały, znajdziemy go.

- Znajdziemy i powstrzymamy. Zabijemy. Musimy współpracować.

- Nie. To nasze pierwsze i ostatnie spotkanie. Przychodzimy z różnych stron. Tak jest teraz, tak będzie w przyszłości. Inna możliwość nie wchodzi w grę.

- Dlaczego?

- Nie powierzamy sobie nawzajem naszych tajemnic. Wszystko jest nadal niewiadome, niepewne. Unikamy układów i porozumień, chyba że to absolutna konieczność. Nie zapominaj, że jesteśmy wrogami. Wojna w naszym kraju toczy się od dawna. Mimo że nie chcemy się do tego przyznać.

- Inaczej na to patrzymy.

- Tak. Otóż to.

Rozmowa trwała zaledwie kilka minut, kiedy Steve wstał. Scheepers zrozumiał, że skończyli.

- Jest Miranda - powiedział Steve. - Możesz dotrzeć do mnie

za jej pośrednictwem.

- Wiem. Trzeba zapobiec temu zamachowi.

- Owszem. Ale wy to musicie zrobić. To wy macie środki. Ja nie mam nic prócz blaszaka, Mirandy i Matildy. Pomyśl, co się stanie, jeżeli zamach się powiedzie.

- Wolę o tym nie myśleć.

Steve przyglądał mu się przez moment, po czym zniknął bez pożegnania. Scheepers wyszedł na ostre słońce. Matilda poprowadziła go w milczeniu do samochodu. Usiadł z tyłu, z kapturem na głowie. W ciemnościach zastanawiał się, co powie prezydentowi de Klerkowi.

Prezydentowi de Klerkowi co jakiś czas śniły się termity.

Znajdował się w domu, w którym każda deska podłogi, każda ściana i każdy mebel były zaatakowane przez te wygłodzone żyjątka. Nie wiedział, po co tam przyszedł. Między deskami rosła trawa, okna ziały wybitymi szybami, zjadłe chrupanie termitów przeszywało całe jego ciało. We śnie miał bardzo mało czasu na napisanie ważnego przemówienia. Gdzieś się zapodział dyktafon, musiał się obyć bez niego. Kiedy przystąpił do pisania, z pióra zaczęły wpełzać termity.

W tym momencie zwykle się budził. Leżał w ciemnościach i myślał, że być może ten sen jest proroczy. Że może na wszystko jest już za późno. Kto wie, czy to, czego chciał dokonać - uratować Afrykę Południową od rozpadu, zachowując jednocześnie maksymalnie duże wpływy i uprzywilejowaną pozycję białych - nie stanowiło dysonansu, wystawiającego cierpliwość Murzynów na zbyt wielką próbę. Jedynie Nelson Mandela mógł go przekonać, że nie ma żadnej

innej drogi. De Klerk wiedział, że obaj lękają się wybuchu niekontrolowanej przemocy i chaosu, nad którymi nikt nie zapanuje, i że powstaną dogodne warunki do przeprowadzenia brutalnego puczu wojskowego lub

uformowania się różnych grup etnicznych, które będą się zwalczać do upadłego.

Była dziesiąta wieczorem, wtorek 21 maja. De Klerk wiedział, że przed gabinetem czeka młody prokurator Scheepers. Ale nie czuł się jeszcze gotowy, żeby go przyjąć. Był zmęczony, głowę rozsadały mu najróżniejsze problemy, które bez przerwy musiał rozwiązywać. Podniósł się zza biurka i podszedł do okna. Niekiedy ciężar odpowiedzialności przytłaczał go ponad miarę. Nie do udźwignięcia dla jednego człowieka. Zdarzało się, że ogarniała go instynktowna chęć ucieczki. Najchętniej stałby się niewidzialny, zaszyłby się w buszu, rozpląnął, zniknął bez śladu. Wiedział jednak, że tego nie zrobi. Bóg, z którym coraz trudniej mu się rozmawiało i w którego coraz słabiej wierzył, mimo wszystko nad nim czuwał. Zastanawiał się, ile czasu mu zostało. Zależnie od nastroju uważał, że albo już od dawna żyje na kredyt, albo ma przed sobą pięć lat. A właśnie czasu potrzebował najbardziej, żeby zrealizować swój wielki plan: tak długo, jak się tylko da, odwlec zmiany ustrojowe, pozyskując dla swojej partii jak największą liczbę czarnych wyborców. Zdawał sobie sprawę, że Nelson Mandela nie zgodzi się na zwłokę kosztem przemian społecznych.

W każdym jego posunięciu tkwi ziarenko fałszu, pomyślał. Na dobrą sprawę ja też noszę w sobie nierealne marzenie, że w moim kraju nigdy nic się nie zmieni. Niewiele się różnię od fanatycznego szaleńca, który chce bronić tego marzenia jawną przemocą.

Afryka Południowa jest zapóźniona. To, co dzieje się teraz, powinno się było wydarzyć wiele lat temu. Ale historii nie można przewidzieć, nie da się jej odmierzyć linijką.

Usiadł za biurkiem i potrząsnął dzwonkiem. Po chwili do gabinetu wszedł Scheepers. De Klerk cenił go za energię i rzetelność. Nie przejmował się jego naiwnością. Ten młody

Bur powinien w końcu zrozumieć, że pod piaskiem kryją się ostre kamienie.

Słuchał relacji Scheepersa z przymkniętymi oczami. Jego świadomość rejestrowała każde słowo. Kiedy Scheepers umilkł, popatrzył na niego badawczo.

- Zakładam, że wszystko się zgadza - powiedział.

- Tak - odparł Scheepers. - Co do joty.

- Na pewno?

- Na pewno.

- A więc Nelsona Mandelę - podjął po namyśle de Klerk - ma zabić jakiś żaloszny zawodowy morderca, wybrany i opłacony przez organ egzekucyjny tajnego Komitetu. Ma do tego dojść niebawem, podczas jednego z wielu publicznych wystąpień Mandeli. Konsekwencje to chaos, rzeź, katastrofa. Grupa wpływowych Burów tylko czeka na przejęcie władzy. Konstytucja przestaje obowiązywać. Władzę przejmują pospołu wojskowi, policjanci i cywile. Czekają nas rozciągnięty w czasie stan wyjątkowy. Dobrze zrozumiałem?

- Tak - potwierdził Scheepers. - Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że do zamachu dojdzie dwunastego czerwca.

- Dlaczego?

- Nelson Mandela będzie przemawiał na wiecu w Kapsztadzie. Wojskowe służby informacyjne okazują wręcz nadzwyczajne zainteresowanie działaniami operacyjnymi tamtejszej policji w związku ze wspomnianym wydarzeniem. Świadczą o tym również inne ruchy. Zdaję sobie sprawę, że to jedynie domysły. Ale, moim zdaniem, w pełni uprawnione.

- Trzy tygodnie. Mamy trzy tygodnie na powstrzymanie tych szaleńców.

- Jeśli się nie pomyliłem. Nie możemy wykluczyć, że dwunastego czerwca i Kapsztad to zasłona dymna. Ludzie w

to zamieszani są niezwykle przebiegli. Równie dobrze do zamachu może dojść już jutro.

- Inaczej mówiąc, kiedykolwiek i gdziekolwiek. I nie będziemy w stanie temu zapobiec.

Zamilkł. Scheepers czekał.

- Muszę porozmawiać z Nelsonem Mandelą - podjął de Klerk. - Powinien wiedzieć, o co toczy się gra. - Spojrzał na Scheepersa. - Tych ludzi trzeba natychmiast powstrzymać.

- Nie wiemy, kim są. Jak można powstrzymać kogoś, kogo się nie zna?

- A człowiek, którego wynajęli?

- Też nic o nim nie wiemy.

De Klerk przyglądał mu się w zamyśleniu.

- Czytam z pańskiej twarzy, że ma pan pewien plan. Scheepers poczuł, że się czerwieni.

- Panie prezydencie - zaczął. - Wydaje mi się, że kluczem do wszystkiego jest Jan Kleyn, pracownik wywiadu. Należałoby go jak najszybciej aresztować. Naturalnie może się do niczego nie przyznać. Lub popełni samobójstwo. Nie widzę jednak innej możliwości niż przesłuchanie go.

De Klerk skinął głową.

- Dobrze. Nie brakuje nam wytrawnych śledczych, którzy potrafią wycisnąć z ludzi prawdę.

Z Murzynów, pomyślał Scheepers, którzy potem giną w niewyjaśnionych okolicznościach.

- Sądzę, że powinienem go przesłuchać osobiście - powiedział. - Jestem najlepiej w tym wszystkim zorientowany.

- Poradzi pan sobie? - Tak.

Prezydent wstał. Audiencja była skończona.

- Jan Kleyn zostanie aresztowany jutro. Proszę o najświeższe raporty. Raz dziennie.

Pożegnali się.

Scheepers wyszedł, skinął głową odźwiernemu i udał się do domu. Pistolet położył tuż obok, na siedzeniu pasażera. De

Klerk długo stał przy oknie. A potem spędził kilka godzin za biurkiem.

Odźwierny krążył przed gabinetem prezydenta. Wyglądał nierówności dywanów, poprawiał obicia krzesel i myślał o tym, co udało mu się podsłuchać. Rozumiał, że sytuacja jest bardzo poważna. Wszedł do swojej skromnej służbówki, podłączył aparat do gniazdka ukrytego za boazerią, podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Nie czekał długo. Jan Kleyn jeszcze nie spał.

Rozmowa z prezydenckim odźwiernym uświadomiła mu, że ma przed sobą bezsenną noc.

Odliczanie

Późnym wieczorem Sikosi Tsiki uśmiercił mysz celnym rzutem noża. Tania już się położyła. Konowalenko czekał, żeby zadzwonić do Jana Kleyna po ostatnie instrukcje dotyczące powrotu Tsikiego do Afryki Południowej. Poza tym chciał porozmawiać o swojej przyszłości imigranta. Z piwnicy nie dochodził żaden dźwięk. Tania powiedziała, że dziewczyna śpi. Po raz pierwszy od dawna był zadowolony. Skontaktował się z Wallanderem. Zażądał glejtu w zamian za uwolnienie córki. Wallander miał mu dać tydzień i dopilnować, żeby policja szukała go na południu Szwecji, a nie w Sztokholmie, dokąd od razu zamierzał wrócić.

Naturalnie nie było w tym słowa prawdy. Postanowił ich oboje zastrzelić. Zastanawiał się, czy Wallander mu uwierzył. Jeśli tak, to znaczy, że jest przeciętnym prowincjonalnym policjantem, za jakiego go od początku uważał. Wolał jednak nie popełnić błędu po raz drugi i nie lekceważyć go.

Tego dnia dużo godzin poświęcił Tsikiemu. Tak jak z Victorem Mabashą, omówił z nim różne scenariusze wydarzeń. Miał wrażenie, że Sikosi Tsiki jest bystrzejszy od Mabashy. Poza tym wydawał się kompletnie obojętny na rasistowskie aluzje, od których Konowalenko nie mógł się powstrzymać. W najbliższym czasie sprowokuje go jeszcze bardziej, żeby sprawdzić granice jego samokontroli.

Tsiki miał jedną cechę wspólną z Mabashą. Skrytość. Konowalenko zaczął się zastanawiać, czy nie jest ona typowo afrykańska. Za nic nie można było odgadnąć, o czym myślą. To go irytowało. Zwykł prześwietlać ludzi na wylot, domyślał się, co kombinują, dzięki czemu mógł przedzić ich reakcje.

Przyglądał się Murzynowi, który właśnie nadział mysz na swój dziwnie zakrzywiony nóż. Dobrze się spisze, pomyślał. Jeszcze dwa dni planowania i ćwiczeń i może

wracać. Będzie moją przepustką do Afryki Południowej. Sikosi Tsiki wyprostował się, poszedł do kuchni, zdjął mysz z noża, wrzucił ją do kosza i umył ostrze.

Konowalenko obserwował go znad kieliszka.

- Nigdy nie widziałem takiego noża - powiedział.

- Moi przodkowie robili je już przeszło tysiąc lat temu.

- Z zakrzywionym ostrzem? Po co?

- Nikt tego nie wie. To tajemnica. W dniu, w którym wszystko stanie się jasne, nóż straci moc.

Chwilę później Sikosi Tsiki zniknął w swoim pokoju i przekręcił klucz w zamku.

Konowalenkę zirytowała jego zagadkowa odpowiedź. Pogasił lampy, zostawił tylko jedną, obok telefonu, i spojrzał na zegarek. Wpół do pierwszej. Niedługo zadzwoni do Jana Kleyna. Nasłuchiwał ewentualnych odgłosów z piwnicy. Cisza. Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek wódki. Wypije po rozmowie z Kleynem.

Rozmowa była krótka.

Jan Kleyn wysłuchał zapewnień Konowalenki, że Sikosi Tsiki nie sprawi żadnych problemów, że jego stabilność psychiczna nie budzi obaw, po czym poinformował, że Tsiki ma wrócić do kraju nie później niż za tydzień. Konowalenko musi zorganizować podróż i zabukować lot do Johannesburga.

Konowalenko odniósł wrażenie, że Kleyn się spieszy, że jest pod presją. Naturalnie nie mógł tego sprawdzić, ale to mu wystarczyło, żeby nie poruszać sprawy swojego wyjazdu do Afryki Południowej. Nie był zadowolony. Wypił wódkę i zaczął się zastanawiać, czy Jan Kleyn nie zamierza go przypadkiem oszukać. Odrzucił tę myśl. Nie wątpił, że w Afryce Południowej potrzebują ludzi z jego wiedzą i doświadczeniem. Wychylił jeszcze jeden kieliszek i wyszedł na schody. Padał deszcz. Uznał, że mimo wszystko powinien się cieszyć. Za kilka godzin skończą się jego problemy.

Wkrótce wywiąże się z powierzonego mu zadania. Potem zajmie się swoją przyszłością. Musi zdecydować, czy zabierze ze sobą Tanie, czy ją zostawi, tak jak zostawił żonę. Zamknął drzwi, poszedł do swojego pokoju i położył się w ubraniu. Przykrył się kocem. Tania tej nocy będzie spała sama. On musi odpocząć.

Słyszała, jak Konowalenko zamyka drzwi i kładzie się na łóżku. Leżała bez ruchu. Bała się. Czuła, że nie uda się uwolnić dziewczyny i niepostrzeżenie opuścić domu. Nie można było bezgłośnie zamknąć na klucz drzwi do jego pokoju. Próbowwała to robić w ciągu dnia, kiedy Konowalenko i Afrykanin strzelali w żwirowni. Nawet gdyby go zamknęła, wyskoczyłby przez okno. Żałowała, że nie ma proszków nasennych. Wrzuciłaby je do wódki. Mogła polegać wyłącznie na sobie. Ubrania i pieniądze spakowała do niewielkiej torby i schowała w stodole.

Spojrzała na zegarek. Kwadrans po pierwszej. Spotkanie z policjantem ma nastąpić o świcie. Do tego czasu jego córka powinna być daleko stąd. Wstanie, gdy tylko usłyszy, że Konowalenko chrapie. Miał lekki sen i często się budził, ale nie przez pierwsze pół godziny od zaśnięcia.

Nadal nie bardzo wiedziała, dlaczego to robi. Ale wiedziała, że ryzykuje życie. Nie wszystko da się racjonalnie wyjaśnić.

Konowalenko przewrócił się na łóżku i zakasłał. Dwadzieścia pięć po pierwszej. Czasami w ogóle nie spał. Jeśli tak będzie tej nocy, nie pomoże dziewczynie. Poczula jeszcze większy strach.

Za dwadzieścia druga usłyszała chrapanie. Po trzydziestu sekundach wstała. Była całkowicie ubrana. W dłoni ścisnęła klucz do kłódki, która spinała łańcuch krępujący nogi dziewczyny. Ostrożnie otworzyła drzwi. Omijając skrzypiące deski podłogi, wśliznęła się do kuchni, zapaliła latarkę i powoli uniosła klapę. To był krytyczny moment. Dziewczyna mogła krzyknąć. Dotychczas się to wprawdzie nie zdarzyło,

ale mogło. Konowalenko chrapał. Nasłuchiwała. Po chwili zeszła do piwnicy. Dziewczyna leżała zwinięta w kłębek. Miała otwarte oczy. Tania kucnęła i głaszcząc ją po włosach, szepnęła, że wychodzą i żeby zachowywała się bardzo cicho. Dziewczyna nie zareagowała. Tania przelękała się, że w ogóle nie wstanie. Może strach ją sparaliżował? Musiała ją odwrócić, żeby się dostać do kłódki. Nagle dziewczyna zaczęła wierzgać i wymachiwać rękami. Tania położyła jej dłoń na ustach. W samą porę. Jeden na wpół zdławiony krzyk - i Konowalenko natychmiast by się obudził. Zadrzała na samą myśl. Mógłby zabić klapę gwoździami i na zawsze zostawić je w ciemnościach. Tania nie przestawała szeptać. Oczy dziewczyny ożywiły się. Chyba już zrozumiała. Tania powoli zdjęła dłoń z jej ust, otworzyła kłódkę i zsunęła łańcuch.

W tym momencie chrapanie ustało. Tania wstrzymała oddech, błyskawicznie się wyprostowała i opuściła klapę. Dziewczyna siedziała w milczeniu.

Nagle w kuchni dały się słyszeć kroki. Tuż nad nimi. Tania niemal przestało bić serce. Konowalenko zaraz podniesie klapę, pomyślała, zamykając oczy. Jednak mnie słyszał.

Rozległ się zbawienny brzęk szkła. Konowalenko wstał, żeby się napić wódki. I wyszedł. Tania oświetliła swoją twarz latarką, uśmiechnęła się i wzięła dziewczynę za rękę. Czekala. Po dziesięciu minutach ostrożnie uchyliła klapę. Konowalenko chrapał. Wyjaśniła dziewczynie, co zrobić. Bezgłośnie podejść do drzwi wyjściowych. Tania wcześniej naoliwiła zamek. Powinien ustąpić bez żadnych trzasków. Jeśli się uda, razem się stąd wyniosą. Jeśli nie, jeśli Konowalenko się obudzi, Tania otworzy drzwi i każda pobiegnie w swoją stronę. Czy to jasne? Ma uciekać, nie wściec. Na dworze pada, jest lekka mgła, łatwiej będzie się rozpląnąć w ciemnościach. Niech biegnie i nie ogląda się za siebie, dopóki nie dotrze do jakiegoś domu albo nie zobaczy

na szosie samochodu. Ale przede wszystkim musi uciekać co sił w nogach.

Czy dziewczyna ją zrozumiała? Chyba tak. Miała przytomne spojrzenie, mimo osłabienia mogła się w miarę sprawnie poruszać. Tania nasłuchiwała przez chwilę i skinęła głową. W drogę. Wyszła pierwsza, znów nasłuchiwała, po czym wyciągnęła rękę do dziewczyny. Czas naglił. Choć panował półmrok, dziewczyna mrużyła oczy. Jest na wpół ślepa, pomyślała Tania i mocno chwyciła ją za ramię. Konowalenko chrapał. Krok za krokiem, powolutku ruszyły do przedpokoju. Tania najciszej, jak tylko potrafiła, odsunęła wiszącą przed drzwiami kotarę. Mokra od potu, drżącymi dłońmi chwyciła klucz, wierząc, że się powiedzie. Wiedziała, że w jednym miejscu natrafi na opór i jeśli zbyt szybko przekręci klucz, zamek wyda głuchy trzask. Pomyślnie pokonała ten krytyczny punkt, skinęła na dziewczynę i otworzyła drzwi.

W tym momencie usłyszała za plecami hałas. Drgnęła. Dziewczyna przewróciła stojak na laski i parasolki. Tania nie miała wątpliwości, co się za chwilę stanie. Wypchnęła dziewczynę za drzwi, na deszcz i mgłę, i kazała jej uciekać. Dziewczyna wydawała się całkowicie bezradna. Tania dała jej kuksańca. Wtedy ta się ocknęła, puściła biegiem i po chwili zniknęła w szarościach.

Dla niej było już za późno na cokolwiek. Mimo to postanowiła spróbować. Nie oglądając się za siebie, ruszyła w przeciwną stronę, żeby zmylić Konowalenkę, żeby dziewczyna zyskała nad nim kilka dodatkowych sekund przewagi.

Konowalenko dogonił ją pośrodku podwórza.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął. - Jesteś chora?

Zdała sobie sprawę, że jeszcze nie zauważył podniesionej klapy. Dopiero kiedy wejdą do kuchni, zrozumie, co się stało.

Dziewczyna będzie miała dostateczną przewagę.
Konowalenko już jej nie znajdzie.

Ogarnęło ją zmęczenie. Wiedziała, że postąpiła słusznie.

- Nie czuję się najlepiej - odparła, udając, że ma zawroty głowy.

- Chodźmy.

- Chwileczkę. Chciałabym zaczerpnąć świeżego powietrza. Dam jej wszystko, co mogę, pomyślała. Z każdym oddechem rosną jej szanse. Ja nie mam już żadnych.

Biegła przez noc. W deszczu. Nie wiedziała, gdzie jest, po prostu biegła. Przewracała się, szybko podnosiła i biegła. Była na polu, pierzchały przed nią spłoszone zające. Czuła si jak one, jak ścigane zwierzę. Głina przywierała do butów, zrzuciła je i biegła boso. Pole nie miało końca. Wszystko tonęło we mgle. Istniała tylko ona i zające. Wreszcie dotarła do jakiejś żwirówki i nie miała już siły biec dalej. Ostre kamyki raniły jej stopy. Po chwili doszła do asfaltowej drogi. Pośrodku połyskiwały białe pasy. Nie wiedziała, w którą stronę powinna skręcić. Jeszcze nie zaczęła się zastanawiać nad tym, co się stało. Miała wrażenie, że gdzieś w pobliżu czai się niewidzialne zło. Nie człowiek i nie zwierzę, raczej zimny podmuch wiatru. Stale obecny.

Potem zbliżyły się światła samochodu. Siedział w nim pewien mężczyzna, który wracał od dziewczyny. W nocy o coś się pokłócili i postanowił pojechać do domu. Teraz myślał o tym, że gdyby miał pieniądze, toby się wyprawił w daleką podróż. Wszystko jedno gdzie. Wycieraczki pracowały bez przerwy, widoczność była kiepska. Nagle coś dostrzegł przed samochodem. Uznał, że to zwierzę, i lekko przyhamował. Po chwili się zatrzymał. Nie wierzył własnym oczom. Na szosie stała młoda dziewczyna, bez butów, utyłana gliną, o przyciętych byle jak włosach. Wypadek samochodowy? Zobaczył, że siada pośrodku szosy. Powoli do niej podszedł.

- Co się stało? - spytał.

Nie odpowiedziała.

Nie zauważył krwi. Ani żadnego samochodu w rowie. Pomógł jej wstać i zaprowadził do wozu. Ledwie trzymała się na nogach.

- Co się stało? - spytał po raz drugi.

Nie otrzymał odpowiedzi.

Za kwadrans druga Sten Widen i Svedberg opuścili mieszkanie w Ystadzie. Padał deszcz, kiedy wsiadali do samochodu Svedberga. Trzy kilometry za miastem złapali gumę. Svedberg zjechał na pobocze, niepewny, czy zapasowe koło jest całe. Było. Ten nieoczekiwany przymusowy postój pokrzyżował im plany. Svedberg zakładał, że Wallander podejdzie pod dom, zanim się rozwidni. Powinni więc tam być odpowiednio wcześniej, żeby się na niego nie natknąć. Tymczasem kiedy zaparkowali w krzakach kilometr od żwirowni, dochodziła trzecia. Spieszyli się. Przecięli pole na północ od żwirówki. Svedberg zaproponował, żeby się zaczęli jak najbliżej domu. Ponieważ nie wiedzieli, z której strony pojawi się Wallander, musieli się dobrze ukryć, żeby ich nie zobaczył. Przypuszczali, że nadejdzie od zachodu, gdzie teren jest pofałdowany i aż do granicy posesji porosły gęstymi chaszczami. Wychodząc z tego założenia, postanowili podejść od wschodu. Na miedzy Svedberg zauważył stóg słomy. W razie potrzeby będą mogli się w nim zaszyć. O wpół do czwartej zajęły pozycje i załadowali broń.

Dom majaczył w deszczowej mgle. Cisza i spokój. Nie wiedzieć czemu, Svedberg przeczuwał, że coś jest nie tak. Wyjął lornetkę, przetaił ją i powoli lustrował ścianę domu. W jednym oknie paliło się światło. Przypuszczalnie w kuchni. Nie dostrzegł nic niepokojącego. Nie sądził, żeby Konowalenko spał. Na pewno tam siedział i czekał. Albo był gdzieś na zewnątrz.

Czekali w napięciu, każdy zatopiony w swoim świecie. Wallandera zauważył Sten Widen. Była piąta. Tak jak podejrzewali, pojawił się od zachodu. W pierwszej chwili Widen, który miał wzrok nie od parady, pomyślał, że w krzakach jest zając albo sarna. Ale nie był pewien. Delikatnie dotknął ramienia Svedberga. Svedberg wyjął lornetkę i wypatrzył Wallandera.

Nie wiedzieli, co będzie dalej. Czy Wallander wykonuje polecenia Konowalenki, czy postanowił go zaskoczyć? I gdzie jest Konowalenko? I Linda?

Czekali. Widen i Svedberg na zmianę obserwowali twarz Wallandera przez lornetkę. Svedberg znowu miał uczucie, że coś jest nie tak. Spojrzał na zegarek. Wallander leżał w krzakach blisko godzinę. W domu ciągle panował spokój.

Nagle Widen oddał lornetkę Svedbergowi. Wallander wyszedł z chaszczy, podczołgał się pod dom, wstał i przywarł do ściany. W ręku trzymał pistolet. A więc zdecydował się na konfrontację, pomyślał Svedberg i coś go ścisnęło w żołądku. Pozostawało im tylko czuwać. Widen podniósł strzelbę. Wallander podbiegł skulony do drzwi i nasłuchiwał. Po chwili nacisnął klamkę. Otwarte. Bez namysłu wpadł do środka.

Widen i Svedberg wygramolili się ze słomy. Nic nie ustalili, wiedzieli tylko, że muszą osłaniać Wallandera. Podbiegli do węgła. W domu nadal panowała niczym niezmacona cisza. Svedberg wreszcie zrozumiał swoje przeczucia.

- Wynieśli się. Nikogo tu nie ma. Sten Widen popatrzył na niego tępo.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

Wyszedł zza węgła i zawołał Wallandera. Wallander pojawił się na schodach. Nie zdziwił się na ich widok.

- Nie ma go - powiedział.

Był bardzo zmęczony, na granicy wycieńczenia. W każdej

chwili mógł się załamać.

Weszli do domu. Sten Widen trzymał się na uboczu. Wallander i Svedberg starannie wszystko przepatrywali, szukając ewentualnych tropów. Wallander ani jednym słowem nie skomentował ich akcji. Svedberg podejrzewał, że w głębi duszy wiedział, że nie zostawią go samego. Może nawet był im za to wdzięczny?

Tanie znalazł Svedberg. Otworzył drzwi do jednej z sypialni i popatrzył na skotłowaną pościel. Powodowany impulsem, schylił się i zajrzał pod łóżko. Przez moment wydawało mu się, że to Linda. Potem pozaglądał pod wszystkie łóżka, sprawdził zawartość zamrażarki i szaf i dopiero kiedy się upewnił, że nic tam nie ma, poinformował Wallandera o znalezisku. Odsunęli łóżko. Sten Widen stał w głębi. Ledwie zobaczył głowę, wybiegł na podwórze i zwymiotował.

Tania nie miała twarzy. Została z niej tylko krwawa miazga. Svedberg przykrył ją ręcznikiem i przystąpił do oględzin. Doliczył się pięciu ran postrzałowych. Ich umiejscowienie przyprawiło go o jeszcze większe mdłości. Kule przeszły stopy, dłonie i serce.

Kontynuowali przeszukiwanie domu. Nic nie mówili. Podnieśli klapę do piwnicy. Svedbergowi udało się ukryć łańcuch, którym, jak sądził, skrzepowano Lindę. Wallander domyślił się, że tutaj ją więziono. Svedberg zauważył, jak zacisnął zęby. Ciekawe, na jak długo starczy mu sił. W kuchni Svedberg zwrócił uwagę na kocioł z krwistą wodą. Zanurzył w niej palec. Była ciepława. Jeszcze raz obszedł dom, przyglądał się rozmaitym śladom, próbował je złożyć w sensowną całość. W końcu zaproponował, żeby usiedli. Wallander popadł w apatię. Svedberg intensywnie się zastanawiał. Czy powinien o tym mówić? To duża odpowiedzialność.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest twoja córka - zaczął. - Ale jestem pewien, że żyje.

Wallander spojrział na niego w milczeniu.

- Obejrzałem ślady, powiązałem je ze sobą i chyba wiem, co tu zaszło. Wydaje mi się, że Tania chciała pomóc Lindzie w ucieczce. Nie wiem, czy jej się to udało. Może tak, a może Konowalenko jej w tym przeszkodził. Siady wskazują na obydwie możliwości. Sadyistyczna wściekłość, z jaką zabił Tanie, może świadczyć o tym, że twoja córka uciekła, albo tak zareagował na to, że w ogóle próbowała jej pomóc. Zdrada Tani wystarczyła, żeby puściły wszelkie hamulce. Najpierw zanurzył jej głowę we wrzątku, potem strzelił w stopy - bo zamierzała uciec - potem w dłonie i na końcu w serce. Wolę nie myśleć o ostatnich minutach jej życia. Następnie się stąd wyniósł. To dodatkowy argument przemawiający za tym, że Linda uciekła. Konowalenko nie był już tutaj bezpieczny. Poza tym ktoś mógł usłyszeć strzały. Taka jest moja wersja. Ale naturalnie mogło to wyglądać zupełnie inaczej.

Zaległa cisza.

Dochodziła siódma. Svedberg wstał, podszedł do telefonu i zadzwonił do Martinssona. Musiał chwilę poczekać, Martinsson był w łazience.

- Zrób mi przysługę - powiedział Svedberg. - Spotkaj się ze mną za godzinę pod dworcem w Tomelilli. I nikomu nic nie mów.

- Tobie też zaczyna odbijać? - zainteresował się Martinsson.

- Przeciwnie. To ważne. - Svedberg odłożył słuchawkę i spojrział na Wallandera. - Nie pozostaje ci nic innego, jak się przespać. Jedź do Stena albo podrzucimy cię do ojca.

- Jak mógłbym zasnąć? - obruszył się Wallander.

- Zwyczajnie, w łóżku. Rób, co mówię. Jeśli chcesz pomóc córce, najpierw musisz się wyspać. W tym stanie możesz tylko napytać sobie biedy.

Wallander pokiwał głową.

- Pojadę do ojca.

- Gdzie zaparkowałeś wóz? - spytał Sten Widen.
- Pozwól, że sam go przyprowadzę - odparł Wallander.
- Świeże powietrze dobrze mi robi.

I odszedł. Svedberg i Sten Widen wpatrywali się w siebie, zbyt zmęczeni i wstrząśnięci, żeby cokolwiek mówić.

- Cieszę się, że nie jestem policjantem - zauważył Sten Widen, kiedy duett wtoczył się na podwórze, i wskazał głową na pokój, w którym leżała Tania.

- Dziękuję za pomoc - powiedział Svedberg.

Patrząc, jak odjeżdżają, zastanawiał się, kiedy się skończy ten koszmar.

Sten Widen podwiózł Wallandera. W samochodzie nie zamienili ani słowa.

- Zadzwoń w ciągu dnia - powiedział Widen. Wallander noga za nogą ruszył do domu. Biedak, pomyślał Widen. Na jak długo starczy mu sił?

Ojciec siedział w kuchni. Nieogolony i nieumyty. Wallander usiadł naprzeciwko niego. Milczeli.

- Śpi - odezwał się w końcu ojciec. Wallander słyszał jak przez mgłę.

- Śpi spokojnie.

Powoli zaczął kojarzyć. Śpi? Kto śpi?

- Kto? - zapytał zmęczonym głosem.

- Mówię o mojej wnuczce.

Wallander długo wpatrywał się w ojca, potem wstał i otworzył drzwi do sypialni.

Linda leżała na łóżku i spała. Włosy z jednej strony miała obcięte. Wallander znieruchomiał. W końcu podszedł do niej, przykucnął i patrzył. Nie obchodziło go, co się stało, jak to się stało ani jak tutaj wróciła. Chciał tylko na nią patrzeć. Konowalenko ciągle gdzieś się czaił, ale teraz Wallander w ogóle o nim nie myślał. Istniała wyłącznie Linda.

Położył się na podłodze przy łóżku, zwinął w kłębek i zasnął. Ojciec przykrył go kocem i zamknął drzwi. Potem poszedł

do atelier. Wrócił do swojego stałego motywu. Właśnie kończył pejzaż z głuszcem.

Martinsson przyjechał pod dworzec w Tomelilli parę minut po ósmej. Wysiadł z samochodu i przywitał się ze Svedbergiem.

- Co jest takie ważne? - spytał, nie kryjąc irytacji.

- Sam zobaczysz. Ale uprzedzam, że nie będzie to przyjemny widok.

Martinsson zmarszczył czoło.

- Co się stało?

- Konowalenko znowu dał o sobie znać. Mamy następnego trupa. To kobieta.

- O Boże!

- Jedź za mną. Mamy sporo rzeczy do obgadania.

- Czy Wallander ma z tym coś wspólnego? - zapytał Martinsson.

Svedberg nie usłyszał, bo już szedł do samochodu. Martinsson o wszystkim dowiedział się później.

Późnym popołudniem w środę ostrzygła się. Sądziła, że w ten sposób pozbędzie się złych wspomnień. Potem zaczęła opowiadać. Wallander zaproponował, żeby poszła do lekarza.

- Włosy same mi odrosną - oświadczyła. - Żaden lekarz nie sprawi, żeby rosły szybciej.

Wallander obawiał się, że Linda zwróci się przeciwko niemu. Niewiele miał na swoją obronę. On ponosił winę za wszystko, co się stało. On ją w to wciągnął. Nie było mowy o nieszczęśliwym wypadku. Ale skoro zdecydowała, że lekarz nie jest jej potrzebny, nie naciskał.

Tylko raz tego dnia rozplakała się. Nagle, ni stąd, ni zowąd, kiedy siadali do obiadu. Spojrzała na niego i zapytała, co się stało z Tanią. Powiedział, że nie żyje. Nie wspomniał, że Konowalenko ją torturował. Miał nadzieję, że gazety będą wstrzemięźliwe w podawaniu szczegółów. Dodał, że Konowalenki jeszcze nie schwytano.

- Ucieka - powiedział. - Jest ścigany, nie może już robić, co mu się żywnie podoba.

Nie była to do końca prawda. Konowalenko i teraz mógł być równie niebezpieczny. Wallander wiedział, że znowu sam zacznie go szukać. Ale nie natychmiast, nie w tę środę, kiedy córka wróciła ze świata ciemności, ciszy i lęku.

Wieczorem rozmawiał telefonicznie ze Svedbergiem. Poprosił go o jeszcze jedną noc zwłoki, żeby móc się wyspać i wszystko sobie przemyśleć. W czwartek sam się ujawni. Svedberg powiedział o śledztwie. Idzie całą parą. Po Konowalence nie ma śladu.

- Nie jest sam - dodał. - W tamtym domu była jeszcze jedna osoba. Rykoff nie żyje. Tania też. Wcześniej zginął Victor Mabasha. Konowalenko powinien być sam. Ale nie jest. Ciekawe, co to za osoba.

- Nie wiem - przyznał Wallander. - Nowy nieznany

pomocnik?

Zaraz po telefonie Svedberga odezwał się Sten Widen. Wallander przypuszczał, że jest w kontakcie ze Svedbergiem. Spytał, jak się czuje Linda.

- Wszystko powinno być dobrze - odparł.

- Myślę o tej kobiecie. Próbuję zrozumieć, jak można coś podobnego zrobić drugiemu człowiekowi.

- Są tacy. Niestety, jest ich więcej, niż nam się zdaje. Kiedy Linda zasnęła, Wallander poszedł do ojca do atelier. Wskutek ostatnich wydarzeń łatwiej im się z sobą rozmawiało. Myślał jednak, że to stan przejściowy. Zastanawiał się przy okazji, ile jego osiemdziesięcioletni ojciec z tego wszystkiego rozumiał.

- Na pewno chcesz się ożenić? - spytał, siadając na stołku.

- Z takich spraw się nie żartuje - odparł ojciec. - Pobieramy się w czerwcu.

- Linda dostała zaproszenie. A ja nie.

- Dostaniesz w swoim czasie.

- Gdzie weźmiecie ślub?

- Tutaj.

- Tutaj? W atelier?

- Czemu nie? Namaluję tło.

- A co na to powie Gertruda?

- To jej pomysł.

Ojciec odwrócił się do niego. Wallander parsknął śmiechem. Nie pamiętał, kiedy mu się to przydarzyło po raz ostatni.

- Gertruda to niezwykła kobieta - powiedział ojciec.

- Z pewnością.

W czwartek rano Wallander obudził się wyspany. Radość, że córce nic się nie stało, napęłniła go energią. Cały czas chodził mu po głowie Konowalenko. Wkrótce znowu się nim zajmie.

Przed ósmą zadzwonił do Bjórka. Starannie się przygotował do tej rozmowy.

- Boże, Kurt! Jak się czujesz? Gdzie jesteś? Co się z tobą działo?

- Miałem niegroźny rozstrój nerwowy. - Żeby brzmiało to wiarygodniej, mówił cicho i powoli. - Ale już jest lepiej. Przydałyby mi się jeszcze ze dwa dni odpoczynku.

- Oczywiście, należy ci się zwolnienie lekarskie. Nie wiem, czy dotarło do ciebie, że wysłaliśmy za tobą list goń czy. Nie było to przyjemne, ale konieczne. Natychmiast odwołałam poszukiwania. Wydamy oświadczenie dla prasy. Zaginiony inspektor wrócił po krótkiej chorobie. Gdzie jesteś?

- W Kopenhadze - skłamał Wallander.

- Co tam, na Boga, robisz?!

- Zatrzymałem się w małym hoteliku i odpoczywam.

- I naturalnie nie powiesz, jaki to hotel.

- Wolałbym nie mówić.

- Jesteś nam bardzo potrzebny. Ale zdrowy. Dzieją się tutaj potworne rzeczy. Martinsson, Svedberg, my wszyscy czujemy się bez ciebie bezradni. Poprosimy o wsparcie ze Sztokholmu.

- W piątek będę z powrotem. Obejdzie się bez zwolnienia.

- Nie masz pojęcia, jak mi ulżyło. Bardzo się martwiliśmy. Co się właściwie stało tamtej nocy we mgle?

- Napiszę raport. Będę w piątek.

Zakończył rozmowę i zaczął się zastanawiać nad słowami Svedberga. Kim jest ta nieznana osoba? Kto teraz nie odstępuje Konowalenki ani na krok? Położył się na łóżku i patrzył w sufit. Przebiegł myślami to wszystko, co się wydarzyło od dnia, w którym Robert Akerblom pojawił się w jego pokoju w komendzie. Odtworzył wcześniejsze podsumowania, jeszcze raz przeanalizował krzyżujące się tropy. Znów miał wrażenie, że śledztwo się wymyka. Że ciągle nie zna prawdziwej przyczyny, nie zna motywów.

Późnym popołudniem zadzwonił do Svedberga.

- Nie znaleźliśmy nic, co by nas naprowadziło na ich ślad -

powiedział Svedberg. - Wszystko wydaje się bardzo mętne. Ale nadal uważam, że moja wersja przebiegu wydarzeń ostatniej nocy trzyma się kupy. Nie widzę żadnego innego wyjaśnienia.

- Potrzebuję twojej pomocy. Muszę dzisiaj wieczorem pojechać do tamtego domu.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że znowu zamierzasz ścigać Rosjanina na własną rękę?

Svedberg był wyraźnie przerażony.

- Nie - odparł Wallander. - Linda zgubiła wisiołek, kiedy ją tam więzili. Może go znaleźliście?

- Z tego, co wiem, nie.

- Kto wieczorem ma tam służbę?

- Jeden wóz patrolowy będzie zaglądał od czasu do czasu.

- Mógłbyś go czymś zająć między dziewiątą a jedenastą? Może już wiesz od Bjórka, że oficjalnie jestem w Kopenhadze.

- Tak.

- Jak wejść do domu?

- W rynnie po prawej znaleźliśmy zapasowy klucz. Zostawiliśmy go tam.

Wallander zastanawiał się później, czy Svedberg mu uwierzył. Pretekst był mocno wątpliwy. Na pewno znaleźliby ten wisiołek. Sam nie bardzo wiedział, czego szukać. W ciągu ostatniego roku Svedberg poczynił ogromne postępy. Może pewnego dnia dorówna Rydbergowi. Wszystko, co ważne, na pewno już wytropił. Wallander mógł ewentualnie odkryć jakieś nowe powiązania.

Musi zacząć od tego domu. Konowalenko i nieznany osobnik przypuszczalnie wrócili do Sztokholmu.

O wpół do dziewiątej wyruszył do Tomelilli. Było ciepło, opuścił szybę. Przypomniał sobie, że do tej pory nie porozmawiał z Bjórkiem o urlopie.

Zaparkował na podwórzu, wyjął klucz z rynn, wszedł do środka i pozapalał wszystkie światła. Rozejrzył się i nagle ogarnęła go niepewność. Od czego zacząć? Chodził po domu, próbując ustalić, czego właściwie szuka. Śladu, który by go zaprowadził do Konowalenki. Celu podróży. Wskazówki pozwalającej zidentyfikować tę drugą osobę. Czegoś, co by w końcu dało odpowiedź na podstawowe pytanie. Obszedł wszystkie pokoje, po czym usiadł na krześle w salonie i błędził spojrzeniem po ścianach. Nic. Nic tu nie ma, pomyślał. Konowalenko nie zostawił żadnych śladów, mimo że wyjeżdżał w pośpiechu. Popielniczka w Sztokholmie stanowiła wyjątek.

Wstał i ponownie obszedł dom, tym razem wolniej i uważniej. Od czasu do czasu zatrzymywał się, unosił obrus, kartkował czasopisma, zaglądał pod siedzenia krzeseł. Ciągle nic. Przepatrzył sypialnie, pomijając tę, gdzie znaleźli Tanie. Nic. W koszu na śmieci, który Svedberg zdążył dokładnie przejrzeć, leżała martwa mysz. Wallander obrócił ją widelcem. Nie zginęła w pułapce. Ktoś ją zadźgał. Nóż, pomyślał. Konowalenko interesuje się wyłącznie bronią palną. Noże go nie bawią. Może to jego kompan zabił mysz. Victor Mabasha miał nóż. Ale nie żyje, leży w kostnicy. Wallander poszedł do łazienki. Nic. Wrócił do salonu i znowu usiadł, tym razem na innym krześle, żeby widzieć wszystko pod innym kątem. Zawsze coś się znajdzie. Trzeba to tylko zauważyć. Jeszcze raz obszedł dom. Nic. Kiedy usiadł, było kwadrans po dziesiątej. Niedługo musi stąd wyjść.

Ludzie, którzy tu kiedyś mieszkali, cenili porządek. Rozmieszczenie wszystkich sprzętów, mebli, oświetlenia zostało starannie zaplanowane. Szukał czegoś, co by się z tego porządku wyłamywało. Na moment zatrzymał wzrok na regale. Książki stały w równiutkich rzędach. Tylko na najniższej półce jedna wystawała. Wstał i sięgnął po nią.

Atlas Szwecji. Skrzydełko obwoluty tkwiło między stronami. Otworzył. Wschodnia Szwecja, część Smalandii, okręg kalmarski i Olandia. Usiadł przy stole i oglądał mapę pod lampą. W dwóch miejscach dostrzegł ledwie widoczne ślady ołówka. Jakby ktoś trzymał go w rękę i od czasu do czasu muskał nim po papierze. Jedno muśnięcie widniało w Kalmarze, przy moście łączącym miasto z Olandią, drugie - mniej więcej na wysokości Blekinge. Zastanawiał się przez chwilę. Otworzył atlas na Skanii. Nic, żadnych śladów ołówka. Wrócił do poprzedniej strony. Ktoś wodził ołówkiem po nadbrzeżnej drodze prowadzącej do Kalmaru. Odłożył atlas, wyszedł do kuchni i zadzwonił do Svedberga.

- Jeszcze tu jestem - zaczął. - Jeśli ci powiem „Olandia”, to co ty na to?

- Nic - odparł po namyśle Svedberg.

- Nie znaleźliście żadnego notatnika? Jakiegoś notesu z adresami?

- Tania miała w torebce kieszonkowy kalendarzyk, ale nic w nim nie było.

- Żadnych luźnych kartek?

- Jak zajrzysz do pieca, to zobaczysz, że ktoś palił w nim jakieś papiery. Przetrzęsaliśmy popiół i nic. Dlaczego wspomniałeś o Olandii?

- Znalazłem mapę. Ale to pewnie bez znaczenia.

- Konowalenko przypuszczalnie wrócił do Sztokholmu. Chyba miał dosyć Skanii.

- Tak, masz rację. Przepraszam, że ci zawracam głowę. Niedługo stąd wychodzę.

- Żadnych kłopotów z kluczem?

- Był na swoim miejscu.

Wallander odstawił atlas na półkę. Svedberg prawdopodobnie ma rację. Konowalenko wrócił do Sztokholmu.

Poszedł do kuchni i napił się wody. Jego wzrok padł na

książkę telefoniczną. Leżała pod aparatem. Wyjął ją i otworzył.

Na drugiej stronie okładki ktoś zapisał adres: „Hemmansvagen 14”. Ołówkiem. Zastanawiał się przez chwilę, po czym zadzwonił do informacji o numerach i poprosił o numer telefonu niejakiego Wallandera, który mieszka w Kalmarze przy Hemmansvagen 14.

- Pod tym adresem nie ma abonenta o nazwisku Wallander
- powiedziała telefonistka.

- Możliwe, że telefon jest na jego szefa, ale zapomniałem, jak się nazywa.

- Czy nie Edelman?

- Tak, oczywiście.

Dostał numer telefonu, podziękował i rozłączył się. Czy to możliwe? Czyżby Konowalenko miał jeszcze jedną kryjówkę, tym razem na Olandii?

Pogasił światła, zamknął drzwi i zostawił klucz w rynnicy. Wiał lekki wiaterek. Noc była ciepła. Nie musiał podejmować żadnych decyzji. Wsiadł do samochodu i skierował się na Olandię.

Zatrzymał się w Brósarpie i zadzwonił do ojca.

- Linda śpi - oznajmił ojciec. - Graliśmy w karty.

- Nie wrócę dzisiaj na noc. Mam mnóstwo zaległej pracy.

Nie martwcie się o mnie. Linda wie, że lubię siedzieć do późna. Odezwę się jutro rano.

- Przyjedziesz, kiedy przyjedziesz.

Wallander odwiesił słuchawkę i pomyślał, że być może jego stosunki z ojcem rzeczywiście stają się coraz lepsze. Oby tak dalej. Nie ma tego złego...

O czwartej rano był przy moście. Dwa razy się zatrzymywał. Raz, żeby zatankować, drugi raz, żeby się zdrzemnąć. Nie czuł zmęczenia. Patrzył na potężny most i wodę połyskującą w porannym słońcu. W budce telefonicznej na parkingu zajrzał do mocno postrzępionej książki telefonicznej.

Hemmansvagen znajdowała się po drugiej stronie. Zanim wjechał na most, wyjął ze skrytki pistolet i sprawdził, czy jest naładowany. Nagle przypomniał sobie wycieczkę na Olandię, którą wiele lat temu odbył z siostrą Kristiną i rodzicami, i oglądanie wapiennych formacji. Wtedy mostu jeszcze nie było. Przepłynęli cieśninę niedużym promem. Przez tydzień mieszkali w namiocie na polu kempingowym. Nie miał pojęcia, co dokładnie robili, zostało mu w pamięci jedynie ciepłe, przyjemne uczucie, którego już nigdy później nie doświadczył.

Wrócił myślami do Konowalenki. Przypuszczalnie się pomylił. Przypuszczalnie to nie Konowalenko zostawił ślady ołówka w atlasie i nie on zapisał adres w książce telefonicznej. Niedługo będzie się zbierał do Skanii.

Zatrzymał się po drugiej stronie mostu i studiował plan wyspy na tablicy informacyjnej. Hemmansvagen znajdowała się tuż obok ogrodu zoologicznego. Wsiadł do samochodu i skręcił w prawo. Ruch był niewielki. Po paru minutach zaparkował na małym placyku. Dalej musi iść pieszo. Obowiązywał zakaz wjazdu. Przy Hemmansvagen stały nowe i starsze wille. Każda z rozległym ogrodem. Na płocie okalającym pierwszą zobaczył trójkę. Jakiś pies przyglądał mu się nieufnie spomiędzy sztachet. Idąc liczył, który dom powinien mieć numer czternasty. Zobaczył go z pewnej odległości: starsza willa z wykuszem i starannie wykonaną stolarką. Zawrócił. Postanowił podejść od strony ogrodu. Wolał nie ryzykować. Konowalenko i jego towarzyszy mogli się tam mimo wszystko ukrywać.

Z tyłu było boisko. Wdrapał się przez płot, rozrywając nogawkę, i pod osłoną drewnianej trybuny podszedł pod willę. Żółta, dwupiętrowa, ozdobiona wieżyczką. Pod płotem stała zdewastowana budka, gdzie kiedyś sprzedawano kiełbaski. Przemknął tam na ugiętych nogach i wyjął pistolet z kieszeni. Pięć minut tkwił nieruchomo i

obserwował dom. Cisza, spokój. W kącie ogrodu zobaczył szopę na narzędzia. Tam się schowa. Na kolanach podpełzał do płotu. Z trudem go pokonał. Niewiele brakowało, żeby runął na plecy, w ostatniej chwili odzyskał równowagę i zeskoczył tuż za szopą. Włożył pistolet do kieszeni. Ciężko dyszał. Ciągle czując na karku zły oddech Konowalenki, pomyślał. Ostrożnie wysunął głowę i popatrzył na willę. Spokój. Ogród był zapuszczony. W taczce obok gniły zeszłoroczne jesienne liście. Może nikt tu nie mieszka? Po chwili nie miał już wątpliwości. Wychynął zza szopy, podbiegł pod sam dom i ruszył do prawego węgła, żeby wyjść po przeciwnej stronie werandy i, jak mniemał, drzwi wejściowych. Pod nogami dostrzegł jeża. Drgnął. Zwierzątko syknęło i nastroszyło się. Mimowolnie wyciągnął pistolet. Znad cieśniny dobiegł go dźwięk bucza. Skręcił za węgiel. Co ja tu robię? Jeśli w ogóle ktoś mieszka w tym domu, to jest to z pewnością starsze małżeństwo, które właśnie się budzi ze smacznego snu. Ciekawe, jak zareagują na widok obcego błakającego się po ich ogrodzie. Dobrnął do następnego węgła i wyrzwał.

Konowalenko stał na żwirowej alejce pod masztem flagowym i sikał. Bosy, miał na sobie tylko spodnie i rozpiętą koszulę. Wallander ani drgnął. Mimo to Konowalenkę coś zaniepokoiło, jakby instynktownie wyczuł zagrożenie, i odwrócił się. Przez ułamek sekundy obaj oceniali sytuację. Konowalenko popełnił błąd, wychodząc z domu bez broni, zdawał sobie sprawę, że zanim dobiegnie do drzwi, Wallander zdąży go zabić albo postrzelić. Błyskawicznie uskoczył, na moment zszedł Wallanderowi z linii strzału, pobiegł, ile sił w nogach, do płotu, przesadził go i zniknął. Był już na Hemmansvagen, kiedy Wallander zrozumiał, co się stało, i ruszył w pościg. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Pewnie dlatego nie zauważył stojącego w oknie Tsikiego, który się temu przyglądał.

Sikosi Tsiki zorientował się, że wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Uznał, że obowiązują go instrukcje, które dzień wcześniej otrzymał od Konowalenki. „Gdyby coś się stało - powiedział Konowalenko, wręczając mu kopertę - zastosuj się do tych instrukcji. Dzięki nim wrócisz do Afryki Południowej. Skontaktujesz się z człowiekiem, którego już spotkałeś, przekaże ci pieniądze i udzieli ostatnich wskazówek”.

Chwilę stał przy oknie, potem usiadł i otworzył kopertę. Godzinę później opuścił willę.

Konowalenko miał około pięćdziesięciu metrów przewagi. Wallander zdumiał się, że biega tak szybko. Zmierzali w kierunku parkingu. Okazało się, że Konowalenko zostawił samochód w tym samym miejscu co on! Zaklął i próbował przyspieszyć. Odległość nie zmalała. Konowalenko dopadł mercedesa, jednym szarpnięciem go otworzył i włączył silnik. Wallander domyślił się, że kluczyk tkwił w stacyjce. Konowalenko był przygotowany. Nagle coś błysnęło. Instynktownie uskoczył. Pocisk śmignął tuż obok i trafił w asfalt. Wallander podczołgał się do stojaków na rowery. Miał nadzieję, że stąd nie będzie go widać. W tym momencie usłyszał pisk opon odjeżdżającego mercedesa.

Rzucił się do swojego samochodu, grzebał się z otwarciem drzwi. No tak, już stracił kontakt z Konowalenką. Ale na pewno będzie chciał opuścić wyspę. Gdyby tego nie zrobił, prędzej czy później go schwytają. Zobaczył Konowalenkę na rondzie tuż przed mostem. Z trudem panując nad kierownicą, wyprzedził ciężarówkę, stratował zieleniec i pomknął dalej. Miał mercedesa przed sobą. Musi coś wymyślić. Nie będzie się ścigał, bo najprawdopodobniej przegra.

Konowalenko jechał bardzo szybko. Wallander siedział mu na ogonie. Kiedy się upewnił, że nie trafi w nikogo z naprzeciwka, wysunął pistolet za szybę i wypalił. Celował w

samochód. Za pierwszym razem chybił, ale za drugim - jakimś niepojętym trafem - przestrzelił oponę. Mercedesem zarzuciło i samochód z hukiem uderzył w betonową barierę mostu. Wallander gwałtownie zahamował. Nie widział, co się stało z Konowalenką. Nie zastanawiając się ani chwili, wjechał w tył mercedesa. Aż go zakłuło w piersiach, kiedy napięły się pasy. Wrzucił wsteczny, cofnął się z piskiem opon i dwa razy powtórzył ten sam manewr. Mercedes przesunął się o kilka metrów do przodu. Wtedy Wallander wysiadł i ukrył się za drzwiami. Za nimi zaczął się tworzyć korek. Wallander zamachał pistoletem i krzyknął, żeby się wszyscy trzymali z daleka. Sporo kierowców rzuciło się do ucieczki. Na przeciwległym pasie też zrobił się zator. Konowalenki ciągle nie było widać. Wallander wycelował w zgnieciony wrak.

Po drugim strzale eksplodował bak paliwa. Wallander nie potrafił później powiedzieć, czy wyciekająca benzyna zapaliła się od jego pocisków, czy z innych przyczyn. W każdym razie mercedes błyskawicznie stanął w płomieniach.

Wallander ostrożnie się zbliżył.

Konowalenko płonął.

Wyrzuciło go do połowy na maskę. Leżał na plecach, z wytrzeszczonymi oczami, jakby nie wierzył w to, co się stało. Potem zajęły się jego włosy i kilka minut później uświadomił sobie, że Konowalenko nie żyje. Z daleka dały się słyszeć syreny. Wallander wrócił do swojego zdezelowanego samochodu i oparł się o drzwi.

Patrzył na Cieśninę Kalmarską. Połyskująca woda. Zapach morza. W głowie miał pustkę, o niczym nie myślał. Coś się skończyło. Jakiś głos wzywał kogoś przez megafon, żeby odłożył broń. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że głos zwraca się do niego. Odwrócił się. Po kalmarskiej stronie zobaczył wozy strażackie i policyjne. Mercedes Konowalenki

ciągle płaonął. Spojrzał na swój pistolet i wrzucił go do wody. Podeszli policjanci z bronią gotową do strzału. Wallander wyjął legitymację.

- Inspektor Wallander! - zawołał. - Jestem z policji! Smalandzcy koledzy otoczyli go z pewną nieufnością.

- Jestem z policji - powtórzył. - Nazywam się Wallander. Nie czytaliście o mnie w gazetach? Jestem poszukiwany.

- Tak, poznaję cię - odezwał się po smalandzku jeden z policjantów.

- Człowiek, który się pali w tym samochodzie, to Konowalenko - powiedział Wallander. - Ten, który zastrzelił naszego kolegę w Sztokholmie. Jego i jeszcze kilka innych osób.

Rozejrzał się. Zaczynało się w nim budzić uczucie radości, a może ulgi.

- Jedziemy? Napiłbym się kawy. Tu się już nic nie wydarzy.

Jan Kleyn został zatrzymany w swoim gabinecie w porze obiadowej w piątek 22 maja. Parę minut po ósmej rano prokurator rejonowy Wervey wysłuchał relacji Scheepersa i przyjął do wiadomości decyzję podjętą poprzedniego wieczora przez prezydenta de Klerka. Bez słowa komentarza podpisał nakaz aresztowania i rewizji w mieszkaniu. Scheepers zażyczył sobie, żeby Kleyna aresztował inspektor Borstlap, który wywarł na nim pozytywne wrażenie w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa van Heerdena. Borstlap zostawił Jana Kleyna w pokoju przesłuchań i udał się do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie czekał na niego Scheepers. Zakomunikował, że zatrzymanie odbyło się bez najmniejszych problemów. Nie bardzo jednak wiedział, dlaczego wezwano na przesłuchanie agenta wywiadu. Scheepers zasłonił się tajemnicą służbową, którą były objęte sprawy dotyczące bezpieczeństwa państwa, po czym w zaufaniu powiedział, że prezydent de Klerk jest o wszystkim poinformowany. Wtedy Borstlap uznał, że powinien się podzielić swoim spostrzeżeniem.

Otóż w chwili aresztowania Jan Kleyn wcale nie był zaskoczony. Borstlap odebrał jego wzburzenie jako kiepską grę. Ktoś musiał go ostrzec. Ponieważ, jak przypuszczał, decyzja o zatrzymaniu zapadła nagle, pomyślał, że Jan Kleyn ma przyjaciół albo wśród najbliższych ludzi prezydenta, albo w prokuraturze, gdzie się zaszył jakiś kret. Scheepers wysłuchał Borstlapa. Od decyzji de Klerka upłynęło niespełna dwanaście godzin. Wiedzieli o tym tylko Wervey i Borstlap. Scheepers uznał, że natychmiast musi powiadomić prezydenta, że jego gabinet jest na podsłuchu. Poprosił Borstlapa, żeby poczekał za drzwiami. W kancelarii uzyskał wiadomość, że de Klerk jest na posiedzeniu i że będzie uchwytny późnym popołudniem. Scheepers wyszedł do Borstlapa. Kleyn powinien poczekać.

Przypuszczalnie będzie się zastanawiał, dlaczego go aresztowano. Scheepers nie czuł się zbyt pewnie przed czekającą go konfrontacją.

Pojechali na przedmieścia Pretorii, do domu Jana Kleyna. Prowadził Borstlap, Scheepers usiadł z tyłu. Nagle pomyślał o białej lwicy, którą widział z Judith. Taki jest mój kraj. Przypomina wylegującego się drapieźnika. Ale do czasu, gdy się podniesie i ujawni drzemiące w nim siły. Jeśli zaatakuje, można go tylko zabić.

Scheepers patrzył przez szybę samochodu i zastanawiał się nad przyszłością. Czy powiedzie się plan de Klerka i Mandeli? Czy biali ustąpią? A może zapanuje chaos, przemoc i rozpęta się nieprzewidywalna w skutkach wojna domowa? Apokalipsa. Dzień Sądu Ostatecznego, do którego usiłujemy nie dopuścić i trzymamy jak nieposłusznego ducha w butelce. Czy ten duch się nie zemści, kiedy butelka się rozbije?

Zatrzymali się przed dużą willą Jana Kleyna. Borstlap już podczas aresztowania poinformował go, że zamierza przeszukać dom, i zażądał kluczy. Jan Kleyn - udając, że to uwłacza jego godności - odmówił. Ale kiedy Borstlap oznajmił, że wyważą drzwi, dał im w końcu pęk kluczy. Przed domem stał strażnik i ogrodnik. Scheepers przywitał się z nimi i przedstawił. Otoczony murem ogród był ponad miarę zadbany. Tak jak Jan Kleyn, pomyślał Scheepers. Jego życie wyznacza ideologia. Nie ma w nim miejsca na odstępstwa, bez względu na to, czego to dotyczy: myśli, uczuć, ogrodu. Nie licząc jego tajemnicy, czyli Mirandy i Matildy.

Weszli do środka. Czarny służący spojrział na nich ze zdziwieniem. Scheepers poprosił go, by poczekał na zewnątrz, kiedy będą dokonywać rewizji, i żeby powiadomił ogrodnika i strażnika, by się nie oddalali bez pozwolenia. Mieszkanie było kosztownie umeblowane. Jan Kleyn lubił

marmur, stal i masywne drewno. Na ścianach wisały litografie o motywach zaczerpniętych z historii Afryki Południowej. Było tam także kilka szpad, starych pistoletów i toreb myśliwskich. Nad kominkiem wisiało trofeum: wypchana głowa kudu z potężnymi krętymi rogami. Podczas gdy Borstlap przepatrywał cały dom, Scheepers zamknął się w gabinecie Kleyna. Na biurku nic nie leżało. Pod jedną ze ścian stała szafa na dokumenty. Scheepers szukał kasy pancernej, ale nie znalazł. Zszedł piętro niżej do salonu, gdzie Borstlap przeszukiwał regał.

- Musi tu gdzieś być kasa pancerna - powiedział Scheepers.

Borstlap wyjął pęk kluczy.

- Żaden nie pasuje.

- Na pewno wybrał takie miejsce, o którym, jego zdaniem, nikt nie pomyśli. Zacznijmy więc od tego. Gdzie by to mogło być?

- Tuż przed nosem - odparł Borstlap. - Czasami najlepsza skrytka to ta, która najbardziej rzuca się w oczy. Najtrudniej ją zobaczyć.

- Skup się na kasie pancernej. Na regałach nic nie ma. Borstlap skinął głową i odstawił książkę, którą trzymał w ręku. Scheepers wrócił do gabinetu, usiadł przy biurku i zaczął wysuwać szufladę po szufladzie.

Dwie godziny później nadal niczego istotnego dla śledztwa nie znalazł. Papiery dotyczyły na ogół spraw prywatnych Jana Kleyna i nie zawierały niczego niezwykłego. Część miała związek z kolekcjonowaniem monet. Scheepers ze zdumieniem odkrył, że Kleyn jest prezesem Południowoafrykańskiego Towarzystwa Numizmatycznego i bardzo dużo robił na rzecz krajowych kolekcjonerów. Kolejne odstępstwo, pomyślał. Ale bez znaczenia dla śledztwa.

Borstlap dwukrotnie przeszukał dom i nie znalazł kasy pancernej.

- Musi tu gdzieś być - powiedział Scheepers. Borstlap zawołał służącego i spytał o kasę. Mężczyzna popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

- Tajemna skrytka - wyjaśnił Borstlap. - Dobrze schowana, którą się zawsze zamyka.

- Niczego takiego nie ma - odparł służący.

Borstlap odprawił go, poirytowany. Zaczęli szukać od nowa. Scheepers postanowił sprawdzić, czy nie ma tu jakichś architektonicznych anomalii. Nie było niczym niezwykłym, że Południowoafrykańczycy budowali w swoich domach sekretne pomieszczenia. Nic takiego nie znalazł. Kiedy Borstlap, z latarką w ręku, pełzał na czworakach pod dachem, Scheepers wyszedł do ogrodu, żeby się uważnie przyjrzeć willi. Niemal od razu znalazł rozwiązanie. Dom nie miał komina. Wrócił do środka, kucnął przed kominkiem i poświecił latarką. Kasa pancerna tkwiła w zamurowanym przewodzie kominowym. Pociągnął za uchwyt i ze zdumieniem stwierdził, że nie jest zamknięta.

Do pokoju wszedł Borstlap.

- Dobrze pomyślana skrytka - zauważył Scheepers. Borstlap pokiwał głową. Był zły, że sam na to nie wpadł.

Wyszedł do ogrodu na papierosa.

Scheepers usiadł przy marmurowym stole naprzeciwko szerokiej skórzanej kanapy i przeglądał papiery wyjęte z kasy. Polisy ubezpieczeniowe, kilka kopert ze starymi monetami, dokumenty kupna domu, około dwudziestu akcji i parę obligacji państwowych. Odsunął je na bok i zajął się małym czarnym notesem. Były w nim zaszyfrowane zapiski, mieszanina nazwisk, miejsc i cyfr. Postanowił go wziąć. Potrzebuje czasu, żeby wszystko spokojnie przestudiować. Włożył papiery do kasy pancernej i poszedł do Borstlapa.

Nagle coś go zastanowiło. Przywołał trzech mężczyzn, którzy siedzieli w kucki i patrzyli na nich.

- Czy był tu ktoś z wizytą wczoraj późnym wieczorem? -

zapytał.

- Tylko Mofololo to wie, nocny stróż - odparł ogrodnik.

- Oczywiście teraz go nie ma?

- Zaczyna o siódmej.

Scheepers pokiwał głową. Później z nim porozmawia.

Wrócili do Johannesburga. Po drodze zatrzymali się na późny lunch. Kwadrans po czwartej rozstali się przed komendą policji. Scheepers nie mógł dłużej zwlekać, musi przesłuchać Kleyna. Ale najpierw jeszcze raz spróbuje się skontaktować z prezydentem de Klerkiem.

Jan Kleyn zdumiał się, gdy o północy zadzwonił do niego odźwierny prezydenta. Naturalnie wiedział, że młody prokurator o nazwisku Scheepers miał za zadanie wyjaśnić ewentualne podejrzenia o spisek. Uważał, że ma nad nim sporą przewagę. Pomylił się. Wstał i ubrał się; czekała go długa noc. Przypuszczał, że ma czas do dziesiątej rano. Scheepers będzie potrzebował co najmniej dwóch godzin, żeby przygotować wszystkie niezbędne papiery do jego zatrzymania. Musi wydać stosowne instrukcje i upewnić się, że nic nie zagraża operacji. Zszedł do kuchni i zaparzył herbatę. Potem usiadł do pisania konspektu. O wielu rzeczach musi pamiętać. Powinien zdążyć.

Jego zatrzymanie stanowiło nieoczekiwaną komplikację. Ale, rzecz jasna, brał to pod uwagę. Irytująca sytuacja, choć nie beznadziejna. Ponieważ nie umiał przewidzieć, jak długo Scheepers zamierza go trzymać, musi założyć, że będzie w areszcie aż do dnia zamachu na Mandelę.

Przede wszystkim trzeba to wykorzystać na swoją korzyść. Dopóki będzie siedział, nikt go nie oskarży o współudział w różnych akcjach. Przemyślał to, co nastąpi, i kilka minut po pierwszej zadzwonił do Franza Malana.

- Ubieraj się i przyjeżdżaj - polecił.

Franz Malan był półprzytomny. Kleyn się nie przedstawił.

- Ubieraj się i przyjeżdżaj - powtórzył. Franz Malan nie

zadawał żadnych pytań.

Godzinę później, tuż po drugiej, wszedł do salonu Jana Kleyna. Zasłony były zaciągnięte. Nocny stróż, który otworzył mu bramę, został pod groźbą natychmiastowego zwolnienia poinstruowany, by osobom postronnym nie mówić o żadnych nocnych wizytach. Kleyn płacił mu bardzo wysoką pensję w zamian za milczenie.

Franz Malan był zdenerwowany. Wiedział, że Kleyn nigdy by go nie wezwał w błahej sprawie. Poprosił go, żeby usiadł, i od razu wyjaśnił, co zaszło, co się wydarzyło za kilka godzin i co trzeba załatwić tej nocy. Malan zdenerwował się jeszcze bardziej. Uświadomił sobie, że jego odpowiedzialność wzrośnie nieporównanie bardziej, niżby sobie tego życzył.

- Nie wiemy, ile Scheepersowi udało się wyniuchać - powiedział Jan Kleyn. - Niektóre środki ostrożności są konieczne. Przede wszystkim trzeba rozwiązać Komitet i odwrócić uwagę od Kapsztadu i dwunastego czerwca.

Franz Malan przyglądał mu się ze zdumieniem. Czy on mówi poważnie? Czyżby cała odpowiedzialność miała spaść na niego?

Jan Kleyn zauważył jego niepokój.

- Wkrótce mnie wypuszczą - zapewnił. - Wtedy cię odciążę.

- Mam nadzieję. Ale likwidować Komitet?

- To konieczne. Scheepers mógł dogrzebać się głębiej, niż nam się zdaje.

- Jakim cudem?

Jan Kleyn z irytacją wzruszył ramionami.

- A my jak działamy? Wykorzystujemy naszą wiedzę i kontakty. Dajemy łapówki, grozimy, podstępem zdobywamy informacje. Nic nas nie ogranicza. Tak jak nic nie ogranicza tych, którzy patrzą nam na ręce. Komitet już się nie zbierze. Przestaje istnieć. To tak jakby nigdy nie istniał. Tej nocy powiadomimy wszystkich członków. Ale przedtem mamy co innego na głowie.

- Jeśli Scheepers wie, że coś planujemy na dwunastego czerwca, musimy to odwołać - stwierdził Franz Malan. - Za duże ryzyko.

- Za późno. Poza tym Scheepers nie ma pewności. Dobrze przygotowany fałszywy trop przekona go, że Kapsztad i dwunasty czerwca to jedynie zasłona dymna. Wszystko odkręcimy.

- Jak?

- Podczas przesłuchania będę miał szansę wyprowadzić go w pole.

- To chyba zbyt mało.

- Oczywiście. - Kleyn wyjął mały czarny notes. - Zapełnię go jakimś bzdurami. Tu i tam wpiszę miejsce i datę. Poprzekreślam, co się da, łącznie z Kapsztadem, włożę notes do kasy pancерnej, nie zamknę jej, jakbym w wielkim pośpiechu próbował spalić ważne dokumenty, które tam przechowywałem.

Franz Malan pokiwał głową. Tak, Kleyn przypuszczalnie ma rację. Ten manewr mógł się powieść.

- Sikosi Tsiki jest już w drodze. - Kleyn wręczył Malanowi kopertę. - Odbierzesz go, zawieziesz do Hammanskraal i jedenastego czerwca przekażesz ostatnie instrukcje. Wszystko jest w tej kopercie. Otwórz, przeczytaj i powiedz, czy nie ma przypadkiem jakichś niejasności. Potem zaczniemy dzwonić.

Podczas gdy Franz Malan zapoznawał się z instrukcjami, Jan Kleyn zaczął zapełniać notes najróżniejszymi, pozbawionymi sensu słowami i kombinacjami cyfr. Posługiwał się kilkoma długopisami, żeby czytający pomyślał, że prowadzi te zapiski od dłuższego czasu. Po chwili namysłu zdecydował się na Durban 3 lipca. Wiedział, że ANC organizuje w tym mieście ważne spotkanie. Miał nadzieję, że Scheepers połknie haczyk.

Franz Malan zakończył lekturę.

- Nie ma tu nic o broni - powiedział.

- Konowalenko ćwiczył go w strzelaniu z dalekonośnego karabinu. W tajnym magazynie w Hammanskraal jest dokładna kopia.

Franz Malan skinął głową.

- Jeszcze jakieś pytania?

- Nie - odpowiedział Franz Malan.

Zaczęli dzwonić. W domu Jana Kleyna były trzy linie telefoniczne. Przekazywali informacje do różnych części Afryki Południowej. Zaspani, na wpół przytomni mężczyźni błyskawicznie przytomnieli. Niektórzy byli wyraźnie zaniepokojeni, inni przyjmowali to do wiadomości, i tyle. Niektórzy mieli kłopoty z zaśnięciem, inni przewracali się na drugi bok i spali dalej.

Komitet został rozwiązany. Nigdy nie istniał, nie został po nim żaden ślad. Z wyjątkiem niesprawdzonych pogłosek. Ale bardzo szybko mógł zmartwychwstać. W tym momencie nie był jednak potrzebny, na domiar złego stanowił poważne zagrożenie. Ale jego członkowie pozostali w gotowości, przekonani, że walczą o przyszłość Afryki Południowej. Bezwzględni ludzie, którzy nigdy nie spoczną na laurach. Ich bezwzględność była prawdziwa, tyle że pożywkę dla ich idei stanowiły iluzje, kłamstwa i fanatyczna desperacja. Niektórzy myśleli wyłącznie o zemście.

Franz Malan pojechał do domu.

Jan Kleyn posprzątał i zostawił kasę pancerną otwartą. Położył się o wpół do piątej rano. Zastanawiał się, kto mógł dostarczyć Scheepersowi istotnych informacji. Nie opuszczało go uczucie, że coś mu umknęło.

Że ktoś go zawiódł.

Kto?

Scheepers otworzył drzwi do pokoju przesłuchań.

Jan Kleyn, który siedział na krześle pod ścianą, spojrział na niego z uśmiechem. Scheepers postanowił, że będzie go

traktował uprzejmie i poprawnie. Poświęcił godzinę na przejrzenie zapisków w czarnym notesie. Nie był pewien, czy do zamachu na Mandelę rzeczywiście ma dojść w Durbanie. Rozważał wszystkie za i przeciw, ale nie wysnuł żadnych wniosków. Nie spodziewał się, żeby Kleyn powiedział mu prawdę. Może zdoła wyciągnąć z niego jakieś informacje, które pośrednio wskażą trop.

Siadając naprzeciwko Kleyna, pomyślał, że ma przed sobą ojca Matildy. Znał jego tajemnicę, ale nie zamierzał się z tym zdradzać. Stanowiłoby to zbyt duże zagrożenie dla obu kobiet. Nie będzie przecież przetrzymywany w nieskończoność. Już teraz sprawiał takie wrażenie, jakby w każdej chwili miał opuścić pokój przesłuchań.

Weszła sekretarka i usiadła przy stoliku obok.

- Został pan aresztowany, panie Kleyn - zaczął - ponieważ istnieją poważne podejrzenia, że uprawia pan działalność wywrotową, a może nawet nią kieruje, i że bierze pan udział w przygotowaniach do zabójstwa. Co ma pan na ten temat do powiedzenia?

- Nic nie powiem bez adwokata - odparł Jan Kleyn, nie przestając się uśmiechać.

Scheepersa na moment zamurowało. Zgodnie z obowiązującą procedurą zatrzymanemu przysługuje prawo do skontaktowania się z adwokatem.

- Wszystko odbyło się prawidłowo - powiedział Kleyn, jakby czytał w jego myślach. - Po prostu mój prawnik jeszcze nie przyszedł.

- Zacznijmy od danych personalnych. Nie wymaga to obecności prawnika.

- Naturalnie.

Scheepers opuścił pokój przesłuchań zaraz po spisaniu danych. Poprosił, by go wezwano, gdy tylko pojawi się adwokat. Złany potem, udał się do salki dla oskarżycieli. Przeraziła go niewzruszona wyniosłość Jana Kleyna. Jak

można być tak obojętnym w obliczu zarzutów, które po potwierdzeniu mogą oznaczać karę śmierci?

Scheepers zwątpił, czy sprosta wymaganiom. Może powinien poprosić Werveya, żeby zaangażował bardziej doświadczonego sędziego śledczego? Jednocześnie miał świadomość, że Wervey wierzy w jego umiejętności, skoro przydzielił mu tę sprawę, i że po raz drugi nie otrzyma takiej szansy. Gdyby okazał słabość, jego kariera stanie pod znakiem zapytania. Zdjął marynarkę, obmył twarz zimną wodą i przemyślał pytania, które zamierzał zadać Kleynowi. Udało mu się również skontaktować z prezydentem. Na wstępie poinformował, że jego gabinet prawdopodobnie jest na podsłuchu.

- Każę to sprawdzić - odparł de Klerk po wysłuchaniu wszystkiego, co Scheepers miał mu do powiedzenia.

Adwokat zjawił się dopiero przed szóstą. Scheepers od razu wrócił do pokoju przesłuchań.

Mężczyzna siedzący obok Kleyna miał około czterdziestu lat i nazywał się Kritzinger. Przywitali się powściągliwie i uścisnęli sobie dłonie. Scheepers od razu się zorientował, że Kritzinger i Kleyn to starzy znajomi. Kto wie, czy Kritzinger celowo się nie spóźnił, żeby dać Kleynowi chwilę oddechu i zbić z tropu przesłuchującego. Ale efekt był odwrotny.

Scheepers natychmiast się rozluźnił i zapomniał o dręczących go wątpliwościach.

- Miałem wgląd w nakaz aresztowania - powiedział Kritzinger. - Zarzuty są poważne.

- Działania wymierzone w bezpieczeństwo państwa to poważne przestępstwo - odparł Scheepers.

- Mój klient kategorycznie temu zaprzecza. Domagam się natychmiastowego uwolnienia. Czy to rozsądne zatrzymywać ludzi, którzy na co dzień robią wszystko na rzecz bezpieczeństwa państwa?

- Na razie to ja zadaję pytania, a pański klient ma na nie

odpowiadać. - Scheepers zerknął do notatek. - Czy zna pan Franza Malana?

- Tak - bez wahania potwierdził Jan Kleyn. - Działa w sektorze wojskowym, który zajmuje się sprawami bezpieczeństwa o najwyższej klauzuli tajności.

- Kiedy go pan ostatnio widział?

- W związku z atakiem terrorystycznym na restaurację pod Durbanem. Zostaliśmy wezwani do pomocy w pracach dochodzeniowo-śledczych.

- Czy jest panu znane tajne stowarzyszenie Burów o nazwie Komitet?

- Nie.

- Na pewno?

- Mój klient już odpowiedział na to pytanie - zaproponował Kritzinger.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, żebym je zadał po raz drugi - odparował Scheepers.

- Nie znam żadnego Komitetu - powiedział Jan Kleyn.

- Mamy powody sądzić, że Komitet przygotowuje zamach na jednego z czarnych przywódców ANC. Wymienia się różne miejsca i daty. Czy coś panu w tej sprawie wiadomo?

- Nie.

Scheepers wyjął czarny notes.

- Policja znalazła to podczas rewizji pańskiego domu. Poznaje pan?

- Naturalnie. To moja własność.

- Są tu wymienione rozmaite miejsca i daty. Czy zechciałby pan to bliżej wyjaśnić?

- Co?! - Kleyn spojrział na adwokata. - To prywatne notatki, zapisywałem daty spotkań z przyjaciółmi i daty ich urodzin.

- Co ma pan do załatwienia w Kapsztadzie dwunastego czerwca?

- Nic - z kamienną twarzą odparł Kleyn. - Zamierzałem odwiedzić kolegę numizmatyka, ale odwołaliśmy to

spotkanie.

- A co może pan powiedzieć o Durbanie trzeciego lipca?

- Nic.

- Nie ma pan nic do powiedzenia?

Jan Kleyn szepnął kilka słów adwokatowi.

- Mój klient nie odpowie z przyczyn osobistych - poinformował Kritzinger.

- Bez względu na charakter przyczyn chciałbym usłyszeć odpowiedź.

Jan Kleyn rozłożył ramiona.

- To czysty obłąd.

Scheepers zauważył, że Kleyn zaczyna się pocić i drży mu ręka.

- Pańskie pytania są jak dotąd bezprzedmiotowe - stwierdził Kritzinger. - Wkrótce będę się domagał zakończenia przesłuchania i natychmiastowego uwolnienia mojego klienta.

- Tam gdzie wchodzi w grę zagrożenie bezpieczeństwa państwa, policja i prokuratura dysponują szerokimi uprawnieniami - odparł Scheepers. - Czekam na odpowiedź.

- Spotykam się w Durbanie z pewną kobietą - powiedział Jan Kleyn. - Ponieważ jest mężatką, widujemy się w największej dyskrecji.

- Czy spotykacie się regularnie? - Tak.

- Jak się nazywa ta kobieta?

Jan Kleyn i Kritzinger zaprotestowali jednocześnie.

- Na razie to zostawmy - zgodził się Scheepers. - Ale jeszcze do tego wrócę. Jeśli rzeczywiście widuje się pan z nią regularnie i zapisuje w notatniku wszystkie daty i miejsca spotkań, czy to nie dziwne, że o Durbanie jest tylko jedna wzmianka?

- Rocznie zapełniam co najmniej dziesięć takich notesów. Nieaktualne wyrzucam albo palę.

- Gdzie pan je pali?

Jan Kleyn odzyskał spokój.

- W zlewie lub w muszli klozetowej. Jak pan prokurator wie, z kominka nie mogę korzystać, bo poprzedni właściciele zamurowali przewód. Nigdy się nie zebrałem, żeby go udrożnić.

Przesłuchanie trwało. Scheepers co jakiś czas pytał o Komitet i uzyskiwał te same odpowiedzi. Kritzinger protestował. Po blisko trzech godzinach Scheepers postanowił zakończyć przesłuchanie. Wstał od stołu i oznajmił, że Kleyn zostaje w areszcie. Nie przejął się wyraźną irytacją Kritzingera, ponieważ miał prawo zatrzymać Jana Kleyna co najmniej na najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

Był już wieczór, kiedy pojechał złożyć raport Werveyowi, który obiecał na niego poczekać. Szybko przemierzał puste korytarze. Drzwi gabinetu były uchylone. Wervey siedział na krześle i spał. Kiedy zapukał, szef otworzył oczy i spojrzał na niego.

Scheepers usiadł.

- Jan Kleyn nie przyznał się ani do spisku, ani do planowanego zamachu - zaczął. - Nie sądzę, żeby zmienił zeznania. Nie mamy nic, co by go łączyło z jednym albo z drugim. Podczas przeszukania znaleźliśmy tylko jedną rzecz godną uwagi: notes z datami i nazwami miejscowości. Wszystko przekreślił, z wyjątkiem Durbanu i trzeciego lipca. Tego dnia będzie tam przemawiał Nelson Mandela. Kapsztad dwunastego czerwca skreślił.

Wervey wyprostował się na krześle i poprosił o notes. Scheepers wyjął go z teczki i podał. Wervey powoli kartkował zapiski pod światłem biurowej lampy.

- Jakich udzielił wyjaśnień? - spytał, zamykając czarny notes.

- Twierdzi, że łączy go romans z mężatką, która mieszka w Durbanie.

- Jutro od tego zacznij.
 - Nie chce ujawnić jej nazwiska.
 - Poinformuj go, że zostanie w areszcie, dopóki nie otrzymamy odpowiedzi na to pytanie.
- Scheepers nie krył zdziwienia.
- Wolno tak?
 - Młody przyjacielu, tak leciwemu prokuratorowi rejonowemu jak ja wszystko wolno. Nie zapominaj, że Kleyn umie zacierać ślady. Trzeba go pokonać w walce. Nawet mocno wątpliwymi metodami.
 - Wydaje mi się, że kilka razy stracił pewność siebie.
 - W każdym razie wie, że depczemy mu po piętach. Porządnie go jutro przyciśnij. Powtarzaj te same pytania, trochę inaczej je formułuj, ale nie dawaj za wygraną.
- Scheepers skinął głową.
- Jeszcze jedno - powiedział. - Inspektor Borstlap, który dokonał zatrzymania, odniósł wrażenie, że Kleyna ktoś ostrzegł. Mimo że wiedziało o tym zaledwie kilka osób. Wervey długo mu się przyglądał, zanim odpowiedział.
 - Nasz kraj jest w stanie wojny. Wszędzie są uszy, ludzkie i elektroniczne. Ujawnianie cudzych tajemnic bywa najskuteczniejszą bronią. Zapamiętaj to sobie.
- Rozmowa dobiegła końca.
- Scheepers opuścił prokuraturę, przystanął na schodach i głęboko odetchnął. Był bardzo zmęczony. Po chwili ruszył do samochodu. Właśnie miał otworzyć drzwi, kiedy z cienia wyłonił się parkingowy.
- Ktoś to dla pana zostawił - powiedział, wręczając mu kopertę.
 - Kto?
 - Jakiś czarny. Nie przedstawił się. Powiedział, że to ważne.
- Scheepers ostrożnie wziął kopertę. Była cienka, nie mogła zawierać bomby. Skinął głową parkingowemu, otworzył drzwi, wsiadł do samochodu i w świetle sufitowej lampki

przeczytał wiadomość.

„Zamachowcem jest prawdopodobnie Murzyn Victor Mabasha”.

Pod spodem widniało imię: „Steve”.

Scheepersowi żywiej zabiło serce. Nareszcie, pomyślał.

Pojechał do domu. Judith czekała z kolacją. Zanim usiadł przy stole, zadzwonił do inspektora Borstlapa.

- Słyszałeś o Victorze Mabashy? - spytał.

- Nie - po namyśle odparł Borstlap.

- Jutro rano przejrzyj kartoteki i sprawdź, co się tylko da, w bazie danych. Victor Mabasha, czarny, to przypuszczalnie zamachowiec, którego szukamy.

- Złamałeś Kleyna?

- Nie. Nieważne, skąd to wiem. Zakończyli rozmowę.

Victor Mabasha, pomyślał Scheepers, siadając przy stole. Jeśli to ty, powstrzymamy cię, zanim będzie za późno.

Tego dnia w Kalmarze Kurt Wallander zaczął sobie zdawać sprawę, jak kiepsko się czuje. Kiedy zabójstwo Louise Akerblom i koszmar, który potem nastąpił, wydawały się już tylko serią nierzeczywistych wydarzeń, ponurym widowiskiem z odległej przeszłości, będzie utrzymywał, że dopiero na olandzkim moście, zobaczywszy Konowalenkę z wytrzeszczonymi oczami i palącymi się włosami, zrozumiał, co się z nim dzieje. Przykre wspomnienia i bolesne przeżycia układały się w najróżniejsze wzory jak w kalejdoskopie. Ale punktem wyjścia był Kalmar. To w Kalmarze przestał nad sobą panować. Lindzie powiedział, że czuje się tak, jakby się zaczęło odliczanie. Lekarz, który od połowy czerwca walczył z jego chandrą, napisał w karcie choroby, że „zdaniem pacjenta pierwsze objawy depresji pojawiły się podczas picia kawy w kalmarskiej komendzie policji, kiedy na moście palił się pewien mężczyzna”.

Siedział w komendzie w Kalmarze i pił kawę, wyczerpany i przygnębiony. Ci, którzy go widzieli, kiedy się pochylał nad filiżanką, odnieśli wrażenie, że jest nieobecny duchem i że nie ma z nim żadnego kontaktu. Może był zamyślony? Nikt jednak do niego nie podszedł, żeby mu dotrzymać towarzystwa albo zapytać, jak się czuje. Dziwaczno policjanta z Ystadu traktowano z szacunkiem podszytym niepewnością. Najzwyczajniej w świecie zostawili go samemu sobie. Musieli zapanować nad chaosem na moście i uporać się z mnóstwem telefonów z radia, telewizji i prasy. Pół godziny później Wallander wstał i zażądał, by go podwieźli pod żółtą willę na Hemmansvagen. Kiedy na moście mijali dymiący wrak mercedesa Konowalenki, wpatrywał się przed siebie. Ale w willi natychmiast przejął dowodzenie, niepomyślnie, że z formalnego punktu widzenia śledztwo prowadzi Blomstrand z kalmarskiej policji. Nikt go jednak nie powstrzymywał i przez kilka godzin pracował z

niespożyta energią. Interesowały go głównie dwie sprawy. Chciał wiedzieć, kto jest właścicielem willi, i bez przerwy mówił o tym, że Konowalenko nie był sam. Od razu polecił przepytąć na tę okoliczność wszystkich mieszkańców Hemmansvagen i skontaktować się z taksówkarzami i kierowcami autobusów. Nieustannie powtarzał, że Konowalenko nie jest sam. Kto dotrzymywał mu towarzystwa? Odpytywani sąsiedzi udzielali sprzecznych informacji na temat właścicieli posesji. Mniej więcej dziesięć lat temu zmarł ówczesny właściciel, Hjarmarson, wdowiec, były pracownik archiwum. Jego syn, zamieszkały w Brazylii, zdaniem niektórych przedstawiciel

jakiejś szwedzkiej firmy, zdaniem innych handlarz bronią, nie pojawił się na pogrzebie. Emerytowany dyrektor generalny urzędu wojewódzkiego w Kronobergu, uchodzący za pełnomocnika sąsiadów żółtej willi, przyznał, że na Hemmansvagen nastąpiły wówczas bardzo niespokojne czasy. Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy zniknęła tablica informująca o tym, że dom jest na sprzedaż, i przyjechał wóz z meblami należącymi do emerytowanego oficera rezerwy, służącego lata temu w czymś tak przedpotopowym jak oddział skańskich huzarów. Nazywał się Gustaf Jernberg i komunikował się z otoczeniem za pomocą przyjaznych wrzasków. Niepokój powrócił, kiedy się okazało, że Jernberg większość czasu spędza w Hiszpanii, gdzie leczy reumatyzm. Pod jego nieobecność w willi pojawiał się - często gęsto w szemranym towarzystwie - wnuk, Hans Jernberg, arogancki, beczelny typ, o którym wiedzieli tylko tyle, że jest jakimś tam biznesmenem.

Policja natychmiast wszczęła poszukiwania Hansa Jernberga. Namierzyła go o drugiej po południu w Góteborgu. Wallander rozmawiał z nim przez telefon. Początkowo Jernberg nic nie rozumiał. Ale tego dnia Wallander nie zamierzał od nikogo wyciągać prawdy na siłę,

oznajmił, że odda go w ręce góteborskiej policji, i nie ukrywał, że dziennikarze nie śpią. W trakcie rozmowy jeden z kalmarskich policjantów podetknął Wallanderowi pod nos jakąś kartkę. Sprawdzili Hansa Jernberga w kartotekach i okazało się, że jest związany z krajowymi ugrupowaniami neonazistów.

- Co pan sądzi o sytuacji w Afryce Południowej? - spytał Wallander po dłuższym namyśle.

- A co to ma do rzeczy? - odparował Hans Jernberg.

- Jeśli pan nie odpowie, dzwonię do kolegów z Góteborga.

- Moim zdaniem Afryka Południowa jest znakomicie rządzona - przyznał po chwili Jernberg. - Wspieranie białych obywateli tego kraju uważam za swój obowiązek.

- Odnajmując dom rosyjskim bandytom, którzy są na usługach Południowoafrykańczyków.

Hans Jernberg autentycznie się zdumiał.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Akurat! Proszę mi odpowiedzieć na inne pytanie. Kto w ciągu ostatnich siedmiu dni miał dostęp do willi? Niech pan się dobrze zastanowi. Jeśli nie uzyskam jednoznacznej odpowiedzi, prokurator natychmiast wystawi nakaz aresztowania.

- Ove Westerberg, miejscowy przedsiębiorca budowlany.

- Adres.

Wallander dostał adres. Zrobiło się niezłe zamieszanie. Dzięki efektywnym wysiłkom kilku śledczych z Góteborga udało się rzucić trochę światła na wydarzenia sprzed paru dni. Okazało się, że Ove Westerberg jest równie zagorzałym zwolennikiem Południowoafrykańczyków co Hans Jernberg. Kilka tygodni temu znajomi jego znajomych poprosili go o odpłatne udostępnienie willi gościom z Afryki Południowej. Ponieważ Hans Jernberg bawił w tym czasie za granicą, Ove Westerberg o niczym go nie powiadomił. Wallander podejrzewał, że zachował pieniądze dla siebie.

Westerberg nie miał jednak pojęcia, co to za ludzie, ba, nie wiedział, czy w ogóle przyjechali. Tego dnia Wallanderowi nic więcej nie udało się uzyskać. Kalmarska policja miała się zająć kontaktami szwedzkich neonazistów z południowoafrykańskimi orędownikami apartheidu. Nadal nie ustalono, kto był z Konowalenką w żółtej willi. Podczas gdy przepytywano sąsiadów, taksówkarzy i kierowców autobusów, Wallander przeszukiwał dom. Zauważył, że niedawno korzystano z dwóch sypialni, które w pośpiechu opuszczono. Pomyślał, że tym razem Konowalenko musiał coś po sobie zostawić. Oczywiście istniała możliwość, że towarzysząca mu osoba zabrała jego rzeczy. Niewykluczone, że przezorność Konowalenki nie miała granic. Na przykład co wieczór spodziewał się nieproszonych gości i zanim się położył, chował najważniejsze akcesoria. Wallander poprosił Blomstranda, który przepatrywał szopę na narzędzia, żeby wszyscy policjanci zaczęli szukać torby. Nie potrafił określić jej wyglądu ani wymiarów.

- Torba - powiedział. - Musi gdzieś tu być.

- A co w niej jest? - spytał Blomstrand.

- Nie wiem. Dokumenty, pieniądze, ubrania. Może broń. Nie wiem.

Rozpoczęli poszukiwania. To, co znaleźli, zanosili Wallanderowi, który urzędował na parterze. Skórzana aktówka, z której zdmuchnął kurz, zawierała stare fotografie i listy, zaczynające się najczęściej od słów „Kochana Gunvor” albo „Najdroższy Herbercie”. W ściągniętej ze strychu walizce, równie zakurzonej, leżały egzotyczne rozgwiazdy i muszle. Wallander cierpliwie czekał. Wiedział, że musi gdzieś być ślad po Konowalence i jego anonimowym kompanie. Skontaktował się z córką i z Bjórkiem. Wiadomość o wydarzeniu na moście obiegła cały kraj. Wallander powiedział Lindzie, że czuje się dobrze i że już po wszystkim. Wieczorem powinien wrócić i na kilka dni

wyborą się samochodem do Kopenhagi. Wyczytał z jej głosu, że mu nie wierzy i wątpi w jego dobre samopoczucie. Później doszedł do wniosku, że zawsze potrafiła go przejrzeć. Rozmowę z Bjórkiem zakończył nagle. Wściekł się i rzucił słuchawkę. Przytrafiło mu się to po raz pierwszy. Bjórk miał pretensję, że nikogo nie informując, ruszył w pościg za Konowalenką. Zdawał sobie sprawę, że jego ocena jest w dużej mierze uprawniona, ale się wkurzył, że mówi mu to teraz, w krytycznej fazie śledztwa.

Taka reakcja utwierdziła Bjórka w przeświadczeniu, że Wallander cierpi na rozstrój nerwowy. Musimy go kontrolować, powiedział Martinssonowi i Svedbergowi.

Torbę znalazł Blomstrand. Konowalenko ukrył ją za stertą butów w szafie gospodarczej w przejściu serwisowym między kuchnią a jadalnią. Była skórzana, zamknięta na zamek szyfrowy. Wallander zastanawiał się, czy nie ma w niej przypadkiem ładunku wybuchowego. Co się stanie, jeśli wyważą zamek? Blomstrand pojechał ją prześwietlić na kalmarskie lotnisko. Nic nie wskazywało na to, że eksploduje. Wrócił do żółtej willi i Wallander śrubokrętem wyłamał zamek. W środku były jakieś papiery, bilety, paszporty, spora suma pieniędzy i beretta. Paszporty należały do Konowalenki, wystawiono je w Szwecji, Finlandii i Polsce. Jako Fin nazywał się Makela, jako Polak z niemiecka Hausmann. Wallander doliczył się czterdziestu siedmiu tysięcy koron szwedzkich i jedenastu tysięcy dolarów. Ale najbardziej zainteresował się papierami, w których mogła być jakaś wzmianka o nieznanym kompanie. Ku jego rozczarowaniu i irytacji większość była przypuszczalnie w języku rosyjskim. Nie rozumiał ani słowa. Domyślał się, że Konowalenko prowadził na bieżąco jakieś zapiski, ponieważ na marginesach widniały daty.

- Musimy znaleźć kogoś, kto zna rosyjski - zwrócił się do Blomstranda - żeby nam to od ręki przetłumaczył.

- Możemy zacząć od mojej żony - odparł Blomstrand. Wallander popatrzył na niego pytająco.

- Uczyła się rosyjskiego - wyjaśnił Blomstrand. - Interesuje się kulturą rosyjską, zwłaszcza dziewiętnastowieczną prozą. Wallander zamknął torbę i wsunął ją pod pachę.

- Jedziemy - zdecydował. - Tutaj, w tym zamieszaniu, mogłaby się niepotrzebnie zdenerwować.

Blomstrand mieszkał w szeregowcu na północnych obrzeżach Kalmaru. Jego żona, inteligentna i kontaktowa, od razu się Wallanderowi spodobała. Gdy jedli w kuchni kanapki i pili kawę, zabrała się do pracy, od czasu do czasu zaglądając do słownika. Przekład zajął jej niespełna godzinę. Wallander miał wrażenie, że czyta o własnych przeżyciach, acz z innej perspektywy. Prócz wielu istotnych szczegółów dowiedział się, że Konowalence towarzyszył następca Victora Mabashy, Południowoafrykańczyk Sikosi Tsiki, któremu niepostrzeżenie udało się opuścić żółtą wilę. Sikosi Tsiki przyjechał do Szwecji z Danii. „Jego szkolenie nie jest w pełni zakończone - odnotował Konowalenko - ale zadowolające. Zimną krwią i psychicznym opanowaniem przewyższa Mabashę”. Konowalenko wymieniał niejakiego Jana Kleya z Afryki Południowej, przypuszczalnie ważne ogniwo pośrednie. Nie było natomiast żadnych wzmianek o organizacji, która, zdaniem Wallandera, musiała za tym wszystkim stać.

- Pewien Afrykanin zamierza opuścić Szwecję - poinformował Blomstranda. - Dzisiaj rano był w willi Jernberga. Ktoś musiał go widzieć, ktoś go stąd zabrał. Nie przeszedł przez most na piechotę. Na Olandii na pewno go nie ma. Niewykluczone, że miał samochód. Tak czy inaczej, będzie się próbował wydostać ze Szwecji. Nie wiemy którejdy. Trzeba go zatrzymać.

- To nie będzie łatwe.

- Ale nie niemożliwe. W końcu niezbyt wielu Murzynów

przekracza granice Szwecji.

Wallander podziękował żonie Blomstranda i pojechali do komendy. Godzinę później za Tsikim rozesłano listy gończe. Mniej więcej w tym samym czasie policja dotarła do taksówkarza, który rano zabrał czarnego mężczyznę z parkingu przy Hemmansvagen już po blokadzie na moście, spowodowanej eksplozją mercedesa Konowalenki. Wallander podejrzewał, że Afrykanin gdzieś się przyczaił, po czym wsiadł do taksówki, pojechał do śródmieścia Kalmaru, zapłacił, wysiadł i zniknął. Był wysoki, muskularny, miał na sobie jasne spodnie, białą koszulę i ciemną kurtkę. Rozmawiali po angielsku.

Zrobiło się późne popołudnie. Wallander nic więcej nie mógł już zdziałać w Kalmarze. Afrykanin stanowił ostatni element układanki.

Zaoferowali się, że go zawiozą do Ystadu, ale odmówił. Chciał być sam. Kilka minut po piątej pożegnał się z Blomstrandem, przeprosił za bezpardonowe przejęcie śledztwa i wyjechał z Kalmaru.

Spojrzał na mapę i doszedł do wniosku, że najkrócej będzie przez Vaxjő. Lasy nie miały końca. W Nybro zatrzymał się, żeby coś zjeść. Choć najchętniej zapomniałby o tym wszystkim, co się stało, zebrał się w sobie i zadzwonił do Kalmara, żeby spytać, czy udało się wytropić Afrykanina. Niestety, nie. Wsiadł do samochodu i kontynuował podróż przez bezkresne lasy. W Vaxjő zastanawiał się chwilę, czy jechać przez Almhult, czy przez Tingsryd. Wybrał Tingsryd. Za Tingsrydem, kiedy skręcił na Ronneby, na szosie pojawił się łoś. Zbyt późno dostrzegł go w siwym świetle zmierzchu i zdesperowany, gwałtownie hamując, pomyślał, że dojdzie do czołowego zderzenia i że nie zapiął pasów. Nagle zwierzę się cofnęło i Wallander nawet go nie musnął.

Zatrzymał się na poboczu i siedział bez ruchu. Serce waliło w piersi, oddychał nierówno, zbierało mu się na wymioty.

Kiedy się uspokoił, wysiadł z samochodu. Znowu o włos od śmierci, pomyślał. Chyba wyczerpałem limit. Co dziwne, nie rozsadzała go radość z cudownego ocalenia. Miał niejasne poczucie winy i wyrzuty sumienia. Powróciło przygnębienie, jakie nim owładnęło rano przy kawie. Najchętniej pobiegłby do lasu i został tam dopóty, dopóki by się nie pozbierał i nie wyzbył zawrotów głowy, o które go przyprawiły wydarzenia z ostatnich tygodni. Ale się przemógł, wsiadł do samochodu, zapalił pasy i ruszył przed siebie. Dojechał do głównej szosy i skręcił na Kristianstad. O dziewiątej zatrzymał się przed całodobową kafejką. Przy stoliku siedzieli milczący kierowcy tirów, kilku młodych ludzi hałaśliwie grało w jakąś elektroniczną grę. Nie tknął kawy, dopóki nie wystygła. Wypił zimną i wrócił do samochodu.

Przed północą zajechał pod dom ojca. Linda przywitała go na schodkach. Uśmiechnął się, powiedział, że wszystko w porządku, i spytał, czy nie było telefonów z Kalmaru. Pokręciła głową. Dzwonili jedynie dziennikarze, którzy nie wiadomo skąd zdobyli numer dziadka.

- Twoje mieszkanie jest już wyremontowane - powiedziała. - Możesz się wprowadzać.

- To dobrze.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Kalmaru. Był jednak zbyt zmęczony. Odłożył to do jutra.

Tej nocy długo rozmawiali. Ale Wallander nie wspomniał o dręczącym go przygnębieniu. Chciał to zachować dla siebie. Sikosi Tsiki, stosując się do instrukcji Konowalenki, pojechał autobusem z Kalmaru do Sztokholmu. W Sztokholmie był tuż po czwartej po południu. Samolot do Londynu odlatywał o siódmej. Ponieważ nie trafił do terminalu, skąd odjeżdżają autobusy na lotnisko, udał się na Arlandę taksówką. Kierowca, nieufny wobec cudzoziemców, zażądał zapłaty z góry. Sikosi Tsiki wręczył mu banknot tysiackoronowy i usiadł w kącie na tylnym siedzeniu. Nie

miał pojęcia, że jest poszukiwany na wszystkich szwedzkich przejściach granicznych. Wiedział tylko tyle, że opuszcza kraj jako obywatel szwedzki o imieniu i nazwisku, które bardzo szybko nauczył się wymawiać: Leif Larson. Był spokojny, ponieważ polegał na Konowalence.

Kiedy jechał taksówką przez olandzki most, zauważył, że coś się stało. Pomyślał, że Konowalenko unieszkodliwił nieznanego mężczyznę, który rano pojawił się w ogrodzie.

Na Arlandzie otrzymał resztę, odmownie pokręcił głową w odpowiedzi na pytanie, czy życzy sobie rachunek, po czym wszedł do sali odlotów, dostał kartę pokładową i zanim ruszył do kontroli paszportowej, udał się do kiosku, żeby kupić kilka angielskich gazet.

Gdyby się tam nie udał, zostałby zatrzymany. Ale w tym czasie, kiedy wybierał gazety, zmieniali się kontrolerzy. Jeden z nich poszedł do toalety. Drugi, a raczej druga, Kerstin Anderson, akurat tego dnia dotarła na Arlandę z dużym opóźnieniem. Popsuł jej się samochód i pojawiła w pracy mocno zadyszana. Obowiązkowa i ambitna, zwykła przychodzić wcześniej, żeby się zapoznać z nowymi instrukcjami i listą osób poszukiwanych. Tym razem nie zdążyła i Sikosi Tsiki ze swoim szwedzkim paszportem i uśmiechem na twarzy bez problemów się odprawił. Ledwie bramka się za nim zamknęła, kolega Kerstin wrócił z toalety.

- Czy dzisiaj mamy na coś szczególnie zwracać uwagę? - spytała.

- Yhm, na czarnego Południowoafrykańczyka. Pomyślała o mężczyźnie, który przeszedł przed sekundą.

Ale miał szwedzkie obywatelstwo.

O dziesiątej pojawił się kierownik zmiany.

- Pamiętajcie o Afrykaninie - powiedział. - Nie wiemy, jak się nazywa i jaki ma paszport.

Kerstin Anderson poczuła ucisk w żołądku.

- Przecież to Południowoafrykańczyk.
- Przypuszczalnie - odparł jej szef - co wcale nie znaczy, że będzie chciał wyjechać ze Szwecji jako obywatel swojego państwa.

Natychmiast powiedziała, co zaszło kilka godzin wcześniej. Po gorączkowych poszukiwaniach udało się ustalić, że Afrykanin legitymujący się szwedzkim paszportem odleciał o siódmej liniami BEA do Londynu.

Samolot wystartował punktualnie. Już wylądował w Londynie i pasażerowie przeszli wszystkie kontrole. W Londynie Sikosi Tsiki podał szwedzki paszport i spuścił go w toalecie. Od tej chwili był Richardem Motombwane, obywatelem Zambii. Ponieważ podróżował tranzytem, nie obowiązywała go odprawa paszportowa. Poza tym dostał dwa bilety. Nie nadał żadnego bagażu, więc w Szwecji urzędniczka widziała jedynie jego bilet do Londynu. Na Heathrow pokazał drugi, do Lusaki. Pierwszy spuścił w toalecie razem z paszportem.

O wpół do dwunastej samolotem DC-10 linii Zambia Airways Nkowazi odleciał do Lusaki. Sikosi Tsiki był na miejscu o siódmej rano w sobotę. Taksówką pojechał do miasta i w SAA kupił bilet na popołudniowy lot do Johannesburga. Rezerwacji dokonano wcześniej. Tym razem podróżował pod własnym nazwiskiem. Wrócił na lotnisko, odebrał kartę pokładową i zjadł lunch w restauracji w hali odlotów. O trzeciej wsiadł do samolotu i kilka minut po piątej był na lotnisku Jana Smutsa pod Johannesburgiem. Tam czekał na niego Franz Malan, który zawiózł go do Hammanskraal. Pokazał mu przelew na pół miliona randów i odjechał. Mieli się spotkać nazajutrz. Do tego czasu Tsikiem nie wolno było opuszczać posesji.

Kiedy Sikosi Tsiki został sam, wziął kąpiel. Był zmęczony, ale zadowolony. Podróż przebiegła bez najmniejszych komplikacji. Zastanawiał się tylko nad tym, jak sobie

poradził Konowalenko. Nie zżerała go ciekawość, kogo ma zastrzelić za tak duże pieniądze. Czy jeden człowiek może być naprawdę aż tyle wart? Przed północą położył się w chłodnej pościeli i zasnął.

Rano w sobotę 23 maja Jan Kleyn został zwolniony. Scheepers poinformował go, że w każdej chwili może się spodziewać kolejnych przesłuchań.

Stał w oknie i patrzył, jak Kleyn z Kritzingerem idą do samochodów. Zażądał całodobowej obserwacji. Zakładał, że Jan Kleyn się tego spodziewa i że zaniecha wszelkiej aktywności.

Nie udało mu się z niego wyciągnąć żadnych informacji, które rzuciłyby jakieś światło na poczynania Komitetu. Ale nabrał pewności, że do zamachu nie dojdzie 12 czerwca w Kapsztadzie, tylko 3 lipca w Durbanie. Ilekroć odwoływał się do czarnego notesu, Kleyn zawsze reagował nadmierną potliwością i drżeniem rąk.

Ziewnął. Ucieszyłby się, gdyby było już po wszystkim. Kto wie, czy nie miałby lepszych notowań u Werveya.

Nagle przypomniała mu się biała lwica leżąca nad rzeką w świetle księżycy.

Niebawem znajdą wolną chwilę, żeby ją znowu odwiedzić.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Jan Kleyn wyszedł z aresztu na półkuli południowej, Kurt Wallander usiadł za biurkiem w ystadzkiej komendzie. Koledzy złożyli mu gratulacje i życzyli wszystkiego najlepszego. Uśmiechnął się krzywo i niewyraźnie wymruczał coś w odpowiedzi. Wszedł do pokoju, zamknął drzwi i zdjął słuchawkę z widełek. Czuł się tak, jakby był na kacu, mimo że nie wypił ani kropli alkoholu. Pocił się, drżały mu ręce. Dopiero po dziesięciu minutach przemógł się i zadzwonił do kalmarskiej komendy. Blomstrand zwałił go z nóg informacją, że Afrykanin wymknął się z kraju.

- Jakim cudem?! - spytał, nie kryjąc oburzenia.

- Niedbalstwo i pech - odparł Blomstrand i zreferował pokrótce, jak do tego doszło.

- Po cholere stajemy na głowie?!

- Dobre pytanie. Szczerze mówiąc, też się nad tym zastanawiam.

Wallander zakończył rozmowę. Otworzył okno i przez chwilę słuchał śpiewu ptaka. Zapowiadał się ciepły dzień. Niedługo pierwszy czerwca. Minał maj, a on nawet nie zauważył, że drzewa puściły pąki, z ziemi wychyły kwiaty i zapachy przesycały powietrze.

Siadł za biurkiem. Jednej sprawy nie mógł odkładać na później. Wkręcił kartkę do maszyny, obok położył angielski słownik i powoli zaczął pisać raport dla kolegów z Afryki Południowej. Wszystko, co wiedział o planowanym zamachu i o Victorze Mabashy. Potem wkręcił następną kartkę i po godzinie postawił kropkę, konkludując, że na następcę Mabashy wyznaczono Sikosiego Tsikiego, któremu, niestety, udało się opuścić Szwecję i który najprawdopodobniej jest w drodze do Afryki Południowej. Podpisał się, podał numer szwedzkiej sekcji Interpolu i poprosił o kontakt, gdyby potrzebowali dokładniejszych informacji. Zostawił teleks w recepcji, zaznaczając, że to pilne.

Pojechał na Mariagatan. Po raz pierwszy od eksplozji przekroczył próg własnego mieszkania. Poczul się w nim obco. Pod brezentem piętrzyły się spalone meble. Wyjął krzesło i usiadł.

Duchota.

Ciekawe, jak się z tym wszystkim upora.

Teleks Wallandera trafił do Sztokholmu. Miał go wysłać do Afryki Południowej niedoświadczony pracownik, będący na zastępstwie. Z przyczyn technicznych i braku należytej kontroli druga strona raportu nie dotarła do celu. 23 maja wieczorem południowoafrykańska policja otrzymała

wiadomość, że zamachowiec o nazwisku Mabasha jest w drodze do kraju. Interpol w Johannesburgu miał o czym myśleć. Nie dość, że pod raportem nie było podpisu, to jeszcze kończył się dość nieoczekiwanie. Inspektor Borstlap, który zażyczył sobie, by przysłać mu wszystkie teleksy wychodzące ze Szwecji, dowiedział się o tym dopiero w poniedziałek. I natychmiast skontaktował się z Scheeperssem.

Potwierdziło się to, o czym donosił niejaki Steve.

Człowiek, którego szukają, nazywa się Victor Mabasha.

Scheepers również uznał, że teleks jest dziwnie ucięty i że brakuje podpisu. Ale dał sobie z tym spokój, ponieważ zgadzały się informacje, które uzyskał wcześniej.

Od tej chwili skoncentrowali się wyłącznie na Victorze Mabashy. Zaalarmowano wszystkie posterunki graniczne. Byli w stanie gotowości.

Tego samego dnia, kiedy wyszedł na wolność, Jan Kleyn zadzwonił od siebie z Pretorii do Franza Malana. Był przekonany, że jego telefony są na podsłuchu. Ale miał jeszcze jedną linię, o której nikt nie wiedział. Pewna liczba numerów będąca w gestii służby wywiadowczej oficjalnie nie istniała.

Franz Malan był zaskoczony. Nie miał pojęcia, że Kleyn opuścił areszt. Ponieważ należało przypuszczać, że telefon Malana jest na podsłuchu, Kleyn posłużył się ustaloną z góry procedurą. Spytał o Horsta, przeprosił za pomyłkę i odłożył słuchawkę. Franz Malan sprawdził, co to słowo oznacza: dwie godziny później miał zadzwonić z określonej budki telefonicznej pod inny numer.

Jan Kleyn jak najszybciej chciał się zorientować, co się wydarzyło w tym czasie, kiedy był przesłuchiwany. Franz Malan powinien wiedzieć, że na nim spoczywa odpowiedzialność za całą operację. Choć nie wątpił w swoją umiejętność gubienia ogonów, uznał, że bezpośredni kontakt z Franzem Malanem lub wizyta w Hammanskraal, gdzie niebawem zjedzie Sikosi Tsiki, to zbyt duże ryzyko.

Wyjechał za bramę i po kilku minutach zidentyfikował ogon. Śledzili go także z samochodu jadącego przed nim. Ale się tym nie przejął. Naturalnie doniosą komu trzeba, że dzwonił z budki, nigdy się jednak nie dowiedzą, o czym rozmawiał.

Jan Kleyn zdziwił się, słysząc, że Sikosi Tsiki już jest. Jednocześnie zastanawiał się, dlaczego Konowalenko nie daje znaku życia. Najpóźniej w trzy godziny od przyjazdu Tsikiego miał się upewnić, czy „przesyłka” dotarła na miejsce. Jan Kleyn przekazał Franzowi Malanowi kilka informacji i uzgodnili, że następnego dnia znów się skontaktują, korzystając z różnych budek telefonicznych. Jan Kleyn usiłował się zorientować, czy Franz Malan nie

jest przypadkiem niespokojny. Zachowywał się jak zwykle i mówił z typową dla niego nerwowością.

Zakończył rozmowę i pojechał na lunch do jednej z najdroższych restauracji w Pretorii. Z zadowoleniem pomyślał o słonym rachunku, który jego cień przedłoży Scheepersowi. Siedział przy stoliku w drugim końcu sali. Jan Kleyn uznał, że Scheepers nie zasługuje na to, by żyć w kraju, w którym za parę lat powróci ład i porządek, stworzony przez solidarną społeczność Burów.

Były takie momenty, kiedy Jana Kleyna nachodziły przerażające myśli, że to wszystko skazane jest na niepowodzenie. Że nie ma odwrotu. Że Burowie przegrają, ich państwem będą rządili Murzyni, którzy raz na zawsze odbiorą białym ich przywileje. Szybko jednak się opamiętywał, to tylko chwilowa słabość, myślał, wpływ negatywnego stosunku Południowoafrykańczyków pochodzenia angielskiego do Burów. Wiedzą, że to my jesteśmy solą tej ziemi. My, nie oni, jesteśmy narodem wybranym przez Boga i historię. Stąd bierze się ich zawiść, której nie potrafią się wyzbyć.

Zapłacił za lunch, z uśmiechem minął stolik, przy którym siedział jego cień - silnie pocący się, nieduży mężczyzna z nadwagą - i pojechał do domu. Wstawił samochód do garażu i zaczął się zastanawiać, kto mógł go zawieść, dostarczając informacji Scheepersowi.

Nalał sobie kieliszek portwajnu i usiadł w salonie. Zaciągnął zasłony i pogasił wszystkie światła, z wyjątkiem dyskretnego oświetlenia obrazów. Zawsze najlepiej mu się myślało w półmroku.

Kontakt z Scheeperssem pogłębił jego nienawiść do nieporządku panującego w kraju. Nie opuszczało go uczucie upokorzenia, że jemu, oddanemu i lojalnemu oficerowi wywiadu, zarzuca się działalność wywrotową. Tymczasem

gdyby nie on i tajny Komitet upadek państwa stałby się faktem. Teraz, popijając portwajn, był bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że Nelson Mandela musi umrzeć. Już nie postrzegał tego jako zamachu, tylko jako egzekucję zgodną z niepisanym prawem, które reprezentował.

Wzburzenie Jana Kleyna miało jeszcze jeden powód. Kiedy zadzwonił jego zaufany odźwierny z otoczenia prezydenta, uświadomił sobie, że ktoś przekazał Scheepersowi informacje wręcz niemożliwe do zdobycia. Zdradził go ktoś z jego najbliższego otoczenia. Musi tego kogoś jak najszybciej zidentyfikować. Jego niepokój był tym większy, że z kręgu podejrzanych nie mógł wykluczyć Franza Malana. Ani Malana, ani innych członków Komitetu. Prócz nich wchodziło w grę dwóch-trzech współpracowników z wywiadu, którzy mogli go przejrzeć i z nieznanых przyczyn wydać.

Siedział w półmroku, zastanawiał się nad motywami tych mężczyzn, szukał jakichś wątków, punktów zaczepienia, ale nic nie znalazł.

Kierował się intuicją, przywoływał fakty, dokonywał eliminacji. Kto mógłby na tym zyskać, kto nie znosił go do tego stopnia, że przedkładał zemstę ponad wszystko? Zredukował liczbę ewentualnych podejrzanych z szesnastu do ośmiu. Potem znowu zaczął ich analizować i za każdym razem kogoś wykluczał.

W końcu nie został nikt.

Dopiero wtedy pomyślał o Mirandzie. Nonsens. Absurd. Ale nie miał innego wyjścia. Uznał, że takie podejrzenie jest krzywdzące i nieuprawnione. Był pewien, że gdyby go okłamywała, natychmiast by to zauważył. Wystarczy mu jedna rozmowa, żeby się o tym przekonać. Im szybciej, tym lepiej. Pozbędzie się ogonów i w najbliższych dniach pojedzie do Mirandy i Matildy do Bezuidenhout. Donosiciel jest wśród szesnastu osób, które dokładnie przeanalizował.

Widocznie zrobił to niezbyt wnikliwie. Nic więcej już nie wymyśli.

Zajął się kolekcją monet. Zawsze się uspokajał, podziwiając ich urodę i szacunkową wartość. Przyglądał się złotemu krugerrandowi, równie wiecznemu jak burska tradycja. W świetle biurkowej lampy dostrzegł ledwie widoczną plamkę. Delikatnie pocierał ją starannie złożoną szmatką, dopóki moneta nie nabrała połysku.

Trzy dni później, w środowe popołudnie, udał się do Bezuidenhout, do Mirandy i Matildy. Ponieważ nie chciał, by jego ogon jechał za nim aż do Johannesburga, postanowił się go pozbyć już w śródmieściu Pretorii. Wystarczyło kilka zwodów i już miał z głowy ludzi Scheepersa. Na wszelki wypadek ciągle zerkał we wsteczne lusterko. W Johannesburgu dla pewności kilka razy objechał centrum handlowe i dopiero potem skierował się do Bezuidenhout. Nie miał zwyczaju zjawiać się tam bez uprzedzenia w środku tygodnia. Zrobi im niespodziankę. Nim dotarł do celu, zajrzał do sklepu spożywczego. Mniej więcej o wpół do szóstej skręcił w ulicę, na której mieszkała Miranda i Matilda.

W pierwszej chwili pomyślał, że ma przywidzenia.

Potem uznał, że to właśnie z ich domu wyszedł mężczyzna.

Murzyn.

Zahamował. Mężczyzna ruszył w jego kierunku chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Opuścił dwie przesłony przeciwsłoneczne i bacznie mu się przyglądał.

To on! Od dłuższego czasu za nim chodzili! Choć mieli pewność, że należy do najbardziej radykalnej frakcji ANC, odpowiedzialnej za część zamachów bombowych na domy towarowe i restauracje, nigdy nie udało im się tego udowodnić. Występował pod różnymi imionami: Martin, Steve lub Richard.

Murzyn minął go i zniknął.

Jan Kleyn zeszywniał. Miał mętlik w głowie. Nie było czasu na przemyślenia, nie było odwrotu, podejrzenia, których nie chciał przyjąć do wiadomości, nabrały realnych kształtów. Nie popełnił błędu, wykluczając wszystkich z listy. Została tylko Miranda. Niemożliwe, ale prawdziwe. Na moment ogarnął go smutek. Potem pojawił się chłód. Jakby w miarę narastającej wściekłości wyziębiał się jego organizm. Miłość do Mirandy zamieniła się w nienawiść. Nie do Matildy, bo Matilda była jedynie ofiarą zdrady własnej matki. Zacisnęła dłonie na kierownicy. Nie podjedzie pod ten dom, nie otworzy drzwi, żeby po raz ostatni spojrzeć Mirandzie w oczy. Nie zbliży się tam, dopóki nie odzyska choćby pozornego spokoju. Niekontrolowane wzburzenie to przejaw słabości. Nie zamierzał jej okazywać ani Mirandzie, ani swojej córce.

Jan Kleyn nic nie rozumiał. I to go złościło. Podporządkował swoje życie walce z nieładem. I z tej perspektywy postrzegał rzeczywistość. W każdym odstępstwie doszukiwał się wrogich sił, które trzeba pokonać takimi samymi metodami, jakimi się powstrzymuje rychły upadek państwa.

Długo siedział w samochodzie. Zapadły ciemności. Podjechał pod dom dopiero wtedy, kiedy odzyskał pewność siebie. Kiedy zasłony w oknie salonu lekko się poruszyły, wziął reklamówki z zakupami i otworzył furtkę.

Uśmiechnął się do Mirandy. Przez ułamek sekundy chciał wierzyć, że wszystko mu się przywidziało, ale niestety już poznał prawdę i chciał się dowiedzieć, kto za tym stoi.

W mrocznym przedpokoju z trudem dostrzegł jej ciemną twarz.

- To ja - powiedział. - Postanowiłem wam zrobić niespodziankę.

- To coś nowego - odparła.

Jej głos zabrzmiał obco. Chciałby się jej przyjrzeć. Czy

domyślała się, że widział mężczyznę, który stąd wychodził? W tym momencie Matilda otworzyła drzwi do swojego pokoju i spojrzała na niego. Ona wie, pomyślał. Wie, że jej matka mnie zdradziła. I tylko milcząc, może ją chronić. Położył reklamówki i zdjął kurtkę.

- Wyjdź - powiedziała.

W pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał. Odwrócił się do niej z kurtką w ręku.

- Wyrzucasz mnie?

- Tak.

Spojrzał na kurtkę, rzucił ją na podłogę i uderzył Mirandę w twarz. Upadła. Zanim zdołała wstać o własnych siłach, chwycił ją za bluzkę i podniósł z podłogi.

- Wyrzucasz mnie - wydyszał. - Jeśli ktokolwiek miałby się stąd wynieść, to na pewno nie ja, tylko ty. A ty nigdzie się nie ruszysz.

Zawłókł ją do salonu i rzucił na kanapę. Matilda chciała pomóc matce, ale posłał ją do wszystkich diabłów.

Usiadł naprzeciwko Mirandy. Półmrok nagle go rozjuszył. Zerwał się z krzesła i pozapalał wszystkie światła. Zobaczył, że cieknie jej krew z nosa i ust, znowu usiadł i patrzył na nią.

- Wyszedł stąd mężczyzna - powiedział. - Murzyn. Co on tu robił?

Milczała. Nie patrzyła na niego. Nie przejęła się krwią.

Pomyślał, że to nie ma sensu. Nieważne, co powie ani jak się zachowa. Zdradziła go i tyle. To koniec. Nie ma żadnego dalszego ciągu. Nie wiedział, jak jej odpłacić. Spojrzał na Matildę. Zastygła w bezruchu. Nigdy dotąd tak na niego nie patrzyła. Poczul się niepewnie.

- Wyjdź - powtórzyła Miranda. - Nie chcę cię więcej widzieć. To twój dom. Jeśli zostaniesz, natychmiast się wyprowadzamy.

Wystawia mnie na próbę, pomyślał. Jak śmie! Powstrzymał

się, żeby jej znów nie uderzyć.

- Nikt stąd nie wyjdzie - odparł. - Mów.

- Co chcesz usłyszeć?

- Komu o mnie opowiadałaś, co i dlaczego. Popatrzyła mu prosto w oczy. Krew pod jej nosem i na brodzie ściemniała.

- Opowiadałam o tym, co znajdowałam w twoich kieszeniach, kiedy tutaj spałeś. Słuchałam, co mówisz przez sen, i wszystko zapisywałam. Może to było niewiele warte. Ale mam nadzieję, że cię zniszczy.

Mówiła obcym, ostrym głosem. Uświadomił sobie, że taki jest jej autentyczny głos, że do tej pory udawała. Wszystko było udawaniem, nie widział już śladu prawdy w ich związku.

- Kim byś była beze mnie? - spytał.

- Może bym umarła. A może byłabym szczęśliwa.

- Żyłabyś w slumsach.

- Może udałoby się nam je wyburzyć.

- Nie mieszaj do tego mojej córki.

- Jesteś ojcem, Janie Kleyn, ale nie masz córki. Nie masz nic prócz swojej klęski.

Na stole między nimi stała szklana popielniczka. Kiedy zabrakło mu słów, wziął ją i z całych sił rzucił w Mirandę. Zdażyła się uchylić, popielniczka wylądowała tuż obok na kanapie. Zerwał się z krzesła, odsunął stół, chwycił popielniczkę i uniósł nad jej głową. W tym momencie usłyszał syk. Z półmroku wyłoniła się Matilda. Syczała przez zaciśnięte zęby, nie rozumiał, co mówi, zobaczył za to, że w rękę trzyma broń.

Strzeliła. Trafiła go w środek klatki piersiowej, umarł minutę później. Widział, jak nad nim stoją, próbował coś powiedzieć, próbował zatrzymać wyciekające z niego życie. Ale nie było to możliwe. Nic nie było możliwe.

Miranda nie odczuła ani ulgi, ani strachu. Popatrzyła na córkę, która odwróciła się od zmarłego. Wyjęła pistolet z jej

dłoni, po czym zadzwoniła do mężczyzny o nazwisku Scheepers. Wcześniej odszukała jego numer telefonu i położyła kartkę obok aparatu. Teraz zrozumiała dlaczego.

Odebrała kobieta o imieniu Judith i zawołała męża. Scheepers obiecał natychmiast przyjechać do Bezuidenhout i poprosił, żeby do tego czasu nic nie robiła.

Poinformował Judith, że kolacja musi poczekać. Nie podał powodu, a ona powstrzymała się od pytań. Poprzedniego dnia powiedział, że wkrótce jego zadanie specjalne dobiegnie końca i że wróci do Parku Narodowego Krugera, żeby zobaczyć, czy ciągle tam jest biała lwica i czy nadal będą się jej bali. Zadzwonił do Borstlapa, udało mu się go złapać dopiero pod którymś z rzędu numerem. Dał mu adres i poprosił, żeby na niego poczekał przed domem.

Kiedy przyjechał do Bezuidenhout, Borstlap stał przy samochodzie. Miranda otworzyła drzwi. Weszli do salonu.

Scheepers położył rękę na ramieniu Borstlapa.

- Człowiek, który tu leży, to Jan Kleyn - powiedział. Borstlap spojrział na niego zdumiony i czekał na dalszy ciąg. Ale bez skutku.

Jan Kleyn nie żył. Był uderzająco blady, miał szczupłą, niemal wychudzoną twarz. Scheepers zastanawiał się, czy ogląda zakończenie złej powieści lub tragedii.

- Uderzył mnie - powiedziała Miranda. - Zastrzeliłam go. Kiedy to mówiła, Scheepers przypadkiem zerknął na Matildę. Zdziwiły ją słowa matki. Domyślił się, że to ona go zabiła. Miranda rzeczywiście została uderzona, widział ślady na jej twarzy. Czy Jan Kleyn zdążył się zorientować, że celuje w niego rodzona córka?

Skinął na Borstlapa, żeby poszedł z nim do kuchni. Zamknął drzwi.

- Chciałbym, żebyś zabrał ciało i upozorował samobójstwo - powiedział. - Nie obchodzi mnie, jak to załatwisz. Jan Kleyn był przesłuchiwany. To go poniżyło. Obronił honor,

odbierając sobie życie. To musi wystarczyć jako motyw. Z wyciszeniem tej sprawy nie powinno być problemów, bo dotyczy wywiadu. Chcę, żebyś się tym zajął dzisiaj wieczorem lub w nocy.

- Ryzykuję swoje stanowisko.

- Masz moje słowo, że nic nie ryzykujesz - odparł Scheepers.

Borstlap długo mu się przyglądał.

- Kim są te kobiety? - spytał.

- Nigdy ich nie widziałeś.

- Chodzi naturalnie o bezpieczeństwo Afryki Południowej - z ironią zauważył Borstlap.

- Tak, właśnie o to chodzi.

- Jeszcze jedno kłamstwo. Nasz kraj przypomina fabrykę produkującą kłamstwa na trzy zmiany. Co się stanie, kiedy to wszystko się zawali?

- Dlaczego staramy się zapobiec zamachowi? - odpowiedział pytaniem Scheepers.

Borstlap skinął głową.

- Załatwię to.

- Sam.

- Nikt mnie nie zobaczy. Poza tym dopilnuję, żebym to ja prowadził śledztwo.

- Powiem im, co i jak. Otworzą ci, kiedy tu wrócisz. Borstlap opuścił dom.

Miranda przykryła zwłoki prześcieradłem. Scheepers miał nagle dosyć wszystkich kłamstw.

- Wiem, że to pani córka go zastrzeliła - powiedział. - Ale nie ma to żadnego znaczenia. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Jeśli ma dla was, nie mogę wam w tym pomóc. W każdym razie ciało zniknie dzisiejszej nocy. Zabierze je policjant, który tu ze mną był. Upozoruje samobójstwo. Nikt się nie dowie, co się tu naprawdę wydarzyło. Tyle mogę zagwarantować. - Dostrzegł w oczach Mirandy błysk wdzięczności. - W pewnym sensie było to samobójstwo.

Człowiek, który prowadził takie życie, chyba nie mógł liczyć na inny koniec.

- Nie potrafię płakać po nim - przyznała Miranda. - Nic nie czuję.

- Nienawidziłam go - odezwała się Matilda. Scheepers zauważył, że płakała.

Zabić człowieka, pomyślał. Bez względu na to, jak bardzo się nienawidzi czy zabija się w największej rozpacz, w duszy powstaje rana, która nigdy się całkowicie nie zagoi. Poza tym był jej ojcem, nie wybrała go sobie, ale też nie mogła udawać, że nie istnieje.

Nie został długo. Rozumiał, że potrzebują samotności. Kiedy Miranda poprosiła go, by je odwiedził, obiecał, że to zrobi.

- Wyprowadzimy się stąd - powiedziała.

- Dokąd? Rozłożyła ręce.

- Sama nie mogę decydować. Może Matilda coś wybierze. Scheepers pojechał do domu na kolację. Był zamyślony.

Gdy Judith zapytała go, jak długo potrwa to zadanie specjalne, poczuł wyrzuty sumienia.

- Wkrótce będzie po wszystkim - odparł. Przed północą zadzwonił Borstlap.

- Chcę cię poinformować, że Jan Kleyn popełnił samobójstwo - powiedział. - Jutro rano zostanie znaleziony na parkingu między Johannesburgiem i Pretorią.

Kto teraz jest najsilniejszy? - pomyślał Scheepers po zakończeniu rozmowy. Kto teraz kieruje Komitetem?

Inspektor Borstlap mieszkał w willi na Kensingtonie, jednej z najstarszych dzielnic Johannesburga. Był ożeniony z pielęgniarką, która miała stałe nocne dyżury w największym garnizonie w mieście. Ponieważ ich troje dorosłych dzieci już dawno się usamodzielniało, Borstlap większość wieczorów spędzał w domu sam. Przeważnie był tak zmęczony, że miał siłę wyłącznie na oglądanie telewizji.

Czasami szedł do niewielkiego warsztatu, który sobie urządził w piwnicy, i wycinał sylwetki. Nauczył się tego od ojca, nigdy jednak nie osiągnął jego biegłości. Robił to ostrożnie, acz pewną ręką, wycinanie twarzy z czarnego brystolu było zajęciem uspokajającym. Tej nocy, kiedy zostawił Jana Kleyna na źle oświetlonym parkingu, który dobrze znał, ponieważ niedawno doszło tam do morderstwa, nie potrafił się odprężyć. Wycinając sylwetki swoich dzieci, myślał o współpracy z Scheepersem. Dobrze się czuł w towarzystwie tego młodego prokuratora. Scheepers był inteligentny, energiczny i niepozbawiony wyobraźni. Słuchał, co się do niego mówi, i natychmiast przyznawał się do błędów. Ciekawe, czym się tak naprawdę zajmował. Borstlap wiedział, że sprawa jest poważna, że chodzi o spisek i niedopuszczenie do planowanego zabójstwa Nelsona Mandeli. Przypuszczał, że działa potężna konspiracja, ale prócz Jana Kleyna nie znał ani jednego jej członka. Czasami odnosił wrażenie, że ma w tym śledztwie związane oczy. Powiedział o tym Scheepersowi. Scheepers przyznał mu rację, nie mógł jednak nic na to poradzić, ponieważ był zobowiązany do zachowania tajemnicy służbowej.

Kiedy w poniedziałek rano na jego biurku pojawił się przedziwny teleks ze Szwecji, Scheepers wykazał się niesamowitą energią. W dwie godziny odszukali Victora Mabashę w kartotekach i skoczyła im adrenalina, gdy się okazało, że kilkakrotnie był podejrzany o dokonywanie zabójstw na zlecenie. Nigdy nie został skazany. Między wierszami mogli przeczytać, że był bardzo inteligentny, stosował zręczny kamuflaż i środki bezpieczeństwa. Ostatnio mieszkał w Ntibane pod Umtatą, niedaleko Durbanu. Poszła, jakoby do zamachu miało dojść 3 lipca w Durbanie, nabrała innej jakości. Borstlap skontaktował się z kolegami z Umtaty, którzy potwierdzili, że nie

spuszczają Victora Mabashy z oka. Scheepers i Borstlap pojechali tam tego samego dnia po południu. Z kilkoma zwiadowcami postanowili wejść do blaszaka Mabashy we wtorek o świcie. Nikogo tam nie zastali. Scheepers z trudem ukrywał rozczarowanie, a Borstlap nie miał pojęcia, co dalej. Wrócili do Johannesburga i w poszukiwaniu Mabashy zaangażowali wszelkie dostępne siły i środki. Wersja oficjalna była taka, że Victor Mabasha dopuścił się kilku brutalnych gwałtów na białych kobietach w prowincji Transkei.

Nic, co miało związek z Victorem Mabashą, nie mogło się przedostać do mediów. Pracowali praktycznie po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bez rezultatu. A Jan Kleyn nie żył.

Borstlap, ziewając, odłożył nożyczki i przeciągnął się. Za kilka godzin złączą wszystko od początku. Ciągłe mają czas, bez względu na to, czy chodzi o 12 czerwca, czy 3 lipca.

Nie podzielał pewności Scheepersa, że trop kapsztadzki to zasłona dymna. Powinien oceniać jego wnioski jak adwokat diabła i nie tracić z oczu śladów prowadzących do Kapsztadu.

W czwartek 28 maja Borstlap i Scheepers spotkali się o ósmej.

- Zwłoki Jana Kleyna odnaleziono dwie godziny temu - poinformował Borstlap. - Zobaczył je przypadkowy kierowca, który zatrzymał się tam za potrzebą. Od razu powiadomił policję. Rozmawiałem z ludźmi z pierwszego radiowozu, który tam dotarł. Ich zdaniem to samobójstwo. Scheepers pokiwał głową. Podjął właściwą decyzję, wybierając inspektora Borstlapa na współpracownika.

- Do dwunastego czerwca zostały dwa tygodnie - powiedział.
- I niewiele ponad miesiąc do trzeciego lipca. Inaczej mówiąc, mamy trochę czasu na wytropienie Victora

Mabashy. Nie jestem policjantem, ale to chyba powinno wystarczyć.

- To zależy. Victor Mabasha jest doświadczonym przestępcą. Może zniknąć na długo. Jeśli się ukrywa w *Town-ship*, nigdy go nie znajdziemy.

- Musimy. Nie zapominaj, że mogę zażądać praktycznie każdej pomocy.

- Nie tędy droga. Nawet gdybyś wysłał do Soweto całą armię i oddział komandosów, nic by to nie dało. Prócz zamieszek.

- Co proponujesz?

- Nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy randów i dyskretny cynk w środowiskach przestępczych, że jesteśmy gotowi zapłacić za ujęcie Victora Mabashy.

Scheepers popatrzył na niego sceptycznie.

- To w taki sposób działa policja?

- Nieczęsto, ale się zdarza. Scheepers wzruszył ramionami.

- Ty wiesz lepiej. Zdobędę pieniądze.

- Już dzisiaj wieczorem roześlę wici.

Potem Scheepers zaczął mówić o Durbanie. Jak najszybciej muszą obejrzeć stadion, na którym Nelson Mandela będzie przemawiał do Sumów. Już teraz powinni się zapoznać ze środkami bezpieczeństwa, jakie zamierzała zastosować lokalna policja. Zawczasu opracują strategię na wypadek, gdyby nie udało im się schwycić Victora Mabashy. Borstlap niepokoił się, że Scheepers nie przykładą takiej samej wagi do drugiej ewentualności. Postanowił na własną rękę porozmawiać z kolegą z Kapsztadu i poprosić go o przysługę.

Tego samego dnia wieczorem Borstlap skontaktował się z kilkoma informatorami, którzy regularnie przekazywali mu mniej lub bardziej przydatne plotki.

Pięćdziesiąt tysięcy randów to dużo pieniędzy.

Wiedział, że od tej chwili pościg za Victorem Mabashą rozpoczął się na dobre.

W środę 10 czerwca Kurt Wallander dostał zwolnienie lekarskie. W opinii lekarza małowówny i zamknięty w sobie pacjent był niezbyt konkretny i nie bardzo wiedział, co go dręczy. Opowiadał o koszmarach, bezsenności, kłopotach żołądkowych i nocnych atakach paniki, podczas których miał wrażenie, że jego serce przestanie bić. Czyli wszystkie dobrze znane objawy nasilającego się stresu, co w efekcie może prowadzić do rozstroju nerwowego. Wallander co drugi dzień stawiał się u lekarza i za każdym razem zmieniał zdanie w sprawie swoich największych dolegliwości. Poza tym zaczęły się pojawiać napady płaczu. Lekarz zdiagnozował u niego ostrą depresję i zalecił psychoterapię plus środki antydepresyjne. Sytuacja była poważna. W krótkim czasie Wallander zabił człowieka i przyczynił się do spowodowania śmierci innego, pozwalając mu spłonąć żywcem. Ponadto czuł się odpowiedzialny za śmierć kobiety, która przyplaciła życiem uwolnienie jego córki. Ale największe wyrzuty sumienia nękały go z powodu Victora Mabashy. Co naturalne, tak silną reakcję wywołała śmierć Konowalenki. Nie miał już kogo ścigać, jego też nikt nie ścigał. Pojawienie się depresji świadczyło dość paradoksalnie o tym, że Wallander odczuł ulgę. Teraz, kiedy rachunki były wyrównane, tamy puściły i pogrążył się w melancholii. Po kilku miesiącach wielu jego kolegów podejrzewało, że już do nich nie wróci. Kiedy do ystadzkiej komendy docierały informacje o jego dziwacznych podróżach to tu, to tam, od Danii po Karaiby, zaczęto się zastanawiać, czy Wallander nie powinien przejść na wcześniejszą emeryturę. Wszyscy byli przygnębieni. Na szczęście tak się nie stało. Wrócił. Długo to trwało, ale wrócił.

Nazajutrz po otrzymaniu zwolnienia przyszedł do komendy. Był ciepły bezwietrzny dzień. Zostało mu jeszcze trochę

papierkowej roboty, zanim będzie mógł uprzątnąć biurko, wyjść i spróbować się wyleczyć z przygnębienia. Dręczyła go niepewność, czy w ogóle tu wróci, a jeśli tak, to kiedy.

Zjawił się w swoim pokoju już o szóstej. Po bezsennej nocy. Podczas spokojnych porannych godzin wreszcie dokończył obszerny raport o zabójstwie Louise Akerblom i wszystkich wydarzeniach, które potem nastąpiły. Czytając to, co napisał, miał wrażenie, że jeszcze raz schodzi do podziemi, że znowu odbywa niechcianą podróż. Raport nie do końca był prawdziwy. Wciąż pozostawało dla niego zagadką to, że nie wyszły na jaw jego kontakty z Victorem Mabashą. Mętne i nierzadko sprzeczne wyjaśnienia Wallandera nie wzbudziły podejrzeń. Prawdopodobnie brało się to z poczucia koleżeńskości przemieszanego ze współczuciem, ponieważ zabił człowieka.

Położył gruby raport na biurku i otworzył okno. Skądś dobiegł go śmiech dzieci.

Jak wygląda podsumowanie mojej osoby? - pomyślał. Znalazłem się w sytuacji, nad którą nie panowałem. Popełniłem wszystkie błędy, jakie tylko może popełnić policjant, a najgorsze było to, że naraziłem życie własnej córki. Zaklina się, że nie obwinia mnie o te straszne godziny, które przesiedziała w piwnicy zakuta w łańcuch. Ale czy mogę jej wierzyć? Czy nie przysporzyłem jej cierpienia, które dopiero za jakiś czas da o sobie znać w postaci stanów lękowych, koszmarów, okaleczonego życia? To w rym miejscu musi się zacząć moja autoanaliza, raport, którego nigdy nie napiszę. Koniec jest taki, że lekarz wypisał mi zwolnienie na czas nieokreślony.

Wrócił do biurka i opadł na krzesło. Nie spał ostatniej nocy, to prawda, ale zmęczenie było wynikiem przygnębienia. Czy zmęczenie może się równać przygnębieniu? Pomyślał o tym, co *go* teraz czeka. Lekarz zaproponował, żeby natychmiast poddał się psychoterapii. Wallander odebrał to jako *rozkaz*,

którego powinien był posłuchać. Tylko co on właściwie ma do powiedzenia?

Na biurku leżało zaproszenie na ślub. Dostał je pocztą kilka dni temu. Sam nie wiedział, ile razy je czytał. Ojciec żeni się ze swoją pomocą domową na dwa dni przed sobótką. Wielokrotnie rozmawiał z siostrą Kristiną, która wpadła z krótką wizytą, w okresie największego zamętu, żeby wybić ojcu z głowy ten pomysł. Teraz Wallander nie miał już wątpliwości, że ślub dojdzie do skutku. Nie mógł też zaprzeczyć, że chyba nigdy dotąd nie widział ojca w tak znakomitym humorze. Namalował gigantyczne tło w atelier, gdzie miała się odbyć ceremonia ślubna. Ku zdumieniu Wallandera był to dokładnie ten sam motyw, który ojciec malował przez całe życie, romantycznie nieruchomy pejzaż leśny. Różnica polegała wyłącznie na wymiarach. Wallander rozmawiał z Gertrudą, wybranką ojca. To ona poprosiła go o rozmowę. Wtedy uświadomił sobie, że Gertruda szczerze lubi ojca. Wzruszył się i powiedział, że ogromnie się cieszy.

Linda wróciła do Sztokholmu przeszło tydzień temu. Miała przyjechać na ślub, a potem *od* razu polecieć do Włoch. Wallander czuł się przerażająco samotny. Gdziekolwiek spojrzął, widział pustkę. Któregoś wieczora po śmierci Konowalenki odwiedził Stena Widenę i wypił mu prawie całą whisky. Porządnie pijany, zaczął opowiadać o dręczącym go uczuciu beznadziei. Wydawało mu się, że to go łączy ze starym przyjacielem, który od czasu do czasu sypiał z dziewczętami od koni, pozornie zaspokajając potrzebę bliskości. Liczył na to, że odnowiony kontakt ze Stenem przetrwa. Nie ludził się, by kiedykolwiek udało im się powrócić do tej zażyłości, która łączyła ich dawno temu. Umarła raz na zawsze.

Jego rozmyślania przerwało pukanie do drzwi. Wzdrygnął się. Zauważył, że w ostatnim tygodniu zaczął się lękać ludzi. Drzwi się otworzyły, Svedberg wetknął głowę i spytał, czy

nie przeszkadza.

- Podobno przez jakiś czas nie będzie cię z nami - po wiedział.

Wallander poczuł ucisk w gardle.

- To chyba konieczne - wymruczał, wycierając nos. Svedberg zauważył, że jest wzruszony, i zmienił temat.

- Pamiętasz kajdanki, które znalazłeś w domu Louise Akerblom? Kiedyś mimochodem wspomniałeś o nich.

Wallander pokiwał głową. Utożsamiał je z tajemniczymi zakamarkami każdego człowieka. Nie dalej jak wczoraj zastanawiał się, jakie są jego niewidzialne kajdanki.

- Wczoraj robiłem porządki w komórce - podjął Svedberg. - Postanowiłem wyrzucić stare czasopisma. Ale wiesz, jak to jest, usiadłem i zacząłem je przeglądać. Przypadkiem otworzył mi się artykuł o artystach z varietes na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat. I było tam zdjęcie mężczyzny, który występował pod pełnym polotu pseudonimem Syn Houdiniego. Nazywał się Davidsson. Po pewnym czasie przestał się wydostawać z najróżniejszych więzów i stalowych szaf. Wiesz, czemu?

Wallander pokręcił głową.

- Stał się wierzący. Wstąpił do Kościoła niezależnego. Zgadnij, którego.

- Do metodystów.

- Tak jest. Przeczytałem cały artykuł. I na końcu była informacja, że się szczęśliwie ożenił i miał dużo dzieci. Między innymi córkę Louise. Z domu Davidsson, po mężu Akerblom.

- Kajdanki.

- Pamiętka po ojcu, ot co. Nie wiem, co sobie myślałeś. W każdym razie mnie chodziły po głowie rozmaite myśli niedozwolone dla dzieci.

- Mnie też - przyznał Wallander.

Svedberg wstał, podszedł do drzwi i odwrócił się.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Pamiętasz Petera Hansona?
 - Tego złodzieja?
 - Tak. Może sobie przypominasz, że prosiłem go, żeby dał mi znać, jak tylko gdzieś zobaczy coś z tego, co ci ukradli z mieszkania. I wczoraj do mnie zadzwonił. Większość twoich rzeczy niestety przepadła, ale, co dziwne, udało mu się odzyskać jedną płytę, która, jak twierdzi, jest twoja.
 - Powiedział, jaka to płyta?
 - Tak, zapisałem to.
- Svedberg szukał po kieszeniach, aż wreszcie wyciągnął pomiętą kartkę.
- *Rigoletto* - przeczytał. - Verdi. Wallander uśmiechnął się.
 - Bardzo mi jej brakowało. Podziękuj ode mnie Peterowi Hansonowi.
 - To złodziej. Złodziejom się nie dziękuje.
- Svedberg roześmiał się i opuścił pokój. Wallander zabrał się do przeglądania kolejnych stert papierów. Dochodziła jedenasta. O dwunastej powinien skończyć.
- Zadzwonił telefon. Nie miał ochoty odbierać, ale po chwili zmienił zdanie.
- Jest tu jakiś człowiek, który chce rozmawiać z inspektorem Wallanderem - odezwał się w słuchawce nieznany mu kobiecy głos.
- Pewnie zastępuje Ebbę na czas urlopu, pomyślał.
- Proszę go odesłać do kogo innego - odparł. - Ja nikogo nie przyjmuję.
 - Jest bardzo uparty - powiedziała recepcjonistka. - Chce rozmawiać tylko z inspektorem Wallanderem. Mówi, że ma ważną informację. To Duńczyk.
-
- Duńczyk? O co chodzi?
 - Mówi, że ma to związek z Afrykaninem.
 - Wpuść go - zdecydował po chwili namysłu. Mężczyzna, który wszedł do jego pokoju, przedstawił się jako Paul

Jórgensen, rybak z Dragóru. Był bardzo wysoki i bardzo krzepki. Wallander uściśnął mu dłoń. Miał wrażenie, jakby ją włożył w imadło. Wskazał gościowi krzesło. Jórgensen usiadł i zapalił cygaro. Wallander z uczuciem ulgi pomyślał o otwartym oknie. Przez chwilę szukał po szufladach popielniczki.

- Mam coś do powiedzenia - zaczął Jórgensen - ale jeszcze się nie zdecydowałem, czy mam to powiedzieć, czy nie.

Wallander uniósł brwi.

- Trzeba się było zdecydować, zanim pan tu przyszedł.

Zwykle w takiej sytuacji najprawdopodobniej by się zirytował. Teraz słyszał, że jego głos jest całkowicie pozbawiony stanowczości.

- To zależy od tego, czy przymknie pan oko na drobne wykroczenie - powiedział Jórgensen.

Wallander zaczął się poważnie zastanawiać, czy ten człowiek z niego nie drwi. Jeśli drwi, to wybrał wyjątkowo niefortunny moment. Uznał, że musi przejąć kontrolę nad tą rozmową, która tak fatalnie się zaczęła.

- Poinformowano mnie, że ma mi pan coś bardzo ważnego do powiedzenia o Afrykaninie. Jeśli to naprawdę ważne, przypuszczalnie będę mógł przymknąć oko na drobne wykroczenie. Ale niczego nie obiecuję. Sam musi pan podjąć decyzję. I proszę, żeby pan to zrobił natychmiast.

Jórgensen przyglądał mu się spod zmrużonych powiek zza dymu cygara.

- Zaryzykuję.

- Słucham.

- Jestem rybakim z Dragóru - zaczął Jórgensen. - Starcza mi na utrzymanie łodzi, domu i na kufelek piwa wieczorem. Ale nigdy nie zawadzi co nieco dorobić, jeśli się nadarzy okazja. Czasem zabieram turystów i mam parę groszy na boku. Zdarza się, że płynę do Szwecji. Nieczęsto, może ze dwa razy w roku. Wożę na przykład ludzi, którzy spóźnili się

na prom. Kilka tygodni temu trafił mi się popołudniowy kurs do Limhamnu. Miałem tylko jednego pasażera.

Nagle umilkł, jakby czekał na reakcję Wallandera. Wallander nie miał nic do powiedzenia. Głową dał znać Jørgensenowi, żeby kontynuował.

- To był Murzyn. Dobrze mówił po angielsku. Bardzo uprzejmy. Cały czas stał obok mnie w sterówce. Może powinienem dodać, że ten rejs był dosyć wyjątkowy. Zamówiono go z wyprzedzeniem. Któregoś dnia rano przyszedł na przystań Anglik, który mówił po duńsku, i spytał, czy mógł bym kogoś przewieźć przez Sund. Wydało mi się to trochę podejrzane, więc żeby się od niego odczepić, wymieniłem wysoką sumę. Zażądałem pięciu tysięcy koron. A on wyjął pieniądze i od razu mi zapłacił.

Wallander poważnie się zainteresował. Na moment zapomniał o sobie i skupił się na słowach Jørgensena. Ponownie skinął głową, żeby kontynuował.

- W młodości byłem na morzu. Tam nauczyłem się angielskiego. Zapytałem tego Murzyna, co będzie robił w Szwecji. Powiedział, że chce odwiedzić przyjaciół. Zapytałem, jak długo zostanie, a on mi na to, że najpóźniej za miesiąc wraca do Afryki. Podejrzywałem, że coś tu nie gra, że płynie do Szwecji nielegalnie. Zdecydowałem się o tym opowiedzieć, bo teraz nie da się już niczego udowodnić. Wallander podniósł rękę.

- Przyjrzyjmy się temu nieco dokładniej. Co to był za dzień? Jørgensen pochylił się do przodu i spojrział na biurowy kalendarz Wallandera.

- Środa trzynastego maja. Zabrałem go o szóstej po południu.

To by się zgadzało, pomyślał Wallander. To mógł być następca Victora Mabashy.

- Powiedział, że zostanie mniej więcej przez miesiąc?

- Chyba tak.

- Chyba?
- Jestem pewien.
- Proszę kontynuować. I niech pan nie pomija żadnych szczegółów.
- Rozmawialiśmy o tym i owym. Był otwarty i uprzejmy. Ale cały czas wydawało mi się, że ma się na baczności. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć. Dopłynęliśmy do Limhamnu. Przybiłem do kei i wyskoczył na ląd. Ponieważ już dostałem zapłatę, od razu zawróciłem. Pewnie w ogóle bym o tej sprawie nie pomyślał, gdyby nie to, że parę dni temu przypadkiem wpadła mi w ręce stara szwedzka popołudniówka. Na pierwszej stronie było zdjęcie mężczyzny, który zginął w czasie strzelaniny z policją. Wydał mi się znajomy.
- Zrobił krótką pauzę. - Pana zdjęcie też tam było.
- Z jakiego dnia była ta gazeta? - wtrącił Wallander, mimo że znał odpowiedź.
- Chyba z czwartku - powiedział z wahaniem Jørgensen.
- Albo z piątku, z czternastego maja.
- Proszę kontynuować. Później to sprawdzimy, jeśli okaże się istotne.
- Rozpoznałem tego człowieka, ale nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie go widziałem. Dopiero przedwczoraj skojarzyłem, co i jak. Kiedy wysadziłem tego Afrykanina w Limhamnie, na kei czekał na niego potwornie gruby facet. Trzymał się na uboczu, jakby nie chciał, żeby go ktoś zobaczył. Ale ja mam dobry wzrok. To był on. No i zacząłem się zastanawiać, pomyślałem, że to może jest ważne, wziąłem wolne i przyjechałem.
- Dobrze pan zrobił. Nie podejmę żadnych kroków w związku z pana udziałem w nielegalnym przewozie ludzi do Szwecji. Oczywiście pod warunkiem, że natychmiast pan zaprzestanie tego procederu.
- Już z tym skończyłem - odparł Jørgensen.

- Proszę opisać tego Afrykanina.
- Około trzydziestki, ładnie zbudowany, silny i zwinny.
- To wszystko?
- Tyle pamiętam. Wallander odłożył długopis.
- Dobrze pan zrobił, przychodząc tutaj.
- Może to nie ma żadnego znaczenia.
- Ma duże znaczenie - zapewnił Wallander, wstając. -
Dziękuję.

- I ja dziękuję - odparł Jørgensen i wyszedł.

Wallander odszukał kopię teleksu przesłanego do Interpolu w Afryce Południowej. Przez chwilę się namyślał, po czym zadzwonił do szwedzkiego Interpolu w Sztokholmie.

- Inspektor Wallander z Ystadu - przedstawił się. - W sobotę dwudziestego trzeciego maja wysłałem teleks do Interpolu w Afryce Południowej. Chciałbym spytać, czy przyszła jakaś odpowiedź.

- Gdyby przyszła, natychmiast by ją pan otrzymał, inspektorze.

- Proszę to na wszelki wypadek sprawdzić. Po kilku minutach uzyskał odpowiedź.

- Wczorajem dwudziestego trzeciego maja nadano jednostronicowy teleks do Interpolu w Johannesburgu. Jedyne, co otrzymaliśmy, to potwierdzenie odbioru.

Wallander zmarszczył czoło.

- Jednostronicowy? Wysłałem dwie strony.

- Mam przed sobą kopię. Rzeczywiście brakuje zakończenia.

Wallander spojrział na swoją kopię. Jeśli dotarła tylko pierwsza strona, policja południowoafrykańska nie wie, że Victor Mabasha nie żyje i że prawdopodobnie na jego miejsce wyznaczono kogo innego.

Poza tym można było założyć, że do zamachu dojdzie 12 czerwca, ponieważ Sikosi Tsiki powiedział Jørgensenowi, kiedy najpóźniej zamierza wracać do kraju.

Od razu zdał sobie sprawę z konsekwencji.

Policja południowoafrykańska od blisko dwóch tygodni ściga martwego człowieka.

Dzisiaj jest czwartek 11 czerwca. Zamach przypuszczalnie zaplanowano na 12 czerwca.

Czyli jutro.

- Co to ma być, do jasnej cholery?! Dlaczego wysłaliście tylko połowę teleksu?

- Nie wiem. Proszę o to spytać oficera dyżurnego.

- Innym razem - odparł Wallander. - Za chwilę dostaniecie nowy teleks, który ma być niezwłocznie przesłany do Johannesburga.

- Wszystko przesyłamy niezwłocznie.

Wallander odłożył słuchawkę. Jak to możliwe? - pomyślał.

Nie zwracał sobie głowy żadnymi odpowiedziami, wkręcił papier do maszyny i napisał krótką wiadomość: „Victor Mabasha wypadł z gry. Teraz jest aktualny inny mężczyzna, Sikosi Tsiki, lat trzydzieści, ładnie zbudowany (tu skorzystał ze słownika i zdecydował się na *well proportioned*), żadnych znaków szczególnych. Ta informacja unieważnia poprzednią. Powtarzam: Victor Mabasha wypadł z gry. Jego przypuszczalny zmiennik nazywa się Sikosi Tsiki. Fotografii brak. Szukamy odcisków palców”.

Podpisał się i poszedł do recepcji.

- Proszę to natychmiast wysłać do Interpolu w Sztokholmie - polecił nieznanemu mu recepcjonistce.

Stał i patrzył, jak faksuje wiadomość. Potem wrócił do siebie. Pomyślał, że prawdopodobnie jest już za późno.

Gdyby nie był na zwolnieniu, od razu zażądałby dochodzenia, kto odpowiada za przesłanie tylko połowy teleksu. Ale w tej sytuacji dał temu spokój. Nie miał siły się tym zajmować.

Kontynuował porządkowanie papierów. Skończył przed pierwszą. Biurko było czyste. Pozamykał na klucz swoje prywatne szuflady, wstał i nie odwracając się, opuścił pokój.

Nikogo nie spotkał na korytarzu, wymknął się z komendy niepostrzeżenie. Nie licząc, rzecz jasna, recepcjonistki.

Teraz miał tylko jeden cel. Kiedy załatwi to, co sobie postanowił, nic mu nie zostanie. Jego kalendarz był pusty.

Ruszył z boczem w dół, minął szpital i skręcił w lewo.

Wydawało mu się, że wszyscy przechodnie na niego patrzą.

Starał się jak najmniej rzucać w oczy. Na rynku zajrzał do

optyka, kupił okulary przeciwsłoneczne i przecinając

Österleden, dotarł Hamngatan do portu. W lecie była tam

czynna kafejka. Mniej więcej przed rokiem pisał w niej list

do Bajby Liepy. Ale go nie wysłał. Poszedł na pirs, podarł

list i wrzucił do basenu portowego. Teraz zamierzał podjąć

kolejną próbę. W wewnętrznej kieszeni kurtki miał

przygotowany papier i kopertę ze znaczkiem. Usiadł przy

narożnym stoliku, od zawietrznej, i zamówił kawę. Wtedy,

rok temu, też był przygnębiony. Ale nie dało się tego

porównać z jego obecną sytuacją.

Zaczął na chybił trafił. Wspomniiał o kafejce, o pogodzie, o

białym kutrze rybackim i jasnozielonych sieciach, usiłował

opisać zapach morza, a potem zajął się swoim

samopoczuciem. Miał trudności ze znalezieniem właściwych

angielskich słów, ale się tym nie zrażał. Napisał, że dostał

zwolnienie na czas nieokreślony, że nie jest pewien, czy

kiedykolwiek wróci do służby. „Być może zakończyłem

swoje ostatnie śledztwo. Źle to zrobiłem, właściwie nic nie

zrobiłem. Nabieram przekonania, że nie nadaję się do tego

zawodu, który sam wybrałem. Długo sądziłem inaczej. Teraz

nie jestem pewien”.

Przeczytał to, co napisał, i pomyślał, że nie będzie w stanie

niczego zmienić, mimo że nie podobało mu się wiele

sformułowań; wydawały się zbyt ogólnikowe i niejasne.

Włożył list do koperty, zakleił i poprosił o rachunek. Tuż

obok przystani jachtowej była skrzynka pocztowa. Wrzucił

list, doszedł do końca pirsu i usiadł na jednym z

kamiennych koników. Do portu wpływał prom z Polski. Morze przybierało różne kolory: stalowoszary, niebieski, zielony. Nagle pomyślał o rowerze, który znalazł nocą we mgle. Ciągle leżał za budynkiem gospodarczym u ojca. Jeszcze tego samego dnia wieczorem odstawi go na miejsce. Pół godziny później wstał i udał się do domu, na Mariagatan. Otworzył drzwi i znieruchomiał.

Na podłodze stał nowiutki sprzęt grający. Na odtwarzaczu CD leżała kartka. „Z życzeniami powrotu do zdrowia i do pracy. Koledzy”.

Przypomnił sobie, że Svedberg ciągle ma zapasowy klucz, który dostał, żeby wpuścić ekipę remontową. Usiadł na podłodze i patrzył na sprzęt. Był autentycznie wzruszony. Uważał, że na to nie zasłużył.

Tego samego dnia, w czwartek 11 czerwca, od dwunastej w południe do dziesiątej wieczorem nie działały połączenia teleksowe między Szwecją i południową Afryką. Teleks Wallandera został wysłany dopiero o wpół do jedenastej. Koledzy z RPA odebrali go, wciągnęli do rejestru i włożyli do przegródki z wiadomościami, które miały trafić do adresatów następnego dnia. Ktoś sobie przypomniał, że prokurator o nazwisku Scheepers wydał dyspozycję w okólniku, żeby natychmiast przesyłać do jego biura kopie wszystkich teleksów ze Szwecji. Policjanci dyżurujący w pokoju teleksowym nie pamiętali, czy dotyczy to również późnych godzin nocnych. Nie mogli tego sprawdzić, bo w specjalnej teczce zawierającej bieżące polecenia okólnika Scheepersa nie było. Jeden z oficerów dyżurnych uznał, że teleks może poczekać do następnego dnia, drugi natomiast lekko się wkurzył, że okólnik gdzieś się zapodział, i choćby dlatego, żeby nie zasnąć, zaczął go szukać. Znalazł przeszło pół godziny później, naturalnie w niewłaściwej teczce. Okólnik Scheepersa nie pozostawiał cienia wątpliwości. O teleksach, które nadejdą w nocy, trzeba go natychmiast

powiadomić telefonicznie. Dochodziła dwunasta. Wskutek tych wszystkich niefortunnych zbiegów okoliczności i opóźnień, na które złożyło się głównie niedbalstwo albo zwyczajne lenistwo, Scheepers odebrał telefon trzy minuty po północy w piątek 12 czerwca. Uznał wprawdzie, że do zamachu dojdzie w Durbanie, ale nie mógł zasnąć. Leżał u boku śpiącej żony i myślał, że powinien był jednak pojechać z Borstlapem do Kapsztadu choćby w celach czysto poznawczych. Poza tym niepokoiło go to, że nawet Borstlap uważał za rzecz dziwną, iż mimo wysokiej nagrody do tej pory nie mieli żadnych informacji o tym, gdzie się zaszyl Victor Mabasha. Jego zdaniem coś się musiało za tym kryć. Kiedy Scheepers poprosił go o bliższe wyjaśnienia, powiedział, że to tylko przeczucie niepoparte żadnymi dowodami. Zadzwoił telefon. Żona jęknęła. Scheepers błyskawicznie chwycił słuchawkę, jakby od dawna czekał na rozmowę. Oficer dyżurny z Interpolu odczytał mu wiadomość. Wziął długopis leżący przy łóżku, poprosił o ponowne odczytanie i na grzbiecie lewej dłoni napisał dwa słowa. „Sikosi Tsiki”.

Odłożył słuchawkę i znieruchomiał. Judith spytała, czy coś się stało.

- Nic takiego, co mogłoby nam zagrażać - odparł - ale może być groźne dla kogo innego.

Wybrał numer do Borstlapa.

- Drugi teleks ze Szwecji - powiedział. - To nie Victor Mabasha, tylko niejaki Sikosi Tsiki. Przypuszczalnie zamach nastąpi jutro.

- Kurwa mać! - skwitował Borstlap.

Postanowili się natychmiast spotkać w biurze Scheepersa. Judith zauważyła, że mąż jest przerażony.

- Co się stało? - spytała ponownie.

- Najgorsze, co się mogło stać - odparł i wyszedł. Było dziewiętnaście minut po północy.

W piątek 12 czerwca w Kapsztadzie było pogodnie i chłodno. Rano nad Three Anchor Bay nadciągnęła lawica mgły, ale szybko się rozwiła. Do półkuli południowej zbliżała się zima. Już teraz wielu Afrykanów wychodziło do pracy we włóczkowych czapkach i ciepłych kurtkach.

Nelson Mandela przyjechał do Kapsztadu poprzedniego dnia wieczorem. Obudził się o świcie i pomyślał o tym, co go czeka w ciągu najbliższych kilkunastu godzin. Po wielu latach spędzonych w więzieniu na Robben Island, podobnie jak inni współwięźniowie, przyzwyczał się do życia z dnia na dzień i choć od przeszło dwóch lat cieszył się wolnością, trudno było mu się wyzbyć starych nawyków.

Wstał z łóżka i podszedł do okna. Tam, na oceanie, leży Robben Island. Zatopił się w myślach. Tyle wspomnień, tyle gorzkich chwil i wreszcie wielki triumf.

Jest stary, ma przeszło siedemdziesiąt lat. Nie będzie żył wiecznie, ani on, ani nikt inny. Ale parę lat powinien jeszcze żyć. Wspólnie z prezydentem de Klerkiem musi przeprowadzić kraj trudnymi, najeżonymi pułapkami, ale niepozabawionymi uroku ścieżkami, żeby raz na zawsze wyzwolić Afrykę Południową z jarzma apartheidu. Nareszcie padnie ostatni bastion kolonializmu na Czarnym Lądzie. Kiedy osiągną ten cel, będzie się mógł wycofać, a nawet umrzeć. Ale na razie był bardzo żywotny. Jak najdłużej chciał we wszystkim uczestniczyć i zobaczyć, jak czarni uwalniają się od trwających kilkaset lat upokorzeń i podporządkowania. Wiedział, że będzie to żmudny proces. Ucisk mocno się zakorzenił w afrykańskich duszach i umysłach.

Nelson Mandela zdawał sobie sprawę, że zostanie pierwszym czarnym prezydentem Afryki Południowej. Wcale o to nie zabiegał. Nie będzie jednak miał żadnych kontrargumentów, by odmówić.

To długa droga dla kogoś, kto niemal połowę dorosłego życia spędził w więzieniu. Uśmiechnął się na tę myśl. Ale po chwili spoważniał. Przypomniał sobie, co mu przed tygodniem powiedział de Klerk. Grupa wysoko postawionych Burów zawiązała spisek na jego życie. Żeby wywołać chaos i doprowadzić do wojny domowej.

Czy to możliwe? - pomyślał. Wiedział, że są fanatyczni Burowie, ludzie, którzy nienawidzą Murzynów, traktując ich jak bezduszne zwierzęta. Ale czy naprawdę wierzą, że ich desperacki spisek powstrzyma przemiany dokonujące się w kraju? Czyżby do tego stopnia zaślepiła ich nienawiść - a może strach? - że uznali za realny powrót do dawnej Afryki Południowej? Nie docierało do nich, że stanowią topniejącą mniejszość? Owszem, nadal wpływową, ale jednak. Czy naprawdę są gotowi utopić przyszłość we krwi?

Nelson Mandela wolno pokręcił głową. To mało prawdopodobne. De Klerk na pewno przesadził albo źle rozumiał przekazane mu informacje. Nie odczuwał lęku.

Sikosi Tsiki również dotarł do Kapsztadu w czwartek wieczorem. Ale w odróżnieniu od Nelsona Mandeli starał się zachować anonimowość. Przyjechał autobusem z Johannesburga, niepostrzeżenie wysiadł, wziął torbę i rozpląnął się w ciemnościach.

Noc spędził na dworze. Spał w ustronnym zakątku parku Trafalgar. O świcie, mniej więcej w tym czasie, kiedy Nelson Mandela wstał z łóżka i podszedł do okna, zainstalował się w docelowym miejscu. Wszystko zgadzało się z mapą i instrukcjami, które otrzymał od Franza Malana w Hammanskraal. Cieszyło go, że ma do czynienia z dobrymi organizatorami. W pobliżu nie było żywej duszy, nagie zbocze nie stanowiło żadnej atrakcji turystycznej. Droga na szczyt wysokości trzystu pięćdziesięciu metrów wiała się po drugiej stronie góry. Nie miał w odwodzie samochodu. Poruszając się pieszo, czuł się swobodniej. Kiedy będzie po

wszystkim, szybko stąd zejdzie, wmiesza się w rozwścieczony tłum, żądny zemsty na zabójcy Nelsona Mandeli, i opuści Kapsztad.

Już wiedział, że jego obiekt to Mandela. Franz Malan podał mu czas i miejsce zamachu, i to mu wystarczyło. Gazety rozpisywały się o wiecu na Green Point Stadium, gdzie Nelson Mandela miał tego dnia przemawiać. Poniżej, mniej więcej w odległości siedmiuset metrów, widział owalną arenę. Owszem, daleko, ale ten dystans go nie przerażał. Pole widzenia lunety i dalekonośny karabin zapewniały należyłą precyzję.

Niespecjalnie się przejął, że chodzi o Nelsona Mandelę. Na dobrą sprawę sam powinien był na to wpaść. Usuwając Mandelę, obłąkani Burowie mieli cień szansy na wzniesienie zamieszek w całym kraju. Dopóki będzie aktywny, Murzyni zachowają samokontrolę. Jeśli go zabraknie, wszystko może się zdarzyć. Mandela nie miał żadnego oczywistego następcy.

Sikosi Tsiki mógł odplacić pięknym za nadobne. Wprawdzie to nie Mandela wyrzucił go z ANC, ale kierował tą organizacją, stanowiąc tym samym właściwy obiekt zemsty. Spojrzał na zegarek.

Pozostawało mu jedynie czekać.

Georg Scheepers i inspektor Borstlap wylądowali w piątek na lotnisku Malana pod Kapsztadem kilka minut po dziesiątej rano, zmęczeni i bladzi. Od pierwszej w nocy usiłowali zdobyć informacje o Sikosim Tsikim. Zerwali z łóżek oficerów śledczych, speców od policyjnych kartotek komputerowych. Przyjechali radiowozami, w płaszczach narzuconych na pizamy. Rezultaty poszukiwań były oplakane. Sikosi Tsiki nie figurował w żadnym rejestrze. Na domiar złego nikt o nim nie słyszał. O wpół do ósmej udali się na lotnisko Jana Smutsa. W samolocie, coraz bardziej zdesperowani, usiłowali obmyślić jakąś strategię. Uznali, że

mają znikome szanse na powstrzymanie Tsikiego. Wiedzieli o nim tyle, co nic. Zaraz po wylądowaniu w Kapsztadzie Scheepers postanowił poinformować o wszystkim prezydenta de Klerka i poprosić go, by nakłonił Nelsona Mandelę do rezygnacji z wystąpienia. Policjanci z lotniskowego komisariatu zostawili go sam na sam z telefonem dopiero wtedy, gdy, rozjuszony do żywego, zagroził im aresztem i gdy wreszcie do nich dotarło, z kim mają przyjemność. Na połączenie z prezydentem czeka! blisko piętnaście minut, po czym w największym skrócie zdał relację z tego, co zaszło ostatniej nocy. De Klerk nader chłodno odniósł się do jego propozycji. Mandela na pewno niczego nie odwoła. Poza tym już raz się pomylili co do miejsca i czasu. Możliwe, że teraz będzie podobnie. Zapewnili Mandeli lepszą ochronę. On, prezydent, zrobił wszystko, co mógł.

Scheepers odłożył słuchawkę z przykrym uczuciem, że de Klerk jeszcze nie dojrzał do tego, by za wszelką cenę uchronić Nelsona Mandelę przed grożącym mu niebezpieczeństwem. Czy to możliwe? - pomyślał. Czyżbym się aż tak co do niego pomylił? Nie miał jednak czasu na dłuższe deliberacje. Odszukał Borstlapa, który w tym czasie zdążył pokwitować odbiór samochodu, czekającego na nich, i pojechali na Green Point Stadium, gdzie Nelson Mandela miał za trzy godziny przemawiać.

- Trzy godziny to za mało - powiedział Borstlap. - Nie wyrobimy się.

- Musimy i tyle - odparł Scheepers. - Musimy powstrzymać tego człowieka.

- Albo Mandelę. Nie widzę innej możliwości.

- Odpada. Mandela stanie na mównicy o drugiej. De Klerk nie zamierza go od tego odwieść.

Wylegitymowali się i weszli na stadion. Mównica już była na miejscu. Wszędzie powiewały flagi ANC i pstrokate

proporczyki. Muzycy i tancerze przygotowywali się do występu. Niebawem zaczną się schodzić ludzie z Langi, Guguletu i Nyangi. Trzeba ich przywitać muzyką. Dla nich ten polityczny wiec był jednocześnie festynem.

Scheepers i Borstlap stanęli obok mównicy i rozglądali się.

- Musimy sobie odpowiedzieć na jedno pytanie - odezwał się Borstlap. - Czy mamy do czynienia z kamikadze, czy z typowym zabójcą?

- Z typowym zabójcą. Tego możemy być pewni. Zamachowiec gotowy na wszystko jest nieobliczalny. Ale istnieje

spore ryzyko, że może chybić. Tak czy inaczej, to ktoś, kto po zastrzeleniu Mandeli będzie chciał się wymknąć.

- Skąd wiesz, że użyje broni palnej?

Scheepers popatrzył na Borstlapa z niepozabawionym irytacji zdziwieniem.

- A niby czego ma użyć? Noża? Natychmiast by go zlinczowali.

- Jest dużo innych możliwości - ponuro odparł Borstlap.

- Rozejrzyj się. Może wybrać dach albo jakąś pustą kabinę radiową. Może być poza stadionem. - Wskazał na Signal Hill, wznoszące się około pięciuset metrów od stadionu. - Ma dużo możliwości - powtórzył. - Zbyt dużo.

- Musimy go powstrzymać.

Wiedzieli, co to oznacza. Są skazani na loterię. Wszystkich ewentualnych miejsc nie zdążą sprawdzić. Scheepers obstawiał dziesięć procent, Borstlap trochę więcej.

- Mamy dwie godziny i trzydzieści pięć minut - powie dział Scheepers. - Jeśli Mandela się nie spóźni. Podejrzewam, że zamachowiec nie będzie zwlekał.

Zażądał do swojej dyspozycji dziesięciu doświadczonych policjantów. Dowodził nimi młody kapitan.

- Nasze zadanie jest bardzo proste - zaczął Scheepers.

- Mamy dwie godziny na przeszukanie stadionu. Szukamy

czarnego uzbrojonego mężczyzny. Jest niebezpieczny. Musi my go unieszkodliwić. A w najgorszym wypadku zabić.

- To wszystko? - spytał z niedowierzaniem młody kapitan. - A rysopis?

- Szkoda czasu na dyskusje - powiedział Borstlap. - Zatrzymajcie wszystkich, którzy dziwnie się zachowują albo są tam, gdzie nie powinni być. Potem ich sprawdzimy.

Kapitan nie dawał za wygraną.

- Musimy mieć rysopis.

W odpowiedzi rozległy się potakiwania dziesięciu policjantów.

- Nie musicie. - Scheepers nie krył złości. - Rozdzielamy się i do roboty. Natychmiast!

Przepatrzyli pomieszczenia gospodarcze i puste magazyny, spenetrowali dach i łukowe wsporniki. Scheepers przeciął Western Boulevard, szeroką High Level i zaczął się wspinać po stromym stoku. Zatrzymał się na wysokości dwustu metrów. Za daleko, pomyślał. Zamachowiec nie wybrałby tego miejsca. Spocony i zdyszany wrócił na Green Point.

Sikosi Tsiki uznał go za ochroniarza kontrolującego okolice stadionu. Spodziewał się tego, więc nie był zaskoczony. Obawiał się jedynie psów. Ale ten mężczyzna wspinał się sam. Tsiki przywarł do ziemi z pistoletem gotowym do strzału. Kiedy mężczyzna zawrócił, nie zadając sobie trudu, by wejść na szczyt, wiedział, że wszystko się uda. Nelson Mandela umrze za dwie godziny.

Stadion już się zaludnił. Scheepers i Borstlap musieli się przepychać przez tłum. Zewsząd dobiegał dźwięk bębnów, ludzie śpiewali i tańczyli. Scheepersa zdjął strach na myśl o porażce. Muszą znaleźć człowieka, którego Jan Kleyn wybrał na zabójcę Nelsona Mandeli.

Godzinę później, trzydzieści minut przed pojawieniem się Mandeli na stadionie, Scheepers wpadł w panikę.

- Nie znaleźliśmy go - powiedział Borstlap. - Czas nas goni.

Musimy się zastanowić, co umknęło naszej uwadze.

Rozejrzał się. Po chwili utkwiał wzrok w Signal Hill.

- Byłem tam - powiedział Scheepers.

- I co?

- Nic.

Borstlap skinął głową. No tak, przypuszczalnie schwytają zamachowca poniewczasie.

Stali obok siebie w milczeniu, popychani przez falujący tłum.

- Nic nie rozumiem - przyznał Borstlap.

- Za daleko - powiedział Scheepers.

- Za daleko? O co ci chodzi?

- Nikt nie trafi z takiej odległości.

Borstlap nie od razu się połapał, że Scheepers ma na myśli pobliskie wzgórze. Nagle spoważniał.

- Konkretnie gdzie byłeś? - spytał. - Wszedłeś na szczyt?

- Nie, zawróciłem w połowie drogi. Nie słyszysz, co mówię?!

To za daleko!

- Nic podobnego. Są karabiny o ponadkilometrowym zasięgu, a do Signal Hill jest najwyżej osiemset metrów.

Scheepers popatrzył na niego pytająco. Jednocześnie rozległy się huraganowe wiwaty, którym towarzyszyło bicie w bębny. Na stadionie pojawił się Nelson Mandela. Scheepers dostrzegł jego siwe włosy, uśmiechniętą twarz i dłoń uniesioną w geście powitania.

- Chodź! - zawołał Borstlap. - Jeśli on tu w ogóle jest, to tylko na wzgórzu.

Sikosi Tsiki przyglądał się Nelsonowi Mandeli przez lunetę, którą zdjął z karabinu, od momentu gdy wysiadł z samochodu przed stadionem. Skonstatował, że ochroniarzy jest niewielu. Nie zauważył też jakiejś przesadnej czujności ani niepokoju.

Założył lunetę na karabin, sprawdził załadowanie i usiadł w starannie przeciwiczonej pozycji. Przed sobą ustawił

metalową podpórkę. Sam ją skonstruował.

Spojrzał w niebo. Słońce nie powinno mu spletać psikusy. Nie dawało refleksów, nie oślepiało. Był sam na wzgórzu, tylko on, karabin i kilka ptaków.

Jeszcze pięć minut. Mimo ponad półkilometrowej odległości wiwaty na stadionie docierały do niego z pełną siłą.

Nikt nie usłyszy strzału, pomyślał.

Miał dwa zapasowe naboje. Leżały przed nim na chusteczce do nosa. Nie sądził, by musiał ich użyć. Zatrzyma je na pamiątkę. Może któregoś dnia zrobi z nich amulet? Na szczęście.

Starał się nie myśleć o czekającej go zapłacie. Najpierw musi wykonać zadanie.

Podniósł karabin i zobaczył przez lunetę, że Nelson Mandela zbliża się do mównicy. Postanowił strzelać przy pierwszej sprzyjającej okazji. Nie ma sensu zwlekać. Opuścił karabin, próbował się rozluźnić, kilka razy głęboko wciągnął powietrze. Sprawdził puls. W normie. Wszystko było w normie. Podniósł karabin, przytknął kolbę do prawego policzka i zamknął lewe oko. Nelson Mandela stał przed podium, częściowo zasłonięty ludźmi. Po chwili wszedł na mównicę i uniósł w górę ręce, jak zwycięzca. Bardzo szeroko się uśmiechał.

Sikosi Tsiki strzelił.

Ale ułamek sekundy wcześniej, zanim pocisk z zawrotną szybkością opuścił lufę, poczuł uderzenie w ramię. Nie zdążył zdjąć palca ze spustu, wypalił, uderzenie przesunęło go o blisko pięć centymetrów. Pocisk nie doleciał do stadionu, trafił w zaparkowany na ulicy samochód.

Sikosi Tsiki odwrócił się.

Patrzyło na niego dwóch zdyszanych mężczyzn.

Obaj mieli pistolety w dłoniach.

- Odłóż karabin - powiedział Borstlap. - Powoli i ostrożnie.

Sikosi Tsiki wykonał polecenie. Nie miał innego wyjścia. Ci ludzie na pewno by się nie zawahali przed użyciem broni. Co się nie udało? Kim oni są?

- Spleć ręce nad głową - kontynuował Borstlap, podając Scheepersowi kajdanki.

- Wstawaj - rzucił Scheepers, kiedy skuł niedoszedłego zamachowca.

Sikosi Tsiki podniósł się.

- Zabierz go do samochodu - powiedział Scheepers. - Ja zaraz przyjdę.

Kiedy został sam, słuchał wiwatów rozbrzmiewających na stadionie. Po chwili rozległ się charakterystyczny głos Nelsona Mandeli.

Był złany potem. Strach, że nie znajdą zamachowca, jeszcze go nie opuścił.

Pomyślał, że właśnie doświadczył historycznej chwili, która pozostanie nieznana. Gdyby nie zdążyli dotrzeć na czas, gdyby kamień, którym w desperacji cisnął w mężczyznę z karabinem, chybił celu, doszłoby do innej historycznej chwili. Poświęcano by jej sporo miejsca w książkach historycznych. Mogłaby doprowadzić do rozlewu krwi.

Też jestem Burem, pomyślał. Powinienem rozumieć tych obłąkanych ludzi. Dzisiaj są moimi wrogami. Może w głębi duszy przeczuwali, że w nowej Afryce Południowej będą musieli zrewidować swoje dotychczasowe życie. Wielu nigdy tego nie zrobi nawet za cenę unicestwienia kraju. Ale to im się nie uda.

Popatrzył na ocean. Zastanawiał się, co powie prezydentowi de Klerkowi. Henrik Wervej też czekał na raport. Miał jeszcze jedną ważną wizytę w Bezuidenhout Park. Cieszył się na myśl o ponownym spotkaniu z tymi dwiema kobietami.

Nie wiedział, co się stanie z Sikosim Tsikim. To już problem inspektora Borstlapa. Włożył karabin i naboje do torby.

Metalową podpórkę zostawił.

Nagle przypomniał sobie białą lwicę leżącą nad rzeką w świetle księżyca.

Zaproponuje Judith, żeby wkrótce znowu pojechali do Parku Narodowego Krugera.

Może lwica jeszcze tam jest?

Schodził ze wzgórza zamyślony.

Coś sobie uświadomił. Dzięki lwicy zrozumiał, że nie jest ani Burem, ani białym. Zrozumiał, że jest Afrykaninem.

Posłowie

Ta opowieść rozgrywa się częściowo w Afryce Południowej, kraju, który od dawna znajduje się na krawędzi chaosu. Psychiczna i społeczna trauma osiągnęła taki poziom, że zdaniem wielu apokaliptyczna katastrofa wydaje się nieunikniona. Nie można jednak nie dostrzec pozytywów: rasistowski system południowoafrykańskiego imperium upadnie w niedalekiej przyszłości. Właśnie teraz, w czerwcu 1993 roku, ustalono, że 27 kwietnia 1994 roku odbędą się pierwsze wolne wybory. Mówiąc słowami Nelsona Mandeli, „nareszcie doszło do sytuacji, gdy nie ma odwrotu”. Uwzględniając niepewność, jaka się kryje we wszystkich politycznych przepowiedniach, w dłuższej perspektywie rezultat będzie oczywisty: powstanie demokratyczne państwo prawa.

W krótszej perspektywie wynik jest mniej oczywisty. Zrozumiała niecierpliwość czarnej większości i czynny opór części białej mniejszości prowadzą do coraz brutalniejszej przemocy. Nikt nie może z całą pewnością powiedzieć, że wojna domowa jest nieuchronna. Tak jak nikt nie może powiedzieć, że nie da się jej uniknąć. Przypuszczalnie pewna jest tylko niepewność.

Dużo ludzi na różne sposoby - czasami bezwiednie - miało swój udział w powstaniu południowoafrykańskich wątków. Bez wkładu Ivora Wilkinsa i Hansa Strydoma, którzy dotarli do prawdy o tajnym związku Burów Broederbond, sam niczego bym nie odkrył. Lektura tekstów Grahama Leacha o kulturze Burów również stanowiła dla mnie nie lada przygodę. Opowieści Thomasa Mofololo rzuciły światło na afrykańskie obyczaje, zwłaszcza na świat duchów.

Jest wiele innych osób, których świadectwa i doświadczenia były bardzo ważne. Dziękuję wszystkim, nikogo nie wymieniając z nazwiska.

To jest powieść, co oznacza, że nazwiska, nazwy miejscowości i daty nie zawsze są prawdziwe.

Za wnioski, tak jak za całą powieść, odpowiadam tylko ja. Nikogo innego, wymienionego lub nie, nie wolno za to ganić.

*Maputo, Mozambik,
czerwiec 1993 Henning Mankell*



W spokojnym szwedzkim miasteczku nagle znika agentka handlu nieruchomościami, metodystka, przykładna żona i matka dwojga dzieci. Policja niebawem odnajduje jej ciało, w dodatku nieopodal zostaje znaleziony palec mężczyzny. Czarnego mężczyzny...

Pełne napięcia śledztwo zatacza coraz szersze kręgi; akcja przenosi się ze Szwecji do RPA, pokonuje granice czasu i przestrzeni, dotyka spraw osobistych i politycznych. Komisarz Wallander, usiłując zapobiec zbrodni, która może zmienić bieg historii, wędruje przez świat intryg, spisków i płatnych zabójców, równie posępny jak mglisty krajobraz Skanii.

Ali-Baba

Wydawnictwo
ab
two

